

DZIEKUJE. „To jedno słowo tyle znaczy, a ludzie tak rzadko go dziś używają” - mawiała księżna Diana.

Chyba nikt nie napisał więcej listów z podziękowaniami niż księżna Walii. Całymi godzinami siedziała przy biurku w salonie Pałacu Ken-sington i swoim wiecznym piórem cierpliwie pisała stopy listów, dziękując różnym osobom za pomoc, życzliwość, szczodrość, gościnność, radę i przyjaźń.

Jeśli kiedykolwiek ją do czegoś namówiłem, to chyba tylko do notowania swoich myśli. Jeśli księżna przekonała o czymś mnie, to przede wszystkim o nieprzemijającym znaczeniu listów z podziękowaniami. Już w dzieciństwie uświadomił to jej ojciec, hrabia Spencer.

Toteż, idąc za jej przykładem, chcę podziękować zespołowi, który pomagał mi w pracy nad tą książką będącą moim hołdem dla życia i dzieła księżnej Diany.

Dziękuję zatem:

Przede wszystkim mojej żonie, Marii, i synom, Alexandrowi i Nicho-lasowi. Wasza miłość, wsparcie i zrozumienie pomogły mi przetrwać trudne chwile; dzięki wam jestem najdumniejszym mężem i ojcem.

Mojemu przyjacielowi, Steve'owi Dennisowi, za towarzyszenie mi w czasie literackiej przygody oraz za to, że wraz ze mną pragnął otoczyć czcią pamięć księżnej Diany.

Mojej agentce, Ali Gunn, za bezcenne rady, nieustanną zachętę i uśmiech. Jestem jej zobowiązany do grobowej deski.

Praca nad książką W królewskiej służbie uświadomiła mi, jak wielkiego wysiłku trzeba, aby nadać wspomnieniom kształt literacki. A pomagał

mi w tym najlepszy zespół w branży: serdeczne podziękowania należą się więc wydawcy Tomowi Weldonowi - za wyobraźnię, zdrowy rozsądek, a przede wszystkim za wiarę we mnie i moją książkę. Dziękuję również wszystkim innym członkom zespołu wydawnictwa Penguin w Londynie i Nowym Jorku, zwłaszcza mojej redaktorce, Hazel Orme, za fachowość, Genevieve Pegg, Sophie Brewer i Kate Brunt za niestrudzoną pracowitość i cierpliwość; oraz wydawcom amerykańskim, Caro-le Baron i Jennifer Hershey, które były „kapitałne”.

Mieszkańcom Naas w Irlandii, a zwłaszcza Mary Elliffe, Laurze i Ke-vinowi, oraz pozostałym pracownikom hotelu Town House, dzięki którym czuliśmy się tam ze Steve'em jak u siebie w domu i nie zwariowaliśmy podczas kilkumiesięcznej pracy.

Wspaniałej ekipie moich prawników, którzy bronili mnie podczas niesprawiedliwego procesu w Old Bailey: lordowi Carlile, Rayowi Hermanowi, Andrew Shawowi i ich zdolnym asystentkom, Lesley i Shonie. Brak mi słów, aby wyrazić, jak bardzo wasza niezachwiana wiara we mnie pomogła mi w całym tym koszmarnym dla mnie okresie.

Bliskim przyjaciołom księżnej: nigdy wam nie zapomnę, że zawsze byliście gotowi świadczyć na moją korzyść. Wiem, że jak jeden mąż będziemy bronić pamięci niezwykłej kobiety, która obdarzyła nas swoją serdecznością i przyjaźnią.

Pewne osoby próbowały skazać poniższą relację na zapomnienie, a jej autorowi usiłowały zamknąć usta.

Paul Burrell, Październik 2003.

Wstęp.

Księżna Diana zmarła o czwartej nad ranem 31 sierpnia 1997 roku w paryskim szpitalu. Ostatni raz widziałem ją w piątek 15 sierpnia, kiedy odjeżdżała sprzed Pałacu Kensington, machając mi na pożegnanie z tylnego siedzenia swojego bmw.

Poprzedniego dnia robiliśmy zakupy w księgarni Waterstones przy Kensington High Street.

Pojechaliśmy samochodem, bo czasu było mało i nie chcieliśmy wracać na piechotę z naręczem książek w twardej i miękkiej oprawie. Księżna kupiła wiele dzieł z dziedziny psychologii, zdrowia i spirytystyki, włożyła je do bagażnika, usiadła obok mnie i ruszyliśmy z powrotem do pałacu.

Musiła jeszcze dokończyć pakowania rzeczy, w czym pomagała jej garderobiana, Angela Benjamin.

Kiedy skręcaliśmy na podjazd, księżna była w świetnym nastroju.

- Już się cieszę na ciche wakacje, miłe towarzystwo i mnóstwo lekkich książek do czytania!

Wybrała się na sześciodniowe wakacje z przyjaciółką Rosą Monck-ton. Miały żeglować wynajętym jachtem wokół wysp greckich. Po powrocie zamierzała wyjechać z inną przyjaciółką, Laną Marks, na pięć dni do Mediolanu. Nie planowała spędzenia ostatniego tygodnia sierpnia w towarzystwie Dodiego Al Fayed. Pokój w mediolańskim hotelu Four Seasons był już zarezerwowany, bilety na samolot kupione. Wakacje włoskie zostały jednak w ostatniej chwili odwołane, bo nagle zmarł ojciec Lany i księżna miała czas wolny aż do powrotu chłopców do Pałacu Kensington 31 sierpnia. Przyjęła więc propozycję Dodiego, aby spędzić kilka dni na pokładzie jachtu Jonikal pływającego wzdłuż Riwiery Francuskiej i wokół Sardynii.

Dwudziestego pierwszego sierpnia zamierzała wpaść do pałacu na jeden dzień. Wcześniej ustaliliśmy, że ponieważ księżnej nie będzie w Kensington przez ostatnie dwa tygodnie sierpnia, ja w tym okresie wezmę urlop, aby spędzić go z rodziną. Kiedy 15 sierpnia Diana kończyła pakowanie, w pałacu czuło się wakacyjną atmosferę.

- Musimy coś z tym zrobić. On nie nadaje się dla niej, wiesz przecież. Czy zrobisz, co się da? - zapytałem Rosę.

Wiedziałem, że księżna usłucha Rosy i czułem, że Rosa podzieliła moje obawy co do „niego”, czyli Dodiego Al Fayed. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

Księżna krzątała się po salonie, robiła porządek na biurku, wystawiła kosz ze śmieciami na korytarz, sprawdzała rzeczy w torbie podróżnej. Kiedy przyjaciółki schodziły po schodach, Diana przystanęła w pół drogi, sprawdzając, czy wszystko zabrała:

- Paszport, telefon, walkman...

Stałem oparty o drewnianą poręcz i patrzyłem na nią. Miała na sobie prostą, luźną sukienkę od Versacego.

- Wiesz co? - powiedziałem. - Nigdy jeszcze tak ładnie nie wyglądałaś. Nie potrzebujesz słońca, bo już jesteś opalona!

Uśmiechnęła się i w podskokach zbiegła po schodach. Znaleźliśmy się w holu.

- Poczekaj chwilę.

Rzuciła mi torbę i zniknęła za drzwiami toalety. Po kilku minutach była gotowa do drogi. Wyszła na zalany słońcem podjazd i usiadła na tylnym siedzeniu bmw. Kierowca uruchomił silnik.

Wyciągnąłem pas i pochyliłem się nad nią, żeby go przypiąć.

- Zadzwonisz, jak tylko będziesz miał okazję, prawda? - zapytała.

- Jasne - odparłem. Kilka dni wcześniej zmieniłem numer jej telefonu komórkowego. Nowy znała tylko garstka ludzi.

- Miłych wakacji, Paul.

Wróciłem do pałacu, księżna pomachała mi na pożegnanie. Samochód skręcił w lewo i zniknął z pola widzenia. Jechała na lotnisko Heath-row, skąd miała odlecieć do Aten.

Spędzałem z rodziną żony czterodniowe wakacje w Naas w Irlandii. Zwiedziliśmy zamek Kilkenny i wieś, w której filmowano serial BBC Bally-kissangel, oraz słynny pub Fitzgeralda. Na czas urlopu Maria zabroniła mi myśleć o pracy i księżnej. „To rodzinne wakacje, powinieneś więc poświęcić cały czas rodzinie” - oświadczyła.

Ponieważ jednak obiecałem księżnej, że zatelefonuję, pod jakimś pretekstem poszedłem na długi spacer.

Kiedy zadzwoniłem, księżna opalała się z Rosą na pokładzie jachtu. Powiedziała, że jest słonecznie i gorąco. Skończyła właśnie książkę z dziedziny spirytystyki i zaczęła czytać następną.

Rozłączyłem się, obiecując zadzwonić ponownie ze swojego domu w Farndon. Księżna miała być wtedy na Jonikalu z Dodim.

Dwudziestego pierwszego sierpnia Diana wróciła na chwilę do Pałacu Kensington i zaraz wyjechała na lotnisko Stansted, skąd odlatywała do Nicei na spotkanie z Dodim. W czasie jej nieobecności zakończono renowację salonu, mogła więc podziwiać nową tapicerkę na kanapach i nowe błękitne zasłony.

Podczas planowania renowacji Dianie wpadła w ręce amerykańska broszura, w której oferowano do

sprzedaży kalifornijski dom brytyjskiej aktorki Julie Andrews. Księżna poważnie zastanawiała się nad kupnem, ale nie zamierzała przenosić się do Ameryki na stałe. Chciała tam spędzać wakacje, najwyżej sześć miesięcy w roku. Stałą siedzibą miał pozostać Pałac Kensington.

O przeprowadzce do Ameryki mówiło się od wiosny. W sierpniu, między wyjazdami, księżna rozłożyła broszurę i powiedziała:

- Ameryka jest moim przeznaczeniem i jeśli się na to zdecyduję, Paul, to chcę, żebyś z Marią i chłopcami dołączył do mnie.

Kłęczeliśmy na podłodze w salonie. Diana pokazała mi kolorowe zdjęcia i plan domu Julie Andrews.

- To główny hol. Tu będzie pokój Williama, a tu Harry'ego. W tej przybudówce zamieszkaś z Marią i chłopcami. Rozpoczniemy nowe życie. Czy to nie wspaniałe? W tym kraju każdy może odnieść sukces - zachwycała się.

Marzyłem o życiu w Ameryce, ale wszystko to spadło na mnie zbyt szybko.

- Chyba nie powinnaś się tak śpieszyć. Nawet ja nie nadażam - powiedziałem, nie chcąc gasić jej entuzjazmu.

Owego popołudnia księżna zasypała mnie pytaniami.

- Jeśli nie tu, to może Cape Cod? Byłoby bliżej do Londynu. Możemy podróżować po całym świecie, Paul, i pomagać wszystkim ludziom, którzy potrzebują pomocy.

Wyobrażaliśmy sobie, jak będziemy się cieszyć życiem w Ameryce: bieganiem po plaży, bezchmurnym niebem, poczuciem swobody. I było jeszcze coś. Coś, o czym Diana zawsze marzyła, a co w Pałacu Kensington było niemożliwe.

-I moglibyśmy kupić psa. - Księżna zawsze chciała mieć czarnego labradora. Na samą myśl o Ameryce promieniała szczęściem. - Zawsze mówiłam, że kiedyś zamieszkamy w Ameryce, nieprawdaż?

Rozmawialiśmy też o wielu sprawach, o których nie mogę tu mówić i które na zawsze pozostaną moją tajemnicą. W każdym razie, perspektywa osiedlenia się w Ameryce wprawiała księżną Walii w radosne podniecenie.

Po powrocie z Naas rozmawiałem z Dianą prawie codziennie, ale nigdy nie dzwoniłem do niej z domu. W czasie naszych rozmów księżna opalała się na pokładzie Jonikala albo odpoczywała od słońca w swojej kabinie. Od pierwszej rozmowy wiedziałem, że nie może sobie znaleźć miejsca.

- Na pokładzie jest jak na patelni, pod pokładem jak w lodówce, chodzę tutaj po ścianach!

Dodi podarował jej wiersz oprawiony w srebrną ramkę. Przeczytała mi go.

- Bardzo głęboki i poważny, prawda? - zażartowałem.

- Skąd! - roześmiała się. - Uroczy i romantyczny. Dostała też od Dodiego naszyjnik i kolczyki.

- Źle zrobił, co? - śmiała się.

Wiedziałem, co się dzieje. Księżna przeżywała nowy romans, sprawiały jej radość zabiegi i komplementy mężczyzny, który stracił dla niej głowę. Tak jak wszyscy poprzedni mężczyźni w jej życiu. Wiedziała, że Dodi jest w niej zakochany, powiedział jej to wprost podczas jednej z kolacji. Diana jednak nie odwzajemniła się podobnym wyznaniem. Twierdziła, że jeszcze na nie za wcześnie.

- Co mu więc odpowiedziałas? - spytałem zaciekawiony.

- Powiedziałam: „Dziękuję za komplement”.

Według legendy rozpowszechnianej po śmierci Diana i Dodi chcieli się pobrać, a księżna była w ciąży. To pierwsze twierdzenie pochodzi zapewne z kręgu przyjaciół Dodiego, to drugie jest monstrualnym kłamstwem.

Co do planów małżeńskich, to być może Dodi zamierzał się oświadczyć, Diana jednak nie myślała o małżeństwie. Zapewne była szczęśliwa, ale na pewno nie spieszyła się z zalegalizowaniem związku.

Podczas kolejnej rozmowy księżna zastanawiała się, czy następnym prezentem nie będzie pierścionek zaręczynowy. Była tym podekscytowana, ale zarazem niepokoiła się, do czego to wszystko zmierza.

- Co mam zrobić, jeśli to rzeczywiście będzie pierścionek? Kolejne małżeństwo jest mi tak

potrzebne jak wysypka.

- To proste. Podziękujesz i wsuniesz go na serdeczny palec prawej ręki. Tylko się nie pomył, bo wyślesz fałszywy sygnał! - ostrzegłem wesoło.

Serdeczny palec prawej ręki - powtórzyliśmy.

- Będzie to znaczyć, że pierścionek jest symbolem przyjaźni.

- Świetny pomysł, Paul. Tak zrobię, tak zrobię - obiecała. Później nie rozmawialiśmy już nigdy o pierścionku. Nie wiadomo, czy rzeczywiście go otrzymała.

Dianę nurtowała jeszcze jedna wątpliwość dotycząca Dodiego.

- Ciągłe chodzi do łazienki i zamyka za sobą drzwi na zasuwkę. Kicha raz po raz, skarżąc się na klimatyzację, jestem tym zaniepokojona. Może mogłabym mu jakoś pomóc?

Po chwili zmieniła temat i powiedziała, że bardzo się stęskniła za Williamem i Harrym. Nie może się już doczekać, kiedy znów będzie z nimi. Tak bardzo chciała być już w domu, że myślała o tym, aby skrócić pobyt na jachcie i wrócić do Londynu dwa dni wcześniej. Dodi jednak namówił ją, żeby została.

- Chciałabym już wrócić do domu. Muszę pójść na siłownię.

- A więc masz już dość tych wszystkich luksusów?

Diana westchnęła. Jak zawsze w takiej sytuacji spróbowałem się domyślić, co ją trapi.

- Nie musisz nic mówić. Czujesz się jak w potrzasku, bo on śledzi każdy twój krok?

- Znowu masz rację. Muszę wracać do domu.

Powiedziała, że w ostatniej chwili postanowili 29 sierpnia pojechać do Paryża. Rozmawiała ze mną z pokładu Jonikala. Jak wynika z rejestru rozmów z jej telefonu komórkowego, była to jedna z sześciu ostatnich rozmów telefonicznych, które przeprowadziła podczas ostatniej doby swojego życia.

Telefnowałem z salonu domu mojego szwagra, Petera Cosgrove'a, w Farndon. Cała rodzina - Maria, chłopcy, Peter, jego żona Sue i ich córki Clare i Louise - taktownie wyszli do kuchni, abym mógł w spokoju porozmawiać z Dianą. Zaczynali się jednak niecierpliwić, bo nie było mnie czterdzieści minut.

W czasie tej rozmowy dowiedziałem się, że Diana zmieniła plany. Chciała wrócić do Londynu prosto znad Morza Śródziemnego 30 sierpnia, na dzień przed przyjazdem chłopców. Dodi jednak musiał być

w Paryżu „w interesach”. Diana nie miała na to specjalnej ochoty, ale ponownie dała się namówić.

- Musimy jechać do Paryża, ale obiecuję, że wrócę w niedzielę. Na pewno nie zgadniesz, gdzie teraz jestem.

Powiedziałem, że na Sardynii.

- Nie, w Monako. I na pewno nie zgadniesz, dokąd się dzisiaj wybieram. Powiedziałem, że do drogiej restauracji.

- Nie. Idę na grób księżnej Grace. To dla mnie wyjątkowe wydarzenie. Miały to być jej pierwsze odwiedziny grobu Grace od czasu pogrzebu księżnej Monako w 1982 roku.

- Chcę złożyć kwiaty i powiedzieć kilka słów - dodała.

Potem znów wróciła na ziemię, robiąc plany i wydając mi polecenia: pamiętaj umówić się z panem Quelchem (krawcem chłopców) na przyszły poniedziałek i zorganizować przymiarke u Armaniego 4 września. Zapytała, co jest zapisane w kalendarzu. Odparłem, że lunch z Shirley Conran i spotkanie z aromaterapeutką Sue Beechey. Poza tym miała mnóstwo wolnego czasu, który mogła spędzić z Williamem i Harrym.

Pod koniec rozmowy księżna powiedziała:

- Cieszę się na spotkanie z przyjaciółmi i nie mogę się doczekać, kiedy znów zobaczę chłopców.

Tyle rzeczy mamy sobie do opowiedzenia, nie spóźnij się więc! Kiedy się zobaczymy, opowiem ci o wszystkim.

Z kuchni dobiegły głosy. To wołali mnie członkowie rodziny, zniecierpliwieni długim oczekiwaniem.

- Paul? - zapytała księżna. - Chcę, żebyś coś mi obiecał.

- Oczywiście - odparłem.
- Obiecuj mi, że będziesz czekał. Roześmiałem się - rozbawiły mnie jej przesadne obawy, że się spóźnię i nie będzie mnie w drzwiach pałacu, kiedy wróci.
- Daj mi słowo! - rozkazała. - Chcę to od ciebie usłyszeć! Nie mogłem powstrzymać śmiechu.
- Dobra, dobra, jeśli ci to sprawi przyjemność, obiecuję, że będę. Diana wybuchnęła śmiechem. Za kuchennymi drzwiami rozległ się rechot rozbawionej rodziny. Waga tych ostatnich słów dotarła do mnie dopiero później, ale od tamtej pory brzmią mi one w uszach. Dotrzymam słowa i zawsze będę przy niej - nawet jeśli komuś się to nie podoba.
- Świetnie! - powiedziała księżna. - Zobaczmy się po moim powrocie. Była to nasza ostatnia rozmowa.

Dzieciństwo i młodość

Piętrowy autobus jechał powoli stromymi uliczkami górniczych osiedli Derbyshire. Niczym wstawiony górnik, który chwiejnym krokiem wraca z pubu do domu, nie spieszył się do miejsca przeznaczenia. W powietrzu wisiała woń siarki i smoły zmieszana z zapachem palonego drewna. Była jedenasta wieczorem 5 listopada 1956 roku.

Autobusem jechała samotna, dość krępa kobieta. Na głowie miała czarny kapelusz, na nosie okulary w czarnych okrągłych oprawkach, na kolanach trzymała torebkę. Sarah Kirk wysiadła na przystanku w osiedlu górniczym Grassmoor. Tu zawsze przechodziła przez główną ulicę i przy Chapel Road skręcała w prawo, do swego domu pod numerem 57. Wracała z pubu Elm Tree w odległym o pięć kilometrów Clay Cross, gdzie w towarzystwie najstarszej córki Dolly wypijała kilka kufelków ciemnego piwa.

Sobotnie wieczory były dla Sarah jedną z niewielu rozrywek w życiu wypełnionym opieką nad mężem Williamem, górnikiem chorym na pylicę płuc. Zawsze wychodziła tuż przed zamknięciem lokalu, aby zdążyć na autobus do domu. William chciał widzieć żonę z powrotem piętnaście po jedenastej. Autobus zwolnił, Sarah włożyła rękawiczki i wysiadła. Ruszyła chodnikiem, po czym skręciła w lewo, na jezdnię. Autobus zasłaniał jej widok, nie zauważyła więc, że ulicą pędzi motocykl. Silne uderzenie wyrzuciło ją w górę. Było tuż po jedenastej piętnaście.

Sarah Kirk była moją babcią, której nie znałem. Zmarła na chodniku u szczytu brukowanej ulicy, na której będę się bawić w dzieciństwie. Doznała rozległych obrażeń głowy. Miała sześćdziesiąt trzy lata.

Ta straszna tragedia, która wydarzyła się dwa lata przed moim urodzeniem, zadecydowała o losach rodziny. Skłoniła moich rodziców do małżeństwa i w konsekwencji ukształtowała otoczenie, w którym się urodziłem.

William Kirk usłyszał stuk kobiecych obcasów po bruku, a potem dźwięk odskakującego skobla w tylnych drzwiach domu. Złoty kieszonkowy zegarek, który był najcenniejszą rzeczą, jaką posiadał, wskazywał jedenastą dziesiątą. Sarah powinna wrócić za pięć minut.

Obcasy zastukały po drewnianych schodach i w drzwiach stanęła ukochana, najmłodsza córka Williama - moja matka. Beryl Kirk usiadła przy łóżku ojca i opowiedziała mu o udanej randce z Grahamem Bur-rellem z pobliskiego Wingerworth.

Mój ojciec, który miał wówczas dwadzieścia jeden lat, wracał piechotą do domu nieoświetlonymi uliczkami. Minał go piętrowy autobus, jadący do Grassmoor.

Gwałtowne pukanie do drzwi domu przy Chapel Road 57 zaskoczyło ojca i córkę. Sąsiad chwycił mamę za ramię.

- Zdarzył się straszny wypadek. Chodź szybko, chodź szybko! Mama, mająca wówczas dwadzieścia lat, pobiegła co tchu na miejsce wypadku. Tam zobaczyła ją przyjaciółka i odciągnęła na bok. Chciała jej oszczędzić straszego widoku. Dowiedziawszy się, co się stało, mama zaczęła histerycznie krzyżeć.

Śmierć matki była dla niej ciosem, po którym nigdy się do końca nie otrząsnęła. Przez całe moje dzieciństwo często płakała. Do końca życia co niedziela chodziła na cmentarz Hasland, czyściła nagrobek i kładła świeże kwiaty. Często jej towarzyszyłem. Jeśli kiedykolwiek wierzyłem w świat pozagrobowy, to na pewno w dzieciństwie. Mama była osobą głęboko wierzącą: rozmawiała z

babcią w kuchni i przy grobie, opowiadając jej o najnowszych wydarzeniach w rodzinie. Babcia jest zawsze z nami - mawiała.

- Co mam robić? Urządzić przyjęcie urodzinowe czy wyjść za mąż? Nie stać nas na obie rzeczy - powiedziała mama do ojca.

W ciągu tygodni żałoby po wypadku wydawało się, że ich miłość również umarła. Pytanie mamy zabrzmiało tak, jakby pytała ojca, co chce zjeść na obiad. Mięso z kartoflami czy pieczeń z kluskami?

Ojciec odpowiedział beztrąsko:

- Może weźmy ślub.

Gdyby babcia Kirk nie zginęła w wypadku, moi rodzice nie pobraliby się tak wcześnie. Tak w każdym razie uważał tata. Okoliczności popchnęły go do założenia rodziny. Po śmierci babci mama została panią domu przy Chapel Road 57 i zajęła się chorym dziadkiem - razem ze starszą siostrą Pearl, która mieszkała przy tej samej ulicy pod numerem 16.

Cztery miesiące po śmierci babci, 25 marca 1957 roku, Beryl Kirk i Graham Burrell wzięli ślub. Ze względu na nieobecność matki panny młodej była to smutna uroczystość. Po ceremonii mama, ubrana w suknię ślubną, złożyła na grobie babci ślubny bukiet czerwonych róż.

Minęły cztery lata od dnia, w którym mama i tata umówili się na pierwszą randkę - romantyczny spacer ulicą Mili Lane, która łączyła Grassmoor z Wingerworth, dwie osady przecięte linią kolejową Shef-field-Londyn. Mama, choć miała zaledwie siedemnaście lat, roznosiła piwo w pubie Miner's Arms, prowadzonym przez ciotkę Pearl i jej męża Erniego Walkera. W ciągu dnia była pomocnicą kucharza w kopalni. Pub i kopalnia znajdowały się w jednakowej odległości od domu, na przeciwległych końcach Chapman Lane, która biegnie równolegle do Chapel Road. Wzdłuż obu ulic stały ściana w ścianę rzędy jednorodzinnych domków. Wszystkie należały do górników, a gośćmi pubu byli albo górnicy, albo ich żony. Pewnego wieczoru w 1952 roku - roku, w którym królowa Elżbieta II wstąpiła na tron - tata i jego brat Cecil wybrali się do Miner's Arms. Mama wspominała, że ojciec „gapił się na nią głupawo”. Tata zapamiętał „bardzo atrakcyjną panią roznoszącą piwo”.

Tata, który liczył wówczas osiemnaście lat, był chłopcem nieśmiałym i naiwnym i nie miał dotąd dziewczyny. Najpewniej tylko dzięki alkoholowi odważył się umówić na randkę. Mama zgodziła się - i nigdy więcej nie spojrzała na innego mężczyznę. Graham Burrell był jednym z pięciorga dzieci biednych rolników, wychował się wśród świnek, kur i jabłoni. Nie został górnikiem, ale pracował w Państwowym Zarządzie Węgla jako maszynista lokomotyw ciągnących wagony z węglem do zakładów koksowniczych w Wingerworth. Nie poszedł do kopalni, bo bał się, że winda się urwie i spadnie na dno szybu, ale chciał też zrobić na przekór tym wszystkim, którzy spodziewali się, że zostanie górnikiem. National Service dała ojcu szansę ucieczki od wiecznego mroku kopalni: dwuletnia służba dla królowej i kraju była znacznie ciekawszą perspektywą. Został więc lotnikiem RAF-u w Warrington. Opowiadał nam, że zamiatał tam pas startowy, ale w rzeczywistości pełnił służbę wartowniczą przy wieży kontroli lotów. W 1954 roku wrócił do Derbyshire.

Szóstego czerwca 1958 roku w życiu moich rodziców zaszło ważne wydarzenie. Tego pięknego wieczoru przyszedłem na świat w szpitalu położniczym w Chesterfield i zrobiłem rodzicom niespodziankę. Mama i tata spodziewali się córki i wybrali już dla niej imiona: Pamela Jane. Wiadomość o moich narodzinach przyniosła tacie położna.

- Panie Burrell, to nie Pamela, to chłopiec! - oznajmiła. Zostałem więc Pauliem.

Od chwili ślubu mama pragnęła dziecka, tata jednak wolał poczekać. Kwestia dziecka stała się natychmiast przyczyną małżeńskich konfliktów. Mama zrezygnowała z pracy w kopalnianej stołówce i w pubie, aby poświęcić się opiece nad dziadkiem Kirkiem. Tłumaczyła:

- Tkwią tu przez cały boży dzień. Mogłabym równie dobrze karmić i przewijać dziecko.

W końcu ojciec ustąpił. Kiedy pewnego listopadowego wieczoru w 1957 roku mama oświadczyła, że spodziewa się dziecka, obawiała się reakcji męża, ale tata był tak samo zachwycony i podniecony jak ona.

Mama opiekowała się dziadkiem aż do dnia moich urodzin, myjąc go, gotując i przynosząc posiłki. Nie pozostało to bez wpływu na jej zdrowie. Kiedy nadszedł termin porodu, została przyjęta do szpitala położniczego z objawami wyczerpania i nadciśnienia. Tata towarzyszył jej w karetce do miasta. Na noc wrócił do domu, obiecując przyjść nazajutrz.

Kiedy zjawił się w szpitalu, mamy nie było w sali, w której poprzednio leżała. Idąc korytarzem, usłyszał jej krzyki na porodówce. Nagle obleciał go strach przed ojcostwem. Rzucił się pędem przez główne drzwi i zatrzymał dopiero w domu swoich rodziców w Wingerworth, oddalonym o dziesięć kilometrów.

Jego matka była zdegustowana.

- O co ci właściwie chodzi? Przecież to tylko poród. Weź się w garść. O ósmej wieczorem tata otrzymał wiadomość, że jego żona i syn czują się dobrze. Przeszedłem na świat na oddziale Królowej Elżbiety II.

Pół roku po moim urodzeniu dziadek Kirk przeprowadził się pod numer 16 do cioci Pearl, która właśnie owdowiała i musiała zrezygnować z dzierżawy Miner's Arms. Przejęła opiekę nad dziadkiem, ponieważ mama nie dawała już rady zajmować się i nim, i mną. Dwa lata później mama była znowu w ciąży - tym razem to ojciec nalegał na dziecko. Oboje marzyli o małej dziewczynce biegającej po domu.

Tymczasem w innej części kraju, i w zupełnie innym świecie, pewna rodzina również pragnęła dziecka. Państwo Spencer z Park House w San-dringham Estate w Norfolk mieli już dwie córki, Jane i Sarah. Syn John

zmarł w kilka godzin po urodzeniu. Spencerowie marzyli więc, że ich następne dziecko będzie chłopcem, który odziedziczy tytuł wicehrabiego Althorp.

W 1961 roku obie rodziny spotkało rozczarowanie.

Mój brat Anthony William urodził się 30 marca. Tym razem mama nie zdążyła do szpitala, poród odbył się w pokoju stołowym i odebrała go sąsiadka Annie Tunnicliffe. Mama i tata byli dumni z drugiego zdrowego syna. Cztery miesiące później, 1 lipca, Spencerom urodziła się trzecia córka, której nadano imiona Diana Frances. Miałem wówczas trzy lata.

Trzy miesiące przed urodzeniem się Anthony'ego, w grudniu 1960 roku, umarł dziadek Kirk. Jak przez sen pamiętam jego pogrzeb: trumnę ustawioną w salonie, pokój pełen ludzi ubranych na czarno i swój płacz, że nie mogę zobaczyć dziadziusia. Mama opowiadała mi później, że w naszym domu zjawili się sąsiedzi z całej ulicy, we wszystkich domach na znak żałoby zaciągnięto zasłony. Zgodnie ze zwyczajem w ostatnią noc przed pogrzebem otwarta trumna stała w salonie przy płonących świecach, a krewni, przyjaciele i sąsiedzi przychodzili pożegnać zmarłego. Niektórzy nazywali to czuwaniem. W naszej wsi mówiło się o „ostatnich odwiedzinach”.

Z okresu, gdy mieszkaliśmy przy Chapel Road 57, pamiętam niewiele. Jedyne żywsze wspomnienia wiążą się z kąpielami w pokoju w tylnej części domu. Metalową balię stawiało się przed buzującym kominkiem i napełniało letnią wodą. Ja się pluskałem, mama tymczasem ogrzewała ręcznik nad ogniem. W domu było zawsze zimno. Kiedy mamie się spieszyło, kąpiel nie należała do przyjemności: kazała mi stać w białej ceramicznej umywalce w kącie pokoju, szorowała mnie czymś, co przypominało drucziany zmywak, a ja trzymałem się kranu z zimną wodą, do którego prowadziła chwiejąca się ołowiana rura.

Wkrótce po pogrzebie dziadka przeprowadziliśmy się pięć domów dalej, pod numer 47. Chapel Road była brukowaną ulicą oświetloną czarnymi, żeliwnymi latarniami i miała kształt litery L. Oba nasze domy stały w dolnym szeregu, zwrócone na zachód. Za podwórkami na tyłach domów ciągnęły się puste pola, które opadały ku wschodowi i dochodziły do terenu kopalni. Przy Chapel Road mieściło się kilka sklepów: pasmanteria Hartshorna, gdzie mama, która robiła na drutach, kupowała wełnę; sklep „U ciotki Hildy” z blaszanym szyldem i reklamami Bovrila, Cadbury'ego i Oxo nad markizą w zielone pasy; punkt przyjmowania zakładów Fletchera, do którego tata nigdy nie zachodził. U dołu

ulicy, tuż za rogiem, było moje ulubione stoisko z lodami Monty'ego White'a, gdzie porcja świeżo kręconych lodów śmietankowych w waflu kosztowała trzy pensy. Nigdy potem nie jadłem tak pysznych lodów. Dokładnie na wprost naszego nowego domu stała piekarnia Eldreda. Co rano

budził mnie zapach świeżo upieczonego chleba, a w Wielki Piątek cynamonowych bułeczek drożdżowych - szybko zabijany wonią siarki i smoły z kopalni.

Okno mojego pokoju wychodziło na pola i wielkie hałdy w oddali, za którymi wznosiły się wieże szybów. W sierpniu każdego roku na polach pasło się 90 koni z kopalni, które wypuszczano na świeże powietrze na czas dwutygodniowych wakacji górniczych.

Wszystkie domki wyglądały identycznie i miały jeden rząd angielskich okien; czerwona cegła z biegiem czasu pokryła się sadzą. Przy każdym była pralnia, ubikacja na dworze i składzik na węgiel w pozbawionym trawy ogródku, gdzie suszyło się pranie. Ze szczytu głównej ulicy widać było morze spadzistych, szarych dachów, z których wyrastały ceglane kominy. Ulica tętniła życiem: panie domu, w fartuchach i chustkach na głowie zawiązanych w turbany, szorowały schody, spieszyły po zakupy, plotkowały przez furtki z sąsiadkami; ich mężowie w ciężkich butach i czapkach z daszkiem szli do i z kopalni; dzieci bawiły się w chowanego albo w berka, robiąc przy tym mnóstwo zgiełku.

Do przeprowadzki pod numer 47 użyliśmy całej flotylii taczek. Mama orzekła, że to najlepszy dom ze wszystkich, ponieważ miał łazienkę. Czynsz wynosił 12 szylingów i sześć pensów, ale luksus załatwiania się pod dachem był wart tej ceny. Tata wziął dodatkowe nadgodziny. Skończyły się kąpiele w metalowej balii przed kominkiem i korzystanie z nocników, których zawartość zamarała w nocy. Ponieważ w domu nie było centralnego ogrzewania, w sypialni bywało tak zimno, że zimą na szybach osadzał się lód.

Łazienka była chyba naszym jedynym luksusem. Na podłogach zamiast dywanów leżało linoleum, gdzieniegdzie przykryte chodnikami własnej roboty. Na kredensie stał czarno-biały telewizor, a za antenę służyła patelnia z drutem, przytwierdzona do ściany. Jakimś cudem odbierała sygnał, choć obraz był niewyraźny i skakał. Dzięki temu wynalazkowi oglądałem program BBC Watch With Mother. Później całą rodziną oglądaliśmy Saturday Night at the London Palladium, widowisko, w którym często występował najlepiej opłacany artysta estradowy w kraju, Danny La Rue.

Każde dziecko w rodzinie miało swoje obowiązki. Zanim jeszcze zaczęliśmy chodzić do szkoły, w piątym roku życia musieliśmy rąbać drewno. W poniedziałki pomagałem mamie podczas cotygodniowego prania. Przyglądałem się, jak kijanką miesza mydliny z brudnymi ubraniami. Obracałem rączką wyżymaczki, a mama wkładała mokre rzeczy między wałki. We wtorki czyściło się wszystkie mosiężne przedmioty. Ręce i paznokcie mamy robiły się czarne, a ja pomagałem jej szorować i polerować ornamenty. Przyda mi się to, gdy pewnego dnia będę musiał czyścić królewskie srebra. W naszym domu były dwie cenne rzeczy: drewniany zegar stojący na kominku, który bił co kwadrans przez całe moje dzieciństwo, oraz wielkie pianino zajmujące całą tylną ścianę frontowego salonu. Raz w tygodniu odbywało się muzykowanie. Przychodziła miejscowa szwaczka i przyjaciółka mamy, Gladys Leary, ze swoją przyjaciółką Wini-fred Lee. Dla mnie i mojego brata śpiewały piosenki z musicali.

Mama bardzo dbała, aby w domu było czysto. Co dzień rano wynosiła popiół, szorowała próg mydłem karbolowym, zmywała okna frontowe wodą z octem i prała firanki.

Z pieniędzmi zawsze było krucho. Świeże owoce jedliśmy tylko w czasie choroby. W ósmym roku życia zachorowałem na żółtaczkę i dzięki temu poznałem smak pomarańczy, winogron i bananów. Ludzie, u których na kredensie stała patera z owocami, uchodzili za zamożnych. Świeżych kwiatów w wazonie nie widziało się nigdy, chyba że ktoś umarł.

Wizyty inkasentów z gazowni i elektrowni obiecywały dodatkowe pieniądze. Za prąd i gaz płacono się za pomocą licznika na monety. Inkasent wysypywał wrzucone monety na kuchenny stół, liczył i układał w funtowe stosiki. Mama obserwowała proces liczenia jak jastrząb w nadziei, że pieniędzy jest więcej, niż wykazuje rachunek.

W piątek wieczór tata przynosił do domu tygodniowe pobory. Mama zabierała z nich pieniądze na czynsz, a tata szedł do smaźalni ryb, gdzie przez godzinę stał w kolejce; ryby z frytkami były piątkowym smakołykiem w każdej rodzinie. Rodzicom często brakowało pieniędzy, mama miała więc otwarty rachunek w narożnym sklepie i w spółdzielni, gdzie w zamian przyznawano jej dywidendę, którą oszczędzaliśmy na czarną godzinę albo na podróż wakacyjną do Skegness, Scarborough albo Newquay.

Z czasem przekonałem się, że moi rodzice są najbiedniejsi z całej rodziny. Wuj Bili, najstarszy brat mamy, sprzedawał benzynę i samochody. Przed jego stacją stała podświetlana, niebiesko-czerwona reklama benzyny Regent. Miał tyle samochodów, że wydawał mi się milionerem.

To dzięki wujowi Billowi tata jeździł używanymi autami. Pierwszym był czarny Morris Minor, potem dwutonowy, niebiesko-kremowy Ford Ze-phyr, model z 1957 roku. W obu były skórzane siedzenia, które w lecie tak się nagrzewały, że w krótkich spodenkach nie mogłem na nich usiedzieć. Druga żona wuja Billa, ciotka Marge, była szczupłą, elegancko ubraną kobietą; nosiła tweedowe kostiumy lamowane futrem. Pamiętam, że robiła na mnie wrażenie gwiazdy filmowej. Mama chodziła zwykle w rozpinanych sweterkach, które wkładała na ładne sukienki w kwiaty. Ciotka Marge miała dwie córki z pierwszego małżeństwa, Sandrę i Sheilę. Wujostwu powodziło się tak dobrze, że dziewczęta mogły kupować sobie co miesiąc magazyn „Photoplay” z efektownymi zdjęciami słynnych aktorek: Elizabeth Taylor, Jean Simmons, Bette Davis i Jayne Mansfield. W rogu pokoju leżał cały stos tych pism.

- Jak chcesz, możesz sobie wziąć, my już przeczytałyśmy - powiedziała kiedyś Sandra.

Nie wierząc swojemu szczęściu, porwałem tyle, ile mogłem unieść, i szybko wyszedłem, żeby nie zdążyły się rozmyślić.

Ślęczałem potem w sypialni nad kolorowymi stronami i wydierałem najładniejsze zdjęcia, które przyklejałem do niebiesko-kremowej tapety w kwiaty.

Mój najmłodszy brat Graham, który otrzymał imię po ojcu, nie był dzieckiem planowanym. Kiedy mama odkryła, że jest w ciąży, rodzice znów liczyli, że tym razem będzie córka. Ale nie tylko na to. Ponieważ dziecko miało się urodzić w listopadzie 1965 roku, mama modliła się, aby przyszło na świat w dziewiątą rocznicę śmierci babci Kirk.

Czwartego listopada mamie odeszły wody. Miałem wówczas siedem lat i widząc, że mama ma bóle i niosą ją do karetki, zacząłem przeraźliwie krzyczeć. Zanim drzwi się zamknęły, usłyszałem, jak mówi:

- Jezu, proszę, tylko nie dziś.

Bąłem się, że umrze. Oczywiście, mama chciała tylko przetrzymać kilka godzin, aby dziecko urodziło się 5 listopada. Tej nocy musiał nad nią czuwać anioł stróż, bo poród przeciągnął się do następnego dnia. W końcu Grahama wyciągnięto na świat za pomocą kleszczy 5 listopada tuż po godzinie jedenastej wieczorem - na dziesięć minut przed dokładną rocznicą.

Moje dzieciństwo było bardzo szczęśliwe i upłynęło wśród ludzi pracy, dla których najważniejsza pozostawała rodzina. Przy naszej ulicy mieszkali ludzie serdeczni i życzliwi. Byłem maminsynkiem: podoi stale trzymałem się fartucha mamy.

Ojciec urodził się 2 sierpnia 1935 roku jako syn Cecila Burrella, I wala, który podkuwał konie z kopalni Bonz Main pod ChesterfiJ Dziadek był ostatnim kowalem w kopalniach północno-wschodnid Derbyshire. Ojciec nosił przydomek Nip, bo był niski, chudy i najmłł szy: beniaminek rodziny. Bał się niewielu rzeczy w życiu - chyba tyj pracy w kopalni. Kiedy do Derbyshire zawitały koleje, został masz> stą pociągów z węglem. Był człowiekiem stanowczym, surowym i b| dzo inteligentnym. Pamiętam, jak prasował swoje spodnie w ostry; brzytwa kant; nabrał tego zwyczaju podczas służby w RAF-ie. Nauc mnie swojej sztuki - były to chyba moje pierwsze lekcje z dziedziny i merdynerstwa. Kiedy co rano wychodził z domu w swojej czapce z dal kiem i fufajce, wydawało mi się, że opuszcza nas na zawsze. Wra(wieczorem, aby powiedzieć nam dobranoc; leżeliśmy już wtedy we trj kę we wspólnym łózk. Mama lubiła żartować, że częściej widzimy dzinnego lekarza niż ojca. Pracował od świtu do nocy, aby zapewnić m przyszłość.

Mama urodziła się 29 lutego 1936 roku. Przez trzy lata obchodź^ urodziny 28 lutego, a raz na cztery lata świętowaliśmy jej prawdzi urodziny. Mając 36 lat żartowała, że ma dopiero 9. Nie była kobie o dużych wymaganiach. Wszelkie zarobki lub oszczędności przeznl czała na dom. Wysoka, kanciasta, nosiła rogowe okulary i często trzymł ła w ręku papierosa.

Stale czuła obecność babci Kirk. Gdy zgubiła jakąś rzecz - biżuteri portmonetkę albo wzór do robienia na drutach - siadała i mówiła: „S rah, pomóż mija znaleźć”. Zawsze znajdowała to, czego szukała, i twie dziła, że to nie przypadek. Jej życzliwość i wielkoduszność nie zna granic; nie

pamiętam, aby kiedykolwiek podniosła głos. Miała zawsze miłe słowo dla ludzi w kłopotach, była delikatna dla chorych, hojna dla biedniejszych niż ona sama i gotowa do pomocy potrzebującym. Kiedy przy naszej ulicy wybuchł pożar i jedna z rodzin straciła wszystko. Mama obeszła wszystkie domy w okolicy, prosząc o datek albo jakąś rzecz dla poszkodowanych. Gdy pracowała jeszcze w kopalnianej stołówce jej specjalnością było mięso z kartoflami, pierogi z serem i cebulą oraz pudding Yorkshire. Zdobyła dzięki nim taką sławę kulinarną, że kiedy odeszła z kopalni, górnicy potrafili przychodzić do domu i prosić, aby upieczyła im jakiś swój smakołyk. Gotowała więc dla nas, robiła kilkanaście porcji więcej i wносиła talerze na ulicę. Przyrządzała też posiłki dla biedniejszych sąsiadów, którzy wstydzi się prosić, i odwiedzała ludzi przykutych do łóżka albo wózka inwalidzkiego, mieszkających przy naszej ulicy. Goliła ich, myła i opierała. Dwa razy w tygodniu chodziła też sprzątać do kobiety umierającej na raka.

Pewnego razu przyszła do nas zapłakana kobieta. Miała już czworo dzieci w wieku poniżej pięciu lat i znów była w ciąży. Mama zaczęła ją pocieszać, tłumacząc z właściwym sobie zdrowym rozsądkiem. Każdy przychodził do nas ze swoimi kłopotami, bo mama zawsze umiała znaleźć jakieś rozwiązanie. W rzadkich chwilach, kiedy nic się nie działo - najczęściej wtedy, kiedy leżeliśmy już w łóżkach - robiła na drutach swetry i ubranka dla dzieci sąsiadów. Była babcią, kucharką, pielęgniarką i pocieszycielką dla całego sąsiedztwa. Nazywano ją ciotką Beryl.

Pewnego dnia zobaczyłem, jak przez drzwi frontowe wynoszą pianino. Mama oddała je chłopcu, który bardzo chciał grać, ale jego rodziców nie było stać na taki luksus.

- Mamo, przecież to nasze pianino - zaprotestowałem.

- Lepiej mu będzie u niego, Paul, wierz mi - odpowiedziała.

Pochodzący z czasów wiktoriańskich budynek szkoły podstawowej w Grassmoor stał niedaleko głównej ulicy, naprzeciwko zielonych trawników klubu krykietowego. Miał wielkie okna, wysokie sufity i korytarze wyłożone białymi płytkami ceramicznymi. Uczniowie siedzieli w rzędach przy pochyłych, drewnianych pulpitych i pisali stalówkami, które zanurzało się w kałamarzach. Moim obowiązkiem było napełnianie co rano małych porcelanowych buteleczek świeżymi porcjami atramentu firmy Quink. Widok księżnej Diany piszącej przy biurku w Pałacu Ken-sington przypominał mi dzieciństwo. Zawsze używała wiecznego pióra ze złotą stalówką, ale zamiast napełniać zbiorniczek, zanurzała je w buteleczce Quink. W ten sposób pisała wszystkie listy - osobiste, oficjalne pisma i kartki z podziękowaniami.

Wszystkich przedmiotów uczył mnie pan Thomas. Pewnego dnia stanął przed klasą i głębokim, tubalnym głosem, którego nie zmiękczał walijski akcent, powiedział: „Napiszcie wypracowanie o tym, co chcecie robić po ukończeniu szkoły”.

W ciszy słychać było tylko skrzyp stalówek po papierze. Większość chłopców zamierzała iść w ślady ojców-górników, ale ja, już w wieku dziesięciu lat, chciałem czegoś innego. Kopalnia kojarzyła mi się z pracą ponad siły, węglowym pyłem, wilgocią i wieczną ciemnością. Swoje wypracowanie zatytułowałem: „Kiedy dorosnę, będę pastorem”. Życie duchownego było dla mnie idealnym rozwiązaniem. Pomysł ten przyszedł mi zapewne do głowy pod wpływem matczynej religijności i wpojonej przez nią potrzeby niesienia pomocy słabszym. Byłem chłopcem cichym i nieśmiałym, toteż kiedy pan Thomas odczytał klasie moje wypracowanie, bardzo się zmieszalem. Klasa zaczęła chichotać, a ja zrobiłem się czerwony jak burak. Nigdy nie podziękowałem panu Thomasowi za to, że wyróżnił moją pracę, ale z czasem miałem mu za co dziękować. Nigdy nie wykazywałem ambicji intelektualnych, ale uczyłem się chętnie i nauczyciel spostrzegł, że pragnę zerwać z rodzinną tradycją, typową dla całej okolicy. Dziadek Burrell był kopalnianym kowalem, dziadek Kirk górnikiem, ojciec pracował dla Krajowego Zarządu Węgla, a jego brat Cecil w kopalni. Mama pracowała w górniczej stołówce, jej trzech bracia - Stan, Bili i Keith - zaczęli od pracy na dole. Moi bracia, Anthony i Graham, również poszli pracować do kopalni.

Tradycyjna droga dalszej edukacji wiodła do gimnazjum Danecourt w pobliskim North Wingfield. To tam chłopcy stawali się mężczyznami, których werbowano do kopalń. Wydawało się, że jestem skazany na ten sam los, bo oblałem egzamin wstępny do gimnazjum dla chłopców w Chesterfield. Wtedy jednak wtrącił się pan Thomas. Powiedział rodzicom, że mam uzdolnienia, które zmarnują

się w Danecourt, i za jego wstawiennictwem zostałem przyjęty do gimnazjum Williama Rhodesa w Chesterfield. Moi rodzice byli uszczęśliwieni. Tradycja została przełamana.

Przyjęcie do szkoły Williama Rhodesa stało się na naszej ulicy dużym wydarzeniem. Musiano mi sprawić nowy, a nie używany, mundurek. Był to znaczny wydatek. Na zakupy udałem się z mamą do Sheffield, w moją pierwszą podróż pociągiem. Krawat i znaczek miały czarno-złote barwy Wolverhampton Wanderers Football Club, a mama zrobiła mi na drutach szary sweterek. Była ze mnie tak dumna, że 1 września 1969 roku odprowadziła mnie na przystanek szkolnego autobusu, pilnując, bym nie zgubił czarnej czapki.

Wsiadłem do autobusu już pełnego dzieci i zająłem miejsce obok chłopca, który miał na sobie taki sam jak ja mundurek. „Zdejmij tę czapkę, wyglądasz jak ciul” - powiedział. Posłuchałem go. Kim Walters był ode mnie silniejszy, większy i sprytniejszy; w następnych pięciu latach stał się moim opiekunem i najbliższym przyjacielem.

Nauczyciele w szkole Williama Rhodesa nosili czarne togi. Panowała tu surowa dyscyplina, a wykroczenia karano chłostą. Karę wymierzał

często sam dyrektor, pan Crooks, który zawsze nosił biret i wzbudzał we mnie paniczny lęk. Miał bzika na punkcie właściwego zachowania i wyglądu uczniów. Szkoła kładła nacisk na sport, ale moją mocną stroną był język angielski i literatura. Kim celował we wszystkich dyscyplinach sportowych i został później zawodowym piłkarzem klubu Blackburn Rovers.

Byłem mocny również w historii. Zbierałem obrazki największych żaglowców, cudów techniki, flag państw świata oraz portrety królów i królowych Anglii i Szkocji. Tak zaczęła się moja fascynacja dworem królewskim i sprawami dynastycznymi, począwszy od podboju normandzkiego w 1066 roku. Kiedy inni chłopcy bawili się po szkole, ja zostawałem w domu i odrabiałem lekcje, które Kim przepisywał nazajutrz w szkolnym autobusie. Potem zasiadałem do czytania książek o królach i królowych, które pochłaniałem jedna za drugą. Na egzaminie maturalnym z literatury angielskiej pisałem wypracowanie o Ryszardzie III; uważałem, że królowi temu wyrządza się krzywdę, przedstawiając go jako złego i zgorzkniałego garbusa. W rzeczywistości był on władcą odważnym i oddanym krajowi, a rządzić dane mu było tylko dwa lata. Przekonałem się, że członkowie rodziny królewskiej, którzy nie mieszczą się w ciasnych ramach potocznych wyobrażeń, bywają bardzo niesprawiedliwie oceniani przez historię.

Wiosną 1970 roku po raz pierwszy wybraliśmy się całą rodziną do Londynu. Miałem wówczas prawie 12 lat. Szliśmy aleją Mali i naszym oczom ukazała się imponująca fasada Pałacu Buckingham. Rodzice chcieli „zobaczyć, gdzie mieszka królowa”.

- Ciekawe, czy tam jest - zastanawiał się ojciec.

Anthony i ja patrzyliśmy jak zahipnotyzowani na wspaniałą gmach pałacu. Kurczowo trzymaliśmy się rękami czarnych prętów frontowej bramy i z wypiekami na twarzy obserwowaliśmy zmianę warty. Była to najbardziej niezwykła scena, jaką widziałem w dzieciństwie, wzięta jakby z zupełnie innego, nierealnego świata. Do dziś nie wiem, dlaczego nagle powiedziałem:

- Któregoś dnia będę tu pracował, mamusiu.

Dzieci często wyrażają podobne pragnienia pod wpływem zewnętrznych okoliczności: na widok samolotu chcą być pilotami, widząc lądowanie Armstronga na Księżycu, marzą, żeby zostać astronautami.

Ojciec zmierzwił mi włosy: - Na pewno, skarbie.

Ani on, ani ja nie mogliśmy przewidzieć, że nie minie dziesięć lat, jak w towarzystwie Jej Królewskiej Mości wyjadę z tej pałacowej bramy królewską karetą.

Ale w swojej pierwszej „królewskiej roli” wystąpiłem jeszcze tej jesieni. Zagrałem służącego księżniczki Sadie w sztuce Aladyn, którą wystawiła przyjaciółka naszej rodziny, Margaret Hardy. Spektakl odbył się w klubie robotniczym w Grassmoor.

Gimnazjum Williama Rhodesa ukończyłem w wieku szesnastu lat małą maturą z sześciu przedmiotów. We wrześniu rozpocząłem naukę w High Peak Catering College w Buxton. Była to dwuletnia szkoła hotelarstwa i cateringu. Tam nauczyłem się wszystkiego, od przygotowywania posiłków po ścielenie łóżek, i zostałem dyplomowanym administratorem, księgowym oraz szefem

kuchni. Za wyrzeźbienie w margarynie słynnej krzywej iglicy kościoła w Chesterfield otrzymałem brytyjską nagrodę ca-teringową. Byłem gruntownie wykształcony, teraz potrzebowałem tylko praktyki.

Wypisałem sobie miejsca, gdzie moje umiejętności mogły być najlepiej wykorzystane: Trusthouse Forte, Travco Hotels, Pacific & Orient, ze względu na ich okręty pasażerskie i kontenerowce, Cunard, ze względu na najświetniejszy statek pasażerski świata, Queen Elisabeth II, oraz Pałac Buckingham, który potrzebował całej armii pracowników. Tego lata wysłałem kilka listów motywacyjnych, w których proponowałem swoje usługi i zgłaszałem gotowość podjęcia pracy. Pierwsza odpowiedź nadeszła z Travco Hotels, które zaproponowały mi pracę w trzygwiazdkowym hotelu Lincombe Hali w Torquay. Praca na stanowisku zastępcy kierownika zaczynała się wraz z początkiem sezonu letniego, w czerwcu 1976 roku. Oznaczało to, że będę musiał wcześniej opuścić college i przez kilka miesięcy przebywać z dala od domu. Oferta nie była idealna, ale przyjąłem ją, prosząc mamę, aby otwierała wszystkie listy zaadresowane do mnie. Z Trusthouse Forte przyszła odpowiedź odmowna, podobnie z P & O, potem jednak otrzymałem zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną z firmy Cunard w Southampton, a później również z Pałacu Buckingham. Przyjechałem z Torquay i razem z bratem Grahamem pojechaliśmy samochodem do Londynu. Ubrany w ciemny garnitur, wszedłem do Pałacu Buckingham bocznym wejściem. Idąc po wyłożonych czerwonym dywanem korytarzach, o których tyle czytałem, czułem się onieśmielony niczym chłop pańszczyźniany wkraczający do świata, gdzie jego wygląd i pochodzenie nigdy nie zostaną zaakceptowane.

Kiedy stanąłem przed drzwiami biura pana Michaela Timmsa, asystenta majordomusa, w uszach zabrzmiały mi uspokajające słowa mamy: „Bądź po prostu sobą i wszystko będzie dobrze”. Nie była to najlepsza rada, bo kiedy wszedłem, usiadłem bez pytania i nie zwróciłem się do mojego przyszłego szefa per „sir”.

- Czy zawsze siadasz, zanim cię poproszą? - zapytał pan Timms oficjalnym, napsuszonym tonem. - Czy okazujesz szacunek starszym?

- Oczywiście.

- To dlaczego nie mówisz im „sir”?

Dwa tygodnie później otrzymałem list, w którym informowano, że „tym razem” moje podanie zostało odrzucone, ale moje dane personalne pozostały w kartotece. Firma Cunard nie odezwała się więcej. Obie wymarzone posady wydawały się nieosiągalne.

W Torquay cichy, nieśmiały chłopiec przeobraził się w bardziej towarzyskiego, pewnego siebie pracownika. Utwierdziłem się w przekonaniu, że mogę zrobić karierę w hotelarstwie. Zarząd firmy uznał, że rokuje duże nadzieje i w październiku tego samego roku przeniósł mnie na stanowisko zastępcy kierownika do sztandarowego hotelu grupy, Wessex w Bournemouth.

Była to zmiana na gorsze. Mieszkałem w pokoiku o wymiarach pudełka na buty i z miejsca znienawidziłem nowe miejsce. Zacząłem tęsknić za domem, a rodzice tak się o mnie zaniepokoiли, że przyjechali z wizytą. Mama chciała zabrać mnie do domu, ale nie miało to sensu: posada, którą zajmowałem, była na razie jedyną szansą na zrobienie kariery.

Tymczasem moja sytuacja się pogarszała. Zesłano mnie do piwnicy na stanowisko magazyniera, zastępowałem szefa kuchni w czasie jego nieobecności, w jadalni byłem kelnerem. Nie miałem przyjaciół i znalazłem się w ślepym zaułku.

Był zimny listopadowy poranek. W domu przy Chapel Road 47 mama przygotowywała śniadanie dla śpiącego Grahama. Nagle rozległ się stuk skrzynki na listy. Mama wytarła ręce, podeszła do drzwi i podniosła pocztę. Adresatem dwóch listów był pan Paul Burrell.

Mama nie rozpoznała znaku firmowego na pierwszej kopercie, ale na odwrocie było napisane: „Cunard, Southampton”. Drugi list wyglądał tak jak ten, który otrzymała poprzednio: biała koperta z czarnym stemplem Pałacu Buckingham. Na odwrocie widniał czerwony, wytłoczony herb królowej. Listy przyszły wraz z rachunkiem za gaz.

Mama włożyła oba listy do kieszeni fartucha i na pół godziny wróciła do pracy w kuchni. Graham zszedł na dół, żeby ubrać się przed kominkiem. Mama usiadła przy stole kuchennym i nożem ostrożnie rozcięła królewską kopertę. Pan Michael Timms proponował mi posadę pomocnika

kamerdynera w srebrnym pokoju kredensowym. W drugim liście dział kadr firmy Cunard oferował mi stanowisko stewarda na pokładzie Queen Elisabeth II. Mama patrzyła nieruchomo na oba listy. Wiedziała, że natychmiast skorzystam z szansy życia na morzu i zastanawiała się, jak ma postąpić. Po jakimś czasie ocknęła się z zamyślenia.

- Odpłynie na tym statku i nigdy go więcej nie zobaczymy - powiedziała do Grahama i rzuciła w ogień list od Cunarda. Oboje przyglądali się, jak moja kariera morska idzie z dymem. - Dopóki żyję, Graham, nie wolno ci się wygadać, co zrobiłam. - List z Pałacu Buckingham postawiła na kominku.

Potem pobiegła do piekarni, żeby zatelefonować do mnie. Byłem akurat w magazynie w hotelu Wessex, kiedy zawołano mnie do telefonu.

- Paul, przyszedł list z Pałacu Buckingham, w którym proponują ci pracę. Przyjmiesz ją, prawda? Nie musiała pytać. Euforia walczyła we mnie z niedowierzaniem.

Kierując mnie do Pałacu Buckingham, mama podjęła za mnie najważniejszą decyzję w moim życiu. Graham dotrzymał słowa i przez dziewiętnaście lat nie pisał słowa. Prawdę wyznał mi dopiero w 1995 roku na cmentarzu Hasland, kiedy staliśmy nad grobem mamy.

Pracowałem wówczas dla najbardziej niezwykłej kobiety na świecie, księżnej Walii. Zawdzięczam to mojej cudownej mamie, a nie miałem okazji jej za to podziękować.

Kiedy więc żalobnicy się rozeszli, zrobiłem to, co zawsze robiła mama nad grobem babci.

Przemówiłem do niej i powiedziałem: „dziękuję”.

Pałac Buckingham

Stałem w salonie Pałacu Buckingham i nie wierzyłem własnym oczom.

Królowa podniosła wzrok i zobaczyła, że się uśmiecham. Przerwała pisanie.

- Czemu się śmiejesz, Paul? - zapytała z nutką rozbawienia w głosie.

- Gdyby Wasza Królewska Mość widziała to, co ja widzę.

Oboje uśmiechnęliśmy się szeroko. Był późny wieczór, zbliżała się pora spoczynku, a królowa siedziała w eleganckiej jedwabnej sukience przy biurku. Miała na głowie koronę, a na nogach różowe kapcie. Widok był niecodzienny: królowa Anglii w koronie i kapciach, połączenie majestatu i matczynej dobroci, ucieleśnienie państwa bez pompy. Scena była zarówno urocza, jak osobliwa i zabawna, co potwierdzał jej uśmiech.

Wszedłem do pokoju królowej, aby powiedzieć jej dobranoc po wykonaniu ostatniej czynności dnia: ułożeniu do snu dziewięciu psów rasy corgi. Wysoki składany parawan zasłania pokój znajdujący się na lewo od drzwi. Po wejściu trzeba zrobić kilka kroków po drewnianym parkiecie, stanąć na wielkim dywanie i dopiero wtedy jest się widocznym dla osoby przebywającej w pokoju. Zatrzymałem się i stałem nieruchomo.

Królowa siedziała przy biurku w okularach-połówkach na nosie. Lampa o giętym przegubie rzucała światło na czerwone kasety z dokumentami oraz na papiery, nad którymi pracowała. Korona odbijała tysiące refleksów świetlnych. Często widywałem królową w kapciach, ale nigdy w zestawieniu z najwspanialszym z królewskich klejnotów. Nazajutrz miała się odbyć uroczystość otwarcia parlamentu i królowa, jak co roku, przyzwyczajająca się do ciężaru korony, równego dwóm torebkom cukru.

Kiedy uśmiechnęła się do mnie, zapytałem:

- Czy będę jeszcze potrzebny Waszej Królewskiej Mości?

- Nie, dziękuję, Paul - opuściła głowę i wróciła do pracy. Ukłoniłem się.

- Dobranoc, Wasza Królewska Mość.

Z wyjątkiem oficjalnych uroczystości nigdy więcej nie widziałem królowej w koronie na głowie. Zdarzyło się to tylko raz.

Dwudziestego grudnia 1976 roku moje warunki życiowe poprawiły się zdecydowanie: z klaustrofobicznego pokoiku w Bournemouth przenieśli mnie do obszernych pokoi Pałacu Buckingham w Londynie.

Idąc do pałacu pierwszego dnia, drżałem z przejęcia. Miałem na sobie ciemny garnitur, w ręku niosłem małą walizkę. Zastanawiałem się, czy pałac będzie wyglądać jak wielki hotel. Okazało się, że nie: hotele mają wąskie korytarze, pałace - wyłożone dywanami aleje. Barokowy wystrój wnętrza

i staroświecka tytulatura członków służby sprawiają, że przypomina on bardziej muzeum. Mój przyjaciel z gimnazjum Williama Rhodesa, Kim Walters, który uważał, że szkolna czapka wygląda idiotycznie, powinien był zobaczyć mnie w liberii. Stałem przed wielkim lustrem umieszczonym na wewnętrznych drzwiach szafy. Patrzyła na mnie zjawa z przeszłości, obcy człowiek ubrany tak, jakby miał za chwilę usługiwać królowi Jerzemu III, a nie Elżbiecie II. Aksamitna czapka do konnej jazdy; wokół szyi, nad koszulą bez kołnierza, biała wykrochmalona kryza z falbanami piętrzącymi się na piersiach; czarna kamizelka w pasy wyszywane złotą nitką i z gładkimi jedwabnymi plecami, zapinana ciasno z przodu na złote guziki z herbem królewskim; czerwone pumpy z grubego aksamitu, ściągane pod kolanami za pomocą złotych guzików i chwościka; różowe jedwabne pończochy i czarne skórzane pantofle z klamerką. Z lewej strony u pasa wisiała szpada w pochwie. Naciągnąłem białe bawełniane rękawiczki.

Przez kilka minut czułem się głupio, ale potem górę wzięła duma. Włożyłem ostatnią część galowej liberii: szkarłatny frak z szeroką złotą lamówką i szerokimi złotymi pasami na obu rękawach. Strój ten miał przynajmniej dwieście lat. Choć cerowany, łatany i zalatujący stęchlizną, to jednak nie stracił nic ze swojej wspaniałości. Zmieniło się tylko jedno: herb przyszyty do górnej części prawego rękawa nosił inicjały „EIIR”; wokół nich biegła królewska dewiza: „Honi soit qui mai y pen-se” - czyli „Hańba temu, kto widzi w tym coś złego”. Całość wieńczyła wyszywana korona królewska.

Po raz pierwszy przymierzyłem ten strój w pokoju dla służby w pałacowej piwnicy, gdzie przy ścianach, od podłogi do sufitu, stały szafy, a środek zajmował szeroki stół. Dobieranie ubrań służbowych trwało cały dzień. Wszystkie ktoś nosił już przede mną. Podobnie jak w Gras-smoor, również w Pałacu Buckingham nosiło się używane ubrania. Nawet książę Edward donaszał koszule, spodnie i garnitury po księciu Andrzeju.

Otrzymałem pięć różnych ubrań: galową liberię na uroczystości państwowe, noszoną w pałacu i poza nim; strój szkarłatny, czyli frak i cylinder na półoficjalne uroczystości i wyścigi w Ascot; strój epoletowy, czyli dwurzędowy frak o wysokim kołnierzu na pokład królewskiego jachtu Britannia; strój tropikalny, czyli białą kurtkę w stylu safari noszoną w gorącym klimacie; wreszcie codzienną liberię, czyli czarny frak z białą koszulą, czarnym krawatem i szkarłatną kamizelką. Dostałem również czerwoną czapkę stangreta, pudła koszul i wieszaków oraz zapasowe pary spodni.

W pałacu było pusto, dwór przeniósł się bowiem na święta do Zamku Windsor, tymczasem nowy sługa był gotów do rozpoczęcia służby. W każdym razie, jeśli chodziło o strój.

Początek mojej pracy na dworze przypadł na wigilię Bożego Narodzenia. Pociągiem pojechałem do Windsoru. Stałem na pierwszym piętrze kamiennej ośmiokątnej wieży w północno-wschodniej części zamku. W rękach trzymałem wielką srebrną tacę, na której stały ozdobione monogramem filiżanki do kawy. Ze zdenerwowania drżały mi ręce, więc filiżanki dzwoniły i stukotały. Żołądek podchodził mi do gardła. Strasznie bałem się popełnić jakąś gafę i czułem się w liberii boleśnie skrępowany. Czy nie będę wyglądał jak odmieniec? Czy nie upuszczę tacy? Czy się nie skompromituję? Za chwilę miałem po raz pierwszy stanąć przed obliczem całej rodziny królewskiej.

Czekałem w sali ośmiokątnej, wyłożonej dębową boazerią, z wysokim sufitem w stylu Pugina. Krótki, wyłożony czerwonym dywanem korytarz wiódł do ogromnej jadalni, w której rodzina królewska spożywała obiad przy świecach. Od dwóch godzin przyglądałem się niekończącemu się strumieniowi lokajów w liberii, pomocników lokajów, paziów i kelnerów, chodzących w tę i z powrotem. Była to ludzka taśma produkcyjna, którą wędrowały talerze, srebro, kieliszki i półmiski z potrawami; nieprzerwany ruch, począwszy od pierwszego dania przez główne do puddingu. Potem nadszedł czas na desery - gruszki, banany, ananasy i brzoskwinie, które jedzono za pomocą platerowanego noża i widelczyka.

Wszystko, co dotyczy rodziny królewskiej, nawet prywatne posiłki, jest zaplanowane i wyreżyserowane do najmniejszego szczegółu. Wielu ludzi, jak ja owego dnia, denerwuje się swoimi małymi, nieistotnymi rólkami, niczym aktorzy musicalu, czekający za kulisami na swoje wejście. Ubrani w liberię lokaje stoją wyprostowani jak struna, trzymając półmiski z potrawami w uporządkowanym szyku. Najpierw mięso, potem ziemniaki, jarzyny, sałatka. Bezosobowy głos

steruje ruchem.

- Mięso... ruszaj. Pół minuty później.

- Ziemniaki i sos... ruszaj. Pół minuty później. - Jarzyny... ruszaj.

- Sałatka... ruszaj.

Dopiero po pewnym czasie zaczęto powierzać mi mięso albo ziemniaki. Na początku były to tylko puste porcelanowe filiżanki.

I oto nadszedł czas podawania kawy. Przez na wpół uchylone drzwi ujrzałem wnętrze sali.

Usłyszałem śmiech i gwar poobiednich rozmów. Pan Dickman, pałacowy steward kierujący całą operacją, wyczuł moje zdenerwowanie.

- Spokojnie, nie ma się czego bać - powiedział.

Celowo powierzono mi najłatwiejsze zadanie. Chodziło o wprowadzenie mnie do służby i przedstawienie nowej twarzy rodzinie królewskiej.

- Wejść do jadalni, stań w rogu, a lokaj podejdzie do ciebie i odbierze filiżanki. Ty musisz tylko tam stać. Kawę poda już lokaj - objaśniał pan Dickman.

A więc rola milczącego statysty. Mój uśmiech nie wypadł chyba przekonująco.

- Nie zjedzą cię! - rzekł mój nowy szef. Popchnął mnie lekko. - Idź, chłopcze.

Czułem, że nogi mam jak z ołowiu; przypomniałem sobie, co pan Dickman mówił mi wcześniej:

- Nie przyglądaj się i nie patrz nikomu prosto w oczy. Rodzina królewska nie lubi, jak się ją obserwuje przy jedzeniu.

Utkwiłem więc wzrok w drżących filiżankach. Ostrożnie, tylko ostrożnie. Musiałem przejść jedynie dziesięć kroków, dzielących mnie od rogu sali.

Wszedłem i podniosłem wzrok. Przed sobą zobaczyłem największy stół, jaki widziałem w życiu: owal lakierowanego mahoniu długości około trzydziestu sześciu metrów. Przez środek biegł rząd świeczników,

pomiędzy którymi stały wazony z fantazyjnymi bukietami kwiatów. W wielkich gotyckich oknach wisiały purpurowe aksamitne zasłony ze złotymi frędzlami. Z ogromnego portretu nad wiktoriańskim kominkiem królowa Wiktoria patrzyła na swoich potomków.

Potem zrobiłem to, czego mi wyraźnie zabroniono: zacząłem się przyglądać. Przy stole siedziało trzydziestu członków rodziny królewskiej, ubranych w stroje wieczorowe. Wzrokiem szukałem królowej. Zobaczyłem królową matkę: siedziała w środku, na największym, połączanym krześle przypominającym tron i prowadziła ożywioną rozmowę ze swoim wnukiem, księciem Karolem. Królowa siedziała po przeciwnej stronie, na znacznie mniejszym krześle, takim jak wszyscy, i uważnie przysłuchiwała się rozmowie.

Większości ludzi nie zadowala jednowymiarowy wizerunek kobiety, której prawdziwy charakter i osobowość przesłaniają monarsze obowiązki. Pragną dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Po raz pierwszy widziałem ją w prywatnym gronie. Była swobodna i naturalna. Zauważyłem jej szczerzy uśmiech i pomyślałem sobie, że z bliska jest znacznie drobniejsza niż w telewizji. Pamiętam, że myślałem o tym, iż jestem tuż obok królowej, myślałem o mamie. Gdyby mogła mnie teraz zobaczyć. Gdyby całe Grassmoor mogło mnie teraz widzieć.

Klejnoty lśniły w świetle świec. Lokaje krzatali się szybko i sprawnie wokół stołu. Byłem zadowolony, że muszę tylko stać jak posąg, trzymając tacę.

Widziałem młodego księcia Andrzeja i księcia Edwarda, księżniczkę Annę i jej męża, kapitana Marka Philipsa, za którego wyszła dwa lata wcześniej. Z gwaru rozmów wybijał się wysoki, piskliwy głos księżniczki Małgorzaty. Konwersacja była bardzo głośna.

Zanim ktokolwiek zauważył, że gapię się na jedzących, odwróciłem wzrok. Moja taca zrobiła się nagle pusta, powoli wyszedłem więc z sali, nie zauważony przez nikogo.

- Widzisz? Nie było tak źle, młody człowieku - rzucił z uśmiechem pan Dickman, kiedy znalazłem się za drzwiami. Byłem z siebie bardzo dumny.

W naszym domu panował zwyczaj, zgodnie z którym w dzień Nowego Roku przynosiło się do domu bryłę węgla. Miało to zapewnić szczęście na cały rok. Sylwester 1976 roku spędziłem jednak z dala od domu, w Sandringham House. Jako najmłodszemu lokajowi przypadł mi bardzo odpowiedzialny obowiązek powitania Nowego Roku w imieniu rodziny królewskiej. Stałem w

drzwiach frontowych, czekając na swoją kolej. Trzęsąc się z zimna i ze zdenerwowania, widziałem przez okno jak inni lokaje podają szampana. Rodzina Windsorów była w komplecie zaczęło się odliczanie sekund przed północą. Wraz z wybiciem dwu drzwi się otworzyły i wszedłem, aby odegrać swoją rolę: zbliżyłem się do kominka, wziąłem ze stosu polano i dorzuciłem je do ognia. Kiedy po lano zajęło się z sykiem, rozległy się oklaski. W nagrodę za dopełnienie tradycji miałem prawo jako pierwszy ze służby złożyć życzenia moje chlebodawczyń.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Wasza Królewska Mość - powiedziałem z uśmiechem.

Właściwie nie powinienem był zostać wówczas lokajem. Wszak w liście w którym proponowano mi pracę, mówiono o stanowisku pomocnika kamerdynera - czyli człowieka, który pracuje w pokoju kredensowym przy porcelanie i szkle, unurzany po łokcie w mydlinach myje talem i filiżanki. Jednakże w ostatniej chwili zwolniło się stanowisko lokaja zająłem więc czternaste miejsce na liście królewskich lokajów z pensją 1200 funtów. Naszym zwierzchnikiem był starszy lokaj John Floyd. Najwyższe stanowisko wśród lokajów zajmowali dwaj osobisci lokaje królowej. W tym czasie wydawało mi się ono odległe o całe lata świetlne.

Pomieszczenia dla służby miały wymiary typowego pokoju hotelowego i były bardzo skromnie urządzone. W każdym znajdowała się narożna umywalka, pojedyncze łóżko, biurko, komoda, szafa i zielony dywan. Małe okna u sufitu wpuszczały niewiele światła, więc pokój tonął w półmroku. Jeszcze przed oficjalną przymiarką liberii zastępca starszego lokaja wprowadził mnie do mojego pokoju w przeznaczonym tylko dla mężczyzn „holu dla paziów”. Kryje się on za szeregiem wąskich okien na wschodniej fasadzie Pałacu Buckingham, biegnących tuż pod frontonem. Tylko wyżsi rangą służący mieli pokoje od strony pomnika Wiktorii i alei Mali; mój znajdował się po drugiej stronie korytarza, a jego okna i wychodziły na wewnętrzny dziedziniec wysypany czerwonym żwirem i otoczony z czterech stron murami pałacu. Często stawałem na kaloryferze i patrzyłem na oszkloną werandę głównego wejścia, przed które zajeżdżali wszyscy goście, od głów państw po uczestników garden party. Obok widać było czarne, dwuskrzydłowe „drzwi królewskie”, z których korzystały osoby zaproszone na prywatną audiencję u Jej Królewskiej Mości. Na przykład premier, przybywający na cotygodniową konferencję, która odbywała się we wtorki wieczorem.

Musiałem przyswoić sobie wielką liczbę informacji dotyczących życia w pałacu. W budynku jest gęszcz podziemnych korytarzy i cały labirynt ponad sześciuset pokoi połączonych holami. Pałac Buckingham to odrębny świat; ma własny posterunek policyjny, ekipę strażacką dyżurującą przez okrągłą dobę, pocztę, gabinet lekarski, pralnię, ekipę elektryków, kaplicę i duchownego, stolarzy, złotników i hydraulików. Ma też własny bar, którym zarządza NAAFI*.

Prowadzeniem gospodarstwa pałacowego zajmuje się armia ludzi o tytułach pochodzących z XVIII wieku: majordomus i steward pałacowy; paź komnaty audiencyjnej, paź schodów kuchennych, paź komnat; królewska garderobiana, dama komnaty sypialnej, damy dworu; szafarz srebra, szafarz szkła i porcelany, koniuszowie dworscy. Należy też wspomnieć o strażniku królewskiej szkatuły i mieczniku koronnym. Na czele służby królewskiej stoi lord szambelan, który rządzi za pośrednictwem sześciu urzędów: urzędu prywatnego sekretarza, urzędu królewskiej szkatuły i skarbu; urzędu lorda szambelana, wydziału majordomusa, wydziału królewskich stajni i wydziału królewskich zbiorów sztuki. Moim zwierzchnikiem był majordomus, którego wydział miał trzy sekcje: oddział H zajmujący się administracją, oddział F zajmujący się żywnością i ogólny oddział G. Lokaje należeli do oddziału G i podlegali pałacowemu stewardowi Cyrilowi Dickmanowi.

Życie dworskie regulował protokół i zwyczaje, o których nie wolno mi było zapomnieć. Przez pierwszy rok nosiłem w kieszeni notatnik, w którym zapisywałem nazwy i tytuły moich kolegów i przełożonych, notowałem, jak dojść na skróty do różnych pomieszczeń, rysowałem schematy nakrycia stołu jadalnego. Nawet przedmioty na tacy ustawiało się według określonych reguł: uszko i łyżeczka przy filiżance zwrócone na godzinę piątą; talerze i spodki ustawione tak, aby królewski herb znajdował się na godzinie dwunastej; sól po prawej, musztarda po lewej, z tyłu pieprz;

cukiernica z kostkami cukru, nigdy sypkim cukrem, i szczypczy-kami; grzanki zawsze w srebrnym stojaczkach, nigdy na talerzu; w masel-niczce najwyżej trzy gałki masła. I nigdy nie zapomnieć o lniałej serwetce.

Nawet wspólna łazienka zrobiła na mnie wrażenie. Miała kilka wąskich kabin z chromowanymi prysznicami. Nigdy dotąd nie widziałem prysznic i zawstydzony musiałem spytać, jak się nim posługiwać.

Na korytarzach o ścianach obitych jedwabną tapetą pokojówkom nie wolno było używać odkurzaczy przed dziewiątą rano. Długi włos ciemnoczerwonego dywanu podnoszono sztywnymi szczotkami. Świeżo wy-szczotkowany dywan przeznaczony był wyłącznie dla królewskich stóp, służba mogła chodzić tylko wzdłuż marginesu szerokiego na stopę. Jeśli lokaj zauważył, że korytarzem nadchodzi członek rodziny królewskiej, powinien był się zatrzymać, stanąć na baczność plecami do ściany i w milczeniu skłonić się przechodzącemu.

Jak się przekonałem, sztuka bycia dobrym służącym polega na w miarę niezauważalnym wykonywaniu obowiązków. Życie służącego upływało w cieniu i powinien on być jak najmniej widoczny. Zasada ta prowadziła w skrajnych przypadkach do tego, że armia pokojówek czy lokajów kryła się po kątach do czasu, aż w polu widzenia nie było nikogo. Kiedy królowa schodziła do holu w Sandringham House, pokojówki umykały do schowków pod schodami. Nierzadko służba czaiła się za zamkniętymi drzwiami służbowego wejścia do jakiejś sypialni, nasłuchując, czy jest już cicho. Z ciemnej wnęki służący obserwowali salon i dopiero kiedy ostatni gość wyszedł, zabierali się do sprzątnięcia pustych kieliszków, dokładali do ognia, poprawiali poduszki i rozprostowywali włos na dywanie.

Odkryłem, że wśród służby jest więcej snobów niż w rodzinie królewskiej. We wszystkim obowiązuje ścisła hierarchia, nawet w takich drobiazgach jak godziny posiłków służby. Jest to system klasowy prosto z pokładu Titanica, system, któremu patronują kierownicy pałacowego gospodarstwa. Księżna Walii nazywała ich „panami w szarych garniturach”.

Najniżsi rangą członkowie służby - od pomocników lokajów do lokajów, od kucharzy do pokojówek, od odźwiernych do listonoszy, od stajennych do szoferów - zasiadali na plastikowych krzesłach przy stołach nakrytych białym obrusem, zastawionych przyrządzonymi i podanymi przez siebie potrawami oraz kubkami z zimną wodą. Stoły stały w pokoju na parterze, którego posadzka wyłożona była linoleum i który przypominał stołówkę. Było tu gwarno i wesoło.

W jadalni stewardów, która znajdowała się na pierwszym piętrze, na podłodze leżał dywan, a krzesła były obite tapicerką. Atmosfera była poważniejsza. Jadali tu wyżsi rangą służący, którzy pracowali na dworze przynajmniej 20 lat, albo których odznaczono w nagrodę za lojalność - paziowie, paziowie komnaty audiencyjnej, paziowie schodów kuchennych, szafarze, starsi lokaje, garderobiane królowej, jej szofer. Honory

pełnił pałacowy steward. Ci wierni służący mogli wybierać spośród kilku gatunków chleba, sera i krakersów.

Obok, o szczebel wyżej w drabinie, znajdowała się jadalnia przeznaczona dla osobistych sekretarek i asystentów, urzędników, służby prasowej, maszynistek i personelu administracyjnego.

Kolejny szczebel zajmował znacznie okazalszy pokój lady Barrington, z wysokim sufitem i wielkim żyrandolem. Tu poważne i niepoważne rozmowy prowadzili asystenci majordomusa, główny zarządca i skarbnik. Mieli oni prawo do sherry lub whisky przed jedzeniem oraz wina w trakcie posiłku.

Z Salą Łukową sąsiadowała najwspanialsza sala ze wszystkich, przeznaczona dla samej elity służby dworskiej. Nad kredensami Chippen-dale'a i Sheratona wisały portrety ze zbiorów królewskich. Posiłki podawano na delikatnej porcelanie, jedzono srebrnymi sztucami, a do kryształowych kieliszków nalewano wino z królewskich piwnic. Korzystanie z tej jadalni było wyłącznym przywilejem dam dworu, damy komnaty sypialnej, królewskiej garderobianej, prywatnych sekretarek, sekretarzy prasowych, strażnika królewskiej szkatuły, kapelana królowej, koniuszych i lorda szambelana. Panowała tu sztywna, oficjalna atmosfera niczym w konserwatywnym klubie poselskim. Co ciekawe, sala ta była czterokrotnie większa od jadalni Jej Królewskiej Mości i miała

znacznie bogatszy wystrój.

Wyższe szczeble tej „drabiny jadalnej” stanowiły poligon dla początkujących lokajów. Przed dopuszczeniem do królewskiego stołu nabierałem więc wprawy pod bacznym okiem lorda szambelana, co na początku było bardzo denerwujące. Musiałem do perfekcji opanować sztukę nakrywania do stołu - noże i widelce kłaść jeden centymetr od krawędzi i pilnować, aby każdy zestaw sztućców był idealną kopią poprzedniego. Uczyłem się składać serwetkę i napełniać kieliszek winem lub szampanem najwyżej do połowy wysokości.

Przez trzy miesiące, podpatrując starszego lokaja, opanowywałem wszystkie arkana służby: od pilnowania, aby obiad dla królowej dotarł do jej jadalni punktualnie i gorący, po glansowanie butów koniuszego.

Stojąc w ciemnym kącie sypialni, w której spał jeden z gości, przyglądałem się, co robi mój nauczyciel, Martin Bubb: należało być cichym, szybkim i widzieć w ciemności. W pałacach i zamkach królewskich nie używa się budzików. Lokaj lub pokojowy - albo pokojówka - wchodzi do sypialni dokładnie o oznaczonej godzinie i budzą swego pana lub panią.

Poruszając się zręcznie w mroku, Martin zbliżył się do łóżka z małą drewnianą tacką ze świeżo zaparzoną herbatą i szklanką soku pomarańczowego oraz jednym herbatnikiem; postawił ją na krześle w zasięgu ręki śpiącego. Jeśli to nie wystarczyło, następna czynność zwykle odnosiła skutek. Martin podszedł do okna i odsunął zasłony; sypialnię zalało światło dzienne. Dżentelmen poruszył się, Martin zebrał jego ubranie z poprzedniego dnia, wyjął z szafy drewniany wieszak na spodnie, koszulę i marynarkę, po czym wyniósł je za drzwi razem z butami, które wymagały wypastowania, oraz skarpetkami i bielizną do prania. Na nadchodzący dzień wybrał świeże ubranie i położył je na krześle w sposób, który musiałem zapamiętać: wyprasowane i złożone spodnie płasko w poprzek krzesła; złożona koszula, jakby prosto z pudełka, umieszczona pod kątem prostym na spodniach, wszystkie guziki rozpięte, spinki włożone; na górze czysta para krótkich kalesonek; buty z rozwiązanymi sznurowadłami obok fotela; na nich skarpetki. Martin podszedł teraz do toaletki i otworzył górną szufladę, z której wyjął kilka krawatów (służący musi zawsze pozostawić panu wybór, nigdy nie wybiera jednego krawata). Zostawił też czystą, odprasowaną i złożoną chustkę do nosa.

Potem skinął na mnie, żebym poszedł za nim do łazienki. Gość nadal spał. Zamknąwszy drzwi, Martin objaśnił mi „procedurę łazienkową”. Odkręcił krany, nalał do wanny letniej wody, położył na posadzce dywanik i przyciągnął krzesło łazienkowe. „Zobacz, jak należy wieszać ręcznik” - powiedział. Rozłożył go w ten sposób, aby dżentelmen, usiadłszy na krześle, mógł się nim owinać i wstać jakby odziany w szatę. Martin zakończył pracę i obaj wyszliśmy z sypialni.

Taka sama procedura obowiązywała nie tylko wobec gości, ale i wszystkich członków rodziny królewskiej. Była to cenna nauka - przynajmniej teoretycznie. Kiedy po raz pierwszy obsługiwałem pewnego starszego dżentelmena, wpadłem w popłoch. Nie mogłem znaleźć na podłodze jego ubrania z poprzedniego dnia i zachodziłem w głowę, gdzie u licha je położył. Wtem spod kołdry wysunęła się ręka śpiącego. Był wciąż ubrany.

Później dowiedziałem się, że książę Walii ma bardzo wyraźnie określone wymagania, którym musieli czynić zadość jego lokaje, od nieżyjącego już Stephena Barry'ego po Michaela Fawcetta. Do końcówki tubki z pastą do zębów przymocowany był, jak otwieracz do puszki sardynek, srebrny kluczyk noszący monogram księcia; jedno jego przekręcenie wyciskało odpowiednią ilość pasty na szczoteczkę. Bawełniane piżamy księcia musiały być odprasowywane każdego ranka.

Do obowiązków lokaja należało też otwieranie wszystkich drzwi i wejść do pałacu oraz zanoszenie czerwonych skrzynek z Home Office, Downing Street i Foreign Office do pokoju królowej.

Dla człowieka postronnego skala obowiązków służby może się wydać zaskakująco duża, ale monarchia nie może działać ani przetrwać bez tej wielkiej maszyny, jaką jest królewskie gospodarstwo. Każda śrubka w tej maszynie, od pomocnika kamerdynera do lorda szambelana, obraca się w każdej minucie i godzinie tak, aby ułatwić rodzinie królewskiej życie i wykonywanie monarszych obowiązków.

Królowa pozostaje na przyjacielskiej stopie z większością służby, a stosunek między chlebodawcą a pracownikiem opiera się tu na wzajemnym szacunku; w sztywnej atmosferze dworskiej zdarzają się

jednak momenty większej swobody i poufałości.

W dniu oficjalnych spotkań drzwi windy otwierały się i niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na parterze pojawiała się królowa. Damy dworu składały głęboki ukłon, prywatni sekretarze i koniuszowie kłaniali się z szacunkiem. Wszystko to miało bardzo oficjalny charakter. Jednakże podczas powrotu królowa często zatrzymywała się przy windzie i wdawała w rozmowę. Być może w ciągu dnia wydarzył się jakiś zabawny incydent, więc Jej Królewska Mość uśmiechała się i rozmawiała, a potem dziękowała swoim służącym za miły dzień. Kiedy się odwracała, aby wejść do windy, atmosfera znów robiła się bardzo oficjalna, a dygi i ukłony były bardziej szczerze. Czasami te gesty bywały nieco przesadne: pamiętam damę dworu, która pochylała się tak głęboko, że zdawało się, iż zaraz się przewróci.

Od chwili, kiedy zacząłem pracę w pałacu, czułem - i nadal czuję - ogromny szacunek dla Jej Królewskiej Mości. To niezwykła, przemiła dama i prawdziwa chrześcijanka, ale minęło trochę czasu, nim poznałem i zrozumiałem ją lepiej. Jako lokaj miałem przydomek „Guzik”. Ochrzcili mnie tak Martin Bubb i Alastair Wanless, bo zostałem przydzielony do polerowania i przyszywania złotych guzików do dziesiątków mundurów. Była to żmudna praca, nad którą spędziłem wiele godzin podczas trzymiesięcznego okresu próbnego.

Przed uroczystościami Srebrnego Jubileuszu panowania królowej Elżbiety służba pałacowa harowała jak nigdy, bo przyjęcia i bankiety odbywały się prawie co tydzień. W owym doniosłym roku nadal byłem niskiej rangi służącym i nie odgrywałem większej roli. W czerwcu z okna swojego pokoju obserwowałem, jak złocona karoca koronacyjna, zbudowana dla Jerzego III, rusza z pałacowego dziedzińca, aby powieźć królową ulicami Londynu do katedry św. Pawła. Koledzy lokaje w galowej liberii kroczyli obok karety, otoczeni przez żołnierzy gwardii i kawalerii przybocznej. Z oddali dobiegały owacje tłumu.

Dopiero po raz drugi królowa jechała tą imponującą, ale niezbyt wygodną kareta (pierwszą okazją była koronacja w 1953 roku). Po powrocie, podczas koktajlu, zauważyła:

- Zapomniałam już, jak bardzo jest niewygodna.

Każdy, kto 2 czerwca 1977 roku miał za sobą przynajmniej rok służby w pałacu, otrzymał srebrny medal z białymi wstążkami. Byłem jedynym lokajem, którego ominął ten zaszczyt, bo służyłem wówczas zaledwie pół roku. Zastanawiałem się, ile lat pozostanę na stanowisku ostatniego lokaja. Jak się miało okazać, nie musiałem długo czekać.

Był kwiecień 1978 roku. W Zamku Windsor rozeszły się pogłoski o „wypadku” w jednej z sypialni, ale wszystko wskazywało, że nastąpił on gdzie indziej. Opróżniona do połowy butelka ginu stała na nocnym stoliku obok otwartej buteleczki z pigułkami. Człowiek, który cierpiał na depresję, leżał nieprzytomny na łóżku. U wrót wieży Augusty po południowej stronie zamku stała karetka - widok zupełnie niezwykły. Przyjechała bez syreny i migających świateł, aby nie wzbudzać niepotrzebnej sensacji. Sanitariusze udali się na drugie piętro. Osobisty lokaj królowej -jeden z dwóch, którzy nie odstępowali monarchini ani na krok - został ułożony na noszach. Był w stanie krytycznym po próbie samobójczej, której dokonał w środku dnia. Wyzdrowiał, ale nie wrócił do służby i ze względu na stan zdrowia przeszedł na emeryturę. Mniej więcej w tym samym czasie paż królowej (wyższy rangą niż lokaj) Ernest Bennett również przeszedł na emeryturę; służył monarchii wiernie od zakończenia II wojny światowej. Te dwa wydarzenia spowodowały przetasowania w najbliższym otoczeniu królowej i stały się przyczyną mojego niespodziewanego awansu.

W pokojach służby snuto domysły, kto otrzyma uprzywilejowane stanowisko osobistego lokaja królowej, do którego obowiązków należała między innymi opieka nad jej dziewięcioma psami. Paul Whybrew pierwszy otrzymał awans, ale potrzebny był jeszcze jeden lokaj. Królowa od pewnego czasu dyskretnie przyglądała się lokajom podczas lunchów i koktajli, obserwując kątem oka, jak się zachowują, jak wyglądają i jak dają sobie radę z obowiązkami. Kilka dni później zostałem wezwany do starszego lokaja, Johna Floyda.

- Czy chciałbyś zostać lokajem królowej? - usłyszałem.

Odpowiedź mogła być tylko jedna. W ten sposób, po zaledwie szesnastu miesiącach służby, osiągnąłem wymarzone stanowisko, potężne i uprzywilejowane, bo tylko wybrani otaczają królową

i bezpośrednio się z nią stykają. Najważniejsi ludzie z jej otoczenia to nie urzędnicy, którzy pomagają jej spełniać państwowe i towarzyskie obowiązki, ale garderobiane, paziowie i lokaje, którzy uczestniczą w jej życiu prywatnym. Nagle znalazłem się wśród nich. Nierzadko zdarzało się, że prywatny sekretarz królowej przed audiencją u swojej pani „sondował” mnie, chcąc się dowiedzieć, w jakim jest nastroju albo jak zareagowała na jakieś wydarzenie. Członkowie dworu mogą się wiele dowiedzieć od osobistych służących królowej. Moje słowo zaczęło się liczyć. Tak się złożyło, że ja i drugi lokaj królowej nosiliśmy to samo imię. Ułatwiało to życie monarchini, bo wołając „Paul” mogła być pewna, że któryś z nas zawsze się pojawi - my jednak bywaliśmy zdezorientowani. Dla jasności więc Jej Królewska Mość wymyśliła przydomki: ja zostałem „małym Paulem”, bo miałem tylko 175 centymetrów wzrostu, a mój kolega „dużym Paulem”, bo mierzył 185 centymetrów.

Przez telefon jednak wzrostu nie widać.

- Kto mówi? Mały Paul czy duży Paul? - pytała księżniczka Małgorzata, w charakterystyczny sposób przeciągając samogłoski, przez co jej głos był znacznie bardziej afektowany niż głos jej siostry.

Z bólem musiałem odpowiadać:

- Mały Paul, Wasza Księżęca Wysokość.

Rodzina królewska nazywała nas w ten sposób przez całe dziesięć lat.

Stanowisko osobistego lokaja królowej miało wielką zaletę: mogłem przeprowadzić się do jednego z pokojów frontowych, po przeciwnej stronie „holu paziów”. Okno mojego pokoju było czwarte od lewej, tuż pod frontonem. Roztaczał się z niego wspaniały widok na aleję Mali.

Mój dzień zaczynał się o siódmej rano od wyprowadzenia na spacer dziewięciu psów rasy corgi: Brush, Jolly, Shadow, Myth, Smokey, Piper, Fable, Sparky i Chippera, jedyne samca w stadzie. Po spacerze wpuszczałem je do sypialni królowej. Psy i filiżanka herbaty budziły ją codziennie o ósmej.

O dziewiątej nadchodziła pora drugiego spaceru. Czekałem przy drzwiach sypialni, królowa otwierała je, a ja brałem po kolei na smycz każdego psiaka. Dziewięć psów corgi na smyczy dysponuje sporą siłą

pociągową, o czym przekonałem się w Sandringham House. Choć małe, potrafią być stanowcze, a każdy chce wyjść na dwór pierwszy. Pewnego ranka spadło trochę śniegu i schody zrobiły się bardzo śliskie.

Kiedy wyszedłem i odwróciłem się, żeby jedną ręką zamknąć drzwi za sobą, psy szarpnęły tak mocno, że straciłem równowagę. Upadłem, uderzyłem głową o schody i straciłem przytomność, a bestie popędziły przed siebie. Kiedy się ocknałem, zobaczyłem nad sobą twarze królowej i księżniczki Anny.

- Paul, nic ci nie jest? - pytała królowa. Leżałem nieprzytomny około dziesięciu minut. Na głowie miałem ogromny guz, naciągnąłem też sobie jeden z mięśni grzbietu. Ból był nie do zniesienia.

Królowa wezwała dr. Forda, lekarza z Sandringham House, i kazała mi położyć się do łóżka na resztę dnia. Na szczęście ktoś złapał i przyprowadził psy.

Ich karmienie sprawiało mniej kłopotu. Królowa lubiła osobiście karmić ukochane psy. Przy tej okazji prowadziliśmy swobodną rozmowę. Mogłem być wtedy z królową sam na sam, rozmawiać z nią w cztery oczy i w ciągu lat, które spędziłem w Pałacu Buckingham, przeprowadziliśmy wiele ciekawych rozmów.

Przywykłem do widoku królowej ze srebrną łyżeczką i widelcem, z wielkim zadowoleniem nakładającą na psie miski porcje Pedigree Chum, zmieszane ze świeżym mięsem z królika i suchymi herbatnikami, polaną sosem. Czasami, przy specjalnych okazjach, psiakom dostawały się resztki bażanta z obiadu z poprzedniego dnia. Królowa kolejno wołała psy po imieniu, a ja stawiałem żółte plastikowe miski na ich matach. Podczas karmienia psów królowa była w radosnym nastroju, odprężona i rozmowna. Opowiadała różne, często zabawne historie z czasów swojej młodości, i nierzadko śmialiśmy się serdecznie.

Zwykle zaczynała słowami: „Czy wiesz, jaka niezwykła historia wydarzyła się...?”. Jeśli spotkała starego przyjaciela, mawiała: „Czy wiesz, kogo wczoraj spotkałam?”. A jeśli wydarzyło się coś

zabawnego: „Zdarzyło się coś bardzo śmiesznego...”. Gdy zaś jeden z jej koni przybiegł pierwszy do mety: „Czy wiesz, że mój koń wygrał w...?”.

To w czasie naszych rozmów podczas karmienia psów królowa opowiedziała mi historię o innym monarsze, Karolu I, i jego egzekucji 30 stycznia 1649 roku.

- Czy wiesz, jaka niezwykła historia wydarzyła się kilka dni temu? Otrzymałam list od człowieka, którego przodek był w tłumie podczas egzekucji Karola I - zaczęła królowa. Opowiedziała mi o ostatnich chwilach króla przed ścięciem. Mieszając pokarm dla psów, ciągnęła:

- Kiedy odrąbywano mu głowę, odłamek obojczyka wleciał w tłum i przodek mojego korespondenta podniósł go. Odłamek przechodził potem z pokolenia na pokolenie, a teraz przysłano go mnie.

Byłem tak zaintrygowany, że przestałem zwracać uwagę na psy kręcące się u moich nóg.

- Co Wasza Królewska Mość zamierza z nim zrobić? - spytałem.

- Mogłam zrobić tylko jedno - odparła - to znaczy zwrócić go prawowitemu właścicielowi.

Poprosiłam, aby włożono go do trumny Karola I.

Powiedziała dalej, że kiedy otwarto trumnę, okazało się, że odrąbaną głowę króla przyszyto z powrotem do tułowia.

- Trumna była hermetyczna, czy wiesz, że jego broda nic się nie zmieniła? - spytała ze zdumieniem w głosie. Byłem również zdumiony.

- Czy Wasza Królewska Mość wyobraża to sobie - patrzeć w oblicze historii?

Królowa roześmiała się.

Poczucie humoru Jej Królewskiej Mości przejawia się między innymi w darze naśladownictwa,

którym lubi popisywać się w prywatnym gronie. Umie na przykład znakomicie imitować

regionalny akcent, zwłaszcza mieszkańców East Endu, Irlandii, Yorkshire, Merseyside i Australii.

Robi to z sympatią, bo podczas swoich królewskich podróży szczerze ich polubiła. Przedrzeźnianie poddanych niezbyt może licuje z godnością monarchy, ale damy dworu i prywatni sekretarze zaśmiewali się do łez podczas tych występów.

Nigdy nie zapomnę zdarzenia z wyścigów w Ascot. Kiedy Jej Królewska Mość jechała otwartym landem, jakiś głos z tłumu zawołał londyńskim żargonem: „Pomachaj nam, Elka”.

Ten naturalny, spontaniczny okrzyk rozbawił parę królewską, ale księżę Karol, siedzący naprzeciwko matki, nie dosłyszał.

- Co on powiedział, mamó?

Z doskonałym akcentem z East Endu królowa odparła:

- Powiedział: „Pomachaj nam, Elka”.

Karol i jego ojciec wybuchnęli śmiechem, a królowa machała spokojnie dalej.

Gdybyż tylko więcej ludzi mogło słyszeć szczery śmiech królowej i częściej widzieć uśmiech na jej twarzy. Za pompą i podniosłością, za tradycją i protokołem, za poczuciem obowiązku, stawianym przez królową ponad wszystko, kryje się ciepła, zwyczajna kobieta, która potrafi się bawić i śmiać.

Opinii publicznej wpojono karykaturalny obraz surowej

i zimnej kukły, gdy tymczasem królowa należy do osób, z którymi niezwykle łatwo prowadzi się

rozmowę, i nie jest ani trochę wyniosła i pom-patyczna. Często rozmawiałem z nią o ogrodach,

zwierzętach i służbie pałacowej. Bardzo interesują ją ludzie i lubi mówić o tych, których spotkała i

których pragnie spotkać. Jej Królewska Mość jest zwykłą kobietą, która przypadkiem jest też monarchinią.

Trudno znaleźć osobę, która by bardziej troszczyła się o swoje psy. Kiedy jeden z nich dostał ataku

kaszlu, ukłękła, żeby otworzyć mu mordkę, a ja wstrzyknąłem do gardła syrop na kaszel. Mimo

niewinnego wyglądu corgi potrafią być bardzo agresywne. Pewnego razu na Zamku Windsor

oglądałem w telewizji serial Dallas i miałem właśnie wyprowadzić psy na ostatni spacer. Królowej

akurat nie było, bo pojechała z wizytą. Kiedy zakładałem palto, psy ruszyły po schodach do drzwi i

rozpętało się piekło. Jolly, corgi księcia Andrzeja i Edwarda, została zaatakowana jak lis goniony

przez ogary. Była najmniejsza i najsłabsza i została dosłownie zmasakrowana. Wyszedłszy zza

rogu, zobaczyłem, że biedaczka ma rozplątany brzuch, a cała posadzka jest we krwi. Christopher

Bray, paź królowej, usłyszał psi jazgot i skomlenie; wspólnymi siłami udało nam się opanować sytuację, po kolei wrywając psy z kłębowiska i zamykając je za drzwiami. Obaj zostaliśmy pogryzieni, ale ja myślałem tylko o jednym: że mała Jolły zdechnie, a wtedy królowa będzie bardzo zła.

Wezwaliśmy weterynarza i lekarza, aby opatrzył moje i Christophera rany zadane psimi zębami. Zastryk przeciwtężcowy i przylepiec z opatrunkiem wystarczyły, ale biedna Jolły musiała przejść poważną operację, podczas której założono jej 20 szwów. Na szczęście wyzdrowiała.

Z pewną obawą opowiedziałem królowej o wypadku. Wtedy po raz pierwszy przekonałem się, że Jej Królewska Mość potrafi być bardzo wyrozumiała. Była przerażona, ale pełna zrozumienia. Z garderoby przyniosła dwie tabletki arniki.

- Weź je, Paul, rany będą szybciej się goić - powiedziała. Nie wiedziałem wówczas, że psy regularnie walczyły ze sobą. Kiedy podczas karmienia warczały i obnażały zęby, królowa krzyczała na nie: „Cicho! Potrafią być takie nieposłuszne!”.

Kiedy karmiliśmy psy, nasza rozmowa często schodziła na sprawy najważniejsze dla królowej: konie, psy, księcia Filipa i dzieci - w takiej właśnie kolejności, jak żartowała służba. Jest to trochę niesprawiedliwe. Po prostu królowa bardziej okazuje swoje uczucia wobec koni i psów. Psy nie odstępowały jej ani na krok. Ich głośne dyszenie było niezawodnym sygnałem, że Jej Królewska Mość jest w pobliżu.

Księżciu Edynburga nie musiano przypominać o ich wszechobecności. Kiedy królowa pracowała przy biurku, psy spały przy kilku parach drzwi prowadzących do salonu. Prawie zawsze zagradzały przejście i księżę musiał pchać drzwi, żeby wejść. Któregoś razu swoim chrapliwym głosem wykrzyknął:

- Cholerne psy! Dlaczego musisz ich mieć aż tyle? Królowa nie rozumiała jego irytacji.

- Ależ kochanie, przecież to takie wyjątkowe okazy.

Wielu ludzi zbiera znaczki, królowa kolekcjonuje psy corgi. (Choć jest także filatelistką i posiada największą kolekcję w kraju, której dał początek jej dziad Jerzy V).

Corgi zawsze witały obcych powarkiwaniem i szczekaniem, ale krótkie i ostre „cicho” królowej przywoływało je natychmiast do porządku. Słuchały się jej nawet psy.

Karmiło się je łatwo, wychodzenie z nimi na spacer było jednak uciążliwe. Kiedy padało, Jej Królewska Mość delikatnie dawała do zrozumienia, że pora na spacer. „Spacerek” - wołała do psów. Wyglądając w Balmoral przez okno, zawsze widziałem jedno: strugi deszczu. O Boże, myślałem z rozpaczą, bo „spacerek” musiał trwać przynajmniej trzy kwadransy. „Idziemy Chipper, Piper, Smokey...” Brałem psy na smycz i wyprowadzałem na dwór. Przed deszczem chroniłem się w gęstym lesie nad rzeką Dee, a psy biegały wokoło.

Do obroży każdego psa przyczepiona była metalowa blaszka z napisem „HM The Queen” na wypadek, gdyby się zgubił, do czego oczywiście nie należało dopuścić. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym wróciłem z ośmioma psami zamiast dziewięcioma. Po trzech kwadransach na dworze, zmęczony i przemoczony, przywlokłem się z mokrymi psiakami.

- Ojej, jest tylko osiem - powiedziała królowa z niepokojem w głosie. Nie było Shadow.

Na mojej twarzy musiało się odbić przerażenie, ale królowa tylko popatrzyła na mnie.

- Proszę się nie martwić, Wasza Królewska Mość, zaraz ją znajdę. Nadal łało.

Pół godziny później znalazłem zgubę nad rzeką Dee i mogłem odetchnąć z ulgą.

Moim ulubieńcem został Chipper i królowa wyczuła, że coś nas łączy. Po roku zezwoliła, żeby spał w moim pokoju, ale jedynie w Balmoral, Sandringham House i Windsorze, nigdy w Pałacu Buckingham, ponieważ mieszkalem zbyt daleko, na najwyższym piętrze. Gdy tylko byliśmy

32

poza pałacem, Chipper spał w nogach mojego łóżka, aż do swojej śmierci dziewięć lat później.

Dzień królowej miał ściśle ustalony porządek. Garderobiana wchodziła do jej sypialni o ósmej rano z tacą, na której stał dzbanek z herbatą Earl Grey. Rozsuwano zasłony, a psy wpadały do środka i witały się z panią.

Królewski mleczarz przywoził swoją skrzynkę z Windsoru na długo przed ósmą. Stado krów rasy Jersey dostarczało królowej i rodzinie królewskiej pełnotłustego mleka, które nalewano do butelek z błękitnym napisem „EIRR Royal Dairy, Windsor”, zamykanych zielono-złotym wieczkiem. Śmietanka przyjeżdżała w woskowanych kartonach ozdobionych podobnym monogramem. O dziewiątej Jej Królewska Mość przechodziła przez salon do jadalni, niosąc staroświecki odbiornik radiowy Roberta, nastawiony na stację BBC Radio 2. Kilka minut wcześniej nakrywałem mały stolik do skromnego śniadania, które składało się z jednej kromki pełnoziarnistego tostu, posmarowanego cienko masłem i ciemną marmoladą z kawałkami owoców. Jadalnia przeznaczona była do rodzinnych posiłków, ale królowa często jadła tu sama. Okrągły stół, przy którym mogły zasiąść cztery osoby, stał pośrodku pokoju. Smugi światła słonecznego wpadającego przez wysokie okno kładły się na dywanie. Pejzaże w złotych ramach wisiały na ścianach obitych niebieskim jedwabiem.

Królowa czekała zwykle przy kredensie, aż zagotuje się woda w elektrycznym czajniku. Zaparzała sobie herbatę w srebrnym dzbanku, a potem siadała i przeglądała gazety, ułożone jedna na drugiej w odpowiednim porządku z widoczną winietą: od dołu, „The Times”, „Daily Telegraph”, „Daily Express”, „Daily Mail” i „Daily Mirror”, a na samym wierzchu „Sporting Life”. Ulubionymi pismami królowej były „Harpers & Queen”, „Tatler” i „Horse and Hound”. Nigdy nie czytała „The Sun” ani „Daily Star”, ale znała każdy artykuł na temat rodziny królewskiej, bo jej biuro prasowe sporządzało co rano szczegółowe streszczenie, które kładziono obok gazet.

„Daily Telegraph” był złożony tak, aby krzyżówki znajdowały się na wierzchu. Królowa zawsze musiała rozwiązać obie. Czasami miała całe tygodnie zaległości, ale wszystkie krzyżówki zachowywano i stale rosnący plik podróżował z królową po całym świecie.

Pierwszą gazetą, którą brała do ręki, była „Sporting Life”. Królowa sprawdzała, gdzie odbywają się tego dnia gonitwy i zapoznawała się

z wynikami z poprzedniego dnia. Specjalny urzędnik zapisywał w jej kalendarzyku dane o terminie, miejscu i typie wyścigu, w którym miały wziąć udział konie królowej. W tym okresie wierzchowce królewskie znajdowały się w programie wszystkich wyścigów, toteż królowa tym chętniej czytała tabele wyników i oceniała konkurencję. Namiętność do koni była jej jedyną ucieczką od państwowych obowiązków. Interesowała się wszystkim, co dotyczyło „sportu królów”, od koni do trenerów, od dżokejów do chłopców stajennych, od zwycięzców do pokonanych. Jeśli chcesz rozmawiać z królową o koniach, musisz znać się na rzeczy: dysponuje ona rozległą i fachową wiedzą w tej dziedzinie, od zwycięzców klasycznych gonitw do wagi wierzchowców i niuansów ich hodowli. Nigdy nie ważyłem się na dyskusje z kimś o takiej znajomości przedmiotu, ale kiedy jeden z ulubionych koni królowej brał udział w gonitwie, czasami pytałem ją o opinię.

- Widzę, że Highclere biegnie dzisiaj, Wasza Królewska Mość. Czy ma szansę? - spytałem pewnego dnia.

- To zależy, Paul - odpowiedziała, po czym wdała się w naukowe rozważania o wadze, rywalach, klasie i nawierzchni toru, które nic mi nie wyjaśniły.

Nigdy więc nie otrzymałem konkretnej wskazówki, ale jako wierny sługa zawsze stawałem na konie królowej podczas wyścigów w Ascot i derbów w Epsom, jedynej klasycznej gonitwy, której królewskie wierzchowce dotąd nie wygrały.

O dziesiątej zaczynał się dzień pracy. Królowa zasiadała w salonie przy biurku, które stało bokiem do okna i na którym znajdował się staroświecki intercom. Naciskała duży, kwadratowy guzik z napisem „prywatny sekretarz” i mówiła wesoło:

- Czy mogę pana prosić?

- Oczywiście, madam.

Kilka sekund później prywatny sekretarz - w owym czasie sir Martin Charteris - szedł szybkim krokiem korytarzem, niosąc mały kwadratowy koszyk z listami. Pukał lekko do drzwi, wchodził i mniej więcej przez godzinę stał obok siedzącej królowej, omawiając korespondencję, oficjalne spotkania oraz problemy kraju i Wspólnoty Brytyjskiej. (Prywatni sekretarze, jak zresztą wszyscy, nigdy nie siadają podczas audiencji u królowej, chyba że ta wyraźnie ich o to poprosi).

Królowa jest przyzwyczajona, że przez cały dzień pracuje w samotności przy biurku i spożywa

posiłki we własnym towarzystwie. W pałacu

34

nie było telefonicznego systemu wzywania służby; królowa przyciskała dzwonek i mały czerwony krążek wpadał do drewnianego pudełka na ścianie pokoju kredensowego. Na każdym pudełku był napis mówiący

o tym, gdzie przebywa królowa: salon, sypialnia, jadalnia, sala audien-cyjna, i tak dalej.

Godziny między jedenastą a pierwszą przeznaczone były na prywatne audjencje w pałacu albo na poranne spotkania. Wtedy również, we wspaniałej Sali Łukowej lub Sali XVIII-wiecznej, przedstawiano królowej ministrów rządu, członków Tajnej Rady Królewskiej albo ambasadorów obejmujących swój urząd; była to uświęcona wielowiekową tradycją uroczystość zwana

„całowaniem rąk”. Każdy nowo mianowany dostojnik klękał i ujmował prawą ręką wyciągniętą prawą dłoń królowej - której palce były lekko ugięte - i składał na niej jak najłżejszy pocałunek.

W ciągu całej audjencji, która trwała czasami i dwie godziny, królowa stała. Nic dziwnego więc, że wracając do salonu, pytała: „Czy taca z trunkami jest gotowa, Paul?”. Mogłem przewidzieć to pytanie. Często przyrządzała sobie ulubiony trunek, który pijała przed lunchem. Składał się on z równych ilości ginu i Dubonneta z dwoma kostkami lodu

i plasterkiem cytryny. Lunch podawano zawsze o pierwszej i trwał około godziny.

Jeśli nie było audjencji, królowa szła z psami na długi spacer do ogrodu, trwający nawet do dwóch godzin. Wkładając chustkę i palto, często odwracała się do mnie i pytała: „Czy mógłbyś nagrać gonitwę?”. Miałem za zadanie nastawić magnetowid na transmisję telewizyjną z wyścigów w

Epsom, Ascot, York albo Goodwood, odbywających się między drugą trzydzieści a piątą. Jeśli wyścigów nie transmitowano w telewizji, w pałacu włączano transmisję radiową - tę samą, którą odbierano we wszystkich punktach przyjmowania zakładów w kraju. Królowa słuchała z uwagą relacji z gonitwy, w której biegł jej koń. Lokaje i paziowie nauczyli się nie przeszkadzać jej w tym czasie. Byłoby to szczytem niegrze-czności. Przez te trzy minuty wszystko mogło poczekać.

Królowa nigdy nie je ani nie pije między posiłkami. Podczas każdej podróży podwieczerek podawano punktualnie o piątej po południu. Niezależnie od tego, czy była akurat w pałacu królewskim w Arabii Saudyjskiej, na pokładzie jachtu Britannia czy w Pałacu Buckingham, pilnowałem, by o tej godzinie na stoliku zawsze stała herbata Earl Grey z odrobiną mleka, kanapka z odkrojonymi skórkami i coś słodkiego.

Rodzina królewska prawie nigdy nie jadła gorących babeczek z owocami, pieczonych codziennie przez szefa kuchni, Roberta Pine'a. Królowa zawsze łamała je i dawała po kawałku swoim psom. Był to dla nich przysmak, o który prosiły, kręcąc się w kółko i przewracając brzuchami do góry.

Po podwieczorku pojawiała się znowu taca z trunkami, ale nigdy przed szóstą; królowa piła wtedy gin z tonikiem. Ostatnim punktem porządku dnia było wieczorne przyjęcie, koktajl albo obiad. Jeśli czas pozwalał, królowa i księżę Edynburga odpoczywali razem i jedli obiad w towarzystwie psów. Jedzono zawsze o ósmej piętnaście, chyba że gościem była królowa matka, która zawsze się spóźniała. Wtedy obiad mógł się zacząć o ósmej trzydzieści, a nawet o dziewiątej. A królowa matka za każdym razem udawała niewiniątko. „Och, spóźniłam się? Czekacie na mnie?” - mówiła swoim szepczącym głosem.

Kiedy trzeba było jechać do kościoła, czas się dla niej zatrzymywał. Pewnego razu, w Sandringham, mężczyźni odjechali, królowa czekała z damą dworu, a ja jak zwykle stałem przy drzwiach. Nabożeństwo miało się rozpocząć o jedenastej, a my czekaliśmy i czekaliśmy. Zegarek tykał. Zirytowana królowa naciągnęła swoje czarne rękawiczki, palec po palcu, i powiedziała:

- Czy królowa Elżbieta idzie, czy czekamy na próżno?

Zegar wybił jedenastą i w głębi korytarza rozległ się odgłos kroków. Królowa matka nadchodziła w swoim tradycyjnym wielkim kapeluszu z piórami.

- Och, czyżbym się spóźniła? Długo czekacie?

Nikt nie powiedział słowa, wszyscy się uśmiechali. Wszedłem i otworzyłem drzwiczki samochodu. Kiedy królowa usiadła już wygodnie na tylnym siedzeniu, na kolanach gramoliłem się do środka i przykrywałem jej nogi pledem. Zawsze.

Na szczęście, zwykle wszystko szło jak w zegarku. W Pałacu Bucking-ham, kiedy królowa sama

jadła obiad, włączony był telewizor - w jadalni albo w salonie. Stałem w drzwiach - zawsze stałem - i dotrzymywałem jej towarzystwa, kiedy oglądała początek Morecambe and Wise, jakiś kryminał albo wiadomości BBC o dziewiątej.

Pewnego razu, gdy stałem beczynnym w pokoju kredensowym, z salonu królowej dobiegł okrzyk zachwytu i szczekanie psów. Paź Christopher Bray i ja wymieniliśmy zaskoczone spojrzenia. Bez zaproszenia rzuciliśmy się do drzwi; królowa skinęła, byśmy weszli.

- Chodźcie, chodźcie szybko - mówiła podniecona. Stała, a na jej twarzy malował się zachwyty. - Jakie to cudowne.

Torvill i Dean zdobyli właśnie złoty medal na olimpiadzie w Sarajewie za program taneczny do muzyki Bolera Ravela.

Po obiedzie pozostawały mi jeszcze dwa obowiązki. Na tacy stawiałem dwie szklanki i butelkę niegazowanej wody Malvern dla królowej i butelkę whisky Glenfiddich oraz małą butelkę piwa Double Diamond dla księcia Edynburga. Potem wychodziłem z psami na ostatni spacer. Po powrocie wprowadzałem je do pokoju, w którym spały. Jej Królewska Mość towarzyszyła mi czasami podczas tego wieczornego rytuału. W sukni wieczorowej, z brylantowym naszyjnikiem i kolczykami w uszach, chodziła na czworakach, chcąc koniecznie upewnić się, że każdy pies leży wygodnie w swoim koszyku lub na poduszce. „Pamiętaj, żeby otworzyć im okno. Dobranoc, Paul”. Tak kończył się kolejny dzień.

Królowa jednak miała jeszcze jedno zadanie do wykonania. Przed zgaszeniem światła sumiennie dokonywała zapisu w pamiętniku - zawsze ołówkiem. Jej pamiętnik, podobnie jak pamiętnik królowej Wiktorii, przeznaczony jest do zbiorów królewskich. Nawet tuż przed udaniem się na spoczynek królowa kieruje się poczuciem obowiązku.

W maju 1978 roku do służby w pałacu przyjęto nową szwaczkę. Jej obowiązkiem było cerowanie skarpetek księcia Filipa, przerabianie marynarek i koszul, łatanie pościeli i pranie psich ręczników. Początkowo nie zwracałem na nią uwagi. Była pracowita, bystra i wesoła. Wyglądała sympatycznie, ale nie lubiła mnie.

Szybki awans na osobistego lokaja królowej trochę przewrócił mi w głowie. Nastoletni chłopaczek z górniczej osady rozmawiał oto z królową jak stary znajomy i cieszył się jej zaufaniem.

Przebywanie w towarzystwie Jej Królewskiej Mości znacznie rozszerzyło moje horyzonty.

Wyobrażałem sobie, że wszystko jest możliwe i nabrałem takiej pewności siebie, że kroczyłem pałacowymi korytarzami, spoglądając na wszystko z góry. Powoli zatracąłem nawet swój pomocny akcent i mój sposób mówienia nabrał dworskiego dostojeństwa.

Nie zapomniałem o swoim robotniczym pochodzeniu, ale być może na niektórych członkach służby pałacowej robiłem wrażenie pyszałka. Na pewno uważała tak nowa szwaczka. Córka gorliwych katolików z Liver-poolu przyjechała do Londynu z małej wsi Holt w północnej Walii.

Popelniałem błąd: wszedłem do pokoju bieliźnianego z brudnymi psimi ręcznikami, rzuciłem je na podłogę i wielkopańsko oświadczyłem: „Ręczniki!”.

Dziewczyna nie musiała głośno wyrażać swojej pogardy, jej mina mówiła sama za siebie. W rozmowie z koleżankami drwiła potem, że ze mnie taki „hrabia, co psy obrabia”. Nazywała się Maria Cosgrove. Moja przyszła żona.

W 1979 roku Maria awansowała na starszą pokojówkę i powierzono jej pieczę nad kilkupokojowym Apartamentem Belgijskim, którego okna wychodziły na ogród. Był to najważniejszy apartament w pałacu, bo zawsze mieszkali w nim szefowie państw, bawiący z wizytą u królowej.

Awans Marii zbiegł się w czasie z moją pierwszą jazdą karocą w charakterze lokaja królowej.

Ubrany w galową liberię, z granatową aksamitną czapką do jazdy konnej, stałem za pudłem połączonego landa z 1902 roku z mosiężnymi latarniami. Jechaliśmy z Victoria Station do pałacu przez Whitehall i Mali. Zgodnie z tradycją lokaj ma obowiązek bronić wszystkich siedzących w powozie za pomocą szpady. Pierwsza jazda wraz z królową na oczach wiwatujących tłumów wprowadziła mnie w stan euforii, którą hamowało tylko dumne poczucie obowiązku.

Stałem po lewej stronie, dokładnie za plecami królowej mającej na głowie różowy kapelusz. Obok

niej siedział prezydent Rumunii, Nico-lae Ceaușescu, który spał w Apartamencie Belgijskim z pistoletem pod poduszką. Obok karety, wśród żołnierzy kawalerii przybocznej otaczających lando, jechał konno człowiek, którego królowa dobrze знаła: podpułkownik Andrew Parker Bowles, od sześciu lat mąż Camilli.

Sandringham House to wiejska rezydencja z czasów Edwarda VII w liczącej dwadzieścia tysięcy akrów posiadłości w Norfolk, jedna z dwóch prywatnych rezydencji królowej (drugą jest Zamek Balmoral w Aber-deenshire).

Lokaje i pokojówki krzatali się w salonie rezydencji. Przy wysokim, dwuipółmetrowym kominku postawiono świeże polana, z bocznych stołów zebrano puste kryształowe naczynia, zamieciono dywany, poprawiono poduszki i złożono stoliki karciane. Rodzina królewska udała się do swoich pokojów, aby przebrać się do obiadu, lokaje postanowili więc wychylić ukradkiem po szklaneczkę ginu. Przecież nikt nie wie, ile wypili goście.

Jeden z lokajów przechylił głowę, aby szybko wypić trunek, i raptem zobaczył znajomą twarz.

Królowa przyglądała się całej scenie przez małe wewnętrzne okienko. Lokaj o mało się nie udławił. Królowa nie wyciągnęła jednak żadnych konsekwencji, choć jej mina mówiła wszystko. Nikt lepiej od niej nie wie, jak ciężko haruje służba pałacowa. Jej Królewska Mość rozumie więc, że służba potrzebuje czasem mocnego drinka, aby łatwiej znieść uciążliwe obowiązki i wyobcowanie ze świata. Wyrozumiałość królowej była legendarna.

Pewnego razu karmiłem z królową psy w wąskim korytarzyku na parterze Sandringham House. Nagle drzwi otwały się z impetem. Wytoczył się z nich wyższy rangą służący, wyraźnie pijany. Odbił się od ściany, po czym ruszył chwiejnie, lawirując między psami. Na widok królowej - która przyglądała mu się, trzymając w ręku widelec i łyżkę - wybełkotał coś niezrozumiałego i oddalił się. Byłem przekonany, że Jej Królewska Mość rozgniewa się i za tak skandaliczne zachowanie zwolni winowajcę z pracy.

Tymczasem królowa uniosła tylko w milczeniu brwi i wróciła do karmienia psów. Ja miałem mniej szczęścia. Pewnego razu w Sandringham House zabrałem z salonu gin i tonik, mylnie sądząc, że królowa skończyła pić i poszła przebrać się do obiadu.

Maria i garderobiana królowej, Elizabeth Andrew, ukryły się w schowku pod schodami, czekając, aż Jej Królewska Mość zejdzie na obiad i będą mogły posprzątać w jej pokoju. Nagle usłyszały zaskoczony głos królowej:

- A to potwór, a to potwór, zabrał mój gin!

Królowa ruszyła za mną korytarzem, więc zawróciłem i przeprosiłem gorąco.

Jej Królewska Mość nigdy nie lubiła sprawiać służbie kłopotu. Pewnego wieczoru w Pałacu Buckingham podałem jej na obiad rybę. Zmarszczyła brwi, poklepała danie widelcem i spojrzała na mnie ze smutkiem.

- Co mam z tym zrobić?

- Odniosę do kuchni, Wasza Królewska Mość, i każę podać coś innego.

- Nie, nie, nie trzeba. Ktoś mógłby mieć kłopoty - odrzekła i zadowolona się jarzynami i sałatką.

Nikt się o niczym nie dowiedział.

Wiadomo było, że królowa, dbając o spokój domowego ogniska, wybaczła ulubionym służącym pijaństwo, złe jedzenie, złe zachowanie i kiepską obsługę, rozumiejąc, pod jak wielką presją pracują. Ma twarde zasady, ale odznacza się iście świętą cierpliwością. W przeciwieństwie do siostry, księżniczki Małgorzaty, która słynęła z nietolerancji; jej wymagania dotyczące służby i protokołu były niezmiernie wysokie. Biada temu, kto się do nich nie zastosował.

Księżniczka była osobą bardzo zasadniczą, nie tolerującą żadnych wykroczeń. Służący nie mogli oglądać telewizji w pokojach królewskich. Pewnego dnia rodzina królewska wróciła do Zamku Balmoral z barbe-cue urządzonego na terenie posiadłości. W zamkowej bibliotece ja, drugi lokaj i dwóch paziów oglądaliśmy do późna telewizję. Włączyliśmy odbiornik dla zabicia czasu, licząc, że nikt się nie dowie.

Chrzęst kół land-roverów na zwirowanym podjeździe poderwał nas z miejsc. Wyłączyliśmy telewizor i wróciliśmy na nasze stanowiska. Jednakże księżniczka Małgorzata zaczęła coś

podejrzewać. Położyła rękę na telewizorze, a gdy poczuła ciepło, oznajmiła:

- Lilibet, ktoś oglądał telewizję!

Tożsamość winowajców nie ulegała wątpliwości, księżniczka Małgorzata rzuciła nam więc miażdżące spojrzenie. Królowa jednak nie zareagowała.

Księżniczka była też osobą bardzo samodzielną. Pewnego popołudnia zobaczyłem, jak zgięta wpół zbiera pod zamkowymi schodami polana do salonowego kominka. Pomyślałem, że przydałaby jej się pomoc, więc podszedłem i zapytałem:

- Czy mogę w czymś pomóc, Wasza Księżęca Wysokość? Księżniczka Małgorzata wyprostowała się powoli i oświadczyła:

- W swoim czasie byłam harcerką - po czym wróciła do pracy. Nie była jednak pozbawiona poczucia humoru - jak przekonał się

w Sandringham House mój najlepszy przyjaciel z pałacu, lokaj Roger Gleed. Sądząc, że w salonie nie ma już nikogo z rodziny królewskiej, zaczął głośno przedrzeźniać tenora, którego głos dobywał się z magnetofonu. Tymczasem księżniczka Małgorzata wciąż siedziała przy kominku i słuchała opery, paląc papierosa w długiej, czarnej fifce. Potrząsaliśmy głowami i wytrzeszczaliśmy oczy, żeby dać to Rogerowi do zrozumienia. Ten wreszcie połapał się, urwał nagle i poczerwieniał. W ciszy rozległy się powolne oklaski księżniczki i jej głos:

- Brawo, brawo, nie wiedziałam, że mamy tu taki talent.

Być może królowa nie byłaby tak wyrozumiała, gdyby знаła całą prawdę o swojej służbie. Gin, najłatwiej dostępny, stał się ulubionym trunkiem wielu pałacowych służących. Lokaje mieli wielką wprawę w odlewaniu ginu z kryształowych karafek do chromowanych czajników. Nikt nie podejrzewał, że lokaj niosący czajnik ma coś na sumieniu. Paziowie byli chyba jeszcze sprytniejsi. Puste butelki po toniku napełniali ginem i chowali je pod połą fraka, gdzie mieli wszyte wielkie kieszenie.

Zdobyty w ten sposób alkohol wypijano podczas przyjęć, które częste urządzano w służbowych pokojach. Służba pałacowa pracowała ciężko i bawiła się hucznie, a spontaniczne imprezy towarzyskie odbywały się (w Pałacu Buckingham niemal co tydzień, wieczorami i w porze lunchu. Jeśli nawet królowa nie miała pojęcia o odlewaniu ginu, na pewno wie działa o przyjęciach, które bez wątplenia tolerowała, ponieważ dawał* wolne wiernym służącym.

Życie służącego było ograniczone do czterech ścian pałacu, męczące i pozbawione okazji towarzyskich. Miejsce pracy - pałac, zamek albo wiejska rezydencja - stało się naszym domem. Ci, którzy muszą jeść spać, pracować i mieszkać w tym samym miejscu, czują się jak więźniowie i chcą od czasu do czasu uciec od codziennych zajęć w zabawę. Stać częste imprezy.

Służący nie mogli zapraszać do siebie przyjaciół lub przyjaciółek. Wszyscy goście - którzy przechodzili najpierw surową kontrolę - musieli opuścić pałac do jedenastej trzydzięci wieczorem. Wielu służących zarabiało mało, wliczając nawet darmowy wikt i lokum. Służba dla królowej była jednak wielkim przywilejem i zaszczytem.

Tak jak żołnierze, którzy służą królowej i krajowi, aby bronić przyjętych swobód, personel dworski poświęcał życie temu, żeby monarchia funkcjonowała bez zarzutu. Każdy, kto wybiera taką karierę, musi podporządkować swoje życie rozkładowi dnia, zasadom i przepisom obojętnym na dworze. I tak jak żołnierze, służący lubili dziecinne psoty. Zdarzało się, że młodszy lokaj po wejściu do swoich pokojów stwierdzał, że wszystkie ich meble, łącznie z żarówkami, zniknęły. Jedna z pokojówek ujrzała na swojej poduszce martwego nietoperza, którego ktoś przyniósł z wieży zamku w Balmoral. Po jej krzykach poznaliśmy, że żart się udał. W Balmoral, na dziedzińcu przy tylnej bramie, psotni lokaje przyozdobili sznury do bielizny wstydliwymi częściami garderoby niczym chorągiewkami. Okazało się jednak, że znalazła się wśród nich para reform należąca do damy dworu. Damie nie było do śmiechu i steward pałacowy kazał zdjąć sznur jako „będący w złym guście”.

Zarty, podobnie jak przyjęcia, urozmaicały nudę i jednostajność pałacowego życia. Przyćmione światła, które można było dostrzec z bramy frontowej, maskowały szampańską atmosferę panującą na najwyższym piętrze pałacu. W zabawie brali udział wszyscy mieszkańcy holu paziów, czyli męskiego skrzydła, i lokatorki holu Fin cha, czyli skrzydła kobiecego. Korytarze ozdobiono

chorągiewkami, drzwi do wszystkich pokojów były pootwierane. Nastawialiśmy muzykę i tańczyliśmy do rana

przy piosenkach Donny Summer, Barry'ego White'a i Abby. Musieliśmy jednak strzec się administratorki, panny Victorii Martin, która starała się utrzymywać wśród służby isticie szkolną dyscyplinę.

- Chłopcom nie wolno przebywać w damskim skrzydle! - oznajmiła mi pewnego popołudnia. A moim jedynym przewinieniem było skrócenie sobie drogi przez hol Fincha. Panna Martin chroniła dziewczęta własną piersią i nie pozwalała, aby pokojówki i garderobiane kręciły się po korytarzach paziów i lokajów.

Regularnie patrolowała nasze piętra. Pokojówki we własnych pokojach bały się zostawiać niedopałki papierosów w popielniczkach. Panna Martin, służąca kiedyś w marynarce, wymagała, aby w sypialniach kobiet było równie czysto jak w pokojach królewskich i aby wszystkie popielniczki opróżniano codziennie rano. Jeden pozostawiony niedopałek potrafił doprowadzić ją do szału. Pokojówki często mruczały pod nosem: „Panna Martin znów się wścieka”. Przyjęcia i zabawy planowało się na czas nieobecności panny Martin -jej wyjazdu, urlopu lub snu.

Administratorzy w Sandringham House i Balmoral byli bardziej tolerancyjni. Codziennie odbywały się tam wieczorki, w czasie których wszyscy zdejmowali służbowe mundury i bawili się wesoło. Nic dziwnego więc, że w Aberdeenshire nazywano zamek „Immoral Balmoral” [niemoralnym Balmoral].

Co roku od początku sierpnia do początku października dwór spędza letnie wakacje na Zamku Balmoral. Za moich czasów królowa ze świętą płynęła tam zawsze z Portsmouth jachtem Britannia. Trasa tygodniowego rejsu wiodła przez Morze Irlandzkie i archipelag wysp szkockich, po czym skręcała na wschód do Aberdeen.

W latach 1979-1986 zajmowałem kabinę numer 44 na najniższym pokładzie. Były tam przesuwane metalowe drzwi, jeden iluminator, pojedyncza koja, biurko i umywalka z nierdzewnej stali. Czulem się nieswojo, wiedząc, że od morskiej głębiny dzieli mnie tylko cienka metalowa płyta przymocowana nitami. Bezpośrednio pode mną znajdowały się śruby napędowe, które w nocy usypiały mnie swoim miarowym szumem. Na wzburzonych wodach widok z iluminatora przypominał szybko obracającą się pralkę.

Pomieszczenia załogi, składającej się z 250 oficerów i marynarzy Royal Navy, znajdowały się przed głównym masztem, za nim zaś były kabiny królewskie, zajmowane przez królową i jej blisko trzydziestoosobową świtę.

Podczas rejsu traciłem swoje główne zajęcie -wyprowadzanie psów na spacer. Leciwały one do Aberdeen Andoverem z Eskadry Królowej. Do moich obowiązków należało przede wszystkim doglądanie królowej, która przebywała na tylnym pokładzie. Znajdowała się tam oszklona weranda prowadząca na otwarty pokład z rozległym widokiem na morze. W oddali widać było zawsze towarzyszącą nam fregatę.

Codziennie na śniadanie o dziewiątej i podwieczorek o piątej nakrywałem stół do kart dla królowej i księcia Filipa. Lunch o pierwszej i obiad o ósmej piętnaście wieczorem para królewska spożywała ze wszystkimi w jadalni na głównym pokładzie. Codziennie używano herbowej zastawy porcelanowej pochodzącej z królewskiego jachtu Victo-ria and Albert.

Poruszanie się po statku z drewnianą tacą było nie lada sztuką. Aby zmieścić się w wąskich przejściach i na stromych metalowych schodach przypominających drabinę, musiałem obracać ją o 90 stopni. Wiele razy jeden nagły przechył statku kończył się wywróceniem tacy i rozbiciem filiżanek, spodków i talerzy. Gdybyż tace mogły być zrobione tak jak stół jadalny, który, choć lakierowany, wytwarzał niemal magnetyczne pole, nie pozwalające spadać cennej porcelanie, srebrom i kryształowym kieliszkom.

Posiłki na wzburzonym morzu były bardzo uciążliwe. Kiedy statek tańczył na wysokiej fali, raz szedłem z dwoma daniami pod górę, po chwili zaś w dół. Nauczyłem się stać z szeroko rozstawionymi nogami i zgiętymi kolanami. Królową bawił nie tylko widok zielonych na twarzy członków świty, ale także akrobatyczne popisy jej lokaja. Kiedy morze było spokojniejsze, wczesnym wieczorem Britannia rzucała kotwicę w płytkiej zatoce. Łodzie motorowe przewoziły

pasażerów na brzeg, gdzie na pustej plaży urządzano barbecue, piekąc mięso przygotowane wcześniej przez kucharza. Członkowie rodziny królewskiej przysiadali na dywanikach i kamieniach, oficerowie marynarki podsycaли ogień. W tym czasie służba mogła odpocząć na pokładzie jachtu i urządzić sobie przyjęcie albo quiz między mesami, podczas którego pytania przekazywano przez pokładowy system łączności.

Największą atrakcją rejsu był dla królowej moment, kiedy jacht przepływał obok domu jej matki. Zamek Mey stał na wysokiej skale nadmorskiej na wybrzeżu Caithness w Szkocji. Służba wylegała na pokład i machała serwetkami, obrusami i prześcieradłami, a oficerowie wystrzelili race i włączali syrenę okrętową.

W odpowiedzi służba królowej matki wywieszała białe płachty z wież i okien, a z dachu wystrzeliwała fajerwerki. Królowa stała na pokładzie i przez lornetkę wypatrywała królowej matki, która z łądu wypatrywała córki. Kiedy się dostrzegły, radośnie machały do siebie. Kilka dni później spotykały się w Zamku Balmoral. Królowa matka przebywała tam przez dwa tygodnie, po czym przenosiła się do swojej rezydencji Birkhall, znajdującej się na terenie posiadłości.

Britannia żeglowała powoli wzdłuż wybrzeża, armia tymczasem transportowała tony bagażu z Pałacu Buckingham. Kiedy królowa opuszcza pałac, dla ochrony przed kurzem w jej apartamentach rozkłada się wielkie, białe płachty, przykrywając biurko, kanapy, krzesła, stół jadalny i kredensy. Wraz z królową jadą całe szafy na kółkach, kufrzy z kapeluszami, porcelaną, srebrem, kryształami, fotografiami w ramkach, pudła z książkami, telewizorami, magnetowidami, radiami, alkoholami i winami. Zabiera się ubrania na każdą okazję, między innymi czarną suknię i kapelusz, na wypadek czyjejś śmierci. Do jednego z kufrów zapakowano co najmniej dwadzieścia dywanów w szkocką kratę, w innym znajdowała się cenna kolekcja kiltów. W Balmoral Jej Królewska Mość codziennie wkładała kilt, podobnie jak królowa matka, księżniczka Małgorzata i księżniczka Anna. Królowa nosiła czerwoną kratę Royal Stewart lub zieloną Hunting Stewart, ale najbardziej lubiła szarą kratę Balmoral, do której mają prawo tylko członkowie rodziny królewskiej.

Książę Filip, Karol, Andrzej i Edward nosili kilty w dzień i wieczorem, kobiety jednak zawsze przebierały się w suknie wieczorowe. Głównym punktem sezonu towarzyskiego w Balmoral był bal myśliwski, podczas którego panie miały szarfy w szkocką kratę przypięte brylantowymi broszami. W sali balowej aż kręciło się w głowie od wirującej szkockiej kraty. Rodzina królewska, jej służba i personel posiadłości tańczyli razem: królowa, książę Filip, księżęta, księżniczki, lokaje, pokojówki, ogrodnicy. Żołnierze Gwardii Szkockiej w niebieskich i zielonych kiltach przygrywali na dudach i akordeonach. Sala odpowiadała rytmicznym klaskaniem i okrzykami zachwytu.

W 1979 roku tańczyłem z królową - choć nie sam na sam, lecz w tłumie około stu pięćdziesięciu tańczących, którzy zmieniali partnerów. Kiedy orkiestra grała The Dashing White Sergeant, moja trójka złożona ze służących spotkała się z inną trójką, którego końcowym ogniwem była Jej Królewska Mość. Obie trójki połączyły się, tworząc sześćosobowe kółko, a ja ująłem królową za rękę. Pamiętam tylko, że starałem się nie ścisnąć jej za mocno swoją spoconą dłonią.

Główny dudziarz zapowiadał każdy taniec, a kiedy rodzina królewska jadła obiad, przygrywał jej na dudach. Każdego ranka spełniał też inny tradycyjny obowiązek. Codziennie o dziewiątej przez dziesięć minut grał wybrane melodie, maszerując samotnie pod oknami sypialni królowej. W ten sposób ogłaszał, że zaczął się nowy dzień. Zwyczaj ten zapoczątkowano za rządów królowej Wiktorii i kontynuowali go wszyscy następnii monarchowie.

Zamek Balmoral zbudował książę Albert w 1853 roku dla swej małżonki królowej Wiktorii, aby mogła odpocząć w gronie rodzinnym od obowiązków publicznych i nerwowego życia w Londynie. Balmoral w większym stopniu niż inne rezydencje królewskie zachowuje atmosferę rodzinnego domu. Życie jest tu mniej oficjalne, swobodniejsze, a królowa w znakomitym nastroju.

Podobnie jak dla jej praprababki Wiktorii, również dla Elżbiety II, która kocha ponad wszystko spacerować po szkockich wąwozach, Balmoral to doskonały azyl. Jeśli Pałac Buckingham jest jej biurem, Zamek Wind-sor ulubioną rezydencją weekendową, a Sandringham House domem myśliwskim, to idealnym gniazdem rodzinnym pozostaje Balmoral.

Czas jakby zatrzymał się w tym zamku o wielu wieżyczkach, którego szare mury porasta bluszcz.

VRI - monogram królowej Wiktorii, władczyni imperium brytyjskiego - wciąż zdołał tapetę we wspaniałych holach, a zielony dywan w szkocką kratę ginie w głębi mrocznych korytarzy. Wystrój wewnątrz świadczy o miłości mieszkańców zamku do życia wiejskiego i zajęć na świeżym powietrzu: wędkarskie buty, sieci wiszące w wyłożonym boazerią holu, gdzie na czarno-białej marmurowej posadzce stoi zegar szafkowy; jelenie poroża, trofea myśliwskie zdobyte podczas dawnych polowań, zdobią ściany prawie wszystkich korytarzy; pod nimi na obrazach Landseera widać jelenie w mglistych wąwozach i spaniele biegnące przez wrzosowiska.

Posiadłość była nieomal samowystarczalna. Łososie łowione w rzece Dee i jelenie, które upolowano na wzgórzach, stanowiły główne danie obiadowe. Na deser podawano owoce zbierane w ogródku - jagody, maliny i jeżyny. Obiad nigdy nie kosztował w Balmoral dużo. Królowa starała się również w inny sposób ograniczać koszty utrzymania rezydencji. Resztki rzucano psom. Jej Królewska Mość sama obchodziła zamek, wyłączając światło w pustych pokojach. Rankami włączała tylko jeden elektryczny grzejnik w swojej garderobie. Była zahartowana i nie bała się chłodu ani przeciągów. Spała zawsze przy otwartym oknie. Bywało, że w połowie października garderobiane znajdowały śnieg i szron na dywanie pod parapetem - w górach szkockich zima przychodzi wcześniej. Psy często zbijały się w gromadkę przy jedynym włączonym grzejniku. W moim pokoju też było zimno, tak zimno, że zamek królewski w październiku przypominał mi dom rodzinny: lodowate linoleum i mróz na szybach w pokoju bez centralnego ogrzewania. W dzieciństwie wyskrobywałem swoje imię na zalodzonych szybach. Zgodnie z tradycją obowiązującą w Balmoral młoda para z rodziny królewskiej, spędzająca miesiąc miodowy w gościnnym apartamencie, wyskrobywała swoje imiona na szybie brylantem z pierścionka zaręczynowego.

Pod koniec 1979 roku w mediach zaczęto się zastanawiać, która panna zostanie przyszłą żoną księcia Walii. Szukano odpowiedniej kandydatki.

Zakochana księżna.

- Czy pani kogoś szuka? - zapytałem młodą kobietę rozglądającą się niepewnie po korytarzu. - Może mógłbym w czymś pomóc?

- Tak. Bardzo przepraszam. Czy mógłby mi pan wskazać drogę do mojego pokoju?

Staliśmy w połowie ciemnego korytarza na parterze Zamku Balmoral. Był sobotni wrześnieowy poranek 1980 roku. Nieznajoma odczytywała karty włożone w brązowe ramki na drzwiach pokojów gościnnych. Pamiętałem ją z poprzedniego wieczoru, bo zaniósłem jej walizkę do pokoju na pierwszym piętrze. W zamku łatwo było się zgubić. Wszystkie korytarze wyglądały podobnie, wszędzie te same drewniane drzwi, zielone dywany, beżowa tapeta i poroża na ścianach. Panowała cisza. Książę Karol przebywał na polowaniu z księciem Filipem, księciem Andrzejem i Edwardem. Królowa matka i księżniczka Małgorzata rzadko opuszczały swoje pokoje przed południem. Królowa była w salonie.

Kiedy wchodziliśmy po schodach, młoda dama uśmiechnęła się do mnie nieśmiało i powiedziała:

- Bardzo przepraszam za kłopot. Niełatwo poruszać się po domu, w którym jest się pierwszy raz. Próbowałem dodać jej otuchy.

- To nic. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę się nie krępować. Tutejsza służba jest bardzo życzliwa.

Podziękowała mi, weszła do swojego pokoju z pojedynczym łóżkiem i zamknęła drzwi. Napis na tabliczce brzmiał: „Lady Diana Spencer”. Kilka metrów dalej znajdował się następny pokój: „HRH* Książę Walii”.

HRH, ang. skrót od Her Royal Highness - Jego Królewska Wysokość [przyp. tłum.].

Lady Diana była już z wizytą w Balmoral w sierpniu tego roku. Mieszkała wtedy z siostrą Jane, żoną sir Roberta Fellowesa, zastępcy prywatnego sekretarza królowej, w domku Fellowesów stojącym dwa kilometry od zamku. Teraz zajęła pokój w zamku, gdzie była gościem księcia Karola wraz z innymi jego przyjaciółmi.

Pauline Hillier, pokojówka przydzielona do korytarza dzieciennego, weszła do pomieszczenia gospodarczego na parterze, niosąc na wieszaku prostą czarną suknię wieczorową. Piłem właśnie

kawę.

-To suknia mojej pani. Ma tylko tę jedną, a będzie tu przez trzy wieczory. Co robić? - martwiła się o lady Dianę Spencer, przedszkolankę z Londynu.

Większość pań bawiących w zamku przywoziła ze sobą więcej niż jedną suknię wieczorową, więc służba obawiała się, że młoda dama poczuje się zakłopotana. Miała zaledwie dziewiętnaście lat i była niemal dzieckiem w królewskim towarzystwie, składającym się z trzydziesto- i czterdziestoletnich pań i panów.

Garderoba nie była jedynym powodem do zmartwień dla osoby, która po raz pierwszy gościła w zamku. Pobyt tu wydawał się wręcz najeżony trudnościami: jak zwracać się do członków rodziny królewskiej; kiedy schodzić na drinki; jak zachowywać się przy stole i jak prowadzić salonową rozmowę. Z kłopotu wybawiły Dianę ciepłe wieczory. Okazało się, że suknię będzie musiała włożyć tylko raz do obiadu, bo w dwa pozostałe wieczory urządzono barbecue w domku z bali, kupionym przez królową dla księcia Filipa z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu.

Dla służby lady Diana była gościem jak każdy inny, znajomą trzydziestodwuletnią wówczas księżniczką Karola. Ładna i grzeczna, łatwo się rumieniła, ale poza tym nie wyróżniała się niczym szczególnym. Jeśli służba zauważyła cokolwiek, to tylko to, że jej stroje nie były odpowiednie dla damy, która szła pod rękę z następcą tronu.

Damy dworu przejrzały skromną garderobę „Lady Di” i zamówiły w londyńskim sklepie gotowe ubranie: błękitną spódnicę, żakiet bez kołnierzyka, białą bluzkę i buty do kompletu. Przyszła księżna nie miała nic odpowiedniego na specjalną okazję, a taką właśnie były jej zaręczyny z księciem Karolem, które ogłoszono w Pałacu Buckingham 24 lutego 1981 roku.

Pokoje służby trzęsły się od plotek, w mediach zapanowała prawdziwa histeria. Już przed Bożym Narodzeniem w pokojach lokajów, w kuchniach i pokojach kredensowych mówiło się o lady Di: „To ona”.

Poprzednią kandydatką na żonę następcy tronu była lady Amanda Knatchbull, wnuczka lorda Mountbattena, który zginął w zamachu bombowym zorganizowanym przez IRA. Jednakże szansę lady Amandy przepadły w chwili, gdy 17 lutego w pałacu zjawił się nadworny jubiler David Thomas. Widziano, jak niesie mały neseser; oficjalna wersja głosiła, że w walizeczce jest kilka sygnetów, z których książę Andrzej miał sobie wybrać prezent na dwudzieste pierwsze urodziny. Nikt ze służby w to nie uwierzył, ponieważ całą operację otoczono zbyt wielką tajemnicą. David Thomas, który odpowiadał za klejnoty koronne przechowywane w londyńskiej Tower, przyniósł w rzeczywistości damskie pierścionki; miał polecenie, żeby nie brać rubinów ani szmaragdów.

Wybrane brylanty i szafiry wyłożono na tacę i, rzecz dziwna, dano do oceny królowej. Książę Walii zaakceptował jej wybór. Lady Diana mogła wyrazić swoje zdanie dopiero na końcu. Nie protestowała, bo nie chciała być uznana za niegrzeczną i niewdzięczną. Później mi się zwierzyła: „Nigdy nie wybrałabym czegoś tak jarmarcznego. Gdybym mogła wybrać pierścioneł jeszcze raz, byłby prostszy i bardziej elegancki”.

W dniu, kiedy tajemnica wyszła na jaw, nikt ze służby nie przeczuwał, co się szykuje. Dzień zaczął się jak co dzień - o dziewiątej podałem śniadanie. Niespodziewanie królowa oświadczyła:

- Dziś podwieczorek będzie o czwartej. - Oznaczało to zmianę uświęconego zwyczaju. - Będzie nas czworo: Jego Królewska Wysokość [książę Edynburga], książę Walii i lady Diana Spencer.

Królowa musiała mnie wtajemniczyć, bo powinienem był wiedzieć, ile nakryć przygotować dla pań, a ile dla panów. Panie piją z małych filiżanek do herbaty, panowie z większych filiżanek śniadaniowych. Zrozumiałem, że zaręczyny odbędą się niebawem: plan dnia został zmieniony w ostatniej chwili, lady Diana po raz pierwszy miała wypić herbatę z królową.

Byłem jednym z pierwszych ludzi w Wielkiej Brytanii, którzy dowiedzieli się o wszystkim. Nie mogłem opanować podniecenia. Po nakryciu do stołu umyślnie kręciłem się po korytarzu królowej, aby choć rzucić okiem na wybranków. Mijając mnie, książę Karol i lady Diana uśmiechnęli się.

Weszli do salonu królowej, trzymając się za ręce, a stamtąd przeszli do jadalni.

John Taylor, paź królowej, wszedł za nimi i postawił na stole talerz z gorącymi babeczkami. Nie mogłem się oprzeć pokusie zajrzenia do jadalni przez szparę przy zawiasach. Lady Diana siedziała sztywno wyprostowana w swoim nowym błękitnym ubraniu. Wyglądała na śmiertelnie

przestraszona. Sprzątając ze stołu, zauważyłem, że nie tknęła babeczki ani nie wypita herbaty. Później dowiedziałem się, że pije tylko kawę. Ale trudno się dziwić, że podczas spotkania była kłębkim nerwów: po herbatce z królową odbyło się oficjalne ogłoszenie zaręczyn wobec mediów z całego świata. Księżę i jego narieczona musieli wyjść z Sali Łukowej, głównej sali w tylnej części pałacu, i zejść po schodach na trawnik, gdzie stało już mnóstwo kamer telewizyjnych, buczały mikrofony i czekał tłum dziennikarzy oraz fotoreporterów. Szykowałem się do oglądania tego historycznego wydarzenia z okna Sali Audiencyjnej na pierwszym piętrze, ale królowa pokrzyżowała mi plany.

- Paul, czy mógłbyś zabrać psy na spacer do rabaty króla i wokół jeziora? Tam będą najmniej przeszkadzały.

Psów nigdy chyba tak szybko nie wzięto na smycz ani tak nie poganiano - za nic nie chciałem się spóźnić. Ciągnąc za sobą całą dziewiątkę, pognałem na drugą stronę jeziora i dotarłem tam akurat w chwili, gdy księżę i lady Diana schodzili po schodach do ogrodu.

Ze swego punktu obserwacyjnego oglądałem historyczne wydarzenie w pomniejszeniu: w istocie powinienem był mieć lornetkę, żeby dobrze widzieć, jak dwie postaci zstępują ze schodów na trawnik i udzielają wywiadu w świetle rozbłyskujących fleszy.

- Widziałeś ją? Siedziała zupełnie sama - powiedział któregoś wieczoru Mark Simpson. Mark dyskretnie obserwował lady Dianę Spencer, która po zaręczynach wprowadziła się do Pałacu Buckingham. Współczuł nowej mieszkance pałacu. - Chodźmy do restauracji McDonald's kupić jej hamburgera - zaproponował.

Lady Diana Spencer była sama w swoim pokoju. Księżę Karol wyjechał na miesiąc do Australii. Jego narieczona, która mieszkała wcześniej w Londynie z kilkoma przyjaciółkami, całe dni spędzała teraz samotnie w najwspanialszej rezydencji w stolicy. Mark był moim najbliższym sąsiadem z holu paziów. Był też lokajem przydzielonym do korytarza dziecinnego, gdzie znajdowały się pokoje księcia Andrzeja i księcia Edwarda. Tam też ulokowano narieczoną ich brata; jej apartament składał się z sypialni, łazienki, kuchni i pomieszczenia gospodarczego. Diana wprowadziła się do pałacu na pięć miesięcy przed ślubem, którego termin wyznaczono na lipiec. Kawalerski apartament księcia Karola znajdował się na tym samym piętrze, ale daleko od korytarza dziecinnego. Obejmował całe piętro i składał się z sypialni, łazienki, garderoby, salonu i jadalni. Jeśli lady Diana potrzebowała bratniej duszy w chwilach samotności, mogła liczyć na Marka Simpsona i jemu podobnych. Wśród służby od początku miała przyjaciół, którzy gotowi byli do wszelkiej pomocy.

Mark był zmęczony po całym dniu służby, ale nie mógł znieść, że narieczona księcia jest taka samotna.

- Moglibyśmy urządzić mały piknik i nieco ją rozweselić. Chodźmy do restauracji McDonald's - nalegał. Nie byłem przekonany. A jeśli królowa się dowie? A jeśli lady Diana powie o wszystkim księciu Karolowi? Co będzie, jeśli majordomus nas zobaczy? Dotrzymanie towarzystwa przyszłej księżnej Walii nie należało do naszych obowiązków. Diana mieszkała w królewskich pokojach i nie było to miejsce dla nas, nie mówiąc o zabawianiu przyszłej księżnej.

- Nie jestem pewien Mark. Musimy uważać. Co będzie, jeśli nas przyłapią? Pourywają nam głowy. Nie znałem narzeczonej księcia, Mark znał ją znacznie lepiej, bo codziennie ją widywał. Co ważniejsze, byłem lokajem królowej i dopiero dwa lata piastowałem to wspaniałe stanowisko.

- Nie utrudniaj, Paul, Diana będzie nam wdzięczna za towarzystwo. Mark chwycił płaszcz i ruszył do drzwi.

Ustąpiłem i wbrew wątpliwościom poszedłem z nim na Victoria Street, gdzie kupiliśmy trzy Big Maki. Wróciliśmy bocznym wejściem, udając, że załatwiliśmy sprawunki dla kolegów. Służba zawsze wychodziła do barów szybkiej obsługi, więc zmierzając z naszymi torebkami do holu paziów, nie wzbudziliśmy niczyjego zainteresowania.

Zbyttno się bałem, żeby pójść z Markiem; nie byłem też pewien, jak lady Diana zareaguje na widok twarzy, którą widziała tylko raz w Bal-moral, a poza tym zawsze za plecami królowej.

- Idź sam Mark - powiedziałem. Obawiałem się, że nie wróci, ale zaniósłszy Big Maki, przyszedł po mnie. - Chodźmy.

Przecieliśmy korytarz. Byliśmy bez mundurów. Przez głowę przebiegło mi ostrzeżenie, którego udzielano mi podczas szkolenia: „Nigdy nie wchodzi na korytarz królewski w cywilnym ubraniu”. Moje postępowanie było praktycznie świętokradztwem i całkowitą głupotą, ale lady Diana intrygowała mnie; w czasie naszego pierwszego spotkania wydała mi się bardzo miła, poza tym miałem zaufanie do Marka. Szedłem tuż za nim. Stąpając po czerwonym dywanie, minęliśmy pokoje księcia Edwarda, księcia Andrzeja i dotarliśmy do lekko uchylonych drzwi, które prowadziły do małej kuchni sąsiadującej z sypialnią lady Diany.

Kiedy weszliśmy, Diana pałaszowała już swojego Big Maca. Często się śmiała, była przesympatyczna i zachowywała się całkiem zwyczajnie. Powtarzała, jak bardzo Mark się o nią troszczył i jak jest mu wdzięczna. Jeśli nasze towarzystwo było dla niej zaskoczeniem, dla mnie zaskoczeniem było to, jak bardzo Diana jest swobodna i bezpretensjonalna. Mark często mówił, że to zwyczajna dziewczyna, i choć należał jej się z naszej strony szacunek, o żadnej barierze nie było mowy. Nasza rozmowa przypominała pogaduszki starych znajomych. Bałem się, że przy tej rozmowie ktoś nas nakryje, wpadka mogłaby się dla nas skończyć znacznie gorzej, niż gdyby przyłapano nas w skrzydle dla żeńskiej służby, wyszliśmy więc już po około dziesięciu minutach; nigdy nie opuszczałem królewskiego pokoju z większą ulgą.

- Widziałeś? Jest jedną z nas - powiedział Mark, gdy bieглиśmy co tchu korytarzem.

Nigdy więcej nie zdecydowałem się na podobne ryzyko, ale Mark tak. Po służbie stale wstępował do Diany i w końcu stało się to, co się stać musiało. Książę Karol wszedł któregoś razu do sypialni narzeczonej i osłupiał, widząc Marka siedzącego na skraju łóżka. Mark wrócił zdruzgotany. Lady Diana miała na sobie nocną koszulę, więc sytuacja wyglądała dwuznacznie. Oczywiście wszelkie podejrzenia były bezpodstawne, ale samą obecność Marka uznano za wielki nietakt. Na szczęście uszło mu to na sucho.

Wkrótce potem Mark otrzymał zdjęcie przyszłej panny młodej z podpisem: „Markowi Diana”. Przypuszczam, że było to pierwsze zdjęcie z dedykacją, jakie Diana podarowała w swoim życiu. W ciągu tych kilku miesięcy poprzedzających ślub Diana czuła się samotna. Nie wychodziła do miasta z obawy przed dziennikarzami, którzy czyhali na nią za każdym rogiem. Pałac Buckingham jest dla człowieka z zewnątrz istnym labiryntem. Nikt nie nauczył Diany poruszania się po nim, a przewodników ani map nie było. Skręcając w niewłaściwy korytarz, mogła natknąć się na oficjalne przyjęcie lub koktajl party. Wśród służby istniało przynajmniej poczucie wspólnoty i więzi koleżeńskiej, które ułatwiało oswojenie się z pałacowym życiem. Lady Diana nie miała nikogo, na kim mogłaby się oprzeć. Siedziała do późna, pisząc listy do przyjaciół. Kiedy książę wyjeżdżał, zbierała się na odwagę i próbowała nawiązać bliższy kontakt z przyszłą teściową. Raz w tygodniu w korytarzu królowej dzwonił telefon.

- Czy królowa je dziś obiad sama? - pytała Diana cichym, nieśmiałym głosem.

Jeśli nie zaplanowano żadnego spotkania, jeden z nas zwracał się do królowej:

- Lady Diana pytała, czy Jej Królewska Mość je dziś obiad sama.

- Och, zaprosz ją - odpowiadała królowa. - Obiad jest o ósmej piętnaście. Ani razu nie odmówiła.

Lady Diana czuła się jednak niezręcznie, że

musi porozumiewać się z przyszłą teściową za pośrednictwem paziów i lokajów. Była to bariera dla jej spontaniczności, poza tym posiłki z królową przebiegały w oficjalnej atmosferze. Raz na tydzień przełamywała się, ale wolała jadać w swoim pokoju, gdzie czuła się swobodnie.

Mimo to szczerze lubiła królową. Pamiętam, jak wracając z basenu, zjawiała się w korytarzu z mokrą głową.

- Czy królowa jest sama? - pytała.

Potem pukała do drzwi i wchodziła do salonu, radosna i wesoła:

- Dzień dobry, Wasza Królewska Mość.

Królowa zawsze uśmiechała się w odpowiedzi, bo patrząc na wesołą twarz lady Diany nie można się było nie uśmiechnąć. Po ślubie Diana nie musiała już tytułować królowej „Waszą Królewską Mością”. Prywatnie mogła zwracać się do niej „mamo”, a do księcia Filipa „tato”.

Królowa była zawsze uczynna, nawet jeśli rzadko się fatygowała, aby sprawdzić, czy jej przyszła synowa czegoś nie potrzebuje. Wychodziła jednak z założenia, że zdolność przystosowania się i siła

charakteru to część obowiązków członka rodziny królewskiej. Królowa na własnej skórze przekonała się w dzieciństwie, jak surowy jest protokół i jak osamotniony bywa człowiek mieszkający w pałacu. Uważała, że ponieważ lady Diana wywodzi się z arystokracji i zna życie dworskie, poradzi sobie z przeprowadzką do pałacu królewskiego; zakładając to, należało jej jednak pomóc. Diana na pewno nie miała żelaznej woli, którą odznacza się królowa. Wychowana jak przeciętna brytyjska dziewczyna, atmosferę panującą w pałacu uważała za bezduszną i dziwaczną. Jak na ironię, królowa pozostawiła ją samą sobie, bo w nią wierzyła; uznała „jeśli mnie potrzebuje, to mnie znajdzie”. Przyszła księżna Walii nie podzielała tej wiary.

Konieczność porzucenia dawnego życia, londyńskiego mieszkania i dzieci z przedszkola, w którym pracowała, przygnębiała Dianę. Pewnego dnia odwiedziła dawne miejsce pracy. Dzieci ciągnęły ją za rękawy i pytały: „Gdzie byłaś?” i „Kiedy wracasz?”. Było to dla niej „koszmarne przeżycie”, wyszła z przedszkola bliska płaczu.

Wizyta w dawnym mieszkaniu przy Colherne Court numer 60, gdzie mieszkała wcześniej z koleżankami, też nie mogła jej rozweselić. Diana

przyszła, żeby zabrać najcenniejsze rzeczy. Kiedy sprzątała mieszkanie, z którym wiązało ją tyle wspomnień, była sama ze swymi myślami. Opowiadała później, że zamykając drzwi za sobą, miała nieprzepartą ochotę się rozplakać.

Zarazem jednak była podekscytowana perspektywą nowego życia. Wiedziała, że musi być silna. Aby zabić nudę, wymyślała sobie różne za-jęcia. David i Elizabeth Emmanuel, projektanci jej sukni ślubnej, przychodzili często na przymiarki i narady. Za każdym razem talię trzeba było zwięzać, bo Diana była na diecie.

W Sali Tronowej pobierała lekcje baletu i stepowania. Na podium stały pod ścianą dwa trony z szerokimi oparciami. Nad nimi zwieszał się pozłacany ciemnopurpurowy baldachim w kształcie litery W, podtrzymywany przez bogato zdobiony złoty karnisz. Ściany były obite jasnopurpurowym jedwabiem, ozdobionym subtelnym ciemniejszym, romboidalnym wzorem.

Krzesła tronowe miały złożone poręcze i nogi, a na ich purpurowych oparciach wyhaftowano złotą nitką monogramy: na jednym „EIR”, na drugim „P” [od Philip - Filip]; jak nakazywała tradycja, tron królowej był o cal wyższy od tronu księcia Edynburga. Lady Diana musiała zdawać sobie sprawę, że została wybranką losu.

Diana przepadała za pływaniem i, podobnie jak księżniczka Małgorzata, prawie każdego ranka korzystała z basenu wykładanego niebieskimi i białymi kafelkami, wyposażonego w trampoliny. Jedyne drogi do basenu prowadziły obok Apartamentu Belgijskiego. Tu Diana codziennie spotykała pokojówkę Marię Cosgrove. Od wymiany zdawkowych uprzejmości panie rychło przeszły do długich rozmów na temat życia w pałacu. O żadnej nie można było powiedzieć, że jest milczkiem. Lady Diana znalazła w Marii serdecznego i bliskiego sprzymierzeńca, podobnie jak w Marku Simpsonie.

Diana nawiązała ze służbą lepszy kontakt niż z rodziną królewską, zapewne dlatego, że Spencerowie znali zarówno życie arystokracji, jak życie służących. Babka Diany, Ruth, lady Fermoy, była bliską przyjaciółką królowej matki i damy komnaty sypialnej królowej. Ojciec Diany, hrabia Spencer, zajmował swego czasu stanowisko koniuszego Jerzego VI. Wśród służby przyszła księżna znalazła towarzystwo do rozmów i zabawy.

Podczas gdy po czerwonych dywanach wyższych piętér stapała z ręką na sercu, obawiając się każdego zakrętu, po terakotowych posadzkach pomieszczeń służbowych poruszała się swobodnie. Często siadywała z szafarzem srebra, Victorem Fletcherem, który stale trzymał w kąciku ust okulary w czarnej oprawce, tak jakby to była fajka. Wiedział on wszystko o służbie na dworze i dzielił się swoją mądrością z zafascynowaną rozmówczynią, która odnosiła się doń z szacunkiem i nazywała panem Fletcherem. Sprawiało mu wielką radość, że Diana interesuje się jego pracą. Przyszła księżna odwiedzała też kuchnię-piekarnię i jej szefa Roberta Pine'a, wysokiego, przystojnego mężczyznę o gęstych, czarnych włosach i wąsach; cięte dowcipy kucharza zawsze ją rozbawiały. Pine raczył Dianę lodami własnej roboty i klasycznym puddingiem. Zachodziła również do pokoju kawowego i rozmawiała tam z główną pokojówką Ann Gardner, która z

humorem opowiadała jej anegdoty z przyjęć i znajdowała w lady Dianie, zajadającej się płatkami, wdzięczną słuchaczkę.

Przyszła księżna wpadała do pokoju bieliźnianego na pogaduszki z dziewczętami przy praniu albo szła do kuchni i rozmawiała z jej szefem, Mervynem Wycherleyem. Wycherley, silny, muskularny mężczyzna uprawiający kulturystykę, nigdy niczego nie owijał w bawełnę i rozśmieszał Dianę, która czuła, że pod tą głośną i ekspansywną powierzchownością kryje się wrażliwe serce. Już niebawem Wycherley stanie się jednym z jej ulubieńców. Evelyn Dagley, pokojówka z korytarza dzieciennego, również była jej oddaną przyjaciółką. Ta nieśmiała i pracowita wielbicielek hokeja dbała o wygody przyszłej księżnej i o jej coraz liczniejszą garderobę.

Lady Diana zyskała wśród służby wielu przyjaciół, nawet w osobie Cyrila Dickmana, pałacowego stewarda, po którym można się było spodziewać wyniosłości, ale który w rzeczywistości był miły i bezpretensjonalny. Dickman zastępował Dianie ojca i najlepiej ze wszystkich rozumiał, jak trudno jest się jej przyzwyczaić do życia w pałacu. Był skarbnicą wiedzy na temat rodziny królewskiej i chodzącym podręcznikiem tradycji, etykiety i protokołu. Diana nigdy nie zapomniała życzliwości, jaką okazał jej w tym początkowym okresie. W późniejszych latach chętnie tańczyła z nim fokstrotą lub walca podczas balu myśliwskiego na Zamku Balmoral. W otoczeniu służących czuła się tak swojsko, że zaczęła ich wciągać w rozmowy, gdy pracowali na górnych piętrach. Klóciło się to z dworskim protokołem, więc część służby wołała ograniczyć tę poufałość do pomieszczeń służbowych, choć nie mówiła tego głośno.

Mimo wszystko lady Diana nie zyskała powszechnej sympatii. Wśród służących byli ludzie, którzy tradycję stawiali ponad wszystko. Część tych o długim stażu miała za złe młodej damie, że „wtrąca się” w ich sprawy; uważali, że powinna „znać swoje miejsce i pozostać na górze”. Pewna kobieta, która służyła w pałacu od czterdziestu lat, nie wierzyła własnym oczom, gdy lady Diana otwierała kredens i częstowała się herbatnikami. To szczyt złych manier, mówiła oburzona. Gdy kiedyś Diana weszła do kuchni, jeden z kucharzy zagroził jej drogę.

- Nie powinna pani przebywać w kuchni - powiedział z naciskiem. Lady Diana, przywykła do życzliwości służby, odwróciła się na pięcie i uciekła na górę.

Jednakże większość personelu, zwłaszcza jej młodsza część, lubiła Dianę. Nazywano ją „powiewem świeżości z górnych pięter”.

Mało kto zdawał sobie wtedy sprawę, że to spoufalanie się ze służbą miało jeszcze inny cel. Diana szukała ludzi do prowadzenia dwóch domów przyszłej pary książęcej: wiejskiej rezydencji Highgrove w Gloucestershire i apartamentu w londyńskim Pałacu Kensington. Książę Karol kupił Highgrove, posiadłość z dwupiętrowym domem w stylu neoklasycystycznym, w 1980 roku - na rok przed zaręczynami. Położenie rezydencji odpowiadało mu z kilku powodów. Znajdowała się około 12 kilometrów od Gatcombe Park księżniczki Anny, blisko Beaufort Hunt oraz niedaleko Bolehyde Manor, domu podpułkownika Andrew Parkera Bowlesa i jego żony Camilli.

Księżna Walii, radośnie uśmiechnięta, płaśała z wdziękiem baletnicy po czerwonym dywanie; w jednej ręce trzymała kremowe baletki, w drugiej owinięty wokół przedramienia 7,5-metrowy tren sukni ślubnej. Był 29 lipca 1981 roku. Przed chwilą na balkonie Pałacu Buckingham miał miejsce słynny pocałunek księcia i księżnej Walii.

Płásząca panna młoda zaskoczyła mnie. Wystrojony w szkarłatną liberię, stałem oparty niedbale o ścianę w korytarzu królowej i zastanawiałem się, kiedy Jej Królewska Mość wróci do siebie. Miał to być zriak, że weselnicy zmierzają z Sali Środkowej do Galerii Malarstwa, gdzie gromadzono się przed weselnym przyjęciem.

Nowa księżna, tonąca w jedwabnej sukni w kolorze kości słoniowej, czuła się panią korytarza, którego jedną stronę tworzył szereg wysokich okien od podłogi do sufitu, wychodzących na pałacowy dziedziniec. Tańczyła w szerokich pasmach światła, które padało przez okna, a słońce skrzyło się w rodzinnym diademie Spencerów. Była pełna ufności, pełna życia. Wydawała się taka szczęśliwa. Nie chciałem jej zawstydzić, cofnąłem się więc do apartamentu królowej i zamknąłem za sobą drzwi.

W salonie, wraz z 750 milionami widzów, byłem świadkiem, jak lady Diana Spencer staje się księżną Walii. Siedziałem po turecku przed

•

telewizorem królowej w otoczeniu jej psów. Służbie nie wolno było oglądać telewizji w pokojach królewskich, ale byłem pewien, że tego dnia królowa nie miałaby nic przeciwko temu. Wzorem innych Brytyjczyków jak zahipnotyzowany chłonałem obrazy, które tego dnia przekazywały kamery telewizyjne: lady Diana i jej ojciec hrabia Spencer jadący kryształową karocą do katedry św. Pawła i pozdrawiający tłumy; tren Diany płynący po czerwonym dywanie prowadzącym do ołtarza; księżę i księżna Walii wychodzący z katedry. Czekałem na weselne przyjęcie, które miało odbyć się w jadalni przy Sali Balowej, znajdującej się obok Galerii Malarstwa. Śledziłem przebieg wydarzeń w telewizji, aby wiedzieć, kiedy będę potrzebny, a jednocześnie wypatrywałem drugiego lokaja królowej, Paula Whybrowa, który miał to szczęście, że jechał otwartym powozem z królową i księciem Edynburga.

Nowożeńcy zajechali na dziedziniec. Na ekranie widziałem, jak księżę i księżna Walii wychodzą na balkon, a zza okien słyszałem wiwaty tłumu. Pobiegnąłem na górę do swojego pokoju i ukląknąłem przy podłużnym oknie. Kiedy tysiące ludzi robiło złotej parze zdjęcia z zewnątrz, ja zrobiłem jedno od środka i szybko zbiegłem na dół.

Tłum, który pozdrawiał teraz młodą parę, w przeddzień ślubu nie dał mi zasnąć, śpiewając Boże błogosław księcia Walii i Boże chroń królową. W tygodniu poprzedzającym uroczystość atmosfera z dnia na dzień robiła się gorętsza.

Na dwa dni przed ślubem w Pałacu Buckingham odbyło się przyjęcie, obiad i bal dla prawie tysiąca osób, w którym wzięły udział koronowane głowy z Europy, ambasadorowie, wysocy komisarze, arcybiskupi i biskupi, dawni i obecni ministrowie i premierzy. Wszystkie sale recepcyjne pałacu były pełne gości. Zostałem przydzielony do Sali Tronowej i wraz ze starszym paziem obsługiwałem stół dla dziesięciorga gości, wśród których byli księżę Walii, lady Diana, księżna Monako Grace i jej syn, księżę Albert. Nigdy w życiu nie widziałem piękniejszej kobiety niż księżna Grace, legendarna aktorka Grace Kelly, która wyszła za mąż za księcia Monako Rainiera. Tego wieczoru przyćmiła nawet przyszłą pannę młodą, a jej diadem dorównywał wspaniałością diademowi królowej.

Lady Diana była oczarowana. Obie damy natychmiast znalazły wspólny język i zanim rozpoczęły się tańce, były pochłonięte rozmową. W księżnej Grace Diana znalazła wzór do naśladowania i źródło natchnienia. Podobnie jak ona, Grace nie należała do sfer monarszych, a poślubiła Zf.

członka rodziny królewskiej; była gwiazdą filmową przywykłą do światła jupiterów; kobietą, która wyszła za mąż z miłości, ale od której małżeństwo wymagało spełniania obowiązków publicznych. Diana poprosiła więc księżną Grace o radę.

- Nie martw się - uspokajała ją księżna Monako. - Później będzie już tylko gorzej, ale nauczysz się z tym radzić sobie.

Podczas weselnego przyjęcia bardzo uważałem, aby nie nadepnąć na suknię Diany, która wydawała się zajmować całą podłogę. Obsługiwałem główny stół, przy którym siedzieli państwo młodzi, ich rodzice, druhny, paziowie, księżę Andrzej i księżę Edward.

Ceremoniał i etykieta przytłumiły żywiołowość nowej księżnej, która tak niedawno płaśła beztrąsko po korytarzu. Diana była milcząca, raczej słuchała, niż brała udział w rozmowie.

Niewiele jadła. Kilka lat później wyznała mi: „Żołądek miałam zawiązany na supeł. Byłam wykończona”. Tego dnia wierzyła jednak, że ma przed sobą jasną przyszłość. Pragnęła przecież tylko, aby jej małżeństwo z księciem Karolem było szczęśliwe. Diana nie tylko go kochała, ona go uwielbiała.

W późniejszych latach księżna Diana marzyła o jednym: aby ktoś opisał prawdziwie jej miłość do księcia Karola. Uważała, że opinia publiczna otrzymała fałszywy obraz ich związku. We wszystkich książkach i artykułach zniekształcano prawdę, wymazując z pamięci szczęście i autentyczną miłość, które istniały na początku ich małżeństwa. Ale sama księżna jest częściowo odpowiedzialna za to zniekształcenie, współpracowała bowiem z dziennikarzem Andrew Mortonem nad jego książką

Diana, The True Story [Diana: prawdziwa historia]. Książka ukazała się w czerwcu 1992 roku, a po śmierci Diany opublikowano jej poprawione wydanie. Morton twierdził, że jego opowieść i życie księżnej Diany ma walor autobiografii. Nie jest to prawda. Gdyby bowiem księżna zdecydowała się kiedyś na napisanie wspomnień, obaliłaby fałszywą legendę, że jej nieszczęście zaczęło się w dniu ślubu z księciem Karolem. Gdyby jej relację spisano później, a nie w roku 1992, obraz początków jej małżeństwa zostałby przedstawiony zupełnie inaczej. Prawdziwa miłość, bo takie uczucie łączyło parę książęcą, przetrwała pierwsze trudne lata. Książę Karol bynajmniej nie odrzucał żony, ale przeciwnie, robił wszystko, aby ją zrozumieć i cierpliwie znosił jej zmiany nastrojów, wywołane bulimią, na którą wówczas cierpiała. Miłość, którą księżna czuła do męża, nigdy w istocie nie umarła do końca. Po 1985 roku między małżonkami pojawiły się różnice nie do pogodzenia. Zaczęły się wzajemne oskarżenia, wynikłe z niezrozumienia potrzeb drugiej strony, nie było jednak żadnej „wojny”, bo wojna wymaga nienawiści, a małżonkowie nigdy nie czuli do siebie nienawiści. Jeśli trwała jakaś wojna, to prowadzili ją ponad ich głowami stronnicy księcia i księżnej oraz ich nadopiekuńczy doradcy. Księżna, za pośrednictwem przyjaciół, współpracowała z Andrew Mortonem w trudnym dla siebie okresie, kiedy opłakiwała ukochanego ojca, hrabiego Spencera, i kiedy przyjaciele księcia Karola wypowiadali się przeciwko niej. Wyjaśniała później: „Było to tak, jakby wszyscy wokół mnie mieli po sześć par oczu i tymi oczami przyglądali się, nieustannie mnie oceniając”. Była zła, rozgorączkzona i samotna.

Publikacja książki wywołała pożądany efekt. Diana przestała czuć się osamotniona, ponieważ Brytyjczycy poznali prawdę. „Ludzie lepiej mnie rozumieli. Książka przyniosła ulgę zarówno Karolowi, jak mnie, bo nie musieliśmy już dłużej udawać, nawet jeśli był na mnie wściekły” - wspominała.

Po ukazaniu się książki Diana zrozumiała jednak, że rozpaczliwie dążąc do publicznej wypowiedzi, przedstawiła męża w fałszywym świetle, a dobre lata małżeństwa poszły w niepamięć. Przyznała później, że popełniła błąd, dając się ponieść emocjom.

Dlatego też wersja z roku 1992, wbrew temu, co twierdzi Morton, nie może uchodzić za taką, którą Diana zaakceptowałaby pięć lat później. Tymczasem moja relacja, w której wykorzystałem korespondencję Diany z jej długoletnią przyjaciółką, zawiera nieznaną szerzej fakty i pozwala na stworzenie bardziej wyważonego obrazu.

Miesiąc miodowy młoda para spędziła na jachcie Britannia, żeglując po Morzu Śródziemnym. Księżna czuła się nieopisanie szczęśliwa, a nie -jak się twierdzi - odrzucona przez mężczyznę, którego pieszczotliwie nazywała „mężusiem”. Z pokładu jachtu pisała do bliskiej przyjaciółki: Nie mogłabym być szczęśliwsza i nigdy bym nie uwierzyła, że może być tak cudownie.

Rejs „ Britannia ” był niezwykle przyjemny i przez większość czasu śmialiśmy się i przekomarzaliśmy. Małżeństwo ogromnie mi odpowiada, uwielbiam mieć koło siebie kogoś, kto dba o mnie i rozpieszcza. Jest to najlepsza rzecz, jaka mi się przydarzyła, i jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Na pokładzie jachtu małżonkowie bez końca oglądali film wideo ze swego ślubu. Zaśmiewali się z lapsusu panny młodej, która składając przy ołtarzu przysięgę małżeńską, pomyliła kolejność imion księcia Karola. Kiedy trzymając się za ręce, oglądali uroczystość, płakali ze wzruszenia. Księżna pisała do przyjaciółki: Beczymy praktycznie za każdym razem, gdy oglądamy wideo ze ślubu.

Wyobrażam sobie, jak za dziesięć lat jedno z naszych dzieci zapyta: „Dlaczego nazwałaś tatusia «Filipem»?”. Och, jest na co czekać.

W przeciwieństwie do innych świeżo poślubionych panien, księżna nie mogła wrócić do dawnego życia i dawnej pracy w londyńskim przedszkolu. W jej życiu zaszła prawdziwa rewolucja, którą niewielu z nas potrafi sobie uzmysłwić. Po zapadnięciu na bulimię zaczęła przeżywać prawdziwą huśtawkę nastrojów. Dziwi mnie, że ludzie są tym zaskoczeni, zważywszy, że młoda małżonka musiała się przystosować do zupełnie nowej, bardzo wymagającej roli. Rzecz w tym, że gdyby nie książę Karol, Diana nigdy by sobie z tym nie poradziła; i ona sama wiedziała o tym. Karol rozumiał jej sytuację i jak na kogoś, kto rzekomo był zdumiony i zakłopotany jej humorami, robił wyjątkowo dużo, aby podnieść ją na duchu. Sama księżna pisała: Przewycięzyłam te depresję tylko dzięki

Karolowi, dzięki jego cierpliwości i życzliwości. Byłam wówczas zmęczona i nieszczęśliwa, i w rezultacie bywałam wobec niego niesprawiedliwa.

Z pokładu jachtu młoda para udała się do Balmoral. Służba zamkowa była zachwycona, że może ich witać w swoich progach i przygotowała dwumiejscowy otwarty powozik przystrojony pękami fioletowego wrzosu. Powóz czekał na księżną i księcia u bramy frontowej. Weszli do niego, śmiejąc się z tej sceny, a ogrodnicy i stajenni zaciągnęli ich niczym konie do wrót zamku. Księżna przywiozła ze sobą 160 owoców mango, podarowanych przez prezydenta Egiptu Sadata, który gościł na jachcie.

W romantycznej scenerii Zamku Balmoral książę Karol czytał żonie na głos, ona zaś tkła gobelin. Spacerowali po wąwozach, trzymając się za ręce, i w ciepłe letnie wieczory urządzali sobie barbecue w domku z bali na terenie posiadłości. Diana po raz pierwszy w życiu zdołała przeczytać całą książkę w ciągu jednego dnia. Ogromną radość sprawiły jej też nieoczekiwane odwiedziny byłej koleżanki z londyńskiego mieszkania, Carolyn Pride, późniejszej pani Bartholomew, która przebywała w zamku na zaproszenie księcia Andrzeja. Księżna cieszyła się z obecności rówieśników, księcia Andrzeja i Carolyn, z którymi mogła pogawędzić.

Być może wtedy właśnie księżna odkryła, że Karol nosi spinki z dwoma literami C splecionymi razem - prezent od Camilli. Zażądała wyjaśnień, ale sprawa ta nie zburzyła jej szczęścia.

Zareagowała w jedyny znany sobie sposób: wyrównując rachunki z rywalką. Na papeterii w Highgrove i Pałacu Kensington dolny łuk litery C wpleciono w literę D pod znakiem graficznym w kształcie korony. Księżna wierzyła, że jest to symbol udanego małżeństwa, które będzie trwało wiecznie. Kupiła też bibe-lot przedstawiający dwa złączone gołąbki.

W Zamku Balmoral była pora podwieczorku. Księżna, mająca na sobie płaszcz nieprzemakalny, tweedowy żakiet i pumpy pojawiła się w holu z zakrwawioną twarzą. Przez cały dzień była na polowaniu w towarzystwie księcia Karola, przewodnika oraz kilku innych osób i wracała w barwach wojennych. Upolowawszy swoją pierwszą zwierzyńkę, przeszła inicjację przewidzianą dla początkujących myśliwych. Wnętrznosci zabitego jelenia otwarto, a jego krew rozmazano na policzkach Diany. Martwe zwierzę przerzucono przez konia, którego żołnierz odprowadził do zamku. Tam jeleniowi odcięto łeb, odjęto poroże, a tuszę zawieszono w spiżarni - w jednym rzędzie z bekasami, bażantami i kuropatwami. Miał zostać przyrządzony i trafić na królewski stół.

Księżna lubiła spędzać czas w szkockich górach, ale w przeciwieństwie do Windsorów nie miała upodobania do krwawych sportów. Szła na polowanie tylko po to, aby sprawić mężowi przyjemność. Wiedziała i godziła się z tym, że myślistwo - ze strzelaniem i łowieniem ryb - jest nieodłączną częścią życia w Balmoral i ważną częścią życia księcia. Sugerowano, że Diana dąsała się przez cały miesiąc miodowy i nigdy nie starała się poznać i polubić tego, czym pasjonował się jej mąż. Jest to nieprawda.

Jeszcze po dwóch latach małżeństwa lubiła bywać w Balmoral ze względu na męża. W 1983 roku pisała do przyjaciółki: Uważam, że powinnam podjąć wysiłek, będę więc oglądać polo... drugi dzień z rzędu. Wolałabym raczej spać, ale moja obecność sprawia K. wiele radości. Wiem, że chce się przede mną popisać!

Książę również szedł na ustępstwa. Wiedział, że księżna woli Londyn od wsi i świadomie zmienił swoje zwyczaje. Księżna musiała się uszczypnąć, kiedy w niektóre niedzielne poranki budziła się w Pałacu Kensington, a nie w Highgrove. Oboje więc poświęcali się dla siebie.

Książę Karol czuł się najszczęśliwszy, gdy polował w Balmoral. Po solidnym szkockim śniadaniu składającym się między innymi z owsianki,

wędzonych śledzi oraz potrawy z ryżu, ryby i jaj, czysto męskie towarzystwo ładowało psy, broń i amunicję do land-roverów i wyruszało na cały dzień do ustalonego wcześniej miejsca. Każdy uczestnik zabierał ze sobą wodoszczelny worek z prowiantem zawierający bułkę przelożoną mięsem, jagnięcy stek na zimno, owoce, pudding śliwkowy oraz butelkę tarniówki lub whisky.

Pewnego razu usłyszałem z zamkowego holu głos księcia:

- Czy ktoś może mi pomóc?

Pospieszyłem, żeby zobaczyć, czego mu trzeba. Na marmurowej posadzce u stóp księcia leżały dwa ogromne łososie.

- Czy mógłbyś zanieść je do kuchni? Zjemy na obiad.

Schyliłem się, żeby podnieść ryby, ale te z powodu śliskich łusek wyslizgiwały mi się z rąk. Książę obserwował przez chwilę moje nieporadne usiłowania.

- Ach, dość tego - zniecierpliwiał się. - Spójrz.

Wziął mnie za rękę i wepchnął moje dwa palce w głąb rybich skrzel. Zrobiło mi się słabo.

- A teraz zanieś je do kuchni.

Trzymając ryby jak najdalej od siebie, wykonałem polecenie.

Po śniadaniu królowa jeździła po posiadłości na koniu przywiezionym z Zamku Windsor. Po powrocie spotykała się w salonie z paniami, które wstawały około południa. Książę Edynburga uzgodnił już z żoną miejsce spotkania i damy dworu, królowa matka, księżna Małgorzata i inne kobiety goszczące w zamku jechały na piknik. Księżniczka Anna pojechała tam wcześniej z mężczyznami.

Myśliwi wracali do zamku późnym popołudniem. Jeden z nich powrócił kiedyś zgłodniały na obiad, ale gdy przyznał się, że zranił zwierzę, odesłano go z powrotem. Królowa była oburzona. Lubiła polować, ale nie tolerowała zadawania cierpień. Zgodnie z jej kodeksem mękom postrzelonego zwierzęcia należało położyć kres jak najszybciej.

- Musisz tam wrócić, znaleźć je i dobić - przykazała winowajcy. Pechowiec nie zdążył na obiad. Ustalony już plan rozmieszczenia osób przy stole wymagał w tej sytuacji pilnej zmiany; królowa mruknęła:

- Jeden mężczyzna mniej przy obiedzie to wielka niewygodna. Będziemy chyba musieli zaprosić oficera straży, żeby zajął puste miejsce.

Dzięki temu tradycyjna symetria: mężczyzna, kobieta, mężczyzna, kobieta itd. została zachowana.

Królowa była znakomitą gospodynią dbającą o to, aby każdy gość dobrze się bawił. Zawsze pilnowała, aby podczas pobytu w zamku nikt nie siedział dwa razy obok tej samej osoby.

Złościło to księżną, która chciała siedzieć zawsze obok męża, tymczasem zasada rotacji oddalała małżonków od siebie. Królowa unika też sadzania przy stole trzynastu osób. Za pomocą specjalnego mechanizmu rozsuwa się blat stołu, a w powstałe szczeliny wkłada mahoniowe deski. Kiedy grozi trzynastka, stół jest wydłużany, ale szczelinę zostawia się nie wypełnioną, tworząc w efekcie dwa stoły: sześć- i siedmioosobowy.

Królowa zawsze powtarzała, że trzynastka zarezerwowana jest dla Chrystusa i jego uczniów.

Jej Królewska Mość, głowa Kościoła anglikańskiego i Obrończyni Wiary, jest osobą głęboko wierzącą: co niedziela bierze udział w porannym nabożeństwie, bez względu na to, gdzie akurat przebywa. W Pałacu Buckingham spędza tylko jedną niedzielę w roku, mianowicie Niedzielę Pamięci, czyli najbliższą dnia 11 listopada (rocznicy zawieszenia broni w 1918 roku). We wszystkie pozostałe niedziele królowa chodzi do kościołów w Windsorze, Sandringham lub Balmoral. Nawet na pokładzie jachtu Britannia z jadalni wynosiło się stół i wstawiało na jego miejsce krzesła.

Admirał, jako kapitan jednostki, odprawiał nabożeństwo, a jego uczestnicy śpiewali Seafarers' Anthem za tych, co na morzu. Akompaniował im kwartet smyczkowy Królewskiej Marynarki. Na łodzi królowa zawsze wrzucała do puszek banknot pięcioletni, który wcześniej jej garderobiana składała na czworo i rozprasowywała na płasko żelazkiem. Dzięki temu nie było widać nominału. Podczas największego ze świąt w kalendarzu chrześcijańskim, Wielkiego Piątku, królowa łamała ustalony porządek dnia i przyjmowała komunię świętą z rąk dziekana Windsoru w swojej prywatnej kaplicy w Zamku Windsor, oddalonej od jej apartamentu o krótki spacer Wielkim Korytarzem. Co roku w Niedzielę Wielkanocną na biurku Jej Królewskiej Mości kładziono gałązkę ciemnego krzewu, którą przysyłał dziekan katedry w Glastonbury; symbolizowała ona koronę ciemną Chrystusa. Firma Chabonnel et Wal-ker z Bond Street przysyłała królowej jajko wielkanocne, które jeździło z nią po świecie, dopóki nie zostało zjedzone do ostatniej okruszyny. Bywało, że jajko wystarczało na pół roku. Zawierało ulubione słodycze królowej: pudełko mocnych miętówek Bendick's i miękkich pudrowanych miętówek firmy Elizabeth Shaw.

Wyprostowana, wierna postać księcia Edynburga towarzyszy królowej jak cień. Małżonkowie najbardziej lubią odpoczywać w samotności po całym dniu wypełnionym obowiązkami. Mają oddzielne salony, gabinety i sale audiencyjne, ale ich apartamenty łączy wielka sypialnia. W ciągu

11 lat służby nie słyszałem ani razu, aby królowa czy księżę małżonek zwrócili się do siebie podniesionym głosem. Księżę Filip czasem publicznie gdera i zachowuje się mało taktownie, ale jest oddanym i troskliwym mężem. Parę królewską łączy prawdziwie partnerska więź.

Kiedy 20 listopada 1947 roku dwudziestoletnia wówczas księżniczka Elżbieta poślubiła swego dwudziestosześcioletniego dalekiego krewnego, urodzonego w Grecji, oboje złożyli przysięgę małżeńską. Sześć lat później, podczas koronacji Elżbiety, Filip przysięgł w obliczu Boga, że będzie wiernie służył królowej, czyli swojej żonie. Przysięgę tę traktuje ze śmiertelną powagą. Lepiej niż ktokolwiek wie, co znaczy obowiązek. Po czterech latach małżeństwa zrezygnował ze służby w uwielbianej marynarce, aby sprostać powinnościom księcia małżonka. Księżę przestrzega etykiety, publicznie idąc zawsze krok za królową. Jednakże za zamkniętymi drzwiami domu Windsorów szefem jest księżę Filip. On decyduje, czy odbędzie się piknik czy barbecue - „Nie wiem, zapytaj Jego Królewską Wysokość”, mawia królowa - i on pilnuje królewskich apanaży. Dla służby panem domu jest księżę.

Życie królowej bywa samotne, toteż szuka ona rady i oparcia u męża - tak jak królowa Wiktoria u księcia Alberta. Księżę Filip jest niezachwianą podporą królowej, osobą, której ufa najbardziej. Serdeczne uczucie między małżonkami było wyraźnie widoczne. Księżę zawsze jadał śniadanie o ósmej trzydzieści i zwykle siedział przy stole, kiedy o dziewiętej zjawiała się królowa. Często witał ją całusem w policzek i mówił: „Dzień dobry, kochanie”.

Księżę ma jednak drugie, mniej ujmujące oblicze. Jego napady złego humoru przeszły do legendy; niektórych paziów i pokojowych doprowadzał nimi do płaczu. Miał zawsze bardzo wysokie wymagania, a jego groźna powierzchowność skłaniała do posłuchu. Swym wprawnym okiem zawsze dostrzegał najmniejsze uchybienie. Jeśli coś mu się nie spodobało, wybuchał jak wulkan, donośny głos księcia przechodził w przerażający ryk. Drzwi trzaskały i całe piętro rozbrzmiewało jego wściekłym: „Jesteście bandą idiotów” albo „To wszystko same bzdety”. Jako były oficer marynarki uważał, że służący powinni znosić te wybuchy bez szemrania, ale wobec pokojówek był zawsze miły i taktowny.

Kiedy miesiąc miodowy się skończył i księżna z księciem Walii wrócili do Pałacu Buckingham, dekoratorzy i stolarze, pod kierunkiem projektanta wewnątrz z Afryki Południowej, Dudleya Poplaka, urządzali już ich małżeńskie gniazdko w Highgrove oraz apartamenty 8 i 9 w Pałacu Kensington.

W pierwszym okresie małżeństwa księżna dbała przede wszystkim o stworzenie domowego ciepła i pomagała w wyborze dywanów, zasłon i ozdób do nowego domu. Prawie co weekend odwiedzała Highgrove, aby zobaczyć, jak postępują prace. Zaczęła też werbować kandydatów do służby domowej, korzystając z przyjacielskich kontaktów, jakie nawiązała wśród służby pałacowej. Szybko odczuła jednak, jak drażliwą kwestią są w pałacu sprawy kadrowe. W liście do Marii Cosgrove, który przekazał ochroniarz Graham Smith, zachęcała ją do ubiegania się o stanowisko garderobianej księżnej. Jeszcze w lutym 1981 roku Maria awansowała na pokojówkę księcia Edynburga. Bardzo pragnęła przejść na służbę do Diany, ale lady Susan Hussey, dama dworu królowej, dowiedziała się o tych planach. Marii zapowiedziano, że nie otrzyma zgody na odejście ze służby u księcia Filipa. Księżna Walii zwerbowała więc dwóch innych przyjaciół z Pałacu Buckingham: jej garderobianą została pokojówka Evelyn Dagerly, a kuchmistrem Mervyn Wycherley.

W tym początkowym okresie księżę i księżna Walii wiodli spokojne życie. Wieczorami chodzili do opery albo spotykali się z gronem przyjaciół księcia; unikali większych imprez. Księżna nie nabrała jeszcze pewności siebie, z której będzie później słynąć, ani stanowczości, której będą się bać niektórzy służący. Była wciąż bojaźliwa i bardzo powoli oswajała się z królewskim otoczeniem, ale rozumiała, że wygrała prawdziwy los na loterii. Aż pewnego dnia uświadomiono jej, że nie jest lubiana przez wszystkich.

Księżna wdała się z jednym ze służących w rozmowę o rozkładzie zajęć służby oraz obowiązkowości i nieobowiązkowości niektórych jej członków. Zacerwieniona z emocji, obstawała przy swoim zdaniu. Służący uważał, że jest mądrzejszy niż jakaś przedszkolanka, którą zrobiono księżną. Zaczął się awanturować. W pewnym momencie pochylił się i, oparłszy dłonie na

ścianie po obu stronach głowy swojej rozmówczyni, wyszczał: „Gdybyś tak nie pieprzyła, robilibyśmy więcej”. Po kilku tygodniach rozstał się z księciem i księżną.

Śmierć księżnej Monako w wypadku samochodowym 13 września 1982 roku wstrząsnęła Dianą. Księżna Grace jechała wraz z córką, księżniczką Stefanią, z Roc Agel, letniej rezydencji rodziny Grimaldi w Alpach Nadmorskich, do Monako. Po trzech kilometrach rover księżnej wypadł z ostrego zakrętu i pofrunął 30 metrów w dół zbocza, koziołkując w powietrzu. Księżniczka Stefania przeżyła, ale jej matka zmarła w szpitalu swojego imienia. W prasie pojawiły się spekulacje na temat stanu hamulców w samochodzie.

Kiedy nadeszła tragiczna wiadomość, księżna Walii przebywała w Bal-moral. Rzuciła wszystko i bez męża pojechała na pogrzeb przyjaciółki. Była to jej pierwsza samotna podróż, podczas której reprezentowała rodzinę królewską.

Księżna nigdy nie zapomniała zmarłej, którą nazywała po prostu Grace. Często mówiła o jej elegancji i stylu. Jej śmierć uważała za wielką stratę dla świata. Białą szyfonową suknię koktajlową z odkrytymi ramionami nazywała „suknią w stylu Grace Kelly”, ponieważ była „tak piękna i elegancka”.

Królowa i ja

Jeśli księżna Diana nie mogła uwierzyć, że trafiła do pałacu królewskiego, podobne wrażenie odnosił osobisty lokaj królowej. Często siadywałem pod podłużnym oknem w swoim pokoju i patrzyłem na Londyn z perspektywy Pałacu Buckingham. Wracalem myślami do brukowanej jezdni Chapel Road i zastanawiałem się, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym pozostał w hotelu w Wessex.

Uważałem się za wielkiego szczęściarza. Widok z okna wzmacniał jeszcze to poczucie, bo widziałem z niego pomnik Wiktorii, szeroką aleję Mali prowadzącą do Łuku Admiralicji, rozległą połąć St. James's Parku, usianą w lecie biało-niebieskimi leżakami, i górujący na horyzoncie Big Ben. Jeśli w dzieciństwie największy wpływ wywarła na mnie matka, w męskich latach podobną rolę odegrała w moim życiu królowa. Staralem się brać z niej przykład: z jej wrodzonej uczciwości, tolerancji, spokoju, miłości do ludzi i ofiarnej obowiązkowości.

Gdy mama stawiała na pierwszym miejscu ludzi z Chapel Road, u królowej na pierwszym miejscu była powinność wobec kraju i poddanych. A ja, mały trybik w dworskiej maszynierii, miałem za zadanie ułatwiać jej życie. Często pragnąłem, aby mama zobaczyła mnie przy pracy, ale, niestety, wykonywałem ją przeważnie za zamkniętymi drzwiami. Służba rzadko otrzymuje wyrazy uznania za swoją rolę w prowadzeniu domu, które przypomina trwające bez przerwy przedstawienie teatralne. Pracowników technicznych nikt nie wywołuje na scenę, ale uśmiech i skinienie Jej Królewskiej Mości wystarczało, żebyśmy czuli wielką satysfakcję z pracy.

Opowiadanie rodzinie o życiu na dworze również sprawiało mi wielką przyjemność. Ilu synów może zadzwonić do matki i zaprosić ją na

spotkanie z królową i rodziną królewską? W domu przy Chapel Road zainstalowano już telefon, mogłem więc często rozmawiać z mamą.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę mówisz z Pałacu Buckingham! - mówiła z przejęciem mama. Ścisnęła kurczowo słuchawkę, paliła nerwowo papierosa za papierosem i z zapartym tchem słuchała moich opowieści o tym, jak podawałem królowej herbatę.

W pierwszym roku na stanowisku osobistego lokaja Jej Królewskiej Mości nie mogłem się doczekać balu bożonarodzeniowego. Raz na dwa lata krewnych członków personelu zapraszano albo do pałacu, albo do Zamku Windsor.

- Mamo, chciałbym, abyś zrobiła mi ten zaszczyt i wzięła udział w balu bożonarodzeniowym u królowej - powiedziałem.

Po drugiej stronie linii telefonicznej rozległ się okrzyk, który musieli chyba usłyszeć górnicy fedrujący węgiel. Potem jednak usłyszałem ciężkie westchnienie.

- Och, bardzo bym chciała, ale chyba nie mogę, Paul. Przyniosłabym ci tylko wstyd.

-Ależ mamo, nie bądź niemądra. Przyjdą wszystkie mamy. Świetnie się z nimi dogadasz, a ja będę obok - uspokajałem.

Mama rozbiła rodzinny bank i kupiła sobie prostą, długą, niebieską suknię wieczorową, na którą zarzuciła zrobiony na drutach szal. Opowiedziała całej osadzie, że wybiera się na bal do królowej. Nie znano tam nikogo, kto kiedykolwiek zetknął się osobiście z królową.

Podczas balu mama zachwycała się wszystkim. Nie mogła uwierzyć, że przebywa w towarzystwie królowej, księcia Edynburga, księcia Karola i księżniczki Anny.

- Czuję się jak Kopciuszek! A ty jesteś moim królewiczem! Mama wzięła mnie pod ramię i weszliśmy do Sali Balowej. Kiedy królowa witała się z krewnymi członków personelu, mama szepnęła:

- Zapaliłabym sobie! Ścisnąłem ją za drżącą rękę.

- Dzień dobry, Paul - powiedziała Jej Królewska Mość, podchodząc do nas.

Czy słyszałaś, mamó? - pomyślałem. Królowa zwróciła się do mnie po imieniu. Pragnąłem, by mama to zauważyła, ale ona wydawała się oślepiona brylantowym naszyjnikiem, który ujrzała przed sobą.

Królowa jednak zawsze potrafi przełamać lody, więc zaraz rozpoczęła rozmowę o górnikach i Derbyshire. Mama uśmiechała się bez przerwy.

68

Potem powiedziała, że nie mogła oderwać oczu od naszyjnika. Nigdy dotąd nie widziała prawdziwych brylantów, a cóż dopiero w takiej liczbie.

- Dokładnie tak wyobrażałam sobie królową - wyznała.

Było to jej pierwsze spotkanie z moją chlebodawczynią. Później spotkała ją jeszcze kilkakrotnie w Pałacu Buckingham i raz w Balmoral, kiedy przypadkowo natknęliśmy się na królową idącą z psami na spacer.

Moja mama zachowała się nieco lepiej niż ciotka Pearl, którą zaprosiłem na inny świąteczny bal. Kiedy królowa miała podejść do krewnych, ciotka, ubrana jak z igły, stała sztywno, jakby kij połknęła, i wybałuszała oczy.

Czekała, aż królowa rozpocznie rozmowę.

- Podobno pogoda w Derbyshire jest ostatnio okropna? - zapytała królowa, jak zwykle znakomicie przygotowana do rozmowy.

Ciotka na moment oniemiała. Potem wykrztusiła:

- Tak, straszna, Wasza Królewska Mość, naprawdę straszna - po czym wykonała przesadny dyg.

Później zamartwiała się, że ze zdenerwowania mówiła do królowej żargonem. Zapewniłem ją ze śmiechem, że monarchini kocha regionalny akcent.

Nie tylko krewni służących i ludzie z zewnątrz odczuwają lęk podczas spotkania z królową. Nawet ludzie pracujący w Pałacu Buckingham bywają przy niej onieśmieleni. Ostatniego dnia przed wyjazdem do Zamku Windsor na Boże Narodzenie królowa spotyka się z pałacową służbą, liczącą około trzystu osób. W ciągu dwóch godzin rozmawia z każdym z osobna, od najmłodszego do najstarszego, życząc szczęśliwych świąt. Mówi zawsze „Szczęśliwych Świąt”, nigdy „Wesołych Świąt”, żeby uniknąć jakichkolwiek skojarzeń z piciem alkoholu.

Królowa przykładła dużą wagę do protokołu spotkań ze służbą, które są świadectwem, że docenia pracę swoich podwładnych. Zapytana, ilu ma służących, odparła kiedyś: „Właściwie żadnego. Mam liczny personel, ale nie mam służących”.

Nawet prezentacja członków personelu była starannie wyreżyserowana. Pracownicy pałacu odkładali swoje zajęcia i ustawiali się w kolejce, która wiła się korytarzami, przechodziła przez Hol Marmurowy na parterze, pokój śniadaniowy do Salonu zwanego Rokiem 1844 i kończyła się u drzwi Sali Łukowej. Kolejnością rządziła zasada starszeństwa. Czekali lokaje w szkarłatnych kamizelkach, paziowie w granatowych frakach i aksamitnych kołnierzach, kucharze w białych fartuchach i czapach oraz pokojówki w tradycyjnych czarnych sukienkach i białych fartuszkach. Wielu miało tremę jak przed występem na scenie. Paul Whybrew szedł pierwszy z 14 lokajów, ja zaraz za nim. Choć codziennie widzieliśmy królową, również musieliśmy przejść przez rytuał anonsowania i oficjalnego przedstawiania. Zaraz potem szliśmy na górę pomagać w pakowaniu rzeczy przed wyjazdem do Windsoru.

Królowa i książę Edynburga stali w jednym końcu Sali Łukowej, a służba w drzwiach po

przeciwległej stronie. Pałacowy steward anonsował nazwisko kolejnego służącego, a ten podchodził wówczas do pary królewskiej. Otrzymywał z rąk królowej drobny upominek, który sam wcześniej wybrał z katalogu. Pomywaczki sprawiały sobie wcześniej białe bawełniane rękawiczki, ponieważ wszystkie kobiety podczas spotkania z królową musiały je mieć na rękach. Ciekawe, że monarchini - która zawsze nosiła rękawiczki podczas oficjalnych spotkań - witała się ze służącymi gołymi rękami.

Boże Narodzenie na dworze królewskim było okresem pełnym magicznego czaru, ale męczącym dla służby. Święta na zamku w Windsorze inaugurowały dzieci mieszkańców posiadłości, między innymi chórzyci z kaplicy św. Jerzego, którzy podchodzili pod mury zamku i trzymając lampy na długich pałkach, śpiewali kolędy. Królowa stała samotnie na nakrytych dywanem schodach przy głównym wejściu, pijąc grzane wino i chłonąc niepowtarzalną atmosferę. Była zrelaksowana, bo nie musiała pakować swoich prezentów: zadanie to należało do jej osobistych lokajów.

Fascynujące było wiedzieć wcześniej, jakie podarunki otrzymają królewskie dzieci i inni krewni królowej. Na początku grudnia monarchini wybierała prezenty. Właściciel sklepu, Peter Knight, przywoził do pałacu dwa tysiące przedmiotów - zabawki, gry, porcelanę, bibeloty, urządzenia i artykuły kuchenne - i w jednej z sal audiencyjnych urządzał wielki stragan. Każdego wieczoru po obiedzie Jej Królewska Mość sama robiła zakupy, pisała imię obdarowywanego na kartce i wносиła prezent za drzwi, a stamtąd zabierano go do pakowania. Z Paulem Whybrew dobieraliśmy papier, wstążkę i ściągaliśmy się, kto zapakuje więcej prezentów. Co roku było ich około stu i trwała zacięta rywalizacja.

Pewnego wieczoru, kiedy siedziałem wśród papierów, taśmy klejącej i wstążek, królowa zajrzała do pokoju. Było już bardzo późno.

- Czas spać, Paul. Zrobiłeś już bardzo dużo - powiedziała. Pakowanie prezentów zajmowało około trzech tygodni i czasami nie starczało na nie czasu w ciągu dnia.

W apartamentach królowej nie było choinki ani żadnych świątecznych ozdób. Jedyna dekoracja bożonarodzeniowa w Pałacu Buckingham

to ustawiana pośrodku Holu Marmurowego pięciometrowa choinka, pochodząca z posiadłości Windsor. I dziś jeszcze, jeśli stanąć przy bramie frontowej i popatrzeć przez łukowato sklepiony wjazd na dziedziniec, można dostrzec jej kolorowe, migoczące lampki.

Zgodnie z tradycją prezenty otwierano, bezceremonialnie rozdierając nasze piękne opakowania, w wigilię po popołudniowej herbacie o piątej. Odbywało się to w Crimson Drawing Room na pierwszym piętrze, gdzie po obu stronach marmurowego kominka wisiały wielkie portrety koronacyjne Jerzego VI i królowej Elżbiety, pędzla sir Geralda Kelly'ego. Pośrodku salonu stała ogromna choinka, a przy ścianie ustawiano piętnastometrowy stół na kozłach. Czerwoną wstążką zaznaczano na nim obszar przewidziany na prezenty dla każdej osoby. Przy jednym końcu stołu siadała królowa i księżę małżonek, przy drugim damy dworu i koniuszowie. Jako służba zawsze zostawaliśmy za drzwiami. Okrzyki zachwytu, szczekanie podnieconych psów i wesola atmosfera oznaczały, że w domu Windsorów rozpoczęły się święta Bożego Narodzenia. Tymczasem w piwnicach przypominających lochy, skąd nie wydobywał się żaden dźwięk, służący, którzy przez ostatnie dni pracowali do północy, urządzali swoje święta z tańcami i przyjęciami.

W dniu Bożego Narodzenia we wszystkich krajach Wspólnoty Brytyjskiej transmitowane jest przemówienie królowej. (W owych latach nagrywano je w połowie grudnia). Transmisję oglądano również na Zamku Windsor. O trzeciej po południu wszyscy członkowie rodziny królewskiej gromadzili się wokół telewizora w wyłożonej boazerią Sali Dębowej. Część siadała na kanapach i krzesłach, wielu stało. Królowa stała w milczeniu z tyłu. Tuż przed końcem programu wychodziła z psami do ogrodu. Nie należała do osób wpadających w samouwielbienie.

Wizyty państwowe wywoływały na dworze tyleż zamieszania, co Boże Narodzenie. Wizyta Ronalda Reagana na Zamku Windsor jest miło wspomniana; to wówczas królowa dowcipnie powściągnęła zapędy amerykańskiej Secret Service.

Na tydzień przed przyjazdem prezydenta kawalkada czarnych, opancerzonych limuzyn zajechała na zamkowy dziedziniec. W ramach przygotowań do pierwszej wizyty amerykańskiego prezydenta w Windsorze funkcjonariusze Secret Service otrzymali polecenie „przeczesań” budynku. Królowa

uśmiechnęła się na widok tego teatralnego entree. Kazała zakomunikować Amerykanom: „To mój zamek i jeśli ja czuję się w nim bezpiecznie, również pan prezydent powinien czuć się bezpiecznie”. Prezydent Reagan przyleciał śmigłowcem 7 czerwca 1982 roku. Paź komnaty audiencyjnej i ja mieliśmy dbać o prezydenta i jego żonę Nan-cy, których umieszczono w apartamencie 240, zajmującym całe pierwsze piętro wieży Lancasterów. Roztacza się stamtąd imponujący widok na półtorakilometrowej długości promenadę.

W prezydenckim małżeństwie rej wodziła Nancy. Prezydent nie potrzebował służącego, ponieważ żona nie opuszczała go ani na krok; jego ubrania przybyły nieskazitelnie zapakowane i odprasowane. Musieliśmy jednak być pod ręką, gdyby nas potrzebowano. Do prezydenckiego apartamentu wstawiliśmy pudełka czekoladek przewiązane czerwonymi, białymi i niebieskimi wstążeczkami, ale okazało się, że czekoladki nie są ulubionymi słodyczami amerykańskiego przywódcy. Reagan przywiózł ze sobą szklane słoiki, dziesiątki słoików z żelkami; na każdym widniało prezydenckie godło. Jeden stół w prezydenckim apartamencie przypominał stoisko w sklepie ze słodyczami. Reagan był wręcz uzależniony od żelek. Pierwszego wieczoru odbył się obiad przy świecach w wąskim gronie. Ubrany w szkarłatną liberię, krążyłem z tacą aperiti-fów po Salonie Zielonym. Byli tam członkowie delegacji amerykańskiej i rodziny królewskiej, między innymi księżę i księżna Walii, którzy przeprowadzili się już do Pałacu Kensington i Highgrove. Stojąc obok prezydenta i jego żony, zauważyłem, że Ronald Reagan wahał się, czy podejść do królowej.

- Idź, podejdz i porozmawiaj z królową - ponaglała Nancy męża i w końcu Reagan się przemógł. Wydało mi się sympatyczne, że Jej Królewska Mość onieśmiela nawet amerykańskich prezydentów. Mama i ciotka Pearl nie należały do wyjątków.

Ale one przynajmniej miały szczęście poznać królową. Kiedyś wymieniłem kilka listów z Bette Davis, legendarną aktorką hollywoodzką. Napisałem do niej jako wielbiciel jej talentu i otrzymałem odpowiedź. Tak zaczęła się nasza korespondencja. Trzeciego sierpnia 1984 roku Davis pożałowała mi się, że nie dane jej było uściskać ręki Jej Królewskiej Mości podczas obiadu, który wytwórnia 20th Century Fox wydała na cześć brytyjskiej monarchini:

Nie staliśmy nawet dość blisko, żeby zobaczyć, jak wygląda. Był to dla nas ogromny zawód, zwłaszcza że specjalnie założyliśmy białe rękawiczki. Pomyśleliśmy, że Jej Królewska Mość uznała chyba aktorów i aktorki hollywoodzkie za zgraję „meneli”... ale kiedy patrzę na Twój papier listowy z nadrukiem „Pałac Buckingham”, przechodzi mnie dreszczyk emocji - Bette Davis. Wizyty głów państw na dworze królewskim porównywałem zawsze z odwiedzinami zamożniejszych przyjaciół naszym domu przy Chapel Road, kiedy to stawiało się na stole najlepszą porcelanę. Podczas takich wizyt piwnice rezydencji królewskich są opróżniane z przechowywanych tam skarbów. Wynosi się kandelabry z pozłacanego srebra, podstawki do soli i pieprzu tak wielkie, że musi je nieść dwóch ludzi oraz złote sztuce z czasów Jerzego III. Przy stole w kształcie podkowy w Sali Balowej Pałacu Buckingham może zasiąść 160 gości, znacznie więcej niż na Zamku Windsor, gdzie stół ma 36 metrów długości i trzy metry szerokości. Pałacowy stół był tak szeroki, że aby ustawić na nim kandelabry i wazon z kwiatami, pomocnicy kamerdynerów musieli owijać buty ścierkami od kurzu i wchodzić na blat. Przy takich okazjach wymagano największej dokładności. Każde nakrycie musiało być ustawiane z linijką w rękę, sztuce były oddalone od krawędzi stołu co najwyżej na długość kciuka, a krzesła stały równo jak żołnierze na defiladzie; całość fachowym okiem sprawdzał majordomus.

Bankiet miał olśnić goszczącego w pałacu szefa państwa. Operacją kierował pałacowy steward, który niczym oświetleniowiec siedział przy konsolce, mając w swoim polu widzenia cały salon. W pomieszczeniach gospodarczych wszyscy wpatrywali się w kolorowe żarówki przypominające światła uliczne: żółta oznaczała „Uwaga”, zielona „Iść”. Gdy zapalało się zielone światło, dostojna procesja paziów i lokajów wkraczała do sali jednocześnie z kilku stron. Dla gości był to prawdziwy teatr, a pozorna swoboda i powolność aktorów tej sceny kontrastowały z gorączkowym pośpiechem panującym za kulisami, gdzie przygotowywano następne wejście.

W dzieciństwie zawsze powtarzano mi, że nie powinienem jeść, dopóki jedzenie nie zostanie podane wszystkim stołownikom. Na dworze tej zasady nigdy się nie przestrzega. Królowa zaczyna

jeść natychmiast, gdy staje przed nią talerz, choć roznoszenie dań wciąż trwa; niejedzenie gorącej potrawy uważa się za nietakt. Za czasów królowej Wiktorii jej talerz zabierano natychmiast, gdy zjadła - i wszystkim innym osobom, bez względu na to, czy skończyli posiłek. Dziś talerz zabiera się dopiero wtedy, gdy stołownik odłoży nóż i widelec.

Jeśli kolorowe światła są elementem nowoczesności w systemie obsługi, to tzw. kratownica jest spadkiem po minionej epoce. Ta ozdobna

krata stanowi tylną ścianę Sali Balowej. Służba obserwuje przez nią bankiet. Dziesiątki par oczu śledzi dyskretnie, lecz za przyzwoleniem zwierzchników, wielkich tego świata w ich odświętnych strojach.

Pewnego razu pożałowałem, że nie ma procedury szybkiego zapadania się pod ziemię. W 1979 roku towarzyszyłem królowej w czasie jej wizyty w państwach Zatoki Perskiej. Była to moja pierwsza podróż zagraniczna. Rankiem w dniu wyjazdu odbył się tradycyjny pożegnalny szampan dla służby. Uroczystością kierowała najbardziej zaufana pomocnica królowej, garderobiana Margaret MacDonald. Siedziała sztywno wyprostowana w fotelu. Odnaczała się drobną posturą, ale wyglądała imponująco: perfekcyjnie uczesane włosy, okulary w rogowej oprawie, uszyta przez królewskiego projektanta, sir Normana Hartnella, jedwabna suknia, a na niej trzy rzędy pereł i brosza, prezent od królowej. Była damą w każdym calu; tylko królowa i księżniczka Małgorzata miały prawo zwracać się do niej pieszczotliwie „Bobo”, bo w dzieciństwie była ich nianią. Dla służby stała się „oczami i uszami tronu” i nikt nie śmiał z nią zadzierać.

Przed wyjazdem dwa razy sprawdziła każdy drobiazg, pilnując, aby zapakowano wszystkie suknie, kapelusze i klejnoty. Miałem obowiązek wyczyścić i wyglansować skórzane kufry Jej Królewskiej Mości, wypolerować mosiężne tabliczki, a potem przywiązać do każdej sztuki bagażu na jednakowej wysokości żółty kartonik z napisem: „Królowa”. Panna MacDonald zawsze pilnowała, abym odpowiednio wyglansował też obuwie królowej. Była niesłychanie wymagająca, ale nigdy nie zapomniała, że wywodzi się ze służby; kiedy przed wieloma laty przybyła ze Szkocji, płakała w poduszkę przed zaśnięciem, tak bardzo tęskniła za rodzinnym domem.

Przed wyjazdem nad Zatokę Perską panna MacDonald uraczyła nas anegdotami o poprzednich wjazdach. Może byliśmy zbyt zafascynowani, a może szampan uderzył nam do głowy, w każdym razie mój starannie wyreżyserowany debiut w roli towarzysza podróży królowej zakończył się kompromitacją.

W połowie drogi na lotnisko Heathrow asystentka garderobianej, Peggy Hoath, odwróciła się do swojej koleżanki May Prentice i zawołała ze zgrozą:

- Zapomnieliśmy sukni królowej!

Siedziałem na przednim siedzeniu i nigdy w życiu nie obróciłem się do tyłu tak szybko. Twarze kobiet były szare jak popiół. Wszyscy wiedzieliśmy, że za pół godziny królowa ma wejść na pokład Concorde'a.

Tego zimnego lutowego poranka miała na sobie ciężki płaszcz i wełnianą suknię. W Pałacu Buckingham została długa jedwabna suknia w stylu arabskim, w którą królowa zamierzała się przebrać przed lądowaniem w Kuwejcie. Kierowca, rozumiejąc nasze przerażenie, dał znak policjantowi towarzyszącemu nam na motocyklu. Z pałacu w policyjnej eskorcie czym prędzej wysłano za nami samochód z feralną suknią.

Na lotnisku królową zatrzymano nieco dłużej niż zwykle w apartamencie Hounslow i w efekcie Concorde nie mógł odlecieć o wyznaczonej godzinie. Bardzo chciałem, żeby podczas mojej pierwszej podróży z królową wszystko przebiegło bez zakłóceń, a tu taki kłops. Królowa jednak, jak zwykle wyrozumiała, śmiała się tylko z naszych rozpaczliwych starań, aby przywieźć jej suknię. Uśmiechnięta szła do samolotu w towarzystwie lorda szambelana, który zgodnie z tradycją jest ostatnią osobą żegnającą królową przed odjazdem i pierwszą witającą ją po powrocie.

Był to pierwszy lot królowej Concorde 'em i mój pierwszy lot za granicę, bo w dzieciństwie byłem tylko na wakacjach w Skegness, Scarbo-rough i Newquay. Siedziałem obok kamerdynera księcia Edynburga, Barry'ego Lovella. Samolot wznosił się w powietrze, aż dotarł do „purpurowego korytarza” - przestrzeni powietrznej zarezerwowanej dla królowej, gdzie nie ma prawa latać żaden inny samolot. Zwykle lataliśmy samolotami Lockheed Tri-Star linii British Airways, w których

pierwszą klasę urządzono wedle życzeń królowej: nowe dywany, stół jadalny, kanapy, krzesła i łóżka. Służba podróżowała klasą ekonomiczną, która zamieniała się faktycznie w pierwszą klasę, bo wiele miejsc było pustych.

Na lotnisku powitał królową emir Kuwejtu. Nieco później Jej Królewska Mość przyjęła na pokładzie Britannii kolejno kilku władców arabskich. Królewski jacht stał się wkrótce prawdziwym skarbcem, bo każdy następny gość starał się prześcignąć poprzednika w hojności, ofiarując perskie dywany, kolie szafirowe i brylantowe, złote wielbłądy na podstawie z lapis lazuli, złoty dzban w kształcie sokoła.

Podczas późniejszych podróży gospodarze wręczali służbie drogie podarki w podziękę za ciężką pracę. W Jordanii otrzymałem złoty zegarek Omega z herbem króla na tarczy, medale, na przykład Order Lwa z Malawi i srebrną ozdobę od króla Szwecji.

W Kuwejcie po raz pierwszy wszedłem na pokład pływającego pałacu, czyli królewskiego jachtu Britannia. Jacht w pełnej gali, z pięcioma sztandarami powiewającymi z masztów i sznurem flag rozwieszonych od dziobu do rufy, wyglądał wspaniale. Jeszcze po wielu latach, wchodząc do przepysznych wnętrz jachtu, odnosiłem nieodparte wrażenie, że jestem w rezydencji - taka była skala i wystrój pokładu, górnego i głównego. W cudownym słońcu pożeglowaliśmy do Bahrajnu; podczas rejsu mogliśmy się opalać na górnym pokładzie.

Na jachcie królowa była zrelaksowana, w wyśmienitym humorze, ale jej królewski spokój pierzchnął, kiedy schodziła po stromym trapie na ład, gdzie miała zjeść obiad. Wtedy jedyny raz widziałem, jak straciła panowanie nad sobą. Była ubrana w jedwabną, turkusową suknię wieczorową z brylantowym diademem i nagle jej nowe wieczorowe buty poślizgły się na czerwonym dywanie, a królowa zaczęła się zsuwać po trapie. Czekałem już na nabrzeżu przy samochodzie i mogłem się tylko przyglądać całej scenie. Byłem przekonany, że królowa za chwilę upadnie na plecy; jak zdołała się utrzymać na nogach, nie wiem do dzisiaj. Kurczowo chwytając się poręczy, zaczęła wołać:

- Pomocy, pomocy!

Gdy znalazła się u dołu trapy, jej białe rękawiczki były zabrudzone. W samochodzie założyła zapasową parę, którą zawsze miała w torebce.

Jeśli chodziło o utrzymanie się na nogach, to znacznie ustępowałem królowej. Najpierw był incydent w Sandringham z psami corgi, które pociągnęły mnie za sobą i runąłem jak długi. Później, podczas podróży do Kentucky, królowa znów pochyliła się nade mną i zapytała:

- Paul, nic ci nie jest?

Podczas wizyty w Ameryce królowa udała się do stadniny koni Willa Farrisha - który został amerykańskim ambasadorem w Londynie - aby zobaczyć swoje klacze zarodowe i roczniaki. Od czasu upadku w Sandringham House odczuwałem bóle w plecach i leczyłem się z powodu przemieszczenia dysku. Po przylocie do Kentucky zaczęły się ostre bóle. Czułem się coraz gorzej. Zwykle schylenie się po buty królowej powodowało nieznośny ból, ale zaciskałem zęby, wiedząc, że wkrótce wrócimy do domu. I wtedy stało się najgorsze.

Ostatniego wieczoru, kiedy królowa jadła obiad, schodziłem ostrożnie po schodach prowadzących do jadalni. Nagle w lewej nodze poczułem gwałtowny ból, straciłem równowagę i spadłem z wysokości dwunastu schodów. Krzyknąłem przeraźliwie i wtedy zdałem sobie sprawę, że nie czuję nic od pasa w dół. Królowa i pozostali jedenastu siedzących przy stole gości przybiegło do holu. Nikt nie wiedział, co robić. Ktoś wykręcił 911, numer pogotowia, i zadzwonił do lekarza Farrisha Bena Roache'a.

Peggy Hoath, garderobiana królowej, uklękła przy mnie.

- Peggy, nie czuję nic poniżej pasa - powiedziałem.

Nikt nie śmiał mnie przenieść przed przyjazdem pogotowia. Sanitariusze ułożyli mnie na noszach i zanieśli do karetki, która ruszyła do szpitala w policyjnej eskorcie.

Lekarze w Szpitalu Onkologicznym im. Luccille Markey w Lexington, który pełnił również funkcję miejscowego szpitala ogólnego, zastanawiali się nad przeprowadzeniem natychmiastowej operacji. Zgodnie z obowiązującą procedurą na czas wizyty królowej w szpitalu urządzono specjalny apartament królewski. Byłem pierwszym służącym, który spał w łóżku szpitalnym

przeznaczonym dla królowej. Moje przyjęcie otoczono taką tajemnicą, jakbym sam był monarchą. W pokoju pielęgniarek, na tablicy z danymi każdego pacjenta, pozostawiono puste miejsce, nie wpisując mojego nazwiska. Zamiast niego narysowano koronę, symbol płci męskiej i stopę*.

Diagnoza brzmiała: w dolnym odcinku kręgosłupa został uszkodzony dysk, który przemieścił się i uciska okoliczne nerwy, stąd utrata czucia od pasa w dół.

Kiedy leżałem w łóżku i patrzyłem w sufit, ujrzałem nad sobą twarz lorda Porchestera, dyrektora królewskich stajni.

- Decyzja ta nie przyszła królowej łatwo...

Wyjaśnił mi, że terminarz nie pozwala, aby królowa czekała, aż wróć do zdrowia, a ja z kolei w tym stanie nie mogę podróżować samolotem; Jej Królewska Mość i jej świta muszą wracać beze mnie.

- Jesteś w najlepszych rękach i królowa zadba, aby niczego ci nie brakowało - zapewnił.

Później lekarz poinformował, co mnie czeka:

- Przemieszczony dysk uciska okoliczne nerwy, powodując ich czasowe porażenie. Musimy zlikwidować ucisk i usunąć przemieszczony dysk. Jeśli nie zareagujemy natychmiast, możesz nigdy nie odzyskać czucia w nogach.

O północy zapadła decyzja o przeprowadzeniu operacji. Pierwszą osobą, którą ujrzałem po przebudzeniu się z narkozy, była pielęgniarka Doris Gallagher. Powiedziała, że operacja się udała i wkrótce odzyskam czucie.

- Całkowicie wrócisz do zdrowia - zapewniła.

Wciąż na wpół przytomny, wśród przysłanych kwiatów i owoców, oglądałem w telewizji transmisję ze startu samolotu królowej z lotniska w Lexington.

Po trzech dniach chodziłem już przy użyciu balkonika po oddziale, który na dwa tygodnie stał się moim domem. Zajrzałem do pokoju obok, żeby poznać swojego sąsiada.

- Cześć, jestem Ron Wright, a to moja żona Julie - powitał mnie wesoło Amerykanin.

Julie karmiła puree ziemniaczanym osiemnastoletnią dziewczynę, która siedziała na łóżku, otoczona rurkami i urządzeniami medycznymi.

- Mrugnij raz, jeśli chcesz jeszcze - powiedziała Julie do swojej córki Beth.

Przed kilkoma dniami Beth usunięto guz mózgu. Nagle mój ból stracił wszelkie znaczenie. Beth leczyła się od ósmego roku życia. Julie skończyła ją karmić.

- Beth nigdy dotąd nie słyszała angielskiego akcentu. Czy mógłbyś spędzić z nią trochę czasu? - spytała.

Przez następne jedenaście dni mówiłem do Beth. Jej matka twierdziła, że dziewczyna słucha mnie, bo porusza oczami. Kiedy nadszedł czas wyjazdu, pożegnałem się z Beth.

Po powrocie do Anglii korespondowałem z Ronem Wrightem oraz jego bratem Claude'em i żoną Shirley, która czytała Beth moje listy. Trzy i pół roku później Beth zmarła.

Królowa dotrzymała słowa. Nigdy nie zobaczyłem rachunku za pobyt w szpitalu i odleciałem do Anglii nowym odrzutowcem BAe 146. Nie wszedł on jeszcze do Eskadry Królowej - musiał wylatać sporo godzin, zanim Jej Królewska Mość mogła wejść na pokład. Zostałem więc królikiem doświadczalnym; odrzutowiec, wyposażony w łóżka w przedziale królewskim, poleciał do Kentucky po jednego lokaja-rekonwalescencja. Byłem pierwszym pasażerem, który podróżował nowym samolotem królowej.

Zjeździłem z królową pół świata - byłem w Chinach, Australii, Nowej Zelandii, na Karaibach, w Europie, Algierii, Maroku - ale co roku odbywałem specjalną podróż: do odległego o zaledwie kilka kilometrów od Zamku Windsor toru wyścigów konnych w Ascot. To była ulubiona data w kalendarzu królowej, ponieważ pasjonowała się ona tym „sportem królów”.

W czerwcu 1982 roku służba pałacowa interesowała się przede wszystkim kwestią, czy pierwsze dziecko księcia i księżnej Walii będzie chłopcem czy dziewczynką, i czy przyjdzie na świat w czasie czterodniowego hippicznego święta. Poród na szczęście nastąpił później, więc królowa mogła w spokoju obserwować wyścigi. Jej Królewska Mość nigdy nie gra, bo nie nosi przy sobie pieniędzy (wyjątkiem jest kościół), ale dla zabawy typuje zwycięzcę i czerpie przyjemność z przyglądania się najwspanialszym wierzchowcom w akcji.

Dla mnie największym przeżyciem była piętnastominutowa jazda otwartym powozem z Home Parku przez Golden Gates i słynną Straight Mile w królewskim orszaku, który od 1825 roku co roku pokonuje tę trasę. Lokaj, ubrany w szkarłatną liberię i cylinder, siedzi sztywno z tyłu królewskiego powozu i patrzy prosto przed siebie. Jego twarz powinna pozostać nieruchoma i nieprzenikniona, choć z oddali dobiega już coraz głośniejsza wrzawa, a orkiestra królewska zaczyna grać.

Gdy tylko powóz wjeżdża na trawę, Jej Królewska Mość wychyla się i sprawdza, jak głęboki odcisk pozostawiają koła. Dowiaduje się wówczas, czy grunt jest miękki czy twardy.

Przy pierwszych dźwiękach Boże chroń królową, po dyskretnym szturchnięciu kolegi lokaja, jednocześnie zdejmowaliśmy cylindry. Zgromadzone wokół panie wiwatowały, a panowie uchylali cylindrów. Kiedy muzyka cichła, a powóz wjeżdżał do królewskiego sektora, wysiadałem i podawałem rękę królowej. Sprawne opuszczanie jadącego powozu nie jest łatwe, ale szczęśliwie udało mi się uniknąć upadku.

W łoży królowa z wielkim ożywieniem przyglądała się koniom przez lornetkę. Sztywny gorset etykiety rozluźniał się nieco. Jej Królewska Mość zagrzewała konia do biegu, klaskała z radości, a czasem nawet pozwalała sobie na okrzyk. Zabawny i ujmujący był to widok, gdy monar-chini oglądała gonitwę w telewizji w łoży królewskiej, po czym z niejakim wdziękiem wybiegała na balkon, aby zobaczyć, jak konie pokonują ostatnie pół kilometra do mety.

Królowej towarzyszy! zawsze lord Porchester, który informował ją o formie wierzchowców. Ja również byłem u jej boku, pilnując, aby między trzecią a czwartą gonitwą podano herbatę.

Księżniczka Małgorzata nie pijała herbaty, wołała koktajl Pimm's.

Księżna Walii nie mogła wybrać lepszego terminu na poród. Wyścigi w Ascot odbyły się bez zakłóceń, a 21 czerwca 1982 roku o dziewiątej wieczorem w St. Mary's Hospital w Paddington urodził się książę

William, czyli Baby Walii, jak go nazwała księżna. Trzy kilometry dalej, na piętrze królowej w Pałacu Buckingham, służba pałacowa, dowiedziawszy się o szczęśliwym rozwiązaniu, otworzyła butelkę szampana.

W Pałacu Buckingham wszyscy chcieli koniecznie zobaczyć książęce niemowlę i nie mówili o niczym innym, ale pierworodny syn następcy tronu spędził pierwsze tygodnie w Pałacu Kensington z niańką, Barbarą Barnes.

Księcia Williama ujrzałem po raz pierwszy dwa miesiące później w Zamku Balmoral. Leżał okryty koczykiem w swoim wielkim niebieskim wózku, który stał na trawniku przed zamkową wieżą, obok fontanny. Niania doglądała go z okna.

Pewnego wieczoru w Chińskim Salonie Jadalnym w Pałacu Buckingham odsłonięto najnowszą figurę woskową Jej Królewskiej Mości, przeznaczoną do galerii Madame Tussaud.

- Może chciałbyś zobaczyć? - spytała mnie królowa.

Ruszyła przodem, za nią biegły psy. Zamykałem pochód, zachęcając bardziej niezdecydowane psiaki do marszu. Chiński Salon jest oczywiście urządony w stylu orientalnym i utrzymany w tonacji czerwonej, złotej i zielonej. Kominek zdobią rzeźby splecionych smoków i węży, centralne miejsce zajmuje chiński kobierzec, lampy mają kształt chińskich latarni. Człowiek odnosi wrażenie, jakby znalazł się w Pawilonie Brighton w czasach księcia regenta*.

Królowa weszła do pogrążonej w mroku sali i ujrzała stojącą samotnie pośrodku kobiecą postać w sukni wieczorowej. Zaskoczona, cofnęła się odruchowo. Zapaliła światło i woskowa figura ukazała się w pełnej krasie. Podobieństwo było uderzające.

Rzeźbiarze uchwycili każdy rys twarzy i każdy jej szczegół, nawet dwa kosmyki siwych włosów nad uszami. Królowa jest przyzwyczajona do pozowania do portretów i podziwiania końcowego efektu, ale dla mnie była to nowość, patrzyłem więc jak urzeczony na stojącą przede mną „bliźniaczkę”.

- Jest świetna, prawda? - powiedziała królowa, podchodząc bliżej do figury. - Jakim cudem może być tak wierna kopia? - zastanawiała się.

Po dziesięciu minutach skinęła głową na znak aprobaty, zgasiła światło i wyszła. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy opuściłem „królową” stojącą samotnie w ciemnościach. Po tym pokazie figurę

umieszczono za zezwoleniem królowej w galerii Madame Tussaud.

W 1984 roku zaszło w moim życiu doniosłe wydarzenie: ożeniłem się z Marią Cosgrove. Królowa zgodziła się, abyśmy po ślubie pozostali w pałacu. Decyzją ta była sprzeczna z wielowiekowym protokołem dworskim i sprawiła, że pierwszy raz znaleźliśmy się na czołówkach gazet.

Drugie królewskie wesele.

KRÓLOWA ZACHWYCONA ŚLUBEM W PAŁACU - głosił nagłówek W „News of the World”. MIŁOŚĆ POŁĄCZYŁA PAŁACOWYCH SŁUŻĄCYCH - krzyczał „Daily Mirror”. Nasz ślub przeszedł do historii, a było to w czasach, gdy nie ukazywało się jeszcze pismo „Hello!” i ślub pozostawał prywatną sprawą małżonków.

Spędziwszy osiem lat w cieniu rodziny królewskiej, Maria i ja znaleźliśmy się nagle w świetle jupiterów. Ceremonia ślubna odbyła się 21 lipca 1984 roku w kościele rzymskokatolickim pod wezwaniem Matki Boskiej w Wrexham. Przez cały ranek dziennikarze i fotoreporterzy gazet niedzielnych koczowali pod rodzinnym domem Marii, a potem podążyli za ślubnym orszakiem do kościoła. Uroczystość nazwano „najnowszym weselem królewskim”; z punktu widzenia mediów była ona tym ciekawsza, że pan młody pracował dla królowej, a panna młoda - dla księcia Edynburga.

Reporterka z „News of the World”, udając jednego z gości weselnych, wśliznęła się do domu Marii, weszła na piętro i w sypialni natknęła się na jej mamę, Elizabeth, która przebierała się przed ceremonią. Zapytała, co matka panny młodej sądzi o wydarzeniu.

- Wynoś się, cwaniaro - usłyszała w odpowiedzi.

Kiedy wraz z drużbą, moim bratem Anthonym, przyjechaliśmy do kościoła, reporterzy czekali już z aparatami gotowymi do zdjęć. Nie spodziewano się nikogo z rodziny królewskiej. Wśród gości byli tylko anonimowi służący: Paul Whybrew, lokaj królowej, Peggy Hoath, garderobiana, i Michael Fawcett, starszy lokaj. Kapelan królowej, kanonik Anthony Caesar, odziany w szkarłatne szaty, koncelebrował nabożeństwo.

Zamiast prowadzić weselników do ławek, mistrzowie ceremonii stali przy drzwiach kościoła i nie wpuszczali do niego dziennikarzy. Martwiłem się tylko, aby nasz wielki dzień nie został zepsuty, bo wielu gości miało przybyć aż z Londynu. Od dziewięciorga przyjaciół otrzymaliśmy telegram, który do dziś stoi u nas w domu oprawiony w ramki: Choć nas nie zaproszono, w jednym jesteśmy zgodni, jeśli chcesz nas ugłaskać, przynieś nam kawałek weselnego tortu - Chipper, Smokey, Shadow, Pi-per, Fable, Myth, Jolly, Sparky, Brush. U dołu widniał atramentowy odcisk psiej łapy. Ciekawscy dziennikarze nigdy się o tym nie dowiedzieli. Znacznie bardziej interesowali się tym, jak poznaliśmy się z Marią.

W roli swatki wystąpiła Rosę Smith, pokojówka księżniczki Anny. Podobnie jak ja Rosę pochodziła z Derbyshire i chodziła ze mną do High Peak College w Buxton, ale pracę w Pałacu Buckingham zaczęła pół roku przede mną. Wyszła za męża za mojego najlepszego przyjaciela, lokaja Rogera Gleeda, i musiała odejść z pałacu: w owych czasach pary małżeńskie nie mogły pracować razem. Została garderobianą księżnej Gloucester w Pałacu Kensington.

Dzięki znajomości z Gleedami znalazłem się w tym samym kręgu towarzyskim, co najbliższa przyjaciółka Rosę, Maria Cosgrove. Maria pracowała najpierw w pokoju bieliźnianym, potem w Apartamencie Bel-gijskim, a wreszcie w apartamencie księcia małżonka. Często ją mijałem, nie zwracając na nią większej uwagi; to ona nazwała mnie „hrabią, co psy obrabia”. I nagle ją dostrzegłem. Cięty dowcip, zaraźliwy śmiech, piękne brązowe oczy i ciemne włosy, charakterystyczna gestykulacja - kraul w odwrotną stronę, z machaniem rękami do tyłu. Swoje znaczenie miała też romantyczna atmosfera Balmoral. Siadywaliśmy nocami przy ognisku i śpiewaliśmy szkockie piosenki aż do ochrypięcia. Akompaniował nam główny dudziarz McCrae, a Cyril Dickman dzwonił swoim dzwonkiem. Maria została moją przyjaciółką, potem najlepszą przyjaciółką, a wiosną 1983 roku zakochaliśmy się w sobie.

Podczas weekendowych wizyt w domu Marii w Holt, w pobliżu Wrex-ham na granicy walijsko-angielskiej, poznałem jej rodziców. Tak jak ja, moja przyszła żona pochodziła ze zżytej ze sobą społeczności robotniczej. Czułem się tam jak u siebie w domu. Matka Marii, Elizabeth, kazała mi mówić do siebie Betty. Gotowała i piekla bez przerwy. Jej kuchnia była istną fabryką: wszędzie

stały półmiski z ciastem z owocami, kulebiakami z mięsem, zapiekankami z mielonego mięsa i ziemniaków. Nawet królewski kuchmistrz Robert Pine nie piekł tyle. Katolicyzm odgrywał podobną rolę w życiu Betty, jak królowa w moim. Wszędzie widziało się zdjęcia papieża. Tuż za tylnymi drzwiami domu stała mała miska ze święconą wodą, w której Betty zanurzała palce i zęgnęła się, gdy wychodziła z domu.

- To chroni cię za każdym razem, gdy wychodzisz na dwór. Powinieneś powiedzieć o tym królowej, Paul - radziła.

Ojciec Marii, Ron, wesoły i pełen wigoru elektryk, opowiedział mi wszystko o swojej „pięknej córeczce” i zasypał kawałami. Kiedy zobaczyłem go następnym razem, był już innym człowiekiem. Siedział w fotelu z maską tlenową na twarzy i oddychał z trudem. Umierał na raka płuc. Maria bardzo pragnęła, aby ojciec zobaczył z okna jej sypialni w Pałacu Buckingham uroczystą paradę wojskową, która miała się odbyć w czerwcu owego 1983 roku. Służbowa winda nie dojeżdżała do najwyższego piętra, Roger Gleed i ja musieliśmy więc wnieść go tam wraz z wózkiem inwalidzkim. Ron był bardzo podniecony wizytą w pałacu, dumny ze swo-jej córki i z tego, co osiągnęła. Umarł cztery tygodnie później w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat.

Na Sylwestra zabrałem Marię do domu do Derbyshire i oświadczyłem się jej w hotelu, w Higham Farm, klękając na jedno kolano i ofiarując pierścionek z brylantem, na który wydałem wszystkie oszczędności. Chciałem, żeby miała najpiękniejszy pierścionek, na jaki mnie stać. Małżeństwo z Marią wymagało kompromisu. Musiałem zostać konfir-mowany jako członek Kościoła anglikańskiego, ale, spełniając wolę przyszłej teściowej, obiecać, że nasze dzieci będą wychowane w wierze rzymskokatolickiej. Wymagane nauki otrzymałem od kapelana królowej, kanonika Anthony'ego Caesara, a biskup Londynu konfirmował mnie. Gdy wchodzę do kościoła katolickiego, pod wpływem Betty machinalnie zanurzam palce w chrzcielnicy.

Po poinformowaniu rodziców pozostała jedna osoba, której należało opowiedzieć o naszych planach. Karmienie psów było najlepszą okazją do zakomunikowania królowej, że między jej lokajem a pokojówką męża zrodziła się miłość. Królowa była zachwycona.

- Jaka szkoda, że będzie musiała odejść ze służby - powiedziałem.

- O, a dlaczegoż to? - zapytała monarchini. Przypomniałem więc o niepisanym prawie, którego przestrzegano od stuleci.

- Czy nic nie można na to poradzić?

- Cóż, z całym szacunkiem, to Wasza Królewska Mość jest królową - odparłem.

Słowo szepnięte do właściwego ucha odniosło skutek. Majordomus poinformował nas listownie, że Maria nie będzie musiała odejść ze służby. Królowa wstawiła się za nią, postanowiono więc zrobić wyjątek.

W ciągu pięciu lat służby dla królowej przekonałem się, że jest ona osobą komunikatywną i bezpośrednią, która spełnia wszystkie obowiązki głowy państwa, ale lubi odpoczywać w domowym zaciszu i chętnie żartuje. Docenia swój personel, bez którego nie mogłaby się obejść.

Na tydzień przed ślubem królowa wezwała nas do siebie. Nie miałem służby i czekaliśmy niczym goście w westybulu paziów. John Taylor otworzył drzwi do salonu i zaanonsował nas: „Paul i Maria, Wasza Królewska Mość”, w ten sam sposób, w jaki ja zaanonsowałem: „Pani premier, Wasza Królewska Mość”, gdy pewnego dnia na Bahamach Margaret Thatcher weszła na pokład jachtu Britannia.

Królowa stała pośrodku salonu. Czuję się dziwnie, bo po raz pierwszy w jej obecności miałem na sobie cywilne ubranie.

- To będzie dla was bardzo emocjonujący weekend - powiedziała królowa.

Wręczyła nam małe granatowe pudełko, prezent od siebie i księcia Filipa. W środku był pozłacany i zdobiony emalią zegar przenośny, noszący osobisty monogram pary królewskiej. Potem królowa otworzyła wieko jeszcze większego pudełka i wręczyła nam dwa porcelanowe świeczniki, ręcznie malowane w kwiaty. Nie wiedzieliśmy, jak dziękować. Były to nasze pierwsze prezenty ślubne.

- Bawcie się dobrze i chcę was oboje widzieć w Balmoral - powiedziała królowa na odchodnym.

Maria dygnęła, ja złożyłem ukłon.

Mieliśmy służyć na dworze jako pan i pani Burrell.

Podczas ślubu w kościele zabrakło jednej ważnej osoby: ojca Marii, Rona. Przytłumiło to nieco naszą radość. Brat Marii, Peter, godnie jednak zastąpił ojca, prowadząc siostrę do ołtarza. Kiedy przy dźwiękach kościelnych organów ja i moja piękna żona wyszliśmy z kościoła, stanęliśmy oko w oko z tłumem dziennikarzy i fotoreporterów. Było ich tylu, że nie mogliśmy dostać się do samochodu. Drogę utorowali nam kanonik Caesar i Michael Fawcett. Przez chwilę pozowaliśmy do zdjęć przy głównych drzwiach, po czym czmychnęliśmy do auta.

W duszne letnie popołudnie w hotelu Bryn Howell w Llangollen rozpoczęło się przyjęcie weselne. Drużba odczytał listy i telegramy z życzeniami od przyjaciół. Jeden zostawił na koniec: Gratulacje i najlepsze życzenia na nowej drodze życia - Elżbieta R i Filip.

Wieczorem wyjechaliśmy na dwie noce miodowe do Llandudno. Później mieliśmy wrócić do służby w Balmoral. W niedzielę rano pod drzwiami pokoju hotelowego położono gazety. Na pierwszych stronach była wiadomość o naszym ślubie.

Balmoral nie był przygotowany na zmianę w protokole i zakwaterowanie świeżo poślubionej pary służących. Pokój Marii wyglądał na większy, postanowiliśmy więc w nim zamieszkać; psy, Chipper i Shadow, spały na podłodze. Księżna Walii, będąca w zaawansowanej ciąży z drugim dzieckiem, chciała dowiedzieć się wszystkiego o naszym weselu. Maria poszła do niej pokazać zdjęcia ślubne. Obie siedziały na łóżku i chichotały jak uczennice. Nagle, po dziesięciu minutach, usłyszały głos: - Diana? Diana, gdzie jesteś? Lunch. Była to królowa.

- Muszę iść, już jestem spóźniona - powiedziała księżna - ale zostaw zdjęcia, to je sobie później obejrzę.

Poprzez Marię księżna poznała mnie bliżej: byłem mężem służącej, której ufała. Co ważniejsze, byłem lokalem królowej i cieszyłem się jej zaufaniem. Uznała mnie więc za potencjalnego sprzymierzeńca, ale musiała wcześniej dokładnie wybać. W ciągu trzech lat, które upłynęły od chwili jej zaręczyn, widziała mnie zawsze u boku królowej.

W sierpniu tego roku księżna wciąż wynajdywała preteksty, aby przebywać wśród służby. W Balmoral tęskniła za londyńskimi lunchami w gronie przyjaciółek: Janet Filderman, Caroline Bartholomew, Carolyn Herbert i Sarah Ferguson, która spotykała się wówczas z księciem Andrzejem. Coraz częściej zaglądała do mnie do westybulu paziów. Wymienialiśmy uprzejmości i prowadziliśmy zdawkowe rozmowy. Księżna, choć sprawiała wrażenie niezwykle życzliwej, sondowała mnie. Mówiła, że bardzo tęskni za Londynem. Ja pytałem ją o zdrowie, bo spodziewała się dziecka, mówiłem o radościach małżeństwa i o tym, jak bardzo Maria i ja pragniemy dzieci. Podczas tych rozmów dręczyła mnie wątpliwość, czy tak przyjacielskie stosunki z księżną są aby właściwie.

Księżna żartowała, że od ciągłego kurtuazyjnego uśmiechu, którego od niej wymagano, zwiotczeją jej mięśnie twarzy. Była wzruszona, że wszyscy nadal zwracają się do niej per „Lady Di”. „To powinno na jakiś czas zamknąć usta republikanom” - żartowała. Jako dziecko Spencerów, ludzi o silnej woli, za nic nie chciała dopuścić, aby widziano ją zmęczoną, smutną czy zdenerwowaną. Czuli się coraz pewniejsza siebie, ośmielała się więc brać udział w dyskusjach na tematy polityczne. W liście do długoletniej przyjaciółki pisała o swoim wewnętrznym rozdwojeniu: Zachodzi we mnie zdumiewająca przemiana: Diana, która stroni od ludzi, i księżna, która powinna wypełniać jak najlepiej swoje obowiązki publiczne. Ta druga zwycięża, ale jakim kosztem tej pierwszej?

Publiczne obowiązki pozbawiały ją energii w życiu prywatnym. Nieustanne światło jupiterów sprawiło, że jeszcze bardziej dbała o swój wygląd. Wątpliwości, czy dobrze wypełnia swoją rolę, zaostrzały buli-mię, ale księżę Karol był niezawodnym oparciem. Pisała do przyjaciółki: Tempo naszego życia jest zawrotne... Muszę być tu, tam i wszędzie. Karol jest cudowny, ma dla mnie wiele zrozumienia, gdy czasami czuję się nieco speszona i smutna z powodu stałej presji. Nie liczyłam, że będzie mnie tak wspierał. Staram się ze swej strony również wspierać Karola i jednocześnie być matką. Nie wiem, co powinno mieć pierwszeństwo. W praktyce K, ale co mam robić, kiedy prasa porównuje nas i sypcha K. na drugi plan?

Nieżyczliwi twierdzili, że księżna nie rozumie, iż księżę Karol może czuć się bardzo niezręcznie w

cieniu własnej żony; panowała bowiem prawdziwa „mania na punkcie Lady Di”. Diana pisała do przyjaciółki: Musi również zrozumieć, że po raz pierwszy jest z inną osobą, więc ludzie chcą, żebym się pokazywała i rozmawiała z nimi. To rzeczywiście musi być dla niego trudne. Mniej więcej w tym czasie księżna wystawiła mnie na próbę, chcąc sprawdzić, czy to, co mi powie, dotrze do królowej. Czekałem w westybulu paziów na wezwanie do królowej, gdy nagle zza rogu wyłoniła się księżna Walii. Jej ciąża i stan zdrowia były ponownie głównych tematem rozmów. Ni stąd ni zowąd powiedziała:

- Będę miała syna.

Wydawało mi się, że wiadomość ta jest zbyt osobista, aby przekazywać ją akurat mnie. Czy wszyscy już wiedzieli? Czy była to tajemnica? I dlaczego jest tak nieostrożna? Przed narodzinami księcia Williama służba robiła zakłady, czy dziecko będzie chłopcem czy dziewczynką. Księżna musiała chyba zauważyć moje zaskoczenie.

- Naprawdę nie uważam, że Wasza Królewska Wysokość powinna mi to mówić.

Diana wybuchnęła śmiechem. Lubiła zaskakiwać ludzi. Maria, jak się okazało, o niczym nie wiedziała. Jeśli był to egzamin, to go zdałem, bo żadne z nas nie zdradziło tajemnicy. Królewskie małżeństwo przypominało bezchmurne niebo. Księżna była wciąż bardzo zakochana. Do przyjaciółek pisała, że jej życie jest cudowne.

Piętnastego września 1984 roku w szpitalu St. Mary's Hospital w Paddington, o godzinie czwartej dwadzieścia po południu przyszedł na świat chłopiec, któremu nadano imię Harry.

Dla księżnej była to wyjątkowa chwila:

- Czuję się taka szczęśliwa - wyznała.

Mniej więcej w tym samym czasie nastąpiło inne szczęśliwe wydarzenie: Maria była w ciąży z naszym pierwszym dzieckiem.

- Idź, Paul. Biedaczka jest tam już tak długo - powiedziała królowa.

Maria leżała w szpitalu Westminster, a termin porodu upłynął przed dwoma tygodniami. Byłem w stałym kontakcie z oddziałem położniczym i normalnie pracowałem, ale królowa, zaniepokojona opóźnieniem porodu, uważała, że moje miejsce jest przy żonie. Prosiła tylko, żebym zadzwonił do jej pазia Johna Taylora, gdy będę coś wiedział.

We dwójkę z Rogerem Gleedem pobiegliśmy do szpitala. Od trzeciej po południu do szóstej rano następnego dnia ani na krok nie odszedłem od łóżka Marii.

Dwudziestego drugiego maja 1985 roku z przeraźliwym krzykiem przyszedł na świat Alexander Paul Burrell. Obserwowanie porodu własnego dziecka jest najbardziej niesamowitym przeżyciem. Nic nie może się równać z tą cudowną chwilą. Wszedłem na korytarz, gdzie wciąż czekał na mnie Roger. Pamiętałem o poleceniu królowej, więc zadzwoniłem do Johna Taylora z dobrą nowiną. Królowa, a nie rodzice, pierwsza dowiedziała się, że zostałem ojcem.

Frances Simpson i Harold Brown, gospodyni i główny kamerdyner księcia i księżnej Walii w Pałacu Kensington, przyjechali z bukietem kwiatów, płynem do kąpieli i odręcznym liścikiem następującej treści: Co za wspaniała z Ciebie kobieta! Pozdrowienia od Diany, Willia-ma i Harry'ego.

Nagłówek w „Sunday Mirror” głosił: KRÓLEWSKIE DZIECKO MARI, a reporter Brian Roberts nazwał Alexandra „nowym królewskim dzieckiem”.

Tytuły w prasie rozbawiły również królową, która bardzo chciała zobaczyć małego. Niewiele dzieci w wieku siedmiu dni miało zaszczyt być na audyencji u Jej Królewskiej Mości w Pałacu Buckingham. Maria, trzymająca dziecko na rękach, i jej niezwykle dumny mąż stanęli przed obliczem królowej, która miała na sobie bryczesy i koszulę z długim rękawem, a na nogach czarne buty do jazdy konnej - wyglansowane przeze mnie poprzedniego dnia. Wróciła właśnie z przejażdżki konnej po ogrodzie na Birmańczyku. Był to koń policyjny, który przez 364 dni w roku pełnił służbę, ale podczas oficjalnej defilady wojskowej z okazji urodzin królowej stawał się wierzchowcem Jej Królewskiej Mości.

Maria dygnęła, ja ukloniłem się. Alexander szybko zasnął, nieświadom powagi chwili.

- To bardzo miło ze strony Waszej Królewskiej Mości, że zechciała nas przyjąć - powiedziałem.

Królowa uśmiechnęła się i podeszła do zawiniątka, który trzymała Maria.

- Jakie małe paluszki - powiedziała i włożyła palec w zaciśniętą piąstkę naszego synka. - Chcę wam ofiarować mały upominek - rzekła, biorąc ze stołu paczkę. - To dla Alexandra.

Maria otworzyła pudełko, w którym były dwa sweterki, pięknie zawinięte w bibułę. Audyencja trwała pięć minut, ale świeżo upieczeni rodzice pęcznieli z dumy. Kiedy wychodziliśmy, nasze szczęście zmącił nieco wyższy rangą służący, który mijając nas, mruknął do siebie:

- Można mu było założyć krawat.

Opuściliśmy nasze pokoje na najwyższym piętrze pałacu i przeprowadziliśmy się do mieszkania z dwoma sypialniami w królewskich stajniach w tylnej części ogrodu, w południowo-zachodnim rogu posiadłości. Maria zrezygnowała ze służby u księcia Edynburga, aby poświęcić się całkowicie opiece nad dzieckiem. Naszymi najbliższymi sąsiadami byli Roger i Rosę Gleed. Mieszkania, przeznaczone głównie dla stajennych i szoferów, znajdują się nad łukowatą bramą, która wiedzie do królewskich garaży dla rolls-royce'ów i stajni dla 35 koni ciągnących reprezentacyjne powozy.

Centralne miejsce zajmuje tam złota karoca koronacyjna. Stajnie królewskie, podobnie jak pałac, mają wewnętrzny dziedziniec. Zarządza nimi koniuszy koronny, który sprawuje pieczę nad wszystkimi środkami lokomocji rodziny królewskiej i pałacowego gospodarstwa.

Księżna Walii często wpadała do nas po porannej kąpieli w basenie. Tydzień po porodzie przyniosła Alexandrowi dwurzędowy ciepły kaftanik. Rozmawiała z Marią przy kubku kawy i ze śmiechem grzebała w naszych kredensach, szukając batoników.

Królowa wiedziała, kiedy księżna chodzi na basen. Z salonu słyszała zgrzyt żwiru pod kołami samochodu wjeżdżającego na dziedziniec, księżnej więc nie wypadało nie odwiedzić teściowej. Po basenie, a przed wizytą u Marii, wbiegała na górę do pałacu. Wychodząc od królowej, pytała mnie:

- Czy mogę zajrzeć do Marii?

Kiedy wyjeżdżała przez bramę frontową, dzwoniłem do Marii i uprzedzałem ją:

- Księżna jedzie do ciebie, zobacz, czy nie masz bałaganu.

Kiedy Diana po raz pierwszy przyjechała zobaczyć Alexandra, u Marii była moja i jej matka. Nigdy nie pukała do drzwi, zawsze wchodziła, wołając wesoło „dzień dobry”. Maria przedstawiła jej obie babce, które były bardzo onieśmiałe.

- Ach, jaki śliczny! - zawołała księżna. Wraz z Marią z zachwytem patrzyła na naszego syna. Kiedy podniosła wzrok, obu babć nie było w mieszkaniu, czekały na balkonie. Uznały, że nie wypada im przebywać w pokoju, gdy jest tam księżna Walii.

Księżna uspokoiła je.

- Ależ wejdźcie i popatrzcie na Alexandra.

Maria i księżna Walii były jak sąsiadki, których mężowie wyszli do pracy. Księżna siadywała na kanapie i brała na ręce Alexandra. Wiosną 1986 roku zaczęła się głośno zastanawiać, że byłoby wspaniale, gdybyśmy z Marią pracowali u niej. Minęło już pięć lat od chwili, gdy Maria musiała odrzucić pierwszą propozycję księżnej, która chciała mianować ją swoją garderobianą.

- Bardzo chciałabym pracować u ciebie, ale Paul nigdy nie opuści królowej. Jest jej bezgranicznie oddany - odpowiadała Maria.

Księżna dostrzegła tę przeszkodę, ale nie zniechęcała się. Podczas rozmów przy kawie stale powracała do sprawy i nie ustawała w namowach.

- Byłoby cudownie, gdybyście razem pracowali w Highgrove.

W ten sposób, tydzień po tygodniu, urabiała Marię. Jako matka знаła słaby punkt mojej żony. Podkreślała więc, że na wsi żyje się znacznie lepiej niż w mieście. Mielibyśmy tam domek zamiast mieszkania, prywatny ogródek dla Alexandra zamiast St. James's Parku z jego małym placem zabaw. Roztaczała perspektywę sielankowego życia, której Maria nie mogła się oprzeć.

Moja żona powoli ulegała uporczywym namowom księżnej, ja tymczasem o niczym nie wiedziałem. Kiedy podróżowałem z królową albo przebywałem na Zamku Windsor podczas weekendu, Maria zostawała sama z Alexandrem; zaczynała rozumieć, że pracując w Highgrove, byłbym zawsze w domu. Koniec z podróżami, z weekendowymi wyjazdami, z Bożym Narodzeniem na Zamku Windsor, z rejsami jachtem królewskim.

Z upływem 1986 roku Maria zaczęła coraz bardziej przychylić się do zdania księżnej. W Highgrove żyłoby się nam znacznie przyjemniej. A księżna miałaby prawdziwych przyjaciół wśród służby.

- Zostaw to mnie, przekonam go - zapewniła Maria księżną.

Dwudziestego trzeciego lipca 1986 roku w Opactwie Westminsterskim odbył się ślub Sarah Ferguson z księciem Andrzejem. Działo się to na tydzień przed piątą rocznicą ślubu księcia i księżnej Walii.

Tym razem to Paul Whybrow musiał zostać w pałacu z psami i dopilnować przygotowań do weselnego przyjęcia, ja zaś pojechałem z królową i księciem Filipem złotym landem z 1902 roku. Ostatni raz jechałem reprezentacyjnym landem wśród podobnych tłumów w 1980 roku. Królowa, księżę Filip, księżę Andrzej i księżę Edward podążali wówczas do katedry św. Pawła na nabożeństwo z okazji osiemdziesiątych urodzin królowej matki. Teraz tłumy nie były chyba tak wielkie jak podczas poprzedniego ślubu w rodzinie królewskiej, ale owacje brzmiały głośno. Kiedy jechaliśmy w pięknym słońcu, patrzyłem nieruchomo przed siebie, jak zawsze sztywno wyprostowany, trzymając kurczowo rękę na rączce hamulca. Królowa tradycyjnie machała do tłumów, ja jednak nie miałem czasu napawać się atmosferą, bo zbliżaliśmy się do Łuku Admiralicji, gdzie czekał nas ostry skręt w ulicę Whitehall. Była to zawsze denerwująca chwila. Hamulec służył po to, aby powóz nie uderzył w konie, zwalniające na zakręcie. Na szczęście nigdy nie spowodowałem wypadku.

Jako długoletni służący otrzymałem wcześniej zaproszenie do wzięcia udziału w uroczystości, ale zrezygnowałem z niego. Mogłem albo usiąść ze wszystkimi gośćmi w Opactwie Westminsterskim, albo zająć jeszcze bardziej uprzywilejowane miejsce za królową w landzie. Wybór był dla mnie oczywisty i okazał się mądrym wyborem, bo, choć wówczas tego nie wiedziałem, był to mój ostatni uroczysty przejazd powozem przez Londyn. Tymczasem moja żona zasiadła w kościele; na głowie miała kapelusz pożyczony od księżnej Gloucester.

Sarah Ferguson wprowadziła się do Pałacu Buckingham na kilka miesięcy przed ślubem. W przeciwieństwie do Diany Spencer, która miała oddzielny apartament, zamieszkała z księciem Andrzejem w pokojach na drugim piętrze, gdzie księżę i księżna Walii spędzili pierwsze miesiące małżeństwa. Przyszła księżna Yorku nie cierpiała, tak jak Diana, z powodu samotności - przyjmowała przyjaciół i wydawała przyjęcia.

Sarah i księżę Andrzej zamawiali pięciodaniowe obiady, wywołując zdziwienie kuchennego personelu. Nawet królowa nie urządziła tak wystawnych przyjęć. W rezultacie księżna Yorku nie zdobyła sobie sympatii służby.

- Królowa je przynajmniej o odpowiedniej godzinie. Ci dwoje każą sobie podawać po dziesiątej wieczorem, a my zaharowujemy się, żeby im dogodzić - narzekał jeden z kucharzy.

Od początku 1982 roku Sarah zaczęła jadać lunch z księżną Walii i została jej powiernicą i przyjaciółką. Nazwały się „złymi żonami Wind-soru” i obgadywały ponurych „panów w szarych garniturach” służących na dworze. Poślubiwszy wcześniej członka rodziny królewskiej, Diana dzieliła się z przyszłą księżną wiedzą o tym, co należy i czego nie należy robić, o ludziach, którym można ufać i których trzeba się strzec. Lista tych ostatnich była dość długa.

Sarah, podobnie jak Diana, pragnęła, aby królowa ją lubiła i doceniała. W przeddzień ślubu syna monarchini ma prawo nadać mu tytuł książęcy; Andrzejowi nadała tytuł księcia Yorku, który nosił kiedyś jej ojciec, król Jerzy VI. Księżna uznała to za akceptację swojej osoby.

Myliła się. Królowa nadała tytuł książęcy tylko Andrzejowi, a Sarah, jako jego żona, przyjmowała go dopiero w drugiej kolejności. Kiedy więc księżna napisała do królowej, dziękując wylewnie za zaszczyt, „panowie w szarych garniturach” wykorzystali ten błąd przeciwko niej. Sarah zorientowała się wkrótce, że na dworze są ludzie, którzy czyhają tylko na jej potknięcia. Powiew świeżości, który wniosła ze sobą, nie pasował do chłodnej atmosfery dworu. Pewien arystokrata nazwał nową księżną „pospolitą, pospolitą, pospolitą”, a jedna z gazet nadała jej tytuł księżnej yorku.

Nawet wśród służby nie zyskała przyjaciół. Zarówno górne, jak dolne piętra pałacu odnosiły się do niej niechętnie. Jedynych sojuszników

Pork po ang. - wieprzowina [przyp. tłum.].

miała w osobach królowej, księcia i księżnej Walii oraz naturalnie księcia Andrzeja.

Pewnego dnia Sarah szła przez główny hol Zamku Balmoral, jak zwykle w radosnym nastroju.

Mijający ją członek personelu mruknął: „Czego tutaj chce ta pieprzona ruda szkapa?” tak głośno, że księżna musiała usłyszeć. Mimo to nie przestała się uśmiechać. Księżna Yorku zawsze się uśmiechała, przynajmniej na pokaz.

Maria też sprawiała wrażenie szczęśliwej ze swego losu, choć w głębi duszy była niepokieszona.

Od czasu odejścia ze służby u księcia Edynburga tęskniła za pracą na dworze i jako matka dwuletniego syna nie czuła się dobrze w mieszkaniu mieszczącym się w królewskich stajniach.

Przenosiny do Highgrove, do czego nakłaniała ją księżna Diana, obiecywały rozwiązanie przykrej dla niej sytuacji.

Pewnego wieczoru postanowiła się ze mną rozmówić.

- Życie nie jest tu łatwe, a ciebie ciągle nie ma. Musimy zacząć myśleć o przyszłości.

Alexander nie ma się gdzie bawić. Jeśli będziemy chcieli mieć drugie dziecko, mieszkanie jest za małe. Ledwie radzę sobie na schodach z jednym wózkiem, a co dopiero z dwoma. Życie na wsi jest lepsze od życia w mieście. Nie czuje się tu szczęśliwa. Wszystko to był wstęp do najważniejszego argumentu.

- Moglibyśmy oboje pracować dla księcia i księżnej Walii i rozpocząć nowe życie. Ty jako pełnoetatowy kamerdyner, a ja jako pokojówka.

- Nie ma mowy. Nie ma mowy, żebym zrezygnował ze służby u królowej - odparłem.

Przez kilka następnych wieczorów impas trwał, ale świadomość, że Maria jest nieszczęśliwa, nie dawała mi spokoju. Miałem zobowiązania wobec królowej. Była numerem 1, nie mogłem więc jej porzucić na rzecz numeru 2. Decyzję taką uważałem za krok wstecz w karierze zawodowej. Poza tym byłem lokajem i nie miałem pojęcia, jak kieruje się całym domem. W dodatku byłbym przywiązany do jednego miejsca, a z królową podróżowałem po całym świecie. Przeprowadzka do Highgrove nie miała dla mnie sensu.

- Powiedz mi Mario, dlaczego miałbym zrezygnować z najlepszej pracy na świecie? - zapytałem.

- Dla rodziny.

W tym tkwi cały szkopuł służby na dworze królewskim: godziny pracy i poświęcenie, którego wymaga, przeszkadzają w życiu rodzinnym.

Maria twierdziła, że życie w Highgrove będzie lepsze dla nas jako rodziny. Była z księżną w bardzo bliskich stosunkach i wszystko już szczegółowo omówiły.

Szczegółowo?

- Od jak dawna o tym rozmawiacie? - zapytałem.

- Od jakiegoś roku. Kochanie, proszę cię tylko, żebyś pojechał do Highgrove i obejrzał wszystko. Zrób to dla mnie.

Ustąpiłem. Maria powiadomiła księżną i umówiliśmy się na dyskretną wizytę. Pewnego letniego popołudnia Harold Brown, kamerdyner księcia i księżnej w Pałacu Kensington, zgodził się zawieźć mnie do Gloucestershire, abym obejrzał dom, posiadłość i domek dla służby. Dzień był powszedni, więc księcia i księżnej nie było. Dom i ogród wyglądały pięknie. Przypominały mi inną rezydencję w Gloucestershire, Gatcombe Park, księżniczki Anny i kapitana Marka Philipa, gdzie kamerdynerem był Mark Simpson, pierwszy przyjaciel księżnej Walii z Pałacu Buckingham. Okna wielkich, przestronnych pokoi wychodziły na ogród i pola, a spokój panujący wokół stanowił przeciwieństwo londyńskiego zgiełku. Z pól dolatywało beczenie owiec i muczenie bydła, a nie klaksony i syreny alarmowe z Mali. Wyobraziłem sobie, że Alexander i nasze drugie dziecko spędzą tu dzieciństwo. Ta atmosfera swobody i warunki życia przemówiły do mnie.

Harold zawiózł mnie następnie do odległej o kilometr Close Farm, gdzie stał domek, w którym mielibyśmy zamieszkać. Na jego widok mina mi zrzedła. Był to zrujnowany bliźniak, najwyraźniej od wielu lat niezamieszany. Okna powybijane, farba odłaziła, tynk się sypał, a ogród zupełnie zarosnięty. Budynek nadawał się raczej do zburzenia, niż do zamieszkania.

- Bez obaw, książę zamierza wyszykować go na twój przyjazd - uspokoił mnie Harold.

Ja jednak, mimo bujnej fantazji, nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby tę rudę dało się

odrestaurować. Miałbym porzucić wspaniałe pokoje Pałacu Buckingham i nasze przytulne mieszkanko, aby zamieszkać w takiej norze?

Po powrocie do Londynu opowiedziałem Marii o swoich wrażeniach. Żona czuła się jednak w Londynie tak nieszczęśliwa, że nawet gdybym jej powiedział, że w Highgrove czeka na nas namiot, nie zniechęciłaby się.

- Już my się tam urządzimy - powtarzała z uporem.

Kiedy byłem w pałacu i widziałem królową, myślałem sobie, że na całym świecie nie ma lepszego chlebobdawcy. Kiedy wracałem do domu i widziałem Marię, myślałem: nie powinna być tak nieszczęśliwa.

Myślałem z obawą o pracy u księcia Walii, który miał wśród służby opinię pedanta i formalisty, podczas gdy królowa była wyrozumiała i tolerancyjna. Z drugiej strony wyobrażałem sobie, że Maria pracuje dla księżnej Walii, która jest zyczliwa i prostolinijna. Patrzyłem na syna i wiedziałem, że lepiej mu będzie na wsi niż w mieście. Przede wszystkim jednak zgadzałem się z poglądem, że rodzina ma pierwszeństwo.

Ale nawet gdy podjąłem już decyzję, nie byłem pewien, czy robię dobrze. Bezpieczne, uprzywilejowane stanowisko chciałem zamienić na niepewną przyszłość. Ludzie rzadko rezygnują ze służby u boku królowej, aby pracować dla innego członka rodziny królewskiej. Kierowałem się więc raczej intuicją niż wewnętrznym przekonaniem.

- Czyś ty oszalał? - wykrzyknął Paul Whybrew, kiedy mu powiedziałem o swoich zamiarach. Nie mógł uwierzyć, że chcę odejść z Pałacu Buckingham i zaklinał mnie, żebym jeszcze raz się nad tym zastanowił. Jego sytuacja różniła się jednak od mojej: był kawalerem i mógł sam decydować o swoim losie. Ja musiałem myśleć o rodzinie. Podjąłem decyzję. Obawiałem się tylko, jak zareaguje królowa.

W czerwcu 1987 roku, na derbach w Epsom, książę Karol siedział w trzcinowym fotelu w rogu łoża królewskiej i przeglądał korespondencję. Kilka metrów dalej królowa, książę Edynburga, księżniczka Aleksandra, książę Kentu Michał i reszta rodziny królewskiej sączyła trunki. Przerwałem księciu i zapytałem, czy życzy sobie czegoś do picia. Poprosił o swój ulubiony cytrynowy napój orzeźwiający. Kiedy wróciłem z tacą, nachylił się do mnie i szepnął:

- Księżna mówiła mi, że niebawem będziesz u nas pracował. Szmer rozmów zagłuszył jego słowa.

- Proszę nie mówić nic królowej, Wasza Królewska Wysokość. Nie powiedziałem jej jeszcze, a chciałbym, żeby dowiedziała się o wszystkim ode mnie - odparłem.

Królowa, ubrana w kilt w zieloną kratę i kardigan, stała tyłem do kominka w salonie na parterze Craigowan House. Jest to mały kamienny dom stojący przy korcie golfowym w posiadłości Balmoral. Królowa zatrzymuje się w nim, kiedy dwór nie przebywa w zamku. Jej Królewska Mość wróciła właśnie ze spaceru z psami, które rozsiały się na dywanie. Od derbów w Epsom minęły dwa tygodnie.

- Czy mógłbym zabrać kilka minut Waszej Królewskiej Mości? - zapytałem.

Królowa uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Zupełnie nie wiem, od czego zacząć... - powiedziałem i urwałem.

Patrząc na królową, odczułem przemożne pragnienie, aby się odwrócić i powiedzieć Marii, że się rozmyśliłem.

- O co chodzi, Paul?

- Strasznie ciężko mi o tym mówić - znowu zamilkłem, speszony wyczekującym spojrzeniem królowej. Znaliśmy się od dziesięciu lat i do tej chwili rozmowa z nią nigdy nie sprawiała mi trudności.

- Od dłuższego czasu zastanawiam się nad swoją przyszłością przez wzgląd na Marię i Alexandra...

- Królowa wciąż się uśmiechała. -... i jest to najtrudniejsza decyzja, jaką w życiu podjąłem.

Przejsie do sedna sprawy zajęło mi tyle czasu, że królowa zdążyłaby dwa razy wyjść z psami na spacer. Zdecydowanie nie mogłem zaimponować jej stanowczością ani wiarą w przyszłość.

Wreszcie wydusiłem:

- ... ale rozmawiałem z księciem i księżną Walii o tym, żeby przejść do nich na służbę.

- Paul - rzekła królowa - nie musisz mi o tym mówić. Karol już mi wszystko powiedział. - Królowa wyczuła, jak mi ciężko i postanowiła mnie pocieszyć. - Spójrz na to w ten sposób. W gruncie rzeczy nie odchodzisz ode mnie, a tylko przenosisz się na pewien czas gdzie indziej. Karol i Diana potrzebują takich ludzi jak ty. Pewnego dnia, kiedy mnie już nie będzie, a oni zostaną królem i królową, wrócisz tutaj.

Odwrociłem się, żeby odejść; królowa dodała jeszcze:

- Tak czy owak, Paul, odchodzisz z najszlachetniejszego powodu: dla swojej rodziny, i ja to rozumiem.

- Dziękuję za zrozumienie, Wasza Królewska Mość.

Od końca czerwca do początku sierpnia wykonywałem swoje dotychczasowe obowiązki. Królowa ani słowem nie wspomniała więcej o moim odejściu. W ciągu tych dwóch miesięcy szkoliłem swojego następcę, który miał być odtąd drugim, obok Paula Whybrewa, osobistym lokajem królowej.

Pewnego popołudnia lady Susan Hussey zaprosiła mnie do salonu dam dworu na drugim piętrze pałacu. Zawsze lubiłem Susan, żonę ówczesnego prezesa BBC, Marmaduke'a Husseya, i ulubioną damę dworu królowej. Lady Susan była uczciwą, szczerą kobietą, z której zdaniem powszechnie się liczone; w przeciwieństwie do wielu ludzi na dworze - skromną i miłą.

Kiedy wszedłem, siedziała przy biurku i podpisywała listy. Poprosiła mnie o zamknięcie drzwi. Słyszała, że podobno zamierzam opuścić królową.

Na plaży w Scarborough, 1960

Z mamą w ogródku domu przy Chapel Road 57

Jako szef kuchni w salonie domu numer 47

W wieku jedenastu lat

Gazety nazwały nasz ślub „drugim królewskim weselem”.

- Czy jesteś pewien, że to słuszna decyzja? Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale w domu, do którego się przenosisz, nie wszystko jest tak, jak to z zewnątrz wygląda.

Lady Susan wyrażała się bardzo oględnie; w pokojach dla służby aż huczało od plotek o „kłopotach” w małżeństwie księcia i księżnej Walii. W plotkach tych było na pewno sporo złośliwości, ale dama dworu ostrzegła mnie z całą życzliwością, potwierdzając w istocie krążące pogłoski. Lady Susan dobrze orientowała się w stosunkach między małżonkami, ponieważ od dłuższego czasu była powiernicą księcia Walii, miała więc najpewniejsze informacje. Powtórzyłem, że do przeniesienia się na wieś skłoniły mnie względy rodzinne. Decyzja ta przyszła mi z wielkim trudem, ale nie ma już od niej odwołania. Lady Susan wyjaśniła, że kieruje nią szczerą troska o mój los, przypomniała, jak bardzo lubi mnie królowa, i życzyła wszystkiego najlepszego.

Na początku sierpnia 1987 roku dwór wyjeżdżał na wakacje do Bal-moral, nadszedł więc ostatni dzień mojej służby u Jej Królewskiej Mości. Wszystko robiłem teraz po raz ostatni: ostatnie śniadanie, ostatni spacer z psami, ostatni raz szedłem korytarzem królowej w Pałacu Buckingham, ostatni raz powiedziałem: „Czy jestem jeszcze potrzebny, Wasza Królewska Mość?”. Przez cały czas myślałem, w jaki też sposób królowa pożegna się ze mną.

Zadzwoiła z salonu i poprosiła o wyprowadzenie psów na spacer. Powiedziała to tak, jakby to było zwyczajne popołudnie. Kiedy wróciłem ze spaceru, rolls-royce, którym miała odjechać do Portsmouth, gdzie cumował jacht Britannia, już czekał. Moim ostatnim obowiązkiem było odprowadzenie królowej do samochodu, stałem więc przy wejściu ogrodowym z boku pałacu i czekałem. Królowa wsiadła do samochodu wraz z lady Susan Hussey, a ja położyłem im pledy na kolanach. Zamknąłem drzwiczki i nie ruszałem się z miejsca. Spojrzałem na królową w nadziei, że zwróci jej uwagę. Nie mówiła wcześniej o moim ostatnim dniu, może więc teraz pomacha mi ręką albo się uśmiechnie. Ale nie. Królowa patrzyła w ziemię, potem prosto przed siebie. Samochód ruszył.

Jakiś czas później spotkałem lady Susan Hussey.

- Czy nie wie pani, dlaczego królowa nie pożegnała się ze mną? -zapytałem.

- Nie mogła, Paul - odparła lady Susan. - Po prostu nie mogła spojrzeć na ciebie. To również dla niej nie było łatwe.

Królowa nie może okazywać uczuć.

Zdrada w Highgrove

W Highgrove zapadał zmierzch. Policjanci z bronią gotową do strzału stali na progu rezydencji, by lada chwila wtargnąć do środka. W oknie na piętrze zauważono jakiś cień, choć w domu powinno być pusto, bo książę i księżna Walii wyjechali. Miałem na sobie kamizelkę kuloodporną, ale mimo to spościłem się ze strachu. Podeszedłem do tylnych drzwi, przekręciłem klucz w zamku i wszedłem. Otaczali mnie uzbrojeni funkcjonariusze policji hrabstwa Gloucestershire, przewodnicy z owczarkami alzackimi i około sześciu policjantów, którzy na co dzień strzegli posiadłości. To oni podnieśli alarm, dzwoniąc do naszego domu. Słuchawkę podniosła Maria.

- Dzień dobry, Mario, czy Paul jest jeszcze w rezydencji? - zapytał jeden z funkcjonariuszy.
- Nie, od jakichś dziesięciu minut jest w domu. Już go proszę. Przejąłem słuchawkę.
- Paul, czy w rezydencji jest jeszcze ktoś?
- Nie, zamknąłem cały dom.

Policjant wiedział w tym momencie, że coś jest nie tak.

- Na podeście zapaliło się światło. Jeden z chłopaków zauważył w oknie jakąś postać i pomyślał, że to ty. Lepiej tu przyjeżdż.

Kiedy jechałem do rezydencji, policjanci wezwali uzbrojoną jednostkę i psy policyjne. Rozdano kamizelki kuloodporne.

- Dobra. Trzymaj się teraz za nami - wyszeptał jeden z funkcjonariuszy, kiedy otworzyłem drzwi. Policjanci rozeszli się w różnych kierunkach. W rękach trzymali broń, ja - plan domu. Przeszukali wszystkie piętra, poczynając od piwnic, i ostrożnie posuwali się od pokoju do pokoju. Teraz

cała ta akcja jak z filmu kryminalnego może się wydawać śmieszna, ale w owej chwili nikomu nie było wesoło. Miałem duszę na ramieniu.

Kiedy skradaliśmy się na najwyższe piętro, wskazałem policjantom sypialnię Williama i Harry'ego, pokój niańki i dzienny pokój dziecinny. Nagle dwa psy policyjne zaczęły warczeć.

- Zwęszyły coś - powiedział jeden z przewodników.

Wszyscy byliśmy przekonani, że ktoś obcy jest w domu. Sprawdzone wszystkie pokoje na najwyższym piętrze, ale bez efektu.

Potem policjanci wspięli się na poddasze. Nic.

Na dachu też nie znaleziono nikogo.

Książę i księżna Walii zostali powiadomieni o incydencie, który złożono na karb pomyłki jednego z policjantów. Całe zajście pozostaje zagadką do dziś.

W Highgrove tylko jedna rzecz przypominała mi Pałac Buckingham: drewniana skrzynka na ścianie w pokoju kredensowym. Podobnie jak królowa, książę Karol wzywał służbę, naciskając dzwonek, po czym mały czerwony krążek wpadał do okrągłego okienka. W Highgrove ten czerwony krążek działał jak donośny klakson, bo książę Karol nie lubił czekać. Służący powinien był stawić się natychmiast. Z pokoju kredensowego na parterze musiałem biec sprintem do jego pokoiów.

Kiedy księżna widziała mnie w takiej sytuacji, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Szybciej, szybciej - ponaglała drwiąco. - Co się tak guzdrzesz! Do księżnej ani do królowej nigdy nie musiałem się spieszyć. Książę

Karol był jednak bardzo wymagający. Żądał na przykład, abym bez względu na pogodę wchodził na dach i wciągał na maszt jego chorągiew; musiała ona powiewać zawsze, gdy książę był w rezydencji. Królowa miała od tego specjalnego służącego, ale w Highgrove zadanie to należało do mnie. Miałem tysiąc i jeden obowiązków, ale książę był nieugięty. Kiedy przychodziła wiadomość, że za pięć minut książę będzie w rezydencji, zaczynał się groteskowy obrządek. Przez właz w suficie wchodziłem na ciemny strych, potem, na kolanach, przeciskałem się przez następny właz, który prowadził na wyłożony szarą dachówką spadzisty dach. Po drewnianej kładce z poręczą docierałem do białego masztu. Przy huraganowym wietrze i ulewnym deszczu maszt ten pomagał mi utrzymać równowagę. Przed wywieszeniem flagi musiałem czekać na chwilę, aż samochód lub helikopter z księciem pojawi się w polu widzenia. Na szczęście, kiedy księżna była w rezydencji sama, jej chorągiew nie musiała powiewać na dachu. Zawsze mi o tym przypominała.

Kiedy czerwony krążek pojawiał się w okienku, musiałem wszystko rzucać i pędzić do biblioteki, której okno, zasłonięte storami w szkocką kratę i drewnianymi okiennicami, wychodziło na starannie utrzymany ogród i taras z tyłu domu. Książę siedział w wyplatany fotelu przy okrągłym stole pośrodku pokoju. W powietrzu unosił się zapach białych lilii stojących na stole w wazonie, którego nie było widać zza stosów książek; księciu ledwie starczało miejsca na pisanie listów. Pewnego razu książę wstał na mój widok i oświadczył, że tego dnia przybywa do Highgrove „wyjątkowy gość”.

- Dziś po południu przyjedzie królowa Elżbieta. - Wobec służby członkowie rodziny królewskiej zawsze nazywali królową matkę „królową Elżbietą”. Był lipiec 1988 roku, królowa matka dopiero pierwszy raz odwiedzała Highgrove. Wiedziałem, że książę, który uwielbiał swoją babcie, przywiązuje do tego wydarzenia wielką wagę. Z okazji jej wizyty zaplanowano herbatę o piątej po południu - której w przeciwieństwie do swojej matki książę nigdy nie pijał. Nakryłem do stołu na tarasie i otworzyłem parasol, który miał osłonić królową matkę przed słońcem.

#kanapki. Odcieśliśmy chlebowe skórki, a kromki przełożyliśmy łososiem, kurczakiem, szynką i ogórkiem. Były też małe okrągłe kanapki z dżemem, ulubiony przysmak królewskich dzieci. Przez dwuskrzydłowe drzwi wyszedłem na taras. Rozłożyste drzewo cedrowe rzucało cień na kamienne płyty z dwoma gotyckimi pawilonami w rogach; między nimi, pod kątem 45 stopni, lśniła tafla ośmiokątnego stawu.

Przy stole, ustawionym pośrodku tarasu, zaproponowałem królowej matce kanapkę z łososiem. Zawahała się.

- Nie, dziękuję, Paul. Wiesz, że najmniej je lubię - rzekła, swoim zwyczajem przechylając na bok głowę.

Książę wyglądał na zawstydzonego.

- A może chciałabyś zjeść coś innego, babciu?

- Nie, wystarczy mi herbata - odpowiedziała królowa matka. Tego dnia nie zjadła ani jednej kanapki.

Kilka godzin później królowa matka wsiadła do swojego daimlera, wyjęła kremowy szyfonowy szal i udrapowała go na częściowo opuszczonym tylnym oknie. Był to sygnał do ceremonii pożegnania między babcją a wnuczką. Ujrzawszy szal, książę wyjął z kieszonki marynarki chusteczkę, ujął ją za rożek i zaczął machać. Był wyraźnie wzruszony.

- Nie wiem, co bym bez niej zrobił - powiedział. Stał i machał, dopóki samochód nie zniknął mu z oczu. Potem odwrócił się i wszedł do domu.

Zamknawszy za sobą drzwi frontowe, wszedłem do holu. W jednej chwili nastrój się zmienił.

- Jaka szkoda, że podwieczorek się nie udał - powiedział książę z wyrzutem i dodał: - Następnym razem, zamiast zgadywać, zadzwoń proszę do Williama albo Rega i dowiedz się, co lubi królowa Elżbieta.

Chodziło o służących królowej matki: Williama Tallona, pałacowego stewarda, i Reginalda Wilcoxa, pazia.

- Bardzo przepraszam, Wasza Królewska Wysokość. Podczas królewskich podwieczorków zawsze podaje się wędzonego łososia.

Mój protest był daremny. Książę uznał podwieczorek za nieudany, a jego uszczypliwe uwagi odniosły zamierzony skutek. Poczulem się paskudnie. Kanapka z wędzonym łososiem i wizyta królowej matki uświadomiły mi, jak wielka różnica dzieli Highgrove od Pałacu Buckingham. Służba u następcy tronu miała być trudniejsza niż służba u królowej.

Niełatwo orzec, co książę czynił częściej: pisał polecenia i uwagi czy ścisnął ludziom ręce. Choć niezwykle troszczył się o środowisko naturalne, zużywał tyle papieru do pisania, że do jego produkcji trzeba było chyba wyciąć cały las. Królowa nigdy nie zostawiała mi poleceń na piśmie, wolała wydawać je osobiście. Tymczasem książę Karol pisał bez przerwy. Kartki zapisane jego pismem sypały się jak konfetti.

Czy ktoś odebrał nasiona do ogrodu?

Czy w Tetbury jest pojemnik na szkło?

Czy możesz sprowadzić kogoś do naprawy telefonu?

Czy mógłbyś skleić porcelanowy półmisek?

Wszystko trzeba było robić za niego. Kiedyś napisał do mnie: List od królowej wpadł chyba przypadkiem do kosza na śmieci przy stole w bibliotece. Poszukaj go, proszę. Kiedy „Sunday Times” zaczął drukować

w odcinkach książkę Andrew Mortona, książkę zostawił mi list następującej treści: Nie chcę więcej widzieć tej gazety w moim domu! Co do brukowców, to też nie chcę ich więcej widzieć. Jeśli ktoś chce je czytać, będzie musiał sam sobie kupić - włącznie z Jej Królewską Wysokością!

Moja służba w Highgrove, położonym półtora kilometra od miasteczka Tetbury w Gloucestershire, zaczęła się 1 września 1987 roku. Książę i księżna Walii przebywali w tym czasie w Hiszpanii na zaproszenie króla Juana Carlosa; stamtąd udawali się do Balmoral. Nowych chlebodawców zobaczyłem więc dopiero w drugim tygodniu października. Miałem pięć tygodni, aby zapoznać się z tym dziwnym domem i oswoić z odmiennym trybem życia. Nie wiem, co bym począł bez gospodyni domu, Wendy Berry. Znałem jej syna Jamesa, lokaja w Pałacu Buckingham. Po przeniesieniu się na służbę do Pałacu Kensington James Berry polecił matkę na stanowisko gospodyni w Highgrove. Pracując z nią, miałem wrażenie, jakbym znów odbywał okres próbny. Z początku byłem w Highgrove sam, bez Marii i Aleksa, wprowadziłem się więc do parterowego, kamiennego domku Wendy, który stał przy bramie.

Ponieważ państwa nie było, meble przykryto pokrowcami, a okna na parterze ze względów bezpieczeństwa zasłonięto drewnianymi okiennicami. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Ta pustka i cisza stanowiła dziwny kontrast z nieustannym gwarem i ruchem, jakie panowały w Pałacu Buckingham. Snuliśmy się po budynku niczym pokutujące dusze. Ciche pogawędki z Wendy nad butelką wina musiały mi zastąpić huczne przyjęcia. Zaprzyjaźniłem się z kilkoma służącymi, którzy pracowali poza domem, zwłaszcza ze stajennym Paddym Whitelandem, starym jak niektóre palisandrowe meble. W rzeczy samej przybył on do Highgrove wraz z meblami przed przeszło czterdziestu laty. Książę Karol żartował: „Po śmierci każemy cię wypchać, Paddy, wsadzimy na konia i wstawimy do holu!”.

Paddy wiedział o Highgrove wszystko i był człowiekiem do wszystkiego. Jeśli książę chciał ściąć drzewo, wzywał Paddy'ego. Jeśli chciał zbudować ogrodzenie, wzywał Paddy'ego. Jeśli trzeba było uporządkować klomb, wzywał Paddy'ego. Jeśli chciał poznać plotki, świetnie poinformowany Paddy mówił, co wiedział. Książę ufał mu jak nikomu. Paddy był kuty na cztery nogi i wszyscy, a zwłaszcza książę, przepadali za nim.

W Highgrove pracowało też trzech ogrodników. Dennis Brown dbał o rośliny i warzywa jak o własne dzieci. Zawsze można go było znaleźć

z łopatą albo rydłem ogrodniczym w ręku w ogrodzonym murkiem wiktoriańskim warzywniku, który dostarczał domowi warzyw i owoców. Jego koledzy, David i James, opiekowali się pozostałymi ogrodami, które rozciągały się po obu stronach domu. Była tam aleja złotych cisów przypominających olbrzymie, zwinięte w kłębek jeże, rzędy zielonych, pięknie przystrzyżonych żywopłotów, różnobarwne łąki polnych kwiatów, dywan żółtych jaskrów, pasy drzew. W całej Anglii nie było chyba równie pięknych ogrodów.

We wrześniu dołączyli do mnie Maria i Alex. Oczekiwaliśmy drugiego dziecka - dwa tygodnie po moim odejściu z Pałacu Buckingham Maria stwierdziła, że jest w ciąży. Przez ostatni miesiąc robotnicy odnawiali wnętrza w naszym nowym domu w Close Farm i wszędzie unosił się zapach świeżej farby. Ale farba i nowy zielony dywan nie mogły zamaskować prawdziwego stanu domu. Ogród był zarośnięty, rynny kiwały się, a w oknach na parterze straszyły wybite szyby.

Zacząłem więc od naprawy okien, żeby deszcz nie padał do środka. Maria wytapetowała ściany na biało i różowo, ale mimo to dom pozostał nieprzytulny. Choć to ona parła do przeprowadzki, teraz zaczęła tęsknić za starym mieszkaniem i miała wątpliwości, czy zrobiliśmy dobrze.

Mieszkając w takim domu, pracując wśród mebli przykrytych pokrowcami, oddalony o 180 kilometrów od przyjaciół i mając na głowie żonę tęskniącą za dawnym mieszkaniem, zadawałem sobie pytanie: Co ja najlepszego zrobiłem? Odwrotu jednak nie było. Musieliśmy się jakoś przystosować do sytuacji.

Paddy, który wnosił do naszego domu woń stajni i koni, zawsze potrafił nas rozweselić.

- Jak urodzi się drugie dziecko, będziecie potrzebować świeżych jajek
- powiedział któregoś popołudnia. Przyjechał traktorem, ciągnąc przyczepę z szopą do samodzielnego montażu, którą ustawił w wolnych chwilach, oraz sześć kur rasy Red Rhode Island.
- Świeże jajka co rano
- ogłosił, dając nam kury. Maria odparła, że to dobrze, iż Paddy nie widzi konieczności zapewnienia nam świeżego mleka.

Paddy zachwycił się naszym nowym dywanem.

- To kolor Boga. Bóg zawsze maluje na zielono: drzewa, trawę... dywany! - śmiał się.

Warunki życia były ciężkie, ale praca jeszcze cięższa. Kiedy w październiku książę i księżna wrócili do Highgrove, zaczął się dla mnie prawdziwy egzamin. Nie byłem już jednym z trzystu służących w Pałacu Buckingham. Nie byłem jednym z dwóch lokajów, pracujących na zmianę i korzystających z pomocy dwóch paziów. Byłem samodzielnym kamerdynerem, odpowiedzialnym za całą rezydencję - a nie jeden korytarz i jeden apartament. Wraz z Berry byliśmy jedynymi pełnoetatowymi służącymi, choć i pięć osób miałoby w Highgrove pełne ręce roboty. Służba zatrudniona u księstwa Walii uchodziła za najlepiej opłacaną ze wszystkich służących rodziny królewskiej. Przechodząc z Pałacu Buckingham do Highgrove, otrzymałem podwyżkę w wysokości 10 000 funtów rocznie i zarabiałem 18 000 funtów. Ale i liczba moich obowiązków znacznie wzrosła. Zostałem rzucony na głęboką wodę. Sam otwierałem butelki porto i bordo, sam czyściłem srebra i myłem naczynia, witałem gości, odbierałem ich płaszcze i przynosiłem polana do kominka, układałem kwiaty w wazonie, biegałem na dach, żeby wywiesić chorągiew, robiłem zakupy. W szafie nie wisiały reprezentacyjne liberie - miałem tylko prostą dwurzędową granatową marynarkę ze złotymi guzikami, której klapy zdobiły trzy pióra księcia Walii w otoku w kształcie podwiązki, granatowe spodnie, białą koszulę i granatowy krawat.

Były i dobre strony. Zamiast dziewięciu psów królowej w Highgrove były tylko dwa psy księcia rasy Jack Russell, Tigger i Roo, a obowiązek wyprowadzania ich na spacer, chwalić Boga, nie należał do mnie. Książę Karol sam się tym zajmował. W Highgrove nie było telefonistki, musiałem więc sam odbierać telefony. Pewnego dnia podniosłem słuchawkę w pokoju kredensowym.

- Dzień dobry, tu Tetbury [numer taki a taki].
- Dzień dobry, Paul. Natychmiast poznałem głos królowej.
- Dzień dobry, Wasza Królewska Mość.

Byłem przejęty, bo rozmawiałem z królową po raz pierwszy od chwili opuszczenia Pałacu Buckingham. Nie mogłem się oprzeć chęci zapytania, jak się miewa. I jak się miewa mój ulubieniec Chipper. I jak się miewa...

- Czy Jego Królewska Wysokość jest w domu?

Królowa przerwała mi w połowie zdania. Najwyraźniej mówiłem zbyt długo. Połączyłem się z księciem Karolem.

- Królowa na linii, Wasza Królewska Wysokość.

Kiedy odchodziłem z Pałacu Buckingham, powiedziano mi, że książę „nie zamierza zbyt często przebywać w Highgrove”. Była to jego weekendowa rezydencja, odpowiednik Zamku Windsor i Królewskiego Pałacyku Myśliwskiego. Książę i księżna mieli spędzać dni powszednie, od poniedziałku do piątku, w Pałacu Kensington, gdzie kamerdynerem był Harold Butler. Tak przynajmniej brzmiała wersja oficjalna. Jednakże już od pierwszej jesieni książę Karol zaczął spędzać w Highgrove również dni powszednie. Przyjeżdżał w towarzystwie pokojowego, kucharza i ochroniarza i zostawał przynajmniej na trzy dni w tygodniu. Szybko przywykłem do widoku czerwonego śmigłowca Westland Wessex należącego do Eskadry Królowej, lądującego kilkaset metrów od rezydencji. Gdy książę był sam, życie w Highgrove przypominało atmosferę poczekalni u lekarza: oficjalne, wyciszone i zgodne z terminarzem. Dni wypełniały spotkania i wizyty. Na lunchu bywali często przyjaciele księcia, między innymi Vernon Russell-Smith, Camilla Parker Bowles, Candida Lycett Green, księżna Devonshire, Charles i Patti Palmer-Tomkinson oraz poseł do parlamentu, Nicolas Soames.

Długie godziny książę spędzał w ogrodzie. Pamiętam, jak skopał ziemię od tylnego tarasu do stawu i obsadził ją tymiankiem. Nazwał swój klomb „tymiankową promenadą” i skarżył się, że długo czuł

go potem w krzyżu. Innym razem słuchał w bibliotece muzyki klasycznej tak głośno, że nie było słycać pukania do drzwi. Często chodziłem po domu w rytm Aidy Verdiego. Księżna nigdy nie przyjeżdżała do Highgrove w dzień powszedni. Mieszkała w Londynie z dziećmi i zwykle jadła lunch w pałacu z przyjaciółmi, takimi jak projektant mody Jasper Conran, Laura Lonsdale lub Carolyn Bartholomew, albo obiad w Harry's Bar w Mayfair z byłym królem Grecji Konstantynem (którego nazywała Tino) i księżniczką Anną Marią. Czasem też chodziła do restauracji San Lorenzo's w Knightsbridge z lady Cariną Frost, żoną prezentera telewizyjnego Davida Frosta. Dwa dni w tygodniu o siódmej trzydzieści rano brała lekcje jazdy konnej u majora Jamesa Hewitta w Hyde Parku. W inne dni uczyła się języka migowego albo tańca w salonie. W owym czasie chętnie uczyła się różnych rzeczy.

W piątek po południu księżna jechała do Highgrove do męża z Wil-liamem i Harrym, mającymi wówczas pięć i trzy lata. Co niedziela po lunchu wracała do Londynu; towarzyszyła jej niania, garderobiana i ochroniarz. Księżna uważała Londyn za swoje naturalne środowisko, a Pałac Kensington za swój dom. Księżę wolał przebywać w Highgrove i z upływem czasu coraz bardziej traktował go jak główny dom, spędzając tylko czasem noc z żoną w stolicy.

Małżonkowie z rodziny królewskiej nierzadko wiedli osobne życie. Nie było nic dziwnego w tym, że księżę miał inne zainteresowania niż

żona i dlatego częściej przebywał na wsi. Podobnie rzecz się miała z królową i księciem Edynburga. Na początku mojej pracy w Highgrove księżę i księżna zawsze wspólnie spędzali weekendy. Wbrew rozpowszechnionemu mitowi nigdy nie zanosłem tacy z obiadem do pokoju księżnej. Co wieczór nakrywałem do stołu w salonie i małżonkowie jedli obiad razem. Rozmawiali tak jak rozmawiają zwykle mąż i żona, spotykając się po kilku dniach spędzonych osobno. Przeczytałem gdzieś, że księżę nigdy nie pytał żony, co u niej słycać i jak spędziła tydzień. Zupelna bzdura. Księżę, uprzejmy i rozmowny, zazwyczaj pierwszy zaczynał rozmowę i bardzo interesował się tym, co robi żona. Księżna zawsze wiedziała, gdzie znajdzie męża - w bibliotece. Pracował tam do późna przy muzyce. Księżna udawała się na spoczynek do swojej sypialni, gdzie miała własne stereo i współczesną muzykę. Na dole rozbrzmiewał Haydn i Verdi, na górze Whitney Houston i jej wielki przebój I Will Always Love You. (Dopiero później księżna rozmiłowała się w muzyce klasycznej).

Codziennie wieczorem miałem obowiązek dbać o tacę z trunkami w salonie i napełniać srebrny termos sokiem ze świeżych pomarańcz dla księcia. Ku lekkiej irytacji męża księżna również lubiła sok pomarańczowy. Księżę Karol przypomniał mi któregoś dnia: Bardzo proszę, abyś na przyszłość sprawdzał po obiedzie termos z sokiem pomarańczowym, bo Jej Królewska Wysokość lubi wypijać wszystko i potem nic już dla mnie nie zostaje! K Jeszcze jedno pisemne polecenie.

W salonie, jednym z czterech głównych pokojów, do których wchodziło się z głównego holu, co niedziela ustawiałem mały ołtarz; księżę przyjmował przed nim komunię z rąk biskupa Woodsa, ubranego w szaty liturgiczne. Stolik karciany nakrywałem białym obrusem, po obu stronach stawiałem dwa srebrne lichtarze z zapalonymi świecami, a między nimi małą srebrną tacę, srebrny kielich oraz kryształowe dzbanuszki z wodą i czerwonym winem. Księżę traktował tę ceremonię bardzo poważnie, księżna jednak nigdy nie brała w niej udziału. Z początku oboje chodzili do miejscowego kościoła w Tetbury. Diana uważała, że poza domem Bożym liturgia nie ma żadnego sensu.

Kiedy księżna przyjeżdżała z dziećmi, Highgrove ożywało. Dom rozbrzmiewał śmiechem, wesołymi pokrzykiwaniami chłopców biegających po pokojach; księżna bawiła się z nimi w chowanego, księżę wył jak zły wilk z bajki. Księżna grała na pianinie stojącym pod ścianą holu, a chłopcy stali obok i słuchali.

Nie dostrzegłem, aby rodzina księcia Walii przeżywała jakieś większe kłopoty, o których napomykała w rozmowie ze mną lady Susan Hussey. Księżna i księżę robili wszystko, aby ich dzieci wyrastały w atmosferze szczęścia i miłości. Nie było żadnej „wojny między księstwem Walii”; jeśli już, to raczej przyjacielski rozejm.

Po przyjeździe księżnej ożywiała się również służbowa jadalnia, bo ze swoją panią przyjeżdżały nianie: Barbara Barnes lub Ruth Wallace, garderobiane Evelyn Dagley lub Fay Marshalsea oraz

ochroniarze Graham Smith lub Dave Sharp. Jako służba księżnej odznaczali się podobnym poczuciem humoru. Jedynie Paddy wpadał w lekki popłoch z powodu przyjazdu księżnej. Diana lubiła rano popływać w podgrzewanym basenie pod gołym niebem, nad którym w zimie rozpinano ogromny nadmuchiwany namiot. Paddy bez przerwy martwił się, czy temperatura jest właściwa, i nigdy nie wiedział, ile ma użyć chloru. Często sypał go „na oko”, a potem był przerażony, widząc, że księżna ma zaczerwienione oczy; ona jednak nigdy nie miała mu tego za złe. Księżna bardzo troszczyła się o swoją służbę, o niektórych jej członków bardziej niż o innych, a najbardziej o ochroniarza Grahama Smitha, którego wszyscy lubili. Smith był bardzo bezpośredni i w późniejszych latach księżna zawsze powtarzała, że jest jej ulubieńcem. To Graham polecił księżnej Marię na garderobianą i bardzo się ucieszył, gdy zobaczył nas oboje w Highgrove. Z czasem zaczął kaszleć i skarżyć się na ból gardła - okazało się, że ma raka gardła. Księżna często towarzyszyła mu do szpitala, gdzie poddawano go chemioterapii. Choroba zmusiła w końcu Grahama do odejścia ze służby, a kilka lat później zmarł. Na zawsze pozostała po nim bolesna luka. Drugą ulubienicą księżnej była Maria. Zaraz po przyjeździe księżna odwiedziła nas w nowym domu i przyniosła prezent: poduszki pasujące do tapet. Lubiła, jak na kanapie jest dużo poduszek. - Jak na mój gust mieszkacie trochę za daleko. Muszę coś z tym zrobić - oznajmiła. Nie wiedziałem wówczas, że księżna postanowiła też zrobić coś ze mną. Byłem mężem Marii, wcześniej lokajem królowej, a teraz kamerdynerem w Highgrove, czyli na terytorium księcia Karola. Na początku więc, mimo wielkiej przyjaźni Marii z księżną, uchodziłem za człowieka księcia. Kiedy księżę bawił sam w Highgrove, miałem obowiązek mu służyć. Księżna postanowiła to zmienić i szybko dopięła swego.

Poduszki były tradycyjnym prezentem księżnej dla przyjaciół. Diana miała wrodzony talent dekoratorski. Obie swoje rezydencje urządziła w opozycji do barokowego przepychu Pałacu Buckingham. W neoklasy-cystycznym Highgrove fasada z ochry i kamienia z weneckim oknem nad frontowymi drzwiami kryła prosto urządzone wnętrza: jasnożółte ściany, zielone obicia, trzcinowe meble w bibliotece, drewniane podłogi i zielone dywany. Tak mógłby wyglądać każdy duży dom w Chelsea. Wszędzie były zdjęcia Williama i Harry'ego, na stołach leżały pudełka na leki Herenda. Ręka księcia Karola była również widoczna: na ścianach wisiały akwarele jego pędzla, na kominkach i stołach stała jego ulubiona porcelana Wemyssa, pełno ciętych kwiatów i roślin ozdobnych. Po wejściu do domu rzucił się w oczy bukiet suszonych kwiatów na okrągłym stole pośrodku holu. Po obu stronach wejścia stały wielkie donice z miniaturowymi drzewkami i krzewami fuksji.

Miłość księcia Karola do architektury i ogrodu ujawniała się w całej pełni na zewnątrz domu. Kiedy w 1980 roku księżę kupował rezydencję, nie wyglądała ona dość okazale, postanowił więc dodać od frontu jońskie kolumny i nowy fronton z okrągłym okienkiem pośrodku. Na szczycie dachu kazał zbudować kamienną balustradę zwieńczoną czterema kamiennymi urnami na każdym rogu. Dom stał się jego azylem, choć położony jest zaledwie kilkaset metrów od drogi Tetbury-Chipping Sodbury; prowadzi do niego podjazd, który przecina łukiem łąkę, czerwoną i żółtą od maków i nagietków.

Domeną księcia był starannie zaprojektowany ogród. Spędzał w nim całe godziny, kopiać, pieląc, sadząc i przycinając. Powstało prawdziwe cacko. W wysokich żywopłotach prześwitywały okna i łuki, po pergoli pięły się róże, tworząc barwny tunel, kwiecistą łąkę przecięła trawiasta ścieżka. Księżę przywrócił dawną świetność wiktoriańskiemu warzywnikowi, do którego wchodziło się przez różową furtkę w murowanym obramowaniu. Centralne miejsce zajmował staw i fontanna otoczona białym płotkiem. Był też ogród leśny: masa korzeni, trzy pnie, w których wycięto krzesła, wiklinowe parawany i klepisko wyłożone korą. W środku stał ogromny posąg nagiej amazonki rdzawego koloru. Księżę wręczył mi garnek wosku i kazał pastować posąg dwa razy w miesiącu. Nad posągiem, w koronie ostrokrzewu, stał szafas Williama i Harry'ego, pomalowany na czerwono i zielono, z wykonanymi ręcznie szafami i krzesłami. W tej kryjówce młodzi książęta bawili się całymi godzinami z dwoma innymi chłopcami: Aleksiem i moim drugim synem Nicholasem, który urodził się szesnaście minut po pomocy 19 kwietnia 1988 roku w szpitalu

Księżniczki Małgorzaty w Swindon. Za zgodą księcia dla upamiętnienia narodzin Nicholasa w ogrodzie naszego domu zasadziłem wiśnię.

Książę Karol kazał nawet zainstalować przyjazny środowisku system kanalizacyjny, na który składały się zbiorniki i poletka trzciny, filtrujące ścieki. Ta część naturalnego ogrodu była pod baczną obserwacją księcia, jak dowodzi tego następujące polecenie dla kamerdynera: Czy możesz poinformować gości w Highgrove, aby nie wyrzucali podpasek ani prezerwatyw do toalety, bo przeszkadzają one rosnąć trzcinie?

Pomyślałem sobie: Jak u diaska mam przekazać gościom to polecenie księcia? Poprosiłem więc tylko, aby nie wrzucali do toalety obcych przedmiotów. Nie musiałem być tak dosadny jak książę. Książę przetwarzał, co się tylko dało. Prosił, aby wszelkie resztki z kuchni i ze stołu, nie wyłączając skorupki od jajek, wyrzucano na przymę kompostową.

Księżna wiedziała, jak bardzo zależy mężowi na upiększeniu posiadłości i jej ogrodów. Od początku uwieczniała wszystkie prace na kliszy fotograficznej - etap po etapie, sezon po sezonie. Starannie i po to tylko, aby zrobić małżonkowi przyjemność, dokumentowała postępy robót i wklejała setki kolorowych zdjęć do albumów w skórzanej oprawie. Albumy te są niezbitym dowodem, że ci, którzy uważali, iż księżna kręci nosem na męzowskie upodobanie do prac ogrodniczych, nie mieli racji. Kompletowała je jeszcze w czasie, kiedy, jak dziś wiadomo, oboje nie byli już sobie wierni.

W pokoju kredensowym przechowywaliśmy z Wendy kalendarz formatu A4 ułatwiający nam sprawne zarządzanie gospodarstwem domowym. Kiedy róg strony, która odpowiadała jednemu dniowi, był pomalowany flamastrem na czerwono, książę Karol przebywał samotnie w High-grove. Gruby zielony pasek mówił nam, że księżna przebywa samotnie w rezydencji, a duże N, od nursery [pokój dziecienny], oznaczało, że są z nią William i Harry. Kiedy czerwień, zieleń i N pojawiały się razem, przeważnie w czasie weekendów, w Highgrove bawiła cała rodzina. Skrupulatnie zapisywaliśmy nazwiska spodziewanych gości i termin przyjazdu, aby odpowiednio przygotować się na ich przyjęcie. Robiliśmy to bez specjalnego zastanowienia. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że nasz terminarz stanie się przyczyną kłopotów.

Wiosną 1988 roku czerwony róg w kalendarzu informował, że książę jest w Highgrove, i na tejsze strony wpisałem nazwiska gości: „4 na lunchu - Jego Królewska Wysokość, pani Parker Bowles, pan Neil Foster i pan Yernon Russell-Smith". Obok zanotowałem, że elektryk przyjdzie naprawić światło w bibliotece. Nic nadzwyczajnego. Jeszcze jeden typowy lunch. Tak samo zapisywałem: „Emma Thompson i Kenneth Bra-nagh na lunchu", „Michael Portillo na lunchu", „Jimmy Savile na lunchu" -jedyna osoba, której wolno było palić w Highgrove - „S^lina Scott", prezenterka telewizyjna, albo „pan i pani Hector Barrantes na lunchu"

- matka i ojczym księżnej Yorku. I dalej: „Pan i pani Olivier Hoare i pani Parker Bowles na lunchu", „pani Candida Lycett Green i pani Parker Bowles na lunchu", „państwo Parker Bowles z dziećmi".

Raptem, pewnego sierpniowego dnia w 1988 roku, na trzy miesiące przed przyjęciem z okazji czterdziestych urodzin księcia Karola, czerwony krążek pojawił się w okienku z napisem „Biblioteka". Poszedłem się dowiedzieć, czego książę sobie życzy.

- Paul, czy możesz mi powiedzieć, skąd księżna wie, kto dokładnie odwiedzał Highgrove w tym tygodniu?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Ani słowem nie wspominałem księżnej o gościach księcia.

- Przepraszam, Wasza Królewska Wysokość, ale nie rozumiem

- i w owej chwili naprawdę nic nie rozumiałem. Nie pomyślałem o tym, że księżna przychodzi do pokoju kredensowego, aby poczytać gazetę, poplotkować przy kawie albo wycierać naczynia, które myłem w zlewie. Nie pamiętałem w owej chwili, że często, kiedy wchodziłem do kredensowego, księżna już tam na mnie czekała. W końcu jeszcze przed ślubem księżna zaglądała do pomieszczeń służbowych. Nie wiedziałem, że potrafi być bardzo sprytna. Jeszcze nie.

Książę dalej nalegał, żebym wszystko sobie przypomniał. Raptem poczułem, jakby funt ołowiu spadł mi na głowę.

- Zapisuję w kalendarzu, kto przychodzi na lunch, Wasza Królewska Wysokość - powiedziałem tonem winowajcy.

- Po co? - Obaj wiedzieliśmy już, co się stało. - Po co zapisujesz nazwiska w kalendarzu? Po to, abym mógł powiedzieć policjantom przy bramie, kogo się spodziewamy, żebyśmy z Wendy byli na bieżąco i...

- No to przestań. Nie zapisuj więcej nazwisk w tym kalendarzu - przerwał mi książę.

Od tej pory pisałem więc: „4 na lunchu”. Nazwiska były zbędne.

Po dorocznych wakacjach rodzinnych w Balmoral zaszła jeszcze inna zmiana. Książę i księżna Walii przestali przyjeżdżać razem na weekendy

do Highgrove. Od tej pory zdarzało się to tylko sporadycznie i tylko wtedy, gdy obecni byli też goście. Jesienią i zimą roku 1988 księżna była sama z dziećmi od piątku do niedzieli, a w niektóre weekendy, gdy w Highgrove przebywał książę, nie zjawiała się w ogóle.

Kiedy w rezydencji bawiła księżna z dziećmi i służbą londyńską, atmosfera była lżejsza, swobodniejsza. Długi mahoniowy stół w jadalni nakrywaliśmy laminowanym obrusem, a księżna sama nakładała sobie i dzieciom na talerz. Gdy wracał książę, na stole pojawiał się biały obrus, a pan domu był obsługiwany jak gość w restauracji.

Podczas pobytów w Highgrove księżna często przychodziła do mnie na rozmowę. Skubała przy tym białą czekoladę, którą trzymałem specjalnie dla niej w lodówce z winem. Wchodząc, zamykała za sobą drzwi od kuchni. Był to sygnał dla reszty służby, że nie należy nam przeszkadzać. Drugie drzwi, wychodzące na korytarz, pozostawały lekko uchylone i zdarzało się, że książę Karol przechodził obok i widział, że jego żona stoi oparta o kuchnię i rozmawia czy też, w jego mniemaniu, plotkuje. Odradzał jej słuchanie plotek służby, toteż obawiałem się, że pogawędki z księżną popsują moje stosunki z księciem. Na jednym z balów bożonarodzeniowych dla służby, wydanych przez królową w Pałacu Buckingham, ja i Maria przez pół godziny staliśmy z księżną w odległym kącie Galerii Malarstwa i rozmawialiśmy. Tego wieczoru księżna miała na sobie suknię koktajlową Zandry Rhodes z wystrzępionym rąbkiem. Niepokoilem się, że za długo już z nami rozmawia.

- Wasza Królewska Wysokość, proszę podejść do innych osób - radziłem.

Towarzystwo patrzyło już na nas i zauważyło, że konwencjonalna pięcio-, dziesięciminutowa pogawędka przerodziła się w długą rozmowę, a księżna i Maria chichoczą jak stare przyjaciółki. Byłem tym mocno zakłopotany, ale zarazem pochlebiało mi, że księżna poświęca nam tyle czasu. Ona sama nie podzielała moich obaw.

Do pokoju kredensowego w Highgrove wpadała na 15-20 minut, nie więcej. Śmiała się i żartowała. Opowiadała o Williamie i Harrym, o tym, jak rosną. Pewnego dnia doniosła mi z wielkim przejęciem, że Williamowi wypadł pierwszy ząbek. W takich chwilach stawała się znowu samotną dziewczyną, którą pamiętałem z Big Makiem w ręku, tym razem jednak była u siebie w domu.

Żaliła się, że czuje się samotna, że musi być silna, że jest niedoceniana. To wszystko mówiła bardzo ogólnikowo i dość mętnie: nie podawała żadnych szczegółów. Wyglądało, jakby chciała usłyszeć moją opinię, której jednak nigdy się nie doczekała. Było mi jej żal, ale tylko słuchałem. Zwierzyła mi się, że ma „specjalnego przyjaciela”, o którym nikt nie wie. Znowu nie odezwałem się słowem. Byłoby niegrzecznie z mojej strony wypytywać o szczegóły.

Kiedy byliśmy sami, Diana wyglądała na słabą, niepewną siebie, ale gdy tylko wychodziła na korytarz, znowu stawała się księżną. Służba, zwłaszcza Wendy, dopytywała się z ciekawości: o czym mówiła? Co się dzieje? Rodzinne sprawy, odpowiadałem.

Jak zachowywał się wobec mnie książę, kiedy przebywał w domu sam? Cóż, zostawiał mi polecenia na piśmie.

Wendy dużo wcześniej ode mnie zrozumiała, co się dzieje. Prawda odślaniała mi się kawałek po kawałku, jak układanka pozbawiona obrazka na pudełku. Mój kalendarz nie zawierał już nazwisk i barwnych oznaczeń, ale wiosną 1989 roku pisałem słowo „prywatna” na wielu jego stronach: dla przypomnienia, że książę Karol przebywa poza domem w jakiejś prywatnej rezydencji. O tym, gdzie jest, wiedziało tylko czterech ludzi: ówczesny zastępca jego prywatnego sekretarza, Richard Aylard, prywatny ochroniarz Colin Trimming i pokojowi, Michael Fawcett oraz Ken Stronach. Na przełomie 1989 i 1990 roku stosunki między małżonkami były już napięte. Służba mogła nic nie wiedzieć, ale nie była głucha. Podczas rzadkich dni, kiedy książę i księżna przebywali w Highgrove

razem, i kiedy chłopcy już spali, w rezydencji słychać było podniesione głosy, trzaskanie drzwiami, ciężkie kroki na schodach i na podeście, po których zapadała głucha cisza.

Nie byliśmy też ślepi. Pewnego niedzielnego wieczoru wszedłem do salonu i zauważyłem, że na stoliku do kart, który starannie nakryłem do obiadu dla dwojga, panuje straszny bałagan.

Poprzewracane i potłuczone szklanki, rozsypana sól, rozlana woda. Książę, ubrany w jedwabny szlafrok z emblematem na kieszonce, na czworakach zbierał sztucce z podłogi.

- O Boże - powiedział. - Musiałem chyba zaczepić szlafrokiem o stół i wywróciłem wszystko. Księżnej nigdzie nie było.

Kiedy książę przebywał w rezydencji w ciągu tygodnia, i bardzo często w niedzielę wieczorem, obiad podawałem wcześniej niż o zwykłej porze, jaką była ósma trzydzieści wieczorem.

- Dziś zjem obiad wcześniej, Paul, a potem udam się na spoczynek - mówił książę.

Na stoliku do kart stawiałem jedno nakrycie. Zgodnie z poleceniem na stołku przed kanapą kładłem program telewizyjny z „Timesa”, a obok pilota. Przy otwartym kominku leżała w koszu sterta szczap. Salon wyglądał tak, aby wyglądało, że książę spędza cichy wieczór w samotności. Aż pewnego wieczoru Wendy powiedziała:

- Zapala go, a po dwóch minutach wychodzi. Co za marnotrawstwo. Książę lubił jeść obiad powoli, w owym czasie jednak posiłki trwały

bardzo krótko. Kiedy czerwony krążek pojawiał się w okienku z napisem „Salon”, znaczyło to, że należy sprzątnąć ze stołu. Ledwie zdążyłem wrócić z tacą do pokoju kredensowego, rozległo się szuranie kół po żwirze i samochód zniknął w oddali.

- Nie będzie go do rana - mówiła Wendy.

Książę Karol jeździł zielonym aston martinem, który stał w trójdzielny garażu, przerobionym ze stajni. Obok garażował klasyczny bentley z kremową tapicerką i stary model aston martina ze srebrną statuetką na masce, którego książę dostał w prezencie od matki na dwudzieste pierwsze urodziny. Prowadził sam, a Colin Trimming siedział obok.

Nie zastanawiałem się nad tymi wieczornymi wyjazdami księcia, aż pewnego dnia zajrzałem do domku funkcjonariuszy policji hrabstwa Gloucestershire, którzy patrolowali rezydencję. Zaniósłem im nie zjedzone potrawy z kuchni. Podczas żartobliwej rozmowy wypłynęła sprawa wyjazdów księcia. Policjanci sądzili chyba, że wiem o wszystkim. Wygadali się, że podczas tych tajemniczych eskapad książę Karol przejeżdża zawsze 36 kilometrów - 18 w jedną stronę, 18 w drugą. Dokładnie 18 kilometrów od Highgrove znajdował się Middlewich House - dom pani Camilli Parker Bowles.

- Daj spokój, Paul, przecież musiałeś wiedzieć o wszystkim - powiedziała Wendy, kiedy wróciłem do domu i podzieliłem się z nią nowiną. Przypomniałem sobie skargi księżnej na samotność.

Ostrzeżenia lady Susan Hussey, że nie wszystko jest tak, jak się wydaje. Weekendy spędzane oddzielnie. Kalendarz, a w nim nazwiska, które widziała księżna. Zrobiło mi się ciężko na sercu.

Podczas następnej wizyty w Highgrove księżna, mająca wówczas dwadzieścia osiem lat, wpadła do pokoju kredensowego i zapytała, czy jest coś do jedzenia w lodówce. Życie w dwóch odrębnych światach - księcia i księżnej - powodowało swoiste rozdwojenie jaźni wśród służby. Z czasem nauczyliśmy się przechodzić gładko z jednego trybu w drugi, niczym roboty nie odczuwające emocji. Kamerdyner w Highgrove musiał znać swoje miejsce, dbać o każdy szczegół i niczego nie oceniać.

Miałem zamiar zachować bezstronność - aż do dnia, w którym księżna postanowiła wtajemniczyć mnie w swoje sprawy. Latem 1989 roku poznałem jej sekret i zrodziła się między nami więź, która przetrwała do końca.

Był to piątek, upalne, letnie popołudnie. Po lunchu William i Harry wrócili z nianią, Olgą Powell, do pokoju dziecinnego na drugim piętrze. Księżna przyszła do pokoju kredensowego i od razu przystąpiła do rzeczy.

- Chcę cię o coś prosić, Paul. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek, powtarzam ktokolwiek, dowiedział się o tym. Czy mógłbyś jutro po południu wyjechać po kogoś na stację?

- Oczywiście, Wasza Królewska Wysokość - odpowiedziałem.

- Przyjedzie do mnie specjalny gość, major James Hewitt. Robiłem wszystko, o co prosili mnie

książę i księżna, i nie zadawałem

pytań. Ale to zadanie było dowodem wielkiego zaufania. Księżna dużo ryzykowała, prosząc o tak sekretną przysługę mnie, byłego lokaja królowej i kamerdynera, który większość czasu spędzał z księciem Karolem. Liczyła na swoją bliską przyjaźń z Marią. Nie wiedziała, bo nie mogła wiedzieć, że postanowiłem sobie, iż jej nie zawiodę. Była nieszczęśliwa i samotna, a związek z Jamesem Hewittem wnosił w jej życie radość. Nietrudno było to zauważyć.

Po lunchu wyruszyłem swoją srebrną astra do Kemble. Wyjechałem na szosę A433, która omijała Tetbury, a potem skręciłem w wąską drogę wiodącą do malutkiej osady, gdzie na opuszczonym parkingu czekał mój gość. Zobaczyłem go wcześniej niż on mnie. Stał oparty o sportowy samochód z opuszczanym dachem. Miał na sobie tweedową marynarkę, białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i okulary przeciwsłoneczne.

- Cześć, Paul, jak się masz? - powiedział, wyciągając rękę na powitanie. Wiedział, że po niego przyjadę. Usiadł obok mnie i ruszyliśmy do pałacu; czułem, że jest nieco skrępowany.

- Mogę ci ufać, prawda, Paul? - zapytał. Odpowiedziałem, że może mi ufać, skoro ufa mi księżna. W następnych latach potajemne schadzki i wyprawy po gości księżnej stały się normą. Nazwiska, miejsca i daty spotkań nie mają znaczenia. Owa pierwsza misja była jednak dla mnie czymś wyjątkowym, bardzo podniecającym. Nikt nie mógł się o niczym dowiedzieć, nawet Wendy.

Podjechałem od tyłu i poprowadziłem majora Hewitta przez boczną furtkę obok basenu. Minąwszy ogród, weszliśmy do domu przez drzwi tarasowe. Księżna już na nas czekała. Uściśnęła swego „specjalnego

przyjaciela", który jesienią obejmował stanowisko wojskowe w Niemczech. Promieniowała szczęściem.

- Dziękuję, Paul - powiedziała.

- Gdyby Wasza Królewska Wysokość czegoś sobie życzyła, jestem do usług - odrzekłem i wróciłem do mycia naczyń, które od lunchu stały w zlewie.

Należy podkreślić, że major James Hewitt zaczął odwiedzać High-grove długo po Camilli Parker Bowles. Pod tym względem książę Karol był pierwszy. Księżna odpłacała mu tylko pięknym za nadobne. Oczywiście książę nie miał się o tym nigdy dowiedzieć. Byłem co prawda kamerdynierem w Highgrove, ale tego weekendu dom należał do księżnej. Nie miałem żadnych wyrzutów sumienia, przeciwnie, cieszyłem się, że mogę pomóc księżnej. Colin Trimming, Richard Aylard i Michael Faw-cett pomagali księciu w organizowaniu jego prywatnego życia, ja pomagałem w tym księżnej. Zależało mi, żeby była szczęśliwa.

We czwartek 28 czerwca 1990 roku - siedem dni po ósmym urodzinach Williama - zdarzył się wypadek, który okazał się dla księżnej punktem zwrotnym w jej małżeństwie. Sprawił, że poczuła się niechciana - jak nigdy dotąd.

Księżna przebywała w Pałacu Kensington i wybierała się po synów do szkoły. W Highgrove miałem tego dnia urwanie głowy. Książę był w rezydencji od tygodnia. Wydałem lunch na dziesięć osób i pospiesznie przygotowywałem wieczorne przyjęcie dla Wildfowl and Wetlands Trust, na którym honorowym gościem miał być Michael Caine. Książę Karol pojechał tymczasem do Cirencester na popołudniową grę w polo.

Nagle zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałem zdenerwowany głos pokojowego Kena Stronacha. Książę Karol spadł z konia i złamał prawą rękę. Zwijającego się z bólu zawieziono do szpitala. Przyjęcia nie można już było odwołać. Witając w drzwiach Michaela Caine'a, poinformowałem go o wypadku i poprosiłem, aby zastąpił nieobecnego gospodarza. Była to dla niego nowa rola, ale jako wytrawny aktor poradził sobie z nią śpiewająco.

Ja tymczasem musiałem zająć się moim panem leżącym w spartańsko urządzonej izbie szpitala w Cirencester. Dowoziłem mu jedzenie z Highgrove i starałem się upodobnić warunki szpitalne do tych, które miał w rezydencji: zamieniłem stalowe sztucce na srebrne, zwykłe szklanki na rżnięte kryształowe, zwykłe białe talerze na herbową porcelanę. Przywiozłem nawet jego ulubione obrazy dwóch psów - Tiggera i Roo

- i ustawiłem na sztalugach w rogu pokoju. Ta namiastka Highgrove miała wraz z silnymi środkami przeciwbólowymi złagodzić cierpienia księcia.

Owego weekendu księżna obchodziła dwudzieste dziewiąte urodziny. Nowym, lśniącym mercedesem pojechała po męża, który miał rękę w gipsie, i przywiozła go do Highgrove. Mogła teraz zaopiekować się nim, czyli, jak sama mówiła, robić to, co umiała najlepiej. Księżę jednak, rozdrażniony z powodu bólu, oświadczył, że nie życzy sobie, aby się nim zajmowała i chce zostać sam. Diana poczuła się odepchnięta i niechciana we własnym domu. Po niecałej godzinie, ze łzami w oczach, wyjechała do Londynu. Ledwie księżna wyjechała, w Highgrove zjawiała się Camilla Parker Bowles. Księżę powitał ją z radością. Camilla nie została jednak na noc. Nie pamiętam zresztą, aby kiedykolwiek nocowała w Highgrove.

Camilla Parker Bowles bywała teraz w Highgrove częściej niż dotąd, ale wbrew rozpowszechnionej legendzie wcale nie wprowadziła się do rezydencji ani nie wydawała przyjęć. Dawniej często gościła na lunchu, teraz była stałym gościem na obiedzie wraz ze swoim psem Fredem, tego lata jednak odwiedziła Highgrove nie więcej niż dwadzieścia razy.

Niestety dla mnie, nie była jedynym gościem. Do rezydencji przyjeżdżało wielu przyjaciół księcia i oficjalnych gości, którzy pragnęli podnieść go na duchu. Księżę Karol źle znosił przymusową bezczynność, nie mógł bowiem ani pisać listów, ani oddawać się swoim pasjom: grze w polo, malowaniu i pracom w ogrodzie. Przez lipiec i sierpień spędzał więc czas w bibliotece albo na tarasie, leżąc na szezlongu. Uparł się, że będzie nadal udzielał audiencji, wydawał lunchy, obiady i przyjmował przyjaciół. Niektórzy z nich, na przykład poseł Nicholas Soames czy lord i lady Romsey, zostawali na noc, co oznaczało, że musieliśmy obsługiwać jeszcze jeden pokój. Księżę nawet w pełni władz fizycznych nie był osobą zbyt samodzielna. Teraz razem z jego pokojowym musieliśmy dosłownie skakać wokół niego. Próbował pisać lewą ręką i złościł się, gryzmoląc krótkie listy charakterem pisma sześciolatniego dziecka.

- Czuję się taki nieprzydatny! - jęknął któregoś dnia.

Nigdy w życiu nie czułem się tak zmęczony. Pacjent wymagał całodobowej opieki, toteż prawie bez przerwy byłem na nogach. Dawniej księżę spędzał w Highgrove około trzech dni, po czym wyjeżdżał na dzień - dwa, pozwalając mi odetchnąć. Po wypadku zamieszkał w rezydencji na stałe. Przez bite dwa miesiące musiałem pracować od siódmej rano do jedenastej wieczorem. Skutki tego były fatalne.

Pewnego dnia skończyłem pracę o północy i pojechałem do domu, myśląc tylko o tym, żeby rzucić się na łóżko. Maria znalazła mnie na posadzce łazienki, zwijającego się z bólu. Miejscowy internista, dr Walsh, skierował mnie zaraz do szpitala Księżniczki Małgorzaty w Swindon. Tam powiedziano mi, że jestem zupełnie wyczerpany i w efekcie nabawiłem się infekcji wirusowej. Kamerdyner, podobnie jak jego pan, musiał położyć się do łóżka. Następny tydzień spędziłem w szpitalu w prywatnej separacie.

Przez cały czas myślałem tylko o powrocie do Highgrove. Nikt nie jest niezastąpiony, ale ja uważałem, że nikt lepiej ode mnie nie potrafi zarządzać domem księcia. Nie wiem, czy to zaleta, czy wada, ale jestem perfekcjonistą, który woli zrobić wszystko sam. Drugiego dnia, kiedy o tym rozmyślałem, w drzwiach ujrzałem trzy znajome twarze: odwiedziła mnie księżna z synami. William i Harry trzymali balony z napisem „Wracaj szybko do zdrowia”, a ich matka usiadła na brzegu łóżka, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu. Kamerdyner w białym podkoszulku zamiast liberii i z bardzo smutną miną wydał jej się komiczny.

- Pierwszy raz widzę cię w takim stanie - powiedziała i dodała ze śmiechem: - Wyglądasz tak żałośnie!

Potem zrobiła to, co zawsze robiła podczas wizyty w szpitalu: ruszyła na obchód.

- Zobaczmy, czy jest tu jeszcze ktoś interesujący - rzekła i wyszła na korytarz z Williamem.

Mogłem sobie tylko wyobrazić reakcje pacjentów, którzy obudzili się z narkozy i ujrzeli przy swoim łóżku księżną Walii. Po powrocie księżna opowiadała z zachwytem, że William kupił kwiaty kobiecie, która przeszła niedawno operację. Mówiła też o zbliżających się wakacjach w Balmoral, o Marii i dzieciach oraz naszym nowym domu, który załatwiła jeszcze przed moją chorobą.

Księżna Walii, ubrana w żółte szorty i turkusową bluzę, stała w drzwiach osiemnastowiecznego kamiennego domu krytego dachówką. W rękę trzymała nożyczki, którymi miała za chwilę przeciąć czerwoną wstęgę. Harry jeździł na rowerku po trawie, William gonił się z Alexan-drem i Nickiem.

Nie rozumieli wagi uroczystości, która odbywała się tuż obok nich.

Księżna również nie brała jej zbyt poważnie.

- Ogłaszam ten dom za otwarty - oznajmiła. Starła się to powiedzieć podniosłym tonem, ale w połowie zdania roześmiała się.

Było piątkowe popołudnie 10 sierpnia 1990 roku. Wyrwałem się na chwilę z rezydencji, gdzie miałem jeszcze przygotować obiad dla księcia i księżnej, którzy tego weekendu udawali się na Majorkę. Książę Karol został w bibliotece, ale podarował nam wzruszający prezent w postaci kilku swoich obrazów. Była tam panorama florenckich dachów, pejzaż włoskiej wsi, scena z meczu polo i rysunek żaglowca HMS Sinus.

Plany księżnej, aby przenieść rodzinę Burrellów bliżej Highgrove, zostały wreszcie zrealizowane. Nowy domek wyglądał jak z rysunków na bombonierkach. Miał trzy sypialnie, nisko sklepiony belkowany sufit, po frontowej ścianie pięły się róże. W otaczającym go kamiennym murku była biała furtka. O takim właśnie domu Maria zawsze marzyła. Książę Karol kazał nawet urządzić w dawnym składziku pokój zabaw dla naszych chłopców. Księżna dopilnowała, aby Dudley Poplak nadał domowi styl: liny przy schodach, bordiury we wszystkich pokojach i nowe materiały na zasłony i poduszki, a wszystko za darmo. Dom, który przed swoją przeprowadzką do Londynu zajmował służący księcia, Ken Stronach, stał dosłownie kilka kroków od rezydencji. Żaden Brytyjczyk nie miał chyba równie pięknej drogi do pracy jak ja. Malownicza dróżka prowadziła pod żywopłotowym łukiem przez łąkę porośniętą kwiatami, przez leśny ogród, a potem warzywnik. Ani ja, ani książę nigdy chyba nie zapomnimy wizyty ekscentrycznego aktora komediowego, Spike'a Milligana, który spędził w Highgrove pewną sobotnią noc. Nie życzył sobie służącego i kiedy nie zjawił się na śniadanie, wszczęto alarm. Później okazało się, że nie spał w swoim łóżku z baldachimem, ale spędził noc na twardej posadzce łazienki „pokoju błękitnego”. Kilka tygodni później książę otrzymał pocztą porcelanową tabliczkę z pisemnym zaleceniem, aby przykręcić ją do posadzki w łazience. Napis brzmiał: „Tu spał Spike Milligan”. Książę Karol uznał to za bardzo zabawne.

Zadzwoił dzwonek i czerwony krążek wpadł do skrzynki. Kiedy wszedłem, książę stał pośrodku pokoju, a obok niego Camilla Parker Bowles. Oboje przyglądali się obrazom opartym o ścianę.

- Paul, gdzie są obrazy, które stały tam przedwczoraj? - spytał książę, pokazując na kominek.

Jego towarzyszka uśmiechnęła się do mnie. Wiedziałem dokładnie, o co chodzi księciu. Czuję się zakłopotany.

- Wasza Królewska Wysokość ma na myśli swoje akwarele?

- Tak, te z dachami i widokami Florencji.

- Wasza Królewska Wysokość podarował je mnie, kiedy wprowadzaliśmy się do nowego domu - odparłem.

Książę zamyślił się. W końcu rzekł:

- Ach tak - i odwracając się do pani Parker Bowles: - No cóż, w takim razie musimy znaleźć ci coś innego.

Okazało się, że książę pragnie podarować przyjaciółce obrazy, aby ozdobiła nimi ściany w swoim domu. Przez lata znajomości z księciem pani Parker Bowles otrzymała od niego wiele prezentów. Jeszcze dziś nosi brylantową broszę w kształcie piór księcia Walii. Niekiedy sam pomagałem księciu wybierać podarunki dla kochanki za plecami księżnej, ale wykonywałem tylko swoje obowiązki. Niczego nie widzisz, nic nie komentujesz. Tak nas uczono.

Genevieve Holmes, osobista asystentka księcia z Pałacu Św. Jakuba, regularnie przysyłała biżuterię. Wybierał ją Kenneth Snowman z londyńskiej firmy jubilerskiej Wartski, który często odwiedzał królową z klejnotami od Fabergego. Moim zadaniem było rozwinięcie biżuterii z białej bibułki i ułożenie jej na drewnianej tacy, którą przykrytą białym płótnem, stawiałem na postumencie w rogu biblioteki. Po moim wyjściu książę Karol wybierał jakiś drobiazg dla Camilli Parker Bowles, a resztę pakowano i odsyłano.

Książę jednak nigdy nie zapominał o księżnej. Na dziesiątą rocznicę ślubu, w 1991 roku - kiedy według mediów małżonkowie pałali do siebie nienawiścią - posłał jej pamiątkowy wisiołek, który

miała przypiąć do złotej bransoletki, otrzymanej również od niego. Była to złota, dwucentymetrowa litera X, czyli rzymska dziesiątka. W 1982 i 1984 księżna otrzymała od męża podobne litery W i H dla upamiętnienia narodzin synów. Co roku przysyłał jej nowy wisior, zawsze złoty: parę baletek, bo uwielbiała tańczyć, raketę tenisową, bo lubiła lekcje tenisa, niedźwiadka, bo zawsze miała pluszowe misie, czapkę do gry w polo, jabłuszko i złotą miniaturę katedry św. Pawła, w której brali ślub.

Księżna bardzo ceniła sobie tę bransoletkę i trzymała ją w sejfie. Małżeństwo przeżywało kryzys, ale bransoletka przypominała jej wszystkie dobre chwile.

Nadal przysyłała mężowi życzenia z okazji urodzin i w Walentynki, nawet po separacji w 1992 roku - aż do rozwodu cztery lata później. Ostatnim prezentem księcia dla księżnej był słomkowy kapelusik ozdobiony

muszelkami. Nie była pewna, czy to żart, czy po prostu dał o sobie znać zły gust księcia.

- Co mam z tym zrobić? - śmiała się.

Sądziłem, że moje podróże zagraniczne odeszły w przeszłość. Księżu i księżnej towarzyszył za granicą kamerdyner z Pałacu Kensington, Harold Brown. Ale pewnego dnia księżna zwierzyła mi się, że w listopadzie 1990 roku wybiera się z księciem na koronację cesarza Japonii, i poprosiła, abym jej towarzyszył.

- Nie widzę powodu, aby tylko Harold miał jeździć z nami za granicę

- oświadczyła.

Od wyjazdu do Japonii, choć wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, między mną a księżną zaczęła się rodzić bliższa więź. Pięciodniowa podróż nie była łatwa dla członków książęcej świty. Złe stosunki między małżonkami widać było gorym okiem - zanim jeszcze przyjechali do ambasady brytyjskiej, gdzie dostali osobne apartamenty na pierwszym piętrze. Byli jak współnicy w interesach, których poza tym nic nie łączy. Nie poznawałem księżnej - podenerwowanej i drażliwej. Z byle powodu burczała na mnie i na garderobianą Helenę Roache: a to chciała więcej ręczników, a to suszarka źle działała, a to suknia miała plamę. W obecności księcia była bardzo spięta. Dywan między pokojami księcia i księżnej mógłby być zrobiony ze skorupki jajek; zaskoczyło mnie to, bo nigdy dotąd nie czułem się zakłopotany w jej towarzystwie. Była osowiała, zmęczona, przybita. Choć Japończycy nosili ją na rękach, skarżyła się, że nie jest szanowana ani doceniana. Pragnęła adoracji w życiu prywatnym. Czuła się też skrępowana sztywną etykietą narzuconą jej podczas wspólnej podróży oraz wyniosłością świty księcia.

- Chciałabym podróżować po świecie i robić to, co sama chcę robić, a nie to, czego oczekują ode mnie inni. Chcę robić wszystko po swojemu

- mówiła mi. Wspólne podróże, z ich protokołem i ścisłym harmonogramem, dławili jej spontaniczność. Księżna była najszcześliwsza wówczas, gdy znajdowała się daleko od księcia.

Bardzo chciała wyrwać się na wolność i podróżować w pojedynkę.

Byłem świadkiem, jak w Japonii księżna próbowała zdobyć uznanie męża, ten jednak nie doceniał tych starań i odbierał jej resztki pewności siebie. Przed jednym z oficjalnych spotkań księżna zeszła po schodach do holu, gdzie czekali, spoglądając na zegarki, księżę Karol i jego świta. Miała na sobie czerwoną, kraciastą suknię od Catherine Walker z czerwonym aksamitnym kołnierzem i mankietami. Suknia była dość krzykliwa, ale elegancka. Uśmiechnięta księżna podeszła do męża i zapytała:

- Czy podoba ci się moja suknia, Karolu?

Odpowiedź księcia była wypowiedziana łagodnym tonem i bez złośliwości, ale jej skutek był miazdzący.

- Tak. Wyglądasz jak stewardessa linii British Caledonian.

Po tych słowach księżę odwrócił się i wyszedł przez drzwi frontowe do czekającego samochodu. Z twarzy księżnej zniknął uśmiech, spuściła oczy. Potem zrobiła to, w czym była już specjalistką: zebrała się w sobie i ruszyła za mężem.

Nie był to jedyny raz, kiedy księżę wpędzał żonę w kompleksy, celowo lub mimowolnie. Pół roku później, w maju 1991 roku, małżonkowie odbyli wspólną podróż do Czechosłowacji. Zatrzymali się w pałacu prezydenta Havla w Pradze, gdzie mieli nie tylko oddzielne pokoje, ale mieszkali na

innych piętrach. Księżna przebrała się na popołudniowe spotkanie i ponownie zeszła po schodach do czekającego męża. Miała na sobie kostium w kolorze złamanej bieli z czarnymi guzikami i czarną chusteczką w kieszonce, na nogach czarno-białe buty. Tym razem nie spytała, jak wygląda, ale księżę Karol sam wyraził swoją opinię.

- Wyglądasz, jakbyś właśnie wstąpiła do mafii - powiedział z uśmiechem. Pewnie miał to być żart, ale nikt się nie roześmiał. Smutne było to, że księżna zawsze wyglądała zachwycająco, ale mówili jej o tym inni.

Tylko z rzadka i na krótką chwilę stawiała się wesołą księżną z sercem na dłoni, którą dotąd znałem. Jak wówczas, kiedy przed odjazdem na garden party u cesarza Japonii poprowadziła mnie i Helenę Roache do ogrodu ambasady brytyjskiej.

- Chodźcie, zrobimy sobie zdjęcie - namawiała.

Przez cały okres służby u królowej ani razu nie zrobiono mi z nią zdjęcia w nieoficjalnych okolicznościach, a teraz stałem obok przyszłej królowej Anglii. Kiedy Helena powiedziała:

„Uśmiech” - nagle poczułem się nieswojo.

- Nie jestem pewien, czy to wypada. Mam nadzieję, że Jego Królewska Wysokość nas nie widzi.

- Och, nie przejmuj się głupstwami. Uśmiechnij się - powiedziała księżna, a Helena pstryknęła.

Zdjęcie to jest dla mnie miłą pamiątką. Stoję na nim na baczność, sztywno wyprostowany, w krawacie Hermesa, który księżna kupiła mi w czerwcu poprzedniego roku. (Nigdy nie zapomniała o urodzinach znajomych). Księżna ubrana jest w prosty kostium w japońskich barwach narodowych, a na głowie ma kapelusik z czerwonym kółkiem symbolizującym wschodzące słońce.

Wziąłem aparat i pstryknąłem zdjęcie księżnej i Helenie; podobne fotografie zrobiliśmy sobie na balkonie w Czechosłowacji.

Beztrioskie zdjęcia z czasu, kiedy księżnej wcale nie było lekko na duszy. Nie mogłem się doczekać wywołania tych fotografii. Stały na honorowym miejscu, na kominku w naszym domu obok innej pamiątki, portretu księżnej wykonanego w lipcu 1990 roku. Zaprosiła mnie do jadalni, gdzie na stole leżały czarno-białe zdjęcia z jej pierwszej sesji fotograficznej dla pisma „Vogue”, wykonane przez Patricka Demacheliera. Wyglądała prześlicznie ze zmierzwionymi włosami i w czarnym wysokim golfie.

- Chciałbyś któreś? - spytała i podała mi kilka. Kiedy wybrałem, wzięła ode mnie fotografię i napisała na niej: „Dla Paula i Marii z wyrazami gorącej sympatii od Diany”. Jeszcze jeden uśmiech, skrywający bolesne rozterki wewnętrzne.

Jej mąż był dla mnie równie hojny. W tym samym roku podarował mi na trzydzieste drugie urodziny pierwszą litograficzną odbitkę swoich akwarel z Wensleydale, którą podpisał ołówkiem: „Karol 1990”; każdą następną odbitkę podpisywał już tylko literą „K”. Powiesiliśmy ją na ścianie nad kominkiem, na którym stał portret jego żony.

We wrześniu 1991 roku towarzyszyłem księżnej w pierwszej samodzielnej podróży zagranicznej - do Pakistanu. Ziściło się jej marzenie o podróżowaniu bez męża, o uwolnieniu się od krępującego protokołu i mężowskich przytyków do jej strojów. Była zdecydowana występować na światowej scenie w głównej roli, a nie w cieniu księcia Karola. Pałac Buckingham i Ministerstwo Spraw Zagranicznych uważnie przyglądały się, jak sobie radzi.

Księżna była w znakomitym nastroju, bo na jej podróż zgodziła się sama królowa, która oddała synowej do dyspozycji jeden ze swoich samolotów BAe 146. Księżna wiedziała, że w grę wchodzi jej reputacja jako reprezentanta Wielkiej Brytanii, toteż przywiązywała do tej podróży dużą wagę. Podobnie jak sportowiec trenujący przed wielkimi zawodami, starannie przygotowywała się do swojej roli. Drobiazgowo opracowała plan podróży i wybrała stroje na różne okazje. Na każdy dzień przewidziała coś prostego, ale eleganckiego.

- Ta podróż jest dla mnie bardzo ważna, Paul, chcę więc, żeby pojechali ze mną najlepsi - powiedziała.

Na czele jej świty, w skład której wszedłem ja, garderobiana Helena, fryzjer Sam McKnight i jeden z ochroniarzy, stanął pracowity sekretarz

księżnej, Patrick Jephson. Były dziennikarz radiowy, Dickie Arbiter, miał zapewnić przychyłość

mediów. Księżna ceniła go tak bardzo, że zaliczyła do grona osób, którym przesyłała życzenia urodzinowe.

Udział w tej historycznej podróży był dla mnie wielkim zaszczytem, zwłaszcza że jej sukces przeszedł oczekiwania. Wszędzie, gdzie byliśmy, księżna odnosiła triumf: w górskiej wiosce Chitral, na przełęczy Chaj-ber, w Lahore, Rawalpindi i w Islamabadzie. Jak zwykle zachowywała się jak profesjonalistka, podbijała ludzkie serca i robiła ogromne wrażenie. W Chitral, w chmurach Himalajów, przyszła ją zobaczyć cała pięć-setosobowa wieś. Prasa i telewizja prześcigały się w pochwałach, co napełniało ją poczuciem głębokiej satysfakcji. Kiedy złe języki obmawiały ją jako osobę niezrównoważoną psychicznie, księżna wkroczyła na scenę publiczną i zamknęła potwarcom usta. Jako żona mogła wydawać się słaba i biedna, ale tylko wśród „starej gwardii” stan jej nerwów uchodził za świadectwo braku równowagi psychicznej. Jako członek rodziny królewskiej i przedstawiciel Wielkiej Brytanii była po prostu nietykalna. Od tej chwili pozycja księżnej Walii umacniała się, a wszędzie towarzyszyła jej wierna drużyna.

Po powrocie z Pakistanu księżna podarowała mi album o tym kraju. W środku była kartka z dedykacją, w której księżna pisała o mądrości i skromności spotkanych przez nas ludzi, zwłaszcza z ośrodka dla osób dotkniętych głuchotą: Dla Paula. „Jest wielu, którzy miłują Boga... wędrują po dżungli, szukając... aleja będę kochał takiego, który miłuje całą Bożą ludzkość” - Iqbal Serdeczności od Diany, Pakistan 1991. Słowa te, autorstwa pakistańskiego poety, sir Muhammada Iqbal, były jej natchnieniem i przewodnikiem podczas pierwszej samodzielnej wizyty zagranicznej i podkreślały wagę dobroci i życzliwości, które księżna zawsze okazywała ludziom w czasie spotkań.

Z tej pierwszej podróży zachowaliśmy wspaniałe wspomnienia: za-klinacza węży, który włożył sobie do ust głowę kobry, czym rozbawił księżną do łez; jej „koronację” turbanem w Chitral na honorową skautkę.

Nigdy nie zapomnę pierwszego dnia. Księżna przyjechała na cmentarz wojskowy Wspólnoty Brytyjskiej w Rawalpindi, aby oddać hołd spoczywającym tam żołnierzom. Kiedy w imieniu królowej składała wieniec, pomyślałem, jakie to dziwne, że jako kamerdyner księżnej jestem świadkiem tej uroczystości. Nie byłem przecież prywatnym sekretarzem. Powinienem raczej pozostać w rezydencji, przygotowując lunch lub podwieczorek. Księżna jednak coraz częściej włączała mnie do swojej najbliższej świty. Nosilem garnitury, a nie liberię.

W Pakistanie zacząłem rozumieć, czym żyje księżna. Opowiedziała mi o długoletniej przyjaźni z Adrianem Wardem-Jacksonem, z którym poznała ją księżniczka Małgorzata. Był nosicielem wirusa HIV. Księżna zwierzała mu się z kłopotów, on otwarcie mówił jej o swojej chorobie. W przyjaźni tej miała źródło późniejsza kampania księżnej na rzecz walki z AIDS. Po raz pierwszy zetknęła się bliżej z tą chorobą, kiedy odwiedziła oddział chorych na AIDS i dokonała uroczystego otwarcia nowego skrzydła w szpitalu w Middlesex. Nie zapomnę jej słów, które wypowiedziała przy tej okazji: „Od czasu gruźlicy nie było choroby, która zabija dzieci przed ich rodzicami, a żaden inny członek tej rodziny [tj. Windsorów] nie zajął się nią”. Księżna uważała, że zbyt wielu ludzi interesuje się AIDS jedynie przelotnie, gdy tymczasem konieczna jest stała kampania uświadamiająca. Otrzymywała listy z inwektywami, w których pytano: „Dlaczego tak popierasz gejów?”. Twierdziła, że te listy to skutek niedoinformowania, któremu można zaradzić tylko przez właściwą edukację.

Ludzie cyniczni często insynuowali, że działalność charytatywna księżnej służyła tylko celom autoreklamy i że zrobiłaby ona wszystko dla wzruszającego zdjęcia. Nigdy nie rozumieli, że księżna żywiła szczere współczucie dla nieszczęśliwych, że naprawdę pragnęła im pomóc i przywiązywała ogromną wagę do działalności humanitarnej. I jeśli prawdą jest, że przyjaciół poznaje się w biedzie, to nie było lepszej przyjaciółki niż księżna Diana. Przekonał się o tym między innymi Adrian Ward--Jackson.

Poprosił ją, aby była z nim w chwili śmierci, co księżna uznała za wielkie wyróżnienie. W połowie sierpnia, kiedy ich wspólna przyjaciółka, Angela Serota, powiadomiła księżną, że Adrian ciężko zaniemógł, oddalenie i obowiązki nie przeszkodziły jej w dotrzymaniu obietnicy. Przebywała wówczas w Balmoral, ale gdy nie dostała się na samolot, wsiadła do samochodu i po

siedmiogodzinnej nocnej jeździe z ochroniarzem, Dave'em Sharpem, dotarła do Londynu. Czuwała przy Adrianie przez cztery dni i cztery noce. Kiedy tuż przed śmiercią zapytała go o coś, Adrian w odpowiedzi uniósł kciuk do góry. Mówiła później, że było to jedno z najbardziej wstrząsających przeżyć w jej życiu; niesamowite wrażenie wywarł na niej spokój, z jakim chory przyjmował swój los. Angela leżała na łóżku obok niego i razem z księżną odmawiała modlitwę. Zrozumieć, co ta chwila znaczyła dla niej, to zrozumieć księżną. Zwierzała się potem, że wówczas odkryła swoje

wewnętrzne „ja”, pojęła, czym jest poświęcenie, śmierć, wędrówka du-szy. Jeśli jej duchowość miała jakieś zewnętrzne źródło, to była nim owa szpitalna sala, w której 23 sierpnia 1991 roku tuż po północy zmarł Adrian. Potem, zgodnie ze swoim zwyczajem, księżna przeprowadziła prywatny obchód szpitala i odwiedziła oddział położniczy. Była świadkiem, jak kończy się życie; teraz chciała zobaczyć, jak inne życie się zaczyna. Później często mówiła o śmierci i dzielności Adriana Warda-Jacksona. Kupiła książkę *Facing Death and Finding Hope* [Nadzieja w obliczu śmierci], w której uczono, jak „uczuciowo i duchowo opiekować się umierającymi”.

Po podróży do Pakistanu zacząłem zastępować Harolda Browna podczas jego dni wolnych w Pałacu Kensington. W ciągu owego roku przez kilka tygodni mieszkałem w małym pokoiku na najwyższym piętrze pałacowych apartamentów 8 i 9, za pokojami dziecięcymi. Posiłki przygotowywałem zwykle dla jednej osoby, stawiałem je na stoliku na kółkach i wtaczałem do salonu. Księżna, ubrana w szlafrok, leżała zwinięta w kłębek na kanapie i oglądała Brookside albo Coronation Street. Często zapraszała mnie do siebie na pogawędkę. Ona jadła, ja stałem. Kiedy skończyła posiłek, który zawsze składał się z sałatki lub ryby, wypychałem stolik z salonu do pokoju kredensowego na pierwszym piętrze. Szła za mną i, kiedy ja zmywałem, a ona wycierała naczynia, kontynuowaliśmy rozmowę. W pokoju kredensowym rozmawiałem nie z księżną Walii, ale z przyjaciółką swojej żony, choć uparcie zwracałem się do niej „Wasza Królewska Wysokość”. Poza tym znikwały między nami wszelkie bariery. W szlafroku i bez makijażu księżna wyglądała bardzo zwyczajnie, normalnie. Służyłem dwóm różnym osobom: wyimaginowanej postaci stworzonej na użytek publiczny i zagubionej dziewczynie, której wnętrza nikt nie znał. W Pałacu Kensington miałem do czynienia z tą drugą.

Nasłuchiwałem się wiele od służby, że księżna potrafi być trudna, że jest zmienna i nieprzewidywalna, ale w cztery oczy rozmawiało mi się z nią wspaniale: umiała mówić i słuchać. Zazdrościłem Haroldowi Brownowi wi pracy i szefowej. Zacząłem czekać na jego wolne dni.

Na wsi z Marią i chłopcami wiedliśmy szczęśliwe życie. Alexander i Nick szybko zadomowili się w nowym miejscu, a w czasie weekendów najchętniej bawili się ze swoimi najlepszymi przyjaciółmi, księciem Williamem i Harrym, których matka nazywała „moimi chłopcami”.

Prywatnie i w listach księżna i książę Walii zwali Williama pieśczośliwie „Wombat”; Harry był zawsze po prostu „Harrym”.

William i Harry dorastali razem z Alexandrem i Nickiem. Chłopcy pochodzili z zupełnie innych sfer. Nasi synowie donaszali ubrania i buty, z których wyrosli młodzi książęta. W czasie weekendów cała czwórka nie rozstawała się ani na chwilę.

Chłopcy z pewnością zapamiętają na zawsze te szczęśliwe dni, utrwalone na zdjęciach w naszych rodzinnych albumach. Od chwili gdy wprowadziliśmy się do domu obok rezydencji, młodzi książęta stale byli w pobliżu: wpadali po batoniki i coś zimnego do picia, bawili się w ogródku, jeździli wokół domu na rowerach, krzyczeli i śmiali się w pokoju zabaw, kopali w piaskownicy, w zimie lepili bałwany, w lecie chlapali się w basenie. Ich widok budził w nas takie samo rozczulenie jak widok Alexandra i Nicka.

William często zaglądał do naszej kuchni, uśmiechał się łobuzersko i pytał: „Masz może jakieś batoniki albo cukierki, Mario?”. Wiedział, że mamy puszkę z batonikami KitKat, Twix i Penguin i korzystał z niej równie często jak jego matka. Najwcześniejsze wspomnienia Alexandra wiążą się z jego trzecimi urodzinami w maju 1988 roku, kiedy wydaliśmy skromne przyjęcie w Close Farm.

William, który miał wówczas pięć lat, a Harry trzy latka, wraz z czworgiem innych dzieci wcinali tort w kształcie niebieskiego traktora, zrobiony przez Mervyna Wycherleya. Książę Karol grał w polo w Windsorze, księżna tymczasem przyglądała się razem z nami dziecięcej uczcie i na zmianę z

Marią i Wendy trzymała na rękach naszego miesięcznego wówczas syna Nicka. Podarowała Alexandrowi zielony wojskowy sweter z łątami na ramionach i łokciach, plastikowy karabin i ciemnoczerwony beret żołnierzy pułku spadochronowego. Wiedziała, że tak jak Harry, Alex uwielbia bawić się w wojnę.

W owych latach nasi synowie byli jedynymi towarzyszami zabaw małych książąt. Księżna zapraszała Alexandra i Nicka do ich pokojów, które zajmowały całe górne piętro w Highgrove; była tam sypialnia Williama, sypialnia Harry'ego, pokój niani, kuchnia i pokój dzienny o cytrynowo--niebieskich ścianach obramowanych bordiurą z literami alfabetu. Zanośliem na piętro talerze z paluszkami rybnymi i frytkami dla chłopców i patrzyłem, jak Alexander i Nick zajadają w towarzystwie przyszłego króla Anglii.

Jeśli księżna i niania Ruth Wallace wyjeżdżały gdzieś z książętami, często zabierały też Alexandra i Nicka. We wrześniu 1989 roku,

po powrocie księżnej z Balmoral (książę został w Szkocji), chłopcy pojechali do bristolskiego zoo. Byłem zaskoczony, kiedy księżna dała mi wolny dzień i poprosiła, żebym im towarzyszył. Księżna, w bejsbolów-ce z numerem 492, spacerowała jak wszystkie inne matki razem z Ruth i Marią pchającą wózek z Nickiem, a ja i ochroniarz Dave Sharp pilnowaliśmy pozostałych chłopców. Księżną i Marię łączyły sprawy małżeństwa i macierzyństwa, a wspólne doświadczenia, których z biegiem lat nagromadziło się wiele, oraz zabawy synów jeszcze bardziej je do siebie zbliżyły. Po naszej przeprowadzce do nowego domu Maria i księżna zostały sąsiadkami. Księżna była naszym pracodawcą, a zarazem przyjacielem rodziny. Alexander i Nick mówili zawsze: „Dzień dobry, księżno”. Brzmiało to dziwnie w moich uszach, bo oboje z Marią używaliśmy zwrotu: „Wasza Królewska Wysokość”. Chłopcy sądzili chyba, że „księżna” to imię.

W ten sposób sprawy prywatne mieszały się ze sprawami służbowymi, zmniejszając dzielący nas dystans. Kiedy księżna wchodziła do naszej kuchni, Maria włączała czajnik i pytała rutynowo:

- Wasza Królewska Wysokość życzy sobie kawy?

A wówczas Nick wskakiwał jej na kolana, obejmował ją za szyję i pytał:

- Gdzie byłaś, księżno?

Niektóre wydarzenia stały się rodzinnymi anegdotami. Pewnego razu trzyletni Nick, ubrany w szorty i podkoszulek, wędrował od naszego domu przez łąki do rezydencji. Stałem w drzwiach frontowych, czekając na wyjazd księcia, którego bentley stał na podjeździe. Ścieżką nadszedł Nick, i nie zwracając na mnie uwagi, stanął w progu. Księżę pojawił się właśnie w drzwiach. Był w smokingu, bo wybierał się na oficjalne spotkanie do Londynu.

Nick zmierzył go od stóp do głów i pisnął:

- Fajnie wyglądasz, księciu Karolu. Dokąd jedziesz?

Była to jedna z tych chwil, kiedy rodzic nie może uwierzyć w to, co powiedziało jego dziecko. Nick nie przeczuwał nawet, że jego ojciec zeszytniał ze zgrozy. Nie czekając na odpowiedź, przecisnął się obok księcia i wszedł do środka. Księżę Karol nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

Rezydencja i rozległa posiadłość Highgrove stały się dla chłopców wspaniałym placem zabaw. W jednej z szop zbudowałem „basen” z plastikowymi piłeczkami. Często zastanawialiśmy się z żoną, kto bardziej lubi się w nim bawić: chłopcy czy księżna, która czaiła się za plecami

Williama, Harry'ego, Alexandra i Nicka, wpychała ich do basenu i wskakiwała za nimi. Udawała, że „tonie” pod piłkami, a chłopcy skakali na nią i łaskotali ją.

Kiedy księżnej nie było, miałem obowiązek zabawiać dzieci. Wymyśliliśmy grę „znajdź jak najwięcej jajek”, będącą odmianą zabawy, którą królowa organizowała na Wielkanoc w ogrodach Frogmore na terenie posiadłości Windsor dla dzieci z rodziny królewskiej. Zanośliem do ogrodu kosz z jajkami z czekolady i ukrywała je w zakamarkach murów, drzew i wśród kwiatów. Dzieci ściagały się z psami, kto pierwszy je znajdzie. W Highgrove chowałem świeże jaja kurze w sianie i słomie leżącej w stodole. Oczywiście znalezienie czekoladowego jajka sprawiało większą przyjemność, ale i tak zabawa była przednia. Zwyciężał najczęściej księżę William.

William miał świnkę morską, a Harry szarego króliczka, który mieszkał w klatce w rogu podwórza, gdzie Paddy Whiteland trzymał dla księcia dwa kucyki pony do gry w polo, Smokeya i Triggera. Stajenna Marion Cox ujeżdżała je. Były też dwa psy księcia Karola, czarne krowy rasy Aberdeen

Angus, a w stodole puszczyki. W stawie ogrodowym pływały karpie, w rogu kuchni stało akwarium Williama i Harry'ego z tropikalnymi rybkami. Z Pałacu Kensington William i Harry przywieźli chomika. Pomagali kroić jabłka, marchewki i sałatę dla świnki morskiej, królika i chomika i zawsze sami czyścili klatki.

Mali książęta dostali do zabawy miniaturę aston martina z elektrycznym napędem i składanym dachem, czyli dziecinną wersję samochodu swojego ojca, подарowaną księciu przez producentów. Moi synowie często powtarzali, że ta brytyjska dwumiejscowa zielona wyścigówka to najwspanialsza zabawka na świecie; samochodzik miał kremową skórzaną tapicerkę, deskę rozdzielczą z palisandru, działające reflektory, magnetofon kasetowy i obciągniętą skórą kierownicę. William prowadził i przywykliśmy do jego widoku za kierownicą z Harrym na siedzeniu pasażera. Przyjeżdżali pod nasz dom, aby zabrać Alexandra i Nicka na przejażdżkę. William i Harry stale kłócili się o to, kto ma prowadzić i William jako starszy zawsze stawał na swoim. Kochał samochody i wyścigi, w wieku dziesięciu lat uważał się za doświadczonego kierowcę! Aż któregoś dnia próbował powolutku przejechać przez wąską furtkę prowadzącą do naszych tylnych drzwi, zawadził o kamienny filar i zarysował cały bok wozu. Maria była w kuchni, gdy przerażony William wpadł do środka.

- Mario, Mario, zdarzył się straszny wypadek! - krzyczał.

Żona zastanawiała się, co takiego strasznego mogło się stać, zwłaszcza gdy chłopiec dodał:

- Tata będzie się gniewał. Potrzebna mi zielona farba.

Maria obejrzała samochód i musiała zmartwić Williama: farba nie załatwi sprawy, bo kamień zostawił w karoserii głęboką rysę. William był przerażony. Chciał postawić samochodzik w garażu uszkodzonym bokiem przy ścianie, aby ojciec o niczym się nie dowiedział, ale Paddy i ja zapewniliśmy, że jakoś go wytłumaczymy. Książę Karol nie był zadowolony, że jego syn okazał się „taki głupi”, ale samochód został odesłany do producenta do naprawy i wrócił jak nowy. Do czasu powrotu za kierownicę swojego auta William musiał zadowolić się jazdą kosiarką do trawy wraz z Paddym. Rodzice pozwolili mu nadal prowadzić samochód, bo wiedzieli, że w Highgrove nic mu się nie stanie. Poza tym William, Harry, Alexander i Nick mieli już za sobą znacznie poważniejsze doświadczenia, bo wraz z księżną jeździli gokartem z prędkością 60 kilometrów na godzinę. Tak im się to spodobało, że w odległym kącie Highgrove zbudowali prowizoryczny tor i wynajęli gokarty na lato.

William i Harry byli pewnymi siebie i bardzo żywymi chłopcami, którzy nie wstydzili się rozmawiać z otaczającymi ich dorosłymi. Rozstawali się dopiero pod drzwiami swoich sypialni, poza tym chodzili wszędzie razem i razem robili wszystko, choć z racji wieku rej wodził William. Obaj uczęszczali do prywatnej szkoły Wetherby'ego w Notting Hill w Londynie i każdy codziennie chwalił się matce swoimi szkolnymi „dziełami”. Księżna, bardzo dumna z twórczości synów, obwieszała ściany swojej garderoby połączonej z łazienką obrazkami motyli i kwiatów, wykonanymi z krepiny, kolorowego papieru i skorupki od jajek.

W twórczości artystycznej Harry'ego doszło do głosu jego zamiłowanie do wojska: rysował bitwy wokół zamków z udziałem samolotów, które zrzucały bomby, i nie szczędził czerwieni dla pokazania, że walka jest bardzo krwawa. Podczas jednego z letnich barbecue uznał, że baloniki z wodą są też bombami, a ukochany południowy ogród ojca jest polem bitwy. Harry i William połączyli siły z moim bratem Grahamem, który odwiedził nas z rodziną owego weekendu, i niesforna trójka zaczęła bombardować księżną balonikami z wodą. Ta uciekała, ale nie zdołała umknąć przed celnym ogniem swoich synów. Księżna regularnie urządzała barbecue dla służby, najczęściej wtedy, gdy księcia nie było w rezydencji, aby wszyscy, włącznie z nią samą, czuli się swobodnie. Mervyn Wycherley przyrządzał góry jedzenia dla garderobianych, ochroniarzów, niań, gospodyni i kamerdynera. Księżna mawiała, że jest

to nasz wolny wieczór. Kiedy nadchodziła pora deseru, szła do kuchni i wynosiła na taras srebrną paterę z lodami Magnum i Cornetto. Po przyjęciu pomagała sprzątać brudne talerze.

Potem następowała jej ulubiona zabawa: wrzucanie wszystkich do basenu. Okrzyki radości i plusk wody sygnalizowały początek harców, które nazywałem „zupa z ludzi”. Księżnej nie przeszkadzało, że się zamoczy i ochoczo wskakiwała do basenu, aby przyłączyć się do reszty.

Nigdy nie nudziły się jej takie igraszki. Wyrażała w nich swój buntowniczy charakter, otwarcie zrywając z dworską powagą, której oczekiwano od przyszłej królowej Anglii. Baraszkując w basenie w ubraniu, zniżala się do poziomu służby. Uwielbiała zdumione twarze ludzi, którzy widzieli, jak skacze do wody w dżinsach albo szortach, w bluzie lub w podkoszulku.

Dlatego w maju 1992 roku, podczas drugiej samodzielnej podróży za granicę, zgorziona mina brytyjskiego ambasadora w Kairze tylko ją rozbawiła.

Płynęliśmy statkiem do świątyni File na małej wysepce w pobliżu tamy asuańskiej. W pewnej chwili księżna patrząca z pokładu na Nil odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Czas na fotkę, Paul. - Oparła okulary przeciwsłoneczne na włosach. - Nie zbliżaj się za bardzo - szepnęła, gdy Helena ustawiała nas do zdjęcia. - Strasznie dziś gorąco!

Mimo stałej bryzy czuła, że poci się pod swoją szarobrazową sukienką, ale były to przekorne słowa, mające zaskoczyć i rozśmieszyć - co zostało uwiecznione na zdjęciu.

Chwilę później zaskoczyła mnie znowu.

- Czy mógłbyś kogoś uszczęśliwić? Chciałabym, żebyś dziś wieczorem zorganizował w ambasadzie przyjęcie urodzinowe dla Sama.

Zegluga po Nilu nie była najlepszym czasem na planowanie przyjęcia dla fryzjera, Sama McKnighta, ale przekonałem się już, że gdy księżna o coś prosi, to wszystko jest możliwe. Statek przybił do przystani i księżna ze swoją świtą udała się na krótko do hotelu nad brzegiem Nilu. Ja tymczasem poszedłem do telefonu i wydałem dyspozycje co do imprezy, która miała być dla solenizanta niespodzianką.

Tego wieczoru Sam zszedł po schodach do ogrodu naszej kairskiej ambasady przy akompaniamencie chóralnego Happy Birthday To You, śpiewanego na całe gardło przez jedenastu członków służby i księżną,

trzymającą w ręku butelkę szampana. Nawet ponury były oficer marynarki, Patrick Jephson, przyłączył się do zabawy; włożył na głowę fez w stylu Tommy'ego Coopera, podobny do tych, które wcześniej na zlecenie księżnej kupiłem na pamiątkę Williamowi i Harry'emu. Wesoła atmosfera pobudziła nas do dzikich szaleństw, które zakończyliśmy w basenie, ale w kompletnym ubraniu. Księżna zanurzała się i wynurzała, krzycząc, że się topi, a w końcu jej blond czupryna zniknęła pod wodą. Patrick Jephson uniósł w górę brwi: jako sekretarz księżnej nie był przyzwyczajony do takich scen. Podobnie jak brytyjski ambasador, który zmarszczył czoło, gdy się dowiedział o masowej kąpieli w basenie. Uważał chyba takie wygłupy za niewłaściwe i nieostrożne, zwłaszcza że dwa dni wcześniej paparazzi wleźli na dach sąsiedniego budynku i zrobili księżnej zdjęcia w czarnym kostiumie kąpielowym. Na szczęście, podczas wieczornej „zupy z ludzi” paparazzi nie było i gazety donosiły na pierwszych stronach o kolejnej triumfalnej podróży księżnej: jej pobycie w świątyni Karnak w Luksorze i w Dolinie Królów, a potem u stóp piramid i Sfinksa.

Prasa pisała, że księżna jest asem brytyjskiej dyplomacji. Niezależnie od ówczesnych kłopotów osobistych, księżna była praktycznie bezbłędna w roli podróżującego ambasadora, o której zawsze marzyła. Żadna cicha kampania oszczerstw „panów w szarych garniturach” nie mogła zachwiać jej pewnością siebie ani powszechnym szacunkiem, jakim się cieszyła.

Egipt stanowił przełomowy moment w moich stosunkach z księżną. Była to już druga podróż zagraniczna, podczas której jej towarzyszyłem; poza tym coraz częściej zastępowałem Harolda w Pałacu Kensington i znałem jej „specjalnego przyjaciela”. W roku, który królowa nazwała swoim annus horribilis, przekroczyłem niewidzialną linię oddzielającą życie zawodowe i prywatne księżnej. Ponieważ była częstym gościem w naszym mieszkaniu w stajniach królewskich, a potem w domu w High-grove, ponieważ była przyjaciółką mojej żony i, praktycznie rzecz biorąc, ciotką moich synów, przekroczenie tej linii nie wydawało się problemem.

Księżna cesała się przed wielkim lustrem w swojej sypialni w ambasadzie brytyjskiej. Przyniosłem jej z kuchni szklanek soku z marchwi.

- Jak ci się udało go zdobyć w środku Kairu? - zdziwiła się.

- Mervyn Wycherley - odparłem.

Uwielbiała sok z marchwi albo sok z marchwi i selera. Zbierałem się do odejścia, ale księżna

obróciła się na stołku i poprosiła:

- Usiądź, usiądź.

Wróciła do lustra, a ja usiadłem na brzegu starannie zasłanego łóżka.

- Kiedy następnym razem przyjedziesz do Londynu, chcę, żebyś kogoś poznał. Lucia to jedna z najpiękniejszych i najelegantszych kobiet, jakie znam.

Lucia Flecha de Lima była żoną ówczesnego ambasadora Brazylii w Londynie i otaczała księżną Walii matczyną opieką. Jej mąż, Paulo Tarso, potem ambasador w Waszyngtonie, a jeszcze później w Rzymie, zastępował księżnej ojca. W ambasadzie brazylijskiej przy Mount Street w Londynie Diana często spotykała się z pewnym mężczyzną - ale nie z Jamesem Hewitem. W Kairze opowiedziała mi o nim i o swoich z nim spotkaniach.

Ponownie więc powierzyła mi swoją wielką tajemnicę, co więcej, chciała, żebym poznał Lucie, najważniejszą osobę z jej zastępczej rodziny. Każdy mógł pracować dla księżnej. Każdy mógł sądzić, że ją dobrze zna, bo umiała wpajać ludziom takie właśnie przekonanie. Doskonale jednak wiedziała, gdzie przebiega granica i kiedy pozbyć się usług niektórych ludzi. Do jej wewnętrznego kręgu droga wiodła tylko przez zaproszenie, którego nie otrzymała nawet Maria, stara przyjaciółka. Lucie i garstkę przyjaciół księżnej poznam później, ale tego właśnie ranka w Kairze księżna zaprosiła mnie do grona najbliższych sobie osób.

Przed wyjazdem na Bliski Wschód księżna zachwycała się sukniami Catherine Walker, zaprojektowanymi specjalnie na tę podróż. W ambasadzie Mervyn Wycherley, Helena Roache i ja pełniliśmy rolę arbitrowi elegancji. Księżna wychodziła z sypialni i pytała: „Jak wyglądam?” albo „Co sądzicie?”.

Mogliśmy mówić, że wygląda świetnie nawet w worku na śmiecie, ale wydawaliśmy nieco bardziej stonowaną opinię. Odchodziła, wiedząc, że wygląda bosko, że nie ma księcia Karola z jego złośliwymi uwagami, które zbijały ją z tropu. W trakcie tej podróży wydawała się bardziej otwarta i przyjazna niż kiedykolwiek, ale za ową fasadą krył się smutek.

Drzwi do sypialni, które zazwyczaj pozostawiała uchylone, były zamknięte na klucz. Kiedy wyszła, oczy miała zaczerwienione. Powiedziała, że potrzebuje samotności, aby dać upust emocjom.

Królowej ani nikogo innego nie śmiałybym pytać, ale w przypadku księżnej nie mogłem się oprzeć.

- Czy Wasza Królewska Wysokość dobrze się czuje? Czy mogę w czymś pomóc?

Uśmiechnęła się.

- Każdy musi od czasu do czasu sobie popłakać, Paul - powiedziała, po czym wygładziła bluzkę, wzięła głęboki oddech i znów była niestrudzoną księżną Walii.

Zważywszy na to, przez co przechodziła, była niezwykle spokojna i dzielna. Ojciec, hrabia Spencer, którego bardzo kochała, zmarł w marcu tego roku, kiedy Diana przebywała na nartach w Austrii. W tym samym miesiącu poinformowano o separacji księcia i księżnej Yorku. Zaraz potem księżniczka Anna wszczęła sprawę rozwodową przeciwko Markowi Philipsowi. Wszystkie oczy zwróciły się na księcia i księżną Walii. Ich katastrofalna wspólna podróż do Indii została zapamiętana ze względu na jeden obraz: księżnej stojącej samotnie przed mauzoleum Taj Mahal.

Myśli księżnej zajmowała też sprawa książki Diana, Her True Story, która niebawem miała się ukazać. W późniejszych latach będzie żałować, że zdecydowała się na jej publikację i w Egipcie, kiedy media snuły przypuszczenia na temat współpracy z Andrew Mortonem, być może zaczynały ją nurtować wątpliwości.

Po powrocie do Highgrove opowiedziałem Marii, że bardzo się martwię o księżną, że mi się zwierzała i chce mnie przedstawić swojej przyjaciółce Lucii. Wiedziałem, że księżę Karol ma się dobrze, nie wiedziałem jednak, co się dzieje z księżną, która mieszkała przecież w Pałacu Kensington.

- Kochanie - powiedziała mi Maria tej nocy -jesteś kamerdynerem tutaj, nie tam. Nie możesz sobie pozwolić na to, aby się tak bardzo angażować.

Między młotem a kowadłem.

Na początku lata 1992 roku w Highgrove powiał wiatr zmian. Codzienne oficjalne uprzejmości nie mogły zagłuszyć niepokoju, który wyczuwało się w atmosferze domu. Media w histerycznym tonie

wieszczyły rozpad małżeństwa księcia i księżnej Walii. W rezydencji panował nastrój wyczekiwania, ale nasze życzenia były zupełnie odmienne od pragnień prasy. W powietrzu wisiało coś, czego konsekwencji nikt nie mógł przewidzieć.

Książę Karol zmienił się. Ogarnęła go jakaś melancholia, niespodziewanie wydawał się słaby i bezradny. Pewnego wieczoru nakryłem stół do kart dla jednej osoby. Kiedy książę usiadł w salonie naprzeciwko telewizora, stanąłem obok, zestawiając talerze i sztućce z tacy. Telewizor był wyłączony. Słychać było tylko brzęk układanej zastawy i odgłosy z dworu, wpadające przez szeroko otwarte okna.

Raptem książę zapytał:

- Jesteś tutaj szczęśliwy, Paul?

- Tak, bardzo, Wasza Królewska Wysokość - odpowiedziałem, przenosząc główne danie z tacy na talerz stojący na stoliku.

- A czy Maria też jest tu szczęśliwa? - pytał dalej.

Byłem nieco zaskoczony tymi pytaniami, bo nie znałem źródła jego wątpliwości.

- Tak. Oboje jesteśmy tu bardzo szczęśliwi, Wasza Królewska Wysokość.

- Dobrze. Miło mi to słyszeć - powiedział i zabrał się do jedzenia. Wróciłem do pokoju kredensowego, zastanawiając się, skąd nagle

troska księcia o nasze szczęście. Maria przypuszczała, że chodzi o to, iż bardzo zbliżyliśmy się ostatnio z księżną.

- Spójrz na to z punktu widzenia księcia. Jego żona plotkuje ze służbą. Ty coraz częściej zastępujesz Harolda w Pałacu Kensington i w High-grove potrzebny jest wtedy pomocnik kamerdynera. Podróżujesz z księżną po świecie. Spędzasz dni poza domem z księżną, jej synami i naszymi chłopcami. A odkąd przeprowadziliśmy się do tego domu w 1990 roku, księżna jest naszym stałym gościem.

Książę badał więc, po której stronie stoję i czy jestem wystarczająco zadowolony, aby zostać w Highgrove.

Oczywiście książę zauważył, że jego żona spędza w naszym domu dużo czasu.

- Zdaje się, że ona jest znów u was, nieprawdaż Paul? - pytał, kiedy nie mógł znaleźć żony w rezydencji.

Księżna wychodziła na spacer do ogrodu, zrywała kwiaty, pachnący groszek albo konwalie, i zjawiała się w tylnych drzwiach naszego domu.

- Mario, jesteś tam? - wołała, ale bez względu na odpowiedź wchodziła do środka. Włączała czajnik, wyjmowała z szafki dwa kubki i zabierała się do parzenia kawy. Obie pity czarną kawę bez cukru. William, Harry, Alexander i Nick bawili się gdzieś na terenie posiadłości. Księżna siadywała na wyłożonym płytkami ceramicznymi blacie kuchennym, zrzucała buty i machała nogami.

Opowiadała Marii o pożyciu z mężem i o tym, jak jest nieszczęśliwa. Moja żona nie znajdowała się w tak niezręcznej sytuacji jak ja, bo nie służyła u księcia Karola. Była żoną jego kamerdynera, przyjaciółką księżnej i kochała życie w Highgrove. Twierdziła, że tylko słucha, co mówi księżna, i nie wypowiada swojego zdania.

- Nie wiesz nawet, jaka jesteś szczęśliwa, Mario - powiedziała kiedyś księżna. - Masz wszystko, co kiedykolwiek chciałam mieć, szczęśliwy dom i Kochającą rodzinę. - Jej oczy zasły łzami.

Księżna poznała dobrze całą naszą rodzinę. Moi rodzice i mama Marii znali ją z czasów, kiedy mieszkaliśmy w królewskich stajniach. Mój brat Graham, jego żona Jayne, brat Marii Peter i jego żona Sue również często nas odwiedzali i zaprzyjaźnili się z księżną. Kiedy siedzieliśmy przy drewnianym stole w ogrodzie albo gadaliśmy w kuchni, księżna była jedną z nas. Gdy latem przyjeżdżał do nas ktoś z rodziny, zapraszała go na barbecue. Nigdy nie zapomnę, jak Graham miał poznać księżną w Highgrove. Strasznie się denerwował, golił się tego dnia cztery razy. Później był zaskoczony jej prostolinijnością.

Mama Marii. Betty, zajmowała w sercu księżnej specjalne miejsce. Pewnego razu Diana zaprosiła ją na bożonarodzeniowe koktajl party dla personelu i dostawców w Pałacu Kensington. Rodzina książęca stała

w drzwiach, witając gości uściskiem dłoni. Kiedy onieśmielona siwowłosa pani w dużych

okularach zbliżyła się do księżnej, ta złamała etykiety, uśmiechnęła się szeroko, objęła ją i ucałowała w policzek.

Książę był zbity z tropu. Wymieniwszy ze starszą panią uścisk dłoni, zapytał żonę:

- Kto to był?

- Och, to Betty. - Księżciu nic to nie mówiło. - Matka Marii - dodała księżna.

Innym razem księżna zadzwoniła do Betty, która mieszkała sama w północnej Walii.

- Dzień dobry, Betty, tu Diana. Co porabiasz?

- Siedzę na łóżku i rozmawiam z tobą - odpowiedziała rezolutnie Betty. Zawsze udawało jej się rozbawić księżną.

Księżna telefonowała, bo Betty kazała sobie zainstalować centralne ogrzewanie w swoim parterowym domu i Diana chciała się upewnić, że wszystko jest w porządku.

W 1992 roku księżna spełniła marzenie Betty, zagorzałej katoliczki. Zadzwoniła do niej i powiedziała:

- Betty, chciałabym, żebyś przyjechała do mnie i poznała Matkę Teresę.

Betty o mało nie spadła z krzesła.

- Przecież nie mogę jechać do Indii! Księżna znów wybuchnęła śmiechem.

- Nie, Betty, nie musisz, Matka Teresa zatrzyma się na jeden dzień w Londynie. Jeśli nie ma kto cię przywieźć, przyślę samochód.

Tak się złożyło, że jeden z krewnych mógł podwieźć Betty do High-grove, skąd obie z księżną pojechały do Kilburn w Londynie i do siedziby misji, w której mieszkały dwadzieścia dwie zakonnice.

Matka Teresa powitała księżną przed domem. Diana odwróciła się do Betty:

- Czy mogę przedstawić ci moją przyjaciółkę, Betty? Prasa napisała potem, że Betty jest damą dworu.

Matka Teresa ucałowała gościa, po czym kobiety weszły do pokoju i usiadły przy drewnianym stoliku. Rozmawiały o bezdomnych i biednych w Wielkiej Brytanii, chorych i umierających w Somalii, potrzebie jak najczęstszego odmawiania różańca. Matka Teresa wyciągnęła do Betty dłoń, na której leżały dwa medaliki z Matką Boską i różaniec.

- Co byś chciała?

Matka Marii wzięła medaliki, księżna różaniec. Nie wiedziała, jak odmawia się różaniec, ale Betty obiecała ją nauczyć. Kiedy weszły do kaplicy, gdzie czekały nowicjuszek, Betty rzekła do niej:

-Rób to, co ja.

Idąc za jej przykładem, księżna zanurzyła palce w święconej wodzie i przeżegnała się, po czym zdjęła buty. We trójkę uklękły wraz z zakonnicami i rozpoczęły modlitwę. Betty mówiła, że przez następne kilka tygodni żyła jak w uniesieniu i co rano budziła się z poczuciem, że był to sen.

W lutym 1992 roku, po powrocie z podróży do Indii z księciem Walii, księżna podarowała Betty specjalny prezent: girlandę, którą Matka Teresa zawiesiła jej na szyi przed kamerami telewizyjnymi. Betty przechowuje ją do dziś dnia. Girlanda zajmuje honorowe miejsce obok zdjęcia, na którym Betty stoi z księżną i siostrą Teresą, zakonnicą z klasztoru w Galway. Pewnego dnia siostra Teresa przyjechała z Betty do Highgrove. Jej zdaniem księżna była „samotną, bardzo samotną kobietą”, ale tego dnia, pozując do zdjęcia, zdołała się uśmiechnąć.

Książę Karol mieszkał na stałe w Highgrove i praktycznie wyprowadził się z Pałacu Kensington, ale księżna od czasu do czasu wciąż przyjeżdżała na wieś na weekendy. Książę zaczął zmieniać wystrój wnętrza w rezydencji. Zatrudnił w tym celu Roberta Kime'a, dekoratora i przyjaciela Camilli Parker Bowles; jasne, pastelowe zielenie i żółcie zniknęły, zastąpiły je soczyste czerwienie i brązy. Zrobiło się ciemno i przygnębiająco. Przywieziono duże meble z palisandru i mahoni. W holu stanął zegar. W salonie nowa mosiężna osłona paleniska otoczyła kominek, a na ścianie zawisło lustro w złoconych ramach. Zielony dywan zastąpiła trzciniowa mata, a w oknach zawieszono nowe zasłony. W holu z mosiężnej szyny zwieszał się wielki gobelin Williama Morrisa. Portret lorda Byrona, który wisiał nad kominkiem w pokoju dziennym, wysłano na wystawę, a na jego miejscu powieszono olejny obraz przedstawiający Zamek Windsor. Krok po kroku, miesiąc po miesiącu wewnątrz rezydencji zmieniało wygląd.

Któregoś weekendu przyjechała do Highgrove księżna i ujrawszy w jadalni kredens z ciemnego drewna, skrzywiła się z niesmakiem. Powiedziałem jej, że do dwóch alków obok kominka książę chce wstawić marmurowe posągi. Skrzywiła się ponownie. Książę kazał nawet przenieść ze swojej garderoby w Pałacu Kensington do Sandringham House pochodzące z 1870 roku portrety Alberta Edwarda, księcia Walii.

Księżna tymczasem urządziła po swoim Pałacu Kensington. Z sypialni kazała wynieść mahoniowe wiktoriańskie łóżko małżeńskie z baldachimem i oddała je do Zbiorów Królewskich w Windsorze.

Szóstego czerwca 1992 roku, w dniu moich trzydziestych czwartych urodzin, prywatny sekretarz królowej, sir Robert Fellowes, zadzwonił do redakcji „Sunday Times” i zażądał informacji o treści odcinków książki Mortona, które gazeta zamierzała opublikować. Prawdziwa burza szalała jednak poprzedniego dnia w Highgrove. Książę Karol i jego prywatny sekretarz, Richard Aylard, na własną rękę usiłowali zdobyć informacje.

Tego ranka księżna przebywała w Pałacu Kensington, najpierw ze swoją trenerką, Carolan Brown, a potem z kosmetyczką i przyjaciółką, Eileen Malone, która przyszła jak zwykle o dziesiątej. Księżna poddawała się zabiegom pielęgnacyjnym, tymczasem obóz księcia Karola analizował treść faksu, który nadszedł z Broadlands, domu lorda i lady Romsey. Faks stojący pod moim biurkiem w pokoju kredensowym wypluł dwie kartki papieru. Przeczytałem najpierw słowo „Broadlands”. Romseyowie, pomyślałem, a więc kłopoty. Faks zawierał treść wywiadu z Andrew Neilem, ówczesnym redaktorem „Sunday Times”. Powiedział on, że księżna udzieliła milczącej zgody na publikację książki i książę Karol ma wszelkie prawo czuć się zdradzony. Byłem rozdarty między lojalnością wobec księcia a wiernością księżnej. Ale pewne wydarzenie miało raz na zawsze położyć kres mojej rozterce.

Kończył się wyjątkowo męczący, ciepły dzień. Lunch podałem na zalanym słońcem tarasie. Wieczorem książę Karol znów zjadł obiad wcześniej, aby pojechać do Middlewich House i pani Parker Bowles. Przez cały dzień urywały się telefony. O zmierzchu Gerald Ward, właściciel ziemski z okolicy, zostawił wiadomość dla nieobecnego księcia, podobnie jak wiele innych osób, między innymi jego sekretarz prasowy Dickie Arbiter. W pokoju kredensowym czekały na mnie brudne naczynia, tymczasem telefon znów zadzwonił.

- Cześć Paul, co słychać? - spytała księżna. Roześmiała się, kiedy jej powiedziałem, że cały dzień biegam w tę i z powrotem. - Mężulka nie ma w domu, prawda? - Kiedy rozmawiała ze służbą, nigdy nie nazywała Karola Jego Królewską Wysokością, jak nakazywał protokół.

Akurat musiała zadać to pytanie. Pierwszy raz zadzwoniła do High-grove w czasie, kiedy książę wyjechał „prywatnie”. Co miałem powiedzieć? Skłamać? Nie mogłem kłamać księżnej.

Ponowiła pytanie:

- Jest czy nie? - Jej głos brzmiał już niecierpliwie. Starłem się mówić prawdę, choć niecałą prawdę.

- Przykro mi, Wasza Królewska Wysokość, ale wyjechał. Wyjechał. Było po ósmej wieczorem. Cholera. Nie powinienem był nic mówić.

- A dokąd pojechał? - dociekała.

- Nie wiem, Wasza Królewska Wysokość.

- Oczywiście, że wiesz, Paul. Wiesz o wszystkim, co się tam dzieje. No, to dokąd pojechał?

Jeśli księżna dobrze mnie знаła, wiedziała, że uczciwość to moja silna, a zarazem słaba strona.

Przyciśnięty do muru, postanowiłem uciec się do prośby, dla jej, i własnego, dobra.

- Proszę mnie nie pytać, Wasza Królewska Wysokość. Najlepiej będzie zapytać o to Jego Królewską Wysokość, nie mnie - powiedziałem.

Czułem się okropnie. Nie chciałem pakować księcia w kłopoty, a jednocześnie nie chciałem kłamać księżnej. Była dla mnie taka dobra. Zmieniła temat, ale dalej wypytywała.

- Czy ktoś jeszcze telefonował wieczorem?

Nie przeczuwając niebezpieczeństwa, powiedziałem, że Dickie Arbiter i Gerald Ward zostawili wiadomość dla księcia. Z pozorów była to niewinna informacja, ale wiedząc dokładnie, kto dzwoni

do rezydencji, księżna mogła sprawić na mężu wrażenie, że zna wszystkie jego kroki. Dałem jej do ręki amunicję.

- Proszę nic nikomu nie mówić, Wasza Królewska Wysokość. Mogę mieć straszne kłopoty - powiedziałem błagalnie.

Odrzekła, żebym się nie martwił, ale pośpiech, z jakim zakończyła rozmowę, uświadomił mi, że wszystko sobie zapamiętała i prędzej czy później zrobi z tego użytek. Była wściekła na męża. Tego wieczoru położyłem się do łóżka chory ze zmartwienia.

Maria nie okazała mi współczucia. Sam sobie jestem winien, bo nie trzymałem języka za zębami.

- Trzeba było pomyśleć, misiu, trzeba było pomyśleć - powtarzała.

Nazajutrz szedłem do pracy z duszą na ramieniu. Ranek minął spokojnie, budząc we mnie złudną nadzieję, że księżna zachowała naszą rozmowę dla siebie. Ale kiedy przygotowywałem porcelanę i sztuce do lunchu, do pokoju kredensowego wszedł lokaj księcia, Michael Fawcett. Jego mina nie zapowiadała niczego dobrego.

- Chce cię widzieć i nie jest w dobrym nastroju.

Tym razem czerwony krążek nie wpadł do skrzynki, książę wzywał mnie do siebie przez posłańca.

Nawet w pokoju kredensowym było słychać, jak książę schodzi ciężko po schodach i kroczy przez hol. Drzwi od biblioteki otworzyły się i zatrzasnęły z hukiem. Oczekałem chwilę, serce biło mi jak młotem. Wyszedłem z pokoju kredensowego, skręciłem w lewo, potem w prawo i zapukałem do drzwi biblioteki. Miałem złe przeczucia. Jeśli księżna wspomniała o mnie, stracę pracę. Nie myślałem o niczym innym.

Książę Karol stał obok stołu.

- Zamknij drzwi za sobą - powiedział urywanym głosem. Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem.

- Wasza Królewska Wysokość? - zapytałem.

- Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego Jej Królewska Wysokość zawsze wie, kto odwiedza albo telefonuje do Highgrove, choć jej tu nie ma?

- Nie wiem, co Wasza Królewska Wysokość ma na myśli.

- Czy rozmawiałeś ostatnio z Jej Królewską Wysokością, Paul? " Jego głos drżał ze złości.

Odpowiedziałem, że ostatni raz rozmawiałem z księżną poprzedniego wieczoru.

- Kiedy Waszej Królewskiej Wysokości nie było - dodałem. - i co dokładnie jej powiedziałaś?

Książę był teraz jak beczka prochu. Czułem, że za chwilę wybuchnie.

- Ze Waszej Królewskiej Wysokości nie ma w domu. - Nawet ja usłyszałem ton rezygnacji, z jakim zostały wypowiedziane te słowa. Wiedziałem, że sprawa jest przegrana.

Książę poczerwieniał.

- DLACZEGO? - ryknął.

- Ponieważ Waszej Królewskiej Wysokości nie było w domu. Twarz księcia zrobiła się purpurowa.

- i powiedziałaś jej, kto dzwonił do domu wczoraj wieczorem?

- No, powiedziałem, że dzwonił pan Ward, ale że Waszej Królewskiej Wysokości nie ma w domu, ponieważ, w ten sposób, potwierdziło to, że powiedziałem prawdę - odparłem.

Książę nie wierzył własnym uszom. Ja również rozumiałem teraz swoją głupotę.

- Dlaczego, do diaska, nie powiedziałaś po prostu, że nie możesz mnie znaleźć?

Coś podpowiedziało mi, że powinienem się bronić. Nie byłem Micha-elem Fawcettem ani Richardem Aylardem, którzy chętnie kryli księcia.

- Czy Wasza Królewska Wysokość żąda, abym kłamał?

I wtedy, w odpowiedzi na to zuchwałe pytanie, książę wybuchnął:

-TAK! TAK! Żądam!

Jego krzyk odbił się od ścian i akwael. Nagłym ruchem chwycił książkę ze sterty leżącej na biurku i cisnął nią w moim kierunku. Wciąż mam przed oczami jej łopoczące kartki, które zafurkotały w powietrzu. Nie trafiła mnie, ale nie sądzę, aby książę chciał mnie trafić. Był znany z tego, że w gniewie rzucał wszystkim, co miał pod ręką. Książka wylądowała na podłodze, a książę wciąż się pieklił:

- Tak, żądam! Jestem księciem Walii - wrzasnął i dla podkreślenia tych słów tupnął nogą - i będę królem! A więc tak! TAK!

Nie śmiałem pytać, czy książkę ma jeszcze jakieś życzenia. Wyszedłem pośpiesznie. Byłem oszołomiony. Napady gniewu księcia były legendarne, ale do tej chwili jakoś mnie omijały. Usiadłem na krześle w pokoju kredensowym i chwyciłem się za głowę, przeklinając własną głupotę.

Po kilku minutach zadzwonił dzwonek. Czerwony krążek wpadł do skrzynki pod napisem „Biblioteka”. Scena druga dramatu.

Niepewnie wszedłem do biblioteki. Widok, który ujrzałem, był zupełnie inny od poprzedniego. Złość minęła i książkę siedział przy stole. Powiniennem być czuć się zakłopotany, tymczasem to książkę nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Wyglądał na szczerze skruszonego.

- Paul, strasznie mi przykro. Naprawdę nie chciałem. Przepraszam. Na podłodze, grzbietem do góry, leżała książka, którą książkę rzucił

we mnie. Podniosłem ją i położyłem na stosie, po czym powiedziałem:

- Jeśli Wasza Królewska Wysokość nie może wyładować gniewu na mnie, to na kim go wyładuje? Siedział na krześle, nieobecny, tak jakby atak złości pozbawił go całej energii. Skinął głową na znak, że mogę odejść. Próbowałem udawać przed księciem, że nic się nie stało, ale wiedziałem, że to nieprawda. Od tej chwili nasze stosunki nie mogły już być takie jak dawniej.

Moje wewnętrzne rozdarcie przestało być tylko problemem psychologicznym. Znalazłem się między młotem a kowadłem, a ponieważ i książkę, i księżna wymagali stuprocentowej lojalności, musiałem rozstać się z jednym z nich. W duchu podjąłem już decyzję, ale trudno mi było powiedzieć o niej Marii. Zbyt kochała życie na wsi.

Książka Diana, Her True Story ukazała się 16 czerwca 1992 roku. Księżna pojechała na wyścigi do Ascot i zachowywała się z pozorną pewnością siebie. Wiedziała, że wszystkie oczy są zwrócone na nią, ale jako osoba z doświadczeniem publicznym nie dała nic po sobie poznać. W istocie jednak, kiedy szła do łoża królewskiej, nogi ugięły się pod nią. Tam przekonała się, jak wielką szkodę wyrządziła jej książka. Atmosfera była chłodna, sztywna i pełna zakłopotania. Kiedy się rozglądała, dopełniając towarzyskich obowiązków, ujrzała w łoży roześmianych Andrew i Camil-lę Parker Bowles, grających komedię sielanki małżeńskiej. Potem była świadkiem, jak księżniczka Anna pozuje do zdjęcia ze swoim starym przyjacielem Andrew Parkerem Bowlesem. Uraziło ją, że jej szwagier-ka mizdrzy się do męża kochanki swojego brata; odebrała to jako przyzwolenie na sytuację, która była przyczyną jej nieszczęścia.

Później księżniczka Anna wynagrodziła księżnej tę niezręczność, pocieszając ją serdecznie.

W 1992 roku, po rozwodzie z komandorem Markiem Philipsem, księżniczka zakochała się w komandorze poruczniku Timie Lawrence i na dworze odbył się kolejny ślub. W owym czasie krążyły pogłoski, że księżna zrobiła afront księżniczce Annie, nie uczestnicząc w jej weselu, ale była to nieprawda. Zapraszając Dianę, księżniczka Anna sama zastrzegła, że nie będzie jej miała za złe, jeśli nie przyjdzie. Czuła się winna, że cieszy się małżeńskim szczęściem w czasie, gdy małżeństwo księcia i księżnej Walii przeżywa kryzys. Księżną bardzo podniosły na duchu słowa jej szwagierki: „Wielu z naszej rodziny modli się za ciebie”. Księżniczka Anna rozumiała, że uczestnictwo w ceremonii ślubnej może sprawić ból Dianie. Księżna była wdzięczna szwagierce za delikatność.

Po wyścigach w Ascot na Zamku Windsor pośpiesznie zaaranżowano spotkanie królowej i księcia Edynburga z księciem i księżną Walii. Atmosfera była napięta, ale rozmawiano otwarcie i szczerze. Księżna powiedziała mi później: „Mama była przybita moimi słowami. Chyba przybyło jej wówczas siwych włosów, bo zważyłam na nią całe moje nieszczęście”.

Książkę Filip dał jasno do zrozumienia, że wypaczona wersja wydarzeń zawarta w książce Mortona zirytowała wszystkich. Powiedział, że powszechnie podejrzewa się księżną o współpracę z autorem. Diana zaprzeczyła. Sądzę, że była autentycznie zaskoczona burzą, jaką rozpetęła.

„W okresie po publikacji książki było mi bardzo ciężko. Przeżyłam go tylko dzięki pomocy przyjaciół” - wspominała. W głębi duszy wiedziała jednak, że jej decyzja o współpracy z Mortonem była zbyt pochopna i nieprzemyślana. Przyjaciele księżnej, za jej zgodą, rozpowiadali, że jest ona ofiarą i że wszyscy są przeciwko niej. W ten sposób pogrzebała wszelkie szansę na

pojednanie z mężem.

W późniejszych latach starała się pogodzić z faktem, że sama sobie zaszkodziła, ale niestety, nowe urazy skłoniły ją do kolejnego fatalnego kroku: udzielenia wywiadu programowi Panorama stacji BBC. Znowu chodziło jej o to, aby opinia publiczna poznała prawdę, ale jeszcze raz było to raczej wołanie o zrozumienie i ratunek. Nikt jednak, zwłaszcza jedyny człowiek, od którego pragnęła otrzymać pomoc, czyli księżę Karol, nie wyciągnął do niej pomocnej dłoni. A mimo to wciąż go kochała. Była przekonana, a miała skłonność nie dostrzegać drugiej strony wielu spraw, że została porzucona dla Camilli Parker Bowles.

Nawet gdy wiedziała już, że nie ma racji, trwała w gniewie i poczuciu krzywdy. Królowej i księciu Filipowi oświadczyła, że próbowała być uprzejma dla swego męża, ale natknęła się na mur i, niestety, uważa, że jedynym wyjściem jest separacja. Próba separacja, nie rozwód. Pragnęła wolności, a nie zerwania wszystkich więzi.

Królowa i księżę Filip sprzeciwili się temu pomysłowi. Byli zdania, że księżę i księżna muszą nauczyć się sztuki kompromisu, poskromić swój egoizm i próbować przewyciężyć animozje dla dobra monarchii, swoich dzieci, kraju i narodu. Podczas spotkania księżna nie pozostawiła wątpliwości co do swoich uczuć względem Camilli Parker Bowles. Powiedziała potem, że poczuła wielką ulgę, kiedy w rozmowie z teściami dała upust swej złości: „Wszystko wyszło wtedy na jaw. W księżce i w rodzinie”.

W istocie, publikacja książki miała jedną zaletę: położyła kres, przynajmniej na pewien czas, bulimii księżnej. „Myślę, że cała ta historia była największym wyzwaniem w moim życiu” - oceniła później.

Królowa uznała, że rozmowa poszła dobrze i zaproponowała następne spotkanie nazajutrz. Księżna jednak nie przyjęła zaproszenia. Zrywając z tradycją, wyjechała z Windsoru i była na wyścigach w Ascot tylko podczas dwóch z czterech dni.

Księżę Edynburga wysłał list, w którym wyrażał rozczarowanie, że księżna nie przyszła na drugie spotkanie, choć królowa i on poświęcają swój czas i są gotowi do rozmowy o problemach małżeńskich pary książęcej.

Księżna jednak, zdenerwowana obecnością Camilli Parker Bowles w Ascot, zła i pełna urazy wróciła do Pałacu Kensington.

Odrzucenie przez księżną zaproszenia królowej stało się przyczyną ożywionej wymiany listów między nią a księciem Filipem.

Nie jest prawdą, jakoby królowa i księżę małżonek nie usiłowali ratować małżeństwa syna. Robili wszystko, aby nie dopuścić do oficjalnej separacji. Doszli do wniosku, że sytuacja jest bardzo delikatna i wymaga rozumnego postępowania. Co ciekawe, uznano, że najlepszym mediatorem będzie księżę Filip, którego reputacja, jeżeli chodzi o występowanie w takiej roli, nie wróżyła nic dobrego. Królowa i księżę małżonek do tej pory, jak mądrzy rodzice, nigdy nie wtrącali się w sprawy małżeńskie dzieci, uważając, że człowiek zdobywa mądrość życiową tylko wtedy, gdy samodzielnie rozwiązuje swoje problemy. Tym razem jednak najwyraźniej uznali, że nie mogą stać z boku i przyglądać się, jak księżę i księżna Walii niszczą swoje małżeństwo. Księżna usiłowała wierzyć, że księżę Edynburga zachowuje neutralność. „Ile żon omawiałoby swoje kłopoty małżeńskie z teściem, a nie z mężem?” - mówiła przygnębiona.

Był to dla niej kolejny przykład, że rodzina królewska zachowuje się nienormalnie, gdy chodzi o sprawy osobiste, i że księżę Karol w trudnej sytuacji chowa głowę w piasek. Świadczyło to też, że żadna ze stron nie potrafi opanować emocji i nie jest skłonna do ustępstw.

Księżę Filip zrobił więcej dla uratowania małżeństwa niż księżę Karol i bez względu na kierujące nim motywy działał w dobrej wierze. Nikt lepiej nie rozumiał, co to znaczy ożenić się z członkiem rodziny królewskiej i w imię obowiązku porzucić dawny tryb życia. Problem z księciem Filipem polegał na tym, że jako mediator nie był zbyt delikatny i nie wiedział, jak postępować z kobietą tak wrażliwą i skomplikowaną jak księżna. Choć starał się być bezstronny, w swoich listach pozwalał sobie na obcesowe uwagi, które denerwowały i złościły księżną. Diana nigdy nic wyrzucała listów, przechowywała je jako dowody. Z niektórych robiła fotokopie i rozsyłała zaufanym osobom.

Niektórzy, na przykład ja i redaktor Martin Bashir z telewizji, mieli okazję zobaczyć oryginały. Widziałem je w 1993, Bashir w 1995 roku. Napisano o nich mnóstwo bzdur i zwykłych kłamstw. W gazetach, które czerpały informacje z niewiarygodnych źródeł, twierdzono później z ogromną przesadą, że były to „najpaskudniejsze listy, jakie Diana kiedykolwiek otrzymała” i że były krótkie, oschłe i napisane na papierze formatu A5. Te rażące nieprawdy wymagają sprostowania. Listy rzeczywiście zawierały pewne surowe opinie, ale ich ton nigdy nie był zjadliwy. Przeciwnie, często pełen współczucia i zrozumienia. Nie były też ani oschłe, ani niegrzeczne, lecz długie, a nawet rozwlekłe, bo czasem liczyły aż cztery strony. Wszystkie miały format A4. Poza tym, również wbrew doniesieniom prasy, nie pamiętam, aby książę Filip użył kiedykolwiek słów „lafirynda” czy „ladacznica”. Z tego, co wiem, nie oskarżał też księżnej o szkoderstwo monarchii.

Książę Filip pisał swoje listy pod wrażeniem lektury książki Morto-na, którą czytał dokładnie, strona po stronie. Jej treść nie mogła nie urazić jego dumy jako członka rodziny Windsorów. Choć bardzo starał się zachować bezstronność, mimowolnie przyjmował oskarżycielski ton. Przelewając swoje myśli na papier, pragnął skłonić księżną do zastanowienia nad swoim małżeństwem, postępowaniem, motywami. Uważał, że jest okrutny dla jej dobra. Z jednej strony chwalił księżną za działalność charytatywną i samodzielne podróże, z drugiej twierdził, że bycie żoną księcia Karola „to coś więcej niż tylko bycie bohaterem dla narodu brytyjskiego”. Uwagi takie urażały ego księżnej, a najbardziej bolało ją to, że wypowiadał je człowiek, którego od początku małżeństwa darzyła wielkim szacunkiem.

Książę Filip twierdził, że zazdrość toczy książęce małżeństwo jak rak, i księżna uznała to za atak na siebie. Pisał, że jej irracjonalne zachowanie po urodzeniu Williama nie ułatwiało pożycia.

Wspomniał też o mojej skromnej roli w małżeńskim dramacie, opisując, jak to księżna wypytywała mnie przez telefon, dokąd pojechał jej mąż. Jego zdaniem księżna była zazdrosna i szpiegowała męża, podsłuchując pod drzwiami i ciągnąc za język jego kamerdynera. „Gdyby Karol od początku zachowywał się wobec mnie uczciwie, nie miałabym powodów do podejrzeń” - broniła się księżna. Trudno się nie zgodzić, że jeśli mąż nadal spotyka się z dawną kochanką, to żona ma prawo coś podejrzewać.

Podczas gdy tajemnicze życie prywatne męża wywoływało wątpliwości księżnej, jej zachowanie z kolei wzbudzało podejrzliwość księcia Karola. Ani książę Karol, ani jego ojciec nie rozumieli tego błędnego koła. Ojcowskie rady księcia Filipa spowijał drut kolczasty zarzutów: księżna nie była troskliwą żoną; choć jest dobrą matką, jest zbyt zaborcza wobec Williama i Harry'ego. Często widziałem ją z synami i mogę powiedzieć, że jej macierzyńska miłość i oddanie były bezgraniczne. Pragnęła być z synami dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. W czasie weekendów jeździła z nimi do Highgrove, do ojca. Tylko w rodzinie królewskiej, gdzie dziećmi zajmują się nianie, matczyzna miłość może uchodzić za zaborczość.

Najbardziej jednak zdumiał księżną stosunek księcia Filipa do kochanki jej męża. Pisał, że powinna być wdzięczna, iż jej mąż zerwał przed

ślubem z Camillą Parker Bowles. Książę Karol uważał, że było to z jego strony „duże poświęcenie” i że księżna „nie doceniła go”. I wówczas książę Filip zadał cios, po którym księżna nie mogła pohamować łez: „Czy możesz zajrzeć w swoje serce i szczerze powiedzieć, że stosunki Karola z Camillą nie mają nic wspólnego z twoim postępowaniem wobec niego?”.

Księżna została więc oskarżona o to, że popchnęła księcia Karola w objęcia kobiety, od której zawsze starała się trzymać męża z daleka. Jeszcze po roku zarzut ten doprowadzał ją do białej gorączki: „Oni są wszyscy siebie warci - troszczą się tylko o siebie!” - zaliła się.

Z jednej strony książę Filip twierdził, że nie obwinia nikogo, z drugiej jednak obciążał odpowiedzialnością synową.

Latem 1992 roku księżna rzadko zaglądała do Highgrove. Małżeństwo rozpadło się nieodwracalnie, ale korespondencja z księciem Edynburga trwała aż do jesieni. Kiedy jeden list wpędzał księżną w rozpacz, zaraz nadchodził drugi, który podnosił ją na duchu. Księżna zawsze odpisywała teściowi; na pierwsze kilka listów odpowiadała w gniewnym tonie. Jeden z listów księcia zaczynał się słynnymi słowami: Ach! Zdaje się, że w ostatnim liście posunąłem się trochę za daleko... W końcu

książę przyznał, że jego syn ponosi jednakową winę za rozpad małżeństwa i był równie uparty jak księżna.

Diana również zmieniła stanowisko. Jakkolwiek trudno jej było przyjąć opinie i uwagi teścia, nauczyła się szanować jego uczciwość. A książę Filip zaczął pisać w tonie serdeczniejszym i bardziej wyrozumiałym. Po raz pierwszy od połowy lat osiemdziesiątych księżna poczuła, że ktoś z dynastii Windsorów zadaje sobie trud wysłuchania jej, nie traktując jak histeryczki. W bezpośredniej wymianie zdań Diana i książę Edynburga przełamali barierę uprzedzeń i poruszyli wiele spraw, które dotychczas otaczała zmowa milczenia. Księżna zauważyła, jak długie listy pisze do niej teść i doceniła jego starania. Jej zmiany nastrojów, bulimia i napady złości zrodziły się z przyprowadzającego o obłęd poczucia, że nikt jej nie słucha. Doznała ogromnej ulgi, kiedy książę dał jasno do zrozumienia, że nie podziela przekonania rozpowszechnianego przez niektórych stronników syna, że księżna jest „niezrównoważona psychicznie”.

Po śmierci księżnej, kiedy nie mogła się już bronić, wysunięto tezę, że cierpiała na zaburzenia osobowości. Autorka wydanej w 1994 roku książki Charles: Victim or Yillain? badała tę chorobę i „odkryła, że jej

objawy odpowiadają zachowaniu Diany”. Warto wspomnieć, że do tego wątpliwego wniosku pomógł jej dojść niewykorzystany materiał, który Jonathan Dimbleby zebrał do swojej książki The Prince of Wales [Karol książę Walii] z 1994 roku.

Księżna prowadziła bardzo intensywne życie w świetle jupiterów światowych mediów. Gdyby cierpiała na zaburzenia osobowości, nie byłaby w stanie udźwignąć w takich warunkach ciężaru obowiązków. Ludzie bliscy księżnej, którzy byli świadkami, jak zmagala się ze swoim niezwykle trudnym życiem, przyznają, że cierpiała jedynie na bulimię.

Na szczęście rozumiał to książę Edynburga. W jednym z listów uznał, że bulimia może mieć wpływ na postępowanie księżnej i orzekł, że nie można jej winać za zachowania, których przyczyną jest choroba. Ta konstatacja miała dla księżnej ogromne znaczenie. Książę Filip dystansował się w ten sposób od złośliwych plotek, które przez tyle lat krążyły na jej temat.

Jeszcze większą nadzieję wzbudziło w księżnej to, że zarówno królowa, jak książę Filip uważali, iż jej małżeństwo wciąż da się uratować, jeśli tylko obie strony będą skłonne do kompromisu. Książę sporządził nawet listę wspólnych zainteresowań i zajęć małżonków, które mogłyby na nowo ich połączyć. Nappełniło to księżną optymizmem. Mimo całego rozgoryczenia i gniewu wciąż kochała księcia Karola i sądziła, może naiwnie, że pewnego dnia uda im się zacząć wszystko od nowa. W 1992 roku pogodziła się z tym, że separacja jest nieunikniona i może nawet wyjść im na dobre. Wbrew temu, co sugerowali niektórzy biografowie, nie uważała, że jej małżeństwo jest martwe; liczyła, że da się je jeszcze reanimować.

Książę Filip potrafił także księżną rozbawić. Kiedy wyraził swoje prywatne zdanie o Camilli Parker Bowles, księżna skakała po pokoju z radości. Książę powiedział, że zarówno on, jak królowa byli od dawna bardzo zaniepokojeni przyjaźnią swego syna z mężatką i zdecydowanie tego nie pochwalałi. Potem napisał:

Nie aprobujemy tego, że którekolwiek z was ma kochanka. Karol zachował się niemądrze jak na człowieka o swojej pozycji, że zadawał się z Camillą. Nigdy nie sądziliśmy, że może zechcieć porzucić Cię dla niej. Nie wyobrażam sobie, aby człowiek zdrowy na umyśle porzucił Cię dla Camilli, Coś takiego nigdy nie przyszło nam nawet do głowy.

Było to wszystko, co księżna chciała wiedzieć. Nie uszło też jej uwagi, że książę Edynburga od pewnego czasu kończył swoje listy: „Twój kochający tata”.

Korespondencji towarzyszyła prawdziwa huśtawka nastrojów: od rozpaczy po nadzieję, od łez do śmiechu, od buntu do ustępstw. Zwierzając mi się ze swoich przeżyć, księżna chciała się upewnić, że jej pogląd na rodzinę królewską, swoje małżeństwo, dwór i sposób, w jaki ją traktowano, nie jest wytworem jej obsesji. Być może pragnęła też podzielić się z kimś faktem, że książę Filip usprawiedliwiają, tak jakby to, co pisał, wymagało potwierdzenia.

Jest prawdą, że księżna źle znosiła krytykę; uważała jednak, że z czasem zrobiła pod tym względem postępy i zaczyna trafiać do ludzi ze swymi argumentami. Tuż przed śmiercią stała się wielką admiratorką księcia Edynburga. Mimo bólu, jaki zadały jej pierwsze listy księcia, mówiła, że nigdy

nie zapomni mu jego roli mediatora.

W końcu jednak interwencja księcia, podjęta w najlepszej intencji, znalazła się w impasie. W prasie pojawiały się coraz to nowe rewelacje, a księżna robiła wszystko, aby zaspokoić apetyty łowców sensacji.

Kiedy zaczęto snuć spekulacje na temat listów księcia Filipa, wydała następujące oświadczenie:

„Oświadczam, że Jej Królewska Mość i Jego Królewska Wysokość księżę Edynburga okazują mi wyłącznie zrozumienie i poparcie”. Księżna ponownie robiła dobrą minę do złej gry, choć wszyscy widzieli już, że jej małżeństwo nieuchronnie się rozpada. Niemniej księżę Edynburga nie ustawał w wysiłkach, aby podtrzymywać oficjalne stosunki między księżną Walii a jej mężem dla dobra monarchii i kraju. To księżę Filip podczas prywatnej rozmowy w Balmorał delikatnie nakłonił księżną, aby towarzyszyła księciu Karolowi podczas podróży do Korei, choć Diana wolała nie jechać. Podróż okazała się katastrofą, jeśli chodziło o stosunki między małżonkami.

Dwudziestego siódmego listopada napisałem do moich przyjaciół z Kentucky, Shirley i Claude'a Wrightów:

Żeby ta sytuacja się zmieniła, trzeba by wielkiego skandalu albo jakiegoś oficjalnego oświadczenia, co w tym roku jest raczej nieprawdopodobne, chyba że w najbliższych tygodniach zdarzy się coś wyjątkowego. Pozostanę w Highgrove i będę zajmować się domem bez względu na to, kto tu będzie mieszkał. Jestem pewien, że rok 1993 będzie bogaty w wydarzenia, ale moja posada jest całkiem pewna i bardzo wątpię, aby nasz tryb życia uległ zmianie.

Nie miałem pojęcia, że na początku listopada adwokaci księcia i księżnej doszli do porozumienia w sprawie separacji. W Highgrove nikt nic nie wiedział, a księżna nie informowała mnie, bo wiedziała, że separacja będzie miała dla nas wszystkich dalekosiężne konsekwencje.

Zamówiłem dla Highgrove choinkę. Księżę Karol wyjechał „prywatnie”, a księżna przebywała w hrabstwie Tyne and Wear ze swoją przyjaciółką i sekretarką, Maureen Stevens. Środa 9 grudnia zaczęła się jak zwykle. Potem nadeszła wiadomość, że o trzeciej po południu do Highgrove przyjedzie Jane, hrabina Strathclyde, zajmująca się sprawami kadrowymi w Pałacu Buckingham. Gdy tylko ją ujrzeliśmy, wiedzieliśmy, że przywozi złe wieści. Jane była podenerwowana i nie miała ochoty na pogaduszki. Polecono jej zaraz po przyjeździe zadzwonić do prywatnego sekretarza księcia, Richarda Aylarda. Po wykonaniu telefonu poprosiła mnie o zebranie w kuchni całego personelu - Wendy, Paddy'ego, Lity i Barbary (dochodzących) oraz Marii.

Przyjazd Jane zbiegł się z oświadczeniem premiera Johna Majora, że księżę i księżna Walii podjęli, niestety, decyzję o separacji.

Za kulisami wszyscy mieszkańcy Pałacu Buckingham, Pałacu Ken-sington i Highgrove postanowili zrobić, co w ich mocy, aby nie dopuścić do najgorszego, czyli do rozwodu. Nawet jeśli wszystko wokół leżało w gruzach, brytyjski ład prawny miał pozostać nienaruszony.

Kiedy John Major wygłaszał swoje oświadczenie na forum Izby Gmin, Jane weszła do kuchni z żalobną miną, bolejąc już nad skutkami, które miały spowodować jej słowa.

- Czy mogę najpierw porozmawiać z Paulem i Marią? Poszliśmy za nią do jadalni służbowej.

- Zamknijcie drzwi.

Usiadłem i wziąłem Marię za rękę. Grobowym tonem Jane zaczęła:

- Przed chwilą sama dowiedziałam się o wszystkim. Jechałam do Highgrove, nie wiedząc, po co. Ale ogłoszono właśnie, że Jej Królewskie Wysokości księżę i księżna Walii postanowili żyć oddzielnie...

Wcześniej czy później musiało do tego dojść, ale gdy usłyszeliśmy o tym na własne uszy, zrobiło nam się strasznie smutno. Jane jednak nie skończyła.

- ...i Jej Królewska Wysokość wyraziła życzenie, abyście przyjechali do Londynu i pracowali u niej. Księżna pragnęła, żebym służył w Pałacu Kensington wraz z obecnym kamerdynerem, Haroldem Brownem.

Maria wybuchnęła płaczem:

- Nie wierzę, nie wierzę. Co powiemy chłopcom? Mają tu przyjaciół, szkołę, dom. Nie, nie!

Jane kucnęła i objęła Marię.

- Nie wiem, co powiedzieć - rzekła.

Ja również nie wiedziałem, ale z innych powodów. Byłem przekonany, że nasza przyszłość jest nierozzerwalnie związana z księżną. Czułem, że nic nie dzieje się bez powodu. Dziwiłem się tylko, dlaczego księżna nie powiadomiła nas o tym wcześniej. Nie mogłem tego zrozumieć. Przeszliśmy do kuchni, ja i Jane w milczeniu, Maria płacząca i roztrzęsiona. Wendy zobaczyła nas pierwsza.

- Co się stało... - spytała zaniepokojona, podbiegając do Marii.

- Czy mogę teraz porozmawiać z tobą, Wendy? - powiedziała Jane.

Dziesięć minut później Wendy wyszła z jadalni. Otrzymała wymówienie, ale przyjęła to spokojnie: „I tak niewiele mi brakuje do emerytury”. Bardziej martwiła się o nas.

Po wyjeździe Jane usiedliśmy przy kuchennym stole i przy ginie z to-nikiem przez wiele godzin rozmawialiśmy o tym, co się stało. Sytuacja Paddy'ego pozostała niezmienną, wrócił do stajni; dwie dochodzące, wstrząśnięte tym, co usłyszały, poszły do domu.

Wendy poczęstowała Marię papierosem.

- Nie wolno nam palić w kuchni, ale teraz nie ma to chyba znaczenia - powiedziała; tego popołudnia wypaliły całą paczkę. A więc powrót do Londynu, kolejne obowiązki, kolejna królewska rezydencja. Nigdy więcej nie zobaczymy księżnej ani Williama i Harry'ego w Highgrove.

Tego wieczoru księżna zatelefonowała do nas. Wiedziała, że Maria będzie załamana koniecznością opuszczenia wsi i przeniesienia się z powrotem do Londynu.

- Nie martw się, Mario - uspokajała, bo moja żona znów zaczęła płakać. - Będzie wam tu z Paulem lepiej. Wiem, że nie chcesz wracać do Londynu, ale zapewniam cię, że zatroszczę się o was.

Maria odłożyła słuchawkę, litując się nad losem księżnej. Wiedziała, że jej życie w Pałacu Kensington jest bardzo samotne i że stara się jedynie zadbać, abyśmy pracowali u niej, a nie u jej męża. W postanowieniu o separacji księżna włączyła nas do dóbr, które chciała zatrzymać.

Tymczasem musiała poradzić sobie z własnym problemem. Oto księżę Edynburga zaproponował, aby wyprowadziła się z apartamentów 8 i 9 Pałacu Kensington, gdzie mieszkała przez ostatnie dziesięć lat, i odstąpiła je małżonkowi.

Miałaby się przenieść do sąsiedniego apartamentu numer 7, który księżę Filip uważał za bardziej odpowiedni dla matki z synami chodzącymi do szkoły z internatem. Apartament ten zajmowali wcześniej Claytonowie, dalecy krewni rodziny królewskiej. Od dawna stał pusty i był w kiepskim stanie. Księżna uznała, że jest za mały na mieszkanie dla dwóch księżąt. Apartament 7 był drogi sercu księcia Filipa, bo mieszkał w nim w przededniu ślubu z królową 20 listopada 1947 roku.

Księżna nie miała zamiaru zgodzić się na tę propozycję. Dzięki temu, że pozostawała w szczerych stosunkach z teściem, mogła otwarcie wyrazić swoje zdanie, nie obawiając się, że go rozgniewa.

Oświadczyła więc, że nie ma mowy, aby oddała mężowi dotychczasowe mieszkanie. Księżę Karol pozostał więc w Highgrove, a w Londynie urządził sobie nowy apartament w Pałacu Św. Jakuba. Księżna Walii zatrzymała apartamenty 8 i 9 i tu właśnie rozpocząłem swoją służbę u niej; Maria została pół-etatową pokojówką.

Pałac Kensington.

- Obejrzymy sobie film? - spytała księżna.

Było sobotnie popołudnie. Wróciliśmy właśnie do Pałacu Kensington z zakupów w pobliskim domu towarowym. Kucharz zostawił sałatkę w lodówce i poszedł do domu. Księżna miała wolne popołudnie.

Stała w drzwiach pokoju kredensowego, a ja robiłem kawę.

- Wybierz film. Za pięć minut będę gotowa - powiedziała i ruszyła na górę schodami biegnącymi wzdłuż biało-żółtych ścian.

Oboje mogliśmy godzinami rozmawiać o kinie, toteż mieszając rozpuszczalną kawę w biało-niebieskich kubkach, które księżna wolała od porcelanowych filiżanek, wiedziałem dokładnie, jaki film wybrać.

Jej kolekcja nie mogła się równać z przebogatą filmoteką Williama i Harry'ego, ale zawierała wiele dzieł klasyki filmowej, w większości melodramatów. Księżna nazywała je „wyciskaczami łez”.

Przebiegłem wzrokiem napisy na kasetach, które zajmowały dwie półki białego regału sięgającego prawie do sufitu: Przemineło z wiatrem, Jedwabne pończoszki, My Fair Lady, Panowie w cylindrach, Carousel, Południowy Pacyfik, Uwierz w ducha, Angielski pacjent. Mój wzrok zatrzymał się na Spotkaniu Davida Leana. Stuprocentowy wyciskacz łez, który księżna oglądała dziesiątki razy.

- Może ten - powiedziałem, kiedy weszła do pokoju, i włożyłem kasetę do magnetowidu. Usiedliśmy w rogach pasiastej, różowo-kremowej trzymiejscowej kanapy, stojącej tyłem do mahoniowego biurka i przodem do szarego marmurowego kominka. Przez angielskie okna za naszymi plecami wpadało

dzienne światło. Na poduszce między nami stało pudełko z chusteczkami higienicznymi.

- Zawsze na tym beczę! - rzekła księżna, wyciągając chusteczkę, a ja włączyłem magnetowid. Księżna poprawiła się na kanapie i zaczęła oglądać opowieść o tym, jak przypadkowe spotkanie dało początek wielkiej miłości.

Ktokolwiek towarzyszył księżnej podczas koncertu albo seansu Spotkania, zaświadczy, że dźwięki II Koncertu fortepianowego Rachmaninowa zawsze wzruszały ją do łez. Kiedy w kulminacyjnej scenie filmu pociąg odjechał i rozległa się muzyka usłyszałem pochłapywanie. Księżna odwróciła się do mnie bokiem, a łzy ciekły jej po policzkach. Gdy zauważyła, że ja również mam chusteczkę w ręku, zaczęła trząść się ze śmiechu. „Ale z nas głuptasy!” Śmialiśmy się - Boże, jak my się śmialiśmy. Jeszcze dziś dźwięki II Koncertu Rachmaninowa wywołują mój uśmiech. Tego wieczoru, i przy wielu innych okazjach, księżna bez końca słuchała tego koncertu z płyty kompaktowej. Albo siadywała przy fortepianie stojącym w salonie przy oknie i grała temat ze Spotkania. Podchodziłem na palcach do drzwi i patrzyłem, jak gra, z zamkniętymi oczami, zamyślona. Te dźwięki były najważniejszym wspomnieniem, które zabrałem ze sobą z Pałacu Kensington. Inne się nie liczą. Zanim jednak osiągnęliśmy taki stopień zażyłości, musiałem zdobyć szlify. Zaufanie przyszło z czasem. Po opuszczeniu Highgrove na pierwszym miejscu były obowiązki, które z początku dzieliłem z kolegą kamerdynerem, Haroldem Brownem.

Wóz meblowy z całym naszym dobytkiem zatrzymał się przy budynku Starych Koszar, w którym mieściło się nowe mieszkanie numer 2: dwie sypialnie, łazienka, salon i kuchnia. Budynek stał z dala od miejskiego zgiełku i ruchu samochodowego Kensington High Street. Okna mieszkania wychodziły na rozległy trawnik. Dwupiętrowy ceglany gmach Pałacu Kensington znajdował się w południowo-zachodnim rogu pałacowych ogrodów, kawałek drogi od zachodniego krańca Hyde Parku. Był to zupełnie inny świat niż Highgrove. Przyjechaliśmy tu ciepłego kwietniowego dnia w 1993 roku i znaleźliśmy się w zielonej oazie w środku Londynu.

Księżna Walii, uśmiechnięta, z bukietem kwiatów dla Marii w ręku, wyszła nam na powitanie.

Któryż pracodawca zadałby sobie tyle fatygi?

Kiedy Maria otworzyła drzwi samochodu, księżna podbiegła do niej.

- Witajcie, witajcie, witajcie. Jesteście nareszcie! - wołała podniecona, obejmując Marię; Alexander i Nicholas przyłgnęli do jej nóg.

Podczas wyładunku mebli księżna z zaciekawieniem przyglądała się naszym sprzętom.

- Jestem strasznie wścibska - przyznała. - O, jakie to ładne, nie wiedziałam, że to masz, Mario.

Klasnęła w dłonie. - No, to zostawiam was, urządzajcie się - rzuciła i ruszyła trawnikiem do pałacu, bo wybierała się na Wielkanoc do swojej siostry, lady Sarah McCorquodale w Lincolnshire.

Musiała jeszcze zapakować jajka wielkanocne dla swoich siostrzenic i siostrzeńców.

Rozejrzeliśmy się po mieszkaniu. Na podłogach leżały nowe dywany, w kuchni była nowa terakotowa posadzka. Stare Koszary to przerobiony budynek stajni. Mieszkali w nich kiedyś stajenni i żołnierze strzegący pałacu, kupionego pod koniec XVII wieku przez króla Wilhelma III i królową Marię II. W bliższych nam czasach w Starych Koszarach urządzono mieszkania dla dworzan i służących. Naszymi sąsiadami była siostra księżnej Jane z mężem sir Robertem Fellowesem, prywatnym sekretarzem królowej; brygadier Miles Hunt-Davies, prywatny sekretarz księcia Edynburga, który niedawno otrzymał tytuł szlachecki; Jimmy Jewell, księgowy księcia, i pan Ronald Allison, sekretarz prasowy królowej. Harold Brown nie miał służbowego mieszkania'. Dzięki wstawiennictwu przyjaciół z wyższych sfer ów niegdysiejszy pomocnik kamerdynera w

Pałacu Buckingham zajął królewski apartament numer 6 w Pałacu Kensington. Znany był z tego, że żył jak członek rodziny królewskiej. Pracowaliśmy na dwie zmiany.

Służbę w Pałacu Kensington rozpocząłem jednak już cztery miesiące wcześniej. Kiedy pierwszego dnia wszedłem do pałacu, księżna uściśliła mi rękę i oświadczyła:

- Jesteś teraz członkiem mojej drużyny. Witaj w drużynie najlepszych!

Odtąd pracowałem w ciągu tygodnia w Londynie, a na weekendy jechałem do Highgrove, do żony i chłopców. W tym czasie szykowano nam mieszkanie. Podróż była męcząca, ale przez ostatnie dwa lata odbywała ją również księżna. Maria czuła się niezręcznie, mieszkając wciąż w posiadłości Highgrove. Ona i chłopcy mieli zakaz wstępu do rezydencji. Można było pomyśleć, że w naszym domu panuje zaraza, bo traktowano nas jak zapowietrzonych. Nie mogę powiedzieć, żeby nas nie ostrzegano. Lokaj księcia Karola, Michael Fawcett, powiedział przed separacją:

„Uważajcie, którą stronę popieracie. Pamiętajcie, pewnego dnia księżę zostanie królem”.

Fawcett był oddany księciu, ale ja zostałem wybrany przez księżną. Nie odziedziczyła mnie, nie byłem też mianowany, jak koniuszy posłany na służbę czy ochroniarz skierowany przez policję. Poprosiła mnie osobiście i nie chciałem sprawić jej zawodu.

Maria jednak, wciąż mieszkająca w Gloucestershire, ponosiła konsekwencje decyzji księżnej. Na początku 1993 roku ktoś z otoczenia księcia Karola zapytał Lite Davies, dochodzącą w Highgrove, dlaczego nadal utrzymuje przyjazne stosunki z Marią; „lepiej byłoby”, gdyby przestała się z nią widywać. Lita odparła z oburzeniem, że nikt jej nie będzie mówił, z kim ma się przyjaźnić.

Usłyszała wówczas, że nie wolno jej opowiadać Marii, co się dzieje w Highgrove.

Nazajutrz Lita złożyła wymówienie.

Najwyraźniej w otoczeniu księcia wciąż niepokojono się, że księżna zbyt wiele wie o życiu w rezydencji. Świadczyło to o powadze sytuacji. Maria utwierdziła się w przekonaniu o słuszności naszego wyboru.

W czasie pierwszego tygodnia w Pałacu Kensington księżna była wyjątkowo gościnna i szczodra, tak jakby chciała nam osłodzić rozczarowanie z powodu wyjazdu ze wsi. Po powrocie z wielkanocnych odwiedzin u siostry zabrała swoich i naszych synów do Thorpe Park w Berkshire. Ubrana w czarną skórzaną kurtkę i czarne dżinsy, kupiła wszystkim chłopcom pistolety na wodę i jeździła z nimi na karuzeli. Mały Nick miał tylko pięć lat i przez cały czas trzymał księżną za rękę. Nazywała go swoim „małym facetem”, nosiła na barana i na ramionach. Wszędzie towarzyszyli im reporterzy prasowi.

Nazajutrz „Sun” poświęcił temu wydarzeniu całą stronę. Tytuł artykułu brzmiał: WILLY I HARRY POZNAJĄ ZWYCZAJNE ŻYCIE, BAWIĄC SIĘ Z SYNAMI KAMERDYNERA. W artykule cytowano królewskiego fotografa, Jima Bennetta, który powiedział to, co my już wiedzieliśmy: „Księżna traktuje synów kamerdynera jak własne dzieci. Ktoś, kto nie wiedziałby, że jest księżną Walii, pomyślałby, że to młoda matka ze swymi czterema chłopcami”.

W urn samym tygodniu byłem z księżną w Royal Opera House w Covent Garden na balecie Don Quichotte\ za kulisami łoża królewskiej podałem obiad dla księżnej i jej przyjaciół. Z głębi łoża po raz pierwszy w życiu oglądałem balet; kostiumy i muzyka były wyborne.

Po powrocie do Pałacu Kensington zmywałem w pokoju kredensowym, gdy księżna zajrzała przez uchylone drzwi:

- Jak ci się podobało? - spytała.

Miałem okazję wyrazić swoją opinię i wykazać księżnej, że jej nowy pracownik nie jest profanem. Powiedziałem, że przedstawienie było niezwykle i z kolei spytałem ją o zdanie.

- Dno - odpowiedziała i wybuchnęła śmiechem, widząc moją zdziwioną minę.

W ciągu czterech miesięcy przed przeprowadzką do Starych Koszar spałem w jednoosobowym pokoju na najwyższym piętrze: apartamenty 8 i 9 zajmowały trzy kondygnacje pałacu i miały kształt litery L. Okna wychodziły na ogród z tyłu budynku. W Pałacu Kensington mieszkały cztery rodziny, a każda prowadziła odrębny tryb życia i miała na swoje usługi prywatnych sekretarzy, koniuszych, damy dworu, kamerdynierów, szoferów, pokojówki, garderobiane, kucharzy i funkcjonariuszy ochrony. Apartamenty księżnej znajdowały się od północnej strony i były ukryte przed wzrokiem gawiedzi. Prowadził do nich długi podjazd, który mijał Stare Koszary i biegł prosto

obok szeregu domków dla służących innych mieszkańców pałacu. Skręciwszy w prawo na ostrym zakręcie, goście zajędzali przed drzwiami frontowymi numer 8, które wychodziły na mały trawnik. Z okien widać było po prawej stronie prywatny, otoczony murem ogród księżnej, gdzie wypoczywała w czasie letnich miesięcy. Było to jej ustronie. Każdego słonecznego dnia rozstawiałem leżak, kładłem na nim ręcznik i stawiałem w cieniu leżaka butelkę zimnej wody Volvie.

- Tam jest tak zacisznie i spokojnie - zachwycała się księżna. Godzinami opalała się, czytała albo słuchała płyt kompaktowych z przenośnego odtwarzacza.

Tajne przejście prowadzące do apartamentów księżnej zapewniało prywatność jej i jej gościom, których odwiedziny chciała utrzymać w tajemnicy. Szło się tam pasażem obok białej wieży z zegarem i przez brukowany dziedziniec Clock Court. Był to jedyny obszar pałacu, którego nie obejmowały kamery CCTV. Wymogła to księżniczka Małgorzata, która również zawzięcie broniła swojej prywatności. Wskutek tego policjanci śledzący monitory telewizyjne nie widzieli osób wchodzących tą drogą do pałacu. Przemierzałem ją wielokrotnie, wychodząc na spotkanie gości księżnej i prowadząc ich do tylnych drzwi.

Pałac Kensington nie był przytulnym domkiem, o którym księżna często marzyła, ale twierdzą, którą uważała za całkowicie bezpieczną dla siebie, Williama i Harry'ego. Po 1992 roku, kiedy pałac stał się jej

wyłącznym domem, wszystkie pokoje udekorowała wedle swego gustu. Wyrzuciła dywany noszące herb księcia Walii. Jednakże wbrew fałszywym plotkom nie pozbyła się, wzorem księcia Karola, wszystkich pamiątek po swoim mężu. Uważała, że jest to również dom jej synów, więc w pokojach mogła stać fotografie ich „taty”.

Jeśli chodziło o zdjęcia, to przeważały zdecydowanie fotografie Williama i Harry'ego. Na brzoskwiniowych ścianach garderoby, przez którą księżna przechodziła w drodze z sypialni do łazienki, wisało około dwudziestu czarno-białych zdjęć formatu 35 x 25 mm, które od lat wykonywał w swoim studiu Patrick Demarchelier. Przedstawiały księżną z Willia-mem i Harrym w nie pozowanych ujęciach, na których chłopcy prawie zawsze obejmują matkę. Nie brakowało też oprawionych w ramki fotomontaży prac szkolnych chłopców.

Twarze Williama i Harry'ego, w różnym wieku, patrzyły z prawie każdego kąta. Stały na pianinie w pokoju dziennym, na biurku księżnej w salonie i na stole w rogu, na ścianach w korytarzach.

Chłopcy byli całym jej życiem.

Gabinet księcia Karola księżna zamieniła na salon Williama i Harry'ego, sąsiadujący z jej własnym salonem. Chłopcy bawili się tam po całych dniach, grając z moimi synami w gry wojenne na PlayStation. Siedzieli na zielonej kanapie, godzinami wpatrzni w ekran telewizora. Księżnej, przebywającej we własnym salonie, nic nie sprawiało większej radości niż podniecone okrzyki dzieci. Wieczorami jadała czasem z synami w ich pokoju. William uwielbiał szpitalny serial BBC Casualty z krwawymi scenami, podczas których Harry i jego matka kulili się na kanapie, udając przerażenie. Innym razem oglądali Randkę w ciemno na ITV i próbowali połączyć niefortunne pary.

- Wybierz numer 1! - krzyczała księżna, ale chłopcy przekornie byli innego zdania. - Nie, numer 2, numer 2!

Nic więc dziwnego, że gdy chłopcy wyjeżdżali do szkoły czy w odwiedziny do ojca, w domu robiło się smutno. Stojąc na progu i machając im na pożegnanie, księżna prawie nigdy nie omieszkała westchnąć:

- Będę za nimi tęsknić!

Kiedy chłopców nie było w domu, księżna bez przerwy pisała do nich listy i kartki. Niemal codziennie, a czasem dwa i trzy razy dziennie. W każdym liście pisała, że nie może się doczekać, kiedy ich znowu przytuli i ucałuje.

Księżna zaczęła 1993 rok tak, jakby miał to być najlepszy rok w jej życiu. Nie musiała już zachowywać pozorów. Odbyła udane podróże do Zimbabwe i Nepalu wraz z baronową Chalker, ministrem do spraw pomocy krajom rozwijającym się. Cieszyła się poparciem samego premiera Johna Majora i Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Była podróżującym ambasadorem Wielkiej Brytanii. Zazdrościcy ze starej gwardii próbowali, daremnie, drwić z niej, nazywając „wolnym

strzelcem". Pokazała im, że są relikdami z innej epoki.

Księżna współpracowała coraz częściej z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem i apelowała do ludzkich sumień w sprawie ludzi dotkniętych nędzą i chorych na AIDS. Brała lekcje krasomówstwa, bo często musiała przemawiać. W owym roku mówiła o bezdomnych, zakażonych wirusem HIV i chorych psychicznie oraz o losie osób cierpiących, tak jak ona sama, na bulimie. Publiczne obowiązki łączyła z prywatnymi przyjemnościami: koncertem Eltona Johna, baletem Romeo i Julia, filmem Księga dżungli i przedstawieniem teatralnym Grease.

Jej dobry nastrój był zaraźliwy i w Pałacu Kensington panowała wesołość i beztraska, w przeciwieństwie do ponurej atmosfery Highgrove. Pod koniec miesiąca, aby podnieść morale personelu, księżna wydała „uroczysty lunch dla najlepszej drużyny”. Grała na pianinie, a my piliśmy, śpiewaliśmy i tańczyliśmy.

Jakby dla podkreślenia odzyskanej wolności w 1993 roku księżna rozstała się z ochroną osobistą. Funkcjonariusze ochrony mieli obowiązek meldować przełożonemu o tym, gdzie się znajdują. A tym przełożonym był nie kto inny jak inspektor Colin Trimming z ochrony osobistej księcia Walii. Tego weekendu, kiedy podałem księżnej kawę, dokonała ona bilansu. „Poczucie własnej wartości” - napisała i postawiła obok krzyżyk. Odhaczone. „Pewność siebie”. Odhaczone. „Szczęście”. Odhaczone. Na koniec napisała: „Policja” - i odhaczyła.

Przywykłem do wysokiego, wesołego głosu księżnej, który płynął z góry szerokimi schodami z białą balustradą i lakierowaną drewnianą poręczą.

- Jesteś tam, Paul?

Najczęściej wołała mnie właśnie ze szczytu schodów. To tam stała i obracała się w nowym ubraniu, w którym chciała mi się pokazać. Tam też często siadywaliśmy - księżna zawsze o stopień wyżej ode mnie - i rozmawialiśmy albo przeglądaliśmy jej korespondencję bądź też pisaliśmy wspólnie list.

Tam często czekałem na nią, gdy wracała do domu. Otwierała z rozmachem czarne drzwi frontowe, szła wąskim korytarzem wejściowym, skręcała do wewnętrznego holu i wchodziła na schody, które prowadziły na pierwsze piętro i do jej prywatnych pokoi. Często wołała mnie z podestu schodów, przechylając się przez poręcz:

- Idziesz na zakupy, Paul? Daj mi pięć minut.

Chwytałem płaszcz i siedłem z nią po podejździe, przez Kensington Church Street, Church Walk do domu towarowego naprzeciwko sklepu Marks & Spencer.

- Chodźmy do księgarni WH Smitha. Kupimy kompaktki dla chłopców - mówiła, mając na myśli zarówno swoich, jak moich synów. Po drodze do stoiska z płytami zatrzymywała się przy humorystycznych kartkach, czytała podpisy i wybuchała śmiechem. Wciąż słyszę, jak mówi:

- Popatrz na tę! Widziałeś obrazek z tej? - Czasami pokładała się ze śmiechu.

Wszędzie mieliśmy towarzystwo. Ludzie od razu wiedzieli, kto to zanoszący śmiechem przy stojakach z kartkami. Wysoka, jasnowłosa, piękna, jedyna w swoim rodzaju, no i w Kensington.

Potem, kiedy wpadaliśmy jeszcze do apteki albo do sklepu Marks & Spencer, za księżną ciągnął się sznureczek ciekawskich, udających, że robią zakupy.

Niektórzy nie wierzyli własnym oczom.

Pewnego dnia w księgarni WH Smith stały obok nas dwie panie i szeptały, wyraźnie pragnąc, żeby je usłyszano.

- To ona, na pewno ona - mówiła pierwsza kobieta.

- Na pewno nie, tylko bardzo podobna - oponowała jej przyjaciółka i dalej robiła zakupy. Księżna? W księgarni? Tak jak wszyscy? Niemożliwe.

Podczas zakupów zawsze wchodziliśmy do księgarni i wracaliśmy do pałacu z kilkoma pismami ilustrowanymi - „Vogue”, „Tatler” - oraz kartkami pocztowymi, które wraz kasetami wideo i płytami kompaktowymi księżna wysyłała Williamowi i Harry'emu do szkoły w Ludgrove. Pewnego dnia udaliśmy się do księgarni w określonym celu, o czym nie wiedziałem. Księżna chciała mnie poznać ze swoim zaufanym sprzymierzeńcem, Richardem Kayem z „Daily Mail”. Kupiliśmy płyty oraz kartki pocztowe i wychodząc, zderzyliśmy się w drzwiach z „Ricardo”, jak go nazywała. Księżna odegrała komedię: „O, co za spotkanie”, zarumieniła się i roześmiała. Jako kamerdyner

zawsze wystrzegałem się reporterów, ale ten był inny.

- O, przepraszam - powiedział dziennikarz, którego przychylnie artykuły od lat czytałem, i przytrzymał nam drzwi.

- Ufam mu - rzekła księżna, kiedy wracaliśmy do pałacu. Zapamiętałem.

Podczas służby w Pałacu Kensington przywykłem do trybu życia jeszcze jednego członka rodziny królewskiej. Codziennie rano, między siódmą a siódmą trzydzieści, garderobiana wchodziła do sypialni księżnej, aby ją obudzić, Diana jednak zawsze była już na nogach.

Stałem w korytarzu między jadalnią a kuchnią, gdzie Mervyn Wycher-ley albo Darren McGrady przyrządzali śniadanie. W przeciwnym końcu korytarza pojawiała się księżna - bosa, w białym szlafroku, bez makijażu i z potarganymi włosami. Gdy tylko ją zobaczyłem, wchodziłem do kuchni, żeby zaparzyć kawę.

Zanim dotarłem do jadalni z ręcznie malowanym dzbankiem do kawy, księżna siedziała już na jednym z czterech bambusowych krzeseł przy stole nakrytym białym obrusem. Zagłębiała łyżkę w połówce grejpfruta i przeglądała gazety, które rozłożyłem na stole w określonym porządku, podobnie jak u królowej. Od dołu: „Times”, „Daily Telegraph”, „Daily Express”, „Daily Mail” i „Daily Mirror”. Tu jednak na wierzchu nie leżało „Sporting Life”. Wchodziłem do jadalni, której ściany w kolorze fuksji przydawały porankowi ciepła, i stawałem w półotwartych drzwiach. Kiedy księżna podniosła oczy znad gazety, składałem krótki, zdecydowany ukłon głową i mówiłem:

- Dzień dobry, Wasza Królewska Wysokość.

Z upływem czasu moje przywiązanie do dworskiej tradycji i tytułowanie: Wasza Królewska Wysokość coraz bardziej drażniło księżną.

- Paul, bardzo cię proszę. Jesteśmy sami. Naprawdę nie musisz tego robić - mówiła.

Ja jednak nie dałem się przekonać. W tej jednej sprawie nie słuchałem mojej szefowej. Jeśli chciała podzielić się ze mną swoimi prywatnymi sprawami, proszę bardzo. Czułem jednak potrzebę okazania jej szacunku i określenia wyraźnie swojej roli, nawet jeśli księżna nie wymagała tego ode mnie. Dlatego codziennie rano od 1993 roku aż do dnia jej śmierci zwracałem się do niej per „Wasza Królewska Wysokość”.

Podchodziłem następnie do kredensu i wkładałem kromkę pełno-ziarnistego chleba do opiekacza. Potem rozmawialiśmy o poprzednim wieczorze i o tym, co będziemy robić tego dnia. Często odwracałem się i widziałem, jak zanurza łyżeczkę w słoiku z białym miodem i wkłada ją do ust. Czasem pytała, czy czytałem gazety. Gdy zauważyłem jakiś niepocholebny artykuł, niełatwo mi było odpowiedzieć na to pytanie. Jeśli jakiejś gazety brakowało, wiedziała, że chronię ją w ten sposób przed krytyką.

- Och, nie musisz tego czytać - mówiłem, dobrze wiedząc, że rozbudzam tylko jej ciekawość i że zacznie szukać brakującej gazety. Przy śniadaniu nigdy nie czytała dziennika „Sun”, ale zerkała na egzemplarz Mervyna, który leżał w kuchni nad telefonem.

W poniedziałki, środy i piątki księżna odbywała ćwiczenia fizyczne, czasem w Chelsea Harbour Club, czasem w pałacowym salonie, gdzie Harold lub ja odsuwaliśmy meble, aby zrobić miejsce księżnej i instruktorce Carolanie Brown lub Jenny Rivet. Na siłownię w Earls Court zawoziłem księżną samochodem. Czasem zajęcia zaczynały się przed śniadaniem. Po ogłoszeniu separacji rozkład dnia w Pałacu Kensington zależał od planu zajęć szkolnych Williama i Harry'ego, którzy mogli przebywać w Londynie z matką, albo w Highgrove z ojcem. Książę Karol był w sprawie odwiedzin chłopców niezwykle skrupulatny, co dwa - trzy tygodnie i na kilka miesięcy naprzód informował księżną o swoich wolnych terminach. W 1993 roku do opieki nad Williamem i Harrym książę zatrudnił Tiggy Legge-Bourke. Tiggy była raczej pomocą do dzieci niż nianią, ale księżna złościła się, gdy prasa zaczęła ją nazywać „zastępczą matką”. W gazetach co chwila ukazywały się zdjęcia, na których Tiggy

- pogodna dziewczyna prowadząca spokojne życie w majątku Battersea

- bawiła się z Williamem i Harrym. Z czasem została powiernicą i osobistą przyjaciółką księcia Karola i księżna uznała ją za groźną rywalkę.

Każdego ranka w dzień powszedni fryzjer Richard Dalton, a potem Sam McKnight myli i układali włosy księżnej. Jak twierdziła, była to jej jedyna ekstrawagancja, a obaj fryzjerzy zostali jej

powiernikami. Wszystkie kobiety zwierają się swoim fryzjerom i księżna nie była wyjątkiem. Zawsze mówiła głośno, żeby przekrzyczeć szum suszarki. Widząc moje odbicie w lustrze na toaletce, wołała:

- Spójrz na to!

Chodziło o jakiś list, miły lub nie bardzo, zdjęcie w magazynie albo artykuł w gazecie. Do sanktuarium księżnej mieli wstęp jedynie garderobiana, kamerdyner, fryzjer i pokojówka. Była wówczas bardzo naturalna, odprężona i spokojna; świat nigdy nie miał okazji jej taką zobaczyć. W domu Diana była kobietą o młodzieńczym usposobieniu, wrażliwą, pozbawioną maski wielkiej damy. Gdy tylko wychodziła za próg pałacu,

ubrana w jeden ze swoich olśniewających strojów, przeistaczała się w pewną siebie księżną. Każdego ranka byłem świadkiem tej niesamowitej przemiany i nigdy nie przestała mnie ona zdumiewać: od szlafroka frotte do sukni Catherine Walker albo kostiumu Chanel.

Jej garderoba w kształcie litery L zajmowała cały pokój wielkości małej sypialni; były tam setki sukienek dziennych, bluzek, kostiumów, zakietów, spodni i sukni koktajlowych. Ta wielokolorowa kolekcja wisiała na wieszakach nad stojakami z setkami butów, ukryta za zasłonami sięgającymi od podłogi do sufitu. Panował tu idealny porządek. Niebie-sko-biały kostium Chanel wisiał dokładnie nad pasującymi do niego niebieskimi zamszowymi pantoflami; różowy kostium Versacego nad odpowiednimi skórzanymi różowymi pantoflami; szkarłatna suknia Catherine Walker nad parą czerwonych satynowych pantofli.

Tydzień księżnej mógł być pełen tzw. „dni wyjazdowych”, kiedy podróżowała na prowincję albo brała udział w spotkaniach charytatywnych w stolicy. Jeśli czas pozwalał, jadła lunch albo w pałacu, albo w pobliskim Launceston Place, albo w San Lorenzo w Knightsbridge. Lunch był dla księżnej okazją do spotkań towarzyskich. Lubiła jadać z jednym tylko gościem z kręgu najbliższych przyjaciół: Lucią Flecha de Lima, Rosą Monckton, Susie Kassem, lady Annabel Goldsmith, Julią Samuel, Laurą Lonsdale, astrolożką Debbie Franks i ze swoją największą przyjaciółką z rodziny królewskiej, Sarah Ferguson, księżną Yorku. Otaczała się ludźmi swojego pokroju. W niedzielę często odwiedzała księżną Yorku w jej domu w Virginia Water pod Windsorem albo lady Annabel Goldsmith w Richmond. Oba domy były chronione i miały basen, dzięki czemu William i Harry byli tam bezpieczni i się nie nudzili.

Jeśli księżna samotnie jadła lunch w pałacu, często siadywała na wysokim stołku przy barze i przekomarzała się ze mną i kucharzem. Lunch składał się z jednego dania, w którym zawsze była sałatka; księżna popijała ją lodowatą wodą Volvie. Z tych spożywanych w pośpiechu lunchów pozostał mi w pamięci przede wszystkim jeden obrazek: księżna rozmawia przez telefon komórkowy, przytrzymując go ramieniem, bo obie ręce ma zajęte przez nóż i widelec.

Kiedy wyjeżdżała, zawsze odprowadzałem ją do samochodu. Bez względu na to, czy ktoś ją wiozł czy prowadziła sama, czekałem, aż usiadła, po czym zapinałem jej pas.

Wracała zawsze przed siódmą trzydzieści wieczorem i na tę godzinę zaparzałem jej ulubioną herbatę imbirową. Na obiad był smażony pstrąg, jakieś pierożki albo kartofle w mundurkach z kawiolem i sosem

winegret. Często jadła sama. Siadała na kanapie w białym szlafroku frotte, a ja wtaczałem do salonu drewniany stolik na kółkach. Wcześniej wyciągałem telewizor z szafki u podstawy regału z książkami. Wieczory były dla księżnej czasem największej samotności i ciszy. Kucharz skończył pracę, garderobiana poszła do domu, a sekretarz Patrick Jephson nie należał w owym czasie do prywatnego kręgu księżnej. Pracował od dziewiątej do piątej po południu w swoim biurze w Pałacu Sw. Jakuba. Wieczorem księżna odprężała się po dniu wypełnionym spotkaniami. Była rozluźniona i rozmowna. Gdy Williama i Harry'ego nie było w pałacu, pragnęła, aby ktoś dotrzymywał jej towarzystwa.

- Zostań na chwilę - mówiła często.

Stałem więc, opierając się o krzesło, i rozmawialiśmy o tym, jak minął dzień, co powiedział ten, co powiedziała tamta. Omawialiśmy, co wydarzyło się w serialach Coronation Street albo Brookside. Nasze wieczorne pogawędki były krótkie albo ciągnęły się tak długo, że traciliśmy poczucie czasu. Czasem dopiero wiadomości ITV o dziesiątej wieczór przypominały, że pora iść spać. Wytaczałem

stolik, a księżna wstawiała z kanapy i szła za mną do przedpokoju, który pełnił funkcję pokoju kredensowego. Tam zmywałem naczynia, a księżna wycierała je.

- Jak sądzisz, jakie będzie jutro? - pytała. Czowała, że każdy dzień może przynieść jakieś dramatyczne wydarzenie albo nowy problem.

- Cokolwiek się stanie, damy sobie radę - uspokajałem.

Potem księżna zniknęła w głębi korytarza, podskakując jak podłotek, jakby myśl o jutrze znów rozpieierała ją energią. Szedłem kilka kroków za nią, gasząc światło z wyjątkiem jednego: lampki na korytarzu pod drzwiami jej sypialni. W dzieciństwie bała się ciemności i nawet jako dojrzała kobieta wolała spać w półmroku.

Kiedy zniknęła za drzwiami sypialni, jej ostatnie słowa każdego wieczoru były zawsze takie same:

- Dobranoc, Paul.

- Dobranoc, Wasza Królewska Wysokość - odpowiadałem.

Tuż przed jedenastą wychodziłem z pałacu i w ciemności wracałem do żony i synów, którzy spali już spokojnym snem.

Ponieważ dom w Highgrove pozostał przy księciu Karolu, po separacji księżna nie miała wiejskiej rezydencji, czego bardzo jej brakowało. Od początku 1993 roku zaczęła więc szukać miejsca, gdzie mogłaby spędzać z chłopcami długie weekendy. Jeździła oczywiście do księżnej Yorku i lady Annabel Goldsmith, ale nie zadowalało jej to.

- To takie krępujące. Chciałabym mieć własny domek na wsi, z dala od Londynu.

Z pomocą przyszedł brat księżnej, hrabia Spencer. Było to o tyle niespodziewane, że brat i siostra nie utrzymywali bliskich stosunków. Od czasu wyjścia Diany za mąż w 1981 roku widywali się kilka razy w roku. Powstał między nimi dystans, choć w dzieciństwie byli ze sobą bardzo zżyci. Jednakże na prośbę księżnej hrabia zaproponował jej korzystanie z Garden House stojącego w rogu posiadłości Althorp, w zamian za czynsz roczny w wysokości 12 000 funtów.

- Wymarzone rozwiązanie - cieszyła się księżna.

Garden House zapewniał prywatność, a obok głównego domu był basen; hrabia obiecał załatwić sprzątaczkę i ogrodnika. W liście do siostry z 3 czerwca 1993 roku pisał:

Skoro potrzebujesz domu na wsi, z ochotą ci go udostępnię pod warunkiem, że nie wprowadzi to zbyt dużego zamieszania w posiadłości. Garden House doskonale chyba odpowiada twoim potrzebom. Byłoby też sensowne, żebyś miała własny basen.

Zasugerował nawet zbudowanie nowej bramy dla ochrony przed natrętnymi fotografami.

Czytając ten list, księżna układała już sobie w głowie plan urządzenia domu. Była tym tak przejęta, że na początku czerwca 1993 roku wyruszyła rano do Althorp z Dudleyem Poplakiem i lunchem przygotowanym przez kucharza. Marzyła, że niebawem będzie spędzać tam sielankowe weekendy z Williamem i Harrym.

Piętnaście dni później brat księżnej niespodziewanie wycofał ofertę i marzenia księżnej przysły jak bańka mydlana. Hrabia pisał:

Żałuję, ale wynajęcie Garden House jest teraz niemożliwe. Jest wiele powodów, przede wszystkim chodzi o prasę i policję, które będą zakłócać spokój. Zamierzam sprowadzić agenta i potrzebuję domu dla niego. Wiem, że postępuję słusznie ze względu na żonę i dzieci. Bardzo mi przykro, że nie mogę pomóc mojej siostrze! Miło by mi było pomóc i żałuję, że nie mogę... Gdybyś była zainteresowana wynajęciem domu wiejskiego (poza granicami parku), byłoby wspaniale.

Księżna przeczytała ten list wiele razy, zdumiona niespodziewaną woltą brata.

- Jak mógł mi to zrobić? - krzyczała ze łzami w oczach. Najbardziej bolało ją to, że hrabia wiedział, jak bardzo pragnęła wynająć Garden

House. Kiedy kilka dni później zadzwonił do pałacu, z trzaskiem rzuciła słuchawkę.

- Nie mogę znieść jego głosu - wyjaśniła. Po chwili przelała złość na papier listowy, informując hrabiego, co o nim myśli jako bracie i jak bardzo czuje się dotknięta. Hrabia Spencer, podejrzewając, co zawiera list, zwrócił go, nie otwierając. W liście z 28 czerwca wyjaśniał:

Wiedząc, co czułaś kilka dni temu, kiedy odłożyłaś słuchawkę, wątpię, by przeczytanie tego [listu księżnej] pomogło naszym stosunkom. Zwracam go zatem bez otwierania, bo w ten sposób najszybciej odbudujemy naszą przyjaźń.

Ale przyjaźń między rodzeństwem została zerwana na zawsze. Zabawne więc, że po śmierci księżnej hrabia Spencer postanowił pochować siostrę na terenie swojego majątku. Nagle ruch na posiadłości, który tak go poprzednio niepokoił, przestał mieć znaczenie. Dziś zachęca prawie i tysiące turystów, aby odwiedzali urządzone przez muzeum Diany i kupowali pamiątki. Rozdźwięk, który powstał między bratem a siostrą w 1993 roku, pogłębiał się, bo księżna nie chciała odbierać telefonów hrabiego. Aby porozumieć się z siostrą, hrabia Spencer musiał pisać listy do jej prywatnego sekretarza Patricka Jephsona. We wrześniu zadał jej następny cios, domagając się zwrotu rodzinnego diadem Spencerów, który księżna miała na głowie podczas ślubu i który był jej bardzo drogi. Stał się też ważną częścią jej oficjalnego stroju jako księżnej Walii. Nosila go podczas bankietów w Pałacu Buckingham, w czasie otwarcia parlamentu i przyjęć dyplomatycznych. Hrabia pisał, że diadem został jedynie „wypożyczony” księżnej, bo już w latach siedemdziesiątych dziadek zapisał mu go w spadku. Powinien zostać zwrócony prawowitemu właścicielowi - przypominał. Przez dwanaście lat hrabia nie interesował się diademem, a teraz nagle zażądał jego zwrotu. Księżna była pewna, że przyczyną jest ich niedawne nieporozumienie o Garden House. Hrabia uważał, że diadem powinna nosić jego nowa żona, Victoria. Klejnot był nie tylko symbolem pozycji księżnej, ale też pamiątką z dnia ślubu. Księżna jednak nie chciała dać bratu satysfakcji i udała, że nie zależy jej na diademie. W październiku odesłała go hrabiemu. Do mnie należało wyjęcie go z sejfów, gdzie spoczywał w pudełku obok przedmiotu, który księżna nazywała „częścią zamienną”. Był to perłowo-brylantowy diadem, który królowa podarowała jej w prezencie ślubnym.

Tymczasem w składzie personelu Pałacu Kensington zaszły zmiany, które wywarły wpływ na nasze życie. Maria, która od przyjazdu z High-grove była pokojówką z niewielkim zakresem obowiązków, awansowała

na garderobianą, gdyż Helena Roache zrezygnowała z posady. Miała odtąd pracować na pół etatu wraz z pełnoetatową garderobianą Helen Wash. Zmiana ta wywołała pewne perturbacje w naszym domu, ponieważ Maria zamiast od dziewiętej do pierwszej była teraz zajęta w różnych godzinach; raz musiała wstawać o szóstej, innym razem pracowała wieczorem. Musiałem się więc zamieniać z Haroldem Brownem, aby zostać z chłopcami, kiedy żona wychodziła do pracy. Maria zdawała sobie sprawę, że nie będzie to dla nas łatwe, ale chciała pomóc księżnej. Zamierzała pracować tak na próbę przez rok, aby sprawdzić, czy damy sobie radę. Szefowa okazała się elastyczna i zgodziła się nawet, aby Maria budziła ją o siódmej telefonem zamiast osobiście, jak wymagał tego regulamin służby. Jednakże godziny pracy Marii wydłużały się coraz bardziej. Nigdy wcześniej nie spędzała wieczorów bez Alexandra i Nicka, toteż tęskniła za nimi. Idąc na zakupy późnym popołudniem, widziała, jak chłopcy bawią się na trawniku przed Starymi Koszarami. Gdy wracała do domu z wieczornej zmiany, chłopcy często już spali. Jeśli jednak Maria pracowała ciężko, Helen harowała jeszcze ciężiej.

Księżna doceniała poświęcenie obu kobiet i starała się im to wynagrodzić. Podarowała Marii torbę pełną nieużywanych już butów od znanych projektantów - Chanel, Jimmy Choo, Ferragamo, Rayne - bo nosiły ten sam rozmiar, sześć i pół, a także torebki i kostiumy od Catherine Walker, Versacego i Chanel. Również Helen z wdzięcznością przyjęła niepotrzebne już ubrania i inne podarunki. W ten sposób księżna wyrażała swą wdzięczność i robiła miejsce w szafie na nowe ubrania. Siostra, lady Sarah McCorquodale, również korzystała z jej hojności.

Hojność nie była niczym nowym w rodzinie królewskiej. Kiedy służyłem w Pałacu Buckingham, królowa przywoziła mi prezenty z podróży zagranicznych. Podczas służby w Highgrove książe Karol podarował mi stół wyrzeźbiony z pnia sekwoi, książki, srebrną szkatułkę z wieczkiem zdobionym emalią i parkę kryształowych szkockich kuropatw Lalique'a. Raz wzięłem też pewne przedmioty księcia bez pytania go o pozwolenie. Razem z Haroldem Brownem, Dudleyem Poplakiem i księżną już po separacji udaliśmy się do Highgrove, aby zabrać meble, lampy, obrazy i ozdoby.

- To nasza jedyna okazja, żeby wziąć, co chcemy! - oświadczyła księżna, kiedy ładowaliśmy rzeczy na wóz meblowy.

Książe Karol zmieniał wystrój rezydencji, zastawiając ją ciemnymi meblami.

- Wygląda, jakby wracał do łona! - zażartował Dudley. Księżna wybuchnęła nieopanowanym śmiechem.

Rok 1993 zaczął się dla księżnej znakomicie, ale skończył niewesoło. Najpierw nieszczęsna historia z bratem. Potem, w listopadzie, „Sunday Mirror” opublikował zdjęcia księżnej ćwiczącej w trykocie w LA Fit-ness Centre w Londynie. Właściciel siłowni, Bryce Taylor, zamontował w suficie ukrytą kamerę. Księżna zatrudniła adwokata Anthony'ego Juliusa z Mishcon de Reya i Komisja Skarg Prasowych uznała gazetę za winną naruszenia prywatności. Sprawa ta spowodowała, że 3 grudnia, podczas przemówienia na lunchu dobroczynnym, księżna ogłosiła, że wycofuje się z życia publicznego. Powiedziała: „Mam nadzieję, że mnie zrozumiecie i dacie mi czas i swobodę, których tak brakowało mi w ostatnich latach. Kiedy dwanaście lat temu zaczynałam życie publiczne, rozumiałam, że media mogą się mną interesować... ale nie zdawałam sobie sprawy, jak daleko idące będzie to zainteresowanie”.

Dwór, który uznał to oświadczenie za niepotrzebne i melodrama-tyczne, zareagował z typowym dla siebie taktem: księżna nie otrzymała zaproszenia na wyścigi do Ascot, a jej nazwisko zniknęło z kroniki dworskiej. Księżna pragnęła tylko wyjść z kręgu jupiterów, teraz bezceremonialnie zepchnięto ją w ogóle ze sceny.

Sprawa naruszenia prywatności w LA Fitness - która w 1995 roku skończyła się przeprosinami „Sunday Mirror” - przygnębiła księżną. Kiedy zadawano jej ból, zamykała się w swojej sypialni, gdzie nikt nie mógł jej skrzywdzić. Robiła sobie wyrzuty z powodu zdjęć z siłowni, uważając, że sama jest sobie winna, bo od lat współpracowała z prasą. Musiałem porozumiewać się z nią za pośrednictwem listów, które zostawiałem w salonie i na stołku u szczytu schodów. Wychodziła na posiłki, ale była zgaszona i milcząca. W samotności rozmyślała nad swoimi „błędami”, słuchając mszy żałobnych, nastawionych na cały regulator. Wiedziałem, że w ten sposób zagłusza swój szloch, który przynosi jej ulgę. Często powtarzała:

- Czuję się całkowicie bezpieczna tylko wtedy, gdy chowam się w swojej skorupie. Wtedy nikt nie może mnie zranić.

Zawsze jednak potrafiła się otrząsnąć i szybko zapominała o swoich deklaracjach o wycofaniu się z życia publicznego. Gdy tylko schodziła ze sceny, zwykli ludzie, którzy liczyli się dla niej najbardziej, krzyczeli: „Jeszcze, jeszcze”.

Po odwołaniu wszystkich publicznych spotkań w 1994 roku księżna mogła oddać się temu, co lubiła najbardziej: życiu towarzyskiemu. Od stycznia aż do wiosny umawiała się z przyjaciółmi na lunch w swoich ulubionych lokalach: San Lorenzo, Le Caprice, Ritz, Claridges, Ivy, Bi-bendum i Launceston Place. Często jej gośćmi byli prezenter telewizji australijskiej, Clive James, i przyjaciel lord Attenborough, a dwa razy w tygodniu spotykała się z Lucią Flecha de Lima i Rosą Monckton. Pałac Kensington stał się jej luksusową komorą dekompresyjną i widać było, jak opada z niej napięcie związane z życiem publicznym. Grała znacznie więcej w tenisa, chodziła na balet i do kina, spotykała się z przyjaciółmi. W serdecznym, beztroskim i żywym towarzystwie wracała do formy. Na cały dzień pojechaliśmy do parku rozrywki Alton Towers, bo William i Harry chcieli pojeździć na nowej kolejce górskiej. Było nas trzynaścioro, włącznie ze mną, Marią, naszymi chłopcami, nianią Olgą Powell, szoferem Steve'em Davisem i młodymi książętami oraz ich ochroniarzami, Grahamem Crakerem i Chrisem Tarrem. Brakowało przede wszystkim Harolda Browna, który szybko tracił względy księżnej. Jakby dla pokazania, że jesteśmy normalnymi ludźmi - co nigdy do końca nie mogło się udać - księżna postanowiła, że pojedziemy do Staffordshire zwykłym pociągiem. Ubrana w zielono-białą amerykańską kurtkę futbolową poprowadziła nas na stację kolejową Euston, gdzie wsiedliśmy do wagonu pierwszej klasy. Księżna żartowała, że jest tu równie wygodnie, jak w pociągu królewskim. Może przyczyną były jej częste wizyty w siłowni, ale dopiero owego dnia zdałem sobie sprawę, jak szybko chodzi. Ledwie za nią nadążaliśmy. Tylko Nick nie musiał wyciągać nóg, aby dotrzymać księżnej kroku, bo siedział jej na ramionach. Jedynym wytchnieniem był lunch, w czasie którego wszyscy zjedliśmy hamburgery z wołowiną i frytki.

Jakimś sposobem dziennikarze dowiedzieli się o naszej wizycie w Alton Towers i szli za nami krok w krok.

- Mamusiu, pojeźdźmy na tym - napierał się Harry, ciągnąc matkę za rękaw.

Księżna spojrzała w górę na kręty tor kolejki górskiej, Nemesis, i pokręciła głową.

- Nie, zrobi mi się niedobrze - powiedziała i została na dole z Marią. Nick również ciągnął ją za rękaw. Chciał koniecznie zakosztować

jazdy na karuzeli o nazwie Mad Hatter's Tea Party (Podwieczorek Szalonego Kapelusznika).

- Wielkie filiżanki do herbaty, chcę pojeździć na wielkich filiżankach, księżno! - błagał.

Następnego dnia w gazetach ukazały się zdjęcia, na których księżna, młodzi książęta i nasi synowie jeżdżą w owych ogromnych filiżankach. Dziś Nick nie pamięta niestety, jak siedział księżnej na ramionach, choć ich fotografia zajmuje honorowe miejsce w naszym domu.

Relacje prasowe świadczyły, że dziennikarze nigdy nie dadzą księżnej spokoju, o który prosiła w grudniu poprzedniego roku. Pozbawieni widoku księżnej pełniącej oficjalne obowiązki „Gady Jej Wysokości”, inaczej zwani dziennikarzami, wtykali nos w jej życie prywatne. Dzień za dniem gazety przynosiły nowe zdjęcia: księżna w McDonald's; księżna przyjeżdża do centrum odnowy biologicznej Chelsea Harbour Club; idzie ulicą; je w restauracji; robi zakupy z przyjaciółmi; księżna na tylnym siedzeniu taksówki; prowadzi swój samochód. Gdy tylko opuszczała Pałac Kensington, robiono jej zdjęcie. W 1994 roku media, z ich żarłocznym apetytem, ponownie opanowała mania na punkcie księżnej Diany.

Jeśli kiedykolwiek księżna starała się „odnaleźć siebie”, było to w 1994 roku. Do pałacu przybywały całe zastępy nauczycieli życia, uzdrowicieli, astrologów i parapsychologów. Przyjaciele spieszyli z dobrymi radami, wysłuchiwali żalów i pozwalali się jej wypłakać. Księżna jednak przywiązywała takie samo znaczenie do rad ludzi, którzy szczerze się o nią troszczyli, co do horoskopów, kryształowej kuli, informacji z zaświatów i otaczających ją „energii”. Rozmyślała o nich w czasie zabiegów akupunktury, masażu albo ćwiczeń gimnastycznych. Nawet Dudley Poplak przesyłał jej fiołki Bach Rescue Remedy, ziołowych kropli uspokajających.

Zapach palonych kadzidełek w sypialni księżnej rozchodził się po pierwszym piętrze, tłumiąc woń odświeżaczy powietrza, które pokojówki rozpylały wczesnym rankiem. Księżna i astrolożka Debbie Frank siadywały na podłodze w salonie lub w pokoju dziennym nad wykresami astrologicznymi, analizowały ruchy planet i wyciągały wnioski co do przyszłości księżnej, która była zodiakalnym Rakiem. Księżna uważała, że Raki, podobnie jak zwierzęta o tej samej nazwie, mają twardą powłokę zewnętrzną, miękki środek i instynktownie chronią się w cieniu. Była przekonana, że dlatego właśnie kocha wodę i dlatego marzyła zawsze, aby zamieszkać nad brzegiem morza.

Mówiła Debbie:

- Ten dom jest pełen zodiakalnych Bliźniaków. William jest Bliźniakiem, Paul jest Bliźniakiem - więc nie jest łatwo!

Debbie chciała i mnie postawić horoskop, ale odmówiłem.

- Powinieneś koniecznie zapoznać się ze swoim horoskopem - namawiała księżna. - To fascynujące. Pewnego razu zadzwoniła akupunkturzystka, od której księżna właśnie wróciła. Była na granicy paniki.

-Brakuje mi jednej igły. Zdaje się, że zostawiłam ją w głowie księżnej!

Idąc do salonu, gdzie księżna pisała przy biurku, wyobrażałem już sobie igłę sterczącą z jej głowy. Zacząłem chichotać i księżna podniosła wzrok.

- Odebrałem właśnie telefon. Wygląda na to, że możesz mieć w głowie igłę akupunkturzystki. Księżna poklepała się po głowie i wybuchnęła śmiechem.

- Uspokój biedaczkę i powiedz jej, że wszystko w porządku. Po wizycie u niej czuję się znacznie lepiej!

Księżna podchodziła do swoich terapii z humorem. Niektóre były dość dziwne i wymagały dużego samozaparcia. Dwa razy w tygodniu miałem obowiązek - zamiast szofera, ze względu na dyskrecję - zawozić ją do kliniki w północnym Londynie na płukanie okrzężnicy.

- O niczym nie wiesz, Paul! - uprzedzała.

Księżna jeździła sama do domu Susie Orbach, psychoterapeutki, która specjalizowała się w zaburzeniach związanych z odżywianiem i bardzo pomogła księżnej poradzić sobie z bulimią. Dr Mary Loveday, niska, cicha kobieta, przepisała jej witaminy, które miała brać trzy razy dziennie.

Księżną fascynowała duchowa strona życia ludzkiego, „druga strona”, jak mówiła. Parapsycholog Rita Rogers, mieszkająca niedaleko mojego rodzinnego miasta Chesterfield, regularnie udzielała jej wskazówek, a Si-mone Simmons, uzdrowicielka, często telefonowała. Księżna potrafiła z nią rozmawiać przez pięć godzin. To Simone zawdzięczałem zapach kadzidelka.

Wszyscy ci niekonwencjonalni terapeuci, każdy na swój sposób, przynosili księżnej ulgę. Jednakże początkowo pasjonująca rozrywka stała się z czasem prawdziwym uzależnieniem, co mnie zaniepokoiło. Niepokojące było też to, że bez przerwy śledzili ją paparazzi. Gdy księżna, skrywająca oczy za ciemnymi okularami, pewnego razu wychodziła z londyńskiego domu Susie Orbach, otoczyli ją fotoreporterzy pracujący dla zagranicznych pism i agencji. Zaczęli się z niej wyśmiewać i ubliżać: „Jak ty wyglądasz, jesteś wrakiem człowieka” i „Jesteś zwykłą dziwką, Diana”. Księżna wybuchnęła płaczem i uciekła do samochodu, a nazajutrz w gazetach ukazały się nagłówki: ŁZY DIANY i spekulacje, że księżna płacze nad swoim małżeństwem.

Niewiele kobiet wytrzymałoby taką codzienność. Wielokrotnie ratowałem księżną przed prześladowcami. Parkowałem samochód pod kliniką, sklepem czy restauracją i czekałem na nią z włączonym silnikiem. Kiedy w lusterku wstecznym dostrzegałem jej sylwetkę, ściganą przez „stado szczurów”, przechylałem się na bok i otwierałem drzwi, aby mogła wskoczyć do środka.

- Jedź Paul, jedź - ponaglała.

Ale fotoreporterzy byli już przy nas, pochylali się ze wszystkich stron nad maską, stukali w okna.

Księżna, zasłaniając ręką pochyloną głowę, powiedziała kiedyś:

- Ktoregoś dnia zabijemy kogoś. Wszystko to strasznie ją przygnębiało.

W skwarne letnie dni składałem dach w mercedesie księżnej. Kiedy zatrzymywaliśmy się na światłach, motocykliści rozpoznawali ją i przeżywali szok; ponure twarze nagle się rozpromieniały. Diana uwielbiała to. Pewnego razu zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle obok remontowanego właśnie budynku w dzielnicy Mayfair. Robotnik stojący na najniższej kondygnacji rusztowania spostrzegł księżną. W kilka chwil wiadomość obiegła całe rusztowanie; wszyscy robotnicy odłożyli narzędzia i zaczęli gwizdać i w inny sposób wyrażać swoje uznanie dla Diany.

Księżna była zakłopotana i udawała, że nic nie słyszy, ale kiedy ruszyliśmy, uniosła rękę i pomachała, a potem śmiała się przez całą drogę do domu.

Dziennikarzom nie udało się jednak wejść na przyjęcie z okazji czterdziestych urodzin Marii, które odbyło się 1 lutego 1994 roku w Cafe Rouge, niedaleko Pałacu Buckingham, i w którym wzięła udział księżna. Uczestnicy przyjęcia przebrali się za sławnych ludzi. Ja byłem Antoniuszem. Maria Kleopatry. Była gospodyni w Highgrove występowała jako Cruella de Vii, mój szwagier Peter Cosgrove jako Al Capone, a mój brat Graham i jego żona Jayne wcielili się w postaci Napoleona i Józefiny. W drzwiach powitał księżną mój drugi brat przebrany za generała Custer a i dość obcesowo spytał księżną:

- Za kogo się przebrałaś?

Diana, w czarnym spodniem i czarnej kamizelce wyszywanej złotą nicią, odparła:

- Za księżną, oczywiście!

Tego sobotniego popołudnia, kiedy nasi przyjaciele i koledzy szykowali swoje kostiumy, księżna spotkała się nieoficjalnie z Matką Teresą, ale bardzo chciała wziąć udział w przyjęciu, bo знаła wielu jego uczestników

z Pałacu Kensington lub z Highgrove. Zjawił się nawet jej stary przyjaciel z Pałacu Buckingham, emerytowany steward pałacowy Cyril Dick-man. Diana zapragnęła „zrobić dla odmiany coś normalnego”, jak się wyraziła. Księżna Walii, pozbawiona ochrony policyjnej, nie może jednak wejść „normalnie”, jak zwykły człowiek, do publicznej restauracji. Być może sprawił to mój strój rzymskiego setnika, ale przyjąłem na ten wieczór rolę obrońcy księżnej. Razem z grupką innych przebierańców powitałem ją przy szlabanie policyjnym na pałacowym podjeździe. Księżna wyłoniła się z ciemności i nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Jak wy wyglądacie! - wybuchnęła śmiechem, po czym ruszyła na miejsce zabawy w towarzystwie Antoniusza, Trzech Muszkieterów, Bat-mana i Robina.

Nasi przyjaciele i krewni, którzy przyjechali specjalnie z północnej Walii, byli już w środku i kiedy księżna weszła do restauracji, z wrażenia o mało nie spadły im sztuczne wąsy i peruki. Członek

rodziny królewskiej na balu przebierańców w publicznej restauracji! Sztywni dworscy urzędnicy zapewne patrzyliby na to krzywo, ale moim zdaniem na żadnym spotkaniu towarzyskim księżna nie bawiła się tak dobrze. Siedziała na krześle, popijała wodę i śmiała się z naszych wygłupów, kiedy przedstawialiśmy taniec łodzi, a potem, w tańcu konga, ruszyliśmy węzłem na piętro.

Później księżna stanęła przy czerwonym boksie didżeja i wręczyła nagrody za najlepsze stroje. Mój brat zdobył pierwszą nagrodę za strój Napoleona i odebrał z rąk księżnej odtwarzacz kompaktowy. Po dwóch godzinach księżna postanowiła nas opuścić. Odprowadziłem ją do domu, wciąż zachwyconą wspaniałą zabawą. Księżna Walii szła przez Kensington z rzymskim setnikiem u boku. Miło ją było widzieć na urodzinach Marii, zwłaszcza że nie lubiła własnych. Krępowało ją przyjmowanie prezentów, choć sama dawała je tak wielu ludziom, a dni urodzin przyjaciół miała zanotowane w kalendarzu. Często powtarzała:

- Znacznie łatwiej jest dawać, niż brać. Dawanie nie pociąga za sobą żadnych zobowiązań.

Każdego pierwszego lipca, wiedząc, że lubi zabawne kartki z księgarni WH Smith, kładłem na jej biurku jedną z nich, podpisaną przez całą rodzinę. Członkowie służby pałacowej rywalizowali nawet ze sobą, kto kupi najśmieszniejsze, najbardziej szokujące życzenia. Księżna czytała je po śniadaniu i stawiała po kolei na okrągłym stole w salonie. Potem zaczynały przychodzić kwiaty. Dwadzieścia cztery wielkie żółte róże

z kwaciarni Edwarda Goodyeara w Mayfair od skrytego wielbiciela, którego tożsamość do dziś pozostaje tajemnicą. Czerwone róże od przyjaciół. Potem białe kwiaty, ułożone misternie w wazonach - tulipany od Eltona Johna, róże od Versacego. Anna Harvey, redaktorka „Vogue” z Londynu, przysyłała bluzkę lub sukienkę w ozdobnym opakowaniu. Drogie prezenty ofiarowywali księżnej Catherine Walker i Jo Malone. Wszystkie przyjaciółki przysyłały kwiaty lub prezenty. W boksie ochroniarzy życzliwi Dianie ludzie zostawiali kartki z życzeniami, upominki i kwiaty. Pod koniec dnia apartamenty 8 i 9 przypominały kwaciarnię, a na wszystkich płaskich powierzchniach stały kartki z życzeniami.

Ja również niezbyt lubiłem urodziny księżnej. Całymi godzinami musiałem biegać po schodach. Dostawa od Selfridgesa, od Harrodsa, z królewskiego sklepu spożywczego Frotnum & Mason, od Harveya Nicholasa. A potem, niezawodnie, bukiet kwiatów od księcia Karola, który każdy list i każdą kartkę, aż do samej śmierci księżnej, zaczynał słowami: „Najdroższa Dianko”.

Przez resztę dnia, od późnego popołudnia do nocy, Diana pisała listy, dziękując krewnym, przyjaciołom, współpracownikom i organizacjom. Nie znałem nikogo, kto pisał tyle listów i odpowiadał tak szybko. Tę żelazną dyscyplinę wpoił jej w dzieciństwie ojciec; nauczył ją, że za każdy prezent należy podziękować.

Ze środkowej szuflady mahoniowego biurka w salonie Pałacu Kensington księżna wyjmowała papier z czerwoną obwódką i fantazyjną literą D poniżej korony. Odwrócona plecami do okna pracowała jak przy taśmie produkcyjnej: pisanie, składanie, wkładanie do koperty, zaklejanie. Siedziała przy biurku długie godziny, zanurzając wieczne pióro w czarnym atramencie i pisząc swoim wyraźnym charakterem pisma. Następnie, podkreśliwszy swój podpis, odwracała list i przyciskała go lekko do różowej bibuły, która pod koniec dnia była cała w czarnych kleksach. Musiałem pamiętać, aby wymienić ją na czystą. Księżna składała list na pół, wsuwała go do kremowej koperty wyściełanej czerwoną bibułką, adresowała i kładła na rosnącym stosie.

- Muszę pisać podziękowania. Jeśli ludzie zadają sobie trud, aby przysłać mi prezent, powinnam im przynajmniej podziękować - mówiła.

Zawsze przed wyjściem do restauracji księżna przygotowywała pisemne podziękowania dla osoby, z którą miała zjeść obiad. Adresowała kopertę i opierała ją o srebrną podstawkę pod kałamarz. Po powrocie, bez względu na porę, pisała list, aby można go było wysłać nazajutrz rano.

Po półrocznej nieobecności księżna zaczęła powoli wracać na scenę publiczną. Naczelny dyrektor Czerwonego Krzyża, Mikę Whitlam, bliski znajomy księżnej, namówił ją do udziału w specjalnej komisji, mającej doradzać Międzynarodowemu Komitetowi Czerwonego Krzyża. W maju 1994 roku księżna wyjechała do Genewy, siedziby MKCK. Jej prywatny sekretarz, Patrick Jephson, twierdził, że szybko znudziła się swoją funkcją, więc zrezygnowała z niej. Prawdziwy powód był taki, że nie chciała pracować z ludźmi, którzy wtrącają się we wszystko. Odeszła nie z powodu

znudzenia, ale frustracji, i podczas swoich przyszłych misji utrzymywała z Czerwonym Krzyżem ścisły kontakt.

Księżna wróciła do Londynu i wzięła udział w odsłonięciu pomnika ku czci poległych żołnierzy kanadyjskich w Green Park. W przeddzień pięćdziesiątej rocznicy D-Day uczestniczyła w nabożeństwie w kościele w Porstmouth, a potem dołączyła do rodziny królewskiej na pokładzie jachtu Britannia. Księżna wchodziła w stare koleiny, ale nie zapomniała o sprawach, które najbardziej leżały jej na sercu: brała udział w ogłoszeniu apelu organizacji charytatywnej Turning Point na rzecz chorych psychicznie, była na koncercie, podczas którego zbierano pieniądze na walkę z AIDS, wspierała organizację charytatywną Centre Point na rzecz ludzi bezdomnych, a potem w Wersalu pod Paryżem wzięła udział w obiedzie wydanym przez francuską fundację-na rzecz dzieci; blisko tysiąc gości zgotowało jej owację.

Wszędzie tłumy wiwatowały na jej cześć. Podczas przyjęć, fet i oficjalnych uroczystości olśniewała wszystkich, od prezydentów po zwykłych ludzi. Nie domagała się specjalnego traktowania, ale sama jej obecność, magiczna aura zwracała uwagę i budziła szacunek.

Jednakże te objawy uznania nie zwiększały jej pewności siebie. W Pałacu Kensington trzeba ją było stale podnosić na duchu. Zachowała jednak siłę wewnętrzną i z niej czerpała pewność siebie.

Potrzebowała jej 29 czerwca 1990 roku, bo tego dnia telewizja nadała film dokumentalny o księciu Karolu, nakręcony przez Jonathana Dimbleby'ego przy współpracy bohatera filmu. Film wyemitowano przed ukazaniem się książki o księciu. Zatytułowana The Prince of Wales [Karol książę Walii], była odpowiedzią, opatrzoną oficjalnym imprimatur, na książkę Andrew Morton-a z 1992 roku. Praca nad nią trwała półtora roku. Księżna została swego czasu potępiona za współpracę z Andrew Mortonem, tymczasem biuro księcia Karola, za jego zgodą, skłoniło przyjaciół następcy tronu, aby przemówili publicznie na jego korzyść. Pretekstem była dwudziesta piąta rocznica nadania mu tytułu księcia Walii.

Jonathan Dimbleby twierdził później, że książę prosił, aby w książce nie znalazło się nic, co mogłoby urazić księżną. Przed kamerą Karol przyznał się jednak do cudzołóstwa z Camillą Parker Bowles. Oczywiście takie wyznanie nie mogło nie zabołec księżnej. Film anonsowano w telewizji przez kilka dni przed emisją i Diana zaczęła mieć złe przeczucia. Schronienie i dobre słowo znalazła w towarzystwie Lucii Flecha de Lima, Annabel Goldsmith, Susie Kassem i księżnej Yorku, które przyjechały do Pałacu Kensington, aby podtrzymać ją na duchu. W dniu emisji otrzymała wsparcie z jeszcze jednej strony. Tego popołudnia odwiedziła ją i dodała otuchy księżna Kentu - wzór ludzkiej serdeczności i humanitaryzmu.

- Jak ja spojrzę ludziom w oczy? - spytała księżna tego popołudnia. Gdybyż mogli to słyszeć ci, którzy oskarżali ją o pchanie się na pierwsze strony gazet wszelkimi sposobami.

Tego wieczoru, kiedy cała Wielka Brytania zasiadła przed telewizorami, księżna miała wziąć udział w od dawna zaplanowanym obiedzie w Serpentine Gallery w Hyde Parku. Była stałą klientką tej galerii, przyjaciółką jej prezesa, lorda Palumbo, i gościem nowo mianowanego wówczas przewodniczącego Arts Council of England, lorda Gowrie. Przed wyjściem była zdenerwowana; zastanawiając się na wyborem sukni, myślała o filmie. Pod galerią czatowali reporterzy telewizyjni, aby uwiecznić jej reakcję na film Dimbleby'ego.

Księżna ubrała się i była gotowa do wyjścia na godzinę przed przyjęciem; chodziła nerwowo w tę i z powrotem po podeście schodów na pierwszym piętrze. Byłem w pokoju kredensowym i słyszałem skrzypienie podłogi.

Nagle przystanąła.

- Paul, jesteś tam?

Pobiegłem na górę. Księżna stała z rękami na biodrach, ubrana w niebieską, ściągniętą paskiem suknię koktajlową z białymi satynowymi mankietami i białym kołnierzem, który ciasno opinał jej szyję.

- No i jak ci się podobam?

Moja odpowiedź nie była nadmiernie entuzjastyczna.

- Niezbyt, co? - Opuściła rękę.

Mimo że miała wokół siebie doświadczone garderobiane, największą wagę przywiązywała do

opinii służących płci męskiej. W Pakistanie i Czechosłowacji też pytała o zdanie mnie lub Mervyna Wycherleya. Chciała wiedzieć, jakie robi wrażenie. W Pałacu Kensington często stawiała w połowie schodów w nowym kapeluszu albo kostiumie i pozowała

jak modelka. - Co o tym sądzisz? - pytała. Albo, ubrana w nową sukienkę, na jedną nogę naciągała rajstopy, drugą pozostawiając obnażoną.

- Z rajstopami czy bez? - Albo na jedną stopę wkładała but na szpilce, a na drugą pantofel. - W szpilkach czy nie?

Pewnego razu przymierzała w pałacowym salonie suknię od projektanta Jacquesa Azagury'ego. Kobieta o imieniu Solange przypinała do rąbka czerwonej sukni szyfonowy szal w odpowiednim kolorze.

- Czy to nie piękne, Paul? Czy Jacques nie jest geniuszem? - pytała. Jeśli księżna ubrała się tak, aby robić wrażenie, właściwie nie sposób

było się nie zachwycić. Ale ostrzegłem ją: - Ode mnie usłyszysz tylko szczerą opinię. Jeśli nie zależy ci na szczerości, nie pytaj.

Przed imprezą w Serpentine Gallery nie owijałem więc w bawełnę.

- Dziś powinnaś wyglądać szalowo, a w tej sukience tak nie wyglądasz. Przykro mi.

- Ale ja nie mam nic innego! - zaprotestowała.

Poszliśmy do garderoby księżnej. Wieszak po wieszaku przeglądaliśmy jej kolekcję strojów wieczorowych.

- A może ta? - spytałem, pokazując na mieniącą się czarną suknię. Księżna skrzywiła się. - Nie. Opatrzyła mi się.

Potem natrafiłem na krótką koktajlową sukienkę zaprojektowaną przez Christinę Stambolian.

Księżna lubiła ją, ale obawiała się, że może być dla niej za ciasna, bo po siłowni rozrosła się w ramionach. - Łatwo można to sprawdzić - powiedziałem. Wyszła z pokoju, niosąc na wieszaku zaproponowaną przeze mnie kreację.

Zjawiła się ponownie w czarnej jedwabnej sukience z odkrytymi ramionami. Wyglądała oszłamiająco.

- O to właśnie chodziło.

- Nie za duży? - zapytała, pokazując palcem na dekolt.

- Jest doskonały - odparłem i poszliśmy do sejfu przy jej sypialni. Wyjęła naszyjnik z pereł z wielkim szafirem otoczonym dwoma rzędami diamentów - prezent zaręczynowy od królowej matki.

Zbliżała się pora wyjścia, a księżna wciąż spacerowała po podeście.

- Dlaczego jestem tak zdenerwowana? - pytała, zła na siebie.

- Wyglądasz fantastycznie. Zadzawisz ich wszystkich - uspokaj ałem. -Hm.

Dziwiłem się, że może w to wątpić.

Księżna od dawna wbijała mi do głowy, jak mam zjechać i jak odjechać:

- Przybycie i odjazd to najważniejsze momenty każdej imprezy

- pouczała.

Przypomniałem jej o tym tuż przed wyjazdem. Potem dodałem:

- Pamiętaj, kiedy przyjedziesz, wejdź energicznym krokiem, z podniesionym czołem, mocny uścisk dłoni, i powiedz sobie: „Jestem księżną Walii”. Nie zapomnij.

W charakterystyczny sposób wciągnęła powietrze.

- No to w drogę, Paul.

Ruszyłem za nią po schodach i przez hol do drzwi frontowych. Kiedy zamykałem tylne drzwi samochodu, który prowadził szofer, księżna uśmiechnęła się promiennie. Pomachałem jej na pożegnanie.

Późnym wieczorem oglądałem w telewizji migawki z jej przyjazdu do galerii: wysiadła z samochodu, rażno podeszła do lorda Palumbo i z uśmiechem uścisnęła mu dłoń. Wyglądała, jakby nie miała najmniejszych zmartwień. Zdjęcia księżnej ukazały się nazajutrz rano na pierwszych stronach wszystkich gazet i stały się jednymi z jej najszlachetniejszych fotografii. SPÓJRZCIE TYLKO! - krzyczał „Daily Mirror”. A Karol? NIE NADAJE SIĘ NA KRÓLA - brzmiał komentarz. Księżna wróciła do pałacu, wiedząc już, co powiedział książę Karol. Nie triumfowała, była

milcząca. Nic nie zjadła, nie napiła się herbaty. Poszła prosto do sypialni i zgasiła wszystkie światła. Z wyjątkiem jednego.

Szefowa.

Służba w Pałacu Kensington nie była łatwa. Nasze życie ograniczało się praktycznie do czterech ścian apartamentów 8 i 9. Podobnie jak w innych sferach - w rodzinie, małżeństwie, przyjaźni czy w interesach - szczęśliwe chwile przeplatały się z niezbyt radosnymi. Życie z księżną przypominało jazdę kolejką górską. Wzloty były wspaniałe, ale upadki bardzo dotkliwe. Wielu osobom jazda ta wydawała się zbyt szybka i chaotyczna; sprawiała wrażenie, jakby wymknęła się spod kontroli. Księżna jednak panowała nad wszystkim i bezlitośnie pozbywała się towarzyszy podróży, którzy przestali jej odpowiadać. Kluczem do pozostania u jej boku była odporność psychiczna; nie wolno było oceniać ani krytykować, należało brać tę złożoną, nie wolną od wad, ale kochającą i cudowną kobietę z całym dobrodziejstwem inwentarza.

Sytuacja tych, których księżna odsunęła od siebie, była trudna; w rezultacie zbyt skwapliwie rezygnowali z pracy, niektórzy wcześniej, niż ich o to poproszono. Inni z wielkim samozaparciem starali się trwać, ale mimo to otrzymywali wymówienie, bo ich intencje zostały źle zrozumiane. Kiedy odchodzili, ścisnęło się serce. Czasem przyjaźń z księżną kończyła się na zawsze wskutek nieporozumienia lub obmowy. Zbytne zbliżenie się do niej zawsze wiązało się z ryzykiem, bo rozstanie, dobrowolne lub nie, gdy się ją wcześniej znało i kochało, było bardzo bolesne.

Wiem, co mówię, bo moja żona przeżyła to na przełomie 1994 i 1995 roku. Jak pisałem wcześniej, Maria postanowiła przyjąć na rok stanowisko garderobianej; godziny pracy były jednak coraz dłuższe, a wymagania coraz większe. Maria nie chciała przez kolejny rok praktycznie nie widywać Alexandra i Nicka. Chłopcy byli przyzwyczajeni, że to ojciec bez przerwy pracuje, ale nie matka.

- Nie poddawaj się - prosiłem.

Wiedziałem, że jeśli Maria odejdzie, księżna uzna to za odepchnięcie. A Diana miała kompleks odepchnięcia. Uważała, że odepchnęli ją rodzice, którzy pragnęli chłopca, odepchnął księżę Karol, odepchnął brat, hrabia Spencer. Najśmieszniejsze, i najsmutniejsze, było to, że sama potrafiła bez litości odpychać innych. Nie pierwszy raz podczas mojej służby znalazłem się między młotem a kowadłem: między dwiema kobietami, na których mi zależało.

Kiedy moja żona oświadczyła księżnej, że odchodzi, bo chce więcej czasu spędzać z dziećmi, stchórzyłem. Nie potrafiłem wziąć na siebie roli mediatora. Ze strachu schowałem się w mysiej dziurze, licząc, że burza sama minie. Późnym wieczorem tego grudniowego dnia 1994 roku Maria zdała mi relację z rozmowy z księżną. Była załamana jej przebiegiem.

- Co? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam? - Księżna była wściekła. - Stawałam na głowie, żeby ci dogodzić, a ty tak mi odpłacasz?

Maria próbowała wyjaśnić, że umowa obowiązywała przez rok i dotrzymała jej, dzieci jednak są najważniejsze.

- Ale ona zmieszała mnie z błotem. Popłakałam się. Nazajutrz rano atmosfera przy śniadaniu była lodowata.

- Dzień dobry, Wasza Królewska Wysokość - powiedziałem, przynosząc kawę.

- Paul, czy możesz porozmawiać z żoną? - usłyszałem w odpowiedzi.

Liczyłem na jakiś wielki nagłówek w gazetach, który mógłby odwrócić uwagę księżnej, ale na próżno. Pokornie, z żalną miną, powiedziałem, że Maria już się zdecydowała; usiłowałem wyjaśnić księżnej naszą sytuację rodzinną i zapewniłem ją, że decyzja ta nie przyszła mojej żonie łatwo, ale jest przekonana, że będę pracował teraz za siebie i za nią. Księżna nie okazała zrozumienia. Przez cztery tygodnie wypowiedzenia nie odezwała się do Marii ani słowem. Służba pałacowa nazywała to „cichymi dniami”.

W 1995 roku w niełaskę popadli następni służący. Ze smutkiem zegnałem Mervyna Wycherleya, który opuszczał Pałac Kensington po dziewięciu miesiącach nierozmawiania z księżną. Powód jego dymisji był dla mnie tajemnicą. Mój kolega po fachu, Harold Brown, odszedł na własną prośbę - księżna również przestała z nim rozmawiać. Wylądował miękko, jako służący księżniczki

Małgorzaty, dzięki czemu nie stracił prawa do apartamentu numer 6. Po jego odejściu zostałem jedynym kamerdynerem. Liczba służących topniała, a księżna obdarzała mnie coraz większym zaufaniem.

Ale nawet i mnie nie ominęła krytyka. Najgorszy okres podczas mojej służby u księżnej przypadł na czas jej rozvodu, kiedy zmuszona była zacisnąć pasa. Uświadomiła sobie wtedy, ile kosztuje utrzymanie domu i chyba pierwszy raz zobaczyła rachunek telefoniczny pałacu. Dostała wydruk z wyszczególnieniem wszystkich połączeń i poprosiła służących o wpisanie swoich nazwisk przy osobistych telefonach, które wykonali. Mój udział wyniósł około 300 funtów. Wypisałem czek i sądziłem, że sprawa jest zamknięta. Myliłem się.

Moje częste telefony najwyraźniej zabolowały księżną. Kiedy wręczyłem jej czek, zapytała, skąd tak wysoki rachunek. Popełniłem błąd, mówiąc jej prawdę.

- Bardzo dużo pracuję, więc nie widzę nic złego w tym, że dzwonię do rodziny. Pracuję prawie szesnaście godzin na dobę, Wasza Królewska Wysokość.

Księżna uznała niesłusznie, że się skarżę. Przez następne dwa tygodnie nie dostrzegła mnie i nie odzywała się do mnie. Było to dla mnie bardzo trudne do zniesienia. Czułem się odrażony, pozbawiony jej przyjaźni, osamotniony.

Doszło do tego, że musiałem zostawiać w pokojach kartki z informacjami; księżna odpisywała mi na kartkach.

Idiotyzm tej sytuacji wyszedł na jaw, gdy pewna ważna informacja nie dotarła do księżnej.

Zażądała wyjaśnień:

- Dlaczego nie mogłeś mi po prostu powiedzieć, Paul, zamiast zapisywać?

- Wasza Królewska Wysokość! - zawołałem z rozpaczą. - W jaki sposób? Przecież Wasza Królewska Wysokość ze mną nie rozmawia!

Wyglądało, że uznaje ten argument, więc ciągnąłem dalej:

- W takich warunkach nie mogę właściwie wykonywać swoich obowiązków. Nie wiem, co złego zrobiłem, ale proszę mi pozwolić normalnie pracować - we własnym interesie.

Lody zostały przełamane. Wróciłem do łask i wielki kamień spadł mi z serca. Od tej chwili bardzo uważałem, żeby nie używać za często pałacowego telefonu.

POWRÓT DO ŁASK-głosił tytuł w „Daily Mirror”. W grudniu 1994 roku rodzina królewska zaprosiła księżną na święta Bożego Narodzenia do Sandringham House. Między Pałacem Kensington a Pałacem Buckingham nastąpiło odprężenie. Prasa przypuszczała niesłusznie, że zaproszenie przekazał prywatny sekretarz królowej i szwagier księżnej, sir Robert Fellowes.

Prawda była inna. W odręcznym liście królowa pisała, że zarówno ona, jak książę Edynburga chcieliby, aby księżna spędziła Wigilię z nimi oraz z księciem Karolem, Williamem i Harrym.

Przyzwyczailem się do widoku listów od znanych osób: od królowej, księcia Edynburga, premiera Johna Majora, Eltona Johna i wielu innych, włącznie z rodziną księżnej. Na własne oczy widziałem jej testament i dokumenty rozwodowe, których nie pokazała nawet swojemu prywatnemu sekretarzowi, Patrickowi Jephsonowi. Ale nie tylko ja miałem wgląd do jej korespondencji. W sprawie treści swoich przemówień i listów księżna zasięgała również rady dziennikarza Richarda Kaya. Nasze „sesje korespondencyjne” odbywały się albo na schodach, albo w salonie. Oficjalne listy, napisane przez Patricka Jephsona, otrzymywała do przejrzenia w specjalnej teczce. Wołała mnie wtedy ze szczytu schodów, po czym spotykaliśmy się w połowie i siadaliśmy na stopniu. Ona na jednym, ja na drugim.

- Co o tym sądzisz? - pytała albo wykrzykiwała:

- Rzuć okiem na to!

Czasem też zostawiała list na biurku w pokoju kredensowym z dołączoną adnotacją: „Czekam na twoje uwagi”.

Pewnego razu pokazała mi listy od księcia Edynburga i brata, hrabiego Spencera. Z czasem zaczęła pisywać do mnie listy, w których dzieliła się ze mną swoimi myślami. W końcu wtajemniczyła mnie w treść najbardziej poufnych listów i pozwalała przysłuchiwać się najbardziej intymnym rozmowom telefonicznym. Dzięki temu wiem, że aż do dnia swojej śmierci była z królową w bliskim kontakcie i w znakomitych stosunkach. Znam też z pierwszej ręki jej myśli, lęki i koszmary,

które przeżywała.

Przyjąwszy zaproszenie na święta Bożego Narodzenia, księżna musiała kupić prezenty dla członków rodziny królewskiej. Wysyłała mnie więc do Kensington, Knightsbridge i Mayfair po podarki gwiazdkowe dla bliskich, przyjaciół i personelu. Hojność księżnej nie znała granic, za jej zgodą wydawałem na prezenty tysiące funtów. Znając królową, kupowałem dla niej rzeczy praktyczne - kaszmirowy kardigan, szal firmy Hermes albo szkocki dywanik; dla księcia Edynburga pudełko nabożów, stółek myśliwski albo piersiówkę. Godzinami pakowałem prezenty, księżna pisała potem osobisty liścik do każdego obdarowanego. Lubiła okres przedświąteczny, choć same święta uważała za „nieco ponure”.

Gdybym na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem nie ubrał choinki, księżna pierwsza zwróciłaby mi na to uwagę. Co roku zamawiałem pięćipółmetrowy norweski świerk z posiadłości w Windsorze, który ustawiałem na podeście schodów między pierwszym a drugim piętrzem. Dekorowałem go dziesięcioma kompletami białych lampek, kryształowymi i szklanymi ozdobami; z każdej gałęzi zwieszał się biały bawełniany sopel, a całość wieńczyła srebrna gwiazda. Na drugim piętrze stała mniejsza choinka dla dzieci. William i Harry ubierali ją wykonanymi w szkole ozdobami.

W naszym domu Boże Narodzenie było pełne magicznego uroku. Choinka, udekorowana na czerwono, zielono i złoto, stała w rogu salonu. Przebierałem się za Świętego Mikołaja i zgodnie z ustalonym obrządkiem wręczałem synom prezenty. Nie poznawali mnie (dopóki nie wypatrzyli w szopie wysokich czarnych butów, będących częścią mojego przebrania). Nick, który miał wówczas sześć lat i chciał być w centrum zainteresowania, robił gwiazdę gimnastyczną i krzyczał: - Zobaczcie, zobaczcie! - Te wspaniałe chwile dawały mi i Marii oraz naszemu stałemu gościowi wigilijnemu, matce Marii, wiele radości.

Wiedziałem jednak, że po południu pierwszego dnia świąt księżna będzie z powrotem w pałacu, i to sama, chłopcy bowiem zostawali w Sandringham House. Czekałem na nią w drzwiach, bo nie chciałem, aby w taki dzień wracała do pustego domu.

- Nie możesz tu tak sama siedzieć w Boże Narodzenie. Przyjdź do nas - namawiałem.

- Nie, Paul. Nie będę wam psuć Bożego Narodzenia. To rodzinne święta. Nic mi nie będzie.

W każde świąteczne popołudnie siadała przy biurku, wyjmowała pióro i kałamarz i pisała podziękowania za prezenty. Wcześniej jednak, przed odejściem, dostawałem od niej świąteczne życzenia. „Paulowi, Szczęśliwych Świąt Bożego Narodzenia życzy Diana”. Potem adresowała pierwszą kopertę i pisała pierwszy list: do Jej Królewskiej Mości, Sandringham House, Norfolk. Wracałem do domu z ociąganiem.

- Gdybyś czegoś sobie życzyła, zadzwoń - prosiłem.

Notes księżnej był pełen nazwisk ludzi ze wszystkich sfer. Kiedy poznawała jakąś osobę, zachowywała się tak, jakby znała ją od wieków. Prasa rozpisywała się o „kręgu wtajemniczonych” księżnej. Miała wielu znajomych, ale grono naprawdę bliskich jej osób było bardzo nieliczne.

Najlepszą przyjaciółką i powiernicą księżnej była Lucia Flecha de Lima, którą traktowała jak matkę. Choć męża Lucii, Paula, przeniesiono

z Londynu do Waszyngtonu, nie miało to wpływu na ich przyjaźń. Aby porozmawiać z księżną, która zaczynała właśnie swój dzień, Lucia nastawiała budzik na trzecią rano. Jeśli Diana potrzebowała rady lub pocieszenia, dzwoniła do Lucii. Przesyłałem faksem do Waszyngtonu nie kończący się strumień listów i wiadomości. Przyjaźń z księżną wymagała dyspozycyjności przez okrągłą dobę i Lucia godziła się na to.

- Nie poradziłabym sobie bez niej. Jest wspaniała. Jest dla mnie jak matka - powtarzała często księżna. W sierpniu 1994 roku pojechała do Waszyngtonu. W maju 1995 roku Lucia przyjechała do Londynu. Boże Narodzenie 1996 roku spędziły razem. Mimo oddalenia i różnicy czasu ich przyjaźń była coraz mocniejsza.

W Londynie zastępczą rodzinę księżnej tworzyli: Rosa Monckton, Susie Kassem, lady Annabel Goldsmith, Richard Kay i dr Mary Loveday. Podobnie jak ja, osoby te wiedziały o wszystkim, co dotyczyło księżnej, w zamian za bezwarunkową lojalność. Rozumieli ją lepiej niż ktokolwiek inny i kochali taką, jaką była.

Obecność księżnej Yorku była dla Diany jak dawka adrenaliny. Pełna energii Sarah miała, podobnie jak jej przyjaciółka, twardy charakter; często dzwoniły do siebie, podnosząc się na duchu i wspierając.

Siadywały w salonie i toczyły poważne rozmowy albo śmiały się, porównując rany, jakie odniosły na królewskim dworze. Za pośrednictwem Diany zdobyłem zaufanie księżnej Yorku i zaprzyjaźniliśmy się. Nawet wiedząc, że szefowej nie ma w domu, księżna Yorku dzwoniła do pałacu i mówiła wesoło: - Cześć Paul, tu księżna.

Podobnie jak Diana, Sarah nie rozumiała, co kieruje ludźmi, którzy ją obmawiają.

- Dlaczego mówią ciągle takie straszne rzeczy o mnie? Nie wiem, czego ode mnie chcą - mawiała. Tak jak Diana, wierzyła w karmę i wędrówkę dusz.

Słuchałem jej zwierzeń, tak jak zwierzeń księżnej Walii, i bardzo jej współczułem. - Pamiętaj, co mówi szefowa - radziłem - bądź dla ludzi miła i nigdy nie daj im poznać, że cię nużą.

Rozmowy te, prowadzone przez telefon albo w pałacu, przypominam sobie za każdym razem, gdy patrzę na zdjęcie księżnej Yorku, które przysłała mi pod koniec 1994 roku; jest na nim ze swymi córeczkami, Beatrice i Eugenie. U dołu znajduje się dedykacja: Kochani Paul i Mario, dziękuję wam za niezwykłą życzliwość i wsparcie. Słowa nie wyrażą wszystkiego, ale dziękuję wam. Z najlepszymi życzeniami - Sarah.

Jeśli chodzi o ludzi spoza kręgu jej najbliższych przyjaciół, księżna doskonale wiedziała, co mówić, a czego nie mówić temu czy innemu znajomemu. Każdy z nich dysponował jakąś specjalną wiedzą lub doświadczeniami i księżna liczyła, że udzieli jej mądrej rady. Szufładkowała swoich znajomych i zwykle spotykała się z nimi sam na sam. Byli dla niej niczym różne pudełka; wiedziałem, które pudełko otwiera, dlaczego je otwiera i na ile liczy się ono w jej życiu. Stałem się jej zaufanym posłańcem. Kiedy księżnej nie było w domu, mogłem zajrzeć do jej notesu, odnaleźć nazwisko i dzwonić pod zapisany tam numer telefonu.

W 1995 roku, po odejściu Harolda Browna z Pałacu Kensington, stałem się osobistym asystentem, posłańcem, kierowcą, gońcem i powiernikiem księżnej. Zastępowałem szofera, specjalistę od public relations albo prywatnego sekretarza, gdy księżna nie chciała, aby ci profesjonaliści poznali jakiegось jej przyjaciela czy przesyłaną wiadomość.

- Paul, czekaj teraz przy faksie i nie odchodź, dopóki wszystko nie przyjdzie. - Byłem w pokoju kredensowym, a głos księżnej dobiegał z pierwszego piętra.

W tym samym roku księżna powierzyła mi swoją korespondencję, od oficjalnej po najbardziej poufną. Zaczęła ukrywać informacje przed Patrickiem Jephsonem i odbierać faksy, które dotąd przychodziły do jego biura w Pałacu Św. Jakuba. Doszły ją słuchy, że Jephson jest coraz bardziej niezadowolony z pracy u niej i rozgląda się za inną posadą. Zażądała wyjaśnień, ale to, co usłyszała, nie przekonało jej, że Jephson zamierza zostać w Pałacu Kensington. Była ostrożna i stworzyła dystans, który nigdy już nie zniknął.

- Jak mogę relacjonować mu bardzo poufne rozmowy dotyczące mojego małżeństwa i przyszłości, jeśli nie wiem nawet, jak długo będzie u mnie pracował? - pytała. W salonie zainstalowano faks do osobistego użytku księżnej. Stał na dywanie pod jej biurkiem, schowany za kanapą. Zdarzało się teraz, że wchodziłem do salonu i nie zastawałem nikogo.

- Wasza Królewska Wysokość? - wołałem i skręcałem do pokoju dziennego.

- Tutaj - dolatywał głos nie wiadomo skąd. Księżna klęczała pod biurkiem i daremnie usiłowała nadać faks. Technika, podobnie jak gotowanie, nie była jej mocną stroną.

- To jest do niczego, ja jestem do niczego! - Śmiała się z siebie. Po kilku tygodniach takiej szarpaniny księżna dała za wygraną i zaczęła

korzystać z mojego faksu, który stał w pokoju kredensowym. Wręczała

mi poufne dokumenty do wysłania i kazała odbierać odpowiedzi. Przesyłała osobistą

korespondencję za granicę faksem, aby natychmiast dotarła do adresata; droga pocztowa zabierała zbyt dużo czasu.

Pewnego razu księżna uznała, że nie może zaufać ani poczcie, ani faksowi.

- Paul, chciałabym, żebyś doręczył ten list do rąk własnych - powiedziała. Spojrzałem na

zapięczętowaną kopertę. Nazwisko brzmiało znajomo, podobnie jak adres - zagraniczny.

Nie mogłem ukryć zaskoczenia.

- Wiem, że to daleko, ale to dla mnie bardzo ważne.

- Zrobione - zapewniłem. Kiedy księżna wyjechała za granicę, wsiałem do samolotu i zawiozłem list osobie, która miała napisać odpowiedź. Po dwóch dniach, jeszcze przed powrotem księżnej, byłem z powrotem w pałacu.

- Misja wykonana - zameldowałem.

W styczniu 1995 roku opinia publiczna wciąż roztrząsała sprawę romansu księcia Karola z Camillą Parker Bowles. Plotki nasiliły się, kiedy 11 stycznia ogłoszono rozwód Camilli z brygadierem Andrew Parkerem Bowlesem. Nastąpił on po dwuletniej separacji. Jednakże to Tiggy Legge-Bourke, asystentka księcia Walii, budziła teraz największe zaniepokojenie księżnej. Nawet prasa zaczęła się nią interesować, co wzmagало podejrzliwość Diany.

POCAŁUNEK głosił tytuł na pierwszej stronie „Daily Mirror”. Zdjęcia przedstawiały księcia Karola jeżdżącego na nartach z przyjaciółmi, między innymi Tiggy Legge-Bourke. Na jednym z nich księżę, w czerwonej czapce z pomponem, obejmował i całował przyjaciółkę „z wyraźną czułością”. Prywatny sekretarz księcia, Richard Aylard, bagatelizował sprawę: - To, że całuje ją w policzek, jest zupełnie zrozumiałe, to rzecz całkowicie zwyczajna.

Księżna była innego zdania. Uważała, że stosunki między księciem a jego asystentką o wiele za szybko przekroczyły granicę zażyłości. Była tak zaniepokojona, że romans z Camillą Parker Bowles uznała za sprawę przebrzmiałą. Wciąż była żoną księcia Walii, tymczasem wokół jej męża kręciły się dwie kobiety. Czuli się zagrożone.

Kiedy 6 czerwca 1995 roku otrzymałem życzenia i prezenty na swoje trzydzieste siódme urodziny, postanowiłem zrobić prezent mojej mamie. Chciałem, żeby miała jakiś drobiazg na pamiątkę moich urodzin.

Centrum ogrodniczemu w Derbyshire kazałem dostarczyć do Grassmoor kamienną donicę z kwiatami. Przez telefon podyktowałem kilka ciepłych słów, które zapisano na kartce i dołączono do przesyłki.

Otwierając drzwi, mama jak zwykle miała na sobie fartuch.

- Kochany, chyba pomylił pan domy. Nie mam dzisiaj urodzin - powiedziała posłańcowi, jak relacjonował mi później ojciec.

Mama przeczytała mój liścik i bardzo się wzruszyła. Nieczęsto dostawała kwiaty, a ode mnie, z okazji moich urodzin, nie otrzymała ich dotąd nigdy. Kiedy tego popołudnia usłyszałem w słuchawce, jak cieszy się przez łzy, przyrzekłem sobie, że będę tak robił co rok. Dwa tygodnie później rodzice przyjechali do nas do Londynu, aby przenocować przed odlotem na wymarzone wakacje do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Nazajutrz rano odwiozłem ich na lotnisko Heathrow. Kiedy o drugiej w nocy 15 czerwca zadzwonił telefon, podświadomość powiedziała mi, że to księżna, która przebywała akurat w Rosji. Tylko ona mogła dzwonić o tak nieludzkiej porze. Maria odebrała telefon. Po chwili usłyszałem jej szloch.

- Jak mam mu to powiedzieć? Jak mam mu to powiedzieć? Księżna! Co się stało? Wskoczyłem z łóżka i wpadłem do salonu, gdzie Maria wciąż rozmawiała przez telefon.

Dzwonił mój brat Graham. Mama zasłała na ulicy w Ottawie i zmarła na miejscu na rozległy zawał serca. Miała pięćdziesiąt dziewięć lat.

Nazajutrz rano zadzwoniła księżna. Chciała się dowiedzieć, co słyhać w pałacu. Planowała wrócić za dwa dni, w sobotę, na weekend z Willia-mem i Harrym. Gdy usłyszałem jej głos w słuchawce, rozplakałem się.

- Co się stało, Paul? - spytała zaniepokojona.

Wyjaśniłem, że mama dostała zawału, choć przed wyjazdem wydawała się taka zdrowa. Potem opowiedziałem, że biedny tata, zagubiony w obcym kraju, usiłuje załatwić przewóz ciała mamy do Anglii.

- Zostaw to mnie, Paul. Zaraz się tym zajmujemy.

Jeden telefon księżnej Walii do biura brytyjskiej Wysokiej Komisji w Kanadzie wystarczył, aby

załatwić wszelkie formalności związane ze śmiercią obywatela brytyjskiego za granicą. Mimo napiętego programu swojej rosyjskiej wizyty księżna zadzwoniła nawet do taty, do hotelu w Ottawie. Rozmawiała z nim prawie pół godziny, pocieszając i uspokajając, że ktoś z Wysokiej Komisji będzie z nim przez cały czas, że procedura związana z przetransportowaniem ciała jest w toku, a lot powrotny został już opłacony.

- Chciałabym, żeby po powrocie przyjechał pan z synami do Londynu. Chciałabym się z wami spotkać.

Zaraz po powrocie księżnej przyszedłem do niej do salonu. Usiadłem na kanapie, zacząłem płakać i przepraszać, a ona usiadła obok i objęła mnie. Wiedziałem, jak dobra, silna i pełna współczucia potrafi być wobec innych ludzi; teraz ja korzystałem z troskliwości tej wspaniałej kobiety, która przez tyle lat niosła pociechę tak wielu obcym ludziom.

Mówiła o losie, sensie życia, sensie śmierci, swoich duchowych przekonaniach, ostatnich chwilach swojego przyjaciela Adriana Ward-Jack-sona, kiedy stała się świadkiem „wędrowki jego duszy”.

- Paul, dusza nie ginie po śmierci. Twoja mama jest wciąż z nami. Wierz w to. Jesteś silny. Musisz być silny - mówiła.

Następnego dnia wypadła Dzień Ojca. Tata oraz moi bracia, Graham i Anthony, przyjechali na ten smutny weekend do Londynu. Ciało mamy było wciąż w Kanadzie i miało wrócić do kraju nazajutrz.

Spotkaliśmy się z księżną przy szlabanie policyjnym przed pałacem. Miała na sobie bluzę od dresu, purpurowe szorty i adidasy; William i Harry zostali w domu. Księżna po kolei objęła ojca i braci. Potem, ujmując ojca pod rękę, powiedziała: - Chodźmy się przejść.

Tata i księżna szli przodem, a my, trzeciej bracia, tuż za nimi. Poszliśmy do Kensington Gardens, szeroką promenadą biegnącą środkiem parku ku Bayswater Road, potem skręciliśmy w prawo do ogrodów włoskich, dalej przez Hyde Park, obok Serpentine Gallery, w stronę pomnika Alberta, i z powrotem do pałacu. Spacerowaliśmy i rozmawialiśmy, całą piątką, przez trzy kwadransy.

Bez czapki bejsbolowej księżna była z daleka rozpoznawalna. Kiedy jakiś przechodzień próbował zrobić jej zdjęcie, wyciągnęła rękę i grzecznie poprosiła:

- Tylko bez zdjęć, proszę.

Mimo żaloby tata martwił się, że księżna naraża się przez nas na zaczepki.

- Nie musi pani tego robić. Zwraca pani na siebie uwagę. Powinniśmy chyba wrócić do pałacu - radził.

- Graham, z pańskimi barczystymi synami chyba nic mi nie grozi. - Jedyne raz podczas całego weekendu tata się uśmiechnął.

Wróciliśmy do oranżerii obok pałacu.

- Jeśli mogłabym w czymś pomóc, Graham, niech pan tylko da znać Paulowi.

Ostatni raz objęła wszystkich i zniknęła za drzwiami w ceglany murze. Tata nie miał słów podziwu dla jej życzliwości i troskliwości.

Wieczorem wyszedł na dwór i usiadł na ławce stojącej na trawniku przed Starymi Koszarami.

Szukał samotności. Wyjrzałem z okna salonu na pierwszym piętrze i zobaczyłem jego zgarbione plecy. A obok niego znów siedziała księżna. Wracła samochodem do pałacu i zobaczyła go z podjazdu. Zatrzymała się i przez trawnik podeszła do ławki. Patrzyłem na nich, rozmyślając, jak dziwny jest widok mojego ojca i księżnej, siedzących razem. Widziałem, jak jego głowa porusza się w trakcie mówienia; ocierał łzy chusteczką. Potem wybuchnął płaczem i oparł głowę na ramieniu księżnej.

Ciało mamy przewieziono do kraju w poniedziałek. Pochowaliśmy ją jeszcze w tym samym tygodniu. W przeddzień pogrzebu jej trumna została wystawiona w kościele w Hasland, gdzie kiedyś przyjęła chrzest, potem wzięła ślub i gdzie odbył się pogrzeb babci i dziadka Kirków. Wypełniliśmy kościół białymi kwiatami wszystkich gatunków, zapaliliśmy świece. Potem każdy z nas pozostał przez chwilę sam na sam ze zmarłą. Położyłem rękę na lakierowanym drewnianym wieku trumny, skłoniłem głowę i zamknąłem oczy. W pamięci brzmiały mi słowa księżnej: „Twoja mama jest wciąż z nami”.

Podczas pogrzebu trumny nie było widać spod góry kwiatów. Kiedy krewni i przyjaciele się

rozeszli, ja i Graham zostaliśmy przy grobie. To wtedy brat ujawnił mi sekret mamy: jej decyzję spalenia listu z ofertą pracy dla mnie od firmy Cunard.

Wróciliśmy do domu przy Chapel Road 47. Na krześle przy kominku leżała jej torebka i niedokończona robótka na drutach.

Kiedy tata włączył czajnik, a moi bracia, bratowe, bratanice i bratankowie kręcili się po domu, usiadłem i otworzyłem torebkę mamy. W środku znalazłem tylko puderniczkę z obrazkiem jachtu królewskiego Britannia na wieczku, prezent z czasów, gdy służyłem królowej, szminkę i sfatygowaną czerwoną portmonetkę, która jak zwykle nie zawierała ani pensa. Była też złożona kartka, którą wysłałem wraz z kwiatami w dniu swoich urodzin: Mamo, przyjmij je w nagrodę za ból, który musiałaś przecierpieć, aby 37 lat temu wydać mnie na świat. Kocham cię - twój najstarszy syn, PaulX.

Rodzina wiele znaczyła dla księżnej, ale niestety jej rodzina nie była ze sobą specjalnie zżyta. Siostra, lady Sarah McCorquodale, często przyjeżdżała w odwiedziny z Lincolnshire. Ze wszystkich Spencerów księżną łączyły z nią najbliższe więzi. Matka, Frances Shand Kydd, mieszkała na dalekiej szkockiej wyspie Seil, choć odwiedzała córkę przy każdej okazji. Księżna widywała swoją macochę, Raine Spencer, częściej niż własną matkę i przynajmniej raz w tygodniu jadła z nią lunch, czasem w restauracji Cecconi niedaleko Bond Street, ponieważ był to ulubiony lokal jej nieżyjącego ojca.

Ale mimo stałego strumienia gości przewijających się przez Pałac Kensington późne popołudnia i wczesne wieczory księżna zwykle spędzała sama. Kiedy William i Harry przebywali w szkole lub w Highgrove, w pałacu robiło się pusto.

- Nie cierpię ciszy w tym domu - mówiła księżna w sobotni rano, czytając „Vogue” albo „Harpers & Queen”. Muzyka rozpraszała ciszę, ale księżna tęskniła za fizyczną obecnością „małych ludzików”, jak nazywała dzieci.

- Paul, zadzwoń do synów i poproś, żeby przyszli.

Odgłosy stóp dzieci biegających po mieszkaniu, ich wesołe okrzyki, taśma wideo odtwarzana z magnetowidu, dźwięki z PlayStation Harry'ego - wszystko to pomagało księżnej znieść samotność. Alexander i Nick mogli robić w pałacu, co chcieli, nie wiedząc, że dzięki nim księżna czuje się szczęśliwsza.

- Chcielibyście coś zjeść? - pytała, zaglądając do salonu swoich synów. Potem szła do kuchni i prosiła Darrena McGrady'ego, aby nakarmił dwóch małych głodomorów tym, co zwykle - hamburgerami i frytkami.

Alexander i Nick przepadali za Pałacem Kensington. Biegli po podjeździe, ścigając się do tylnych drzwi, wpadali do pokoju kredensowego, a potem pędzili schodami do księżnej, która zazwyczaj rozmawiała wtedy przez telefon.

- Cześć, księżno.

- Cześć, księżno.

To chóralne powitanie wracało echem do mnie, do pokoju kredensowego.

Po każdej wizycie wracali do domu pełni wrażeń. Tu czekała na nich matka, będąca wciąż w niełasce u księżnej. Odwiedziny w pałacu cieszyły chłopców, ale bolały Marię.

- Omotała cię, a teraz chce omotać chłopców! - wykrzyknęła któregoś wieczoru.

Na domiar złego pewnej niedzieli Nick, z dziecięcą naiwnością, zapytał matkę:

- Dlaczego nie pracujesz już u księżnej, mamo? Dlaczego jej nie lubisz?

- Paul, cokolwiek ona mówi, to się musi skończyć. Dlaczego Nick zadaje mi takie pytania? - oburzała się Maria. Czuję się tak, jakbym się znalazł między byłą żoną a obecną przyjaciółką, które nie przepadają za sobą. Ale jeszcze tego lata Alexander i Nick przyczynili się do pojednania starych przyjaciółek.

Podczas jednej z wizyt w pałacu Nick, mając na myśli matkę, powiedział:

- Ona też chciałaby tu być, księżno.

Tego wieczoru wcześniej skończyłem służbę. Zadzwoił telefon i Maria odebrała. Mówiła księżna.

Wbrew dotychczasowemu zwyczajowi nie poprosiła mnie natychmiast do telefonu. Wdała się w rozmowę z Marią i po chwili obie rozmawiały tak, jakby nic się nie stało. Maria wróciła do łask. Była jedną z niewielu osób, które miały to szczęście.

Księżna, chcąc zemścić się na księciu za publiczne przyznanie się do cudzołóstwa, rozpoczęła kampanię pozyskiwania mediów. Zapraszała na lunchy do pałacu redaktorów naczelnych gazet i felietonistów. Chciała, aby dziennikarze lepiej ją rozumieli. Ze swej strony starała się dowiedzieć, co ich interesuje, co wiedzą i dlaczego przyjmują w swoich artykułach określony punkt widzenia. - Jeśli Pałac Buckingham dowie się o tym, biuro prasowe jak zwykle wpadnie w panikę! - śmiała się.

Wielcy, dobrzy i niezbyt wybitni dziennikarze przekraczali próg apartamentu numer 8 z wyraźnymi obawami - bez względu na to, jak pewni siebie byliby w swoich redakcjach. Przez tyle lat księżna była dla nich tylko urzekającym wizerunkiem, który pomagał im zwiększać nakład ich gazet. Teraz musieli stanąć z nią oko w oko na jej terenie. Księżna była w wybornej formie. Po każdej wizycie zaśmiewaliśmy się do łez.

- Jak zabawnie jest się przekonać, że przygotowam o drżenie tak potężne osoby - mówiła rozbawiona. - Jakie to miłe!

Jedna po drugiej w pałacu zjawiały się dziennikarskie znakomitości: Charles Moore, redaktor „Daily Telegraph”, Paul Dacre, redaktor „Daily Mail”, Piers Morgan, redaktor „Daily Mirror”, Stuart Higgins, redaktor „Sun”, Lynda Lee-Potter, felietonistka „Daily Mail”, a nawet korespondentka BBC z Pałacu Buckingham, Jennie Bond. Umawialiśmy się wcześniej z księżną, za każdym razem ubraną olśniewająco, że będę stać w drzwiach jadalni. Porozumiewaliśmy się za pomocą umownych znaków, które stosowaliśmy z powodzeniem od lat. Jedno ukradkowe spojrzenie niebieskich oczu spod uniesionych brwi oznaczało, że mam szybciej podać trzy dania, z których składał się lunch. Pewien gość, sława telewizyjna, a zarazem felietonista piszący o sprawach nie związanych z dworem, zjadł najszybszy lunch w historii. Wszystko, od powitania do pożegnania, trwało zaledwie 40 minut. Nigdy go więcej nie widziałem.

- O mało nie zapadłam w śpiączkę z nudów, Paul. Był taki nudny! - Księżna rozczarowała się, bo wyobrażała go sobie zupełnie inaczej.

Redaktorzy i felietoniści korzystali z okazji, aby rozmawiać z księżną w cztery oczy. Diana była znakomitym dyplomatą. Kiedy Stuart Higgins z gazety „Sun” zapytał ją, co myśli o Camilli Parker Bowles, odpowiedziała:

- Cóż, właściwie to mi jej żal.

Dziennikarz oczekiwał potoku szyderstw i pretensji, o mało więc nie spadł z krzesła. Księżna dodała jeszcze:

- Ta kobieta straciła niemal wszystko i co właściwie zyskała? Kiedy Piers Morgan z „Daily Mirror” wyskoczył z pytaniem:

- Czy sądzi pani, że Karol zostanie królem? Księżna odparła:

- Cóż, tak uważa, ale moim zdaniem byłby szczęśliwszy, mieszkając w Prowansji albo w Toskanii.

Do przyjacielskiej rozmowy z redaktorem „Daily Mirror” przyłączył się William. Siedział obok matki i przysłuchiwał się wszystkiemu uważnie, wykazując wyjątkową jak na swój wiek dojrzałość. Piers Morgan zwrócił się do niego:

- Co myślisz o dziennikarzach?

William spojrzał na matkę, która skinęła głową przyzwalająco.

- Są w porządku. Zacząłem ich rozpoznawać i wiem już, gdzie będą czekać, więc wiem, jak ich unikać. Drażnią mnie nie dziennikarze brytyjscy, ale fotoreporterzy z Europy. Wysiadują nad rzeką w Eton, patrzą, jak wiosłuję, i czyhają na to, że wpadnę do wody!

Jennie Bond z BBC była jedynym gościem, który skorzystał z hojności księżnej. Prowadzony przez nią wywiad przerodził się w rozmowę między dwiema kobietami: elegancką dziennikarką i najlepiej ubraną kobietą na świecie. Jennie zwróciła uwagę, że rajstopy księżnej mają niesamowity połysk. Jeszcze tego samego dnia na polecenie księżnej zapakowałem sześć par rajstop i przesłałem je dziennikarce z załączonym liścikiem. Podczas lunchu księżna doradziła również Jennie, jakie

kolory należy nosić w telewizji. Innym razem zabiegi księżnej w celu pozyskania mediów obróciły się przeciwko niej, dostarczając argumentów jej najzagorzalszym krytykom. Sfotografowano ją podczas tajnego spotkania z reporterem „Daily Mail”, Richardem Kayem, w samochodzie stojącym w bocznej uliczce. Burza, którą się potem rozpętała, była szczytem hipokryzji. Księżna od dawna była atakowana przez urzędników dworskich lub złośliwych przyjaciół księcia Karola. Starła się więc odpowiadać na te ataki, osobiście wpływając na swój publiczny wizerunek przez zaufanego dziennikarza. Robiła dokładnie to samo, co zespół rzeczników prasowych premiera Tony'ego Blaira i były asystent prasowy księcia Karola, Mark Bolland, który kokietując media po śmierci księżnej, usiłował przekonać opinię publiczną do Camilli Parker Bowles. Biura prasowe w Pałacu Buckingham i Pałacu Św. Jakuba bolało to, że księżna uprzedziła je - i wygrywała walkę.

Kiedy samochód minął rondo Shepherd's Bush i wjechał na Bayswater Road na północ od Pałacu Kensington, pasażer o rozbieganych oczach teatralnym ruchem położył się na tylnym siedzeniu i naciągnął na siebie zielony kraciasty koc. Skupiony na prowadzeniu samochodu, wzniosłem tylko oczy ku niebu. Nie pierwszy raz miałem zadanie przywieźć kogoś do pałacu tak, aby nie zauważyła go policja, ale mojego obecnego pasażera wyraźnie bawiła ta tajna operacja.

Włączyłem kierunkowskaz i skręciłem w prawo, mijając ambasady. Z zewnątrz wyglądało, jakbym był sam w samochodzie i jak zwykle jechał do pracy.

- Gdzie jesteśmy? Czy minęliśmy już posterunek policji? - spytał stłumiony głos spod koca.

- Nie. Proszę nie wychodzić. Powiem, kiedy będziemy na miejscu - rzuciłem niecierpliwie.

Kiedy zahamowałem przed policyjnym szlabanem, umundurowany wartownik rozpoznał mnie i dał znak, żebym jechał.

- Niesamowite, że nigdy cię nie zatrzymali - usłyszałem znowu. Wjechałem na dziedziniec i zaparkowałem przy tajnym wejściu do apartamentu 9.

- Wierzyć się nie chce, że tak łatwo poszło! - wykrzyknął mój pasażer, odrzucając koc i wysiadając z samochodu. Martin Bashir wyglądał pomiętą marynarkę, wziął teczkę i ruszył za mną.

Weszliśmy na pierwsze piętro, minęliśmy sypialnię księżnej i wkroczyliśmy do salonu dziecięcego, w którym czekała. Był środek lata 1995 roku. Trwały przygotowania do nagrania wywiadu z księżną dla programu Panorama stacji BBC.

Nie miałem wówczas pojęcia, co się szykuje. Tajemnicę znali tylko Bashir i księżna. Ale przywykłem już do potajemnego przywożenia dziennikarza BBC do Pałacu Kensington.

Podczas tych misji korzystałem albo ze swojej niebieskiej astry albo granatowego bmw księżnej.

- Zaleta bmw polega na tym, że świetnie wtapia się w londyński ruch uliczny - mówiła zawsze księżna.

Instrukcje były proste. Zaparkować pod białym budynkiem biurowym, stojącym obok ośrodka telewizyjnego BBC, czekać na parkingu, aż Martin Bashir wyjdzie i wsiadzie tylnymi drzwiami z lewej strony. Podjeżdżając do pałacu, „trzymać go w ukryciu”. Stałem się specjalistą od ukrywania osób na tylnym siedzeniu samochodu, osób znacznie ważniejszych niż Bashir, które zachowywały się dużo spokojniej od niego. Po dostarczeniu pasażera księżnej moja misja była na razie zakończona, wróciłem więc do pokoju kredensowego. Czekałem na znak, że mam go odwieźć z powrotem.

- Paul, jesteś tam?

- Tak. Czy jest już gotów do drogi?

- Panie Bashir, pański szofer czeka - uśmiechnęła się księżna.

Podczas tych wizyt nie padło ani słowo o przygotowywanym wywiadzie. Była to jedyna tajemnica, którą księżna nie podzieliła się ze mną. Zdradziła mi ją dopiero po wszystkim. Bashir był człowiekiem przebiegłym i udało mu się nakłonić księżną do udzielenia bardzo szczerego wywiadu. Księżna instynktownie chciała mu ufać. „Wziął” ją na litość: zwierzał się, że ostatnio życie mu się nie układa, mówił o swoim małżeństwie i stresach. Opowiadała mi później: - Nie miał łatwego życia. Lubiłam z nim rozmawiać. - Myślę, że przekonała samą siebie, że Bashir jest jej przyjacielem.

Księżna nie wiedziała, że Bashir dzwonił do mnie, żeby wyciągnąć poufne informacje. Bashir zaś nie miał pojęcia, że w trakcie jednego z jego telefonów księżna stała obok mnie w pokoju kredensowym. Było to jakiś czas po emisji wywiadu.

Jak zwykle starałem się go zbyć, a księżna, poruszając bezgłośnie ustami, zapytała:

-Kto to?

Zakrywszy słuchawkę, odpowiedziałem w ten sam sposób:

- Martin Bashir.

- Daj to na głośnik - pokazała na guzik w telefonie. Wcisnąłem go i po chwili w pomieszczeniu rozległ się arogancki głos dziennikarza. Po tej rozmowie księżna zmieniła zdanie o swoim „przyjacielu”.

Podczas wywiadu Bashir umiejętnie wykorzystał to, że w tym czasie księżna chciała wziąć odwet na mężu za jego przyznanie się do cudzołóstwa w filmie Dimbleby'ego. Nagranie odbyło się w niedzielę, kiedy była w pałacu sama; garderobiana, kucharz i ja mieliśmy wolne. Księżna musiała sama wyjąć sałatki z lodówki i poinformować policję, że oczekuje gości. Ekipa filmowa, pod kierunkiem Martina Bashira, rozstawiła sprzęt w salonie Williama i Harry'ego. Kiedy nazajutrz rano zapytałem, dlaczego meble były przesuwane, księżna odpowiedziała, że nikt ich nie przesuwiał. Na tydzień przed emisją wyjawiała mi, że nagrała wywiad dla Panoramy, że poruszyła w nim najbardziej prywatne sprawy i że po jego emisji Brytyjczycy lepiej ją rozumieją.

- Jestem pewien, że wielu ludzi udzieli ci poparcia. Jeśli ty będziesz zadowolona z końcowego wyniku - powiedziałem.

Wieczorem 20 listopada 1995 roku wraz z ponad dwudziestoma milionami innych telewidzów obejrzałem nagrany wywiad. Księżna mówiła, że chce być „królową ludzkich serc”, że księżę Karol nie nadaje się na króla, że „były trzy osoby w naszym małżeństwie”, że bardzo kochała Ja-mesa Hewitta i że nie będzie milczeć. Wywiad nie zawierał dla mnie niczego nowego, ale niepokoiłem się, jak wpłynie na publiczny wizerunek księżnej. W programie Newsnight stacji BBC2 Nicholas Soames, polityczny przyjaciel księcia Karola, zaatakował ją, do czego wraz z księżną zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Kiedy księżę Karol potrzebował obrony, zawsze zjawiał się Nicholas Soames i wygłaszał tyradę przeciwko Dianie. Nazajutrz po emisji wywiadu księżna była w znakomitym nastroju, podbudowana pozytywnymi reakcjami na swoje niespodziewane posunięcie i wyrazami sympatii, które znalazła w porannych gazetach. Podjęła wielkie ryzyko, ale jej reputacja publiczna nie ucierpiała. Nie wzięła jednak pod uwagę, jakie skutki cała sprawa będzie miała dla jej małżeństwa, że przyspieszy rozwód. Na razie jednak była na fali. Wydawała się nieomal niezwyciężona. Czuła, że może zmierzyć się z każdym, a następną w kolejce była Tiggy Legge-Bourke.

Czternastego grudnia 1995 roku w hotelu Lanesborough przy Hyde Park Corner zorganizowano bożonarodzeniowy lunch dla personelu księcia i księżnej Walii.

- Pojedziesz ze mną moim samochodem - powiedziała księżna. Hotel stał niedaleko Pałacu Kensington. Przejechaliśmy obok Knights-bridge Barracks, przez Hyde Park i pod kamiennym łukiem. Tu drogę

zagradał szlaban, który otwierało się zdalnie, naciskając guzik w samochodzie. - Uwielbiam ten skrót. - Księżna uśmiechała się wesoło. Spóźniliśmy się i gdy przyjechaliśmy na miejsce, setka gości zebrała się już w sali hotelowej.

Kiedy weszliśmy, wszystkie głowy zwróciły się w stronę księżnej.

- Bądź obok mnie i przyglądaj się - powiedziała z uśmiechem. Ruszyła przez tłum prosto w kierunku Tiggy Legge-Bourke, która stała w przeciwległym rogu sali. Szedłem za nią.

- Dzień dobry, Tiggy. Jak się masz? - spytała, nadal się uśmiechając. Zanim Tiggy zdążyła odpowiedzieć, dodała z fałszywym współczuciem:

- Tak mi przykro z powodu tego dziecka.

Na twarzy Tiggy odmalowało się przerażenie, w oczach stanęły jej łzy. Nic nie mówiąc, wyszła z sali w towarzystwie lokaja księcia Karola, Michaela Fawcetta. Obejrzałem się, szukając księżnej. Rozmawiała już z innymi gośćmi. Pokazała obozowi księcia Karola, że potrafi kąsać, i była bardzo z siebie zadowolona.

- Czy widziałeś jej minę, Paul? Mało nie zemdlą! - triumfowała.

Bomba, która wybuchła w hotelu Lanesborough, wstrząsnęła Pałacem Św. Jakuba i Pałacem Buckingham. Książę Karol szalał z wściekłości. Tiggy Legge-Bourke poleciła swoim adwokatom, aby zaprzeczyli zarzutom księżnej. W wydanym oświadczeniu pisano, że „krąży wiele złośliwych kłamstw... które stawiają naszą klientkę w bardzo złym świetle. Te zarzuty są całkowicie pozbawione podstaw”.

Akcja księżnej odniosła pożądany efekt, ponieważ prywatny sekretarz królowej, sir Robert Fellowes, wszczął dyskretne śledztwo, aby ustalić prawdę. Cztery dni po opisanej wyżej scenie sir Fellowes zatelefonował do księżnej, zresztą swojej szwagierki, aby zapytać, co miała na myśli w czasie swojej rozmowy z Tiggy Legge-Bourke. Księżna wyjaśniła, że jej zdaniem Tiggy miała romans z księciem Karolem i usunęła ciążę. Podała nawet dokładną datę aborcji.

- Teraz sprawy nie da się schować pod kocem. Robert obiecał ją zbadać - powiedziała po zakończeniu rozmowy.

Sir Robert wykrył, że Tiggy Legge-Bourke - którą „dokładnie wypymano” - z powodu „przypadłości kobiecych” dwukrotnie odwiedziła swojego ginekologa, raz w lecie, a drugi raz jesienią 1995 roku. Jesienią dwa razy przebywała w szpitalu.

Fellowes doszedł jednak do wniosku, że zarzuty księżnej są niesłuszne. Skierował do niej oficjalny list, który przyniósł do Pałacu Kensington jego posłaniec.

Księżna otworzyła go swoim srebrnym nożykiem do papieru i czytając, kręciła z dezaprobatą głową. - Typowe! - orzekła. - Przeczytaj, Paul. Sir Robert pisał:

Twoje zarzuty dotyczące Tiggy Legge-Bourke są całkowicie bezpodstawne. Jej stosunki z księciem Walii nigdy nie wykroczyły poza sprawy zawodowe.

W dniu, w którym rzekomo dokonano aborcji, Tiggy przebywała w High-grove z Williamem i Harrym. W Twoim najlepiej pojętym interesie leży więc wycofanie tych zarzutów. Popełniłaś straszliwą pomyłkę.

Gruntowne śledztwo wykazało niezbicie, że w zarzutach księżnej nie ma krzty prawdy. Fellowes dołączył nawet osobisty liścik do swojej szwagierki, w którym pisał: „Autor niniejszego listu naprawdę uważa, że popełniłaś straszny błąd i że musisz to zrozumieć - proszę”.

Oceniając sprawę z perspektywy czasu i całkowicie obiektywnie trzeba powiedzieć, że księżna po prostu nie mogła mieć racji.

Pod koniec 1995 roku prywatny sekretarz księżnej, Patrick Jephson, postanowił odejść z Pałacu Kensington. Zrezygnował, zanim księżna wręczyła mu dymisję. Już wcześniej wszelkie kontakty między nimi zostały zerwane. Z przykrością patrzyłem na koniec tej współpracy, bo Patrick był nie tylko profesjonalistą, ale również przyjacielem księżnej. Pewnego dnia wysłano mnie do firmy Asprey & Gerrard, jubilerów królewskich, aby wybrać dla Jephsona złote spinki z jego inicjałami. Za zgodą księżnej jej sekretarz mógł w piątek kończyć pracę wcześniej i wracać do Londynu dopiero w poniedziałek, dzięki czemu spędzał więcej czasu z rodziną w Devon. Jednakże od 1995 roku Jephson nie znał treści korespondencji, którą księżna nadawała i odbierała poprzez mój faks; każdą jej prywatną decyzję odbierał jako afront. Czarę goryczy przelał wywiad księżnej dla BBC i incydent z Tiggy Legge-Bourke. W swojej pisemnej rezygnacji, która pewnego dnia nadeszła pocztą do Pałacu Kensington, dawał wyraz swemu rozgoryczeniu. Pisał, że czuje się zbędny, bo księżna przestała się z nim kontaktować.

- Szczury zawsze uciekają z okrętu, Paul - oświadczyła filozoficznie księżna. - Wygląda na to, że będziesz musiał być jednocześnie kamerdynerem, damą dworu i prywatnym sekretarzem. Ty teraz rządzisz!

Na szczęście herkulesowe zadanie kształtowania wizerunku księżnej przypadło nie mnie, lecz nowej pracownicy, Jane Atkinson. Musiała ona zneutralizować długotrwałe szkody, jakie wyrządził Dianie incydent z Tiggy Legge-Bourke. Asystent księcia Karola domagał się przeprosin, księżna jednak odmówiła. Zresztą jej myśli pochłaniała już inna sprawa. Tuż przed Bożym Narodzeniem zarówno królowa, jak książę Karol zażądali rozwodu.

W późniejszym okresie małżeństwa księżna często groziła mężowi rozwodem, ale czyniła to tylko po to, aby zwrócić na siebie jego uwagę, aby go zranić - jak dziecko w napadzie złości, które mówi

rodzicom, że od nich ucieknę, ale nie myśli o tym poważnie. Podczas częstych rozmów z księżną słyszałem od niej, że nie jest rozumiana, że wiele musiała przecierpieć, że jej „osobiste męki” -jak to nazywała - pomogły jej stać się silniejszą. Ale po każdej takiej rozmowie utwierdzałem się w przekonaniu, że jej miłość do księcia Karola nie wygasła, choć on, jak twierdziła, zadał jej wiele bólu. Separacja przyniosła księżnej wolność i ulgę, ale jednego była pewna: „Rozwód jest wykluczony”.

I nagle, 18 grudnia 1995 roku, na tydzień przez wyjazdem do San-drigham House z Williamem i Harrym, księżna otrzymała długi list, w którym po raz pierwszy otwarcie poruszono sprawę rozwodu. List nie wyszedł jednak spod pióra księcia Karola, ale królowej. Był to dla księżnej ciężki cios.

Królowa czytała książkę Mortona i książkę Dimbleby'ego; oglądała wywiad telewizyjny z synem i wywiad telewizyjny z synową. Rozkład pożycia małżeńskiego pary książęcej dokonywał się na oczach wszystkich. Królowa uznała, że jako głowa państwa musi wziąć sprawę w swoje ręce. Zaniósłem do salonu list monarchini i wróciłem do siebie. Po kilku minutach z góry dobiegło mnie znajome wołanie:

- Paul, przyjdź do mnie.

Księżna siedziała na kanapie i wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać. Zrezygnowanym ruchem pokazała na biurko za sobą.

- Zobacz, co przyszło.

Na biurku leżał list z czerwonym herbem Zamku Windsor. Od razu rozpoznałem wyraźny charakter pisma królowej. List zaczynał się, jak zwykle, słowami: „Najdroższa Dian” i kończył „Uściski, Mama”. Różnił się jednak od wszystkich, które dotąd czytałem, i jako były lokaj królowej poczułem się nieswojo.

- Nie jestem pewien, czy powinienem go czytać, jest tu wyraźnie napisane: „w największym zaufaniu”. - Księżna siedziała odwrócona do mnie tyłem, ale musiałem dać wyraz swojemu zakłopotaniu.

- Och, Paul, nie przejmuj się tym, tylko przeczytaj. Co ja mam zrobić? Co o tym ludzie pomyślą? - westchnęła.

Kiedy czytałem list, księżna zerwała się z kanapy i zaczęła krążyć po pokoju.

- Premier i arcybiskup Canterbury! O moim rozwodzie rozmawiano z Johnem Majorem i George'em Careym, zanim raczono porozmawiać ze mną.

Księżna była wściekła, że królowa zasięgnęła najpierw rady rządu i Kościoła. Względy polityczne nie obchodziły jej.

- To moje małżeństwo i innym nic do niego! - krzyczała. Przypomniawszy sobie fragment listu, złościła się: - Dla dobra kraju, tak? A co z moim dobrem? A co z dobrem moich synów?

Uważała, że jej rozwód, tak jak jej małżeństwo, traktowany jest niczym sprawą handlową. Królowa pisała w tonie serdecznym i pełnym delikatności, ale czuło się, że jest przygnębiona zachowaniem obu stron i uważa, że rozwód oszczędzi Williamowi i Harry'emu dalszych złych doświadczeń, których nie brakowało im w poprzednich latach.

Księżna nie chciała o niczym słyszeć. Natychmiast zadzwoniła do królowej do Pałacu Buckingham. Grzecznie zauważyła, że tak ważna decyzja nie może zostać podjęta pośpiesznie; Królowa uspokoiła ją i zapewniła, że nikt nie będzie jej zmuszać do pochopnej decyzji.

Księżnej to nie uspokoiło. Usiadła przy biurku i natychmiast odpisała królowej, że potrzebuje czasu do namysłu. Ale tego czasu jej nie dano. Nazajutrz przyszedł list od księcia Karola, w którym ten prosił żonę o zgodę na rozwód.

Księżna ponownie poprosiła, żebym przeczytał list. Książę Karol pisał, że ich małżeństwo jest już nie do uratowania i że stanowi to zarówno „narodową, jak osobistą tragedię”. Twierdził, że w takim stanie iztczy rozwód należy przeprowadzić jak najszybciej. Księżna podejrzewała, że cała akcja została skoordynowana, aby przełamać jej opór.

Położyła oba listy obok siebie, czerwony z Windsoru i niebieski z High-grove. - Widzisz? - spytała. Niczego specjalnego nie zauważyłem. - Przyjrzyj się. - Palcem wskazała jedno ze zdań z listu królowej, a potem jedno ze zdań w liście księcia. Było to słowo w słowo to samo zdanie, w którym

mowa była o „smutnej i skomplikowanej sytuacji”, w jakiej znalazło się małżeństwo księcia i księżnej Walii.

- Nad tymi listami pracowali ci sami ludzie - orzekła księżna podnieconym tonem człowieka, który dokonał właśnie ważnego odkrycia. - Muszą mnie mieć za głupią.

Usiadła i napisała list do męża, a jej ręka nie nadażała za gniewnymi słowami, tłoczącymi się pod pióro. Odpowiedź księżnej nie pozostawiała wątpliwości: Twoja prośba całkowicie mnie zaskoczyła. Nie zgadzam się na natychmiastowy rozwód!

W owym przedświątecznym tygodniu wydarzenia i emocje doszły do punktu wrzenia - zarzuty wobec Tiggy Leeege-Bourke nie potwierdziły się, a księżna otrzymała listy od królowej i księcia. Chyba nie widziałem księżnej tak załamanej jak w owym tygodniu, a jej reakcja wyrażała istniejące w niej rozdwojenie: z jednej strony miłość do Karola i sprzeciw wobec rozwodu, z drugiej wystąpienie przeciwko niemu w książce Mortona i w wywiadzie dla BBC. Chcąc zadać mu ból i skłonić do reakcji, księżna raniła samą siebie. Książę Karol najwyraźniej doszedł do kresu wytrzymałości.

Książę i księżna praktycznie przestali się ze sobą kontaktować. Księżna prosiła o spotkanie w cztery oczy, ale książę życzył sobie, aby ktoś stenografował rozmowę. Księżna nie zgodziła się i rok 1995 zakończył się impasem. Książę pragnął rozwodu, księżna nie chciała się rozwodzić.

W tym trudnym dla księżnej czasie stanowiłem dla niej oparcie, którego bardzo potrzebowała. Była przybita całą sytuacją i obawiała się, że jej świat lada chwila się zawali, że zostanie pozbawiona swojej roli. Związała się w kłębek na kanapie, ukrywała twarz w dłoniach i szlochała. Co miałem robić? Stać i patrzeć?

Wobec nieobecności Williama - a był on w trudnych chwilach wielką pociechą dla matki - starałem się ją wysłuchać, pilnowałem, aby nie rozczułała się nad sobą w samotności. Nie była dla mnie księżną Walii, była wrażliwą, zranioną kobietą, która płakała i potrzebowała pocieszenia. Królowa nigdy nie okazałaby przede mną uczuć i żaden lokaj nie miałby śmiałości, aby objąć ją ramieniem. Ale księżna, kiedy czuła się zraniona, była jak mała dziewczynka, a widok jej zbolalej postaci nie pozwalał mi stać z boku i przyglądać się obojętnie. Siadałem obok, obejmowałem ją i mówiłem, że wszystko będzie dobrze, że jest silna, że brytyjska opinia publiczna jest za nią. Słuchałem całymi godzinami i w końcu, tak jak wtedy, gdy oglądaliśmy Spotkanie, wybuchaliśmy śmiechem.

Byłem przy niej dopóty, dopóki miałem pewność, że może zostać sama. Ale nawet po powrocie do domu nie przestawałem się martwić. Bywało, że budziła się o drugiej czy trzeciej w nocy i chciała z kimś porozmawiać. Słuchałem, a rano, jak co dzień, stawiałem się do pracy.

Dwudziestego siódmego grudnia 1995 roku księżna napisała do mnie list, który przechowuję do dziś. Kiedy podczas mojego procesu w 2002 roku nieprzychylni mi ludzie twierdzili, że byłem dla księżnej tylko kamerdynerem, że moja zażyłość z nią to wytwór mojej fantazji, odczytywałem sobie ten list. W najtrudniejszych chwilach w moim życiu słowa księżnej podnosiły mnie na duchu:

Z wielkim opóźnieniem piszę ten list, aby podziękować Ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, zwłaszcza od sierpnia. Twoja obecność w chwilach płaczu i przygnębienia była dla mnie nieocenioną pomocą. Chciałam, abyś wiedział, jak bardzo cenię sobie Twoje wsparcie. Rok 1996 będzie szczęśliwym rokiem i już nie mogę siego doczekać... dziękuję i ściskam, Diana.

Negocjowanie rozwodu.

W trakcie spotkania z królową w Pałacu Buckingham księżna wiedziała, że nigdy nie będzie miała lepszej sposobności, by zadać pytanie, które ją nękało od czasu, gdy książę Karol publicznie przyznał się do romansu z Camillą Parker Bowles.

- Czy to znaczy, że Karol zamierza ożenić się ponownie? -zapytała.

- Uważam to za bardzo mało prawdopodobne - odparła królowa. O ile księżna przyszła na to spotkanie, spodziewając się, że oczekuje

się od niej ustępstw, to jedno zapewnienie sprawiło, że poczuła się bezpieczniej w kwestii przyszłości, nawet jeśli miał być w nią wpisany rozwód.

Rano 15 lutego 1996 roku księżna przybyła do pokoju dziennego Jej Królewskiej Mości w celu odbycia rozmowy, w której książę Karol pokładał nadzieję, że zakończy impas w sprawie rozwodu. Tego rozwodu pragnęli wszyscy z wyjątkiem jej samej. Poprzedniego dnia wysłała pozostającemu z

nią w separacji mężowi kartkę walentynkową z podpisem „Z wyrazami miłości od Diany”. Kupidyn od dawna ich opuścił, uznając tę parę za przypadek beznadziejny, lecz księżna aż do samego końca pozostawała niepokorna, nawet kiedy system rozerwał jej małżeńskie więzy, których rozluźnienia tak uparcie odmawiała. Nigdy nie przestała kochać księcia Karola. Czuli się zmuszona do wyrażenia zgody na taki właśnie, a nie inny przebieg zdarzeń. Nawet kiedy stanęła wobec szkód, jakich nie dało już się naprawić, zdawała się nie widzieć tego, co było nieuniknione.

To spotkanie było pierwszą okazją - od czasu, gdy pozew rozwodowy został rzucony na wycieraczkę przy jej drzwiach - do przeprowadzenia szczerej i otwartej rozmowy z teściową; nie chciała też, by ktokolwiek miał jakieś złudzenia.

- Nie chcę tego rozwodu. Wciąż Kocham Karola. Nic z tego, co się wydarzyło, nie jest moją winą - oznajmiła Diana.

Jej stanowisko było jasne od samego początku spotkania, które przemieniło się w formalną, chociaż przyjazną rozmowę. Nie mogło zresztą być inne, bowiem uczestniczył w nim zastępca osobistego sekretarza królowej, Robin Janvrin, sporządzający notatki. „Szare garnitury” z Pałacu Buckingham obawiały się, że „Bulimiczka w przeciągu dwudziestu-czterech godzin zredaguje własną wersję”. Księżna nie życzyła sobie obecności protokolanta w trakcie rodzinnej rozmowy o charakterze prywatnym, lecz obawiano się, że mogłaby poinformować o jej szczegółach zaprzyjaźnione media. Robin Janvrin znalazł się przy boku królowej, by poświadczyć prawdę. Kiedy księżna powróciła do Pałacu Kensington, również mnie zapoznała z przebiegiem tej rozmowy.

Kiedy Diana mówiła o głębokim wstrząsie wywołanym rozpadem małżeństwa, królowa najwyraźniej słuchała ze współczuciem. Elżbieta podkreślała, że w ostatnich latach czyniła wszystko, co w jej mocy, by pomóc, podobnie zresztą jak księżkę Edynburga.

Jednakże księżna, która nigdy nie wątpiła, że teściowie podejmowali znaczące wysiłki dla ratowania małżeństwa Karola, nawet wtedy, gdy nie robił tego ich syn, czuła instynktownie, że inni, zżerani zazdrością o jej dokonania w życiu publicznym, zacierali ręce z radości, widząc ją w niełasce. Po raz kolejny wylała przed królową swoje żale i podejrzenia. Wiedziała, że mogła mówić szczerze. Rzadko kiedy spodziewała się porady lub rozwiązania problemu, lecz Jej Królewska Mość zawsze wysłuchiwała z pełnym zrozumieniem, nawet jeśli złożoność sytuacji doprowadzała ją do frustracji. Przez wszystkie te lata wielokrotnie wpadałem w rozpacz, kiedy dziennikarze oraz „dobrze poinformowani” królewscy „ekspertsi” rozgłaszali, że księżna i monarchini tryskały jadem czy też wtedy, gdy któregoś dnia „Daily Mail” doniósł, że „Diana odrzuciła przyjazną dłoń królowej... powodując, że stały się wrogami”. One nigdy nie były nastawione do siebie wrogo. Aż do czasu śmierci księżnej w 1997 roku, królowa i Diana pisały do siebie wiele listów. Były jak dwa odrębne królewskie symbole, prezentowały różne pokolenia, ale usilnie starały się nawzajem zrozumieć. Jedną z rzeczy, która ich łączyła, była troska o pomyślność Williama i Harry'ego. W trakcie tego spotkania królowa zapewniła Dianę, że nie musi martwić się o opiekę nad dwójką młodych książąt.

- Bez względu na to, co przyniesie przyszłość, nic nie zmieni faktu, że jesteś matką Williama i Harry'ego. Mój niepokój budzi jedynie to, że chłopcy znaleźli się na polu bitwy toczony przez małżeństwo, które uległo rozpadowi - oświadczyła.

W czasie spotkania, gdy sekretarz Janvrin wciąż pozostawał w gotowości do protokolowania, księżna wyraziła w końcu zgodę na rozwód. Pragnęła jednak, by wspomniano, z jakim bólem to czyni.

- Mamo, nadejście listu od ciebie oraz od Karola niemal tego samego dnia przed Bożym Narodzeniem było ciężką próbą. Wtedy Karol po raz pierwszy wspomniął o rozwodzie, a listy, które otrzymałam od tamtego czasu, niczego nie zmieniły - oznajmiła.

Królowa zgodziła się z tą oceną:

- Wymiana ostatniej korespondencji zaprowadziła nas donikąd, wciąż jednak podtrzymuję to, co napisałam przed Bożym Narodzeniem. Obecna sytuacja nie przynosi nikomu niczego dobrego: ani krajowi, ani rodzinie, ani dzieciom.

Monarchini nalegała, żeby postępowanie rozwodowe rozpoczęło się jak najszybciej. Nie było już odwrotu.

Rozumiała doskonale troskę księżnej o przyszłość. Później Diana oznajmiła, że docenia czułość i życzliwość okazane jej przez księcia Edynburga w listach w 1992 roku. Wiosną 1996 roku odnosiła wrażenie, że jej rozmowy z teściową były zdecydowanie bardziej konstruktywne niż którekolwiek z przeprowadzonych z własnym mężem.

W trakcie spotkania pojawiła się delikatna sprawa przyszłego tytułu księżnej. Diana oznajmiła, iż nie zamierza zrezygnować z inicjałów „HRH”*, znaczyły one dla niej zbyt wiele. Pałac Buckingham wydał wtedy następujące oświadczenie: „Decyzja o rezygnacji z królewskiego tytułu leży tylko i wyłącznie w gestii księżnej”.

Prawdą jest, że księżna jako pierwsza poruszyła kwestię swej przyszłej roli. Powiedziała królowej:

- Przez szesnaście lat ciężko pracowałam dla ciebie, mamó, i nie chcę, by zabrano mi tę część mojego życia. Pragnę bronić mojej pozycji w życiu publicznym. Chcę mieć możliwość stanowienia o własnym życiu. - Potem dodała - Bardzo się niepokoję o przyszłość, a odpowiedzi na wszystkie kwestie znasz ty, mamó.

- Chciałabym podejmować decyzje w porozumieniu z Karolem. Tytuł jest również sprawą, którą należy z nim przedyskutować - odparła królowa. - Mówiąc między nami uważam, że tytuł „Diana, Księżna Walii” byłby bardziej odpowiedni - oznajmiła po chwili.

Sprawa królewskiego statusu pozostała nie rozstrzygnięta do czasu, kiedy obie, królowa i księżna, będą mogły przedyskutować ją z księciem Karolem. Nie ulega jednak wątpliwości, że pomysł tytułu, pod jakim Dianę znano później, pochodził od Elżbiety.

Tego dnia przedyskutowano wiele różnych kwestii. Księżna nie otrzymała zgody na posiadanie biura w murach Pałacu Buckingham, wyjaśniła też królowej powody kryjące się za odejściem Patricka Jephsona. Wyraziła niepokój o bezpieczeństwo Williama. Martwiła się, że jej starszy syn i księżkę Karol latają tym samym samolotem -w razie katastrofy obaj staliby się ofiarami.

- To tylko kwestia wakacji i wyłącznie w przypadku korzystania z linii publicznych. Samoloty królewskie są bezpieczne. To chyba nie jest powód do poważnych zmartwień - odparła królowa. Pod koniec spotkania królowa bardzo pragnęła dać księżnej do zrozumienia, że zawsze była po jej stronie.

- To bardzo trudna sprawa dla mnie osobiście, lecz sytuacja wymaga rozwiązania dla dobra wszystkich - oznajmiła.

Obowiązki oraz wymóg ochrony interesów kraju po raz kolejny postawiły królową w pozycji mediatora między synem i synową. Diana zdawała sobie sprawę, że królowa musiała być stanowcza, nie mogła jednak wyjść z podziwu nad taktem, z jakim to czyniła.

- Jedynym, czego pragnę, mamó, jest porozumienie - oświadczyła księżna. - Nie chcę sprawiać trudności.

Nie potrafiłem wyobrazić sobie życia bez księżnej.

„Opoka Diany” jest określeniem, któremu jedni dadzą wiarę, inni zaś potraktują z czystą pogardą, jednak tą etykietką się posługiwała, mówiąc o mnie z przyjaciółmi. Nigdy wszakże nie użyła go, zwracając się bezpośrednio do mnie. W Pałacu Kensington mówiła do mnie: „Jesteś moim trzecim okiem, Paul”; „Jesteś sterem mojego okrętu”. Albo, kiedy przebywała razem z przyjaciółką Susie Kassem, stawałem się Magicznym Merlinem*. Prawdą jest również, że często zwracała się do mnie słowami:

Och, jesteś jak bolesny wrzód na tyłku!”, gdy wtrącałem niepopularną uwagę, układałem z pedanterią kwiaty w salonie albo po prostu wchodziłem jej w drogę.

Wiedziałem jednak, kiedy być pod ręką, gdy potrzebowała towarzystwa lub partnera do rozmowy. Ten sam instynkt podpowiadał mi, kiedy miała ochotę na filiżankę kawy lub sok z marchwi. Sztuka bycia dobrym służącym polega na umiejętności przewidywania kolejnego ruchu oraz odgadywania życzenia pana lub pani, zanim sami to sobie uświadomią. Lub też, jak ujęła pani Wilson w filmie Gosford Park: „Bycie idealnym służącym oznacza brak własnego życia”. Maria najprawdopodobniej podpisałaby się pod tym obiema rękami.

Wiedziałem, kiedy księżna była przygnębiona, kiedy życie ją przytłaczało. W takich chwilach starałem się zachowywać jak najdyskretniej: pojawiałem się w salonie, gdy ona siedziała na sofie, czekałem w przejściu prowadzącym do jej garderoby, stałem w pobliżu kredensu w sali jadalnej,

kiedy spożywała posiłek, wychylałem się przez balustradę na pierwszym piętrze, gdy przebiegała z sypialni do salonu. W takich chwilach nazywała mnie „uczuciową pralką”.

- Mogę przyjść do domu, opowiedzieć ci wszystko i potem wyrzucić to z siebie - mawiała.

Wychodziła i stawiała czoła bólowi, niedoli i cierpieniom, składając wizyty bezdomnym, chorym, umierającym i biednym. Powracała potem do Pałacu Kensington z ciężkim sercem, lecz przepełniona satysfakcją, że w codziennej pracy obdarowywała miłością i uczuciami ludzi, dla których to się liczyło. W połączeniu z własnymi niepokojami, lękami i problemami, rezultatem było emocjonalne przeciążenie. Przybywała do Pałacu Kensington i pędziła po schodach.

- Daj mi pięć minut. Muszę z tobą porozmawiać... Muszę pogadać - wołała.

Włączałem wtedy elektryczny czajnik, zaparzałem dwie filiżanki kawy i siedzieliśmy razem ponad godzinę, gawędząc. Czy raczej ja słuchałem, jak księżna opowiadała o najsmutniejszych rzeczach, jakich doświadczyła albo o najbardziej poruszających chwilach, gdy odwiedzała chore dzieci. Oczy księżnej często napęśniały się łzami na wspomnienie trau-matycznych przeżyć w szpitalach, hospicjach czy ośrodkach pomocy. Można było odnieść wrażenie, że dzięki rozmowie ze mną uwalniała się od emocji. Potem sięgała zwykle po telefon i dzwoniła do którejś z przyjaciółek albo wykręcała numer do uzdrowicielki Simone Simmons bądź też do Rity Rogers, mającej zdolności parapsychologiczne.

W miarę jak William dorastał, księżna zdecydowała się na prowadzenie z nim poważnych rozmów. Mimo młodego wieku miał dobrze poukładane w głowie, ona zaś wychowywała obu synów na ludzi wrażliwych, troskliwych i świadomych własnych uczuć. Zwierzała się Williamowi ze swych problemów. On pocieszał ją, był przy tym dużo dojrzalszy, niż wskazywałyby na to jego lata, i brał na swoje barki spory ciężar matczynej emocji. Księżna niczego przed nim nie ukrywała. Pragnęła, żeby wiedział wszystko, co wiedzieć powinien, nie chciała, by znał fałszywy obraz spraw, prezentowany przez prasę lub dalszą rodzinę.

W któryś piątek William przyjechał do domu w czasie przerwy w szkolnych zajęciach w towarzystwie swego przyjaciela Sama. Policyjny funkcjonariusz ochrony przywiózł ich obu do pałacu, a William wpadł przez drzwi frontowe i popędził schodami, wołając „mamusiu!!!”.

Był wtedy niemal tak wysoki jak jego matka. Księżna pobiegła na półpiętro i mocno go przytuliła. Zawsze witała synów z czułością, bez względu na to, ile mieli lat. W tamten weekend William pospieszył do swojego pokoju, gdzie razem z kolegą zasiadł na zielonej sofie ustawionej przed telewizorem. Odgłosy pełnej wartkiej akcji gry na PlayStation oraz okrzyki rywalizujących chłopców przerwały ciszę panującą w Pałacu Kensington. Księżna uwielbiała te chwile, kiedy synowie wracali do domu, a ich żywiołowy entuzjazm wnosił radość do pałacowych apartamentów. Sam, kolega Williama, postrzegał świat Pałacu Kensington oczami młodego przybysza z zewnątrz. William i Harry byli do mnie przyzwyczajeni - byłem jak część pałacowego umeblowania. To w oczach szkolnych kolegów takich jak Sam zdziwienie budził fakt, że kamerdyner tak często pojawiał się w prywatnych apartamentach księżnej. Od piątku aż do wyjazdu w niedzielę wciąż mnie tam widział. W pewnym momencie William wpadł bez uprzedzenia do salonu, a w ślad za nim Sam.

- O mamo, przepraszam - zmitygował się.

Siedziałem na sofie obok księżnej, która przysiadła na krawędzi, na wpół obrócona do mnie.

Byliśmy pogrążeni w rozmowie. Reakcja Williama była rzeczowa.

- Ach, to tylko Paul. On zawsze tu jest.

Miejscem, gdzie najczęściej widziałem księżną, było jej biurko. Pisała dużo listów i czuła się przy nim najlepiej. W trakcie naszych rozmów czasami zmagala się z opisaniem jakiegoś przeżycia czy emocji. Trzymając jednak pióro w dłoni, bez trudu znajdowała odpowiednie słowa. Jeśli czegoś mnie nauczyła, były to te same lekcje, jakie dawała Williamowi i Harry'emu: zawsze piszcie słowa podziękowania za czas, prezenty, gościnność, radę czy przyjaźń, otrzymywane od innych.

Powiedziała też,

że jedną z rzeczy, których nauczyła się ode mnie, było przelewanie na papier własnych myśli po każdej z naszych wielu rozmów.

- Dowiedz się, co czujesz. To może działać uzdrawiająco - stwierdziłem któregoś razu.

Znałem znaczenie skrupulatnego zapisywania wszystkiego, bowiem królowa prowadziła pamiętnik, uwieczniając w nim swój punkt widzenia historii. Księżna, czując się jednym z królewskich symboli, przeżywała niezwykle epizody, nie bardziej niż w połowie lat dziewięćdziesiątych. Kiedy wydawało się, że wiele osób wypowiada się przeciwko niej, potrzebny był jej wierny zapis prawdy. Pewnego ranka po jednej z naszych rozmów udałem się do pokoju kredensowego i znalazłem kopertę na zielonej suszce oprawionej w skórę. W środku, na papierze z czerwonymi brzegami, księżna zapisała swoje przemyślenia. O naszych rozmowach, udzielanych radach oraz opiniach, których nic chciała zmienić. Te listy stały się uzupełnieniem tych naszych rozmów.

Często pokazywała mi jakieś listy, jak choćby dotyczące rozwodu, przesłane przez królową czy księcia Karola. Potem je chowała, ale niekiedy, gdy czuła, że „prawdę należy trzymać w bezpiecznym miejscu”, przepisywała je i przekazywała pod moją pieczę. Stałem się strażnikiem królewskich prawd; w odróżnieniu od intymnych sekretów, które, nigdy nie zapisane, pozostają zamknięte w mojej głowie. Każdy z listów zaczynał się niezmienną sentencją: „Gdy dzisiaj tak tu siedzę...”. Zapiski te stanowią spuściznę po niej, oddają cześć jej pamięci i mają kardynalne znaczenie dla prawdy, obalając szkodliwe mity rozpowszechniane od dnia jej śmierci.

Dwudziestego ósmego lutego 1996 roku Pałac Kensington wydał oświadczenie: „Księżna Walii wyraziła zgodę na prośbę księcia Karola o rozwód. Księżna zatrzymuje tytuł Diana, Księżna Walii”. Komunikat ten ukazał się po spotkaniu księcia Karola i Diany. Jednakże ostatecznie skłonił księżną do wywieszenia białej flagi list od księcia, który nadszedł na początku tamtego tygodnia. Pisał, że nic nie zmieni jego stanowiska, a on sam jest już wyczerpany argumentowaniem, co potoczyło się nie tak i kogo należy za to winić. Idźmy do przodu i nie spoglądajmy wstecz, przestańmy doprowadzać się nawzajem do rozpacz, przekonywał, a ona zgodziła się z tym. Kiedy obustronny upór przestał być przeszkodą, prawnicy przystąpili do pracy nad zakończeniem baśniowej opowieści. Przez całą wiosnę księżna pozostawała w kontakcie z królową.

Kiedy decyzja została podjęta, moja szefowa sprawiała wrażenie psychicznie wzmocnionej. Po miesiącach i latach trwania w opozycji wobec rozwodu można było odnieść wrażenie, że zgromadziła w sobie dodatkową siłę, czerpiąc ją nie wiadomo skąd.

- Jestem skoncentrowana, Paul - oznajmiła. - Mam w sobie silne poczucie publicznych obowiązków. Myślę trzeźwo i pragnę działać dalej bez jakichkolwiek blokad.

W maju, kiedy prawnicy wypracowywali szczegóły porozumienia i ugody rozwodowej, książę i księżna Walii zachowali zimną krew, uczestnicząc w rocznym spotkaniu rodziców w szkole w Eton. Księżna pragnęła tam być ze względu na Williama, jednak z drugiej strony odczuwała lęk, gdyż wiedziała, że spotka Knatchbullów i Romseyów, znajomych męża, którzy również posyłali swe dzieci do elitarnej szkoły. Chciała przybyć razem z małżonkiem, jednak jej prośba została odrzucona.

- Gdy tam dotarłam, zostałam potraktowana bardzo ozięble przez wszystkich, łącznie z Karolem - wyjawiała mi później księżna.

Podczas koktajlu przed obiadem błąkała się samotnie, uśmiechając i rozmawiając ze wszystkimi. W trakcie późniejszego koncertu rozkład miejsc przy stole dopełnił czary goryczy. Pragnęła usiąść razem z księciem Karolem, lecz posadzono ją u boku rektora szkoły, natomiast książę zasiadł po przeciwnej stronie przejścia w towarzystwie żony rektora.

Księżna wstała z miejsca i podeszła do rektorskiej małżonki.

- Przepraszam najmocniej, czy nie zechciałaby pani zamienić się ze mną miejscami tak, żebym mogła usiąść u boku mego męża?

Indagowana nie bardzo mogła odmówić, a księżna zrezygnowanie doprowadziła do końca mały spiszek, którego nie zauważył nikt poza Karolem. To nie ona powinna być upokorzona. Dopilnowała tego również poza terenem szkoły, gdzie oczekiwały już ekipy reporterskie stacji telewizyjnych BBC i ITN.

Gdy książę i księżna Walii pojawili się na zewnątrz jako dumni rodzice i każde miało ruszyć w swoją stronę, Diana podbiegła do księżęcej limuzyny, położyła dłoń na ramieniu Karola i pocałowała go w policzek.

- Do widzenia, kochanie - wyszeptwała.

Chwila okazanej, rzadkiej już bliskości sprawiła, że tego wieczoru i następnego dnia na tytułowych stronach gazet pojawiły się wielkie tytuły: POCAŁUNEK JEST TYLKO POCAŁUNKIEM.

- Teraz Camilli zrzędzie mina - stwierdziła księżna następnego ranka w trakcie śniadania.

Wprawdzie podczas postępowania rozwodowego

Diana zachowywała się w sposób uprzejmy, nie musiała jednak tak łatwo wybaczać.

Trzydziestego maja 1996 roku rozwód między księciem i księżną Yorku uprawomocnił się. Sarah, pełna werwy, przybyła do Pałacu Kensington, pozbawiona od tego dnia królewskiego statusu, dysponując nowym tytułem „Sarah, Księżna Yorku”. Wyśmiewała się z nagłówków w porannych gazetach.

- Jeszcze im pokażemy! - powiedziała do Diany.

W czasie, który dla obu kobiet okazał się tak ponury, był to śmiech dwóch osób, które odmówiły pochylecia głowy i ukorzenia się wobec „Firmy”.

Podobnie jak księżna Walii, księżna Yorku czuła się wyzwolona i cieszyła się dopiero co odkrytą swobodą. Ona również miała siłę i wewnętrzną determinację, która pozwoliła jej przetrwać, wbrew woli „szarych garniturów”, nieustannie nadszarpujących jej reputację. Była niczym „zagubiony rozbitek pozbawiony kompasu”, musiała stawić czoła kąśliwej prasie oraz wrogom na królewskim dworze. Zawsze należała do tych, którzy potrafią przetrwać. Zdawała się być tego pewna nawet w dniu, kiedy rozwód stał się prawomocny.

- W końcu i tak będziemy górą, prawda, Paul?

- Nie przestawaj się uśmiechać i trzymaj głowę wysoko - odparłem, a ona weszła bezceremonialnie do salonu mojej szefowej. Tego lata obie księżne pojechały na wakacje wraz z dziećmi do górskiej kryjówki w południowej Francji. Dzielać wspólne przeżycia, walkę i ból, nigdy nie były sobie bliższe. Bardziej rodzone siostry niż były szwagierki, z których każda uczyła się sztuki przetrwania na swój własny sposób. Poza tym obie miały już nowych mężczyzn w swoim życiu i wydawały się znowu szczęśliwe.

Częścią osobistego planu przetrwania Diany było zbudowanie nowej przyszłości i podróżowanie. Zawsze przywiązana do Londynu, Williama i Harry'ego oraz Pałacu Kensington, zaczęła jednak szukać letniego domu oraz zagranicznej siedziby, z której mogłaby koordynować działalność humanitarną.

- Lubisz Australię, Paul? - zapytała na początku niezwykle upalnego czerwca 1996 roku.

Spytała mnie również, co myślę o życiu na antypodach, ja zaś przypomniałem sobie podróże na drugi koniec świata z królową Elżbietą.

- Byłem w każdej prowincji i najbardziej chyba podobało mi się w Nowej Południowej Walii - oznajmiłem.

Siedziała na sofie i przeglądała broszury reklamowe oraz katalogi nieruchomości, przesłane przez zaprzyjaźnioną zielarkę, Eileen Whit-taker - przyjaźniącą się również z księżną Yorku.

- Czy kiedykolwiek rozważałeś możliwość zamieszkania tam? - zapytała.

Wiedziałem, że księżna lubiła szokować, jednak przez te wszystkie lata nic tak mocno mną nie wstrząsnęło. Do tej chwili. Spojrzałem na nią, jak gdyby miał to być żart.

- Mówię poważnie! - dodała.

- No cóż, dla mnie to odrobinę za daleko od domu - odpowiedziałem.

- Tak, wiem - odparła, zamykając folder reklamowy i przeszła do innego tematu.

Śmiech rozlegający się w Pałacu Kensington stanowił ostry kontrast z milczeniem panującym w Starych Koszarach. Wobec braku drugiego kamerdynera, damy dworu zatrudnionej w pełnym wymiarze godzin oraz prywatnego sekretarza, praca stała się prawdziwym kieratem, który ustawicznie trzymał mnie z dala od domu. Poświęcałem, z czego zresztą zdawałem sobie sprawę, zbyt wiele czasu na służbowe obowiązki, wychodząc z domu przed ósmą rano i wracając dopiero po jedenastej wieczór. Maria witała wypranego z uczuć, wyczerpanego i irytującego męża.

Alexander i Nick widywali mnie jedynie w niedziele albo wtedy, kiedy Diana zapraszała ich do wspólnej zabawy w pałacu. Od lutowego dnia, w którym księżna ogłosiła swoją zgodę na zerwanie więzów małżeńskich, przechodziłem przez rozwodowy dramat razem z nią, razem mieszkając, jedząc i dzieląc wszystkie koszmary, spotkania z prawnikami oraz niejasne przecucie tego, co

mogły przynieść nadciągające burzliwe zmiany.

- Gdy ty przyglądasz się rozpadowi jednej rodziny, w twojej rodzinie trzeba przypominać jak wyglądasz - oznajmiła Maria. - Zapomnij o trójkacie w małżeństwie księcia i księżnej Walii. W twoim małżeństwie również powstał trójkąt: ty, ja i Diana. Mam tego dość, Paul.

Inna małżeńska para w rodzinie Burrellów znalazła się w jeszcze większych tarapatach. Mój brat Graham przyznał się do romansu, na co jego żona Jayne zareagowała opuszczeniem rodzinnego domu wraz z dwójką dzieci. Zadzwoił do mnie do pokoju kredensowego, pełen wyrzutów sumienia i wylewając łzy; wydawało się, że jego małżeństwo rozpadło się na dobre. Więzy w naszej rodzinie były silne, więc to małżeńskie fiasko zaprzętało moje myśli jeszcze mocniej niż rozwód księżęcej pary.

Księżna zauważyła moje przygnębienie, kiedy podawałem jej obiad w dniu, gdy zatelefonował Graham. Wiedziała, dzięki wspólnym barbe-cue w Highgrove, jak bardzo byliśmy zżyci z bratem. Kiedy skończyła jeść, spytała:

- Mogę otrzymać numer telefonu do Grahama? Zadzwonię do niego. Tego wieczoru usiadła przy swoim biurku i zatelefonowała do domu mojego brata w Grassmoor, w hrabstwie Chesterfield. Kiedy podniósł słuchawkę, siedział na kanapie przed telewizorem.

- Witaj Graham, mówi Diana. Paul nie jest w najlepszej kondycji, zakładam więc, że ty również - zagaiła rozmowę.

Graham nie był w stanie uwierzyć, kto do niego dzwoni; stwierdził też, że nikt w pracy również mu nie uwierzy, jeśli opowie, że księżna Walii zatelefonowała do jego domu w roli wirtualnej poradni małżeńskiej. Szefowa była zachwycająca. Najpierw wysłuchała, potem wypowiedziała słowa otuchy. Zadawała mu pytania dotyczące miłości, małżeństwa, jego drugiej kobiety, przyszłości. W ciągu następnych dwóch tygodni telefonowała do niego jeszcze trzykrotnie przy różnych okazjach. Powiedziała Grahamowi bez ogródek, jak bardzo był głupi, dodając jednocześnie, że o ile wciąż jeszcze kocha swoją żonę, powinien nakłonić ją do powrotu. Wspierany przez Dianę Graham tak właśnie postąpił. Po dziś dzień mój brat zawdzięcza księżnej uratowanie swego małżeństwa.

Niestety małżeństwem, którego nie dało się już ocalić, było jej własne. W każdy wtorek, poczynając od lutego, w drzwiach frontowych pojawiał się lord Mishcon. Ten szlachetny człowiek niewielkiej postury był -jak utrzymywała księżna - prawniczym geniuszem. Był również osobą niezwykle ujmującą. W tamte zimowe miesiące ja otwierałem drzwi, on przekraczał próg i zdejmował kapelusz. Kiedy wymieniał uścisk dłoni z księżną, oświadczał:

- Łaskawa pani, proszę wybaczyć chłód dłoni starego człowieka. Zapewniam, że moje serce jest gorące.

Diana obdarzała go ciepłym uśmiechem. Potem przystępował do przedstawienia aktualnego stanu negocjacji prawnych z kancelarią jej małżonka. Nim nadeszło lato, Anthony Julius, inny adwokat z tej samej firmy, stał się emisariuszem złych i dobrych wieści. Pod koniec czerwca do uzgodnienia pozostały jedynie drobne sprawy natury formalnej.

Ugoda rozwodowa stanowiła, że księżna otrzyma kwotę 17 milionów funtów, wypłaconą jednorazowo. W zamian księżę Walii przedstawił precyzyjnie swoje roszczenia: pragnął odzyskać dwa akwarelowe portrety odległych przodków z Niemiec, parę krzesel (z ok. 1780 roku) oraz wszystkie srebra Jerzego III, których używaliśmy na co dzień.

Pierwszego lipca napłynął niekończący się strumień kwiatów, prezentów oraz kartek z życzeniami z okazji trzydziestych piątych urodzin księżnej. Jakiś wielbiciel przysłał dwa bukiety czerwonych róż o długich pędach, w sumie trzydzieści pięć. Jednak dwa dni wcześniej, w sobotę, doszło do jeszcze większej niespodzianki. Zadzwoił dzwonek przy drzwiach frontowych. Księżna nie oczekiwała nikogo, obróciłem mosiężną gałkę, zastanawiając się, któż to może być.

Ostatnią osobą, której bym się spodziewał, był następca tronu. Księżę Karol wpadł z niezapowiedzianą wizytą.

- Witaj, Paul, czy mogę wejść? - zapytał bez ogródek.

Znalazł się tutaj, gdyż miał odlecieć helikopterem z lądowiska usytuowanego za górnymi stajniami na tyłach pałacu, ale przyjechał zbyt wcześnie, więc postanowił odwiedzić żonę, z którą pozostawał

w separacji.

- Wasza Królewska Wysokość zna drogę, jak sądzę. Uśmiechnął się i ruszył schodami w górę. Ja sam byłem zaskoczony, nie mogłem się jednak doczekać reakcji księżnej.

- Diana, jesteś tam? - zawołał książę Karol, gdy wspinał się po schodach, a ja w ślad za nim. Księżna, raczej zszokowana, wyszła mu naprzeciw na półpiętrze; przywitani się, całując w oba policzki. Spoglądała na mnie znad jego ramion z oczami rozszerzonymi udawanym przerażeniem. Potem nie mogła się powstrzymać od przełamania lodowatego chłodu odrobiną typowego dla siebie humoru.

- Jak domniemywam, Karolu, przyjechałeś odebrać meble, nieprawdaż?!

Mąż i żona, zmagający się z raczej dziwacznym postępowaniem rozwodowym, uśmiechnęli się do siebie pierwszy raz od bardzo długiego czasu. Gdyby tylko mogli zrobić to na widoku publicznym, pomyślałem. Tych dwoje ludzi już się rozeszło, chociaż wyglądali jak przyjaciele. Była to dziwaczna scena, choć jednocześnie smutna: dostrzegłem u księżnej napływ ekscytacji. Ich reakcja wydawała się bardzo serdeczna, byli odprężeni i uprzejmi. Zszedłem na dół zaparzyć dla księcia filiżankę herbaty, jaką zwykł pijać w Highgrove: mocnego Earl Greya z odrobiną mleka. W połowie lipca Pałac Buckingham wydał komunikat, że sąd ogłosił wyrok w sprawie rozwodowej. Jedna sprawa pozostawała wciąż nie rozstrzygnięta: królewski status księżnej. Królowa już wcześniej zasugerowała używanie tytułu „Diana, Księżna Walii”, jednak nie rozwiązywało to kwestii stosowania inicjałów „HRH”. Wiem na pewno, że Diana zadzwoniła do swego szwagra pełniącego obowiązki osobistego sekretarza królowej, sir Roberta Fellowesa, z prośbą, by mogła zatrzymać tytuł Jej Królewska Wysokość. Jej prośba została potraktowana odmownie. Otrzymała zadośćuczynienie w kwocie 17 milionów funtów płatne jednorazowo, lecz za cenę utraty królewskiego statusu. Księżna nie była osobą, której zależało na sprawach ceremonialnych, jednakże w jej oczach ten tytuł, nadany po zawarciu związku małżeńskiego, był ważny. Uważała, że stanowił część jej tożsamości, przez wiele lat pracowała niezamordowanie jako Jej Królewska Wysokość i odbieranie go jest czynem nikczemnym. Kiedy została podjęta ostateczna decyzja, Diana była zdruzgotana.

W rozpaczę zwróciła się do Williama. Opowiedziała mi, jak tego wieczoru siedział razem z nią i objął ją ramieniem.

- Nie martw się mamo, któregoś dnia, kiedy już zostanę królem, zwrócę ci ten tytuł - oznajmił. Na te słowa Diana rozplakała się jeszcze bardziej.

Potem księżna przystąpiła do pisania na maszynie ponad setki listów do organizacji charytatywnych, fundacji oraz innych struktur, w których była afiliowana, wyjaśniając, iż nie może dalej piastować roli królewskiego patrona, wobec faktu, że przestała być członkiem rodziny królewskiej i straciła prawo do używania tytułu Jej Królewskiej Wysokości. Zerwała kontakty z Czerwonym Krzyżem oraz fundacją Help the Aged, pomagającą osobom w podeszłym wieku. Księżna doszła do wniosku, że bardziej efektywne będzie skupienie się na mniejszej liczbie organizacji, podtrzymała więc więzi z National Aid Trust, Centrepoin, Great Ormond Street Hospital, Leprosy Mission.

W tym czasie biuro księżnej zostało przeniesione z Pałacu Św. Jakuba do apartamentu 7 na parterze w Pałacu Kensington. Odmówiono jej udostępnienia siedziby dla biura w Pałacu Buckingham, ponieważ zdaniem królowej lepiej by było, gdyby Diana pozostawała niezależna. Zatem apartament 7 stał się znany jako biuro Diany, księżnej Walii, którego pracami kierował Michael Gibbins.

Po utracie przez księżną królewskiego tytułu protokół wymagał od niej, by teraz jako osoba z zewnątrz składała głęboki ukłon tym członkom rodziny królewskiej, którzy taki tytuł wciąż posiadali. Niedoszła królowa Anglii musiała teraz znosić upokorzenia składania ukłonu przed księciem i księżną Gloucester oraz przed księżną Aleksandrą. Diana znalazła jednak wsparcie z tej strony królewskiej rodziny, z której tego najmniej oczekiwała. Jej sąsiadka z apartamentu 10, księżna Mi-chałowa Kentu, napisała szczery list, który bardzo wzruszył Dianę.

Byłam wręcz wstrząśnięta, kiedy dowiedziałam się z prasy, że po odebraniu Ci tytułu oczekuje się od Ciebie, że spotykając mnie, będziesz zobowiązana do głębokiego ukłonu... Sytuacja taka

wprawiłaby mnie w ogromne zakłopotanie, proszę więc, żebyś nawet o tym nie myślała. Zawsze podziwiałam Twoją odwagę i siłę. Gdyby tylko Karol kochał Cię od samego początku, nigdy nie doszłoby do takiego stanu. Zawsze będziesz miała we mnie wsparcie.

List od księżnej Michałowej Kentu był jak zastrzyk nowej energii. Wszystko, co mogłem zrobić do spółki z resztą przyjaciół, to zapewnianie księżnej, że przedstawia sobą wiele więcej niż tylko trzy inicjały.

- Nie potrzebujesz tytułu. Dokądkolwiek byś nie pojechała w świat, wszędzie będziesz rozpoznawana jako Lady Di - i nikt ci tego nie odbierze. Poza tym, w moich oczach zawsze pozostaniesz Jej Królewską Wysokością - powiedziałem wtedy do niej!

Pozostałem wierny własnym słowom w ciągu roku, który okazał się być jej ostatnim. Każdego ranka, kiedy witałem ją przy śniadaniu, stawiałem na stole dzbanek z kawą i zwracałem się do niej:

- Dzień dobry, Wasza Królewska Wysokość.

Jeśli był jakiś pozytywny aspekt utraty prawa do posługiwania się tytułem królewskim, to swoboda podążania w życiu własną drogą oraz pełnego koncentrowania się na humanitarnych projektach. W tym czasie, co było ważne, ludzie ze świata filmu i kosmetyków przedstawiali jej przeróżne propozycje.

W pewien lipcowy wieczór zadzwonił telefon. Po drugiej stronie był filmowy gwiazdor, Kevin Costner. Rozmowa została połączona bezpośrednio na numer w pokoju kredensowym.

Przełączyłem na oczekiwanie i wybrałem numer wewnętrzny do salonu.

- To Kevin Costner. Chciałby z tobą porozmawiać - poinformowałem ją. W odpowiedzi rozległ się pisk podniecenia.

- Połącz mnie z nim, Paul i chodź tu na górę.

Ruszyłem do salonu i zastałem księżną siedzącą za biurkiem i słuchającą z uwagą. Zobaczyła mnie i przywołała gestem ręki.

- Ale ja nie potrafię śpiewać! - oświadczyła do słuchawki, śmiejąc się. - Co miałabym właściwie robić?... Nie jestem pewna, tak, proszę przysłać i obiecuję, że się z tym zapoznam.

Kiedy skończyła rozmowę, zwróciła się do mnie.

- On chce, żebym zagrała główną rolę w jego kolejnym filmie -Bo-dyguard 3.

Miała to być kontynuacja pierwszego obrazu z gwiazdorską kreacją Whitney Houston. Diana zagrałaby księżną, on uratowałby jej życie. Obiecywał, że będzie to zrobione ze smakiem. Będzie się nią opiekował. Scenariusz prześle pocztą ze Stanów.

- Możesz w to uwierzyć? - powiedziała z zachwytem. - Był taki czarujący, ale chyba nie mówił tego wszystkiego poważnie.

Kevin Costner nie mógł jednak traktować sprawy bardziej poważnie. Wprawdzie kontakt ten był jeszcze nieformalny, lecz księżna, choć podbudowana na duchu i oczarowana przez aktora, zlekceważyła propozycję.

- To po prostu niemożliwe - zamknęła temat.

Dyskutowany scenariusz do Bodyguard II w końcu nadszedł. Nie jestem pewien, czy go przeczytała.

Oferta filmowa pojawiła się po bardziej odpowiadającej księżnej propozycji ze strony amerykańskiego giganta kosmetycznego, firmy Revlon. Przesłali księżnej ofertę wielomilionowego kontraktu, w ramach którego miałyby pokierować organizacją charytatywną w imieniu firmy.

- Cindy Crawford miała być nadal „twarzą”. Ode mnie oczekują, że będę kreować „ducha i styl” - poinformowała mnie.

Począwszy od połowy lutego, wszyscy przygotowaliśmy się i zbieraliśmy siły na powitanie ranka 26 sierpnia 1996 roku - kiedy rozwód stawał się prawomocny. Dnia, w którym księżę i księżna Walii ponownie zyskiwali status osób stanu wolnego. Gdy w końcu nadszedł ten dzień, zapanowała atmosfera będąca mieszaniną smutku i niepewności. Kiedy stałem w korytarzu, czekając aż księżna zejdzie na śniadanie, uświadomiłem sobie, że jej zgoda na rozwód oznaczała dla mnie zerwanie więzów z królewskim dworem, którego progi przestąpiłem w 1976 roku, i rozpoczęcie zupełnie nowej przygody. Uczucie przygnębienia ustępowało więc podnieceniu związanemu z nowym wyzwaniem.

Kiedy księżna się pojawiła, była pełna energii i determinacji, by jej niezależność przemieniła się w sukces. Jadła grejpfruty, miód i rozmawiała o planowanych podróżach: do Waszyngtonu we wrześniu i Australii w listopadzie. Wciąż myślała o przeprowadzce na antypody.

Później przemierzała salon miarowym krokiem, przygotowując się do dnia, w którym będzie oblegana przez światowe media. Zadzwoił telefon. Był to Sir Robert Fellowes, występujący teraz bardziej w roli jej szwagra niż osobistego sekretarza królowej.

- Chciałem ci tylko życzyć powodzenia w tym trudnym dniu, jaki masz przed sobą - powiedział. Księżna jednak nie była w nastroju do przyjmowania wyrazów litości czy współczucia.

- Och, nie - odparła, spoglądając na mnie. - To początek nowego rozdziału. I pamiętaj o jednym, Robercie, ja wciąż kocham mojego męża. To się nigdy nie zmieni.

Tego dnia księżna wyglądała tak wytwornie, ubrana w pastelowe błękity. Sięgnęła po torebkę, wzięła głęboki oddech i ruszyła przez pół-piętro, schodami w dół. Pewnym krokiem doszła do drzwi frontowych. Wciąż miała na palcach pierścionek zaręczynowy oraz małżeńską obrączkę.

- W końcu je zdejmę - oznajmiła. - Ale jeszcze nie teraz.

Zbyt dobrze pamiętała własną reakcję, kiedy rozpadło się małżeństwo jej matki i ojca oraz jak dramatycznym przeżyciem dla niej, wtedy jeszcze dziecka, był widok ściąganych obrączek.

- Obrączka jest tak mała, a znaczy tak wiele - dodała jeszcze. Przeszła przez drzwi, zmierzając na spotkanie z Angielskim Baletem

Narodowym.

Wróciła po południu, mając ochotę na rozmowę.

- Jestem teraz bardzo bogatą damą i uważam, że zasługujesz na podwyżkę uposażenia - oświadczyła, pijąc kawę w swoim salonie.

Moja pensja wzrosła z 22 000 do 30 000 funtów rocznie, reszta personelu - szef kuchni Darren McGrady, sekretarka Caroline McMillan, szef biura Michael Gibbins oraz osobista asystentka Victoria Mendham - również została nagrodzona. Księżna podziękowała nam za wierne trwanie przy niej w ciągu ostatnich kilku miesięcy, na dobre i na złe.

Kiedy ją opuszczałem, wydawała się spokojna. Rozmawialiśmy o minionym dniu, który miał też duże znaczenie dla niej, ojej miłości do księcia Karola, o tym jak bardzo pragnęła, by brytyjska opinia publiczna dowiedziała się, że nie chciała rozwodu, jak bardzo żałowała, że sprawy nie potoczyły się inaczej. Zagłębiała się w niezliczone maksymy, gdyż, jak ujęła, „pomagało jej to zrobić psychiczne porządki”. Te życiowe

mądrości były lekiem na niepokoje, zmartwienia i wątpliwości, a słowa wypowiedane przez innych dodawały jej sił.

Zajmuj się w większym stopniu własnym charakterem niż reputacją, ponieważ charakter świadczy o tym, jaki jesteś naprawdę, natomiast reputacja jest jedynie tym, co inni myślą o tobie.

Własne ja musi najpierw poznać brzmienie ciszy, zanim odkryje prawdziwą pieśń.

Sukces jest rezultatem właściwej oceny. Właściwa ocena jest rezultatem doświadczenia.

Doświadczenie jest rezultatem błędnej oceny.

Wykorzystuj problemy jako okazję do zmiany swego życia.

Problemy pobudzają odwagę i mądrość.

Naucz się adaptować do wyzwań kreatywnych czasów, w których żyjesz.

Właściwe podejście do innych oraz do Boga bierze się z poprawnego stosunku do siebie samego.

Albo cytowała Benjamina Franklina: Rzeczy, które ranią, jednocześnie uczą.

Tego wieczoru, gdy rozwód stał się faktem, powtórzyła jeszcze jedną myśl, która utwierdzała ją, że postąpiła właściwie.

- Żeby móc kogoś kochać i pozwolić mu odejść, potrzeba zgody serca i umysłu. Teraz rozumiem to, Paul - oświadczyła.

Tak wiele bredni napisano na temat księżnej i jej rozwodu. Tak zwani przyjaciele i doradcy kłamali przed światem, że Diana pragnęła rozwieść się z księciem Karolem już w 1990 roku. Nie mniej bzdur napisano ojej nienawiści do męża, która przecież nigdy nie istniała.

- Karol i ja jesteśmy przyjaciółmi i odnosimy się do siebie z życzliwością. Myślę, że zdał sobie

sprawę, co we mnie utracił. Nie żywię do niego nienawiści. Cierpienia, jakich doświadczyłam, sprawiły, że stałam się tym, kim jestem teraz - oznajmiła.

Jeśli chodzi o jej stosunek do Camilli Parker Bowles, nie odczuwała nienawiści, jedynie urazę. Ponownie musiała sięgnąć po złote myśli, by dojść do ładu w kwestii uczuć względem metresy swego męża: Uraza wynika z prób zmiany czegoś, co jest takie a nie inne. Kiedy nie możemy tego zmienić, czujemy się dotknięci.

Księżna spędziła wiele godzin, dywagując nad przyczynami rozpadu jej małżeństwa.

Rozmawialiśmy na ten temat po wielokroć. Jeszcze więcej czasu poświęciła na analizowanie siebie samej, starała się zrozumieć własną mentalność. Mówiła nieraz, że to pozwoliło jej stać się lepszą osobą. Przyjaciele księcia Karola w sposób powierzchowny i wygodny dla niego komentowali jej problemy, wyjaśniając „Diana znowu jest niezrównoważona”. Księżna jednak nie operowała na tak płytkich wodach. Zasadniczą kwestią było to, że w trakcie małżeństwa bardzo cierpiała z powodu niskiego poczucia własnej wartości. Kiedyś wytłumaczyła to następująco: „Wysokie poczucie własnej wartości wcale ciebie nie chroni, ale pozwala ci zająć się z wątpieniem w siebie bez wewnętrznego spustoszenia”.

Była przekonana, że niskie poczucie własnej wartości miało swoje korzenie jeszcze w dzieciństwie. Wniosła ten marny mentalny „autoportret” do małżeństwa z księciem Karolem. Potem koncentrowała się wyłącznie na czerpaniu pozytywnych impulsów dla własnego ego, szukając uznania w oczach Karola dla własnych osiągnięć. Kiedy tego uznania nie znajdowała, czuła się, jak twierdziła, odrzucona.

- Jakby wszystkie fundamenty poczucia własnej wartości zostały zburzone - wyznała kiedyś.

Cytując kogoś o imieniu Mevlana, miał to być „najlepszy poeta i mistyk w dziejach”, dodała - To smutne, że „cierpliwość jest kluczem do radości”, gdybym o tym wiedziała w tamtym czasie!

Księżna musiała również uświadomić sobie, że złość jest naturalnym uczuciem, jednak jej zdaniem wiele kobiet uznawało złość za coś przykrego. Powiedziałem jej, że księżę Karol był tego samego zdania.

Wynajęła nawet profesjonalnego boksera, który przychodził do Pałacu Kensington z workiem treningowym, żeby mogła rozładować złość i agresję. Diana, księżna Walii, z pewnością potrafiła wymierzyć silny cios.

Wieczorem w dzień rozwodu dyskutowaliśmy na temat tych wszystkich emocji. Potem wyszedłem do kuchni. Kiedy wróciłem do pokoju kredensowego, znalazłem niewielką fiszkę ze słowami „dziękuję”, położoną na poliniowanej kartce formatu A4, na której zapisała przemyślenia po naszej rozmowie.

Wszystko, czego wtedy pragnęła - to, by Brytyjczycy zrozumieli, przez co przeszła. Chociaż wiele wycierpiała przez księcia Karola, wiele się dzięki temu nauczyła. Wciąż go kochała. Taką prawdę przekazała w zapiskach pozostawionych na moim biurku tamtej nocy. Księżę Karol często deklarował, że w ciągu następnych dwudziestu pięciu lat królewskie archiwa ujawnią prawdę o jego stosunku do księżnej. Przez ćwierć wieku więc świat będzie żył złudzeniami. Słowa Diany mogą już teraz zdemaskować kłamstwa.

Tamtego wieczoru napisała do mnie:

Jest 28 sierpnia 1996 - 15 lat małżeństwa dobiegło końca. Nigdy nie chciałam rozwodu i zawsze marzyłam o szczęśliwym pożyciu i pełnym miłości wsparciu ze strony Karola. Chociaż nigdy tego nie planowaliśmy, posiadamy dwójkę cudownych chłopców, którzy są obdarzani głęboką miłością obojga rodziców. Jakaś część mnie zawsze będzie kochać Karola, nie potrafię jednak wyrazić, jak bardzo chciałabym, żeby wciąż się mną opiekował i był dumny z moich dokonań. To było 15 burzliwych lat, podczas których stawiałam czoła zazdrości, zawiści i nienawiści ze strony przyjaciół i rodziny Karola - tak bardzo nie potrafili mnie zrozumieć; było to bolesne i przyprawiało o ogromny ból serca.

Z całej mocy pragnę stać się najlepszą przyjaciółką Karola, gdyż lepiej niż ktokolwiek inny rozumiem, do czego zmierza i co jest motorem jego działania.

Kwestia zaufania.

Hura, jesteście w domu!

Te słowa wołały z kremowego papieru z bordowymi brzegami. Otworzyliśmy pchnięciem drzwi frontowe w Starych Koszarach, ciągnąc za sobą walizki. Wracaliśmy z trwających dwa tygodnie wakacji w Kentucky, które dały mi okazję do nadrobienia strat i spędzenia wspólnego czasu z Marią i dziećmi. Wśród poczty rozrzuconej na wycieraczkę znajdowała się koperta, która natychmiast przyciągnęła moją uwagę. Była zaadresowana do „Paula” odręcznym pismem księżnej.

W przeddzień naszego powrotu Diana zeszła na dół i wsunęła list pod drzwi. Gdy zacząłem czytać, stało się jasne, jak wiele ma do opowiedzenia: Dramat gonił za dramatem w ciągu minionych dwóch tygodni, zapewne będziesz pod ich wrażeniem! Wspaniale jest wiedzieć, że już wróciłeś. Do zobaczenia w poniedziałek! Uściski, Diana.

Wróciłem do pracy tak opalony, że wzbudziło to lekką zazdrość księżnej. Oboje mieliśmy opaleniznę, która wymagała podtrzymania. Księżna korzystała ze swego solarium co najmniej dwa razy w tygodniu. Było ono duże niczym statek kosmiczny, usytuowane na parterze obok garderoby i przebieralni.

- Idź i rozgrzej łóżko Paul. Ja zejść na dół za pół godziny - zwykle mówiła.

Nigdy nie lubiła korzystać z zimnego urządzenia, ja zaś jako oficjalny „rozgrzewacz” miałem okazję zaznania piętnastominutowej słonecznej kąpieli. Pewnego razu napomknęła, że czuła się w nim „jak sandwich w tosterze na ultrafiolet”.

Kiedy William i Harry wrócili z letnich wakacji w Zamku Balmoral, matka dowiedziała się, że William był kładziony na kole tortur i „rozciągany”. Stał w salonie obok, a ona nie mogła uwierzyć, jak bardzo urósł: był już odrobinę wyższy od niej, kiedy ustawili się plecami do siebie. Potrzebował nowych butów do rugby, więc wysłano mnie, bym je kupił - rozmiar trzynastcie dla chłopca w wieku czternastu lat, który wciąż jeszcze rósł.

- Wzrost. To cecha odziedziczona po Spencerach - stwierdziła księżna. - Windsorowie są LOOW - Ludźmi o Ograniczonym Wzroście.

William również zdawał sobie sprawę z faktu, że szybko rósł.

- Nie mogłem w to uwierzyć w Balmoral. Babcia i ciocia Małgorzata wydawały się mniejsze.

Jestem teraz nawet wyższy niż tata - mówił z dumą.

Mały Harry spoglądał to na brata, to na matkę. Księżna popatrzyła na niego.

- Ależ Harry, ty również masz w sobie geny Spencerów. Pewnego dnia będziesz taki duży jak twój brat.

Kiedyś William zostanie królem, Królem Williamem V. Latem 2003 roku w wywiadzie z okazji jego dwudziestych pierwszych urodzin mówił

o tym, jak poważnie podchodzi do swej roli. Znałem go jako chłopca, zatem takie słowa w jego ustach podnosiły mnie na duchu. Zakładam, że byłaby to również miła niespodzianka dla jego matki, ponieważ wiedziała, jak bardzo ten nieśmiały, zamknięty w sobie chłopiec bał się perspektywy przejścia tronu. Wychowywano go w świadomości pokładanych w nim wielkich nadziei, on zaś nie przepadał za światłami jupiterów. Kiedy podróżował po Walii w ramach uroczystości związanych z jego dwudziestymi pierwszymi urodzinami, wiedziałem, że księżna byłaby dumna z przemian, jakie się w nim dokonały. Znałem jej niepokój o przyszłość syna.

- William nie chce być królem, martwi się tym - powiedziała do mnie, gdy któregoś wieczoru byliśmy w salonie. - Nie chce, by każdy jego krok był obserwowany.

Potem zatelefonowała do swej amerykańskiej przyjaciółki, Lany Marks, i wyraziła ten sam niepokój. Księżna rozumiała syna, który podobnie jak jego matka był z natury płochliwy i nieśmiały. Urodził się jako druga z kolei osoba pretendująca do tronu. W tym czasie określone cechy i nastawienie Harry'ego sprawiły, że stał się realnym kandydatem do przejścia uciążliwych obowiązków monarchy. Był bardziej otwarty

i pragmatyczny.

- Harry nie dostrzega żadnego problemu w przejściu tronu - stwierdziła kiedyś księżna. - DKH. Tak go nazywamy. DKH czyli Dobry Król Harry. Podoba mi się to!

Od tamtej pory, za każdym razem, gdy Harry przyjeżdżał na weekend do domu, mówiąc o nim, używaliśmy tych trzech inicjałów. Ten pełen ciepła przydomek używało także dwóch jego bliskich

kolegów, chociaż sam Harry nigdy się o tym nie dowiedział. „Gdzie jest DKH?”, Diana pytała, szukając go po całym domu.

Oczywiście, kiedy chłopcy przebywali w domu, personel kierował się ścisłymi instrukcjami, jak ma się do nich zwracać. Nie byliśmy zobligowani do ukłonów, mimo ich królewskiego statusu. Nie mieliśmy też obowiązku tytułować chłopców „Jego Królewska Wysokość”. Nie nakazano nam również zwracać się do nich per „księżę”. Byli to po prostu William i Harry. Księżna pragnęła, by traktować ich normalnie.

Dla Williama jako nastolatka normalność była wszystkim, czego pragnął. Chciał być równym i zwyczajnym chłopcem, nie kimś przeznaczonym do życia w przywilejach i pełnienia obowiązków. Jego matka zupełnie nieprzygotowana znalazła się w świetle jupiterów jako przyszła królowa Anglii, rozumiała zatem obawy Williama; nie chciała, by lęki te zapaściły korzenie i zostały zabrane w dorosłość. Uczyla go, przygotowywała i rozmawiała wiele o prawach, jakie mu przysługują z tytułu urodzenia. William mógł również liczyć na mądrość i wsparcie księcia Karola oraz królowej. W Eton regularnie przekraczał most na Tamizie i mury Windsoru, wchodząc do „zamku Babci”, gdzie pijał herbatę z Jej Królewską Mością i wdawał się w długie dysputy na temat swej przyszłej roli oraz obowiązków wobec kraju i narodu.

Księżna zaczęła przysposabiać Williama do pełnienia tej roli już od najmłodszych lat, jak od wielu pokoleń miało to miejsce w przypadku królewskich dzieci. Nie życzyła sobie, by doradcy z królewskiego dworu wpływali na kształtowanie charakteru jej syna. Chciała to robić po swojemu, tak jak przejęła odpowiedzialność za jego wychowanie, doprowadzając do zwolnienia piastunek. To właśnie w Pałacu Kensington księżna namówiła Williama do wygłoszenia pierwszego w życiu przemówienia, gdy miał dziesięć lat. Było Boże Narodzenie 1992 roku, w komnatach audiencyjnych zgromadzili się dostawcy i pałacowy personel z okazji dorocznego przyjęcia. Nieco wcześniej William przygotował kilka słów adresowanych do nas. Siedział przy biurku księżnej, nerwowo chichocząc w trakcie pisania debiutanckiego przemówienia na kartce różowego papieru. Potem nadszedł ten

moment. Stał na podeście, żeby każdy mógł go widzieć, blisko setka ludzi zamilkła.

- Panie i panowie... - rozpoczął. Oczy matki były skierowane na niego. - ...Wiem, jak bardzo wszyscy musieliście być zajęci - ta ironiczna uwaga, skierowana do nieustannie pracującej w ponadgodzinach służby, sprawiła, że sala wybuchła śmiechem. - Chciałem więc podziękować wam za to, że wszyscy przyszliście.

Następnie, odnosząc się do obecności na sali funkcjonariuszy ochrony, stwierdził:

- Powiniennem was ostrzec, że jest tu dostatecznie dużo policjantów, by kazać wam po dwa razy dmuchać w balonik! Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku!

Gdy schodził z podestu, rozległy się gromkie owacje, matka przytuliła go mocno, a ojciec poczochnął czule jego czuprynę.

Cechą rozpoznawczą Harry'ego była uprzejmość. Któregoś razu Alexander, który przyszedł pograć na należącej do małego księcia konsoli PlayStation, wyjawiał, że oszczędza na własną konsolę. Harry, który zdawał sobie sprawę, że członkowie rodziny królewskiej dostawali wszystko za darmo, powiedział wtedy, że jest mu przykro. Poszedł do swej sypialni na piętrze i po kilku minutach wrócił z banknotem pięciofuntowym w garści.

- Proszę, Alexandre. Dołóż to do swoich oszczędności.

W tym okresie William stale towarzyszył księżnej przy lunchach w Pałacu Kensington, w czasie których zachęcała go do włączania się w rozmowy dorosłych: z Eltonem Johnem rozmawiał i zadawał pytania na temat AIDS; u wydawcy „Daily Mirror”, Piersa Morgana, zabiegał o lepsze relacje z mediami; z Sarah, księżną Yorku, gawędził na temat obciążeń związanych w wypełnianiem królewskich obowiązków.

Pewnego razu William został zwolniony z popołudniowych zajęć w szkole w Eton, bowiem jego matka przygotowała niespodziankę szczególnego rodzaju. Kiedy czekał na górze, pod drzwiami frontowymi zajeżdżała długa czarna limuzyna. Wsiadły z niej supermodelki, Naomi Campbell, Christie Turlington oraz Claudia Schiffer, które były akurat w Londynie przy okazji otwarcia własnego lokalu Fashion Cafe. William, który powiesił na ścianie ich plakaty, od dawna pragnął się

z nimi spotkać. Diana postanowiła więc zaprosić modelki do Pałacu Kensington, zaledwie kilka miesięcy po tym, jak zorganizowała dla syna spotkanie z Cindy Crawford.

William, do bólu świadomy noszonego przez siebie aparatu korekcyjnego, siedział skonsternowany na sofie w salonie, kiedy Naomi Campbell, Claudia Schiffer oraz Christie Turlington pochylały się nad nim, pozując do zdjęć robionych przez księżną.

- Mamo, przestań! - wydusił z siebie.

Supermodelki starały się rozładować jego napięcie, prowadząc uprzejmą konwersację, a księżna z dumą spoglądała, jak syn sobie radzi w tej sytuacji. Jeśli już dzisiaj potrafi świetnie się bawić w towarzystwie pięknych kobiet, przypuszczam, że zawdzięcza to swej matce.

Gdy Claudia Schiffer zapytała go o Eton, odpowiedział „Niezbym przepadam za ziemniakami puree, ale nauczycielka od matematyki, panna Porter, jest bardzo atrakcyjna”, co wszystkie trzy damy uznały za bardzo dowcipne. Potem zaczął opowiadać o życiu na Zamku Balmoral, psach królowej rasy corgi oraz o swoich sympatiach i antypatiach. Kiedy modelki wyszły, księżna zapytała go, co o nich sądzi.

- Nie tak miłe, jak Cindy Crawford - odparł.

Pragnienie Williama, by być normalnym, podzielała jego matka. Najbardziej obfotografowywana kobieta świata tęskniła za anonimowością. Uwielbiała robić to, „co robią wszyscy inni”. Gdy spacerowała w zoo czy w parku nierozpoznana, była zachwycona. Czasami wychodziła o siódmej rano, by pobiegać lub pojeździć na łyżworolkach alejkami ogrodów Pałacu Kensington wiedząc, że będzie mogła pośmigać z fantazją i cieszyć się tak rzadką swobodą, gdy wokół nie było nikogo.

Kiedy czuła szczególnie przyptyw odwagi, decydowała się na założenie wyszukanego przebrania i wkrótce też powiększył się zakres moich obowiązków. Pewnego razu zostałem wysłany do Selfridge'a, by kupić tam perukę z czarnymi, prostymi włosami do ramion. Kiedy indziej musiałem udać się do optyka przy Kensington High Street i nabyć parę okularów w dużych okrągłych oprawkach, prosząc, żeby zamiast soczewek zamontował zwykłe szkła. Kiedy wróciłem do pałacu, księżna nie mogła się doczekać, by sprawdzić swoje nowe emploi.

Byłem w pokoju kredensowym, kiedy zeszła na dół jako inna osoba. Starła się patrzeć prosto przed siebie, lecz ja nie mogłem się powstrzymać od gapienia się na nią.

- Na pewno nikt cię nie rozpozna! Spójrz tylko na siebie! - zawyrokowałem. Księżna aż płakała ze śmiechu, po jej policzkach spływały łzy.

Tego wieczoru w peruce, okularach, czarnej bluzie marki Puffa i džinsach Diana, księżna Walii, stanęła z przyjaciółmi w kolejce do drzwi

klubu jazzowego Ronniego Scotta w Londynie. Następnego ranka nie mogła się doczekać, by opowiedzieć mi o tym przy śniadaniu.

- Dym w klubie wlaził mi do oczu - nawet z okularami na nosie!

- tłumaczyła. - Kiedy czekaliśmy na zewnątrz, kolejka była o wiele za długa, jak na mój gust.

Wdałam się w pogawędkę z mężczyzną stojącym obok nas, on nie miał najmniejszego pojęcia, kim byłam. To takie zabawne. Mogłam być sobą w publicznym miejscu!

W moich oczach paradoks był oczywisty, chociaż uszedł uwagi księżnej, ponieważ ona wcale nie „była sobą”. Musiała stać się kimś innym, zanim mogła być sobą, a kiedy cieszyła się ze swobody pod przebraniem, pomyślałem, jak smutne było to wszystko.

- Chodź, chcę ci coś pokazać - zawołała księżna któregoś dnia pod koniec września 1996 roku.

Ruszyłem za nią, starając się nadażyć za jej szybkimi krokami, gdy szła po schodach do pracowni garderobianej, a potem do przebieralni z białymi drzwiami sięgającymi od podłogi po sufit.

Otwierała je po kolei gwałtownie i odsłaniała drążki na których wisiały długie wieczorowe suknie ułożone kolorami, zaczynając od czarnych na jednym końcu, przez różne barwy aż po białe na drugim.

- Spójrz tylko na te wszystkie suknie! - powiedziała. - Ile sukni balowych znajduje się twoim zdaniem w tym pomieszczeniu?

Chodziła wzdłuż nich i liczyła palcem stroje zawieszane na aksamitnych wieszakach. Tylko w tym pokoju było ich w sumie sześćdziesiąt dwa, a do tego dochodziły suknie trzymane w garderobie o kształcie litery L, usytuowanej na pierwszym piętrze.

- Z każdą z nich wiąże się jakiś wspomnienie i stary przyjaciel - wyznała. - Teraz jednak nadszedł czas, by wszystkie je wystawić na sprzedaż.

Pod koniec lata było to już drugie szokujące wydarzenie. Pierwsze to wzmianka o przeprowadzce do Australii; teraz narodził się pomysł wyprzedaży osobistej garderoby. Księżna brała odpowiedzialność za swój świat. Opuszczała stary i wstępowała w nowy. O charytatywnej aukcji sukni zaczęła myśleć po rozmowie z Williamem i potem z Eltonem Johnem. W końcu ugoda rozwodowa gwarantowała jej wiele milionów. Wystawienie sukni na licytację zapewniłoby korzyści również dla innych, zwłaszcza dla organizacji charytatywnych pomagających ofiarom AIDS, które potrzebowały pieniędzy na prowadzenie hospicjów i na badania.

Staliśmy w garderobie, a księżna wyciągała suknie i wspominała. Sięgnęła po jeden z wieszaków.

- Moja suknia Przemięło z wiatrem\

Prezentowała kreację pełnej długości, z odkrytymi ramionami w kwieciste wzory. Potem wyciągnęła inną.

- Miałam ją na sobie w Białym Domu, tańcząc z Johnem Travoltą, chociaż moje oczy spoglądały na kogoś innego.

Była to suknia z granatowego aksamitu. Potem dostrzegła kreację z atlasu w kolorze perłowym z bolerkiem, uszytą przez Victora Edelsteina, w której wystąpiła w Pałacu Elizejskim w Paryżu na oficjalnym przyjęciu wydanym przez prezydenta Mitteranda.

- Nie jestem pewna, czy potrafię się z nią rozstać. Kiedy ją nosiłam, czułam się naprawdę jak księżna.

Jej wahania były więc zrozumiałe, kiedy w czerwcu następnego roku robiono selekcję garderoby na organizowaną w Nowym Jorku aukcję: ta sukienka była ostatnią licytowaną pozycją z numerem 80. Nostalgia nie przytłumiła jednak w księżnej poczucia misji. Chwyciła dwa wieszaki, ja uczyniłem to samo i ruszyliśmy na górę. Potem znowu na dół. I na górę.

- Zadzwon do Marii i poproś, żeby Betty tu przyszła i dołączyła do nas - księżna zwróciła się do mnie, wiedząc, że Betty przebywa u nas w Starych Koszarach.

Zanim Betty dotarła, koszula lepiła mi się do pleców. Biegałem po schodach w górę i w dół, zanosząc na pierwsze piętro blisko pięćdziesiąt sukni, potem rozmontowując i ponownie montując szynę w szafie w salonie chłopców. Teraz bardziej przypominał zagracony sklep z używaną odzieżą. Księżna podchodziła do pomysłu aukcji do pewnego stopnia podobnie, jak traktowała życie osobiste: pragnęła zasięgać porady u wszystkich. Betty, ekspertka od dzianych robótek u siebie w Północnej Walii, nagle poczuła się jak pałacowa dyktatorka mody i spec od haute couture. Ileż radości sprawiło to księżnej! Betty nie okazała się dostatecznie bezwzględna do wykonania tego zadania: miała przed oczami najpiękniejszą kolekcję porzucanych damskich kreacji i była tym przerażona. Wydawało się jej, że powędrują one na wyprzedaże rzeczy używanych, w rodzaju tych, w jakich sama uczestniczyła w Kenyon Hali, organizowanych przez Women's Institute.

- Oooh - stwierdziła, najwyraźniej zszokowana - nie możesz tej wyrzucić!

Brałem suknie, jedna za drugą, a bezwzględny selekcjoner w osobie księżnej nie zgadzał się z Betty, która chciała zatrzymać jak najwięcej.

- Ależ nie. Wcale nie musisz oddawać także i tej! - Betty nie przestawała zrzędzić. - Och, taka śliczna suknia. Co za marnotrawstwo! - głędziła i głędziła bez końca. Księżna zaśmiewała się do łez.

W ten weekend William wniósł nieco stanowczych decyzji do całej procedury. Wywalił wszystkie wieszaki z szaf, jakie były w jego pokoju, i przystąpił do własnej selekcji. Inną osobą, której wkład trudno przecenić, była Aileen Getty, córka amerykańskiego miliardera Paula Getty'ego. Cierpiała na pełnoobjawowe AIDS. Kilka razy zjawiała się w Pałacu Kensington w porze obiadowej. Księżna nie mogła się doczekać, by pokazać jej kreacje, jakie miały być wystawione na sprzedaż w celu gromadzenia pieniędzy dla ludzi znajdujących się w podobnej jak ona sytuacji.

Dom aukcyjny Christie's przysłał Meredith Etherington-Smith, swego eksperta od garderoby - którą księżna z miejsca polubiła - w celu skatalogowania i sporządzenia opisu sukien. W sumie pod młotek poszło siedemdziesiąt dziewięć kreacji (numer trzynasty pominięto) - stroje koktajlowe i wieczorowe - przynosząc dochód w wysokości 3 250 750 dolarów, czyli blisko 1,85 miliona

funtów, przeznaczony dla organizacji charytatywnych wspierających chorych na AIDS i raka po obu stronach Atlantyku.

Jedna szafa w garderobie na parterze pozostała nie naruszona. W dniu, kiedy narodził się pomysł aukcji, księżna uniosła pokrowiec osłaniający szczególną kreację: suknię ślubną, którą miała na sobie w 1981 roku.

- To jedyna suknia, której nie mogę sprzedać - stwierdziła i zaczęła wspominać, jak jej matka, Frances Shand Kydd, zapłaciła za nią w gwineach. - Chcę ją podarować Muzeum Wiktorii i Alberta, by wzbogacić narodową kolekcję.

Wyraziła to życzenie na rok przed śmiercią. Wspomniała o tym nie tylko mnie; w trakcie lunchu z Charlesem Moorem, redaktorem naczelnym „Daily Telegraph”, również o tym mówiła. Dzisiaj suknia ślubna jest wystawiona w jednej z gablot Muzeum Diany w Althorp, jej rodzinnym domu. Nie wszystkie suknie zostały przeznaczone na aukcję czy do muzealnych kolekcji. Niektóre niepotrzebne już kreacje oddano żeńskiemu personelowi, część żakietów i sukni sprzedano sklepom z używaną odzieżą w dzielnicach Knightsbridge oraz Chelsea. Stało się tak na życzenie księżnej, żeby zyskać nieco funduszy na wydatki, bowiem osoby królewskiego stanu rzadko kiedy dysponowały gotówką. Księżna używała kart kredytowych, podpisując je słowem „Walia”, nie „Diana”. Pozyskując

gotówkę, mogła ją wydawać wedle własnej woli, nie pozostawiając śladów, zabierając na przykład Williama i Harry'ego do kina lub do restauracji McDonald's. Jednym z największym paradoksów pełnego przepychu królewskiego życia młodych księżąt była ich fascynacja pieniędzmi oraz wizerunkiem twarzy królowej na banknotach o różnych nominałach. Banknot pięcioletni zyskał nazwę „błękitnej Babci”; dziesięcioletni „brązową Babcia” natomiast nominał w wysokości pięćdziesięciu funtów otrzymał miano „Babci różowej”. Kiedy księżna dawała im pieniądze, zabawnie było przyglądać się skaczącym z radości chłopcom, niezmiennie ściskającym w garści ich „różową Babcie”.

Razem z osobistą asystentką, Victorią Mendham, która opuściła pałacową służbę na początku 1997 roku, zabraliśmy około dwudziestu strojów do sklepów z używaną odzieżą. Na wieszakach pojawiły się tam nagle metki Catherine Walker, Versace, Chanel, Armani, nie wiadomo było przy tym, od kogo garderoba pochodzi. Kreacje, warte zapewne 2000 funtów, miały być sprzedane za około 200, a ktoś, gdzieś paradował potem w garderobie księżnej.

Tego typu regularne wyprzedaże przyniosły księżnej dochód rzędu 11 000 funtów, które trzymała włożone do koperty w dolnej szufladzie. Pewnego dnia w kwietniu 1997 roku zdecydowała się na przekazanie ich Michaelowi Gibbinsowi, któremu szczeka opadła niemal do ziemi po otworzeniu koperty, jak opowiadała księżna. Gibbins wziął pieniądze i wpłacił je na konto bankowe, nie mając pojęcia, skąd wzięła się ta suma. Nawet szef biura nie był wtajemniczany w prywatne finanse księżnej - do tamtej pory.

Nowy problem świeżo rozwiedzionej księżnej i najpiękniejszej kobiety świata polegał na tym, że mężczyźni na całym globie dowiedzieli się, że jest ona ponownie stanu wolnego. Nim nadszedł koniec lata 1996 roku, wielu znanych i zamożnych panów zaczęło oblegać księżną. Oczywiście, to schlebiali, jednak jej uczucia były już skierowane ku pewnej osobie. Nikt jednak tego nie wiedział; sercowe sprawy księżnej otaczała tajemnica. Panowie pukali do drzwi, nie zrażeni uprzejmymi odmowami czy nieustannymi wymówkami. Pełnienie w tamtym czasie obowiązków kamerdynera w Pałacu Kensington było jak wspólne zamieszkiwanie z przyjaciółką obdarzaną platonicznym uczuciem, wiedząc, że znajdowała się poza zasięgiem wszystkich. Do moich obowiązków doszło teraz odbieranie telefonów od oczarowanych, nieustępliwych i nieszczęśliwie ożenionych. To ja miałem wiedzieć, z kim księżna zechce porozmawiać,

a z kim nie; kogo należy odprawić uprzejmie, a komu trzeba powiedzieć stanowcze „Nie!”.

Pewnego dnia, zupełnie nieoczekiwanie, posłaniec przyniósł pięćdziesiąt wspaniałych róż z dołączonym bilecikiem o raczej poufnej treści. Księżna zasięgnęła najpierw mojej opinii, potem rozmawiała z Katheri-ne Graham, zbliżającą się do osiemdziesiątych urodzin, lecz nigdy nie tracącą elegancji wydawcą „Washington Post”. Diana podziwiała jej siłę („Weszła do świata mężczyzn i zaszła na sam szczyt”). Miss Graham stała się jednym z kluczowych sojuszników w Ameryce, obok

Anny Win-tour, redaktor naczelnej „Vogue'a”, Barbary Walters, nestorki amerykańskich dziennikarzy telewizyjnych oraz dwójki fotografów mających atelier w Nowym Jorku: Patricia Demarcheliera oraz Maria Testina.

Księżna uwielbiała życie na Manhattanie: zakupy na Fifth Avenue, lunche w restauracji Four Seasons, noclegi zawsze w hotelu Carlyle. Stała się stałym gościem w Ameryce, spędzała wiele czasu w Waszyngtonie, gdzie przesiadywała w ambasadzie Brazylii z przyjaciółką numer jeden, Lucią Flecha de Lima. To właśnie Lucia poznała Dianę z Laną Marks, z którą księżna zaprzyjaźniła się w ostatnim roku życia - żoną znanego psychoterapeuty, zamieszkałą w Palm Beach na Florydzie i prowadzącą sieć butików ze skórzaną garderobą w całych Stanach. Łączyło ją z księżną wspólne poczucie humoru oraz pasja do mody i baletu. Kiedy Lana przybyła po raz pierwszy do Londynu, moim obowiązkiem było przemycenie Diany do hotelu Lanesborough na kameralny lunch: księżna położyła się na tylnym siedzeniu, ja zaś podjechałem moją niebieską Astra Vauxhall pod portyk przed frontowym wejściem.

- Czy teren jest czysty? - zapytała.

W polu widzenia nie dostrzegłem żadnego fotoreportera.

- Czysty - potwierdziłem, a ona wysiadła i wbiegła do hotelu. Pamiętam, jak image jednego z hollywoodzkich aktorów i zdobywców

Oscara prysł nagle jak mydlana bańka, kiedy okazało się, że zabrakło mu odrobiny śmiałości, by osobiście zadzwonić do pałacu i umówić się z księżną na spotkanie: w jego imieniu napisał list jeden z przyjaciół gwiazdora. Kiedy Diana odpisała, grzecznie odmawiając, ponowił swoją prośbę miesiąc później. Księżna wypila z nim drinka i postanowiła nie spotykać się nigdy więcej.

Nie był jedynym, który kierował się szlachetnymi intencjami. Byli też: pewien sportowiec-legenda; wybitny muzyk; pisarz; prawnik; przedsiębiorca; miliarder kierujący własnym imperium oraz bardzo sławny polityk.

Zapewniali księżnej fascynujące towarzystwo, ale jej serce należało już do kogoś innego.

Księżna nazywała mnie „kontrolerem toru wyścigowego”, bowiem pomagałem jej mieć kontrolę nad udziałem mężczyzn w jej życiu. Ustalaliśmy, kto jest prawdziwym biegaczem w tym wyścigu, a kto wlecze się na szarym końcu. Organizowałem teraz jej nowe życie, z tego obowiązku wywiązywałem się jednak w sposób całkiem niefrasobliwy. Żartowałem z niej. Ona żartowała ze mnie. Podobnie jak poszufladkowała określone przyjaźnie, tak teraz kontrolowała pozycje męskich przyjaciół. Nazywaliśmy to „systemem boksów startowych”, jak gdyby mężczyźni byli rywalami ścigającymi się na torze wyścigowym, biegającymi wokół księżnej z prezentami i kwiatami.

Konkurent zajmujący tor numer jeden nie zmieniał się nigdy. W oczach księżnej zawsze zajmował „pole position”, nie zagrożony przez rywali znajdujących się za jego plecami. Przez cały dzień informowałem Dianę, w którym boksie dzwonił dzwonek i o jakiej porze.

- Dzwonił boks numer 5, prosi żebyś oddzwoniła. Boks numer 8 pragnie z tobą porozmawiać; czy mam go znowu odprawić?

Na swoim biurku księżna trzymała listę z boksami startowymi oraz ich lokatorami. W moim pokoju kredensowym znajdował się duplikat tej listy, przyklejony do tylnej okładki biurkowego terminarza. Nazwiska na niej się zmieniały, gdy jedni mężczyźni zdobywali względy, inni zaś je tracili.

Niekiedy księżna nie mogła uwierzyć, jak wielu starających się o jej rękę deklarowało swoje intencje. Zwykła żartować, że tor wyścigowy stawał się „nieco zatłoczony”. Pewnego razu napisałem do niej:

Wciąż mamy do czynienia z poważnym przepełnieniem na torze wyścigowym. Po kolejnych konsultacjach zostałem powiadomiony, że w boksach numer 8 i 9 nikt nie wystartuje. Jeden z rywali wpadł podczas losowej kontroli anty dopingowej; drugi natomiast nie przeszedł przez szczegółowe badanie medyczne.

Księżna odpisała:

Z powodu poważnego przepełnienia toru wyścigowego sędziowie poprosili o dokonanie ponownej oceny rywali startujących na poszczególnych torach i zwrócili się z petycją do pana Paula Burrella o jego nieocenioną pomoc w wykonaniu tego

delikatnego zadania!!!

Po skończeniu etapu, który nazwałbym „ankietą uczestnictwa”, można było wyznaczyć w boksie linię startową dla prawnika lub polityka.

Ujemną stroną zaangażowania się w ten królewski wir i bycia tak blisko księżnej było to, że moje życie zlało się z jej życiem. Kiedy przyjaciele deklarowali, że zawsze będą przy niej, oznaczało to gotowość do pomocy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. We wrześniu 1996 roku wróciłem do domu bardzo późno, znowu po godzinie jedenastej wieczorem, i zasiadłem z Marią przy butelce czerwonego wina. Tuż po północy zadzwoniła księżna, zapłakana. Prosiła, bym dostarczył wiadomość komuś, z kim posprzeczała się przez telefon.

Jak mogłem odmówić, słysząc, jak bardzo to przeżywa? Kiedy odłożyłem słuchawkę, powiedziałem Marii, że muszę wyjść załatwić sprawę.

- No właśnie. Mam tego dosyć! Ty jesteś rozrzewniający! - prychnęła.

- Ależ, skarbie, musisz zrozumieć, że ona mnie potrzebuje. Nikt inny nie jest w stanie jej pomóc o tej porze - powiedziałem.

- Paul, tyją niańczysz. Ona pstryka palcami i ty biegniesz. Mam tego dosyć. Mam dość ciebie i mam dość jej! - Maria ruszyła z impetem do sypialni, ja zaś założyłem buty, marynarkę i wyszedłem w ciemną noc.

Misja została wykonana, położyłem się do łóżka dopiero przed świtem. Tego ranka stawiałem się w pracy jak zawsze o ósmej rano, zastanawiając się, czy w ogóle zmrużyłem oko. Jednak trud okazał się wart zachodu, kiedy bowiem dotarłem do pokoju kredensowego, znalazłem notatkę od bardzo uszczęśliwionej szefowej.

Drogi Paul. Niewielu ludzi wybrałoby się nocą, by załatwić sprawy serca... niewielu ludzi posiada życzliwość i cnoty, jakimi los obdarzył Ciebie... Jestem głęboko poruszona Twoim postępowaniem wczoraj w nocy i bardzo zależy mi na tym, żebyś o tym wiedział. W tym domu nastały czasy pełne niezwykłych wyzwań, jedna rzecz nie ulega wszakże wątpliwości - bez Ciebie u steru tego okrętu wszyscy bylibyśmy w znacznie gorszej sytuacji, nie mając już siły na uśmiech! Zatem bardzo Ci dziękuję za przyjście z odsieczą po raz kolejny. Uściski, Diana.

Chodziłem do pracy, próbując odgadnąć, czy zostawiła mi jakąś notatkę, czy też nie. Notatki były zostawiane codziennie w różnych apartamentach: instrukcje, wiadomości lub podziękowania - nigdy nie żałowała czasu, żeby zapisać to, co mogła powiedzieć mi bezpośrednio lub przez telefon. Pewnego razu któryś z zabiegających o względy przekonał księżną do przyjęcia zaproszenia na kolację, chociaż tak naprawdę nie miała ochoty wyjść, ja zaś dokuczałem jej bez końca, że ją ochraniam.

- Nie martw się, Paul. Potrafię zadbać o siebie - oznajmiła wtedy. Kiedy wyszła, zostałem w pałacu i przez pół wieczoru zamartwiałem

się, zastanawiając, czy ze wszystkim sobie poradzi. Powiedziałem, żeby w razie kłopotów zadzwoniła do mnie z telefonu komórkowego, który zawsze nosiła w torebce. Miała wrócić o jedenastej wieczorem, postanowiłem więc zostawić na jej poduszce figlarną notatkę, zastanawiając się, czy jako mężczyzna potrafię przewidzieć każdy ruch konkurenta do ręki. Księżna często mawiała, że miałem drażniący nawyk posiadania zawsze racji.

Kiedy wróciła, wypełniła mój żartobliwy kwestionariusz i zostawiła go na stołku na górze schodów, żeby mieć pewność, iż będzie to pierwsza rzecz, którą zobaczę rano zaraz po przyjściu.

Moje pytania były napisane kolorem czarnym; księżna dopisała swoje odpowiedzi zielonym atramentem.

Wasza Królewska Wysokość...

JEŻELI... kolacja była dla dwóch osób przy świecach? Prawdłowo!

JEŻELI... na stole był bukiet róż? Prawdłowo!

JEŻELI... miał jaszczurcze wargi i ślinił się przez cały wieczór? Nie, ale był głuchy jak pień.

ORAZ nalegał żebyś wypila kieliszek szampana? 2 kieliszki.

WTEDY OKAZE SIĘ, ŻE MIAŁEM RACJĘ!

Tego ranka śmieliśmy się do rozpuku. Kiedy podałem śniadanie, przystawiłem krzesło i usiadłem

przy stole jadalnym.

- No dobrze, a teraz powiedz mi o tym - poprosiłem.

Od takich samych słów rozpoczął rozmowę pewien dziennikarz z ogólnokrajowej gazety, który zdobył numer telefonu bezpośrednio do mnie do pokoju kredensowego. Dzwonił, żeby sprawdzić wiarygodność uzyskanej przez niego poufnej informacji, jakoby otrzymał ofertę pracy w Ameryce w charakterze kamerdynera aktora Mela Gibsona. Na początku 1996 roku prasa zaczęła analizować stosunki między mną i księżną. Pierwszy był „News of the World”, który w numerze z 14 stycznia kusił nagłówkiem KAMERDYNER JEST JEDYNYM, KTÓREMU LADY DI UFA. W ślad za nim „Daily Mail” na całej stronie pytał CZY TO JEST JEDYNY MEŹCZYŻNA, KTÓREMU DIANA NAPRAWDĘ UFA?, opisując, jak to zostałem wyznaczony do „osobistego pilnowania jej telefaksu w prywatnym apartamencie oraz pełnienia funkcji najbardziej zaufanego z posłańców”, nawet kiedy księżna była na wakacjach. Jednak nieoczekiwany telefon dotyczący Mela Gibsona był pierwszym epizodem, który mnie zaskoczył.

Prawda była taka, że pewna agencja ze Stanów Zjednoczonych zaproponowała podjęcie pracy u Mela Gibsona. Nie miałem jednak zamiaru mówić o tym natrętnemu reporterowi. Podczas trwającej dziesięć minut telefonicznej rozmowy naciskał, bym powiedział prawdę, lecz ja niezmiennie oświadczałem:

- Jestem bardzo zadowolony z pracy dla księżnej.

- Ale czy zaprzeczy pan, że Mel Gibson złożył panu ofertę zatrudnienia w charakterze jego kamerdynera - dziennikarz nie dawał za wygraną.

- Jestem bardzo zadowolony z pracy dla księżnej - powtórzyłem.

Wpadłem jednak w panikę, bowiem nie powiedziałem księżnej o pomyśle Mela Gibsona, wiedząc, że jest z góry skazany na niepowodzenie. Poszedłem więc na górę i natychmiast poinformowałem księżną o tej rozmowie.

Wpadła we wściekłość.

- Nie będę tego tolerować! Nie będę tolerować tego, że dzwonią w takich sprawach do ciebie - zawołała.

Zbiegła jak burza po schodach, potem przez tylne wyjście i wpadła do przylegającego biura, gdzie poleciała Caroline McMillan oddzwonić do wścibskiego reportera, po czym bez pardonu zrugowała go za złamanie ogólnie przyjętego protokołu, prosząc jednocześnie, żeby był łaskaw powstrzymać się od kontaktów z jej personelem i dodając, że jej kamerdyner nigdzie się nie wybiera. Następnego dnia razem z księżną pograżyliśmy się w lekturze dwóch stron tekstu w porannej gazecie zatytułowanego JESTEM FACETEM DIANY, w którym opisano, jak odprawiłem z kwitkiem Mela Gibsona, wiążąc swą przyszłość z szefową. Sytuacja potencjalnie niekorzystna przemieniła się w pozytywną historię, księżna zaś przez cały dzień kpiła ze mnie, nazywając „swoim facetem”.

Byłem już przekonany, że wszelkie rozmowy na temat skaperowania mnie miałem za sobą - do dnia, w którym do Pałacu Kensington przybyła na lunch Oprah Winfrey, sławna amerykańska gospodyni telewizyjnych talk-show. Księżna była naprawdę podenerwowana czekającym ją spotkaniem, gdyż jak stwierdziła: „To takie wielkie nazwisko”. Nawet nie przyszło jej na myśl, że Oprah również może być zdenerwowana.

Wprowadziłem gościa do salonu recepcyjnego i zaoferowałem drinka. Oprah Winfrey wyraziła ochotę na szklankę wody. Następnie wróciłem do księżnej w jej pokoju dziennym.

- Jaka ona jest? - wyszeptwała.

- Zauważa wszystko, nic nie ujdzie jej uwagi. Jej niezwykle bystra, a w uszach ma największe brylantowe kolczyki, jakie widziałem.

Księżna wydawała się być pod wrażeniem. Weszła do salonu w typowy, wyrażający pewność siebie sposób.

- Przepraszam najmocniej, że kazałam na siebie czekać - oświadczyła, podchodząc, by przywitać się z gwiazdą amerykańskiej telewizji.

Podaliśmy lunch w sali jadalnej, a po chwili zostałem włączony do rozmowy, kiedy jej tematem stał się kraj po drugiej stronie oceanu.

- Uwielbiamy Amerykę, prawda Paul? - powiedziała księżna. - On jeździ tam co roku na wakacje.
- Czy zatem rozważyłaby pani możliwość zamieszkania w Stanach Zjednoczonych? - zapytała Oprah.

- To wspaniałe miejsce do zwiedzania dla moich chłopców - Diana odparła dyplomatycznie, nie wspominając nawet o tym, że wciąż rozważała przeprowadzenie się do Australii.

W tym momencie wtrąciłem się do rozmowy.

- Mógłbym spakować swoje rzeczy, wyruszyć w drogę i zamieszkać od jutra w Ameryce - oświadczyłem, spoglądając na księżną i mrugając do niej.

Oprah dostrzegła w tym okazję dla siebie.

- Moglibyśmy zatrudnić u siebie kamerdynera. Dlaczego nie miałby pan przyjechać do Chicago i pracować u mnie? - zapytała.

Księżna wyprostowała się nagle w swoim krześle.

- Posłuchaj Oprah - odparła, śmiejąc się - on jest moim kamerdynerem i zostanie tutaj.

Później przez cały czas aż do podania kawy trwała ta przyjacielska rywalizacja: Oprah powracała do tego tematu, starając się wprowadzić mnie w zakłopotanie.

Po obiedzie księżna i ja odprowadziliśmy ją do drzwi frontowych, gdzie czekał samochód. Oprah, zanim odjechała, opuściła boczną szybę i wychyliła się.

- To twoja ostatnia szansa, Paul - oświadczyła.

Szefowa, która stała obok na frontowych schodach, objęła mnie zaborczo ramieniem.

- Hej, on należy do mnie, i zostanie tutaj ze mną - zadeklarowała.

Spotkanie z lunchem w programie zakończyło się wybuchem śmiechu, kiedy machaliśmy jej na pożegnanie.

Można było odnieść wrażenie, że byłem przy Dianie nieustannie, rankiem, w ciągu dnia i późnym wieczorem.

- Rusz się, Paul. Pojedziemy na przejażdżkę - księżna zwróciła się do mnie któregoś letniego wieczoru po kolacji.

Wskoczyliśmy do jej bmw. Jechała bocznymi uliczkami dzielnic Bays-water i Queensway, w kierunku Paddington Green, w rejon dworca kolejowego. Zakręciła w prawo, potem w lewo. W prawo. W lewo. Znała wszystkie skróty.

- Nie potrzebujesz wcale zdawać egzaminów ze znajomości miasta!

- zażartowałem.

- Mogłabym zasiąść za kierownicą którejś z londyńskich taksówek

- uśmiechnęła się, a daszek baseballowej czapki ocieniał jej twarz.

Podjechaliśmy do rogu jakiejś ulicy. Księżna zjechała na pobocze, nie wyłączyła jednak silnika.

Następnie opuściła szybę w oknie po mojej stronie. Na rogu stały dwie dziewczyny z agresywnym makijażem, pogrążone w rozmowie. Kiedy nasze auto zjechało na pobocze, dziewczyny zatrzymały się i chwiejnym krokiem w butach na wysokich obcasach ruszyły w naszą stronę. Królowe nocy patrolowały swój rewir.

Wyższa z nich nie przestawała na mnie patrzeć, kiedy zacząłem się wiercić na przednim siedzeniu.

Położyła obie ręce na dachu samochodu, pochyliła się i zajrzała do środka.

- Cześć księżniczko Di. Jak leci? - zapytała, ignorując moją osobę. Obróciłem głowę w prawą stronę, a księżna pochyliła się w moim kierunku.

- Całkiem nieźle, [tu padło imię]. Jesteście zajęte?

Druga z dziewczyn, szczuplejsza, pochyliła się z zamiarem dołączenia do rozmowy.

- Nie bardzo, nie ma żywej duszy, ale jeszcze się tu pokręcimy. Trzeba zasuwać, księżniczko - dodała.

Dobry Boże, pomyślałem sobie. Księżna zna je osobiście.

- Kto to jest? - zapytała jedna z nich, spoglądając na nerwowo zachowującego się typa, który wcale się nie odzywał.

- To jest Paul - przedstawiła mnie.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Wszystko odbyło się z pełną kurtuazją. Szefowa sięgnęła do kieszeni i

wyciągnęła dwa nowiusieńkie banknoty o nominale 50 funtów szterlingów.

- Słuchajcie dziewczyny, zróbcie sobie wolne w tę noc. Idźcie do domu, do dzieci - powiedziała, wciskając banknoty w zachłannie wyciągnięte dłonie.

Księżna zapytała je o dzieci. Jedno z nich wcześniej było przeziębione. Czy czuje się już lepiej?

Po krótkiej wymianie zdań wyższa z kobiet klepnęła dach auta, po czym obie ruszyły w drogę oświetlaną przez nasze światła postojowe. Te 100 funtów jako jałmużna mogło wyświadczyć wiele dobrego. Co za marnotrawstwo, pomyślałem sobie.

- To czyste szaleństwo. Wasza Królewska Wysokość nie może sobie pozwolić na pokazywanie się w takich miejscach - zaproponowałem. Mój głos zabrzmiał o oktawę lub dwie wyżej niż zwykle, wyobraziłem sobie bowiem tytuł z prasy DI I JEJ KAMERDYNER PRZYŁAPANI NA ZACZEPIANIU PROSTYTUTEK.

- Ależ Paul - odparła księżna, ruszając z miejsca - wyluzuj się. Te dziewczyny potrzebują pomocy, a ja nie robię niczego innego, tylko im pomagam.

Naiwność jej misji była zdumiewająca, jednak jej serce -zresztą jak zawsze - kierowało się szlachetnym odruchem. Gdyby księżna stanęła w obliczu schodzącej lawiny, jestem przekonany, że usiłowałaby ją zatrzymać. Pragnęła pomagać wszystkim. Chorym. Biednym. Bezdomnym. Głodującym. Cierpiącym na AIDS. Niedołężnym. prostytutkom. Narkomanom. Alkoholikom. Gdyby zależało to od niej - a w coraz większym stopniu wyglądało, że tak właśnie jest -jej charytatywna działalność nie znałaby granic. Ileż to razy w trakcie pełnienia moich obowiązków słyszałem szczerze słowa padające z jej ust: „Czuję, że mogę pomóc...” albo „Chcę docierać tam, gdzie serca potrzebują naprawy”. Chciała naprawiać świat i społeczeństwo na skalę, która była Mission Impossible w czystej formie.

Latem i zimą 1996 roku powracaliśmy do zaułków Paddington jeszcze kilkakrotnie. W listopadzie zatrzymaliśmy się przy tym samym skrzyżowaniu ulic. prostytutka, która miała dwójkę dzieci, pracowała na ulicy, by zapewnić im utrzymanie.

Podczas jednej z takich ulicznych sesji księżna podarowała tej kobiecie 100 funtów.

- Masz i kup sobie przyzwoity płaszcz. Chcę cię w nim widzieć, kiedy przyjadę tu następnym razem -powiedziała niemal matczynym tonem.

W szafie księżnej wisiało długie futro, które otrzymała kiedyś w prezencie. Przyjęła je z wdzięcznością jako prezent, lecz nigdy nie nosiła

futer. Pewnego popołudnia widziałem, jak opuszcza Pałac Kensington z futrem pod pachą. Wróciła potem już bez niego. Opowiedziała mi, jak jeździła ulicami dzielnicy Victoria, aż wreszcie dostrzegła kontener na śmieci. Zatrzymała samochód, opuściła szybę w oknie i wrzuciła do niego futrzany płaszcz.

- Nigdy nie wiadomo, może jakiś włóczęga wyciągnie je. Na pewno będzie mu ciepło! - powiedziała.

Przywykłem do siedzenia w bmw, niekiedy na miejscu dla pasażera, kiedy indziej za kierownicą, często po północy. Lubiłem jeździć tak późną porą nie tylko dlatego, że ulice były puste. Księżna wiedziała, że fotoreporterzy nie byli w stanie robić po ciemku zdjęć z użyciem teleobiektywu.

Po zaparkowaniu przy przejściu dla pieszych, tuż za rogiem obok szpitala Royal Brompton w Chelsea, czekałem ponad godzinę, słuchając wieczornych audycji radiowych. Przywiozłem tu księżną obładowaną kolorowymi czasopismami, kasetami video i płytami CD, przeznaczonymi dla pacjentów z przeszczepami płuc i serca oraz osób chorujących na mukowiscydozę. Podobne wizyty w szpitalach nie były nowością, nawet jeśli cynicy lekceważyli je, uznając za chwyt propagandowe. Księżna utrzymywała kontakt ze szpitalem, była szczerze zatroskana i wykazywała zainteresowanie chorymi. Tak jak w 1991 roku, kiedy zmarł Adrian Ward-Jackson albo w 1992 roku, kiedy ja leżałem w szpitalu w Swindon. Wiedziała, że na niektórych ludzi jej wizyty oddziaływały lepiej niż leki, i tylko to się dla niej liczyło.

Czasami oczekiwanie w samochodzie na księżną nie dłużyło się tak bardzo. Pewnego razu, kiedy w towarzystwie lorda Davida Attenborough spożywała lunch w restauracji Tan te Claire w Chelsea, siedziała przy oknie. O trzeciej trzydziści podjechałem bmw, by ją odebrać. Na szczęście znalazłem wolne miejsce do zaparkowania bezpośrednio przed frontem restauracji i mogłem

oglądać plecy lorda Attenborough oraz twarz Diany. Widziała, jak podjeżdżałem. Samochodowe stereo odtwarzało płytę CD ze ścieżką dźwiękową z filmu Aladyn. Przyjaciele naszej rodziny z Florydy, Chuck Webb i Ron Ruff, regularnie przesyłali księżnej płyty z najnowszymi filmami Dis-neya: Król Lew, Pocahontas, Piękna i Bestia oraz Toy Story. Ja sam od dawna byłem kolekcjonerem filmów animowanych i eksponatów związanych ze sztuką animacji. Wpadałem do Nowego Jorku na doroczną wyprzedaż i kupowałem pojedyncze klatki z poszczególnych filmów z oryginalnymi montażowymi opisami. Księżna miała swoje własne klatki, przede wszystkim z filmu Kto wrobił Królika Rogera?, które wręczono jej podczas królewskiej premiery przy Leicester Square w Londynie. Kupowała również dla Williama i Harry'ego kasety wideo z wszystkimi filmami Disneya, często też w samochodzie słuchała ścieżki dźwiękowej z animowanych obrazów - do ulubionych należały Piękna i Bestia oraz Aladyn. Piosenki z Aladyna, zatytułowanej WholeNew World [Cały nowy świat], słuchała niemal nieustannie, słowa знаła na pamięć i często śpiewała ją na głos, prowadząc auto. Łączy się z tą piosenką zabawna sytuacja, zrozumiała jedynie dla mnie i księżnej. A WholeNew World dobiegała z głośników, kiedy Diana kończyła wspólny obiad z lordem Attenborough. Zacząłem imitować ustami śpiew i wymachiwać dramatycznie rękami. Kiedy księżna zobaczyła to, nie mogła powstrzymać się od głośnego śmiechu; tymczasem lord Attenborough był przekonany, że śmiech to efekt jego dowcipów. Podczas drogi powrotnej do pałacu śpiewaliśmy wspólnie tę piosenkę. Nie był to wprawdzie Rachmaninow, ale wspomnienie pozostało.

Na początku listopada 1996 roku, po podróży do Australii mającej na celu dopomóc w zgromadzeniu kwoty miliona dolarów dla Fundacji Victora Changa wspomagającej walkę z rakiem, księżna wróciła do domu i pożegnała się z marzeniami o zamieszkaniu na antypodach. Australia oraz jej mieszkańcy zakochali się w Dianie, ale niestety nie była to miłość odwzajemniona. Kraj ten wydał się jej „prymitywny” w porównaniu z Londynem, Nowym Jorkiem czy Waszyngtonem; twierdziła ponadto, że czułaby się tam osamotniona. Jej zainteresowanie skierowało się ku Afryce Południowej.

Święta Bożego Narodzenia 1996 roku miały być ostatnimi w życiu księżnej; spędziła je w zupełnie innym zakątku ziemskiego globu, na Karaibach. Prasa była przekonana, że Diana wybiera się na święta do Australii w męskim towarzystwie. Moim zadaniem było utrzymanie iluzji i ostentacyjne dokonanie rezerwacji dwóch miejsc na lot do Sydney liniami Qantas; wiedziałem, że reporterzy będą sprawdzać listę pasażerów. Gdy przedstawiciele mediów czekali na lotnisku Heathrow przy stanowisku Qantas, w Wigilię księżna wymknęła się w przeciwną stronę świata i wylądowała w ekskluzywnym Klubie K na małej wysepce Barbuda, niedaleko wyspy Antigua, w towarzystwie osobistej asystentki Victorii Mendham. Fortel się udał, lecz tylko na jeden czy dwa dni.

William i Harry sięgnęli do swoich gwiazdkowych skarpet z prezentami w niedzielę przed Bożym Narodzeniem. William nie mógł się wprost nacieszyć wieżą stereo. Harry z miejsca przystąpił do podłączania otrzymanej w podarunku konsoli PlayStation 2.

W pierwszy dzień świąt w Starych Koszarach telefon dzwonił nieustannie, Maria jednak nalegała, żebym nie odbierał. Wiedzieliśmy oboje, że może dzwonić księżna, ale tego dnia uległem żądaniom małżonki, by poświęcić czas wyłącznie rodzinie.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia odbierałem już telefony. Księżna dzwoniła każdego dnia, by pogawędzić, aż do jej powrotu w Nowy Rok; nie mogła się doczekać, kiedy już będzie w domu. W odróżnieniu od Harry'ego, który pojechał do Klosters w Szwajcarii razem z księciem Karolem na najwspanialsze w swoim życiu narty. William odmówił wspólnego wyjazdu; miał już czternaście lat i zaczynał powoli odczuwać nienawiść do świateł reflektorów. Ja nie miałem wyboru w kwestii celu następnej podróży - była to Angola. Szedłem obok księżnej, gdy ona wstępowała na własną drogę, zajmując się działalnością humanitarną, która w jej życiu znaczyła tak wiele.

Ramię przy ramieniu.

Podążałem w ślad za księżną, kiedy wyszliśmy z jaskrawego afrykańskiego słońca zmuszającego

do mrużenia oczu i schroniliśmy się w cieniu wiejskiego szpitala. Używam określenia „szpital”, bo tak mieszkańcy wioski nazywali puste pomieszczenie z sześcioma metalowymi łózkami. Ściany były kiedyś otynkowane, lecz nigdy ich nie pomalowano. Podeszliśmy do łóżka, na którym leżała dziewczynka przykryta po szyję cienkim białym prześcieradłem, spoglądająca na nas szeroko otwartymi oczami.

Po chwili pielęgniarka ściągnęła prześcieradło w dół aż do talii, odsłaniając budzący zgrozę widok. Wnętrznosci wylewały się na zewnątrz przez wyrwę w ścianie jamy brzusznej. Kiedy dziewczynka szła do studni nabrać wody dla swej rodziny, nadepnęła na jedną z dziesiątek milionów min przeciwpiechotnych, które pozostały zakopane i wciąż groźne w spalonej wojenną pożogą Angoli. Nie dało się pogodzić ze sobą tych dwóch obrazów: ładnej twarzy na poduszce i zakrwawionych wnętrznosci na wysokości talii. Najbardziej naturalnym odruchem było odwrócenie wzroku, jednak księżna zmusiła się do patrzenia w jej oczy. Nie chciała, żeby dziewczynka pomyślała, że to widok nie do zniesienia, chociaż i tak już nie można było jej pomóc. Księżna położyła swoją dłoń na dłoni dziewczynki i zagryzła wargi, by powstrzymać się od płaczu. Następnie podciągnęła prześcieradło pod jej szyję i odwróciła się do przedstawicieli prasy.

- Proszę, już dość - szepnęła. Światła kamer zgasły.

Był 15 stycznia 1997 roku. Dzień ten utkwił mi w pamięci dzięki znanemu wizerunkowi Diany kroczącej przez pole minowe pieczołowicie rozminowywane przez członków organizacji Halo Trust. Stąpała samotnie

bezpieczną ścieżką, ubrana w zieloną wojskową bluzę oraz hełm ze zdjętą osłoną. Wkrótce potem pozostali w kraju cynicy zawołali, że księżna wpycha się na scenę polityczną, nazwali ją „beczką prochu”. Jej poparcie kampanii przeciwko stosowaniu min lądowych mogło dopomóc w zwróceniu uwagi opinii światowej na zapomniane ofiary wojny, niewinnych cywili zabitych lub okaleczonych w rezultacie wybuchu miny na wiejskich drogach. W tym samym czasie Wielka Brytania, Kanada i Stany Zjednoczone zwlekały z podpisaniem układu zakazującego stosowania min przeciwpiechotnych.

Cynicy z Fleet Street* oskarżali ją o wykorzystanie kolejnej sytuacji do ściągnięcia na siebie uwagi przez zorganizowanie sesji zdjęciowej na polu minowym. Ale oni nie widzieli małej dziewczynki w wiejskim lazarecie, ponieważ księżna nie chciała, by zobaczyli. Była to jedna z tysięcy chwil, których stałem się świadkiem, pełniąc służbę przy jej boku, kiedy Diana prywatnie i z dala od kamer robiła coś dobrego dla, jak ich nazywała, „prawdziwych ludzi”. Jeden krótki moment w prowizorycznym afrykańskim szpitalu nie był w stanie przywrócić życia dziewczynce, lecz przyniósł nadzieję ludziom, o których zapomniano; poza tym, całkiem słusznie, wraz z Czerwonym Krzyżem skoncentrowała uwagę świata na ukrytej tragedii. Ci, którzy nie wierzą, powinni przeczytać artykuł opublikowany na łamach „Sunday Times” pióra reporterki Christiny Lamb. Tego dnia została ona dłużej, żeby przeprowadzić wywiad z małą umierającą dziewczynką.

Dziennikarka, zahartowana w rezultacie zawodowych doświadczeń ze stref wojennych, cyniczna z natury, starała się wytłumaczyć dziecku, kto przed chwilą złożył wizytę przy szpitalnym łóżku.

- Ona jest księżną z Anglii - powiedziała Christina Lamb.

- A zatem jest aniołem? - zapytała mała dziewczynka. Jeszcze tego samego popołudnia zmarła wskutek odniesionych ran.

Księżna, pytana przez reporterów, czy uważa się za „beczkę prochu” odparła:

- Kieruję się w życiu humanitarnymi zasadami - zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Nie byłem w podróży z księżną od czasu wyjazdu do Egiptu w 1992 roku, kiedy poprosiła mnie, bym jej towarzyszył w czterodniowej eskapadzie do Angoli w dniach od 12 do 17 stycznia. Prośba ta pojawiła się zupełnie nieoczekiwanie.

- Będiesz tylko ty, ja oraz ludzie z Czerwonego Krzyża - oznajmiła. Dołączyło jeszcze dwóch policyjnych funkcjonariuszy ochrony, których obecności w trakcie zagranicznych podróży domagał się brytyjski rząd.

Zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym być użyteczny.

- Będiesz chodził ze mną wszędzie, pełniąc obowiązki asystenta, damy dworu, sekretarza oraz garderobianego! - zażartowała.

Tak więc budziłem ją, prasowałem odzież i chodziłem za nią krok w krok podczas spotkań. Moja wszechobecność kolejny raz sprowokowała przedstawicieli prasy do zadawania pytań na temat roli kamerdynera będącego cieniem księżnej oraz do wyciągnięcia wniosku, że w tej swojej roli posuwam się kilka kroków za daleko.

Księżna odbudowała mosty z Czerwonym Krzyżem, zerwane po jej wycofaniu się z patronowania tej organizacji, i doszła do porozumienia z Mike'em Whitlamem, ówczesnym dyrektorem generalnym, w kwestii kampanii na rzecz zakazu stosowania min przeciwpiechotnych. Przesłał jej literaturę oraz kasety wideo. W liczącej dwanaście milionów obywateli Angoli co czwarty zginął wskutek wybuchu miny i tam księżna z Mi-ke'em Whitlamem u boku rozpoczęła swoją kampanię. Mając w rękę plan podróży, wyruszyłem na zakupy po garderobę, której księżna będzie potrzebowała. Zacząłem od sklepu Ralpha Laure-na przy Bond Street, gdzie wybrałem koszulę, drelichy khaki oraz spodnie długości trzy czwarte. (Diana kupiła mi też kilka nowych koszul). Potem był Armani i dżinsy oraz Tod's ze skórzanymi butami na płaskich obcasach. Wszystko to miało zostać spakowane razem z sukienkami i spódnicami potrzebnymi na spotkania w ambasadzie oraz kolacje z pierwszą damą, Aną Paulą dos Santos. Zaszedłem również do drogerii Boots po niezbędne rzeczy, w tym witaminy.

Bili Deedes, wieloletni komentator dziennika „Daily Telegraph”, miał dołączyć do ekipy dziennikarskiej już w Angoli, lecz księżna nalegała, by leciał razem z nami do Luandy; miał on ogromny wpływ na jej poglądy, angażując się w kampanię już od 1990 roku. Był też regularnym gościem w Pałacu Kensington, gdzie powtarzaliśmy dowcip na temat trudności krzyżówek publikowanych w „Daily Telegraph”.

- Mój kamerdyner wciąż uważa, że wasze krzyżówki są nieuczciwe - oznajmiała księżna za każdym razem, gdy witała Billa, podkreślając raczej moje intelektualne niedociągnięcia niż swoje własne. Podczas lotu do Luandy księżna niezmordowanie sporządzała notatki i przeredagowywała przemówienie, które wygłosiła na gruzach lotniska. Deklarowała, że pragnie „wprowadzenia raz na zawsze zakazu stosowania min przeciwpiechotnych”.

Gdy jechaliśmy do brytyjskiej ambasady, podskakując w landcruise-rze na wyboistej drodze, przed naszymi oczami przesuwiał się smutny krajobraz: niemal każda mijana osoba kuśtykała na jednej nodze; fasady budynków - domów mieszkalnych, sklepów i biur - były podziurawione pociskami z moździerzy. Odnosiliśmy wrażenie, jakby to wszystko się działo na planie filmowym.

Księżna pokonała długą drogę od czasu, gdy w 1992 roku odwiedziła Kalkutę i jeden z domów Matki Teresy, w którym opiekowano się głodującymi, chorymi i umierającymi. Tamta podróż zmieniła jej nastawienie do życia, dała nadzieję i popchnęła w stronę działalności humanitarnej. Był to okres, kiedy już wiedziała, że nie spełni się w rozpadającym małżeństwie.

- Wtedy właśnie odnalazłam właściwy kierunek w swoim życiu - wyznała mi później.

Wielokrotnie rozmawialiśmy o znaczeniu Kalkuty, lecz przed wyjazdem do Angoli przedstawiła mi kopię swoich zapisków zawierających przemyślenia i odczucia związane z tamtą podróżą do Indii. Jakby chciała, żebym zrozumiał, czym była dla niej praca humanitarna oraz dlaczego była dla niej tak ważna. Drugą kopię przekazała również Oonagh Toffolo, terapeutce zajmującej się akupunkturą, której mąż Jo często przyjmował księżną w szpitalu Royal Brompton. Pełna emocji relacja Diany wyjaśnia, jak głęboko przeżyła duchowe przebudzenie w Kalkucie, które stało się siłą napędową wszystkich jej charytatywnych poczynań, każdej dobroczynnej misji i kampanii.

Wybrała się w odwiedziny do jednego z domów Matki Teresy. Kiedy przybyła, siostry w kaplicy śpiewały Modlitwę Pańską, potem uklekły razem z księżną do wspólnej modlitwy.

W oczach Diany te kobiety były święte. Nigdy nie uważała, że może stać się jedną z nich, bez względu na etykiety, jakie niektórzy doczepiali do jej wizerunku.

Angola w 1997 roku była zwierciadłem Kalkuty z 1992 roku, jeśli chodzi o sposób podejścia księżnej do chorych. Indie stały się wzorcem w jej przyszłych humanitarnych misjach, ponieważ nigdy nie zapomniała, jak ważne były proste i szczerze gesty w kontaktach z młodzieżą, z chorymi i ubogimi.

W swoim sercu na zawsze zachowała lekcję, którą zapamiętała z wizyty w domu Matki Teresy dla osieroconych dzieci, gdzie spotkała niewidomego i głuchoniemego chłopca. Później tak to opisała: „Przytuliłam go mocno, mając nadzieję, że poczuje moją miłość i ciepło”. O tamtym doświadczeniu mówiła z pasją, wiarą oraz przekonaniem, które sprawiły, iż zrozumiałem, skąd ona przyszła.

Jej przelana na papier relacja z podróży do Kalkuty opowiadała też o wizycie w hospicjum dla umierających. Czytając te słowa, wiedziałem, że czas tam spędzony oraz przeżycia związane z obecnością przy śmierci jej przyjaciela, Adriana Warda-Jacksona, w 1991 roku wywarły na nią największy wpływ. Dzięki temu była w stanie dodać mi sił po śmierci mojej matki. Dzieląc ze mną ból, pragnęła jednocześnie, bym lepiej rozumiał źródła jej humanitaryzmu. W hospicjum zobaczyła na własne oczy rzędy łóżek, na których leżeli mężczyźni, kobiety i dzieci, z odwagą czekając na nieuniknioną śmierć. Nazywała to „umieraniem z godnością”; ci ludzie czuli się szczęśliwi, trafiając pod dach Matki Teresy.

Nie sądzę, by jakaś inna scena w trakcie licznych podróży po całym świecie wywarła na księżnej tak przytłaczające wrażenie, jak właśnie ta. Podchodziła do każdego łóżka i każdej osobie ofiarowała pudełko czekoladek. Jeden z mężczyzn był tak osłabiony, że sama włożyła mu do ust kawałek czekolady.

Przeczytałem wszystko to, co napisała o swoich doświadczeniach oraz jak głęboko zmieniły one jej nastawienie do życia - i do śmierci. Gdy wracała z Kalkuty, czuła głęboką potrzebę niesienia pomocy chorym

i umierającym w każdym zakątku świata. To było jej przebudzenie. Wystarczy tylko przeanalizować przemówienia księżnej wygłoszone po 1992 roku, by to zrozumieć. Za najcenniejszy czas uznawała ten, który poświęcała chorym i umierającym. Czuła się wtedy „spełniona”. Uważała, że jej obowiązkiem jest wykorzystanie pozycji księżnej Walii, by zmieniać świat na lepszy.

Chodź, bierzemy się do roboty - powiedziała i ruszyliśmy odwiedzić wioski Huambo i Kuito, kolejne dwa przystanki na szlaku, na który wstąpiła pięć lat wcześniej.

Nieco później tego samego roku, w czerwcu, księżna pojechała do Nowego Jorku, by spotkać się z Matką Teresą w dzielnicy Bronx. Angielskie gazety pisały wtedy o ANIOŁACH W BRONKSIE.

Angola stanowiła swoiste apogeum, jeśli chodzi o lata mojej królewskiej służby. To właśnie wtedy, zachęcany przez księżną, poczułem się na tyle pewnie, by odrzucić nałożone przez samego siebie ograniczenia związane z pełnieniem roli „kamerdynera” i stałem się jej prawą ręką. W drugim tygodniu stycznia w czasie wizyty w brytyjskiej ambasadzie w Luandzie porzuciłem resztki służbowej liberii, wchodząc u boku Diany, zamiast podążać za nią z tyłu. Kiedy księżna mówiła, że pragnie zabierać mnie wszędzie, to właśnie miała na myśli. Nie zdawałem sobie sprawy, że będę chodzić po wyłożonych marmurem korytarzach rządowego gmachu podczas audiencji u pierwszej damy Angoli, Any Pauli dos Santos, i ministra spraw zagranicznych.

W trakcie podróży do Pakistanu, Czechosłowacji i Egiptu w latach 1992-1993 wiedziałem, że moje miejsce jest z tyłu, w roli obserwatora. W Angoli u boku Diany, księżnej Walii, stałem się uczestnikiem wydarzeń i byłem witany, tuż po księżnej, przez przyjmujących nas gospodarzy. Nie sądzę, by pierwsza dama wiedziała, że „kamerdyner” to mój służbowy tytuł. Osoby zebrane w sali recepcyjnej były przekonane, że jestem pierwszym sekretarzem księżnej ewentualnie dworzaninem. Było to dla mnie dziwne uczucie, bowiem doskonale zdawałem sobie sprawę, kim naprawdę jestem.

Ale księżna nie miała osobistego sekretarza. Nie miała też damy dworu. W tej sytuacji pełnienie tych obowiązków spadło na człowieka, który prasował jej sukienki, nosił bagaże i ręcznie prał części jej garderoby. Uczestniczyłem więc w oficjalnej audiencji u pierwszej damy, przysłuchiwałem się z uwagą dyskusji o minach przeciwpiechotnych oraz o polityce kraju.

Na całe szczęście moje wyszkolenie bardzo mi się przydało. Byłem dobrze obeznany z procedurą anonsowania głów państw Wspólnoty Brytyjskiej, składających wizytę królowej na jachcie Britannia, znałem też dyplomatyczny protokół i wiedziałem, jak się zachowywać, znajdując się krok za księżną.

Przez kilka pierwszych minut stałem nieco podenerwowany, przypominając sobie pierwsze powierzone mi obowiązki na Zamku Windsor w 1976 roku. Pamiętałem, jak nie ufano mojej

umiejętności posługiwania się tacami z mięsem i warzywami. A teraz stałem i siedziałem u boku szefowej, kobiety, która zaplanowała bieg mojej zawodowej kariery. Byłem dumny. I, jeśli mam być szczery, również odrobinę zadowolony z siebie, zdając sobie sprawę, że gdyby królewski dwór mnie zobaczył, z pewnością by tego nie pochwalił. Pracując w Fundacji Budowy Pomnika Diany, Księżnej Walii, spotkałem się z oskarżeniem, że „nie znam swojego miejsca”. Nie jestem pewien, czy ambasador Jej Królewskiej Mości, Roger Hart, zorientował się, jaką rolę właściwie odgrywam. Gdy przebywaliśmy w jego oficjalnej rezydencji, często widywał mnie, jak udawałem się na spotkanie w cztery oczy z księżną. Potem była kolacja, a Diana poprosiła o umieszczenie mojego nazwiska na planie miejsc przy stole. Siedziałem więc przy stole, prowadząc kurtuazyjne rozmowy z reprezentantem Jej Królewskiej Mości w Angoli, jego żoną oraz księżną. Zabawnym dla mnie incydentem, przy którym księżna szczerze się uśmieła, był moment, kiedy wieczór dobiegał końca i Diana oznajmiła, iż wybiera się na nocny spoczynek. Było to przeciwiczone pożegnanie, gdy więc wstała i odsunęła krzesło do tyłu, ja zrobiłem to samo, po czym wybuchnęliśmy gromkim śmiechem; zobaczyliśmy uniesione w zdumieniu brwi osób pozostałych przy stole. Diana nie cierpiała klaustrofobicz-nego wręcz formalizmu dyplomatycznej etykiety, mimo że ambasador i jego żona byli bardzo miłym towarzystwem.

Raz tylko uczestniczyliśmy w oficjalnej kolacji. Później były już zimne przekąski w jej apartamencie. Każdego wieczoru księżna, ubrana w szlafrok frotte narzucony na kostium kąpielowy, przemierzała ze mną u boku korytarze, przechodząc przez kuchnię do ogrodu i na basen. Siedziałem na wyłożonym kafelkami brzegu, machając nogami w wodzie i licząc długości basenu, jakie Diana przepływała. Koniec końców forsownym kraulem przepłynęła dwadzieścia długości, zanim zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu.

Potem stanęła po płytszej stronie, odciągając do tyłu przemoczone włosy.

- Jak twoim zdaniem poszło dzisiaj? - zapytała, opierając się o boczną ścianę basenu.

Rozmawialiśmy o pływaniu, o tym, co przyniesie następny dzień oraz o jej troskach. Potem przepłynęła kolejne dwadzieścia długości pod niebem, na którym świecił księżyc i iskrzyły się gwiazdy.

Lord Attenborough zakończył właśnie realizację swego najnowszego filmu In Love and War [Miłość i wojna]. W czasie uroczystej premiery w Londynie w lutym wyświetlono trwający dziesięć minut obraz dokumentalny, który powstał, by wspomóc zbiórkę pieniędzy na kampanię przeciwko stosowaniu min. Ekipa realizacyjna śledziła poczynania księżnej w Angoli.

Księżna nie miała dlatego nic przeciwko obecności ekipy filmowej podążającej za nią krok w krok, wiedziała, że pomoże to w rozpropagowaniu sprawy na całym świecie. Wymagało to wszakże jednej rzeczy natury technicznej: Diana musiała być „zmikrofonizowana”. Mały mikrofon był więc przyczepiony z przodu, na jej koszuli, a transponder przypięty z tyłu do paska od spodni. Był chyba drugi dzień podróży, kiedy technicy nagrywający dźwięk zdołali zarejestrować dużo więcej, niż się spodziewali. Zatrzymaliśmy się -jak ona to nazywała - na „krótki postój” na jakiejś bardzo odległej stacji benzynowej. Nie pamiętając, że Diana jest „na fonii”, odeszliśmy za budynek, by pogawędzić prywatnie z dała od kamer. Chciała omówić kilka spraw natury osobistej oraz poradzić się, do kogo mogłaby zadzwonić, kiedy wrócimy do rezydencji ambasadora. Potem zaczęliśmy plotkować na temat członków ekipy filmowej: ich charakterów, sposobu pracy, incydentów; w pewnej chwili nie mogła powstrzymać się od figlarnego chichotu. W końcu spostrzegłem mikrofon, a w tej samej sekundzie księżna również zdała sobie z tego sprawę. Jej śmiech przeistoczył się w odgłos przerażenia.

- Sprawdź to! - powiedziała z paniką.

Jak można się domyśleć, mała dioda na transponderze mrugała na czerwono. Nasze plotki poszły w eter w relacji na żywo.

Wracając do naszego samochodu jak dwójka psotnych uczniaków, wiedzieliśmy, że nasze przewinienie było dla wszystkich jasne jak słońce. Jedynym, na co mogła zdobyć się księżna, było zaciśnięcie ust, by powstrzymać atak śmiechu. Do dziś dnia nie wiem, czy ekipa realizacyjna zarejestrowała nasze słowa wypowiedziane w tamtej chwili. Nigdy nie mieliśmy dość odwagi, by o to zapytać.

Angola w sumie była doświadczeniem wyczerpującym, ale wszyscy powróciliśmy z eskapady z uczuciem triumfu, że udało nam się rozpropagować ważny problem na świecie. Na zakończenie, ze zwykłą dla siebie wspaniałomyślnością, księżna przekazała słowa wdzięczności wszystkim uczestnikom afrykańskiej wyprawy, którzy przyczynili się do jej sukcesu. Cały personel rezydencji brytyjskiego ambasadora, kierowcy, kucharz, służące, pracownicy biura, a także sam ambasador otrzymali portfele i notatniki oprawione w skórę z wytłoczonym inicjałem D i fotografię z podpisem księżnej.

Kiedy wróciłem do Pałacu Kensington, na mnie też czekał prezent od księżnej: marmurowe popiersie afrykańskiej kobiety, które otrzymała w darze podczas pobytu w Anglii.

Szczodrość Diany doprowadziła mnie w końcu przed oblicze centralnego sądu karnego, Old Bailey, gdzie świat zewnętrzny, w szczególności zaś Scotland Yard, nie był w stanie pojąć, jak wiele rzeczy członkowie rodziny królewskiej ofiarowywali w darze swojej służbie. Dla ludzi, którzy nic nie wiedzieli o świecie za zamkniętymi drzwiami, wydawało się to wręcz nie do pojęcia.

We wrześniu poprzedniego roku mój syn Alexander został przyjęty do London Oratory School, usytuowanej w pobliżu ogromnego stadionu Klubu Piłkarskiego Chelsea. Księżna zapytała mnie, jak mu idzie nauka w szkole. Odpowiedziałem, że wygląda na to, iż ma dużo lekcji do odrabiania w domu.

- Zatem zamyka się w swoim pokoju na całe godziny, czy tak? - zapytała.

- Nie. Siedzi przy stole w kuchni, podczas gdy Maria zaparza herbatę - odparłem.

Księżna nie mogła uwierzyć, że chłopak nie ma swojego biurka. Stół w kuchni powinien służyć do spożywania posiłków w gronie rodziny. Biurko ustawione w spokojnym miejscu jest przeznaczone do odrabiania lekcji.

- Chyba akurat mam coś takiego - stwierdziła.

W 1981 roku miasto Aberdeen, pragnąc uczcić małżeństwo księcia i księżnej Walii, podarowało im proste biurko, które nigdy jednak nie było używane. Przez wszystkie te lata stało w magazynie, księżna dostrzegła więc sposobność, by wykorzystać je z pożytkiem. Razem z moim bratem Grahamem zeszliśmy do magazynu przy wewnętrznym holu na parterze w Pałacu Kensington i załadowaliśmy biurko na tylne siedzenie mojej Astry Vauxhall. Był to jeden z przedmiotów, o kradzież których pomawiano mnie, po śmierci księżnej.

W ostatnim roku życia księżna nieustannie pozbywała się rzeczy, które przypominały jej o małżeństwie. Dywany oraz porcelana z insygniami księcia Walii zostały wyrzucone już wcześniej. Teraz nowej procedurze oczyszczającej zostały poddane przedmioty budzące sentymentalne wspomnienia, jak gdyby chciała zatrzeć w swej psychice obraz przeszłości, która stała się wyłącznie uczuciowym balastem. Prawdziwe szczęście wiązało się już z kimś innym. Pozwalała odejść własnej przeszłości i spokojnie się z nią żegnała. Nie był to proces przesycony złością, stosunki z księciem Karolem nigdy nie były bardziej uprzejme. Księżna triumfowała. Zdołała przetrwać. Nabierała sił. I zmierzała w nowym, ekscytującym kierunku.

- W naszym nowym świecie nie będziemy potrzebować tego wszystkiego - stwierdziła księżna, stojąc w pokoju dziennym chłopców.

Opróżniała pudła pełne garderoby, świecidełek, ozdóbek, płyt CD, książek, kaset, niechcianych prezentów. Odbywało się to albo późnym wieczorem albo też w niedzielne popołudnia.

Sprezentowała mi zegar od Cartiera. Kupił go kiedyś książę Karol, jednak Diana uważała, że cyferblat z macicy perłowej oraz podstawa z pomarańczowego i czarnego marmuru wyglądają „okropnie”.

Na środku pokoju ułożona była sterta używanych rzeczy, a księżna zaprosiła członków personelu, żeby sobie coś wybrali. Lily Piccio, służąca z Filipin, nie mogła uwierzyć własnym oczom i zaniósła, co tylko mogła, do skromnego mieszkania, które wynajmowała razem z siostrą.

Aromaterapeutka Eileen Malone, matka przedsiębiorcy produkującego kosmetyki, dostała inny ozdobny zegar, który był jednym ze ślubnych prezentów.

- Zawsze będzie ci mnie przypominał - powiedziała wtedy księżna. Rita Rogers, parapsycholog, otrzymała w darze piękny naszyjnik Van

Cleefa i Arpelsa, wykonany z osiemnastokaratowego złota, w kształcie splecionych ze sobą serc,

wart co najmniej 8000 funtów. Na swe osiemdziesiąte urodziny wydawca „Washington Post”, Katherine Graham, otrzymała srebrną szkatułkę (dzieło pracowni Asprey) z wygrawerowanym na wieku inicjałem „K” oraz następującą inskrypcją w środku: „Z wyrazami oddania i podziwu, Diana”. Nawet ekspertka z domu aukcyjnego Christie's, Meredith Etherington-Smith, poznała dobre serce szefowej. Księżna, która znała jej zamiłowanie do rozgwiad, zleciła pracowni jubilerskiej Crown wykonanie rozgwiad ze szczerego złota, inkrustowanej brylantami, z inskrypcją pod spodem: „Z miłością od Diany”. Podarowała ją w podziękowaniu za skatalogowanie i nadzorowanie przebiegu aukcji sukien.

Obdarowana została również uzdrowicielka Simone Simmons, która gościła u księżnej niemal każdego dnia. Pewnego popołudnia Diana poprosiła ją, żeby coś sobie wybrała.

- Co? Chcesz żebym zabrała te wszystkie worki z odzieżą? - odezwała się nieco zdumiona Simone.

- Nie - odparła księżna - te są przeznaczone dla Paula.

Zabrałem ze sobą co najmniej trzy worki wypełnione garderobą, damskimi torebkami oraz obuwiem dla Marii, nasi synowie otrzymali ubrania po Williamie i Harrym.

Diana rozdawała rzeczy również osobom zupełnie obcym. Pewnego razu moi chłopcy bawili się na trawniku z nastolatkiem o imieniu Bili. Razem z księżną szliśmy w kierunku głównej ulicy, gdy nagle zatrzymała się, by z nim porozmawiać. Potem powiedziała, żebym przygotował dla niego jej fotografię, którą następnie podpisała, a ja oprawiłem w ramkę.

Podobnie jak służąca z Filipin, oficerowie Scotland Yardu nie byli w stanie uwierzyć własnym oczom, kiedy weszli do sypialni Marii i mojej i znaleźli w szafie ubrania renomowanych dyktatorów mody, które księżna kiedyś nosiła, a także płyty CD w pudłach, rozmaite ozdoby na półkach i biurko. Ogółem było to czterysta przedmiotów, które Diana mi podarowała.

Również rodzeństwo Spencerów nie mogło uwierzyć w kolosalną wręcz łatwość obdarowywania przez ich siostrę osób nie należących do rodziny. Lady Sarah McCorquodale spodziewała się, jak oświadczyła później, że jako kamerdyner otrzymam może zdjęcia z autografem księżnej i parę spinek do mankietów. Dziwili się, dlaczego zawsze utrzymywałem, iż przyjaciele Diany znali ją znacznie lepiej niż jej własna rodzina.

Na Wielkanoc księżna ponownie pojechała do Klubu K z Williamem i Harrym. W maju wybrała się w trzydniową podróż do Pakistanu, by odwiedzić Imrana Khana i jego żonę Jemimę, która była córką jej przyjaciółki, Lady Annabel Goldsmith. Księżna pragnęła pogłębić swoją wiedzę na temat islamu. W trakcie każdego wyjazdu dzwoniła do mnie po trzy razy na dzień, podobnie zresztą jak do swoich przyjaciół. Szczerze mówiąc, nie bardzo mogłem sobie wyobrazić, co by było, gdyby zgubiła telefon komórkowy. Odniosłem wrażenie, że ma go cały czas przy uchu.

W czasie nieobecności księżnej wprowadzałem w obowiązki nowego młodszego kamerdynera w Pałacu Kensington. Craig Weller, mający wówczas dwadzieścia trzy lata, został przeszkolony przez zespół z Pałacu Buckingham, a jego przybycie bardzo ułatwiło mi życie, odciążając z części obowiązków.

Księżna powróciła z Pakistanu, a ja poznałem wielki sekret. Nie powinna mi o tym mówić, ale bardzo chciała podzielić się wiadomością.

- Paul! Paul! - krzyczała z holu na pierwszym piętrze, zanim zdążyła zbiec schodami do mojego pokoju kredensowego. - Znam sekret! Znam wielki sekret.

W chwili, gdy dotarła do ostatniego stopnia schodów, sekret przestał być sekretem. Czuję się zakłopotany. To nie był normalny sposób,

w jaki dzieliła się wiadomościami. Miała na sobie jasnoniebieski żakiet Chanel.

- Otrzymasz order, Paul! - oznajmiła.

I zdradziła, że mam zostać odznaczony w Pałacu Buckingham przez królową Elżbietę Royal Victorian Medal - Królewskim Orderem Wiktoriąńskim, przyznawanym osobiście przez Jej Królewską Mość.

- Miało to być utrzymane w tajemnicy, ale ty znasz przecież wszystkie moje sekrety. Musiałam ci powiedzieć. Bardzo się cieszę z tego powodu, Paul - dodała.

Byłem oszołomiony. Królowa zamierzała udekorować mnie w dzień swoich urodzin, co miało

zostać podane do publicznej wiadomości w czerwcu, w uznaniu mojej służby dla królewskiego dworu przez dwadzieścia jeden lat. Wynagradzała mi wszystkie te lata spędzone na spacerach z dziewiątką jej krnąbrnych psiaków rasy corgi.

Księżna wydawała się bardziej podekscytowana niż ja sam.

- Po uroczystości zabieram cię na lunch i wypijemy lampkę szampana, by to uczcić w Mara's [restauracja San Lorenzo]. Zrobimy z tego galę.

Kiedy 17 czerwca wydano oficjalne oświadczenie, księżna była w Nowym Jorku, gdzie brała udział w przyjęciu z okazji osiemdziesiątych urodzin Katherine Graham. Przesłała mi jednak telegram z gratulacjami: Miliony płynących z głębi serca gratulacji z okazji otrzymania orderu RVM- to cudowna wiadomość, chłopcy i ja jesteśmy absolutnie podekscytowani! Uściski od Diany, Williama i Harry'ego.

Rankiem 6 czerwca, w dniu moich trzydziestych dziewiątych urodzin, wszedłem do pokoju kredensowego i na biurku znalazłem kopertę położoną na pudełku z prezentem. W środku był złoty zegarek na rękę marki Longines z czarnym paskiem ze skóry, a na załączonym bileciku widniał napis: Wszystkiego, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, uściski od Diany.

Pierwszego lipca, kiedy księżna kończyła trzydzieści sześć lat, Pałac Kensington ponownie przypominał salon z kwiatami: blisko pięćdziesiąt bukietów z kwiatów świeżych, kwiatów suszonych oraz inne rośliny wypełniły wszystkie wazony i dzbanki. Wśród wiązanek był bukiet sześćdziesięciu białych róż od Gianniego Versacego oraz tuzin białych lili od Giorgia Armaniego. Księżę Walii przesłał z Highgrove perfumowaną świecę. Mohamed Al Fayed, właściciel Harrodsa, przysłał skórzaną torebkę. Macocha księżnej, Raine Spencer, dodzwoniła się tego dnia jako pierwsza, po niej telefonowała z Waszyngtonu Lucia Flecha de Lima, która wstała o trzeciej nad ranem, by złożyć Dianie życzenia w dniu urodzin o ósmej rano czasu brytyjskiego. To przykład prawdziwego oddania ze strony przyjaciółki.

Wypełniając swoje obowiązki, starałem się wyprzedzać życzenia księżnej i tego samego instynktownego działania oczekiwano ode mnie w stosunku do młodych księżąt. William i Harry wiedzieli, że przed każdym Bożym Narodzeniem razem z ich matką wybieram prezenty pod choinkę i że jednocześnie w tajemnicy przed księżną będę rozglądał się za prezentem od synów na jej trzydzieste szóstte urodziny. Wiedziałem dokładnie, co to ma być. Księżna miała wciąż powiększającą się kolekcję kryształów; czerpała z nich uzdrawiającą i uspokajającą „energię”. Za radą zaprzyjaźnionej uzdrowicielki, Simone Simmons, która sama zawsze nosiła na szyi wisiołek z ogromnym kryształem, udałem się do specjalistycznego sklepu w Chelsea z kopalinami i kryształami, niedaleko London Oratory School. Gdy znalazłem się w wielobarwnym kryształowym labiryncie, zobaczyłem na półce blisko półmetrową kamienną wieżę, której górna część została zdjęta, żeby odsłonić mieniające się purpurą i fioletem kryształowe wnętrze. Od razu wiedziałem, że to właśnie będzie ten prezent, choć kosztował 500 funtów. W weekend poprzedzający urodziny William przyjechał ze szkoły i przemknął się do mojego magazynku na parterze. Kiedy wyciągnąłem z pudła skalną bryłę przypominającą sopel lodu, twarz Williama pojaśniała.

- To jest cudowne, Paul - nie krył zachwyty.

Po ponownym zapakowaniu wziął prezent w dwie ręce, by zanieść schodami na górę.

- Jesteś pewien, że dasz sobie radę, William? - zapytałem, widząc jak zatacza się pod ciężarem.

Po chwili usłyszałem odgłos rozrywania papieru, szelest bibułki i moment później okrzyk zachwyty. Kryształ, jako niezwykle cenny eksponat, stanął na kominku w salonie.

Na dole w Starych Koszarach mój syn Nick gromadził z pietyzmem własną kolekcję kryształów, zainspirowany tym, co pokazała mu księżna. Pewnego dnia usiadła z nim w pokoju i opowiadała o magicznych właściwościach krystalicznych minerałów. Urzeczony opowieścią, wziął swoje małe pudełko z niewielkimi kryształami ułożonymi na warstwie waty, by pokazać je księżnej.

Uśmiechnąłem się, gdy zobaczyłem moje go

dziewięcioletniego synka pogrążonego z nią w rozmowie. Siedziała na brzegu sofy, zerkając na zawartość pudełka Nicka. Oboje wydawali się ogromnie pochłonięci tematem. Nick z zacięciem perorował o tym, jak ważne jest mycie, czyszczenie oraz regenerowanie energii kryształów.

- Należy układać je pod jaskrawym światłem, proszę księżnej - doradzał.

Księżna postanowiła powierzyć synowi kamerdynera pewne zadanie do wykonania. Dała mu kilka ze swych kryształów, on zaś przyniósł je do Starych Koszar i umył w miseczce ciepłej wody z mydlinami. Wieczorem ułożył je w jasnym świetle nocnej lampki. Następnego dnia popędził do pałacu, by oznajmić księżnej, że kryształy z jej kolekcji zostały ponownie naładowane energią. W nagrodę Diana podarowała mu różany kryształ i poradziła, by ustawił go na stoliku przy swoim łóżku, gdyż minerał będzie działał na niego kojąco podczas snu.

- Mam obok siebie dokładnie taki sam kryształ, kiedy śpię - oznajmiła - teraz ty będziesz miał własny.

Potem złożyła mu obietnicę.

- Kiedy wszyscy wrócimy z letnich wakacji, zabiorę cię do pracowni, gdzie obrabiają kryształy i wybierzemy piękny i wielki dla ciebie.

Nick nie mógł się tego doczekać.

Na urodziny księżnej projektant Jacques Azagury stworzył najbardziej oszłamiającą wieczorową kreację: czarną, mieniającą się, obszytą perełkami, z głęboko wyciętym dekoltem oraz czarnymi atłasowymi wypustkami i kokardami.

- Musisz ją założyć na dzisiejszy wieczór! - nalegałem, kiedy paradowała w sukni, przechadzając się tam i z powrotem po salonie.

Poszedłem na półpiętro do sejfu i wyciągnąłem z niego kilka szafirów i brylantów.

- Nie, Paul, nie te. Chcę dziś nosić szmaragdy.

Tego wieczoru na kolacji wydanej z okazji stulecia londyńskiej Tate Gallery księżna miała na sobie tę suknię spod igły Jacquesa Azagury'ego. Założyła też bransoletkę ze szmaragdów i brylantów, podarowaną jej przez księcia Karola w prezencie ślubnym, kolczyki ze szmaragdów i brylantów, które kupił jej na dwudzieste drugie urodziny oraz naszyjnik-obrożę królowej Marii, ze szmaragdów i brylantów - prezent ślubny od królowej Elżbiety.

Po długich dyskusjach prowadzonych przez księcia i księżną postanowiono, że Harry pójdzie w ślady Williama i wstąpi do szkoły w Eton po ukończeniu szkoły w Ludgrove.

- Prawda, Paul, że będzie on dobrze wyglądał we fraku? - zapytała księżna.

- Jak mały pingwin!

Harry pragnął pójść do szkoły Harrow, gdzie mógłby uczyć się razem z przyjacielem z rodziny van Straubenzee, więc wiadomość, że miał iść do Eton i wyglądać jak pingwin, nieomal wycisnęła łyżę z jego oczu.

Również William został pozbawiony możliwości wyboru: młody książę bardzo chciał pójść na wiec zorganizowany w Londynie przeciwko projektowi ustawy o zakazie polowań na lisy, dołączyć do tłumu, porozmawiać z ludźmi, jednak księżna nie wyraziła zgody na tę eskapadę. Jej zdaniem „nie było to odpowiednie”. Dziwnym trafem Tiggy Legge-Bourke dołączyła do zebranych, o czym można było przeczytać w nagłówkach gazet następnego dnia. Wtedy William zrozumiał punkt widzenia matki.

Pewnego dnia do pałacu na herbatę przybyła miła rodzina: matka, ojciec oraz ich troje dzieci w wieku dziesięciu, siedmiu i pięciu lat. Siedmioletnia córka od trzech lat cierpiała na guza mózgu, który był usuwany już dwukrotnie. Rodzicom powiedziano, że dziecko nie przeżyje już trzeciej operacji. Kiedy księżna dowiedziała się, że życzeniem dziewczynki była wizyta u niej na herbacie, wyraziła zgodę. Wyślano mnie po balony z Barbie oraz małe zabawki, które można było ustawić na stole. Rodzina uwieczniła tę wizytę, robiąc zdjęcia jednorazowym aparatem fotograficznym.

Dla Williama i Harry'ego prawdziwą frajdą były wakacje w Saint Tropez, rozpoczęte 11 lipca, wkrótce potem, gdy księżna odrzuciła zaproszenie do spędzenia wczasów razem z nimi na tajlandzkiej wyspie Phuket. Diana i synowie polecili odrzutowcem na południe Francji i zamieszkali w położonym przy plaży domu Mohameda Al Fayeda, wraz z jego żoną Heini oraz trójką najmłodszych dzieci. Księżna przyjęła zaproszenie złożone jej jeszcze wiosną. Decyzję podjęła po lunchu z macochą Raine Spencer w Klubie RAC [Królewskim Klubie Samochodowym] w pierwszym tygodniu lipca.

Właściciel Harrodsa - który prowadził światowe życie przy londyńskiej Park Lane - był niewątpliwie serdecznym przyjacielem księżnej, choć usytuowanym na peryferiach jej życia.

Łączyły go silne więzy z rodziną Diany: przyjaźnił się z ojcem, hrabią Spencerem i jego żoną, Raine

często gościła w paryskiej rezydencji Al Fayeda w Lasku Bulońskim. Posiadłość ta, znana pod nazwą Villa Windsor, wcześniej należała do księcia i księżnej Windsoru, którzy tam zamieszkali po abdykacji Edwarda VIII w grudniu 1936 roku.

Fascynacja Mohameda Al Fayeda wszystkim, co było związane z królewskim dworem, skłoniła go do kupna imponującej posiadłości po śmierci księżnej Windsoru w 1986 roku. Przez jedenaście lat zabiegał też o względy osoby, którą również pomawiano o ściągnięcie burzy na dynastię Windsorów: Diany, księżnej Walii. Za każdym razem, gdy zjawiała się na zakupach w należącym do niego domu towarowym, był przy jej boku. W Boże Narodzenie zawsze przysyłał do Pałacu Kensington kosz z delikatesami od Harrodsa. Z okazji urodzin obdarował księżną i jej synów wspaniałymi prezentami. W oczach szefowej uchodził za prawdziwego gentlemana. Od Raine zdobywał informacje na temat trudnych chwil księżnej w połowie lat dziewięćdziesiątych.

Wszystkim, czego pragnął, było pomaganie jej oraz trwanie przy jej boku, jeśli tego potrzebowała - kierował się wyłącznie szacunkiem dla swego przyjaciela a jej ojca, jak zawsze mówił.

Aż do tego lata księżna uprzejmie odrzucała zaproszenia z jego strony. Jednak propozycja krótkiego pobytu na Lazurowym Wybrzeżu w willi ze wspaniałym widokiem na zatokę, z ochroną i osobistym personelem okazała się nie do odrzucenia. Dla Williama i Harry'ego była to wizja jazdy na skuterach wodnych, ścigania się na motorówce oraz nurkowania z butlą tlenową. Jacht Jonikal, długości 60 metrów, z własną załogą, już na nich oczekiwał. Należący do egipskiego multimilionera Jonikal był kopią królewskiego jachtu Britannia. Księżna nie wiedziała, że kupił go - za 15 milionów funtów - wtedy gdy księżna przyjęła zaproszenie spędzenia wakacji na Lazurowym Wybrzeżu razem z synami. Nie zdawała sobie również sprawy, że gospodarz zaprosił jeszcze kogoś, kto miał poprawić jej nastrój - swego najstarszego syna Dodiego, producenta filmowego, który po okresie narzeczeństwa jeszcze w tym samym roku miał ożenić się z amerykańską modelką Kelly Fisher.

Dodi Al Fayed przybył na jacht 15 lipca. Pod nieobecność księżnej ja sprawowałem pieczę nad Pałacem Kensington, nadzorując prace renowacyjne w jej salonie recepcyjnym. Po raz kolejny wynajęła starego przyjaciela, Dudleya Poplaka, by użył swej magii i przemienił ulubiony pokój z tonacji różowej i kremowej na coś „nieco bardziej profesjonalnego i dojrzałego” - o barwach kremowych, złotych i błękitnych. Pasiasta ta-picerka kanap miała zostać wymieniona na nową w kolorze kremowym. Brzoskwiniowe poduszki zamieniono na niebieskie i złote. Dowieziono też nowy podłużny stółek z kremowym obiciem na giętych nogach w kształcie zwierzęcych łap. Księżna uwielbiała kolor różowy - nawet papier używany do sporządzania osobistych notatek był różowy - alb tego lata barwa ta została wymazana z jej świata.

Kiedy tapicerzy, fachowcy od układania dywanów i krawcy szyjący zasłony wkroczyli do salonu, księżna wydzwaniała do mnie nieustannie. Nie mogła odżalować uwagi, spontanicznie wypowiedzianej na jachcie, który oblegali dziennikarze na wynajętej łodzi. Zapytała ich, jak długo zamierzają kotwiczyć w tym miejscu, pstrykając zdjęcia. A gdy schodziła z pokładu, zażartowała: - Zamierzam zaszokować świat przy okazji następnego publicznego oświadczenia!

W Pałacu Kensington Michael Gibbins zajął się przygotowywaniem oświadczenia, którego treść po tym wydarzeniu podyktowała mu szefowa:

Diana, księżna Walii, pragnie oznajmić, iż w dniu wczorajszym nie udzieliła żadnemu z reporterów wywiadu. W rozmowie z kilkoma dziennikarzami pragnęła jedynie się dowiedzieć, jak długo jeszcze zamierzają oni przebywać na południu Francji, albowiem natrętna obecność przedstawicieli prasy powoduje wielki stres u dzieci. Nie było przy tym wzmianki o możliwości wydania jakiegos oświadczenia w przyszłości.

Księżna wydzwaniała z jachtu Jonikal do Pałacu Kensington chyba osiem razy na dzień. W trakcie jednej z takich maratońskich rozmów powiedziała mi, że ma zamiar ponownie pojawić się w mediach - w stroju kąpielowym z nadrukowanymi lampartami.

- Zamierzam nosić go przez resztę wakacji. To ich zirytuje, gdyż każdego dnia będą robili takie same zdjęcia! - oznajmiła.

Rzeczywiście, gazety z tamtego tygodnia pełne były jej fotografii z plaży, na jachcie, na skuterze wodnym, skaczącej do wody - zawsze w stroju kąpielowym z panterami.

Radość z pobytu zakłóciła wiadomość, że przyjaciel Gianni Versace został zastrzelony przed swoją posiadłością w Miami. Pod koniec jesieni miał przesłać księżnej całą kolekcję garderoby na zimę. Lipcowy numer „Vanity Fair” pokazywał na okładce Dianę w sukni Versacego. Teraz co godzinę odbierałem od księżnej gorączkowe telefony.

- Musimy skontaktować się z Eltonem Johnem! - niecierpliwiła się. - On przebywa gdzieś w południowej Francji. W jego domu w Windsorze powinni mieć kontaktowy numer.

Nie miałem nawet okazji powiedzieć, że poprzedniego dnia Elton dzwonił już do Pałacu Kensington, zostawiając numer do siebie. Tragedia związana z zabójstwem Versacego przerwała trwające dziewięć miesięcy milczenie między księżną a gwiazdorem i doprowadziła do ponownego pojednania. Do rozłamu doszło po tym, jak otrzymał zdjęcie Diany z synami, które zostało wykorzystane w „niestosowny sposób” w książce autorstwa Versacego, zatytułowanej Rock and Royalty [Rock i Rodzina Królewska]. Księżną zdęła groza na widok zdjęcia swojej rodziny, umieszczonego wśród fotografii półnagich męskich modeli. Niepokoiła się tym, co może o tym pomyśleć królowa. Wykorzystanie tego zdjęcia nie miało jednak nic wspólnego z Eltonem Johnem, ale Diana obwiniła właśnie jego i spór się zaognił. Wspólny ból po śmierci przyjaciela załagodził konflikt; 22 lipca na pogrzebie Versacego księżna pocieszała piosenkarza, obejmując go ramieniem. Pewnego razu, dzwoniąc do mnie, księżna powiedziała, że rozmowa z Eltonem przypomniła jej „stare, dobre czasy”.

- On potrafi wszystko głęboko zrozumieć - dodała. - Zauważył również ironię losu związaną z faktem, że z tej tragedii wyniknęło coś dobrego - naprawiliśmy naszą przyjaźń. Stwierdził, że Gianniemu to by się spodobało. Czyż to nie urocze z jego strony?

Szefowa uległa panice. Prywatny odrzutowiec, który miał zabrać ją i chłopców do domu, miał awarię na lotnisku Tarmac w Nicei.

- Muszę wrócić, Paul. Jutro mam ważne publiczne spotkanie w jednym ze szpitali - informowała mnie w niedzielę 20 lipca.

Powinni wylądować o szóstej popołudniu, ona zaś dzwoniła o ósmej trzydzięci. W końcu dotarli przed pomocą.

- Ach, jak dobrze znowu być w domu - odetchnęła z ulgą. Zawsze lubiła powroty do domu.

- No więc, jak było? - zapytałem.

- Cudownie. Bawiliśmy się wspaniale i najzupełniej zwyczajnie. Następnego dnia podjęła zwykłe obowiązki: lunch z Meredith Etherington-Smith, potem herbata z Mike'm Whitlamem z Brytyjskiego Czerwonego Krzyża.

Późnym latem z niedowierzaniem czytałem prasę brukową, gdy dwa imiona pojawiały się we wszystkich nagłówkach, DIANA I DODI. Nie dawałem wiary ani na jotę zapewnieniom bulwarowych pismaków, że był to „pierwszy poważny związek uczuciowy księżnej od czasu rozvodu”. Sugerowanie czegoś podobnego graniczyło z absurdem, Diana natomiast martwiła się, że wiele osób „doczyta się zbyt wielu rzeczy między wierszami”. Znajomość z Dodim nie trwała nawet dwóch miesięcy, ona zaś nigdy nie spieszyła się z podejmowaniem decyzji w sprawach dotyczących mężczyzn.

Wszyscy bliscy przyjaciele księżnej wiedzieli, kim jest jedyny mężczyzna, z którym łączył ją szczęśliwy, długotrwały i poważny związek od czasu rozvodu. I nie był to Dodi Al Fayed. Tamten związek opierał się na daleko solidniejszych fundamentach i znaczył dużo więcej niż przelotna duchowa więź, jaka wytworzyła się między nią a dziedzicem Har-rodza. W sumie spędziła wspólnie z nim w Pałacu Kensington może z dziesięć minut. Prawdą jest, że towarzystwo Dodiego uznawała za urocze, była zafascynowana jego czarem osobistym, podekscytowana nowym, pełnym przepychu romansem. Z całą pewnością jednak Dodi nie był tym „Jedynym”. W rzeczywistości, chociaż odczuwała lekki zawrót głowy od nieustannych wojaży po Europie w odrzutowym tempie, jej serce, o czym jestem przekonany, pozostało w Londynie.

Mohamed Al Fayed przyłączył się do tego szleństwa. Podobno miał powiedzieć, że „jest dla Diany jak ojciec”. Z całym szacunkiem dla niego, wiem, że tak nigdy nie było. W odosobnieniu Pałacu

Kensington odnosiłem wrażenie, że cała ta afera z Dodim i Dianą zmierzała w kierunku świata fantasy. Mąż pani Lucii Flechy, ambasador Paolo de Lima, był również określany mianem ojca. Podobnie jak lord David Attenborough. Starszy pan Al Fayed mógł jedynie rościć sobie prawo do roli działającego z oddali dobroczyńcy w jej życiu. Był nad wyraz życzliwy i uprzejmy, lecz ojcował Dianie w takim samym stopniu, jak Dodi był tym „Jedynym”.

Prawdę powiedziawszy, w moich oczach Dodi nie był nawet Dodim. Nazywaliśmy go „Siostrą”. Ów przydomek nadała mu księżna, więc mogliśmy zwracać się do niego w ten sposób całkiem otwarcie. Kiedy Diana mówiła „Co twoim zdaniem powiedziałyby moja siostra?” albo „Czy moja siostra dzwoniła?”, wcale nie miała na myśli lady Sarah McCorquodale czy lady Jane Fellowes, lecz właśnie jego.

Ekstrawagancja Dodiego i jego rozrzutność szokowały i odurzały księżną. Prowadził życie człowieka światowego i obdarowywał zabawkami w królewskim stylu, bez żadnych ograniczeń.

- Czy mogę zaprosić cię na kolację - zaproponował, dzwoniąc któregoś razu do Pałacu Kensington.

- Oczywiście - odparła księżna. - Kiedy?

- Dzisiaj wieczorem.

- Dokąd się wybieramy?

- Do Paryża - odpowiedział, księżna zaś nie mogła wyjść z zachwytu.

Dodi dołożył wszelkich starań, by jej zaimponować: przysłał helikopter, który przewiózł księżną przez kanał La Manche, zamówił Apartament Cesarski w hotelu Ritz należącym do jego rodziny.

Pakowałem wszystko, co mogło być jej potrzebne do podręcznej torby od Versace-go. Wyjechała wieczorem, pozostawiając Williama i Harry'ego pod opieką niani, Olgi Powell, oraz moją.

Tego sobotniego wieczoru, 26 lipca, zadzwoniła do mnie z hotelowego apartamentu.

- Ach, Paul, jest cudownie. Cudownie! - wołała z zachwytem. - Przed chwilą wręczył mi prezent. Nie mogłam się doczekać, kiedy się z nim rozstanę, by zadzwonić do ciebie. Kupił mi chyba najpiękniejszy złoty zegarek wysadzany brylantami. Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego. Zachowywała się jak szesnastolatka, a jej szczęście było zaraźliwe.

Tego właśnie dnia odwiedziła Villę Windsor - gdzie, jak głosiły plotki, Diana i Dodi planowali wspólnie zamieszkać. Jednak nie były to plany księżnej.

- Nie przebywaliśmy tam długo. Pokoje sprawiają wrażenie mauzoleum. Nie mogłabym w nich mieszkać! Tam jest pełno duchów - powiedziała. Poprosiła mnie, by kupić u Aspreya czarną ramkę z krokodylej skóry, żeby mogła przesłać w niej Dodiemu swoją fotografię, o którą poprosił.

- Nie możesz przesłać mu zdjęcia z dedykacją. Nie wiesz, komu zostanie pokazana - ostrzegłem ją. Ramka została kupiona i wstawiono w nią fotografię. Jednakże Diana najwyraźniej wzięła pod rozwagę ostrzeżenie z mojej strony i nie złożyła na zdjęciu podpisu, ani nie napisała dedykacji.

Wróciła do Pałacu Kensington, przywożąc prezenty dla Marii i dla mnie. Z podręcznej torby wyciągnęła dwa brzoskwiniowe szlafroki frotte, każdy z wyhaftowanym herbem hotelu Ritz.

- Jestem pewna, że będzie pasował na Marię. Nie wiem tylko, jak wyglądasz w brzoskwiniowym kolorze! - zażartowała.

W ostatnim tygodniu lipca księżna postanowiła podjąć trudną decyzję. Rozum podpowiadał jej, żeby odkreślić grubą kreską jej ostatni związek. Dodi również zdecydował się na zerwanie swoich zaręczyn z Kelly Fisher. Oboje byli znowu osobami stanu wolnego. William i Harry mieli spędzić sierpień razem z księciem Karolem na wakacjach, z ostatnim etapem na Zamku Balmoral. Księżna dołączyła do Dodiego, tym razem już sama, i od 31 lipca do 4 sierpnia jachtem Jonikal wyruszyli w rejs po Morzu Śródziemnym, krążąc między Korsyką i Sycylią. Potem powróciła do pałacu, by znowu podjąć charytatywną misję.

Mapa świata upstrzona czerwonymi pinezkami była przyczepiona do arkusza tektury i oparta o tył krzesła w narożniku sali recepcyjnej Pałacu Kensington. Z pomocą Mike'a Whitlana księżna zaznaczała kraje świata z największymi zaminowanymi terenami - od Gruzji przez Koreę, Wietnam po Angolę - każda pinezka oznaczała zagrożony obszar oraz potrzebę wysłania tam misji.

Podbudowana sukcesem odniesionym w Angoli, planowała podjęcie kampanii przeciwko stosowaniu min w Gruzji, na południowych granicach Rosji. Brytyjski rząd jednak ocenił wyjazd tam jako zbyt niebezpieczny i podróż została odwołana. W zamian wybrano trasę wiodącą do byłej

Jugosławii i Bośni, wyznaczono termin między 8 a 10 sierpnia. Księżnej Dianie mieli towarzyszyć członkowie organizacji Landmine Survivors Network (LSN) oraz Bili Deedes z „Daily Telegraph”. Pierwszą noc spędziliśmy w prywatnym domu, który udostępniono nam na wzgórzach w rejonie Tuzli. Tego wieczoru nasza umiejętność posługiwania się nowoczesnym sprzętem elektronicznym została poddana ostrej próbie. Dajcie mi nóż, widelec, plan miejsc przy stole, poradzę sobie ze wszystkim. Jeśli jednak dostanę da ręki elektroniczny gadżet, staję się bezużyteczny. Kiedy Dodi dostarczył księżnej telefon satelitarny, by móc utrzymywać z nią kontakt podczas pobytu w Bośni, oboje spoglądaliśmy na urządzenie bezradnym wzrokiem. Staliśmy tam, na zewnątrz domu usytuowanego na wierzchołku góry, księżna trzymała kompas, żeby określić kierunek naszego satelity, podczas gdy ja rozpakowywałem i podłączałem urządzenie, a potem pobiegłem w zarośla, by wylapać sygnał.

- CZY TO W OGÓLE DZIAŁA? - zawołałem, a Diana prawie nie mogła mówić ze śmiechu. W końcu udało mi się namierzyć sygnał i księżna nawiązała kontakt.

- Dam ci kilka swoich pigułek na uspokojenie, zanim położysz się spać po tych wszystkich emocjach - powiedziała, kiedy rozmontowywaliśmy urządzenie.

- Mógłbym wcale się nie obudzić! - odparłem.

- Nie martw się, będę hałasować z rana jak zwykle. Z pewnością się obudzisz.

Następnego dnia cała nasza grupka licząca pięć osób ruszyła land-cruiserem. Księżna uparła się, że chce siedzieć z przodu, na miejscu obok kierowcy. Na tylnym siedzeniu po moich bokach byli Amerykanie, Jerry White oraz Ken Rutherford, którzy założyli organizację LSN, po tym jak stali się ofiarami min przeciwpiechotnych. Jerry stracił jedną nogę; Ken obie. Mieli podobne jak Diana poczucie humoru. Kiedy usiadła na przednim fotelu, zaczęli nieporadnie gramolić się na tylne siedzenia; Diana odwróciła się do tyłu.

Chłopaki, moglibyście zdjąć swoje nogi! - zasugerowała. W jednej chwili stopniały lody ze strony dwójki mężczyzn, którzy wobec „królewskiego majestatu” czuli się zobligowani do noszenia protez dolnych kończyn.

Jechaliśmy w kierunku Sarajewa wzdłuż zakurzonych, prymitywnych dróg. Księżna zagryzała owoce lub popijała wodę Evian z plastikowej butelki. Rozmowa koncentrowała się na znanym fakcie, że ofiary min potrafiły dokładnie przypomnieć sobie, gdzie i kiedy doszło do wypadku.

- To jest wyryte w ich pamięci na zawsze - skomentowała księżna. Jerry opowiedział o swoim wypadku, potem Ken wspominał, jak doszło do tragedii z jego udziałem.

- Mój wypadek miał miejsce 29 czerwca 1981 roku -wtrąciła Diana.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, nie bardzo rozumiejąc. Nawet ja w pierwszej sekundzie nie wiedziałem, co ma na myśli. Potem jednak dotarło do nas i wszyscy się roześmieliśmy. Do chwili, kiedy księżna dostrzegła kobietę niosącą bukiet kwiatów i wchodzącą przez bramę cmentarza.

- Stop! Zatrzymajmy się teraz! Terenowe auto zjechało na pobocze drogi.

Księżna odsunęła drzwi, wyskoczyła, przeszła przez dziurę w murze i dogoniła kobietę z kwiatami.

Okazało się, że straciła ona osiemnastoletniego syna w niedawnej wojnie domowej w byłej Jugosławii. Kiedy pogrążona w żałobie matka układała kwiaty na grobie, Diana usiadła przy niej i zaczęła rozmawiać. Po pięciu minutach księżna wstała, obie kobiety skryły twarze w dłoniach, potem się pozęgnały.

W Sarajewie zatrzymaliśmy się w hotelu Elephant. Księżna chciała kolejny raz skorzystać z telefonu satelitarnego, tak więc przez pół wieczoru machałem w oknie odbiornikiem.

- Nie... tak... nie... tak - wołała księżna, informując, czy ma sygnał, czy też nie.

Dodi wybrał się właśnie na zakupy po nowy samochód, chociaż miał ich dostatecznie dużo, by zappełnić cały parking. Teraz chciał kupić sobie srebrne lamborghini; wspominał, że myśli o prezencie-niespodziance dla księżnej. Jego ojciec przebywał w Craven Cottage, w domu należącym do Klubu Piłkarskiego Fulham, który nabył za około 7 milionów funtów, zobowiązując się zainwestować ponad 20 milionów funtów w rynek transferowy. Przesłał z Harrodsa do Pałacu Kensington telewizor Sony z płaskim ekranem, wart 5000 funtów, w prezencie dla Williama i Harry'ego, razem z dwoma laptopami, z których jeden księżna podarowała moim chłopcom. Pan Al

Fayed dawał do zrozumienia, że pieniądze nie grają roli, co w połączeniu z ekstrawagancją jego syna wzbudzało w księżnej obok ekscytacji coraz więcej wątpliwości. Tego było trochę za dużo. W Sarajewie zwiedzaliśmy dzielnicę slumsów razem z księdzem jako naszym przewodnikiem. W prymitywnym ceglany baraku przykrytym falistą blachą mieszkała piętnastoletnia dziewczyna. Straciła nogę wskutek wybuchu miny, gdy szperała w hałdzie śmieci w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia dla młodszej siostry i braciszka, którymi się opiekowała. Nie miała rodziców. W pewnym momencie, kiedy reporterzy zaczęli się interesować już innymi ofiarami min, zauważyłem w tyle pokój oddzielony przepierzeniem. Razem z księżną wślizgnęliśmy się do środka. W półmroku dostrzegliśmy wychudzoną jak szkielet czteroletnią siostrzyczkę kalekiej nastolatki, która leżała w rogu pomieszczenia na cuchnącym, przesiąkniętym moczem materacu. Była upośledzona umysłowo.

Księżna podeszła do łóżka, wzięła na ręce i przytuliła do siebie drobne ciało.

Dziecko otworzyło oczy, w których nie było źrenic. Dziewczynka była ślepa. Gdy stałem u boku szefowej, zdałem sobie sprawę, że stałem się jedynym świadkiem czegoś szczególnego - prostego ludzkiego odruchu, odkrywającego prawdziwą osobowość kobiety, którą znałem tak dobrze.

Dopiero teraz mogłem w pełni docenić znaczenie przekazanych mi zapisków z Kalkuty w 1992 roku, kiedy księżna pisała o niewidomym i głuchoniemym chłopczyku: „Przytuliłam go mocno w nadziei, że poczuje moją miłość i ciepło”.

W trakcie tej krótkotrwałej misji księżna okazywała jeszcze wiele podobnych gestów, ale ten obraz dziewczynki w prowizorycznym szpitalu w Angoli na zawsze pozostał w mojej pamięci.

Podczas lotu powrotnego do Wielkiej Brytanii księżna, Bili Dedes oraz ja siedzieliśmy razem. Szefowa postanowiła wznieść toast i uniosła kieliszek.

- Za następny kraj, do którego wyruszymy - powiedziała.

Kiedy wróciliśmy do Pałacu Kensington, myślała już o następnej misji - do Kambodży i Wietnamu - planowanej w październiku 1997 roku.

Żegnaj, Wasza Królewska Wysokość.

Wokół mnie rozległy się gromkie owacje, gdy w londyńskim Dominion Theatre odtwórcy ról Pięknej i Bestii kłaniali się na scenie, a publiczność biła brawa na stojąco.

Był wieczór 30 sierpnia 1997 roku i wraz z rodziną wybrałem się na musical; następnego dnia miała wrócić moja szefowa z Paryża. Ostatnią noc zaimprovizowanych wakacji spędzała wspólnie z Dodim w Apartamencie Cesarskim hotelu Ritz.

Po powrocie do domu razem z Marią, moim bratem Grahamem i jego żoną Jayne usiedliśmy w salonie przy kawie, przeżywając raz jeszcze ulubiony musical księżnej.

Udałem się do łóżka jako pierwszy, o siódmej rano miałem podjąć swoje obowiązki w Pałacu Kensington. Czekałem z niecierpliwością na spotkanie z księżną, której nie widziałem od 15 sierpnia. Miała mi wiele do opowiedzenia, jak wywnioskowałem z naszej ostatniej rozmowy telefonicznej. Należało również zaplanować wiele spraw przed kolejnymi, jesiennymi misjami księżnej.

Wkrótce po północy zadzwonił telefon. Telefonowała rozgorączkowana Lucia Flecha de Lima. Była akurat w swoim domu w Waszyngtonie, kiedy zadzwonił do niej Mel French, szef protokołu Białego Domu przy prezydencie Clintonie, informując o wypadku samochodowym księżnej. Potem oglądała serwis informacyjny stacji CNN. Lucia nie miała nowego numeru telefonu komórkowego Diany. Wiedziałem, że księżna nigdzie się nie ruszała bez niego, więc wybrałem numer. Zawsze odbierała. Zadzwoniłem, potem przełączyłem aparat na automatyczny odbiór wiadomości głosowych. Maria zaparzyła kolejną porcję kawy. Zadzwoniłem ponownie. I znowu. Siedzieliśmy przy stole w kuchni. A ja dzwoniłem, dzwoniłem, dzwoniłem.

Przez lata wielokrotnie powtarzałem szefowej, że gdyby kiedykolwiek znalazła się w tarapatkach, powinna dostać się do publicznej toalety, zamknąć się w kabinie i zadzwonić do mnie.

- Zawsze przybędę, bez względu na to, gdzie będziesz - zapewniałem ją.

Teraz miała problemy, jej telefon nie odpowiadał, a ja byłem bezradny.

Wyszedłem z domu i pobiegłem przez trawnik, potem drogą wzdłuż pałacu i wpadłem do biura.

Szef Michael Gibbins, osobista asystentka Jackie Allen, kierowca Colin Tebbutt oraz sekretarki, Jo Greenstead i Jane Harris, już tam byli. Na ich twarzach rysował się niepokój. Ktoś zrobił kawę. Michael, który palił jednego papierosa za drugim, obsługiwał telefon przy biurku w swoim prywatnym gabinecie, łącząc się z prywatnym sekretarzem królowej w Zamku Balmoral, podczas gdy Jackie i ja siedzieliśmy w biurze.

Pierwszą wiadomość otrzymaliśmy mniej więcej trzydzieści minut po północy. Potwierdziła, że w Paryżu doszło do wypadku samochodowego. Wydawało się, że nie jest to nic poważnego.

W ciągu godziny zadzwoniono po raz drugi. Wypadek był groźny. Dodi Al Fayed nie żył. Księżna odniosła obrażenia, jak domniemywano, miała złamaną rękę oraz pękniętą miednicę. Muszę tam jechać, pomyślałem. Ona mnie potrzebuje. Jackie Allen zaczęła sprawdzać rozkład lotów. Miał ze mną jechać kierowca Colin. Wybór padł na niego, ponieważ wcześniej był oficerem królewskiej służby ochrony, przywykł więc do podejmowania szybkich decyzji. Wszystkie biura British Airways w Londynie były zamknięte, w tej sytuacji zarezerwowaliśmy bilety w agencji w Nowym Jorku.

O czwartej nad ranem Michael odebrał kolejny telefon. Jackie weszła do jego biura. Kiedy pojawiła się po kilku minutach, poprosiła, żebym usiadł i objęła mnie ramieniem.

- Paul, musisz teraz być silny. Jest mi niewypowiedzianie przykro, księżna zmarła.

Oficjalny komunikat o śmierci Diany podano godzinę wcześniej, o trzeciej nad ranem czasu brytyjskiego, a czwartej rano w Paryżu. Nie przeżyła natychmiastowej operacji, mającej uratować jej życie. Jakaś niewidzialna siła uderzyła we mnie i odebrała dech w piersiach. Gdybym chciał krzyknąć, nie byłbym w stanie wydobyć z siebie głosu. Kompletna

pustka. Ostry ból. Siedzieliśmy razem z Jackie i płakaliśmy. Potem poczucie obowiązku, sterowanym niczym autopilotem, odepchnęło emocje. Teraz jestem jej bardziej potrzebny niż kiedykolwiek, pomyślałem.

Zadzwoniłem do Marii w Starych Koszarach.

- Skarbie, księżna nie żyje. Jadę do Paryża.

Gdy odkładałem słuchawkę, usłyszałem szloch. Bilety na samolot były zarezerwowane. Popędziłem do domu, żeby spakować rzeczy do podręcznej torby, potem pobiegłem z powrotem do apartamentów numer 8 i 9. Do domu, który oczekiwał na księżną, wszedłem tylnymi drzwiami. Uderzyła mnie panująca cisza. Za niecałe dwanaście godzin jej głos i śmiech miały wypełnić tę pustkę. Teraz nie było nic. Chodziłem dookoła. Wszystko znajdowało się w takim stanie, w jakim zostawiła. Podeszedłem do biurka. Wszystkie rzeczy ułożone w porządku: trzy miniaturowe zegarki tykały cichutko, wskazując ten sam czas; dwanaście kredek w kubku; kałamarz z atramentem Quink po jednej stronie. Wieczne pióro w podstawce na kałamarz; karta ze ściągawką zawierającą „listę słów” przydatnych w pisaniu korespondencji. Nie tolerowała błędów w pisowni.

Zobaczyłem to, czego szukałem. Różaniec podarowany księżnej przez Matkę Teresę, owinięty na miniaturowej figurce Jezusa Chrystusa z marmuru, stał pod abażurem obok dwóch statuetek Matki Boskiej, jednej białej i jednej w kolorze ochry. Wziąłem różaniec z koralików i wsunąłem do kieszeni. Ruszyłem do garderoby i podeszedłem do stolika przed lustrem, gdzie każdego ranka robiła makijaż, a fryzjerzy układali jej fryzurę. Stał na nim miniaturowy zegar, który wskazywał, czy jest spóźniona; flakony z jej ulubionymi perfumami Faubourg 24 Her-mesa i Heritage Guerlaina; lakier do włosów Pantene; szklany kubek pełen wacików; kilka rzędów szminek w plastikowych oprawkach. Jedną kredkę do ust oraz pudełko z pudrem włożyłem do skórzanej torebki Gladstone'a z złotym inicjałem „D” oraz koronnymi insygniami, zrobionej na specjalne zamówienie w poprzednim roku. Nie zabierałem żadnej garderoby. Zaciągnąłem wszystkie kotary, następnie zebrałem klejnoty księżnej i umieściłem w sejfie.

Wyszedłem na zewnątrz, by dołączyć do Colina Tebuttta. Była jeszcze jedna rzecz, którą musiałem zrobić przed odjazdem do Paryża, gdyż zdawałem sobie sprawę, że nie możemy zostawić najbardziej prywatnych pomieszczeń księżnej - salonu, sypialni i garderoby - nie zamkniętych. To był jej świat. I wymagał ochrony. Przeszliśmy razem z Colinem, zamykając drzwi i pieczętując je grubą taśmą pakową, doklejając etykiety, na których złożyliśmy nasze podpisy.

Wraz z Colinem pojechaliśmy na lotnisko Heathrow, by złapać pierwszy poranny lot do Paryża. Dzięki Bogu, że był ze mną, obeznany z procedurami odprawy VIP-ów na lotnisku. Lecieliśmy w milczeniu. Nie słyszałem niczego poza głosem księżnej. Ostatnia rozmowa. Ostatni raz, kiedy ją widziałem. Jej gorączkowe pragnienie, by wrócić już do domu i zobaczyć Williama i Harry'ego. W jakim stanie ją zobaczę? Jak sobie z tym poradzę?

Paryż. Ona przecież nie chciała jechać do Paryża.

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Kiedy przelatywaliśmy nad kanałem La Manche, Lucia Flecha de Lima wsiadła na pokład pierwszego dostępnego samolotu na trasie Waszyngton - Londyn.

Maria budziła nasze dzieci. Dwunastoletni Alexander usłyszał o tym, co się stało z rozmowy prowadzonej na półpiętrze i siedział na łóżku, nie mówiąc słowa. Dziewięcioletni Nick także już wiedział. Leżał na brzuchu, z poduszką na głowie, i szlochał.

- Miała mnie zabrać do pracowni kryształów. Miała mnie zabrać do pracowni kryształów.

Tej niedzieli Maria nie zdążyła nawet się ubrać, telefon dzwonił bez przerwy.

Przyleciałem do Paryża zrobić to, czego księżna oczekiwałaby ode mnie.

W brytyjskiej ambasadzie czekali na nas, bladzi jak kreda, ambasador Wielkiej Brytanii we Francji, sir Michael Jay oraz jego małżonka Syl-via. Po wypiciu filiżanki kawy odciągnąłem na stronę panią Jay.

- Obawiam się, że księżna zostanie okryta jakimś szkaradnym całunem, a z pewnością nie życzyłaby tego sobie - oznajmiłem.

Pani ambasadorowa zrozumiała moją sugestię.

- Proszę pójść ze mną, postaramy się jakoś temu zaradzić. Poprowadziła mnie przez amfiladę pokoi i w końcu otworzyła przepastną szafę w stylu Ludwika XIV.

- Jeśli znajdzie się tu coś odpowiedniego, proszę wziąć.

- Musi to być coś czarnego, pod szyję - powiedziałem.

Pani Jay zaczęła przesuwac wieszaki i w końcu wyciągnęła czarną wełnianą suknię z szalowym kołnierzem, długą do połowy łydki.

- Ta nadaje się idealnie - oświadczyłem, po czym włożyliśmy parę czarnych pantofli do torby księżnej. Suknia została zapakowana do pokrowca z wieszakiem i wyruszyliśmy do Szpitala Pitie-Salpetriere. Kiedy przyjechaliśmy, przed wejściem do ośmiopiętrowego budynku pani ambasadorowa, która widziała już ciało księżnej wcześniej rano, uściśnęła moją dłoń.

- Bądź dzielny - powiedziała.

Przypominam sobie upał i duchotę oraz bezkresne, puste korytarze, jak gdyby cały szpital został ewakuowany. Ale gdy wysiedliśmy z windy na drugim piętrze, znaleźliśmy się w mrowisku. Pełno lekarzy w białych kitlach, pielęgniarki pędzące korytarzem, policjanci. Wprowadzono nas do niewielkiego biura. Główny chirurg łamaną angielszczyzną wyraził swoje współczucie i wyjaśnił, że niczego nie można było zrobić, by ocalić życie księżnej. Później poprowadzono nas innym korytarzem, po którego obu stronach sale były puste. Na końcu dwóch żandarmów stało po każdej stronie drzwi. To zapewne tu spoczywa ciało księżnej, pomyślałem.

Minęliśmy funkcjonariuszy policji i weszliśmy do pomieszczenia po prawej stronie. Przedstawiono nas katolickiemu księdzu, ojcu Clochard--Bossuetowi, oraz anglikańskiemu pastrowi, Martinowi Draperowi. Ostatniego namaszczenia udzielił ojciec Clochard-Bossuet. Moje myśli pobiegły ku wszystkim tym chwilom, kiedy z księżną chodziliśmy do Kościoła Karmelickiego przy Kensington Church Street, zapalaliśmy świece i razem się modliliśmy.

Wypiliśmy kawę i czekaliśmy razem z duchownymi. Dochodziła jedenasta przed południem.

Naczelną pielęgniarką, Beatrice Humbert, weszła do pomieszczenia i powiedziała nam, że będziemy mogli zobaczyć ciało księżnej przez krótką chwilę. Siostra Humbert, drobna, schludna i dbająca o szczegóły dama, podchodziła do sytuacji z pełnym profesjonalizmem.

- Nie chciałbym, by to zamieniło się w tanie widowisko. Dobrze byłoby, gdybym był informowany o każdej osobie pragnącej wejść do pomieszczenia, w którym spoczywa księżna - powiedziałem.

Rozumiała ten niepokój i opuściła salę, by dopilnować spełnienia mojego życzenia.

W końcu nadeszła chwila, kiedy mieliśmy zobaczyć księżną. Nie wiem, jak zdołałem przez to przejść. Siostra Humbert ścisnęła mocno moją dłoń, a Colin chwycił mnie pod ramię. Minęliśmy dwójkę żandarmów, którzy skłonili głowy. Za drzwiami panował półmrok. Światło sączyło się z okna przez szczeliny zaciągniętych weneckich żaluzji. Jedyne oświetleniem w sali był kinkiet na jednej ze ścian. Kobieta i mężczyzna z firmy pogrzebowej stali w rogu nieruchomo jak posągi. Ciszę zakłócał jedynie szum furkoczącego wentylatora.

Wtedy zobaczyłem ją. Kobieta, o którą troszczyłem się przez tak długi czas, spoczywała na łóżku ustawionym wezglowiem do ściany. Była przykryta białym bawełnianym prześcieradłem aż po szyję. Siostra Humbert i Colin podtrzymywali mnie.

Rozpląkałem się. Podszedłem do łóżka, wyobrażałem sobie, że śpi. Chciałem wziąć ją za rękę, jak czyniłem to tyle razy wcześniej. Chciałem wszystkie sprawy ułożyć inaczej, lepiej. Kiedy fala powietrza z obracającego się powoli wentylatora owionęła mnie, zdawało mi się, że rzęsy księżnej się poruszyły. Czegóż bym nie zrobił, żeby otworzyła oczy.

Rozejrzałem się i zauważyłem, że jedynymi kwiatami w pomieszczeniu były dwa tuziny róż od byłego prezydenta Francji, Valery'ego Giscarda d'Estainga i jego małżonki. Tym, co w tamtej chwili podtrzymywało mnie na duchu, była jej wiara w życie pozaziemskie, którą wpoila we mnie. Nie obawiała się śmierci od czasu, gdy w 1991 była świadkiem umierania Adriana Warda-Jaksona; ten epizod stał się początkiem jej fascynacji sferą ducha. Kiedy ktoś umiera, jego dusza unosi się i spogląda na dół przez chwilę, słyszałem jej słowa wypowiedziane dawno temu, kiedy umarła moja matka. Ta myśl stała się wtedy dla mnie jedyną pociechą. Wierzyłem, że jej dusza wciąż unosiła się nad martwym już ciałem, czekając na rozpoczęcie podróży, jak ujęła to księżna.

Otarłem oczy, zebrałem w sobie siły i poinformowałem siostrę Humbert, że przyniosłem czarną suknię oraz pantofle księżnej, a także jej szminkę i puder. Potem wyjąłem z kieszeni i podałem siostrze różaniec z kości słoniowej, подарowany przez Matkę Teresę.

- Czy mogłaby pani włożyć go w dłoń księżnej? - poprosiłem.

Miałem jeszcze jedno zadanie do wykonania. Musiałem udać się do hotelu Ritz i zabrać rzeczy Diany z Apartamentu Cesarskiego. Colin Tebbutt, który starał się koić mój ból, zorganizował transport. Po krótkiej jeździe przez Paryż znaleźliśmy się w hotelowej recepcji. Zapytałem, czy można powiadomić Mohameda Al Fayeda o moim przybyciu w celu zabrania rzeczy należących do księżnej. W recepcji powiedziano mi, że ojciec Dodiego przebywa na górze. Czekaliśmy w głównym lobby na dole przez około trzy kwadransy. W końcu poinformowano nas przez posłańca, że pan Al Fayed jest bardzo zajęty oraz że rzeczy księżnej już zostały wysłane do Anglii, via jego wiejska posiadłość Oxtead.

Pojechaliśmy więc ponownie do szpitala, w którym zjawiły się już tłumy dziennikarzy. Udałem się z Colinem do pokoju, w którym spotkaliśmy się z kapłanami. Na bocznym stoliku zadzwonił telefon. Odebrałem i rozpoznałem głos księcia Karola, który dzwonił z Zamku Balmoral.

- Trzymasz się jakoś, Paul? - zapytał.

- Tak, Wasza Królewska Wysokość, dziękuję.

Pamiętam, że pomyślałem wtedy, jak idiotyczne były to słowa. Nigdy w życiu nie czułem się gorzej niż wtedy.

- Paul, wrócisz razem z nami na pokładzie samolotu królowej. Spotkamy się z tobą około szóstej po południu. Jane i Sarah [siostry księżnej] przyjadą ze mną - poinformował.

Na koniec powiedział coś dziwnego:

- William i Harry przesyłają uściski, a królowa poprosiła mnie, bym przekazał ci wyrazy współczucia w jej imieniu.

Zapytałem siostrę Humbert, czy mogę ponownie zobaczyć ciało księżnej. Byłem już spokojny, wchodząc do sali po raz drugi. Księżna leżała teraz w czarnej sukni i pantoflach, z ułożonymi włosami, trzymając w dłoni różaniec z kości słoniowej, подарowany jej przez Matkę Teresę.

Popołudniu dojechał książę Karol. Podszedł do mnie i nie było potrzeby wyrażania głębokiego żalu, jaki obaj odczuwaliśmy. Dotknął klapy mojej marynarki.

- Jesteś pewien, że jakoś się trzymasz? - zapytał. Zdołałem jedynie kiwnąć głową.

Kiedy lady Jane Fellowes i lady Sarah McCorquodale zobaczyły mnie, objęły ramionami i zaczęły szlochać. W jakiś sposób członek dynastii Windsorów, dwie przedstawicielki rodu Spencerów oraz kamerdyner potrafili udzielić sobie nawzajem pocieszenia.

Krótko przed szóstą po południu po raz ostatni przekroczyłem próg pomieszczenia, w którym spoczywała księżna. Jej ciało było już złożone do trumny. Później po obu stronach Atlantyku napisano stek bzdur o tym, że Diana miała mi powiedzieć, iż pragnie być pochowana w trumnie z okienkiem, żeby jej twarz była widoczna. Nigdy czegoś takiego nie mówiła. Jej ciało było umieszczone w szarej trumnie z okienkiem, którą potem włożono do dębowej trumny z pełnym wiekiem. Poinformowano mnie, że okienka wymagały francuskie przepisy celne.

Wszedłem na pokład samolotu wraz z księciem Karolem, Colinem Tebbuttem, lady Jane i lady Sarah. Wszyscy towarzyszyliśmy księżnej w tej ostatniej drodze do domu.

Jak na ironię, w samolocie zająłem miejsce obok Marka Bolland, asystenta księcia, który pełnił wtedy obowiązki zastępcy osobistego sekretarza. Księżna nazywała tego człowieka „szubrawcem w smokingu”. Po latach Pałac Św. Jakuba oskarżył go o kierowanie kampanią prasową, zmierzającą do tego, by Camilla Parker Bowles została zaakceptowana jako partnerka księcia Karola.

Zachodziłem w głowę, co robił on na pokładzie samolotu; nie odezwałem się do niego ani jednym słowem.

Samolot wylądował w bazie RAF-u Northolt, na zachód od Londynu. Zeszliśmy po metalowych schodkach, silny, ciepły wiatr rozwiewał wszystkim włosy. W zachodzącym słońcu stanęliśmy w milczeniu na krawędzi płyty lotniska. Ośmiu lotników powoli wyciągnęło z wnętrza samolotu trumnę, przykrytą królewskim sztandarem. Miarowym krokiem ruszyli przez pas startowy w kierunku czekającego karawanu. Księżę Karol poleciał dalej na północ, by dołączyć do synów, Williama i Har-ry'ego. Na obie siostry oraz kamerdynera spadł obowiązek dopilnowania, by trumna z księżną dotarła do następnych etapów tej podróży: najpierw do firmy pogrzebowej, a potem do królewskiej kaplicy w Pałacu Św. Jakuba.

Trzy auta naszego żałobnego konduktu wyruszyły z lotniska i wjechały na dwupasmową autostradę A40 prowadzącą do centrum Londynu. Gdy przejeżdżaliśmy, inne samochody hamowały. Wszyscy kierowcy, jak jeden mąż, po obu stronach drogi, na jednej z najbardziej ruchliwych tras do stolicy, zatrzymywali się, wyłączali silniki, wychodzili ze swoich aut i pochylali głowy. Ludzie ustawiali się na kładkach i rzucali przed nami kwiaty. Jedyńm, o czym mogłem myśleć, było to, co powiedziałyby księżna. „Nie powinni zatrzymywać się przede mną! Och, nie!”, skuliłaby się w kłębek ze zmieszania.

Dojechaliśmy do firmy pogrzebowej w Londynie i następną osobą, jaką zobaczyłem, był osobisty lekarz księżnej, dr Peter Wheeler, który starał się dodać otuchy wszystkim. Odciągnął mnie na bok.

- Jeśli potrzebujesz czegoś, żeby móc potem zasnąć...

Kiwnąłem głową. Nie byłem jedyną osobą, która powinna wykazać się profesjonalizmem, wypełniając swoje obowiązki po utracie drogiego przyjaciela. Nie zazdrościłem doktorowi Wheelerowi trudnej roli, jaka teraz przypadła mu w udziale.

- Muszę wziąć udział w sekcji zwłok - oznajmił - i nie będzie to wcale łatwe.

- Dlaczego potrzebna jest druga autopsja? - zapytałem, wiedząc, że jedna już odbyła się w Paryżu.

- Ta w Paryżu została wykonana na francuskiej ziemi, na podstawie przepisów prawa francuskiego.

Zgodnie z życzeniem naszego rządu, musimy zrobić to samo - stwierdził, wspominając jeszcze coś o sekcji sądowej i wymaganych procedurach. Sekcja zwłok została przeprowadzona w 1997 roku i do dziś, czyli do końca 2003 roku, Brytyjczycy nie wszczęli dochodzenia mającego ustalić przyczyny śmierci księżnej. Tej nocy jej ciało spoczywało w kostnicy zakładu pogrzebowego.

Następnego dnia mogłem przebywać w jednym jedynym miejscu - w Pałacu Kensington, jak co dzień.

Kamerdyner w gospodarstwie, w którym zabrakło gospodyni. W ten poniedziałkowy poranek o ósmej moim pierwszym zadaniem było zerwanie z drzwi taśmy pakowej służącej za plombę.

Byłem jedyną osobą, która pozostała w apartamentach 8 i 9, z wyjątkiem służącej Lily usiłującej utrzymać porządek. Jednak siedziała załamana.

Michael Gibbins przyszedł do mnie, mając do wykonania ciężkie zadanie.

- Paul, w Pałacu Św. Jakuba poproszono mnie, żebym zabrał wszystkie klucze od tylnego wejścia.

Nie upłynęły nawet dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy ciało księżnej przywieziono do domu, a pozbawieni uczuć urzędnicy z królewskiego dworu żądali ode mnie, bym przekazał im klucze do mojego świata; wykorzystali przy tym szefa biura do wykonania tej brudnej roboty. Odmówiłem, i nikt tego nie zakwestionował.

Pozbawione skrupułów traktowanie personelu księżnej powtórzyło się jeszcze tego samego dnia. Kiedy garderobiana Angela Benjamin zjawiała się w pracy, jak wszyscy z nas, została wyprowadzona z pałacowych pomieszczeń pod policyjną eskortą. Polecono jej zabrać rzeczy osobiste i patrzono na ręce nawet wtedy, kiedy wyciągała wypraną bieliznę z suszarki bębnowej. W porze obiadu jechała już pociągiem do Devon, nie mogąc się nadziwić, co właściwie zrobiła źle. Tego ranka nie wiedziałem jeszcze, co spotkało Angelę. Siedziałem przy swoim biurku w pokoju kredensowym i patrzyłem przez okno na dziedziniec. Przede mną leżał otwarty biurkowy terminarz. Na dziś umówione było spotkanie z krawcem Williama i Harry'ego. Potem przymiarka u Armaniego. Z góry dobiegał odgłos dzwonka telefonu księżnej.

Potem, w ciągu następnej godziny, rozdzwonił się mój aparat: migwały obie lampki linii bezpośrednich do pałacu. Odpowiadałem na telefony przez cały dzień. Ledwo zdążyłem odłożyć słuchawkę, już rozlegał się następny dzwonek. Kolejny przyjaciel, zwracający się do mnie jako osoby najbliższej księżnej, przekazywał wyrazy głębokiego żalu. Dzwonili zaufani przyjaciele księżnej, sławne osobistości, przedstawiciele medycyny alternatywnej, astrolodzy, parapsycholodzy, instruktorzy fitnessu, fryzjerzy, projektanci mody, członkowie rodziny królewskiej. Lista nie miała końca. Wszyscy i każdy, kto znalazł się w jakimś momencie w świecie Diany, dzwonił tego dnia. Nawet jej rodzina, lady Sarah, lady Jane oraz matka, pani Frances Shand Kydd, przyszły do mnie ze swą żalobą, a każda z tych osób pragnęła opowiedzieć o własnych uczuciach i zapytać o to, jakie były uczucia księżnej w stosunku do nich.

Trudno mi było to wszystko znieść. Następnego dnia Michael Gibbins i Jackie Allen odbierali telefony w moim imieniu.

Ten tydzień był najtrudniejszym okresem w moim życiu; jedynie poczucie obowiązku pozwoliło mi jakoś przetrwać owe chwile. Moje myśli zaprzętały znacznie ważniejsze sprawy niż pełne gorzkości problemy rodzinne. Po śmierci Diany członkowie rodziny Spencerów korzystali z moich rad przy podejmowaniu każdej decyzji. Przekazałem swoje rekomendacje co do listy gości na pogrzeb w Opactwie Westminster-skim. Korzystałem z książki adresowej księżnej. Lady Sarah spoglądała na listę, powątpiewając w obecność niektórych znanych na cały świat osób, jak George Micheal, Chris de Burgh, Tom Hanks, Tom Cruise czy Steven Spielberg.

- Ale to są przyjaciele księżnej - oznajmiłem.

Tymczasem Maria usiłowała pocieszyć panią Shand Kydd, która zjechała do nas, kopiąc jak lokomotywa, popijając pokaźne ilości wina oraz deklarując, że jej córka nigdy nie powinna znaleźć się na jej achcie Al Faye-dów. Uważała, że Spencerowie są odpowiedzialni za wszystkie żałobne przygotowania, nie Windsorowie. Jej syn Karol zamierza wygłosić mowę, z której „należy być dumnym”; przekonywała jednocześnie, jaką dobrą matką była dla księżnej.

Ja jednak znałem prawdę o relacjach rodziny z szefową - prawda ta wyszła na jaw parę lat później. Jeśli w życiu Diany pojawiła się kiedykolwiek postać prawdziwej matki, była nią Lucia Flecha de Lima. Księżna postrzegała więź łączącą ją z tą kobietą jako relację matki i córki. Lucia traktowała Dianę jak własną córkę, potrafiła też udzielać jej prawdziwego wsparcia w trudnych chwilach.

Toteż w poniedziałkowy poranek

jedyną osobą, jaką pragnąłem widzieć, była pani Flecha de Lima. Przyjechała do pałacu, wraz z córką Beatrice, żeby być razem ze mną.

Przez cztery noce tamtego tygodnia ciało księżnej - złożone teraz w angielskiej podwójnej, dębowo-olowanej trumnie - leżało w Kaplicy Królewskiej Pałacu Sw. Jakuba, za którą biegła aleja Mali, gdzie zaczęli się gromadzić żałobnicy z całego świata, składając wiązanek kwiatów i zapalając świece. Tłumy zebrały się pod bramami Pałacu Kensington.

Nie było chyba innej osoby niż Lucia, której obecności w tamtych chwilach bardziej bym sobie życzył. Postanowiliśmy udać się razem do kaplicy, ona w czarnej sukni, ja w czarnym garniturze.

Zaskrzypiały otwierane drzwi i zobaczyliśmy nawę z drewnianymi ławkami po obu stronach. Przed

nami w chłodnej szarości świętego miejsca znajdowała się trumna spoczywająca na katafalku przed ołtarzem. Uderzała niezwykła pustka. Nie paliła się żadna świeca. Nie było też żadnej wiązanki kwiatów. Na zewnątrz ludzie tworzyli najbardziej zdumiewający ogród pamięci, a liczba świec płonących na poboczu trawnika przekraczała liczbę gwiazd na niebie. We wnętrzu kaplicy nie było nic.

Lucia natychmiast odnalazła kapelana królowej, wielbnego Williego Bootha.

- Błagam, przynieście tu trochę kwiatów składanych przez ludzi - poprosiła.

Kapelan odpowiedział, że zobaczy, co będzie w stanie zrobić. Ta odpowiedź nie zadowoliła Lucii. Zona ambasadora przestawiła się na język wprawnej dyplomacji.

- Chcę jedynie powiedzieć, że jeśli nic się nie zmieni, gdy wrócimy jutro, wyjdę na zewnątrz i powiem ludziom, że księżna nie ma kwiatów!

W chwili, kiedy królowa nie wróciła jeszcze z Zamku Balmoral i padały ostre pytania na temat nieobecności rodziny Windsorów w pogrążonej w żałobie stolicy, perspektywa ujawnienia przed opinią publiczną przez Lucie zimnej pustki w kaplicy była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała mająca tyle problemów monarchia. By zapewnić, że uprzejma, lecz stanowcza prośba Lucii zostanie spełniona, królowa sama zajęła się zamówieniem wiązanek, jakie miały być dostarczone przez kwiaciara księżnej, Johna Cartera. Przywiózł je, nie żądając zapłaty. Następnego dnia bukiet białych lilii, przesłanych przez księcia Karola, spoczywał na wieku trumny; Lucia doniosła więcej kwiatów; białe róże przywieziono z ogrodu lorda i lady Palumbo. Lady Annabel Goldsmith rozmawiała ze mną telefonicznie każdego dnia, a Rosa Monckton, która była najlepszą przyjaciółką i niemal siostrą dla księżnej, przybyła do Pałacu

Kensington, by dotrzymać mi towarzystwa. Razem wspominaliśmy i razem płakaliśmy. Później odwiedziliśmy kaplicę.

Susie Kassem również dojechała do pałacu. Przyniosła ze sobą świecę. W holu na parterze przy schodach prowadzących na półpiętro zatrzymaliśmy się pod ogromnym portretem księżnej pędzla Nelsona Shanksa. Susie w milczeniu postawiła na dywanie zapaloną świecę. Uklękliśmy i pogrążyliśmy się w modlitwie.

Osoby z najbliższego kręgu księżnej były dla mnie źródłem siły i oparcia. Jej przyjaciele, ludzie znający ją najlepiej, zapewнили Dianie godne pożegnanie.

Michael Gibbins poinformował mnie, że William i Harry przyjadą do domu wraz z księciem Karolem. Chłopcy zobaczyli tłumy zgromadzone na zewnątrz i kwiaty złożone w hołdzie ich matce. Oczekiwałem na nich w wewnętrznym holu. Harry popędził przez drzwi i przytulił się do mnie, płacząc. William wyciągnął rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie. Męstwo okazywane przez obu chłopców było niewiarygodne. Wydali się nagle tacy dorośli w czarnych garniturach i krawatach.

- Przyjechaliśmy po parę rzeczy. Idziemy zaraz na górę - oznajmił William i obaj bracia poszli do dziecięcego pokoju i do swojego salonu.

- Jak sobie dajesz radę, Paul? - zapytał książę Karol, którego najwyraźniej przytłaczał ogrom zdarzeń. Mówił w sposób uprzejmy i spokojny, lecz sprawiał wrażenie osoby nieobecnej, kiedy przechadzał się po apartamencie, pogrążony w myślach. Poszedł schodami na górę. Podążyłem za nim, wcale o to nie proszony. W Highgrove byłoby to uznane za skrajną arogancję. Jednak na terenie, który już do niego nie należał, nie mogłem być odprawiony, przebywał teraz na moim terytorium. Nikt nie mógł zniknąć z moich oczu, czy był to przyjaciel czy też przyszły król Anglii. Poszedłem w ślad za nim do salonu. Podszedł do biurka i wysunął górną szufladę. Zobaczył, że obserwuję każdy jego ruch i wsunął ją z powrotem.

Niezręczną sytuację przerwał głos Williama.

- Jesteś gotowy, tato?

- Wkrótce się zobaczymy, Paul. Wrócimy tu - zawołał Harry, zanim wszyscy zniknęli za frontowymi drzwiami.

Do Pałacu Kensington przywieziono przezroczysty worek z garderobą księżnej, którą miała na sobie, kiedy mercedes rozbił się o trzynasty filar przy Place de l'Alma: poplamione krwią czarny żakiet oraz białe

spodnie. Dobrze, że w tym ciężkim momencie była przy mnie Lucia. Staliśmy z workiem u dołu

schodów, nie mogłem tych rzeczy po prostu wyrzucić. Nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić, włożyłem je do lodówki na parterze.

Pałac Kensington był domem księżnej: tu spędziła większość dorosłego życia. Wydawało mi się więc, że w tę ostatnią noc powinna być tutaj i stąd wyruszyć przez frontowe drzwi w ostatnią drogę do Opactwa Westminsterskiego.

- Pozwólcie, bym czuwał przy księżnej przez tę noc i pozwólcie jej po raz ostatni wyjść przez frontowe drzwi - poprosiłem.

Lady Sarah wyraziła wolę sprowadzenia swej siostry do domu, a królowa wydała na to zgodę.

Księżna spędziła ostatnią noc w holu na parterze. Tego dnia poprosiłem policjantów, by przynieśli kwiaty z ulicy. Dwie godziny zajęło mi układanie wiązanek i bukietów nadesłanych przez przyjaciół - białych lilii, żółtych tulipanów oraz białych róż. Kwiaty stały w wazonach, leżały ułożone na postumencie oraz na dywanie. Zebrałem wszystkie świeczniki z całego pałacu, rozmieszczając je wśród kwiatowych bukietów.

Przybył też katolicki ksiądz, ojciec Tony Parsons z Kościoła Karmelickiego, w którym księżna i ja często się modliliśmy. Przyniósł dwie ogromne gromnice koloru kości słoniowej, które ustawiłem na srebrnych świecznikach. Poświęcił też hol wodą święconą. Wręczył mi powielone teksty modlitw, przeznaczonych do czytania oraz fragment biblijnego tekstu z Ewangelii Świętego Jana. Pomodliliśmy się razem, zanim opuścił pałac.

Zostałem sam w żałobnym pomieszczeniu, ubrany w czarny garnitur, wdychając ciężki aromat kwiatów. Miałem wrażenie, że czekam na przyjazd księżnej do domu w dzień jej urodzin, z ułożonymi dookoła bukietami. Podwójne skrzydła frontowych drzwi zostały otwarte i usłyszałem stukot kół zbliżającego się karawanu. Jej Królewska Wysokość została wniesiona do swego domu. Trumna była przykryta czerwono-złoto-niebieskim królewskim sztandarem.

Wtedy jeszcze nie zapaliłem świec, świeciły się tylko lampy. Pani Shand Kydd przybyła razem z wnukami, czuwając przy trumnie wraz z lady Ja-ne i lady Sarah. Tego wieczoru nie pojawił się jednak hrabia Spencer.

Jedyną osobą, która pragnęła tu być - która powinna tu być - była Lucia.

- Czy mogę przyjść i dołączyć do ciebie w modlitwie, Paul? - pytała przez cały tydzień.

Kiedy jednak powiedziałem lady Sarah, jak ważna dla księżnej była więź z Lucią, która pragnęła pożegnać się z księżną tego wieczoru, prośba starszej damy została odrzucona. Lady Sarah uznała, że przy trumnie powinni być wyłącznie członkowie rodziny.

Wszyscy krewni pojawili się w Pałacu Kensington przed godziną dziesiątą wieczorem. Zamknąłem i zaryglowałem frontowe drzwi. Zamiast Lucii przy moim boku był ktoś obcy: Jego Ekscelencja Richard Chartre-ris, biskup Londynu. Pogrążony w modlitwie siedział na fotelu w korytarzu prowadzącym do drzwi wyjściowych. Wyłączyłem światła w holu, zapaliłem świece, wszystkie pięćdziesiąt, i usiadłem na fotelu zwrócony plecami do biskupa. Wiedziałem o trzydziestu tysiącach ludzi modlących się na zewnątrz, ale czułem się uprzywilejowany, mając możliwość spędzenia tej ostatniej nocy przy księżnej. Nie zmrużyłem oka nawet na sekundę. Odbyłem ostatnią rozmowę z szefową, wiedząc, że mnie słucha. Mówiłem do niej, czytałem jej i modliłem się za nią do siódmej rano.

Kiedy nadszedł ranek, wróciłem do domu, wziąłem prysznic i przebrałem się na uroczystość pogrzebową. Usłyszałem jak wtaczana jest laweta Oddziału Królewskiego. Ośmiu żołnierzy w szkarłatnych mundurach Gwardii Walijskiej weszło do środka, uniosło trumnę na ramionach i zrobiło pierwsze kroki w kondukcje pogrzebowym do Opactwa Westminsterskiego, oddalonego o dwie mile. Było dziesięć po dziewiątej.

Wciąż mam przed oczami ten widok: sześć czarnych koni dosiadanych przez ludzi w odświętnych uniformach, w czapkach ze złotym piórem, za nimi pamiętająca czasy I wojny światowej laweta z trumną przybraną białymi liliami. Z tyłu 1 batalion Gwardii Walijskiej, w postawie na baczność, w czerwonych mundurach i bermycach na głowach. Spojrzałem na drugą stronę ulicy. Maria, Alexander i Nick stali razem z pałacowym personelem.

Konie ruszyły, koła lawety zaczęły się obracać. Dwa tygodnie wcześniej stałem w tym samym miejscu, machając na pożegnanie siedzącej w swoim bmw księżnej, która jechała do Grecji. Teraz

znowu wyjeżdżała. Po raz ostatni. Pochyliłem się w głębokim ukłonie.

Bardzo dziwna sprawa.

Hrabia Spencer spoglądał z góry na trumnę, stojąc na misternie zdobionej ambonie Opactwa Westminsterskiego.

- Twoje problemy psychiczne... Twoja kapryśna przyjaźń... Znalazłem się na peryferiach twojego życia i już to mnie nie smuci... Wiąż między nami była najsłabsza spośród łączących mnie z siostrami...

Dotarły do mnie słowa jego pełnego egzaltacji przemówienia, kiedy 6 września 1997 roku zabrał głos „jako przedstawiciel rodziny pogrążonej w bólu, w kraju objętym żałobą, na oczach zszokowanego świata”.

W mojej pamięci odżyły inne słowa, jakie skierował on do księżnej ponad rok wcześniej, 4 kwietnia 1996 roku.

Kiedy jego głos odbijał się echem w nawach Bożego domu, siedziałem w stalach chóru z opuszczoną głową. Staralem się stłumić w sobie niedowierzanie, gdy człowiek połączony z księżną więzami krwi wykorzystywał najbardziej nieodpowiednią chwilę, by wspiać się na moralne wyżyny. Jego hipokryzja maskowana elokwencją była czytelna wyłącznie dla członków prawdziwej rodziny księżnej - złożonej z wybranych przyjaciół i powierników, którzy znali prawdę o relacjach między bratem i siostrą.

Tego dnia wcale nie patrzyłem na niego jak na najbliższego brata księżnej. Widziałem dalekiego kuzyna, który był kimś bliskim w bardzo odległym dzieciństwie. Jak sam przyznał, widział się z księżną może z pięćdziesiąt razy od czasu jej małżeństwa w 1981 roku. Przedstawił tę statystykę w rozwlekłym liście, który Diana czytała razem ze mną na schodach Pałacu Kensington wiosną 1996 roku.

Kiedy zebrani w opactwie i cały naród słuchał serdecznej, pożegnalnej przemowy hrabiego, przed moimi oczami pojawił się drugi obraz: księżna stojąca na schodach z jego listem w dłoniach, którego ton był zupełnie odmienny.

We wrześniu 1997 roku w opactwie hrabia Spencer mówił:

- W zasadzie nie zmieniła się wcale od czasów, gdy jako starsza siostra matkowała mi.

W 1996 roku pisał:

Po latach zaniedbań z obu stron, wiąż między nami jest najsłabsza spośród łączących mnie z siostrami... być może masz więcej czasu, by spojrzeć, jak rzadko ze sobą rozmawiamy. I jeszcze: Zawsze będę po Twojej stronie... jako kochający brat: aczkolwiek ten, który wskutek piętnastoletniej nieobecności utracił kontakt - i to do tego stopnia, że muszę czytać doniesienia Richarda Kay'a [w „Daily Mail”], by dowiedzieć się, że przyjeżdżasz do Althorp.

W opactwie mówił:

- Diana zawsze była osobą na wskroś nieśmiałą - kierując się dziecięcym dążeniem do czynienia dobra, w rezultacie potrafiła wyzwolić się z głębokiego poczucia nieprzydatności, którego przejawem stały się jej problemy pokarmowe.

I list z 1996 roku: Obawiam się o Ciebie. Wiem, że manipulacja i intryga są elementami choroby... Modłę się, żebyś potrafiła znaleźć właściwą i odpowiednio łagodną kurację, która wyzwoli Cię od psychicznych problemów.

Księżna była przekonana, że pokonała już gnębiącą ją bulimie, jednak wstrząsnęła nią insynuacja, że cierpi na chorobę umysłową. Sądziła, że o „problemach psychicznych” usłyszy wyłącznie z ust kąśliwych przyjaciół księcia Karola.

Hrabia Spencer kontynuował:

- Świat rozumiał tę część jej osobowości i wysoko cenił jej wrażliwość, jednocześnie podziwiając wrodzoną uczciwość.

W tamtym liście pisał:

Dawno temu zaakceptowałem fakt, że znalazłem się na peryferiach Twojego życia i wcale mnie to już nie smuci. W rzeczywistości zarówno dla mnie, jak i dla rodziny, jest to łatwiejsze, kiedy widzę, jaką konsternację i ból sprawia innym Twoja kapryśna przyjaźń...

Potem mówił o Williamie i Harrym.

- Nie pozwolimy, by przeżywali cierpienia, które regularnie doprowadzały Ciebie do rozpacznej pełnej lez...

I kolejny przeskok w czasie:

Żałuję, ale wynajęcie Garden House jest teraz niemożliwe. Istnieje wiele powodów, przede wszystkim chodzi o prasę i policję, które będą zakłócać spokój.

Do rozpacznej doprowadził księżną ten właśnie list. Wstrząsnęło nią do głębi żądanie zwrotu diademem Spencerów. List z kwietnia 1996 roku dopełnił kielicha gorczy.

Wielu komentatorów uznało przemówienie hrabiego Spencera w Opactwie Westminsterskim za wyraz odczuwanego bólu po utracie siostry, z którą system obszedł się tak okrutnie. W moich oczach jednak były to słowa człowieka przesiąkniętego poczuciem winy, przywołującego dzieciństwo z powodu dystansu, jaki dzielił go z siostrą w życiu dorosłym. Ale znalazły się w jego przemówieniu też wyrazy uznania, kiedy trafnie opisywał „niepowtarzalną, skomplikowaną, nadzwyczajną i niezastąpioną Dianę, której piękno, zarówno fizyczne jak i duchowe, nigdy nie zostanie wymazane z naszej pamięci. Nawiązał do „radości życia, którą promieniałaś, gdziekolwiek spjrzałaś z uśmiechem i iskierkami w twoich niezapomnianych oczach...”

Nie mogłem się powstrzymać, mimo to, od myśli, że ten człowiek, który w ostatnich latach sprawił jej tyle cierpień, nie był osobą uprawnioną do przemawiania w tym momencie. Siedziałem tam i zastanawiałem się, jak można demonstrować taką hipokryzję w domu Bożym?

Nie byłem również w stanie uwierzyć, że hrabia Spencer wybrał ten właśnie moment na przypuszczenie zawołanego ataku na rodzinę królewską, przypominając światu, iż on, jego siostry i matka tworzyli rodzinę, która mogłaby chronić Williama i Harry'ego, „po to, by ich dusze nie zostały pochłonięte wyłącznie przez obowiązki”.

W tym momencie uniosłem głowę i spojrzałem na królową. Harry ukrył twarz w dłoniach. William patrzył gdzieś przed siebie. Byli pionkami w rozgrywce między Spencerami i Windsorami.

Pomyślałem, jak bardzo księżna poczułaby się zakłopotana tą publiczną deklaracją, kiedy ona szanowała i doceniała wpływ księcia Karola i królowej na jej synów.

Wpatrywałem się w trumnę okrytą królewskim sztandarem, na którym leżał wieniec z białych róż oraz list od młodych książąt: na kopercie widniały słowa „Dla Mamy”. Zaciśnąłem dłoń Marii w jednej dłoni, a Nicka w drugiej. Płakał, tylko siedzący obok niego Alexander starał się okazać hart ducha. Spojrzałem przed siebie i dostrzegłem Hillary Clinton. Przypomniałem sobie, jak księżna opowiadała mi o swej wizycie w tym roku w Białym Domu, gdzie rozmawiała z panią Clinton

o dniu spędzonym w Ameryce, a pierwsza dama mówiła, jak bardzo naród amerykański ją lubi.

Kolejny raz przelknąłem łzy.

W tym momencie hrabia Spencer zakończył swoje przemówienie, a do moich uszu dobiegł narastający aplauz. Burza oklasków. Rozejrzałem się wokół i dostrzegłem, jak brawa biją Elton John i George Michael. Parodia prawdy spotkała się z euforią, królowa została upokorzona. Emocjonalne wystąpienie Spencera ciepło przyjęli ludzie, którzy tamtego tygodnia - jak nigdy wcześniej - obrócili się przeciwko dynastii Windsorów. Ogarnęło mnie poczucie głębokiej niesprawiedliwości. Królowa zawsze była niezawodnym sprzymierzeńcem księżnej, z którą prowadziła korespondencję aż do jej śmierci. Diana darzyła podziwem księcia Edynburga za jego bezwzględne, lecz mające na celu jej dobro postępowanie mediacyjne w sprawie separacji w 1992 roku. Jeśli jednak ten rok był dla królowej annus horribilis, to sześć dni w 1997 roku przed pogrzebem księżnej stało się najgorszym tygodniem dla rodziny, która zwlekała z wyjazdem z Balmoral do Londynu i wahała się, czy brytyjska flaga nad Pałacem Buckingham powinna zostać opuszczona do połowy masztu. Potem została wręcz porażona skalą publicznej żałoby po śmierci księżnej.

Przemówienie hrabiego Spencera, tak entuzjastycznie przyjęte, zaostriżyło niewątpliwy kryzys. Komentatorzy rozwodzili się nad tym, jak śmierć księżnej przyczyniła się do powiększenia rozdzwiewu między anachroniczną monarchią a społeczeństwem; jak śmierć Diany rzuciła Windsorów na kolana. A przecież nikt chyba bardziej niż ona nie pragnął przetrwania królewskiej

dynastii Windsorów.

Diana nie obwinała rodziny królewskiej za swoje odosobnienie. Przyczyną jej cierpienie był książę Karol, nie żywiła jednak nienawiści do swego byłego męża czy jego rodziców. Gdyby mogła przemówić tego tygodnia, zapewne broniłaby Windsorów. Dlatego mściwy ton przemówienia hrabiego Spencera był tak niewłaściwy. Gdyby znał swoją siostrę, wiedziałby o tym.

Kiedy w październiku, blisko rok przed śmiercią, siedziałem z księżną na schodach Pałacu Kensington, przez godzinę rozmawialiśmy o jej przyszłości, jej niepokojach oraz stanie, w jakim się znalazła monarchia. Następnego dnia, co było przyjętym zwyczajem, na moim biurku w pokoju kredensowym leżała koperta. W środku był list napisany na papierze z bordową obwódką. Gdyby ten list mógł zostać odczytany podczas pogrzebu, postawiłby „Księżną Ludzi” po stronie rodziny królewskiej w momencie, kiedy dynastia najbardziej tego potrzebowała. Cytuję go teraz, żeby usunąć wszelkie wątpliwości; są to przemyślenia wolne od złości i pretensji, napisane przez jedyną reprezentantkę rodu Spencerów, której poglądy mają znaczenie:

Marzę o tym, by przytulić moją teściową i powiedzieć jej, jak głęboko rozumiem to, co się dzieje w jej duszy. Rozumiem odosobnienie, nieporozumienia oraz kłamstwa, jakie ją otaczają i bardzo silnie odczuwam JEJ rozczarowanie i zakłopotanie. Tak bym chciała, żeby monarchia przetrwała i zdała sobie sprawę, że zmiany, jakie będą miały miejsce [sic], skierują „spektakl” na nowy i właściwy szlak. Rozumiem również lęk rodziny królewskiej przed zmianami, lecz są one konieczne dla zapewnienia poparcia społeczeństwa, obojętność niepokoi mnie, nie należy dopuszczać do jej zaistnienia.

Będę walczyć o sprawiedliwość, będę walczyć o swoje dzieci oraz o monarchię...

Królewski pociąg czekał na nas w Londynie. Zaproszono mnie do udziału w ceremonii pogrzebowej, która miała się odbyć w hrabstwie Northamptonshire w posiadłości Althorp, wyłącznie z udziałem rodziny. Kiedy karawan z ciałem księżnej, tonący w powodzi kwiatów, jechał powoli ulicami Londynu, a potem trasą M1, dołączyłem do rodziny Spencerów, księcia Karola, Williama i Harry'ego, wsiadając do pociągu z eleganckimi przedziałami w kolorze ciemnego burgunda. Ciągnęły go dwie lokomotywy nazwane „Książę William” oraz „Książę Henry”. Była to dziwna i przygnębiająca podróż, która ciągnęła się półtorej godziny. Gdy tylko ruszyliśmy, natychmiast zasnąłem po całonocnym czuwaniu. Zbudziłem się na stacji w pobliżu Althorp. W rodzinnej posiadłości zgromadziliśmy się w salonie, potem przeszliśmy do wielkiej sali jadalnej. Zwróciłem uwagę, że marmurowa posadzka w biało-czarną szachownicę przypominała tę w Opactwie Westminsterskim.

Hrabia Spencer stał u szczytu drugiego stołu z palisandru, wskazując każdemu miejsce. Mnie posadzono w dość kłopotliwym miejscu, między matką szefowej, panią Frances Shand Kydd, z lewej strony a księciem Karolem z prawej. Po przemówieniu hrabiego w Opactwie Westminsterskim, skierowanym przeciwko Windsorom, książę Karol znalazł się teraz w trudnej sytuacji na terytorium Spencerów, zwłaszcza że wszystkie oczy nie spoglądały na niego życzliwie. Rozmowa była raczej wymuszona i sztywna, starałem się podtrzymywać niemrawą konwersację o posiadłości Highgrove i jej ogrodach, wiedząc, że ten temat pozwoli nam przetrwać trzydaniowy obiad.

- Musisz do nas przyjechać i od czasu do czasu rzucić okiem na ogród - zapraszał książę Karol.
- Z najwyższą przyjemnością, Wasza Królewska Wysokość - odparłem, zdając sobie sprawę, że to mało prawdopodobne.

William i Harry siedzieli obok ojca, bliżej drugiego końca stołu. Milczeli, od czasu do czasu tylko coś wtrącali do ugrzecznionej rozmowy.

Kiedy podawano kawę, kamerdyner podszedł do hrabiego i szepnął kilka słów. Brat księżnej wstał i opuścił jadalnię. Kiedy wrócił po pięciu minutach, oznajmił, że „Diana jest w domu”.

Przeszliśmy przez hol z posadzką w szachownicę. Szedłem tuż za księciem Karolem i chłopcami. Znad ich ramion dostrzegłem karawan - i coś jeszcze. Królewski sztandar na trumnie zniknął-wjego miejsce pojawiła się flaga Spencerów w barwach białej, czerwonej, czarnej i złotej, która przykrywała trumnę tylko do połowy. W ciągu pięciu minut nieobecności w sali jadalnej hrabia

zdołał dokonać tej zamiany. Do czasu mojego procesu w 2002 roku, wszyscy byli przekonani, że księżna została pochowana tak, jak ją widzieli po raz ostatni - w trumnie owiniętej królewskim sztandarem. Pochowana jako członek rodziny królewskiej. Pochowana jako księżna. Tak, jak tego by sobie życzyła. Jednak pieczołowicie przygotowany i pełen godności ceremoniał tego dnia został zakłócony żalonym i pretensjonalnym gestem hrabiego Spencera.

Ośmiu żołnierzy z regimentu księżnej Walii, niosąc trumnę księżnej na ramionach, ruszyło wolnym krokiem w kierunku jeziora przez prowizoryczny most pontonowy i potem na wyspę, gdzie przygotowano już grób. „Cóż za samotne miejsce do pochowania kobiety, która nie cierpiała samotności” - pomyślałem. Wśród kręgu bliskich przyjaciół księżnej nie było nikogo, kto uznałby to miejsce za odpowiednie. Kiedy pragnęła znaleźć schronienie w życiu, hrabia jej odmówił. Kiedy potrzebowała miejsca ostatniego spoczynku, przyjął- i umieścił w najbardziej samotnym z samotnych miejsc.

Wiedziałem, że nigdy już tu nie wrócę. Podobnie jak dla wszystkich jej prawdziwych przyjaciół, również dla mnie nie było powrotu na tę wyspę. Nie było nagrobka, który mógłbym odwiedzać, takiego, jaki miała Grace, księżna Monaco, odwiedzana przez Dianę, czy moja matka.

Ceremonia pochowania księżnej trwała trzydzieści minut. To, co się wydarzyło i zostało powiedziane, powinno pozostać okryte tajemnicą.

Pod koniec ceremonii uklękłem, wziąłem w dłoń garść ziemi i rzuciłem ją na połączoną tabliczkę z napisem „Diana, Księżna Walii, 1961-1997”.

Wtedy wstałem i powiedziałem na głos - Żegnaj, Wasza Królewska Wysokość.

Później siedziałem razem z panią Frances Shand Kydd w maleńkiej kapliczce nad jeziorem. Palila, jak zwykle, papierosa.

- No cóż, Paul. Miałam ją przynajmniej przez dziewięć miesięcy. Wyłącznie dla siebie. Należała do mnie przez dziewięć miesięcy.

Odwiązałem mój czarny krawat i odpiąłem górne guziki koszuli. Potem zdjąłem złoty łańcuszek z krzyżykiem, który matka księżnej dała mi w przeddzień nocnego czuwania.

- Chronił mnie, lecz teraz należy do pani - oświadczyłem i krzyżyk wylądował w jej dłoni.

Kiedy dopaliła drugiego papierosa, ponownie zebraliśmy się wszyscy w salonie przy herbacie.

Skupiliśmy się w małych grupach. W pewnym momencie hrabia Spencer podszedł do stojącego w kącie telewizora i włączył go. Na jednym z kanałów pokazywano ceremonię pogrzebową. Księżę Karol i jego synowie stali w milczeniu. W całej sali zapadła cisza. Dlaczego oglądamy to właśnie teraz, pomyślałem.

Głos głowy rodu Spencerów, dochodzący z telewizora, wypełniał cały salon. Słowa, które wygłaszał z ambony, odbijały się echem od ścian Opactwa Westminsterskiego. Nigdy wcześniej nie znalazłem się w tak niezręcznej sytuacji. Księżę Karol nie zamierzał jednak po raz drugi brać udziału w spektaklu upokorzenia.

Odstawił na bok filiżankę i spodek.

- Sądzę, że nadeszła pora, abyśmy wyszli - powiedział do Williama i Harry'ego.

Gdy w tle rozlegały się kąśliwe słowa hrabiego Spencera, Windsoro-wie wymieniali uprzejme uściski dłoni i żegnali się. Opuściłem to miejsce wkrótce po nich.

Przez cały wrzesień i październik błąkałem się, całkowicie zagubiony, w apartamentach 8 i 9.

Miałem problemy ze spaniem, a kiedy udać mi się zasnąć, budził mnie ten sam powracający koszmar. Księżna była wraz ze mną w Pałacu Kensington i mówiła „Kiedy w końcu powiemy ludziom, że wciąż żyję?”. Wyrwany ze snu byłem przekonany, że tu jest. W tamtych dniach nie potrafiłem mieszkać w Starych Koszarach. Musiałem być w pałacu, jedynym miejscu, gdzie wciąż odczuwałem bliskość księżnej.

Krążyłem między pokojami, potem przesiadywałem w nich całymi godzinami, wyobrażając sobie, że księżna wciąż tam jest. Zwinięta w kłębek leży na sofie w salonie. Siedzi przy fortepianie i gra Rachmaninowa. Zawija ciasno szlafrok przy stole w jadalni podczas śniadania. Przybiera pozy modelki w garderobie. Pisze listy z pochyloną głową przy biurku. Siedziałem na kanapie z nowymi obiciami i brałem do ręki małą poduszkę z wyhaftowaną literą D. Spoglądałem w kierunku kominka i patrzyłem na czerwono-białą naklejkę z napisem „Lubię Di”, pacniętą zupełnie bez sensu

na szarym marmurowym obramowaniu, i na znajdującą się nieco wyżej plaketkę z napisem „UWAGA, księżna na pokładzie”. I na dwie pary różowych baletek zawieszonych na haku z tyłu drzwi. W rogu na podłodze poniewierało się pudełko po smakołykach z czasów szkolnych, z napisem na wieczku „D. Spencer”.

Przesiadywałem na schodach, wyobrażając sobie, że przechyla się nad balustradą i pyta „Paul, jesteś tam?”. Przywoływałem w pamięci chwile, kiedy razem układaliśmy treść listów; odgłos zamykanych drzwi; pośpiech, z jakim dzieliła się najnowszymi plotkami.

Siadałem na szezlongu w jej sypialni, wpatrując się w ogromną stertę pluszowych maskotek ułożonych na kanapie pod ścianą: goryla, pandę, królika, żabę, różowego słonia, czarną panterę i jeża. Musiało ich być chyba z pięćdziesiąt.

Na nocnych stolikach po obu stronach łóżka stały fotografie Williama i Harry'ego. Podszedłem do okrągłego stołu przy oknie, na którym było pięć zdjęć oprawionych w ramki, przedstawiających jej męża z synami, na jednym tylko znajdował się sam książę. Na innych fotografiach uwieczniony był ukochany ojciec, hrabia Spencer, wieczór z Lizą Min-nelli, taniec z Wayneem Sleepem w London Palladium, siostry Jane i Sa-rah oraz przyjaciółki Lucia i Rosa.

Któregoś dnia Maria przyszła mnie odwiedzić, przynosząc kanapki.

- Skarbie, przebywanie tutaj wcale ci nie służy - zawyrokowała. Nie miała jednak racji.

Zbudzony w środku pewnej nocy powtarzającym się koszmarem, wymknąłem się ze Starych Koszar i poszedłem do Pałacu Kensington. Ci, którzy przeżyli stratę kogoś bardzo bliskiego, rozumieją zapewne to, co zrobiłem potem. Ci zaś, których to do tej pory ominęło, potraktują moje zachowanie w kategoriach czystego obłędu. Wszedłem do garderoby księżnej, odsunąłem kotarę i wczłogałem się w przestrzeń między

podłogą i sukniami. Czuję jej zapach. Zasnąłem w tej pozycji i spałem aż do rana.

W połowie października ponownie zjawiłem się w garderobie księżnej, tym razem w obecności jej siostr, lady Sarah i lady Jane oraz matki, Frances Shand Kydd. Rodzina szefowej dokonywała przeglądu garderoby decydując, co zabrać. Poprosiły, żebym przyniósł zestaw podróży księżnej, złożony z trzech walizek z czarnej skóry, wchodzących jedna w drugą. Każda została wypełniona bluzkami, spódnicami, swetrami z kaszmiru oraz obuwiami, kosmetykami, butelkami z płynem do kąpieli i perfumami, a potem załadowana na tylne siedzenie samochodu kombi, stojącego przy frontowych drzwiach. Żadna z tych rzeczy nie została wyceniona przed poświadczeniem autentyczności testamentu.

Byłem wtedy zajęty sporządzaniem rejestru wszystkich rzeczy znajdujących się w apartamentach, bielizny stołowej i pościelowej, ozdób, klejnotów, odzieży oraz rzeczy osobistych. Zajęcie to wymagało ogromnej skrupulatności. Pomagała mi swą wiedzą i doświadczeniem Meredith Etherington-Smith z domu aukcyjnego Christie's, która skatalogowała kolekcję sukien księżnej wystawionych na początku tamtego lata na aukcji w Nowym Jorku. Rejestrem kolekcji biżuterii księżnej zajął się David Thomas, jubiler królewski.

Stałem obok lady Sarah w pokoju garderobianym, gdy wyciągnęła jedwabną bluzkę noszoną wcześniej przez szefową. Do każdego z rękawów wciąż były przypięte srebrne spinki w kształcie serc, pociągnięte czerwoną emalią. Siostra Diany, nie mówiąc nawet słowa, odpięła je, wcisnęła mi do ręki i uśmiechnęła się.

- Jeśli jest coś jeszcze, czego byś chciał, wystarczy, że poprosisz, Paul - oznajmiła.

- Mam wszystko, czego mi trzeba, moje serce pełne jest wspomnień, ale dziękuję bardzo - odparłem, zaciskając spinki w dłoni.

Lady Sarah, która spośród całej rodziny czuła się najbardziej związana ze zmarłą siostrą, była wykonawczynią testamentu wraz ze swoją matką. Ich wielkoduszność w tamtym momencie była tak wielka, że kierując się własną oceną, przekazały mi kwotę 50000 tysięcy funtów „jako wyraz uznania za służbę i lojalność wobec księżnej”. Lady Sarah kontynuowała przetrząsanie garderoby Diany. W pewnej chwili wyciągnęła czarny kostium od Versacego, sukienkę z żakietem, i podała mi.

- To dla Marii. Będzie mogła go założyć podczas uroczystości wręczenia medalu.

Termin uroczystości był całkiem bliski. Królowa zamierzała udekorować mnie Królewskim Orderem Wiktoriańskim 13 listopada. Miałem powrócić do Pałacu Buckingham po raz pierwszy od czasu, kiedy dziesięć lat temu opuściłem służbę dla królowej.

Z dziwnym uczuciem wjeżdżałem przez bramę wejściową Pałacu Buckingham. Minąłem podjazd, wysiadłem z auta na czworokątnym dziedzińcu i spojrzałem w okna na najwyższym piętrze.

Pokazałem Alexandrowi i Nickowi, gdzie ich tata kiedyś mieszkał. Przybyłem ubrany jak wszyscy inni odbierający odznaczenie, niejako służący w liberii. Tak silnego zdenerwowania nie odczuwałem od czasu, kiedy w 1976 roku zjawiłem się pierwszy dzień w pracy, by podjąć obowiązki lokaja.

W ten jasny, rześki jesienny poranek zbliżyliśmy się do przeszklonej werandy głównego wejścia, po czym weszliśmy do pałacu. Maria i chłopcy zajęli swoje miejsca w Sali Balowej. Ja dołączyłem do setki innych odbierających odznaczenia, zgromadzonych w Galerii Obrazów. Do moich uszu dobiegały odgłosy orkiestry smyczkowej, odżyły wspomnienia. To w galerii widziałem księżną wraz z druhami podczas ślubnych uroczystości w 1981 roku. Tego dnia obrazy z przeszłości wracały w każdym korytarzu i w każdej komnacie. Gdy na wszystkich zegarach zbliżała się godzina jedenasta, zaczęto wyczytywać nazwiska i dziesięcioosobowymi grupami przechodziliśmy w kierunku Sali Balowej, gdzie zebrana publiczność - ponad pół tysiąca osób - miała być świadkami tego typowo brytyjskiego spektaklu.

Kiedy tak czekałem przed progiem Sali Balowej, dostrzegłem młodą damę siedzącą samotnie pod portretem Karola I, pędzla Van Dycka.

- Co panią tu sprowadza? - zapytałem.

- Medal Jerzego - odparła.

Order ten jest najwyższym odznaczeniem przyznawanym osobom cywilnym za odwagę, a ta młoda, atrakcyjna kobieta o blond włosach, ubrana w elegancką jasnoczerwoną sukienkę i kapelusze w kolorze kawy, miała właśnie go odebrać. Zastanawiałem się, czego mogła dokonać. Okazało się, że była to Lisa Potts, dwudziestodwuletnia wychowawczyni z przedszkola św. Łukasza w Wolverhampton, która podczas pikniku własnym ciałem zasłaniała dzieci przed atakiem obłąkanego szaleńca w ogródku zabaw. Została ciężko ranna.

Spojrzałem na jej strasznie pocięte ręce.

- To nic w porównaniu z ranami odniesionymi przez niektóre z dzieci. Kilkoro z nich miało rany cięte od ust aż po uszy - wspominała dramatyczne chwile.

Paul Burrell i Lisa Potts zostali poproszeni razem o przejście do Sali Balowej. Młoda kobieta stała się gwiazdą całej ceremonii i dla mnie zaszczytem było stać obok osoby tak dzielnej.

Obserwowałem, jak podeszła do Jej Królewskiej Mości i powiedziała kilka słów.

Potem przyszła kolej na mnie, by odebrać przyznane odznaczenie, które zdaniem księżnej stanowiło wyraz uznania za dwadzieścia jeden lat wytrwałej służby dla królowej, księcia Karola i niej samej.

Ale czekała mnie niespodzianka.

- Pan Paul Burrell, uhonorowany Królewskim Orderem Wiktoriańskim za służbę dla Diany, księżnej Walii - rozległ się głos lorda szam-belana.

Nikt mnie o tym nie powiadomił, lecz królowa była zdania, że przyznany zaszczyt powinien być powiązany z moją lojalnością okazywaną księżnej. Ukłoniłem się, uściśnięciem dłoni królowej, która przypięła odznaczenie do klapy mojego żakietu.

- Nawet nie wiesz, jak jestem szczęśliwa, że mogę ci to wręczyć - oznajmiła królowa. - To naprawdę znaczy bardzo wiele i pragnę bardzo ci podziękować za wszystko, co uczyniłeś. Co zamierzasz teraz robić?

Spojrzałem ponad jej ramieniem i dostrzegłem dawnego kolegę, Christophera Braya, pełniącego obowiązki paza królowej.

- Być może Christopher będzie potrzebował pomocnika, Wasza Królewska Mość - wysunąłem sugestię.

Królowa uśmiechnęła się. Ponownie wymieniliśmy uścisk dłoni, cofnąłem się o dwa kroki, zawróciłem i wyszedłem z sali.

Tego wieczoru w grupie dziesięciorga osób, członków rodziny i przyjaciół, udaliśmy się do restauracji San Lorenzo, by uczcić tę okazję. Tak jak zaplanowała to księżna.

Dwa tygodnie później do Starych Koszar nadszedł list od Gordona Browna, ministra skarbu, informujący mnie, że zostałem wybrany na członka Komitetu Pamięci Diany, Księżnej Walii, by doradzać rządowi, jak najlepiej upamiętnić życie księżnej. Miałbym pracować razem z przyjaciółmi szefowej, Rosą Monckton i lordem Davidem Attenborough. Komitet powstał w celu wspomnienia prac utworzonej nieco wcześniej i niezależnej od rządu Fundacji Pamięci Diany, Księżnej Walii.

„Zróbmy sobie zdjęcie, Paul”

- księżna uśmiecha się mimo
drwin księcia Karola z jej strojów

Jeśli choć przez chwilę w oczach krytyków byłem tylko kamerdynerem z „wyobrażeniami ponad swój stan”, śmiem przypuszczać, że nominacja na członka komitetu nadeszła akurat w momencie, kiedy ludzie nie związani blisko z księżną zaczęli błędnie interpretować rodzaj moich stosunków z nią.

To niezrozumienie zostało jeszcze pogłębione tekstem redakcyjnego komentarza opublikowanego na pierwszej stronie dziennika „The Times”, zatytułowanego POTĘGA KAMERDYNERA: PAUL BURRELL POTRAFI NAJLEPIEJ CZCIĆ PAMIĘĆ DIANY. Oto fragmenty:

Nikt nie jest bohaterem w oczach swego służącego (...), w oczach kamerdynera żadna księżna nie jest bohaterką (...), lecz to właśnie kamerdynery i służący są niedocenianymi bohaterami ukrytymi za kulisami. Należą do grona nielicznych wybrańców, którzy poznali prawdziwe oblicze skrywane pod publiczną maską ceremoniału i pompy. W tym świetle nominacja Paula Burrella (...) stanowi rzadki przykład, kiedy życie imituje sztukę. Chociaż raz zwrócono się oficjalnie do kamerdynera o konsultację (...) Jeeves* z pewnością by to zaaprobował. Jest to jednak kłopotliwa nominacja (...) rząd zaś przyklasnął temu precedensowi. Kiedy pojawiają się wątpliwości, zasięgnij opinii kamerdynera jako osoby naprawdę dobrze poinformowanej.

Myślę, że całkiem zrozumiała duma sprawiła, że stałem się głuchy. Nie dosłyszałem ostrzeżenia noży za moimi plecami.

William i Harry powrócili do Pałacu Kensington na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem 1997 roku. Przyozdobiłem pokoje kwiatami i roślinami, żeby wyglądały jak dawniej. Razem ze mną w salonie była piastunka Olga Powell i wspólnie oczekiwaliśmy na ich przyjazd. W wesołym nastroju chłopcy wpadli przez frontowe drzwi, szykując się już na gwiazdkę, którą mieli spędzić w Sandringham.

Obszedłem z nimi mieszkanie z garścią samoprzylepnych fiszek, na których zapisywaliśmy, co ma być zabrane oraz do kogo należą poszczególne sprzęty. Chłopcy, wraz z księciem Karolem, przeprowadzali się z apartamentów w Pałacu Św. Jakuba do York House, który miał być teraz ich londyńską bazą. William i Harry pędzili z pokoju do pokoju, zbierając książki, pluszowe przytulanki, zdjęcia, plakaty, kasety wideo

i obrazki; potem podejmowali decyzje, które kanapy, krzesła i chodniki zabierają ze sobą. Starszy z braci postępował w sposób bardziej metodyczny. Wspomnił coś o biżuterii, potem jednak odrzucił ten pomysł.

- Och, możemy zająć się tym po Nowym Roku, nie ma pośpiechu
- zdecydował.

Uderzyło mnie, jak bardzo był uprzejmy, nawet gdy chodziło o jego osobistą własność.

- Czy mogę wziąć to... Czy wypada, żebym zabrał tamto?

- Williamie - odparłem -wszystko, co tu jest, należy do ciebie i Har-ry'ego. Możesz wziąć wszystko, co tylko chcesz. Nie ma potrzeby, żebyś pytał.

Wszedł do garderoby w kształcie litery L i stał przez chwilę, wpatrując się w kreacje z kolekcji Chanel, Versacego, Jacques'a Azagury'ego i Catherine Walker.

- Co zrobimy z wszystkimi rzeczami mamy? - zapytał.

- Nie jestem pewien, czy zdajesz sobie sprawę - zacząłem wyjaśniać

- ale Spencerowie planują urządzenie wystawy pamiątek w Althorp i bardzo im zależy na tym, żeby

znalazły się tam najważniejsze rzeczy osobiste i garderoba - w tym również suknia ślubna.

- Nie! - William zaprotestował ostro. - Stanowczo nie chcę, żeby wzięli ją ze sobą.

- Dlaczego nie? - Harry wtrącił się do rozmowy.

- Po prostu nie chcę i koniec. Ale mogą wziąć kilka sukien mamy. My też możemy to zrobić w nowym roku.

Życzeniem księżnej było przesłanie kreacji ślubnej do Narodowej Kolekcji Strojów w Muzeum Wiktorii i Alberta. Jej starszy syn dawał jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie, żeby suknia ta trafiła do posiadłości Spencerów. Gdzie jest dzisiaj? Na wystawie pamiątek po Dianie w Althorp. William myszkował dalej po korytarzu prowadzącym do pokoju chłopców.

- Chciałbym zabrać ten dywanik, tamtą kanapę, te krzesła... tamte zasłony, ten stół do napoi... - wyliczał, ja zaś wspominałem, jak dwa lata wcześniej księżna wydała 30 000 tysięcy funtów na nowe dywany.

Ze wzruszeniem patrzyłem jak dwaj bracia szperali w swoich pokojach, dokonując selekcji rzeczy i obserwowałem, jak William zajmuje się młodszym bratem.

- Czy możemy zabrać moje łóżko, Paul - zapytał Harry - i jeszcze tę komodę?

- Ależ Harry, nie potrzebujesz tego! - zaproponował William, przybierając rodzicielski ton. - Nie ma na to wystarczająco dużo miejsca.

- Jest, na pewno jest - upierał się Harry, ja zaś oczami wyobraźni ujrzałem księżną, jak uśmiecha się i potakuje głową.

Kiedy weszli do salonu na dole, w którym stał ich ogromny szeroko-ekranowy telewizor, sporu już nie było.

- Jest zdecydowanie za duży, by brać go do Highgrove. Możemy zabrać go do York House, proszę? Zajmie całą ścianę! - zawyrokował William.

Zawsze przejmował inicjatywę, gdy chodziło o sprzęt elektroniczny i audiowizualny.

Uśmiechnąłem się, bowiem instynktownie czułem, że księżę Karol nie zaaprobowałby tej decyzji.

Nie cierpiał, kiedy chłopcy siedzieli przed ekranem i oglądali bezwartościowe programy. Sam rzadko oglądał telewizję, chyba że emitowano film dokumentalny o treściach poznawczych.

Po em weszliśmy do salonu i tam wspomnienia zatrzymały ich, był to bowiem pokój ich matki.

Zapadło milczenie. William stał, przyglądając się fotografiom na stole. Harry pochylił się nad biurkiem, dotykając wszystkich rzeczy jakby w jakimś zauroczeniu.

Po kilku minutach głos Williama przerwał ciszę.

- Paul, chciałbym wziąć tego wielkiego hipopotama - powiedział, wskazując na przedmiot, o którym mówił. Oglądając telewizję matka i synowie często siedzieli razem, oparci plecami o ogromnego pluszaka leżącego na podłodze.

Kiedy obchód został zakończony, wszystkie pomieszczenia pełne były samoprzylepnych fiszek, a na meblach widniały nalepki o treści „W-York House” albo „H-York House”.

Kiedy zaczęli przeglądać kolekcję kaset wideo i przebierać w płytach CD, przypomniałem sobie, że w 1997 roku księżna miała spędzić pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia wspólnie z chłopcami.

Latem uzgodniła z księciem Karolem i królową, że chłopcy mogą odstąpić od tradycji spędzania gwiazdki w Sandringham. Zamierzała wyjechać na Boże Narodzenie razem z synami do Klubu K na wyspie Barbuda.

Chociaż księżnej nie było już między nami, wciąż pragnąłem, by chłopcy mieli jakąś pamiątkę po wspaniałych czasach w Pałacu Kensington - coś, co mogliby zabrać ze sobą do Sandringham. I kiedy już się pożegnali i pędzili w dół po schodach, zatrzymałem ich.

- Ponieważ zawsze, każdego roku byłem odpowiedzialny za przygotowanie dla was gwiazdkowych skarpet z prezentami, nie mogłem sobie pozwolić na to, by tym razem było inaczej - oświadczyłem. Na ich twarzach pojawiło się zaskoczenie.

- Zaszylem nawet grzbiety skarpet, żebyście nie mogli dostać się do środka. Choć prawdę powiedziawszy, wątpię, czy zaszewki wytrzymają do ranka pierwszego dnia świąt - dodałem, wręczając im robione na drutach skarpety, które księżna wykorzystywała każdego roku.

- Och z pewnością wytrzymają, Paul - zawołał William. - I bardzo, bardzo ci dziękujemy.

Harry podbiegł i mocno się do mnie przytulił. Razem doszliśmy do drzwi frontowych.

- Wiecie teraz dokładnie, gdzie mnie znaleźć. Jeśli będziecie potrzebowali czegokolwiek, wystarczy tylko zadzwonić - powiedziałem na pożegnanie.

- Na pewno zadzwonimy, Paul - odrzekł Harry. - Zobaczymy się w styczniu, gdy razem z tatą wrócimy z nart.

Kiedy skarpety z gwiazdkowymi prezentami zostały ulokowane bezpiecznie na tylnym siedzeniu Landrovera Discovery wraz z resztą zabranych rzeczy, chłopcy opuścili szyby w drzwiach, William z przodu, Harry z tyłu.

- Do zobaczenia, Paul! - wykrzyknęli, kiedy oficer ochrony Graham Craker ruszał w drogę.

Wiele razy stałem tak razem z księżną, machając im na pożegnanie.

- Dom znowu będzie cichy. Będę tęsknić za moimi chłopcami - mawiała wtedy, odwracając się do mnie.

Przebywając w samym środku świata księżnej w Pałacu Kensington, spoglądałem na świat zewnętrzny z niepokojem.

W początkowej fazie Fundacja Pamięci Diany, Księżnej Walii była kierowana przez Anthony'ego Juliusa, adwokata księżnej prowadzącego jej sprawę rozwodową. Odnosiłem wrażenie, że zawładnął każdym aspektem jej życia, w czym skrupulatnie naśladowała go lady Sarah McCorquodale do spółki z Michael'em Gibbinsem. Miałem do czynienia z trójką ludzi zupełnie nie znających szefowej z bliska, którzy nagle prowadzili jej sprawy. Niezależna dobroczynna organizacja, powołana do życia w celu upamiętnienia księżnej, nie miała w swej strukturze ludzi z kręgu jej najbliższych przyjaciół. Jeszcze niedawno byłem odpowiedzialny za całą egzystencję księżnej, teraz nagle poczułem się odsunięty na margines.

Urządząc w pałacu, przywykłem do wizyt pani Frances Shand Kydd. Zazwyczaj przesiadywała w salonie z butelką wina, przeglądając korespondencję córki, podejmując jednostronne decyzje o tym, co ma ulec zniszczeniu. Podarła na strzępy ponad pięćdziesiąt listów, byłem więc świadkiem niszczenia historii przez jej rodzinę, która już wtedy powzięła zamiar wyrwania świata Diany z objęć Windsorów. Instynktownie czułem, że były to błędne decyzje.

Fundacja. Niszczenie listów. Pod koniec 1997 roku traciłem kontrolę nad światem księżnej, która oczekiwała, że będę kierować nim jeszcze długo. Nigdy też nie czułem się tak bardzo bezradny. Nie leżało w mojej naturze stanie z boku i przyglądanie się, jak sprawy toczą się bez mojego udziału. Uważałem, że moim obowiązkiem jest coś z tym zrobić, nie wiedziałem jednak, z kim mógłbym porozmawiać o trapiących mnie niepokojach. Żaden ze Spencerów nie zrozumiałby tego - nie należałem przecież do ich rodziny. William i Harry byli zbyt młodzi, a ze strony księcia Walii nie mogłem oczekiwać jakiegokolwiek porady. Nie jestem pewien, czy w ogóle raczyłyby mnie wysłuchać, nie mówiąc już o zrozumieniu. Była tylko jedna osoba: Jej Królewska Mość Elżbieta II. Nie musiałem przechodzić przez pompatyczną dworską procedurę, by uzyskać audiencję. Wiedziałem o tym.

Chwyciłem za telefon i zadzwoniłem do osoby z bliskiego otoczenia królowej, której mogłem zaufać.

- Czy sądzisz, że królowa zechciałaby zobaczyć się ze mną i poświęcić mi kilka minut? - zapytałem.

- Zostaw to mnie, dam ci znać we właściwym czasie. Następnego dnia otrzymałem odpowiedź.

- Królowa cieszy się, że może cię przyjąć we wtorek, 19 grudnia, o drugiej. Jak sądzę, wiesz jak tu trafić.

Wszedłem bocznym wejściem od Buckingham Palace Road. Minałem policjanta, który spodziewał się mojego przyścia. Skierowałem się do wyłożonych terakotą podziemnych korytarzy. Minałem magazyny, piwnice z winami, pokój bielizniany i kwaciarnię, aż dotarłem do maleńkiej dwuosobowej windy. Wiedziałem, jak poruszać się w labiryntach Pałacu Buckingham, nawet po tak długiej nieobecności.

Kiedy drzwi do windy otworzyły się, wkroczyłem na znany mi dobrze obszar pałacu. Otworzyłem ogromne dębowe drzwi, za którymi czerwony chodnik korytarza prowadził do komnat królowej.

Była godzina pierwsza pięćdziesiąt pięć po południu. Zbliżyłem się do westybulu paziów,

usytuowanego mniej więcej w połowie korytarza, gdzie tak wiele razy stałem gotów usługiwać królowej. Usiadłem i czekałem aż monar-chini skończy poobiednią kawę. Po chwili, gdy na zegarze wybijała godzina druga, odezwał się paż.

- Królowa może ciebie przyjąć... Wasza Królewska Mość, oto Paul. Oczekiwała mnie w swoim pokoju dziennym. Dostrzegłem jej drobną

postać stojącą przy biurku obok okna. Na biurku leżały porozrzucane rządowe dokumenty oraz czerwone pudelka. W pomieszczeniu było chyba z dziewięć albo dziesięć psów rasy corgi. Niektóre z nich, te z pokolenia, którego nie znałem, podniosły głowy i zawarczały. Królowa podeszła do mnie, ukloniłem się, po czym wyciągnęła dłoń.

- Witaj, Paul. Jak się miewasz? - przywitała mnie.

Uśmiech był ciepły, tak jak zawsze. Królowa miała na sobie niebieską suknię, potrójny sznur pereł i ogromną brylantową broszkę w kształcie serca.

Dostrzegła, że ściskam w dłoniach mały dowód pamięci.

- Bukiet kwiatów, Wasza Królewska Mość.

- Jak miło z twojej strony - odparła, biorąc kwiaty. - I jak pięknie pachną.

Była odprężona, przyjazna, bez asysty ochrony. Z nieformalnych rozmów królowa wiedziała, że pewne sprawy dotyczące księżnej niepokoiły mnie.

- To „bardzo skomplikowana materia - oznajmiła, rozpoczynając rozmowę i przekazując bukiet paziowi.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Wasza Królewska Mość. Nie ma absolutnie nikogo, komu mógłbym ufać w tej kwestii. Jesteś, Wasza Królewska Mość, moją jedyną nadzieją i pragnę podziękować za danie mi sposobności odbycia tej rozmowy. Znaczy ona dla mnie bardzo wiele.

Rozmawialiśmy na stojąco. W obecności koronowanej głowy na prywatnej audiencji nie wypada siadać. Wiedziałem o tym. Królowa zapytała, jak sobie daję radę. Odparłem, że jestem bez przerwy zajęty. Chciała też wiedzieć, co u Marii i chłopców. Przekazałem najnowsze informacje. Potem przeszedłem do meritum sprawy: opowiedziałem o Pałacu Kensington, poinformowałem o swoim stosunku do sposobu zarządzania Fundacją Pamięci i związanych z nią osób oraz o problemach, jakie dostrzegałem. Rozmawialiśmy o Anthonym Juliusie, lady Sarah, Patri-cku Jephsonie, mojej przyszłości, o ogromnych kosztach prawnych, jakie ponosiła fundacja -170 000 funtów tylko za październik. Rozmawialiśmy również o Dodim Al Fayedzie oraz fascynacji księżnej jego osobą.

Wydawało mi się, że królowa sądziła to samo, co reszta Brytyjczyków: ich znajomość była raczej początkiem długotrwałego związku, niż przelotnym romanssem.

- Wasza Królewska Mość, ten romans zakończyłyby się łzami. Księżna zdawała sobie sprawę z problemów Dodiego: pieniądze, narkotyki, alkohol, nawet prostytutki. Nie mam wątpliwości, że tak właśnie to by się skończyło. Zawsze powtarzałem księżnej: „Należy zachowywać kontrolę nad swoim otoczeniem”. Jednak prawda była taka, że na jachcie nie miała już kontroli. To on wybierał miejsce, do którego płynęli, wybierał menu, włączał klimatyzację na pełny regulator i zdecydował o wyjeździe do Paryża, Wasza Królewska Mość. Ona chciała wracać do domu. Pragnęła odzyskać niezależność.

Królowa słuchała z uwagą. W pewnej chwili powiedziała mi, że we wrześniu przy jakiejś okazji zatelefonowała do niej Frances Shand Kydd, matka Diany.

- Jeśli mogę wyrazić swoją opinię, to Wasza Królewska Mość wykazała odwagę, podejmując rozmowę! - zażartowałem.

Kiedy już padło to nazwisko, trudno było o lepszą okazję, by wyrazić mój niepokój związany z masowym niszczeniem w Pałacu Kensington dokumentów, listów i notatek, które moim zdaniem, miały wartość historyczną.

- Wasza Królewska Mość, zamierzam chronić świat księżnej i zachować w tajemnicy jej sekrety, to samo odnosi się do dokumentów i przedmiotów, które mi przekazała.

Królowa znowu słuchała. Fakt, że nawet nie zmarszczyła brwi, wystarczył, bym nabrał przekonania, że w tej kwestii mogę po prostu postępować tak, jak uważam to za słuszne.

Sądzę, że była w stanie zrozumieć to, czego doświadczałem. Powiedziała:

- Pamiętam, kiedy umarła moja babka, chodziłam po Marlborough House, a na wszystkim były ponaklejane etykiety. Rozdrapali wszystko jak sępy - i była to najokropniejsza rzecz związana z utratą bliskiej osoby.

Wtedy właśnie tematem rozmowy stali się William i Harry, w tym ich wizyta w Pałacu Kensington w celu zabrania należących do nich rzeczy.

Nigdy wcześniej nie odbyłem tak długiej rozmowy z królową; trwała ona wedle mojej najlepszej pamięci, od godziny drugiej po południu do prawie piątej. Cały czas na stojąco. Rozmowa miała niemal charakter

spotkania po dziesięciu latach bliskich krewnych, którzy nie widzieli się od bardzo dawna. To był dla mnie wielki przywilej.

Oczywiście, wizja blisko trzygodzinnej audiencji kamerdynera u królowej została uznana za „wierutną bzdurę”, jak określiły to gazety w dniach, kiedy podstawy wytoczenia mi procesu o kradzież przed sądem Old Bailey w 2002 roku legły w gruzach. Pełni niedowierzania eksperci królewskiego dworu pokazywali się w telewizji i przedstawiali to, co pamiętali odnośnie tamtego spotkania, używając takich określeń jak „nie do pomyślenia”, „wysoco nieprawdopodobne” oraz „czysta fikcja”.

- Premier rządu ma do dyspozycji jedynie piętnaście minut, zatem wysoce wątpliwe, żeby kamerdyner mógł dostąpić zaszczytu tak długiej audiencji - ironizował jeden z byłych członków personelu.

Dziennik „Sun” przystąpił do ataku, ogłaszając, że spotkanie najpewniej trwało trzy minuty, nie mogło zaś nie przekroczyć jednej godziny.

Wtedy też Pałac Buckingham wydał oświadczenie. Zgodnie z tym, co przypominała sobie monarchini, „Audiencja trwała co najmniej dziewięćdziesiąt minut.”

Bez względu na wersję, rozmawialiśmy na stojąco przez niezwykle długi czas. Karmiliśmy również psy rasy corgi.

Oczywiście mówiliśmy bardzo dużo o księżnej. Powiedziałem wtedy królowej, że jedynym mężczyzną, którego Diana kochała naprawdę przez całe życie, był książę Karol; wiedziałem, że w lutym 1996 roku księżna w Sali Audiencyjnej to właśnie oznajmiła.

Kiedy rozmawialiśmy o Dianie, ton dyskusji się zmienił. Wyczuwałem, że królowa bardzo pragnęła, by wskazówki zegara mogły się cofnąć.

- Usiłowałam nawiązać kontakt z Dianą wiele razy. Napisałam do niej tyle listów, Paul - wyznała. W tamtym momencie wyobraziłem sobie księżną i mnie, jak siedzimy na schodach czy w salonie i czytamy napisaną w ciepłym tonie korespondencję, jaka nadeszła z Pałacu Buckingham lub Zamku Windsor.

- Wiem. Widziałem te listy, a księżna zawsze to powtarzała. Problem polegał jednak na tym, że Wasza Królewska Mość przemawiała w czerni i bieli, natomiast księżna w kolorach.

Sugerowałem, że reprezentowały różne pokolenia i posługiwały się różnymi językami.

Po raz pierwszy w życiu poczułem, że pragnę uściskać królową, lecz przecież nie była to Diana i wiedziałem, że jest to niemożliwe. Stałem więc, słuchając jej słów i myśląc, że gdyby Wielka Brytania mogła zobaczyć, jak szczerzy i ciepły był stosunek monarchini do księżnej, nigdy nie doszłoby do dyskusji o rzekomym dystansie między nimi, jakie pojawiły się w dniach tuż po śmierci Diany.

Przypomniałem sobie notatkę, którą zostawiła mi księżna: Tak bardzo chciałabym przytulić moją teściową.

Obok mnie znajdowała się szczerze zatroskana teściowa, nie pełna dystansu monarchini; osoba, która pragnęła pomóc. Szefowa wiedziała o tym dobrze. Z tego właśnie względu nigdy nie traktowała królowej ani księcia Edynburga jak wrogów.

Królowa również wiedziała o tym.

- Gesty z mojej strony nie były mile widziane albo je błędnie interpretowano - dodała - a przecież wszystkie moje wysiłki zmierzały do tego, by pomóc.

Kiedy spotkanie dobiegało końca, monarchini powiedziała mi jeszcze jedną rzecz.

- Bądź ostrożny, Paul. Nikt inny nie był tak blisko związany z członkiem mojej rodziny, jak ty. W

tym kraju działają pewne siły, o których nie wiemy nic - spojrzała wtedy na mnie znacząco, a jej oczy dopowiedziały „Rozumiesz to?”.

- Cóż, rozmowa z tobą była naprawdę fascynująca, Paul - oznajmiła. - Daj mi znać, jak sprawy się ułożą, obiecujesz? Sądzę, że już najwyższa pora zabrać psy na spacer.

Wymieniliśmy uścisk dłoni. Ukłoniłem się i opuściłem królewską komnatę.

Od czasu zakończenia sądowego procesu, kiedy po raz pierwszy przedstawiłem szczegóły mojej audycji u królowej, pojawiło się mnóstwo spekulacji na temat intencji oraz znaczenia słów „Bądź ostrożny”, wypowiedzianych przez monarchinię. Co więc tak naprawdę miała na myśli? Jeśli chodzi o mnie, wiem tyle, ile usłyszałem. Przyjąłem te słowa zgodnie z ich intencją: jako radę, by zachować czujność. Moim zdaniem królowa chciała mi dać do zrozumienia, żebym miał się na baczności przed wszystkimi, bowiem nikt lepiej niż ona nie rozumiał położenia, w jakim się znalazłem oraz bliskości, jaka łączyła mnie z księżną.

W minionych latach często zastanawiałem się nad określeniem „siły działające w tym kraju, o których nie wiemy nic” i prawdę powiedziawszy, nie jeden raz budziło ono we mnie niepokój. Królowa mogła mieć na myśli potęgę prasowych magnatów i wydawców, którzy potrafili strącić zokoło wielu ludzi. Mogła odnosić to określenie do całego „establishmentu”, kręgów ludzi wpływowych. Nie można wykluczyć, że chodziło

jej o brytyjską Służbę Bezpieczeństwa MI5, ponieważ, niewątpliwie, królowa nie zna tajnych struktur ani ich brudnych praktyk, jednak jest świadoma wpływów, jakie mogą wywierać.

Wszystkim, co wiem po upływie czterech lat od ostrzeżenia, jakie padło z ust Jej Królewskiej Mości, to, że zostałem aresztowany i postawiony przed sądem za rzekome przestępstwo, którego nigdy nie popełniłem, w sprawie nie mającej podstaw. Wszystkie podteksty kryjące się pod powierzchnią tej sprawy dotyczyły sekretów księżnej. Kto je znał? Gdzie były skrywane? Mówiąc całkowicie otwarcie, nie jestem w stanie wskazać, co monarchini miała na myśli. Wiele razy obwiniałem się w duchu, dlaczego nie zapytałem jej wtedy. Teraz mogę jedynie spekulować. Nikt nie jest bardziej świadomy niż ja sam wiedzy, którą posiadam. Byłem świadkiem historii życia księżnej, znam listy, jakie pisała i otrzymywała, dokumenty rozwodowe, jakie negocjowała oraz podpisała.

Księżna zwierzyła mi się również z obawy, że jest nieustannie śledzona. Członkowie gabinetu oraz rodziny królewskiej są obserwowani rutynowo. Diana wiedziała o tym. Dawała mi to do zrozumienia nieustannie, podkreślając potrzebę zachowania czujności. Jeśli istniała jakaś sfera życia w Pałacu Kensington, której nie cierpiała, to z pewnością poczucia nieustannego podsłuchiwania i podglądania. Był to też jeden z powodów, dla których pozbyła się policyjnej ochrony. Nie ufała policji jako instrumentowi państwa.

Podejrzewała nawet, że w apartamentach numer 8 i 9 zamontowano urządzenia podsłuchowe. Pewnego razu przesunęliśmy wszystkie meble na jedną stronę jej salonu i zwinęliśmy aztecki kilim oraz niebieską wykładzinę dywanową wraz z warstwą podkładu. Potem podważyliśmy deski podłogowe. Diana była pewna, że w pałacu są „pluskwy”, jednak nie udało się nam niczego znaleźć. Obawiała się, że podsłuch może być założony w gniazdkach wtykowych, włącznikach światel i lamp. Zapewne niektórzy uznają tego typu obawy za objaw czystej paranoi. Jednak księżna miała uzasadnione powody do obaw - działała na podstawie wiarygodnych informacji uzyskanych od osoby pracującej dla brytyjskich służb wywiadowczych. Na wiedzy, radzie i przyjaźni tego człowieka mogła polegać.

Księżna otrzymała ostrzeżenie także od członka rodziny królewskiej. „Musisz być dyskretna - nawet we własnym domu, bowiem «oni» słuchają przez cały czas”. (Przed rozpoczęciem procesu przed sądem Old Bailey w 2002 roku razem z zespołem moich prawników zobaczyłem dokumenty potwierdzające fakt, że moja linia telefoniczna została w trakcie prowadzonego dochodzenia „przechwycona” bez mojej wiedzy i rejestrowano rozmowy z co najmniej dwudziestoma abonentami).

Kiedy księżna nie znalazła w pałacu „pluskiew”, poprosiła o pomoc jednego z przyjaciół pracującego wcześniej w służbach specjalnych. Zjawił się w pałacu w pewne weekendowe popołudnie, posługując się pseudonimem. Przeczesał dokładnie wszystkie apartamenty w

poszukiwaniu podsłuchu. Nie znalazł niczego. Wtedy, oglądając po kolei demonstrację sprzętu, razem z księżną pobraliśmy szybką lekcję nowoczesnej techniki podsłuchowej. Najbardziej jednak zdumiała Dianę wiadomość, że monitorowanie niekoniecznie wymaga „pluskwy” zainstalowanej we wnętrzu domu. Rozmowy mogły być podsłuchiwane z wozu technicznego zaparkowanego na zewnątrz, transmitującego sygnał do budynku i wykorzystującego lustro do jego odbicia.

W ciągu ostatnich dwóch lat życia księżna w coraz większym stopniu niepokoiła się o swoje bezpieczeństwo. Od czasu separacji w 1992 roku zdobywała coraz większe uznanie, planowała kolejne misje humanitarne na świecie. Na początku 1997 roku jednak misja księżnej w Angoli sprowokowała wysunięcie pod jej adresem epitetu „beczka prochu”, który czynił więcej szkód niż pożytku. Już jesienią 1996 roku czuła nieodparcie, że „przeszkadza”. Z pewnością zdawała sobie sprawę, że „system” nie doceniał jej pracy i że tak długo, jak ona pozostaje na scenie, książę Karol nie zrobi kroku naprzód.

- Stałam się silna, a oni nie lubią, kiedy stoję mocno na nogach, bez ich łaski - wyznała wtedy. Pamiętam, jak w październiku 1996 roku w szczególnym okresie lęku i niepokoju, księżna wywołała mnie z pokoju kredensowego. Spotkaliśmy się w połowie schodów. Ogarnięta zwątpieniem w siebie szukała wsparcia u mnie; kolejny raz skończyło się to wspólnym siedzeniem na schodach i długą rozmową. Uważała, że podjęto próbę podważenia jej pozycji w oczach opinii publicznej; zadanie to realizować miała „brygada anty-Di”, jak określiła. Rozmawialiśmy o roli odgrywanej przez Tiggy Legge-Bourke. O Camilli Parker Bowles oraz o tym, czy książę Karol rzeczywiście ją kochał. Rozprawialiśmy bez końca o gnębiącym księżną uczuciu niedowartościowania i niskiej samoocenie. Jednak podstawową przyczyną tej szczerej rozmowy była jej obawa o przyszłość. Powiedziała mi, że „czuła się nieustannie zaskakiwana” próbami popleczników Karola, zmierzającymi do jej „zniszczenia”. Był to „dzień chandry” i księżna potrzebowała tej rozmowy. Poszliśmy do jej salonu, by zapisać to wszystko i jakoś poukładać z sensem. Kolejny raz pióro miało pomóc uporządkować jej myśli.

Kiedy księżna siedziała przy biurku, ja przysiadłem na sofie, obserwując, jak z furją robi notatki.

- Opatrzę je dzisiaj datą i chcę, żebyś przechował te notatki... tak na wszelki wypadek - powiedziała.

Miała bowiem jeszcze jeden powód. Czy były ku temu racjonalne podstawy czy nie, obawiała się o własne bezpieczeństwo i nie dawało jej to spokoju. Chciała po prostu wszystko wyrzucić z siebie. W pewien sposób była to jej polisa ubezpieczeniowa na przyszłość.

Kiedy skończyła pisanie listu, włożyła go do koperty, zaadresowała „Dla Paula”, zakleiła i przekazała mi. Przeczytałem go następnego dnia w domu, lecz nie potraktowałem poważnie. Nie był to pierwszy ani ostatni raz, kiedy dzieliła się ze mną swoimi lękami. Jednak patrząc z perspektywy czasu, już po jej śmierci, treść tego listu zaniepokoiła mnie. Oto co napisała na dziesięć miesięcy przed tragiczną śmiercią w wypadku samochodowym w Paryżu.

W ten październikowy dzień siedzę przy swoim biurku, pragnąc, by ktoś mnie przytulił i dodał mi otuchy, bym zebrała siły i trzymała głowę uniesioną wysoko do góry. Ten szczególny etap mojego życia jest najbardziej niebezpieczny. [Księżna zorientowała się później, skąd mogło nadejść zagrożenie]. Ktoś planuje „wypadek” mojego samochodu, awarię hamulców i poważny uraz głowy, aby otworzyć Karolowi drogę do zawarcia małżeństwa.

Przez 15 lat byłam atakowana i maltretowana psychicznie przez system. Nie czuję jednak żalu, nie noszę w sobie nienawiści. Jestem już znużona toczonymi bitwami, ale nie zamierzam się poddać.

Wewnątrz jestem silna i być może z tego biorą się problemy moich wrogów. Dziękuję Ci, Karolu, za piekło, które mi zgotowałeś, oraz za danie mi szansy wyciągnięcia nauki z okrutnych rzeczy, jakie mi wyrządziłeś. Mknęłam szybko do przodu i nikt się nigdy nie dowie, ile wypłakałam łez. Cierpienie niemal mnie zabiło, lecz wewnętrzna moc nigdy nie pozwoliła mi pograżyć się, a moi sprzymierzeńcy zatroszczyli się wtedy o mnie. Czyż nie mam szczęścia, że znalazłam się pod ochroną ich skrzydeł...

List ten stanowił część brzemienia, jakie dźwigałem po śmierci księżnej. Podjęcie decyzji, co z tym zrobić, wymagało ode mnie wielu przemyśleń. Wyobraźcie sobie, że list ten został napisany do was

przez kochaną osobę, która potem w ciągu roku zginęła w wypadku samochodowym. Zapewne zawahalibyście się, czy potraktować to jak nadzwyczajny zbieg okoliczności, czy też szukać innego wyjaśnienia, dziwaczного, graniczącego z obłędem. Miałem nadzieję, że zostanie wszczęte dochodzenie w sprawie śmierci księżnej i wydarzenia z 31 sierpnia 1997 roku zostaną zbadane przez koronera oraz brytyjski sąd. Jednak z jakichś nie dających się wyjaśnić powodów tak się nie stało. Gdyby chodziło o kogoś innego, śledztwo musiałooby zostać wdrożone i postępowanie ruszyłoby właściwym torem.

Późnym latem 2003 roku podano komunikat, że w hrabstwie Surrey planowano wszczęcie śledztwa w celu wyjaśnienia okoliczności tragicznego wypadku, w pierwszym zaś rzędzie śmierci Dodiego Al Fayed. Nie było jasne, czy obejmie również wyjaśnienie śmierci księżnej. Śledztwo nie zostało jednak rozpoczęte do dziś dnia, a podjęte przez Scotland Yard i Królewską Prokuraturę próby zniszczenia mojej reputacji przez postawienie mnie przed sądem Old Bailey w 2002 roku nakłoniły mnie do opublikowania treści tego listu. Zgadzam się z tezą, że efekty mogą być żadne, i że jedynym skutkiem będzie kolejny znak zapytania. Jeśli jednak ten znak zapytania doprowadzi do wszczęcia dochodzenia w sprawie śmierci oraz gruntownego przeanalizowania wszystkich faktów przez brytyjskie władze, coś zostanie osiągnięte. Być może komuś zależy na tym, by cała ta sprawa odeszła w niepamięć, nie można jednak dopuścić do tego, by tak się stało.

Pukanie do drzwi.

Księżna była szczęśliwa, że miała mnie obok siebie, jednak teraz ci, którym powierzono otoczenie czcigi jej pamięci, najchętniej widzieliby mnie za burtą. Po śmierci księżnej, od 1997 do 2002 roku, kilka osób zaczęło analizować przyczyny mojej uprzywilejowanej pozycji w Pałacu Kensington i relacje z szefową, a brak zrozumienia z ich strony zbiegł się w nieunikniony sposób z pełną ignorancją.

Problem polegał na tym, że unikalne cechy prywatnego świata, w którym funkcjonowałem, nie były widoczne dla ludzi z zewnątrz. A jeśli coś dzieje się bez świadków, zwłaszcza gdy łamane są zwyczajowe zasady postępowania, zwykle jest to błędnie rozumiane. Byłem kamerdynerem wykonującym swoje obowiązki, ani josta więcej, ani josta mniej. Jednakowoż w oczach niektórych ludzi uchodziłem za służącego opanowanego manią wielkości, sięgającego po zbyt wiele, jak na swój status.

Nieodparte pragnienie ponownego wciśnięcia mnie w liberię stało się widoczne niedługo po powołaniu mnie w lutym 1998 roku na stanowisko managera zajmującego się gromadzeniem funduszy i organizacją imprez w Fundacji Pamięci Diany, Księżnej Walii.

Zostałem wyrzucony niczym z katapulty ze spokojnych pomieszczeń pałacu do biur w Millbank Tower, w południowo-zachodniej części Londynu. Pragnąłem wykorzystać nową pozycję i pokierować funduszami w sposób, z którego księżna byłaby dumna. Do moich rąk docierało mnóstwo czeków: poczynając od 2 milionów funtów przekazanych przez producentów maskotki Ty Beanie Babies, przez kwotę 26 000 funtów z wytwórni Tower Record, po kilkusetfuntowe sumy ofiarowane przez grupę farmerów zamieszkałych w pobliżu Highgrove. Zainaugurowałem cykl imprez charytatywnych na całym obszarze Wielkiej Brytanii, wliczając w to Krajowe Igrzyska Juniorów Niepełnosprawnych w Birmingham. Uczestniczyłem w posiedzeniach rządowego Komitetu Pamięci, które odbywały się przy Downing Street. W Fundacji rozgorzała walka o władzę.

Czułem, że byłem w stanie wnieść do Fundacji Pamięci unikalny punkt widzenia i przekazać pragnienia księżnej. Znałem dobrze księżną, jej sposób myślenia, towarzyszyłem jej w trakcie misji humanitarnych, planowałem wraz z nią przyszłe misje i przedsięwzięcia charytatywne, tak bliskie jej sercu.

Pewnego wieczoru siedzieliśmy razem w salonie Pałacu Kensington, zapisując rozmaite pomysły kolejnych działań, bowiem księżna odnosiła wrażenie, że jej dobre intencje były błędnie interpretowane.

Zyskałam uznanie, ku przerażeniu Karola, i jest to uznanie, które muszę spożytkować w taki sposób, żeby nieść pomoc wszystkim potrzebującym. Nigdy nie opuszczam ludzi, którzy we mnie

wierzą, zawsze będą nieść ze sobą miłość, dokądkolwiek w świecie dotrę, do kogokolwiek: do trędowatych, chorujących na AIDS, króla, królowej czy prezydenta. Znalazłam swoją drogę życiową i będę nią podążała z dumą, godnością oraz ogromem miłości i zrozumienia tych, którzy są w potrzebie. Przyjmę ich z otwartymi ramionami.

Znałem humanitarny szlak, którym pragnęła pójść. Byłem głęboko przekonany, że zdobyłem przy księżnej kompetencje pozwalające mi pokierować sprawami w jej imieniu, w taki sposób, by jej życzenia oraz sposób myślenia wywarły wpływ na prace Fundacji. Jackie Allen, osobista asystentka księżnej, oraz Jane Harris i Jo Greenstead, jej sekretarki, również wniosły ze sobą przekonanie i pasję działań podejmowanych w imieniu księżnej.

To ich emocjonalne zaangażowanie spotkało się z chłodnym dystansem, podobnie jak moje. Kamerdyner ze swoimi przekonaniem na temat tego, czego pragnęłaby księżna, stawał się kłopotliwy. Jednak chęć utarcia mi nosa tak naprawdę uwidoczniła się w momencie, kiedy prasa zaczęła określać mnie mianem „głosu i twarzy Fundacji”. Zwłaszcza z chwilą, gdy fotel przewodniczącej Fundacji objęła lady Sarah McCorquodale.

- Pamiętaj, skąd pochodzisz, Paul.

- Posłuchaj, Paul. Przestań zachowywać się bez przerwy jak zranione zwierzę. Wszyscy jesteśmy pogrążeni w żalu.

- Obawiam się, że jest on emocjonalnym kaleką. Ludzie niezrówno-ważeni uczuciowo nie podejmują najlepszych decyzji.

- Paul, może znalazłbyś sobie inne zajęcie i odsunął się od tego wszystkiego? Zaczynają krążyć o tobie dość niepokojące plotki.

Tego typu komentarze, mówione prosto w twarz lub za moimi plecami, rozpowszechniano w kręgach towarzyskich Londynu. Ja jednak koncentrowałem się na niedokończonym dziele. Jeśli moim obowiązkiem była służba księżnej za jej życia, tym silniejsza stała się wola służenia jej pamięci.

Pamiętam słowa księżnej, kiedy mówiła o wychylaniu się ponad przeciętność. „Zawsze ktoś pstryknie ci zdjęcie!” Jednak obstawała przy tym, w co wierzyła i uparcie tkwiła na zajmowanych pozycjach. Musiałem postąpić tak samo.

Oprawiony w skórę notes księżnej z nazwiskami, numerami telefonów i adresami przyjaciół leżał zwykle na moim biurku w zamkniętym pomieszczeniu, obok głównego biura w Millbank Tower. Każdego popołudnia Jackie Allen i ja zamykaliśmy ten pokój. Pewnego dnia, w początkowym okresie działania Fundacji, notes zaginął. Można go było przyrównać do książki telefonicznej jej życia, czytałem ją księżnej podczas całonocnego czuwania.

Razem z Jackie poinformowałem o kradzieży kierownika biura, Bria-na Hutchinsona. On z kolei powiadomił lady Sarah McCorquodale. Nie wezwano jednak policji. Nie przeprowadzono nawet wewnętrznego dochodzenia. W biurze rozpowszechniono tezę, że notes mógł zostać zabrany przez sprzątaczkę, nocnego stróża lub któregoś z ochroniarzy. Sprawa nigdy nie została zbadana i już sam ten fakt wzbudził moje podejrzenia.

Doktor Andrew Purkis, mianowany dyrektorem Fundacji, zaraz po objęciu stanowiska dał jasno do zrozumienia, że to właśnie on będzie „głosem Fundacji w sprawach, w których należy zabrać głos”. Człowiek ten nigdy nie spotkał się z księżną, stąd też jego słowa - przybysza z zewnątrz - wzbudziły moje głębokie zdumienie. Wcześniej piastował urząd osobistego sekretarza arcybiskupa Canterbury w Pałacu Lambeth. Łączył w sobie cechy członka kościelnej hierarchii i establishmentu - czyli wszystko to, przeciwko czemu buntowała się księżna.

Doktor Andrew Purkis wiedział, że nie zamierzam wywiesić chorągwi, by uczcić jego przybycie.

- Wiem, że może nie podobać się panu fakt objęcia przeze mnie tego stanowiska, jednak uczynię wszystko, by nasza współpraca układała się jak najlepiej. Chcę uniknąć atmosfery wrogości między nami - powiedział mi wtedy.

Do początku lipca 1998 roku apartamenty numer 8 i 9 zostały ogołocone niemal ze wszystkiego. Z dywanów. Z jedwabnych tapet. Nawet z żarówek. Można było odnieść wrażenie, że nikt nigdy tu nie mieszkał. Do Królewskich Zbiorów Sztuki trafiły meble i obrazy. Biżuteria wróciła do Pałacu Buckingham. Spełniono też życzenia Williama i Harry'ego, dotyczące ich rzeczy. To, co zostało,

Spencerowie zabrali do Althorp, wliczając w to portret księżnej, pędzla Nelsona Shanksa, wiszący nad schodami, oraz jej suknię ślubną. Nawet auto Diany marki BMW zostało wyeksponowane w jakieś okryte tajemnicą miejsce, gdzie je rozmontowano.

Wszystko to oznaczało, że moje nieuniknione pożegnanie z Pałacem Kensington było już bardzo bliskie. Odsuwałem świadomość nieuchronności tego faktu od grudnia poprzedniego roku, kiedy z Marią otrzymaliśmy zawiadomienie, że w związku z ustaniem mojego zatrudnienia na dworze królewskim traciłem formalne podstawy do korzystania z dotychczasowego lokum. Ale ten dzień nadszedł. Dwudziestego czwartego lipca pożegnaliśmy się jednocześnie z pałacem, naszym domem, szkołami obu synów, ich przyjaciółmi, naszymi przyjaciółmi, proboszczem naszej parafii - oraz z moimi planami emerytalnymi. Utraciliśmy dotychczasowy standard życia. Zostałem zmuszony do rozstania się ze światem Pałacu Kensington, z którym czułem się tak bardzo związany. Było to rozstanie w sensie fizycznym; wiedziałem, że pożegnanie duchowe było niemożliwe. Jestem pewien, że to nie zmieni się nigdy.

Kiedy Frances Shand Kydd dowiedziała się o naszej eksmisji z królewskiego lokum, zaoferowała przekazanie kwoty 120 tysięcy funtów na zakup mieszkania w Londynie, pod warunkiem, że akt własności zostanie wystawiony na nią oraz że wyodrębnimy jeden pokój do jej dyspozycji, żeby miała gdzie się zatrzymać, kiedy przyjedzie do stolicy. Była to niewiarygodnie uprzejma oferta, my jednak posiadaliśmy mały domek w Farndon, w hrabstwie Cheshire, zdecydowaliśmy się więc na przeprowadzkę na północ i rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Maria i chłopcy zamieszkaliby na wsi w otoczeniu rodziny, podczas gdy ja miałem w ciągu

tygodnia pracować w Londynie w Fundacji Pamięci, wynajmując lokum u przyjaciela.

W ostatnim naszym dniu w starym domu, kiedy Maria i chłopcy pakowali pudła i wynosili sprzęty, wybrałem się z ostatnią, pożegnalną wizytą do Pałacu Kensington. Przeszedłem przez trawnik. Potem, idąc drogą wzdłuż pałacu, minąłem domki po lewej stronie. Doszedłem aż do tylnego wejścia do apartamentu numer 8. Pokręciłem się po pracowni na parterze, minąłem puste drewniane przegródki i wszedłem do pokoju kredensowego, w którym wszystkie szafki zostały już opróżnione, nie było także telefonu ani telefaksu. Sama moja obecność - odgłos kroków, otwieranie drzwi, skrzypienie podłogowych desek - wydawała się wzbudzać echo w budynku, który był zawsze tak pełen życia. Wędrowałem po apartamentach, zatrzymując się w każdym pokoju po dziesięć, piętnaście minut. W mojej pamięci przewijały się obrazy z pięciu lat życia spędzonych tutaj. Zdawało mi się, że to wszystko znów stało się rzeczywistością.

Zabrałem te myśli ze sobą w długą podróż autostradą M6, gdzie na północy miałem rozpocząć nowe życie.

Podróżowałem po kraju, pomagając zbierać pieniądze dla Fundacji. Uczestniczyłem w pokazie mody w London Lighthouse; byłem w klubie golfowym Telford, w hrabstwie Shropshire; wraz z byłym bramkarzem reprezentacji Anglii, Peterem Shiltonem, pełniłem honory gospodarza spartakiady osób niepełnosprawnych; odwiedziłem charytatywne rozgrywki krykieta w Retford, w hrabstwie Lincolnshire oraz Wielki Wyścig Północy w Newcastle-upon-Tyne i zawody dudziarzy w Glasgow. Przemierzałem Wielką Brytanię wzdłuż i wszerz, pracowałem we wszystkie weekendy. Jeździłem odbierać czeki osobiście, uważałem bowiem, że istotne znaczenie ma fakt, że ktoś z Fundacji docenia wysiłki ludzi dających pieniądze na rzecz pamięci księżnej.

Do października biura Fundacji przeniosły się z Millbank Tower do County Wall w dzielnicy Westminster. Miałem teraz biuro ze wspaniałym panoramicznym widokiem na Tamizę, parlament oraz Big Ben.

Jednak moje widoki na przyszłość nie prezentowały się dobrze. Kiedy postanowiłem wziąć udział w nowojorskim maratonie w listopadzie, doktor Andrew Purkis przekazał mi notatkę, z której jasno wynikało, że nie pozwoli mi wyrwać się spod jego kontroli.

Jeśli zdecyduje się Pan na wyjazd do Nowego Jorku... będzie to Pańska prywatna podróż ... mająca na celu zaspokojenie osobistych ambicji.

Nie reprezentuje Pan Fundacji ...i nie będzie Pan niczego robił ani udzielał wywiadów dotyczących jej pracy. Każdy wywiad dla mediów, w którym będzie mowa o Paulu Burrellu, szybko doprowadzi do ujawnienia faktu, że pracuje Pan dla Fundacji.

Ukończyłem maraton w czasie czterech godzin i czterdziestu minut. Na miarę moich możliwości. Nieco później tego samego miesiąca odbył się bal maskowy w hotelu Grosvenor House przy londyńskiej Park Lane, którego celem była zbiórka pieniędzy na rzecz Fundacji Pamięci Diany, Księżnej Walii. Wiele wybitnych i znanych postaci przybyło, by uczcić pamięć księżnej. Gwiazdor rocka Bryan Adams podarował gitarę z autografem, którą na licytacji kupił były piłkarz, aktor Vinnie Jones. Jednak po tym pełnym blasku wieczorze niemal słyszałem za plecami, jak szeptano, że byłem „pod urokiem gwiazd” oraz „za bardzo interesowałem się show-biznesową stroną życia”. Nieszczęście wisiło w powietrzu.

W ostatnim tygodniu listopada zostałem zaproszony na spotkanie z doktorem Purkiszem. Na jego biurku wszystkie papiery były ułożone w idealnym porządku. Nad miejscem, gdzie siedział, wisiała fotografia Diany, wykonana przez Maria Testina na okładkę płyty CD wydanej w hołdzie księżnej. Doktor Purkis, mały mężczyzna o nerwowych ruchach, szybko przeszedł do sedna sprawy. Zasugerował, że powinienem rozejrzeć się za kontynuowaniem zawodowej kariery w innym miejscu, ponieważ Fundacja zamierzała zlikwidować sekcję zajmującą się zbieraniem pieniędzy i organizowaniem imprez.

- Pańskie perspektywy w ramach Fundacji są raczej ograniczone - oznajmił.

Przerwałem mu w pół słowa.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że zamierza mnie zwolnić z pracy? Proszę więc przyjąć do wiadomości, że nie mam zamiaru składać rezygnacji. Robię to, co znam i umiem najlepiej. Będzie pan zmuszony usunąć mnie z Fundacji, wykonując chirurgiczne cięcie, a wtedy może być pan pewien, że wyciągnę wszystkie brudy i...

- Paul, nie przepadam za tego typu metaforami, jestem jednak przekonany, iż nadszedł czas, byś stąd odszedł.

Jak on w ogóle śmie?

- Łatwo panu tu siedzieć i mówić te słowa - oświadczyłem - lecz nie jest pan w to zaangażowany w stopniu porównywalnym ze mną. Jeśli mnie pan wyrzuci, i tak będę wywierał wpływ na prace Fundacji.

Jednak doktor Purkis nie usłuchał.

Kilka dni później zadzwoniła do mnie lady Sarah McCorquodale.

- Wszystko w porządku, Paul?

- Nie, nie do końca - odpowiedziałem.

- Zjedźmy razem obiad w następny wtorek. Będę miała spotkanie w Mishcon de Reya i możemy się tam umówić.

Spodziewałem się, że będzie to nieformalna rozmowa w cztery oczy. We wtorek, 8 grudnia, po odebraniu kolejnego czeku w londyńskim Magistracie od organizatorów dnia dobroczynności, przybyłem na umówione spotkanie w barze winnym w pobliżu Southampton Row. Przy narożnym stoliku dostrzegłem lady Sarah - w towarzystwie prawnika Anthony'ego Juliusa, pełniącego wcześniej obowiązki tymczasowego przewodniczącego Fundacji, który został później członkiem jej zarządu.

- Nie miałem pojęcia, że będą tu grube ryby - zagaiłem niefrasobliwie, na próżno usiłując przełamać lody.

Spoglądałem na poważne oblicze Anthony'ego Juliusa, który najwyraźniej nie był w nastroju do żartów. Wiedziałem o nim sporo, bowiem księżna opowiadała mi więcej, niż mogłoby mu się wydawać. Przynajmniej jedna rzecz nas łączyła: zarówno on jak i ja byliśmy wtajemniczeni w sprawy rozwodowe księżnej.

Zaczął rozmowę, oświadczając, że oboje z lady Sarah zostali poproszeni, by wyjaśnić aktualną sytuację. Kiedy bez ładu i składu zmierzał do wyrażenia żalu, że ludzie często ukazują prawdziwe oblicze, kiedy wykopuje się ich za próg, pomyślałem, jak zabawny był fakt, że osoba mówiąca te słowa była jedyną, która nie zaaranżowała tego spotkania. Lady Sarah siedziała cicho jak myszka.

- Masz dwie możliwości, Paul - kontynuował. - Jedna to odejście bez konfliktu, który może zranić ciebie, twoją rodzinę oraz zaszkodzić Fundacji - czego z pewnością po kilku latach będziesz gorzko żałował. Druga polega na przyjęciu przyjaznej dłoni, która jest teraz wyciągnięta w twoją stronę.

Możemy wykorzystać ogrom dobrej woli oraz potencjał Fundacji i znaleźć ci alternatywne zatrudnienie.

Przyjazna dłoń, użył takiego określenia. Czuję jedynie zimną arystokratyczną wyniosłość ze strony lady Sarah oraz arogancką prawniczą władzę Anthony'ego Juliusa, który mną pomiatał. Odparłem, że według mojej opinii wciąż jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia.

Wtedy lady Sarah przebudziła się z letargu.

- Czego więc chcesz? - zapytała, najwyraźniej poirytowana. - Twoje stanowisko ulega likwidacji! Anthony Julius zaatakował ponownie.

- Pamiętasz Paul, kiedy do Pałacu Kensington zaczęły napływać pieniądze, lady Sarah, ja oraz Michael Gibbins zdecydowaliśmy się na utworzenie Fundacji. Gdyby nie było nas, nie miałbyś nigdy tej pracy.

Sądzę, że oczekiwał ode mnie wdzięczności.

- Nie można jednak używać „gdyby”, bowiem wyraz ten jest bardzo górnolotnym słowem. „Gdyby” księżna nie zginęła, nie musiałbyś dawać mi tej pracy - wysunąłem swoje argumenty.

- Ależ tak, Paul, można - wtrąciła się oburzona lady Sarah. - Oczywiście, że można powiedzieć „gdyby”.

Po chwili spytała.

- Czy Maria i chłopcy nie woleliby, żebyś był razem z nimi, zamiast urzędować w Londynie?

Jeśli jesteś w kłopotach, okopuj się głęboko przed emocjonalną presją.

- Posłuchajcie - oznajmiłem - moja rodzina jest i zawsze będzie po mojej stronie, bez względu na wybór, jakiego dokonam.

Musiałem ugryźć się w język, by nie wspomnieć, co wiem o bliskich więzach rodzinnych Spencerów.

- Paul, wszystkim zależy wyłącznie na tym, by dopomóc ci w podjęciu decyzji - oświadczył Anthony Julius.

Zapytałem go, czy spotkanie ma charakter oficjalny.

- Jest oficjalne, chyba że zażyczysz sobie, żeby było inaczej - odpowiedział. - Członkowie zarządu są powiadomieni o tym, że spotykamy się z tobą i oczekują raportu z przebiegu rozmowy.

Lady Sarah grzebała sztucem w sałatce. Ja nawet nie ruszyłem ryby leżącej przede mną na talerzu. Usiłowałem zapanować nad sobą, jednak nie byłem w stanie.

- Nie poznaję dwojga osób, z którymi siedzę przy jednym stole. Nie mogę słuchać tego dłużej - głos zaczął mi się łamać. - Proszę mi wybaczyć.

Wstałem, chwyciłem płaszcz leżący na oparciu krzesła i skierowałem się ku drzwiom.

- Zatem zobaczymy się niedługo, Paul? - usłyszałem głos lady Sarah. Zatrzymałem taksówkę i wskoczyłem na tylne siedzenie. Pojechałem do Pałacu Kensington.

Było to jedyne miejsce, do którego mogłem się udać w tamtej chwili. Nie miałem już wstępu do budynku, ale mogłem pospacerować po pałacowych ogrodach. Tam próbowałem jakoś zebrać myśli, po czym skierowałem się do Dome Cafe przy głównej ulicy, gdzie spotkałem Richarda Kaya, reportera „Daily Mail”: kogoś, kto znał księżną lepiej niż ktokolwiek w Fundacji. I mógł zrozumieć niesprawiedliwość. Na łamach „Daily Mail” nie ukazało się nawet słowo. Lecz w piątek Clive Goodman z „News of the World”, reporter zajmujący się sprawami królewskiego dworu, napisał o moim bliskim zwolnieniu z pracy.

Kiedy w poniedziałek wszedłem do biura doktora Purkisa, na jego biurku były rozłożone okładki weekendowych dzienników. Poinformował mnie, iż potwierdziły się doniesienia o tym, iż spotkałem się z mediami w celu „dyskusowania o sprawach Fundacji”. Było mi już jednak wszystko jedno. Naszą dyskusję zakończył słowami:

- W porządku. Zadzwoń do ciebie w ciągu dnia, by poinformować o podjętej decyzji.

By uciszyć wrzawę wywołaną przez prasę w związku z moją bliską dymisją, doktor Purkis przedstawił sprawę w piśmie skierowanym do personelu: Cały ten epizod jest jedynie nic nie znaczącą burzą w szklance wody, którą wywołała prasa brukowa.

Osiemnastego grudnia, w piątek przed Bożym Narodzeniem, doktor Purkis zadzwonił do mnie do

domu, informując, że „nie widzi innego wyjścia i musi wręczyć mi pisemne miesięczne wypowiedzenie”. Wróciłem do pracy 21 grudnia, by pozabierać swoje rzeczy z biurka oraz przedstawić stanowisko dyrektorowi, który usiłował przyjąć postawę pojednawczą. Wkroczyłem do jego biura.

- Przyszedłem; żeby się pożegnać - powiedziałem.

- Chciałbym podziękować ci za wszystko, za ciężką pracę, jaką wykonałeś w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy.

- To wszystko robiłem dla księżnej, dla jej pamięci.

- Rozumiem, jak bardzo musisz czuć się przygnębiony.

- Nie, nie rozumiesz. Ty i członkowie zarządu błędnie kierowaliście mną od chwili, gdy tu przybyłem, nigdy nie zdawaliście sobie sprawy z potencjału, jaki miałem do zaoferowania. Doktor Purkis przyjął teraz postawę obronną.

- To nieprawda, Paul. Członkowie zarządu mają prawdziwy zapał do pracy na rzecz Fundacji.

- Andrew, ta Fundacja nie spełnia pragnień, które miała księżna - argumentowałem.

- Wierzmy, że jest inaczej i uczynimy wszystko, by nasza praca była kontynuowana, Paul - upierał się przy swoim.

- Andrew, opuszczam to miejsce z ciężkim sercem, pragnę jednak życzyć ci wszystkiego najlepszego na przyszłość - odparłem, kładąc na biurku nie otworzoną kartę świąteczną. - Jeśli te życzenia są od ciebie, to jestem zmuszony je zwrócić.

Na zewnątrz Jackie Allen uściskała mnie na schodach, gdzie czekali już przedstawiciele prasy, pragnąc uchwycić moment mojego odejścia z Fundacji. Był to gest solidarności. Po pewnym czasie ona, Jane Harris oraz Jo Greenstead również odeszły.

- Co czujesz, Paul? - wykrzyknął któryś z reporterów.

- Wielki smutek.

- Czy zamierzasz kontynuować charytatywną pracę księżnej?

- Uczynię, co w mojej mocy.

Przedarłem się do czekającego samochodu i odjechałem. Lady Sarah McCorquodale pozbyła się wścibskiego kamerdynera wśród personelu Fundacji. Nie była to jednak moja ostatnia konfrontacja z siostrą księżnej.

Mieliśmy stanąć twarzą w twarz jeszcze raz. Cztery lata później. W sali rozpraw numer jeden sądu Old Bailey.

W dzień Nowego Roku 1999 zadzwonił do mnie do domu Clive Goodman z „News of the World”.

- Dowiedziałem się, że zaginęła para kolczyków należąca do księżnej. Czy chciałbyś powiedzieć parę słów komentarla w tej sprawie?

- Czy mogę spytać, skąd masz tę informację?

- Paul, wiesz przecież, że nie mogę ci tego powiedzieć. Nie muszę jednak dodawać, że źródło jest bardzo wiarygodne - stwierdził reporter.

Moje obawy okazały się uzasadnione. Razem z Davidem Thomasem, jubilerem królewskim, oraz lady Sarah McCorquodale przesłałem z całą skrupulatnością klejnoty Diany do Althorp.

Sporządziłem katalog wszystkich kolczyków i osobiście dopilnowałem ich wysyłki.

Zadzwoniłem do rzecznika prasowego Fundacji, Vanessy Corringham, by poinformować ją o rozmowie, jaką odbyłem z Clivem Goodmanem.

W liście z 2 lutego 1999 roku do Shirley i Claude'a Wright, moich przyjaciół z Kentucky, pisałem: Myślę, że ktoś może próbować zniszczyć moją reputację, zwłaszcza że prasa pisała o mnie bardzo pozytywnie po odejściu z Fundacji. Ktoś życzy sobie zobaczyć moje nazwisko unurzane w błocie czy też zaczynam popadać w obłęd?

W wieku czterdziestu dwóch lat zostałem wyrzucony na bruk. Po raz pierwszy od chwili, gdy w 1976 roku dołączyłem do dworskiego personelu w Pałacu Buckingham, czułem się pozostawiony na lodzie. Postanowiłem wykorzystać z pożytkiem lata spędzone w królewskiej służbie.

Opublikowałem książkę na temat etykiety i dobrych manier pod tytułem Entertaining With Style [Przyjmowanie gości w dobrym stylu] (w USA ukazała się pod tytułem In the Royal Manner [W

królewski sposób]). Okazało się, że wciąż mogę polegać na swoim fachu. Dochody ze sprzedaży książki pozwoliły nam na przeniesienie się z wartej 110 000 funtów posiadłości Old Barn w Farndon do większego domu przy rynku, wartego 185 000 funtów. W oparciu o wydaną książkę zainaugurowałem cykl wykładów poświęconych przyjmowaniu gości, królewskiemu stylowi, niekiedy pobierając honorarium 3000 funtów, lecz większość prelekcji miała charakter charytatywny.

Dochody z tantiem i honorariów za wykłady przyciągnęły uwagę Scotland Yardu. Uwzględniając wyciągi z kont bankowych, sumowane słupki nie zgadzały się. Dwa plus dwa równało się pięć. Ktoś odciągnął mosiężną kołatkę i zastukał nią w pomalowane na niebiesko drzwi wejściowe. Na dworze było jeszcze ciemno. Maria już wstała, szykując śniadanie na dole. Obróciłem się na drugi bok i zobaczyłem, że budzik pokazuje prawie siódmą. Był czwartek 18 stycznia 2001 roku, okazało się, że przybyła Specjalna Ekipa Dochodzeniowa Scotland Yardu -jednostka znana jako SO6.

- Kochanie! - zawołała Maria ze schodów. - Jacyś panowie chcą z tobą porozmawiać.

Założyłem biały szlafrok, wyszedłem z sypialni na drugim piętrze i zszedłem na dół stromymi, wąskimi schodami. Na parterze zobaczyłem Marię, wciąż w niebieskiej koszuli nocnej. Wydawało się, że drży.

- To policja - powiedziała bezgłośnie.

Dwie elegancko ubrane osoby przywitały się ze mną: dość korpulentna blondynka z wydziału dochodzeniowo-śledczego, Maxine de Brun-ner, oraz wysoki mężczyzna o czarnych, gęstych włosach, inspektor Roger Milburn. Z jego portfela wystawał nakaz rewizji.

- Aresztuję pana pod zarzutem kradzieży złotej dawy*. Ma pan prawo nic nie mówić, jednak szansę pana obrony może pogorszyć fakt, jeśli

w trakcie dochodzenia odmówi pan podania faktów, które zostaną ujawnione podczas rozprawy sądowej. - Roger Milburn przedstawił mi moje prawa.

Ich wizyta, mająca na celu aresztowanie mnie, miała związek z dochodzeniem, które rozpoczęło się w poprzednim roku w sprawie kradzieży i sprzedaży inkrustowanej klejnotami arabskiej dawy, mierzącej 45 centymetrów długości, wartości 500 000 funtów. Była ona prezentem ślubnym podarowanym księciu Karolowi przez emira Bahrajnu. Drogocenny przedmiot został wystawiony na sprzedaż w londyńskim antykwariacie o nazwie Spink. Policja „została poinformowana”, że to ja zleciłem zabranie klejnotu i cała ta nieprawdopodobna historia przyprowadziła funkcjonariuszy policji do mojego domu. Dla mnie oraz mojej rodziny zaczął się okres koszmarów, a sam proces odnotowano w brytyjskich prawniczych annałach oraz policyjnych rejestrach ze względu na zażenowanie, jakie wywołał.

Funkcjonariusze zaczęli zadawać mi pytania. „Czy miałem coś w moim domu, co zostało zabrane z Pałacu Kensington?”, „Co wiem o drogocennej dawie?”

Potem inspektor Milburn skierował pod moim adresem dziwaczne pytanie: „Czy posiada pan rękopis prowadzonego przez siebie pamiętnika?”.

Jeśli był jakiś moment, który pozwolił mi zyskać przekonanie, że funkcjonariusze policji błądzili po omacku, była to ta właśnie chwila. Nie istniał taki manuskrypt. Pisanie książki W królewskiej służbie rozpocząłem w kwietniu 2003 roku. Jest ona odpowiedzią na wątpliwości, jakie Scotland Yard wzbudził wokół mojej bliskiej więzi z księżną. Jednak w styczniu 2001 roku nie miałem najmniejszego pojęcia o „manuskrypcie”, o którym mówili.

Potem padły następujące słowa:

- Lady Sarah McCorquodale utrzymuje, że posiada pan szkatułkę, która należała do Diany, księżnej Walii. Chciałaby odzyskać zawartość tej szkatułki.

Padaly dalsze pytania.

- Czy kiedykolwiek zabierał pan tę szkatułkę z Pałacu Kensington? „Co?”, pomyślałem. Lady Sarah McCorquodale była ostatnią osobą,

która powinna mieć szkatułkę. Czyż nie tak? Wiedziałem dokładnie

o czym mówili: chodziło o głęboką szkatułkę z mahoniu, którą księżna trzymała w salonie i w której przechowywała najważniejsze papiery

i dokumenty. Po śmierci Diany otworzyliśmy ją razem w Pałacu Kensington, lady Sarah i ja.

Szkatułka ta, mógłbym przysiąc, znajdowała się u siostry księżnej.

Mój rękopis. Sekrety księżnej. To właśnie chciał znaleźć Scotland Yard, pod pretekstem szukania „dokumentów związanych ze sprzedażą złotej dawy”.

Maria poszła do kuchni, w ślad za nią ruszyła detektyw de Bruner. Inspektor Milburn został ze mną.
- Jeśli przekaże nam pan to, czego chcemy, pójdziemy sobie. Jeśli nie, będziemy musieli przeszukać dom - powiedział.

W kuchni policjantka mówiła to samo Marii.

- Sugeruję, pani Burrell, żeby porozmawiała pani z mężem i przekonała go do wydania nam rzeczy, których szukamy.

W trakcie procesu w sądzie Old Bailey, który toczył się w 2002 roku, oboje zaprzeczyli, by kiedykolwiek podobne słowa padły z ich ust.

Trójka pozostałych detektywów, którzy do tej pory czekali w samochodzie na zewnątrz, weszła do domu w celu przeprowadzenia drobiazgowej rewizji. Przeszukano każdą szufladę, szafkę, szafę, gablotę i półkę na regałach. Jeden z funkcjonariuszy otrzymał polecenie śledzenia każdego mojego kroku. Stał przy drzwiach do łazienki, kiedy brałem prysznic, i przy drzwiach do sypialni, - kiedy się ubierałem. Inny z członków ekipy przetrząsał nasze rzeczy w każdym pokoju: na pierwszym, drugim i trzecim piętrze oraz na strychu. Zapełniali duże polietylenowe worki rzeczami niechcianymi w Pałacu Kensington. Były tam sentymentalne pamiątki ofiarowane mi przez księżną, prezenty, które nam dała, sukienki, buty, kapelusze, damskie torebki, które przekazała Marii, pamiątkowe fotografie, przedmioty, które wyrzuciła, ale ja nie miałem serca ich zniszczyć. Drogocenne pamiątki i rzeczy osobiste zostały włożone do worków jako dowody i opatrzone etykietami, z których wynikało, że zostały ukradzione Dianie, księżnej Walii przez Paula Burrella, tuż po jej śmierci.

Nie po raz pierwszy traciłem kontrolę nad światem, którego ochrona była moją powinnością.

Fundacja Pamięci odmówiła zabrania głosu w mojej sprawie. Teraz Scotland Yard wziął pod lupę obszar, który był dla mnie świętością: moją służbę dla księżnej. W Fundacji być może sądzono, że byłem emocjonalnie niezrównoważony, jednak moje zaangażowanie nie było nigdy podawane w wątpliwość. Funkcjonariusze Scotland Yardu przewrócili do góry nogami mój dom, kwestionując moją lojalność.

Maria musiała zabrać swoją matkę na pilną wizytę w szpitalu. Kuzynka Louise Cosgrove, która była wtedy zatrudniona w charakterze mojej sekretarki, przyszła do pracy jak zwykle o dziewiątej rano i trafiła

na wszechogarniający chaos. Chwyliła za telefon i zadzwoniła do kancelarii adwokackiej. Wkrótce przed dziesiątą zjawił się Andrew Shaw. Był sędzią okręgowym, który jednocześnie pełnił obowiązki doradcy prawnego w swojej firmie Walker Smith & Way, z siedzibą w centrum Chester. Jego wsparcie oraz wolne od absurdu podejście, a później również jego przyjaźń, pomogły mi przetrwać ten dzień oraz następne osiemnaście miesięcy.

Siedziałem przy biurku w moim gabinecie. Jeden z funkcjonariuszy stał nade mną, kiedy jak w transie rozglądałem się dookoła. Patrzyłem na ścianę po lewej i zdjęcie księżnej w niebieskiej czapce baseballowej 492 na głowie; płytę Tiny Turner z singlem Simply The Best z podpisem „Diana” - prezent urodzinowy dla Marii z okazji czterdziestych urodzin. Spojrzałem na biurko po mojej prawej stronie, z portretem księżnej w różowej sukni z koralami, wykonanym przez lorda Snowdona. Słyszałem tylko kroki na górze oraz szelest policyjnych worków z dowodami, znoszonych na dół. Czuję się tak, jakbym był niemym świadkiem rabowania własnego domu. Detektywi znów ruszyli na górę w poszukiwaniu złotej dawy. Udało im się znaleźć coś, co uznali za królewskie skarby i co nie powinno znaleźć się w domu służącego: zastawę stołową, ozdoby, ramki do zdjęć, odzież, zdjęcia, obrazy, płyty CD, torby damskie, kapelusze, buty i listy.

Dosłyszałem głos dobiegający ze schodów.

- Będziemy potrzebować więcej worków... WIĘCEJ WORKÓW!

- Potrzebna będzie ciężarówka do przewozu mebli! - zawołał inny z policjantów.

Po południu aresztowano mnie po raz drugi.

- Panie Burrell, jest pan teraz aresztowany pod zarzutem kradzieży rzeczy, jakie znaleźliśmy w trakcie przeszukania.

Zamiast rachunku za sprzedaż złotej dawy znaleźli nieskończoną liczbę przedmiotów kojarzących się z królewskim dworem. Nie rozumiałem, dlaczego było to dla nich niespodzianką. Od osiemnastego roku życia mieszkałem w zamkach i pałacach, w których ciężko pracująca służba otrzymywała używaną odzież, niechciane ozdoby, szczodre podarunki. Jednak Scotland Yard pozostawał w błogiej nieświadomości tego faktu. Mieli przed sobą królewskie trofea, jakich nigdy wcześniej nie znaleźli. Byli przekonani, że przyłapali służącego na gorącym uczynku. Chociaż przybyli jedynie po to, by szukać dokumentów związanych ze sprzedażą drogocennej dawy. Beładne przeszukiwanie trwało od godziny siódmej rano do ósmej wieczór. Cały dom był wywrócony do góry nogami.

Znaleźli również biurko, które było prezentem księżnej dla Alexandra. Potem przeczytali plaketkę z wygrawerowanym napisem: „W darze od miasta Aberdeen dla JKW księcia Walii i lady Diany Spencer z okazji ich małżeństwa, 29 lipca 1981”. Musi być kradzione, pomyśleli.

Wyszperali również bykowiec Indiany Jonesa, który księżna dała mi w prezencie, znając moją pasję zbierania pamiątek z historii kina. Po chwili przeczytali dołączony do eksponatu dokument: „W darze JKW księciu Walii z okazji premiery filmu Indiana Jones i ostatnia krucjata, 27 lipca 1989”. Musi być kradzione, znowu pomyśleli.

Znaleźli też tekst Biblii, który czytałem podczas całonocnego czuwania w Pałacu Kensington.

Nieporozumieniom nie było końca, policja miała niezwykle udany dzień, bowiem zarekwirowała i zapakowała do worków ponad czterysta przedmiotów.

Siedziałem przy biurku, płacząc. Patrzyłem jak mój świat się rozpada. W jednej chwili zorientowałem się - choć nikt inny nie zdawał sobie z tego sprawy - dokąd to wszystko doprowadzi. W tamtym momencie potrafiłem dostrzec konsekwencje rozgrzebywania tego wszystkiego.

- Co oni robią? Oni wcale nie wiedzą, co robią! - krzychałem do Louise.

Przyszedł Andrew Shaw, żeby ze mną porozmawiać. Stwierdził, że wyglądam na załamane i do tego stopnia zaniepokoił się moim stanem, że zadzwonił po policyjnego lekarza. Doktor, który przybył, zawyrokował, że „nadaję się do policyjnego zatrzymania”. Jedyną rzeczą, o której wtedy myślałem, było to, że detektywi na górze nie mieli pojęcia, co właściwie otwierali. W tym domu były tajemnice, których nikt nie powinien poznać. Przeglądano drobiazgowo pęczki listów, których księżna nie chciała trzymać w Pałacu Kensington; opieczętowane pudełka, które zabrałem ze względów bezpieczeństwa do Farndon, były teraz otwierane z łamaniem pieczęci. Rolki z negatywami zostały zabrane, by je wywołać i zrobić potem odbitki. Funkcjonariusze policji grzebali wśród najbardziej osobistych rzeczy księżnej, co odbierałem jako coś obscenicznego. Nigdy nie czułem się tak bezużyteczny. Tak odrętwiały. Tak fizycznie obolały.

Nigdy nie widziałem bardziej ostro i wyraźnie: księżna, księżę Karol, William, Harry... królowa. Świat, który ochraniałem, był wywlekany na ulicę.

KAMERDYNER LADY DI ARESZTOWANY, krzychał następnego dnia „Daily Mirror”, publikując zdjęcie z doprowadzenia mnie na posterunek policji w Runcorn. Upokorzenie było całkowite.

- Panie Burrell, czy rozumie pan charakter zarzutów, jakie zostały panu przedstawione? - zapytał pełniący służbę sierżant na policyjnym posterunku w Runcorn.

Znalazłem się w pustym pomieszczeniu, nieco przypominającym suterene w Pałacu Kensington i nie byłem w stanie niczego pojąć, kiedy zacząłem opróżniać kieszenie garnituru i wykladać ich zawartość na blat.

- Panie Burrell, poproszę o pasek od spodni, sznurówki oraz krawat

- dodał sierżant. - To normalna procedura, panie Burrell.

Potem wzięła mnie pod ramię policjantka, o krótko ostrzyżonych blond włosach.

- Proszę się nie martwić. Zaopiekuję się panem - powiedziała z wyraźnym liverpolskim akcentem. Twarz Kate Murphy była najbardziej życzliwa i ciepła spośród tych, które widziałem tamtego dnia, po wielu godzinach opryskliwości doświadczanej ze strony funkcjonariuszy Scotland Yardu.

Andrew Shaw stał za mną, w korytarzu słyszałem echo kroków trzech osób. Wokół nas lokatorzy

innych cel krzyczeli, jęczeli i walili, czym popadło. Przybycie kolejnego aresztanta ekscytowało ich. Zatrzymaliśmy się, kiedy policjantka stanęła przed grubymi, stalowymi drzwiami. Nie mogłem uwierzyć w to, co się dzieje, kiedy je otworzyła, a ja wszedłem do środka. Pomieszczenie było pozbawione życia, z gołymi ścianami i jednym małym kwadratowym oknem. Wrogu znajdowała się muszla klozetowa z nierdzewnej stali.

- Obawiam się, że nie będziemy w stanie zaoferować panu pięciogwiazdkowej kuchni. Posiłki są odgrzewane w kuchence mikrofalowej, ale mogę panu polecić curry - zażartowała, a jej twarz rozjaśnił dodający otuchy uśmiech.

Kiedy mój adwokat wyszedł, obligując mnie do zachowania niezłomnej postawy, zjadłem porcję curry na plastikowej tacy; był to pierwszy posiłek tego dnia.

Usiłowałem zasnąć, jednak trudno było się ułożyć wygodnie na „łóżku”, które nie miało nawet szerokości jednego kroku. Nie było poduszki i koca. „Materac” przypominał matę używaną do ćwiczeń gimnastycznych.

Następnego ranka zjawił się ponownie inspektor z dochodzeniówki, Roger Milburn. Zgodnie z instrukcją otrzymaną od Andrew Shawa, nie odpowiedziałem na żadne z pytań, jakie się posypały. Ciekawość policjanta zdawała się koncentrować na zawartości szkatułki, poufnych dokumentach oraz rękopisie. Można było niemal odnieść wrażenie, że blisko czterysta przedmiotów zabranych z mojego domu stanowiło postscriptum, do którego zamierzał odnieść się później. Za każdym razem, kiedy zadał mi pytanie, odpowiadałem: „Bez komentarza”.

Z pewnością był to błąd. Gdyby przedstawiciele rodziny królewskiej usłyszeli o tym, co się stało, ten nonsens by się skończył. Kiedy zostałem zwolniony za kaucją, do czasu podjęcia dalszych czynności dochodzeniowych, byłem szczerze przekonany, że któreś ogniwo systemu - Scotland Yard, Pałac Buckingham, Pałac Kensington, Pałac Św. Jakuba, królowa, książę Karol, ktokolwiek - zrozumie, że doszło do nieporozumienia. Prezenty pochodzące z królewskiego dworu znajdowały się w setkach domów królewskiego personelu wzdłuż i wszerz Wielkiej Brytanii. Były to sentymalne symbole czasu spędzonego na wypełnianiu obowiązków w służbie członków rodziny królewskiej. Dary stanowiły niepisane korzyści uboczne związane z tym zajęciem, sięgające czasów Jerzego V. Każdy na królewskim dworze wiedział o tym. Wiedział też o tym każdy z członków rodziny królewskiej.

Jednak cisza, która zapadła, była ogłuszająca.

Potajemne działania.

- Paul, najstarszy syn chciałby się z tobą zobaczyć - usłyszałem w telefonie komórkowym po drugiej stronie.

Były to poufny przydomek używany przez personel królewskiego dworu w stosunku do księcia Karola; terminem „ulubiony syn” określano księcia Andrzeja, natomiast książę Edward był „najmłodszym synem”.

W ciągu tygodni i miesięcy, jakie upłynęły od mojego aresztowania, potrzeba zachowania dyskrecji miała najwyższy priorytet. Dwadzieścia numerów telefonicznych członków mojej rodziny oraz przyjaciół zostało objętych podsłuchem, jak wykazały ujawnione później dokumenty. Skoro linie były na podsłuchu, rozsądne było unikanie nazwisk oraz prowadzenie tylko zdawkowych rozmów.

Po miesiącach oczekiwania i zastanawiania się, dlaczego rodzina królewska zostawiła mnie w tarapatkach, 2 sierpnia 2001 roku zatelefonowano do mojego domu w Farndon. Osoba, która dzwoniła z Londynu, otrzymała rolę zaufanego pośrednika i była w kontakcie z najwyższymi rangą doradcami księcia Karola w Pałacu Św. Jakuba. A więc machina została wprawiona w ruch. Pośrednik, który działał w imieniu moim i Pałacu, kontaktował się w różnymi stronami, które obawiały się implikacji potencjalnie wyniszczającego procesu sądowego.

Nie zamierzałem wprowadzać Scotland Yardu w szczegóły prywatnego życia rodziny królewskiej. Chciałem jedynie dostać szansę przeprowadzenia poufnej rozmowy z księciem Karolem. Sprawić, żeby zrozumiał. Powiedzieć mu o szaleństwie tego, co się wydarzyło. I upewnić się, że William i Harry wiedzą, jak wielki błąd został popełniony.

Jeden telefon przywrócił mi nadzieję. Po długim oczekiwaniu coś zaczęło się dziać i miało się

wydarzyć w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Słuchałem.

- Spotkanie zostało potwierdzone. Musi pan udać się do hrabstwa Gloucestershire. Po dotarciu na miejsce otrzyma pan dalsze instrukcje. Spotkanie nie odbędzie się w wiejskiej posiadłości (Highgrove), lecz będzie to dom należący do innej osoby. Najstarszy syn spotka się tam z panem. Bardzo zależy mu na tym, żeby wyjaśnić wszystko raz na zawsze.

Po tylu miesiącach ogarnęła mnie euforia. Kiedy księżę Karol usłyszy, co mam do powiedzenia, zrozumie, że jestem niewinny. Będzie w końcu wiedział. Przez całą wiosnę i lato trapił mnie jeden z tych koszmarów, w których krzyczy się z całych sił, lecz z gardła nie wydobywa się żaden głos. Teraz człowiek, który kiedyś mnie zatrudniał, ojciec chłopców, którzy rośli na moich oczach, miał uczynić coś, czego nikt z rodu Windso-rów nie zrobił od stycznia. Miał mnie wysłuchać.

Dojście do tego punktu zajęło kilka miesięcy.

Pierwszy, wstępny kontakt ze strony rodziny Windsorów, miał miejsce po dwóch tygodniach od mojego aresztowania. Przerzedzały się szeregi przedstawiciele mediów, którzy biwakowali pod moimi drzwiami. Kiedy zaufany pośrednik zatelefonował po raz pierwszy, po przeprowadzeniu sondażowych rozmów z doradcami księcia Karola, był to okres, gdy wciąż próbowałem pogodzić się z ogromem niesprawiedliwości, jaka mnie dotknęła. Pamiętam jego słowa.

- Zgodnie z opiniami, jakie do mnie dotarły, księżę jest przekonany, że personel jego byłej małżonki jest prześladowany. Jego synowie wciąż darzą pana szczególnym uczuciem. Jego rodzina jest głęboko zaniepokojona. Zasugerowano mi, że powinien pan napisać do niego list z wyjaśnieniem, dlaczego te przedmioty w ogóle znalazły się w pańskim domu. Będzie to pierwszy krok do wyjaśnienia całej sprawy.

Był ostatni tydzień stycznia 2001 roku. Data ta ma istotne znaczenie, bowiem wnioskiem dochodzenia prowadzonego po procesie przez sir Micheala Peata w sprawie własności księcia Walii była teza, że to ja czyniłem próby nawiązania kontaktu z Pałacem Św. Jakuba oraz że to ja składałem wszystkie prośby, usiłując w cyniczny sposób przygotować przyszłą linię obrony. Wobec braku jakichkolwiek dowodów, przyjęto założenie, że takie próby z mojej strony nie zostały podjęte wcześniej niż w kwietniu 2002 roku.

Prawda jest jednak taka, że to mój telefon zadzwonił jako pierwszy: mój pośrednik, po wielu rozmowach, przekazał mi wiadomość, bym napisał list. Sugestia ta wyszła od Marka Bollanda, zastępcy osobistego

sekretarza księcia, którego lojalność wobec pracodawcy była nie mniejsza niż moja wobec księżnej. Obaj, wraz z sir Stephenem Lamportem, osobistym sekretarzem księcia, opowiadali się zdecydowanie za tym, żeby przyspieszyć policyjne dochodzenie. Ponadto zdawali sobie jasno sprawę z potencjalnego skandalu, jaki wiązałyby się z udziałem w procesie osób z najwyższych sfer. Jego więc pomysłem była sugestia, bym napisał list do księcia Karola, tak jak jego pomysłem była podpowiedź, bym w podobnym tonie napisał do księcia Williama.

Mark Bolland poinformował Fionę Shackleton, doradcę prawnego księcia, że kontaktował się ze mną, nie mógł jednak ujawnić tożsamości pośrednika między obiema stronami. W tamtych dniach księciu Karolowi bardzo zależało na tym, by uniknąć wniesienia oskarżenia. Żywiłem nikłą nadzieję, że jest przekonany o mojej niewinności. Miałem również do rozgryzienia pewien dylemat. Rygory związane ze sprawą sądową - policja zwolniła mnie za kaucją - nie pozwoliły mi wypowiadać się z pełną swobodą i otwartością w sugerowanym liście do księcia Karola. Siedziałem w biurze Andrew Shawa w Chester i wspólnie pisaliśmy list, podkreślając, że moje intencje były szlachetne, a okazywana przeze mnie lojalność nigdy nie została podana w wątpliwość. Pragnąłem wyrazić tak wiele, wyszło jednak z tego pismo zredagowane suchym prawniczym żargonem.

Piątego lutego list znalazł się w rękach emisariusza, który przekazał go do rąk Marka Bollanda.

W tamtym czasie sądziłem, że był to najważniejszy list, który uwolni mnie od nocnych koszmarów. Byłem pewien, że księżę Karol zrozumie, kiedy przeczyta.

Wasza Królewska Wysokość,

Pragnę wyrazić ogromną wdzięczność za danie mi możliwości przekazania mojej oceny zaistniałej sytuacji... Zostałem zwolniony za kaucją do 27 lutego, kiedy będę odpowiadał na następne pytania.

Jak Księżę wie, przez lata służby Maria, moi synowie oraz ja doświadczyliśmy wielkiej wspaniałości ze strony Rodziny Królewskiej. W szczególności otrzymywaliśmy prezenty od księżnej, która powierzała mi również swoje sekrety, ustnie i na piśmie. Policja zarekwirowała w moim domu wiele prezentów oraz pamiątkowych rzeczy darowanych mi przez członków Rodziny Królewskiej. Najbardziej kłopotliwe jest to, że zabrano również poufne materiały powierzone mojej pieczy. Wśród znalezionych przedmiotów jest trochę „rodziny” drobiazgów, które początkowo złożyłem w magazynie, a ostatnio przeniósłem na strych

mojego domu, chcąc zapewnić bezpieczne przechowanie... Kiedy to się działo, nikt nie oskarżył mnie o niestosowność takiego postępowania. Prywatne i publiczne oskarżenia o nieuczciwość są niezwykle bolesne, nie mogę również znieść myśli, że Wasza Królewska Wysokość, księżę William oraz księżę Harry jesteście zdania, iż w jakikolwiek sposób zawiodłem Was lub księżną. Zależało mi wyłącznie na „sprawowaniu pieczy” nad tym, co uważałem za „własny świat”.

Być może spotkanie dopomogłoby w wyjaśnieniu wszelkich nieporozumień i niedopuszczeniu do eskalacji tego smutnego epizodu poza kontrolą.

Pozostając pokornym i oddanym sługą Waszej Królewskiej Wysokości -Paul. Był to apel, który nie został wysłuchany, podobnie jak wszystkie moje wezwania o zachowanie zdrowego rozsądku, wystosowywane w następnych miesiącach.

Mój emisariusz zadzwonił, przekazując wiadomość, która sprawiła, że znów podupadłem na duchu. - Te słowa nic mu nie mówią. Obawiam się, że list nie zostanie przekazany dalej.

Mark Bolland pragnął otrzymać wyjaśnienie. Zamiast tego otrzymał deklarację niewinności. List mi zwrócono, z rozciętą kopertą. Dotarł do Pałacu Św. Jakuba, lecz nie został, jak mi powiedziano, przeczytany przez księcia Karola.

Była to zmarnowana okazja. Na procesie sądowym oskarżyciel stwierdził, że nie poinformowałem nikogo o mojej intencji „sprawowania pieczy” nad rzeczami pochodzącymi z Pałacu Kensington.

Ale oskarżyciel się mylił. Powiedziałem o tym królowej podczas mojej audiencji jesienią 1997 roku. Powtórzyłem to samo następcy tronu w liście z 5 lutego 2001 roku. W kwietniu wystosowałem kolejny list, tym razem do księcia Williama. Nikt jednak mnie nie wysłuchał.

Prawdę powiedziawszy, nikt nie zamierzał mnie wysłuchać.

Trzeciego kwietnia w Pałacu św. Jakuba doszło do spotkania sir Ste-phena Lamporta, Fiony Shackleton oraz sir Robina Janvrina, osobistego sekretarza królowej z przedstawicielami rodziny Spencerów, Scotland Yardu oraz Królewskiej Prokuratury. Jeden z oskarżycieli oświadczył, że w przypadku uznania mnie winnym trafię do więzienia na pięć lub więcej lat. Na spotkaniu tym padły następujące słowa: „Przyszłość nie do pozadroszczenia będzie karą za naruszenie zaufania”. Tego dnia

padło jeszcze inne stwierdzenie: ponieważ przedmioty znalezione w moim domu nie były własnością księcia Karola, ostateczna decyzja o wycofaniu oskarżenia leżała po stronie wykonawców ostatniej woli księżnej. Spencerowie, pozostając za kulisami, kierowali działaniami Scotland Yardu - i najwyraźniej nie zamierzali hamować rozpedzonej maszyny.

Fakt, że lady Sarah McCorquodale oraz Frances Shand Kydd nie znały stylu życia oraz wspaniałości księżnej, zdawał się nie mieć najmniejszego znaczenia. Liczył się jedynie ich punkt widzenia - Paul Burrell wśród posiadanych przez siebie rzeczy nie powinien mieć nic ponad parę spinek oraz ramkę do zdjęć. Zatem powinien zostać oskarżony. W odróżnieniu od Spencerów prawdziwa rodzina księżnej -jej bliscy przyjaciele znali obraz całości. Oto co mówili.

Lucia Flecha de Lima: „Księżna informowała mnie, że powierzała Paulowi prywatną korespondencję”.

Debbie Franks, astrolog księżnej od 1989 roku: „Diana uważała Paula za członka rodziny”.

Rosa Moncton: „Księżna często rozdawała prezenty... nie byłaby w stanie funkcjonować bez Paula”.

Lady Anabel Goldsmith: „Diana twierdziła, że Paul był jej opoką... rozmawiała z nim jak przyjaciółka”.

Susie Kassem: „Paul był trzecią z kolei osobą, której ufała najbardziej, za Williamem i Harrym”.

Lana Marks: „Diana mówiła mi, że podarowała Marii suknie i trochę drobiazgów”.

Nawet gdy zapytali Erica Cooka, szewca księżnej, usłyszeli w odpowiedzi: „Paul i Diana byli bardziej jak brat i siostra niż podwładny i przełożona”.

W pierwszych dwóch tygodniach kwietnia Mark Bolland przekazał przez emisariusza kolejną sugestię: powinienem teraz wystosować list do księcia Williama. Młody książę był w dalekiej podróży z okazji wiosennych ferii, jednak mój list po dotarciu do Pałacu Św. Jakuba miał zostać przesłany do niego telefaksem. Dziewiętnastego kwietnia zredagowałem list.

Tak bardzo pragnąłem porozmawiać z Tobą w ciągu minionych kilku miesięcy. Tak dużo jest do wyjaśnienia. Rzeczy, które zabrano z mojego domu, z których wiele zostało mi powierzonych, by sprawować nad nimi pieczę, powinny być zwrócone Tobie. Jestem przekonany, że zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie zawiódłbym zaufania, jakie Twoja matka

pokładała we mnie, i że w Twoich oczach zawsze pozostanę osobą, jaką znałeś - Paul.

Po raz kolejny wyjaśniałem, że moją intencją było jedynie sprawowanie pieczy. W tym kontekście w procesie w październiku 2002 roku zdumienie wzbudził zarzut Williama Boyce'a, że „Paul Burrell nigdy nikogo nie poinformował, iż znalazł się w posiadaniu tych rzeczy w celu ich bezpiecznego przechowania”.

Dla mnie najważniejsza była pewność, że książę William przeczytał moje słowa.

- List został dostarczony. Tym razem odniósł skutek - poinformował mnie mój pośrednik.

List ten mógł zostać przeczytany także przez księcia Karola. Na spotkaniu 30 kwietnia Fiona Shackleton oświadczyła:

- Mark Bolland otrzymał ten list... Wiedzieliśmy, że nadejdzie, ktoś powiadomił księcia Karola, że jest w drodze.

W trakcie spotkania, w którym uczestniczyli przedstawiciele Królewskiej Prokuratury, Scotland Yardu oraz lady Sarah McCorquodale, padło kluczowe pytanie - czy książę William zechce poprze tezy oskarżenia. Kiedy lady Sarah oznajmiła, że ona podjęła ostateczną decyzję, Fiona Shackleton „powiedziała, że nie ma zamiaru wykluczać księcia Wilfii-ma ze składu wykonawców ostatej woli”.

Książę Karol miał kilkakrotnie okazję poręczyć za mnie i potwierdzić moją dobrą wiarę w wykonywaniu roli kustosza rzeczy księżnej. Jednak żadnej z tych okazji nie wykorzystał.

Oświadczył tylko, że dał jasno do zrozumienia, iż „był przeciwny wniesieniu oskarżenia”.

Można było odnieść wrażenie, że zabrakło mi przyjaciół w królewskich kręgach, wtedy gdy na płaszczyźnie zawodowej stałem się prawdziwym pariasem. Mój telefon, który od czasu opublikowania książki *Enter-taining With Style* wciąż dzwonił, nagle zamilkł. Nikt już nie chciał słuchać wykładów dawanych przez kamerdynera oskarżonego o najwyższą zdradę, nawet organizacje charytatywne, wcześniej zwracające się do mnie z prośbą o wygłaszanie darmowych prelekcji. Tylko jedna firma pozostała wierna: Cunard. Wygląda to na ironię losu, bowiem linia żeglugowa, której ofertę pracy moja matka odrzuciła w 1976 roku, jako jedyna zapraszała mnie na cykle wykładów w trakcie transatlantyckich rejsów na pokładzie *Queen Elizabeth 2*.

Inni, którzy wcześniej zamawiali u mnie usługi, odsunęli się, kiedy zostałem aresztowany. Dziennik „Daily Mail” przestał mnie zatrudniać w charakterze felietonisty prowadzącego w dodatku weekendowym rubrykę poświęconą prowadzeniu domu. Proctor and Gamble, gigant w branży produktów domowego użytku, uznał, że mogę zniszczyć wizerunek firmy. Podpisałem lukratywny kontrakt na kampanię telewizyjną, reklamującą jednorazowe ręczniki kuchenne firmy Bounty. Promocyjna sesja fotograficzna odbyła się w jednym z prywatnych domów w Londynie, za chwilę miały rozpocząć się zdjęcia filmowe. Jednak kierownictwo przedsiębiorstwa również uznało, że nazwisko Burrell „godzi w ich reputację”. Wysłano mi 20 000 funtów z planowanej kwoty ustalonej w kontrakcie. Pieniądze te wraz z oszczędnościami pozwoliły nam przetrwać do końca roku.

Bóg jeden wie, ile pieniędzy musiałem zmarnować, opróżniając do dna butelki Merlota i Chianti w okresie, kiedy na dobrą sprawę musieliśmy zaciskać pasa. Maria bezinteresownie zrezygnowała z własnych przyjemności i przestała kupować kosmetyki. Potem wynajęła się do pracy na godziny do sprzątania domu przyjaciółki. Ja natomiast z każdym kolejnym dniem pogrążałem się coraz bardziej w stanie marazmu i przygnębienia, leżąc w łóżku aż do jedenastej w południe, potem siedząc przy

biurku i nie robiąc nic poza rozmyślaniami. Później w pokoju dziennym wychylałem trzy butelki wina tylko po to, żebym mógł zasnąć.

Budziłem się o czwartej na ranem, siadałem na brzegu łóżka i wypatrywałem przez okno zza firanki, czy na ulicy nie pojawiły się jakieś obce samochody. Nie pamiętam nawet, ile razy zrywałem się ze snu zlany potem i gnębiony sennymi marami. Przez niemal dwa lata żyłem w przekonaniu, że Scotland Yard jeszcze tu powróci. Aż do dziś wracam myślą do 18 stycznia 2001 roku, gdy do drzwi zastukał listonosz z przesyłką.

Nie robiłem nic innego poza rozczulaniem się nad samym sobą. Dziękuję więc Bogu za hart ducha mojej małżonki. Na jej duchowej sile i poświęceniu można było polegać zawsze: kiedy wbrew własnemu nastawieniu przeniosła się z Highgrove do Pałacu Kensington, kiedy „traciła mnie” na rzecz księżnej, kiedy przez całe lata wychowywała naszych chłopców. Gdy znalazłem się na samym dnie, budziłem się jedynie dlatego, że mogłem liczyć na wsparcie z jej strony. W ciągu tych lat, kiedy księżna opierała się na mnie, ja w podświadomy sposób polegałem na Marii. Teraz wyciągała mnie z depresji i przez tyle wieczorów zabierała ode mnie butelki z winem.

- Posłuchaj! - mówiła. - Przestań się nieustannie użalać nad sobą. Chłopcy muszą widzieć cię silnym. Nie powinni patrzeć, jak się rozklejasz. Masz tu także obowiązki.

- Ale nie potrafię im podołać! - krzychałem w odpowiedzi. Wtedy Maria chwyciła jedną z wielu fotografii księżnej.

- To ty wybrałeś tę drogę. Teraz musisz podążać nią dalej. Więc idź nią dalej -jak ja podążam swoją - odpowiadała podniesionym głosem.

Przez bardzo długi czas Maria pragnęła się przenieść, ja jednak czułem się szczęśliwy w 1997 roku, mogąc zostać z duchem szefowej. Jej fotografie znajdowały się wszędzie, w każdym pokoju, dzięki temu czułem się lepiej. Nawet po czterech latach od śmierci wciąż stawiałem ją ponad moją rodzinę.

W październiku 2001 roku Scotland Yard uderzył ponownie i aresztował kolejnego podejrzanego - mojego brata Grahama. Jak za pierwszym razem był to najazd o świcie, funkcjonariusze Specjalnego Wydziału Dochodzeniowego przeprowadzili drobiazgową rewizję w jego domu. Został aresztowany i zabrany na przesłuchanie za to, że posiadał fotografię z podpisem księżnej, dwa talerze z królewskimi monogramami, marynistyczny obraz przedstawiający HMS Sinus oraz oprawioną w ramkę rycinę z meczu polo. Obrazy były prezentami, jakie otrzymałem od księcia Karola i przekazałem je bratu, kiedy jeszcze mieszkał z nami w High-grove. Mieliśmy nawet zdjęcie, na którym widać było obraz z okrętem Sinus na ścianie naszego mieszkania w 1994 roku. Mimo to Graham został zabrany pod zarzutem dysponowania przedmiotami skradzionymi w 1997 roku.

Graham, podobnie jak ja, daremnie usiłował wyjaśnić funkcjonariuszom zwyczaje oraz szczodrość szefowej. Opowiadał o tym, jak ganiał się z księżną, walcząc na baloniki wypełnione wodą, a także o tym, jak księżna trzykrotnie dzwoniła do jego domu ze słowami pocieszenia, kiedy jego małżeństwo przechodziło kryzys.

- Co właściwie robił eks-górnik w towarzystwie księżnej? - naśmiewał się jeden z detektywów. Graham nie został nigdy oskarżony, jednak cała gehenna trwała dziesięć miesięcy, zanim policja zdała sobie sprawę, że nie dysponowała żadnymi dowodami, mogącymi go obciążyć. Ja jednak zostałem napiętnowany jako królewski wyrzutek.

Pod koniec maja byłem akurat na zakupach w Chester, gdy zadzwonił telefon komórkowy.

- Nigdy byś nie zgadł, co przyszło z dzisiejszą pocztą - obwieściła Maria. - Zaproszenie ... do Zamku Windsor!

Kiedy przyjechałem do domu, zaproszenie leżało na kuchennym blacie: biała koperta z pieczęcią biura lorda szambelana w Pałacu Sw. Jakuba. W środku była obramowana złotem sztywne karta zaproszenia z wytłoczonym monogramem „EIIR”: Lord Szambelan otrzymał dyspozycję, by zaprosić PANA i PANIĄ BURRELL na mszę dziękczynną w Kaplicy Świętego Jęzego, po której odbędzie się przyjęcie na Zamku Windsor dla uczczenia 80-tych urodzin Jego Królewskiej Wysokości księcia Edynburga.

Maria była niezwykle podekscytowana, a ja cieszyłem się za nią i za siebie. Księżę Edynburga

pomyślał o tym, by na uroczystość zaplanowaną na 10 czerwca zaprosić swoją dawną służącą. Wprawdzie zaproszenie wysłano z myślą o Marii, jednak królewska łaska została okazana również mnie. Ten dzień, tydzień, miesiąc, a nawet cały rok zabłysnął światłem nie tylko ze względu na okazaną wspaniałomyślność; najważniejszy był fakt, że zostaliśmy zaproszeni w momencie, kiedy wszyscy obrócili się przeciwko nam. Nikt nigdy nie pojmie, jak bardzo podniosło to nas na duchu w czasie, gdy byłem zwolniony za kaucją, przed wniesieniem oskarżenia. Listy do księcia Karola oraz jego syna, księcia Wil-liama, pozostały bez odpowiedzi, co bardzo mnie zraniło. Trzymałem się kurczowo słabnącej nadziei, że - o ile jest jakaś sprawiedliwość - zdrowy rozsądek powinien wziąć górę i cały ten obłęd się skończy. W końcu, w moich oczach wszystko, co uczyniłem, miało chronić kogoś - za życia i po śmierci. Koperta zawierała nie tylko zaproszenie z wyższych sfer, lecz wniosła nadzieję i wskazała na przyjazny gest okazany przez królową i księcia Edynburga. Być może oznaczało to punkt zwrotny.

Potem 6 czerwca - w dzień moich czterdziestych trzecich urodzin - zadzwonił telefon. Pompatyczny i silny głos zapytał, czy może „porozmawiać z Pauliem albo z Marią Burrell”. Był to brygadier Hunt-Davies, prywatny sekretarz księcia Edynburga i nasz wcześniejszy sąsiad ze Starych Koszar. Z miejsca przeszedł do sedna sprawy.

- Paul, po długotrwałych naradach oraz licznych konsultacjach doszedłem do wniosku, że uczestniczenie w uroczystościach z okazji osiemdziesiątych urodzin Jego Królewskiej Wysokości księcia Edynburga w nadchodzącą niedzielę nie leżałoby w twoim najlepiej pojętym interesie. Milczałem, nie mogąc uwierzyć w te słowa, on zaś potraktował to, jako zachętę do dalszej tyrady.

- Otrzymaliśmy mnóstwo zapytań odnośnie twojego uczestnictwa i ponieważ przedstawiciele mediów będą również obecni, nie byłoby fair odciągać uwagę wszystkich w dzień Jego Królewskiej Wysokości. Jestem pewien, że zrozumiesz, iż podjęcie tej decyzji przyszło nam z trudem, z uwzględnieniem najlepiej pojętego interesu wszystkich stron.

Szok był tak wielki, że zdołałem wydusić z siebie zaledwie kilka słów. Być może też zastraszył mnie pompatyczny ton jego głosu. Wybąkałem zdawkowe pożegnanie, odłożyłem słuchawkę i stałem w salonie na drugim piętrze, wpatrując się w okno i odtwarzając w duchu przebieg rozmowy.

Nie, pomyślałem, królowa i książę Edynburga zaprosili mnie. Pójdę tam, wbrew radzie książęcego sekretarza. Nie mam powodów, by wstydzić się czegokolwiek. Chwyciłem za telefon i wybrałem numer Pałacu Buckingham. Po drugiej stronie był brygadier Hunt-Davies.

- Przemyślałem pańską radę i wciąż mam zamiar wziąć udział, razem z Marią, w urodzinowych uroczystościach w najbliższą niedzielę, pragnę jednak podziękować za pańską troskę...

- Paul - przerwał - nie rozumiesz sytuacji. Twoje zaproszenie zostało anulowane. Nie jesteś już na liście zaproszonych.

W tym momencie w miejsce szoku pojawił się gniew.

- Co więc się stanie, jeśli zdecyduję się uczestniczyć i okażę zaproszenie?

- Nie zostaniesz wpuszczony - odparł - i byłoby to żenujące zarówno dla ciebie, jak i rodziny królewskiej. Jestem pewien, że nie chcesz postawić jej w takiej sytuacji.

I wtedy wyciągnął ku mnie gałązkę oliwną, co zapewne miało na celu nieco mnie udobruchać.

- Jeśli Maria zamierza uczestniczyć, jest oczywiście wciąż zaproszona - zadeklarował.

Nie mogłem się powstrzymać, by trzasnąć słuchawką. Kiedy opowiedziałem o wszystkim Marii, nie wiem, które z nas ogarnęła większa furia, ją czy mnie.

- W porządku! - oznajmiła. - Jeśli mają zamiar potraktować ciebie w taki sposób, niech się wypchają i tyle. Jeszcze jedna rana do kolekcji.

Wiedzieliśmy od razu, że ostatnia decyzja nie miała nic wspólnego z Jej Królewską Mością. Odpowiedzialne były nadworne „szare garnitury”, które działały -jak im się zdawało -w najlepiej pojętym interesie

rodziny królewskiej. Prawo podejmowania decyzji daje wielu z nich iluzję posiadania władzy.

Udało mi się dowiedzieć, kto krył się za cofnięciem mojego zaproszenia. Był to strażnik królewskiej szkatuły, sir Michael Peat - człowiek kierujący w imieniu rodziny królewskiej dochodzeniem, które doprowadziło do umorzenia mojego procesu w Old Bailey. To on wypatrzył

nazwisko „Burrell” na liście zaproszonych i razem z brygadierem zakwestionował moje zaproszenie.

Wiem również z całą pewnością, że decyzja ta została podjęta bez konsultacji z królową. Tamtego tygodnia prywatnie dała jasno do zrozumienia, że chętnie spotkałaby się znów z Marią i ze mną. W oczach Jej Królewskiej Mości każda osoba pozostaje niewinna do momentu udowodnienia winy; nie dostrzegła też żadnej niestosowności w fakcie, że Burrellowie byli zaproszeni, zwłaszcza że w tamtym momencie nie zarzucano mi popełnienia żadnego przestępstwa. To kolejny frustrujący przykład funkcjonowania systemu z udziałem ludzi, którzy uważają, że wiedzą lepiej od królowej. Te same „szare garnitury”, które tłamsiły spontaniczność księżnej.

Dowiedziałem się też, że książe Karol wyraził głęboką dezaprobatę, kiedy dowiedział się o tym, co mnie spotkało. Argumentował przy tym, że moje nazwisko znajdowało się na liście gości przez cztery tygodnie, nie budząc niczyjego sprzeciwu i nie rozumiał, co mogło się zmienić. Był skonsternowany w tym samym stopniu, co jego matka.

Dwudziestego czwartego lipca człowiek pośredniczący w mediacji doprowadził do mojego spotkania z Markiem Bollandem, zastępcą osobistego sekretarza księcia. Pojechałem wraz z nim metrem do stacji Covent Garden, skąd doszliśmy piechotą do Garrick Clubu. Zastępca sekretarza czekał na nas naprzeciwko biura Channel 5. We trójkę ruszyliśmy wzdłuż St. Martin Lane ku Trafalgar Square.

W pewnym momencie w kieszeni Marka Bollanda zadzwonił przenikliwie telefon komórkowy. Asystent sekretarza odebrał. Nie było wątpliwości, z kim rozmawia.

- Tak, Wasza Królewska Wysokość... Tak, jest teraz ze mną... Tak, tak zrobię...

Rozmawiał z księciem Karolem. Było oczywiste, iż wiedział o spotkaniu.

Zastępca osobistego sekretarza, który szedł nie przerywając rozmowy, słuchał z uwagą.

- Tak, sir... i powodzenia w rozmowie z premierem, sir.

Doszliśmy do końca ulicy, mijając London Coliseum i stanęliśmy na rogu, gdzie wejście do Corney i Barrow wyglądało najbardziej zachęcająco. Było tuż po trzeciej po południu.

- Przypominam sobie czasy, kiedy prowadziłem podobne nieformalne rozmowy z księciem Walii - odezwał się do Marka Bollanda, który uśmiechnął się porozumiewawczo.

Zamówiliśmy drinki, siedząc na wysokich stołkach przy stole w pobliżu okna. Wyglądaliśmy jak trójka biznesmenów, którzy wyskoczyli na popołudniowego drinka w środku gorąckowego dnia.

Mark Bolland oświadczył, że zarówno William jak i Harry są bardzo przygnębieni tym, co się stało, a księciu Karolowi „bardzo zależy na rozwiązaniu zaistniałej sytuacji”.

- Książe Walii martwi się bardzo o pana. Jest przekonany, że przez zbyt długi czas był pan w poważnych tarapatach. Musimy jednak wiedzieć, jakim sposobem wszedł pan w posiadanie przedmiotów, które policja znalazła w pańskim domu.

Powtórzyłem mu to, co powiedziałem swojemu adwokatowi. Przedmioty te albo znajdowały się pod moją pieczęcią albo też były prezentami, jakie otrzymałem od księżnej bądź od księcia.

- To wielka pomyłka. Nigdy nie powinno do niej dojść. Rujnuje mnie

i moją rodzinę, a ja nie rozumiem, dlaczego zostałem aresztowany. Jeśli to będzie się dalej ciągnąć, dojdzie do otwarcia puszk Pandory. Muszę spotkać się z księciem Walii, żeby wszystko wyjaśnić - dodałem na koniec.

Spędziliśmy w winnym barze trzydzieści do czterdziestu minut. Mark Bolland mówił nie mniej niż ja. Z tego właśnie względu uważam za dziwny fakt, że określił później to spotkanie słowami: „Paul Burrell prezentował płaczącą opowieść, utrzymując, że jego życie legło w gruzach”. Ono jednak przyniosło rezultaty. Książęcy sekretarz słuchał z życzliwością, nie z niechęcią. Uścisnął moją dłoń i odszedł, dając do zrozumienia, że zarekomenduje księciu Walii spotkanie ze mną w następnym tygodniu.

Dotrzymując danego słowa, Mark Bolland zaaranżował spotkanie w Tetbury, niedaleko Highgrove.

Mój pośrednik zadzwonił do mnie

2 sierpnia.

- Najstarszy syn pragnie spotkać się z panem - zakomunikował. Późniejsze dochodzenie, prowadzone przez Pałac, już po procesie,

wykazało niezbicie, że księżę Karol był przekonany, że „o ile pan Burrell przeprosi i potwierdzi... swój wcześniejszy list do księcia Williama...

oraz zwróci wszystkie przedmioty i zobowiąże się do niewyjawiania informacji dotyczących księżnej, mających charakter osobisty, nie będzie konieczne postawienie zarzutów panu Burrellowi przez policję”.

Zdecydowano, że Fiona Shackleton oraz przedstawiciele Scotland Yardu nie zostaną poinformowani o planowanym spotkaniu.

Mając przy boku mojego brata Grahama, ruszyliśmy samochodem na południe. Wyjechaliśmy 3 sierpnia o szóstej rano z termosem herbaty i kilkoma kanapkami. Dzień był gorący i parny, ubrałem jednak najelegantszy szary garnitur i założyłem niebieskie spinki w kształcie litery D, ofiarowane mi przez księżną. Nie miałem pojęcia o dokładnym miejscu spotkania. Wiedziałem tylko, że ma się odbyć po zakończeniu przez księcia gry w polo. Osobiście poprosił, żeby spotkanie odbyło się z dala od Highgrove. Wydawało się, że jechaliśmy bez końca autostradą M5; minęliśmy właśnie granice hrabstwa Gloucestershire, kiedy zadzwonił telefon komórkowy. Musiało być gdzieś około południa.

Usłyszałem głos mojego pośrednika.

- Wszystko odwołane. Miał wypadek.

- Chyba robi pan sobie żarty!

Z ciężkim sercem zjechałem samochodem na najbliższą stację benzynową.

Księżę Karol spadł z konia podczas gry w polo i stracił przytomność. Zabrano go do szpitala, a ja po niemal pięciogodzinnej jeździe musiałem zawrócić i ruszyć z powrotem w stronę Cheshire.

- No i stało się. Teraz już nic tego nie zatrzyma - powiedziałem do Grahama.

Przychodziła mi do głowy tylko jedna myśl „Jakie to dogodne dla księcia, że upadek z konia pozwolił mu wykręcić się od spotkania ze mną”.

W miarę upływu czasu moje podejrzenia się nasilały. Rankiem 3 sierpnia, przed meczem polo, Maxine de Brunner oraz John Yates ze Scotland Yardu złożyli księciu i Williamowi wizytę, przedstawiając relację z przebiegu dochodzenia. Ten raport zawierający błędną interpretację faktów spowodował, że zarówno księżę Karol, jak i jego syn, zwątpili w moją niewinność.

Ósmego sierpnia policja podjęła kroki, by uniemożliwić mi dalsze spotkania z osobami z Pałacu Św. Jakuba. Sierżant Milburn odebrał od Marka Bolland'a pisemne oświadczenie, które czyniło zeń świadka oskarżenia.

W trakcie dochodzenia prowadzonego już po procesie przez sir Mi-chaela Peata stwierdzono:

Funkcjonariusze policji przyznali, że zdołali

uzyskać to oświadczenie w sposób iście... makiaweliczny. Usiłowali w ten sposób nie dopuścić do dalszych kontaktów między panami Burrellem i Bollandem.

Scotland Yard wywiódł w pole księcia Karola oraz Williama. Zamierzał wnieść sprawę na sądową wokandę.

Szesnastego sierpnia przybyłem na posterunek policji West End Central w Londynie w celu składania dalszych zeznań. Mając u boku swego adwokata, Andrew Shawa, przywoziłem przygotowane wcześniej oświadczenie.

Na trzydziestu dziewięciu stronach w dwudziestu sześciu paragrafach opisywałem moje bliskie więzi z księżną, wyjaśniałem, dlaczego część rzeczy znajdowała się w moim posiadaniu. Był to mój ostatni apel

o zachowanie zdrowego rozsądku.

- Oto oświadczenie, które pragniemy przedłożyć - oznajmił Andrew Shaw, kładąc je na stole w sali przesłuchań.

Sierżant Milburne opuścił pomieszczenie, żeby je przeczytać. W ciągu godziny stanowisko policji było ustalone.

- Panie Burrell, zamierzamy przedstawić panu zarzut potrójnej kradzieży.

Żołądek podszedł mi do gardła.

Oskarżony o kradzież 315 przedmiotów stanowiących własność Diany, księżnej Walii.

Oskarżony o kradzież sześciu przedmiotów należących do księcia Karola.

Oskarżony o kradzież dwudziestu jeden przedmiotów należących do księcia Williama. Wszystkie zarzuty opierały się na przekonaniu, że w okresie pomiędzy 1 stycznia 1997 roku - osiem miesięcy przed śmiercią księżnej - a 30 czerwca 1998 roku wywoziłem z Pałacu Kensington wóz pełen królewskich rzeczy.

Gdy sierżant Milburn odczytywał zarzuty, sens jego słów nie docierał do mnie. Dlaczego rodzina królewska pozwoliła na to? Co się w ogóle dzieje? Co, do diabła, takiego zrobiłem, żeby sobie na to zasłużyć? Dziesiątki myśli przebiegały mi przez głowę. Potem inspektor z wydziału dochodzeniowego usiadł przy stole naprzeciwko mnie, a jego słowa uderzyły we mnie jak młot.

- Jestem przekonany, że ukradł pan to wszystko, w mojej dwudziestoletniej służbie w policji jest to najbardziej drastyczny przypadek złamania zaufania, z jakim się spotkałem - oznajmił.

Kiedy prowadzono mnie korytarzem do innego pomieszczenia, odwróciłem się do Andrew Shawa, usiłując powstrzymać łzy.

- Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie jestem w stanie w to uwierzyć - wydusiłem z siebie.

Lekarz polecił mi otworzyć usta. O wewnętrzną stronę mojego policzka pocierano patyczkiem z wacikiem na końcu, przypominającym lizak, w celu pobrania próbki do badań DNA. W innym pomieszczeniu moje palce i kciuki przyciśnięto do wałka z tuszem, by pobrać odciski. Potem polecono mi stanąć pod ścianą i zrobiono zdjęcia: lewy profil, prawy profil, en face. Czułem się jak przestępca i jak niesławny gwiazdor czy królewski błazen, wokół którego zgromadzili się policjanci i zrywali boki ze śmiechu.

Następnego dnia na schodach sądu pierwszej instancji przy Bow Street, gdzie prowadzono wstępne przesłuchania, rozegrał się pierwszy akt tej zainscenizowanej przez Scotland Yard farsy. Kiedy dziki tłum złożony z przedstawicieli mediów oraz funkcjonariuszy policji wpychał mnie do budynku, opuściłem nisko głowę. Nie widziałem pięści, która uderzyła mnie w głowę. Poczułem tylko piekący ból ucha. Ktoś ze zgromadzonych gapiów podbiegł z ulicy i wymierzył mi cios.

- Tylko się nie zatrzymuj, Paul - krzyknął mój brat Graham, który wraz z policjantami usiłował ochronić mnie przed napierającym tłumem.

Zdałem sobie wtedy sprawę, że niektórzy ludzie już nabrali przekonania, że to ja ograбіłem świat księżnej.

Aby moje upokorzenie było absolutne, biuro prasowe policji zdecydowało się nagłośnić sprawę wytoczoną przeciwko mnie. Prasa otrzymała pełną i szczegółową listę 342 przedmiotów zarekwirowanych w moim domu: dokładną liczbę rolek negatywów zdjęć; wszystkie tytuły płyt CD, wszystkie sztuki garderoby oraz dodatki, z pełnym opisem kolorów oraz kroju:

Pozycja 3: Jeden biały metalowy młynek do pieprzu; pozycja 193: Czarna, skórzana torebka damska z białymi, metalowymi rączkami, z zawartością: rachunek od firmy Boots, czarna plastikowa zapalniczka oraz szminka w niebieskiej oprawie; pozycja 240: Tekst Biblii (który czytałem podczas całonocnego czuwania przy trumnie); pozycja 245: Notatnik z informacjami o ofiarach min.

Trzydziestego sierpnia sir Michael Peat, który został mianowany osobistym sekretarzem księcia Karola, spotkał się z przedstawicielami Scotland Yardu. W dochodzeniu prowadzonym po procesie stwierdzono: Głównym zmartwieniem sir Michaela Peata były potencjalnie negatywne reperkusje procesu sądowego... Niepokoił go również fakt, że podstawy oskarżenia były nikłe oraz istniało ryzyko wydania wyroku uniewinniającego. Był przekonany o słabości dowodów zebranych przez policję, obciążających Paula Burrella.

Mimo tych wątpliwości, bieg sprawy nie został zawrócony. Spencerowie pragnęli wiedzieć, jak wchodzi na szafot.

Następnego dnia wyleciałem z kraju na wcześniej zarezerwowane wakacje na Florydzie w towarzystwie jedenaściorga członków mojej rodziny. Na lotnisku w Manchesterze widziałem, jak ludzie czytali artykuły o mnie na tytułowych stronach gazet. OPOKA DIANY NA ŁAWIE OSKARŻONYCH, krzyczała okładka „Daily Mirror”. „Kamerdyner Diany pod zarzutem kradzieży mienia wartości 5 milionów funtów”, pisał „The Times”. „SENSACYJNY PROCES DOTYCZĄCY DIANY: Kamerdyner oskarżony o kradzież po spotkaniu na szczycie w Highgrove”, donosił „Daily Mail”. Kiedy przybyliśmy do wynajętej willi pod Orlando, tłumione emocje minionych czterdziestu

ośmiu godzin wybuchnęły z całą siłą. „Płakał jak dziecko”, mówił mój brat Graham.

Wymknąłem się spod świateł jupiterów w Wielkiej Brytanii, nie mogłem jednak wyrwać się z piekła. Nie było miejsca, w którym potrafiłbym racjonalnie pomyśleć, posiedzieć spokojnie przez chwilę, nie wspominając o beztróskim wylegiwaniu się na słońcu.

Pragnąc, by rodzina cieszyła się wakacjami, jeździłem razem z nimi do Disneyworldu oraz do Centrum Badań Kosmicznych NASA, robiąc dobrą minę do złej gry.

Ale w połowie wakacji padłem z wyczerpania. Zabrano mnie do szpitala na Florydzie. Lekarze powiedzieli mi, że to wyczerpanie nerwowe.

Gdy nastał koniec 2001 roku, nasze finanse znalazły się w opłakanym stanie. Z banku przysyłano ostrzeżenia, że jeśli w przeciągu trzech następnych miesięcy nie pojawią się żadne dochody, trzeba będzie obciążyć hipotekę domu na nowych warunkach. Maria odesłała do jubilera w Londynie ulubiony pierścionek z akwamarynem, prezent gwiazdkowy ode mnie, licząc na uzyskanie dodatkowych pieniędzy. Sprawy przybierały dramatyczny obrót, nasze zaległości z tytułu spłaty hipoteki narastały

lawinowo. Gdyby nie wspaniałomyślność naszych przyjaciół: Edward-sów z Wrexam, Wrightów z Kentucky, Susie Kassem z Londynu i Gins-bergów z Nowego Jorku, nie wiem, co byśmy zrobili. Kiedy Scotland Yard wyśledził duży przelew na nasze konto przesłany przez Ginsber-gów, jego przedstawiciele udali się do ich mieszkania przy Fifth Avenue.

- To dość wygórowana kwota, nieprawdaż? - zapytali.

- Jesteśmy ludźmi zamożnymi, panie oficerze i pomagamy przyjaciołom w potrzebie. Czy rzeczywiście tak trudno to zrozumieć?

Ekipa brytyjskiej policji została odesłana z kwitkiem.

Musieliśmy również spieniężyć polisy ubezpieczeniowe na życie, wystawione na Alexandra i Nicka, które wykupiliśmy, kiedy chłopcy byli jeszcze małymi dziećmi. Udało nam się w końcu zebrać tyle środków, żeby otworzyć kwaciarnię w położonej niedaleko wiosce Holt.

Wykorzystywałem umiejętności kwaciarskie zdobyte w Pałacu Buckingham, a mój „mały sklepik na rogu” stał się kołem ratunkowym - choć nie koniecznie w sferze finansowej; pozwolił mi znaleźć zajęcie, na którym mogłem się skoncentrować. Kiedy o piątej trzydzieści każdego popołudnia wywieszałem w oknie tabliczkę z napisem „zamknięte”, siadałem na zapleczu i nie chciałem wracać do domu. Marii bardzo zależało na tym, żebym przed chłopcami okazywał hart ducha. Pragnąłem być silny. Jednak nie byłem. Jeśli płakałem, nikt nie musiał o tym wiedzieć. W niektóre dni nie wracałem do domu nawet do dziewiątej wieczór. Kłamałem, że musiałem wypełniać ważne dokumenty księgowe albo odbierać dostawę towaru.

Pewnego wieczoru zadzwonił telefon. Przy telefonie była Maria.

- Skarbie, o której wrócisz do domu?

Znowu się załamane. Dobijała mnie świadomość, że Maria wie o mojej słabości i bezradności.

Niektórzy ludzie zyskują psychiczną siłę w obliczu przeciwności losu, ja natomiast wydawałem się coraz słabszy z każdym dniem.

Maria wysłała po mnie Petera Cosgrove'a, mojego szwagra, który znalazł mnie kompletnie rozbitego psychicznie.

- Chodź, idziemy do domu - powiedział, obejmując mnie ramieniem. Pisząc te słowa, spoglądałam w przeszłość i ganię sam siebie za taką postawę. Dziś patrzę z innej perspektywy - lecz wyłącznie dlatego, że w końcu sprawiedliwość zatriumfowała.

Popadłem w tak dołującą spiralę, że nie mogłem myśleć racjonalnie. Byłem beznadziejnym ojcem. Beznadziejnym mężem. Wszystko, co kiedykolwiek ceniłem, zdawało się lec w gruzach.

Pragnąłem, by to wszystko

wreszcie się skończyło. Chciałem umrzeć. Wiedziałem dokładnie, dokąd mam się udać: zatoczka przy trasie A41 w Cheshire.

Powiedziałem Marii, że muszę dostarczyć kwiaty, wyjechałem ze sklepu i nie pomyślałem nawet, by z kimkolwiek się pożegnać. Po dziesięciu minutach jazdy zjechałem do zatoczki. Nie było tam

innych aut. Na fotelu pasażera obok mnie leżała butelka wody oraz mała brązowa buteleczka zawierająca sześćdziesiąt pastylek paracetamolu.

Wypiłem mały łyk wody i zastanawiałem się, czy sześćdziesiąt tabletek będzie wystarczającą dawką. Ale wtedy nagle ogarnął mnie strach. Umarłbym obarczony winą. Maria i chłopcy pozostaliby z tym piętnem na zawsze. A księżna wciąż była ze mną. Chroniłem przecież jej dziedzictwo. Odrzuciłem fiolkę z powrotem na siedzenie, zawróciłem auto i ruszyłem do domu.

Kiedy wchodziłem przez próg, Maria zapytała, gdzie, do cholery, się podziewałem.

Kiedy jej spokojnie wszystko wyjaśniłem, chwyciła mnie za ramiona.

- Musisz myśleć o mnie! - zawołała, potrząsając mną. - Musisz myśleć o mnie i o chłopcach.

Zapewne zajrzała mi w oczy i nie dostrzegła tam nic.

- Paul! - krzyczała - musisz iść dalej. Wszyscy musimy iść dalej. Jak poradzimy sobie bez ciebie?

Jeśli był w ogóle jakiś moment przełomowy w czasie tego piekła rozpętanego w 2001 i 2002 roku, musiała to być właśnie ta chwila. Maria sprawiła, że zacząłem szukać pomocy, a dzięki tej pomocy piekło stało się do zniesienia.

Lekarz przepisał mi kurację opartą na środkach antydepresyjnych. Maria zasugerowała, bym spotkał się z psychoterapeutą. W każdy poniedziałkowy rano w prywatnym gabinecie lekarskim rozmawiałem z uroczą damą imieniem Jill. Po raz pierwszy od 1997 roku siedziałem razem z kimś i stawiałem czoła problemom związanym ze śmiercią księżnej.

Jill słuchała, ja opowiadałem bezładnie, chaotycznie. O tym, że piłem tyle alkoholu. Że czułem się winny, zwłaszcza wobec Marii; że nie byłem w stanie uwolnić się od księżnej. Przez tyle miesięcy myślałem, że popadam w obłąd, najdrobniejsza rzecz prowokowała mnie do płaczu.

Jill była niewyczerpanym źródłem ukojenia.

- Twoje zachowanie, Paul, jest najzupełniej normalne - przekonywała. Było na tyle „normalne”, na ile potrafiłem oderwać się na chwilę od

życia. Zaczynał się właśnie rok 2002 i zastanawialiśmy się, co nam przyniesie.

Scotland Yard zrobił makiaweliczny ruch, aby przerwać moje kontakty z Pałacem Św. Jakuba, ale nie z całym domem Windsorów. Nim nadeszła wiosna, nawiązałem kontakt z szanowanym członkiem rodziny królewskiej, a dyskretne wsparcie ze strony tego wieloletniego sojusznika księżnej okazało się dla mnie źródłem duchowej siły. Słowa napisane w jego liście: Gdybym mógł, wykrzychałbym Twoją niewinność z londyńskich dachów, stały się dla mnie największym chyba zastrzykiem otuchy.

W pierwszym rzędzie napisałem do królewskiego sprzymierzeńca o tym, że czuję się całkowicie osaczony i osamotniony, dając również wyraz mojej frustracji z powodu tego, że policja nie była w stanie pojąć świata, w którym żyła księżna. Ów przedstawiciel rodziny królewskiej, znając dobrze księżną, znając zasady, na jakich funkcjonował Pałac Kensington, wiedział niewypowiedzianie więcej, niż Scotland Yard mógł kiedykolwiek pojąć. W moich listach nie prosiłem o nic. Pisałem: Dlaczego zostałem porzucony przez księcia Walii i księcia Williama... W końcu ktoś musi zrozumieć, że dzień 14 października [rozpoczęcie procesu sądowego] wyzwoli medialne żywioły, działające poza jakąkolwiek kontrolą... Pragnę prosić tylko o jedną rzecz, o modlitwę, by zatriumfowała sprawiedliwość.

W odpowiedzi otrzymałem znacznie więcej niż modlitwę. Ów reprezentant królewskiej rodziny wysłał do mnie najcieplejsze listy, przypominając o pełnionych przeze mnie obowiązkach i wskazując na moją niewinność, w którą wierzyli również inni. Wielkodusznie wyciągnął do mnie przyjazną dłoń, proponując sekretną kryjówkę, w której mógłbym zamieszkać na czas trwania procesu w Old Bailey. Mój azyl znajdował się w należącej do niego rezydencji, na terenie królewskich posiadłości. A stawałem do procesu w sprawie wniesionej przez Koronę.

Poufne wsparcie, które nadeszło z domu Windsorów, przyniosło mi niewypowiedzianą ulgę. W tamtych dniach ktoś poinformował mnie telefonicznie, że zdaniem królowej człowiek pozostaje niewinny tak długo, jak długo nie udowodni mu się winy. Mój doradca prawny Andrew Shaw i mój obrońca lord Carlile - były członek parlamentu z ramienia partii liberalno-demokratycznej - oraz jego młodszy kolega, Ray Herman, spędzali ze mną całe godziny, opracowując linię obrony. Pamiętam pierwsze słowa skierowane do lorda Carlile'a:

- Moje życie wydaje się dziwniejsze od fikcji.

Wiele razy obserwowałem zdziwienie moich prawników, kiedy opowiadałem o bliskiej więzi łączącej mnie z księżną. Wtajemniczałem ich w sekrety mojego życia, wyjaśniając rozmaite aspekty roli u boku księżnej.

- Stawka jest pańska wolność, Paul. Jeśli nie będziemy wiedzieć wszystkiego, nie będziemy w stanie panu pomóc - oświadczył lord Carlile.

W miarę, jak obraz moich obowiązków w Pałacu Kensington stawał się coraz wyraźniejszy, zespół broniących mnie prawników zaczął zdawać sobie sprawę z poziomu zaufania, jakim obdarzała mnie księżna, z tego, jak bardzo moja praca wykraczała poza zakres formalnych obowiązków i wiązała się z jej prywatnym życiem.

- Pańska historia niemal przywodzi na myśl szekspirowską tragedię. Jestem zdania, że możemy wykazać ostrożny optymizm, jeśli chodzi o jej pomyślne rozstrzygnięcie - powiedział lord Carlile. Korespondencja z przedstawicielem rodziny królewskiej była dla mnie bodźcem do życia. Wasza Królewska Wysokość, nie chciałbym stwarzać jakichkolwiek problemów, pisałem. Życzliwa, płynąca z głębi serca propozycja udzielenia mi dachu nad głową pozostała jednak aktualna. Do momentu, kiedy nie dowiedział się o niej pod koniec lata 2002 roku sir Michael Peat. Dał jasno do zrozumienia - takie działanie jest absolutnie nie do zaakceptowania w istniejących okolicznościach. Mój sojusznik z rodziny królewskiej został zmuszony do wycofania się w taki sam sposób, jak anulowano zaproszenie na uroczystości urodzinowe księcia Edynburga. Królewskie ręce po raz kolejny zostały związane wskutek ingerencji „szarych garniturów”.

W obu przypadkach dokonał tego sir Michael Peat. Powierzono mu prowadzenie dochodzenia (razem z radcą królowej, Edwardem Lawso-nem), w imieniu rodziny królewskiej w sprawie okoliczności umorzenia procesu przed Old Bailey. Odmówiłem swojej współpracy w tym dochodzeniu. Sir Michael Peat w raporcie napisał: Nie wiem jakie, jeśli w ogóle, są w tej sprawie poglądy pana Burrella, który odmówił udzielenia wyjaśnień w postępowaniu dochodzeniowym. Aktorka Amanda Barrie, odtwarzająca wcześniej główną rolę w Co-ronation Street, zaproponowała mi użyczenie swego lokum w Londynie. Był to gest niesłychanie wspaniałomyślny, jednak zdecydowałem się pozostać przy rodzinie dawnych przyjaciół z Hampton, w pobliżu Richmond. Najlepszymi świadkami w procesie byłyby dwie niezwykle kobiety, którym służyłem i które znały mnie najlepiej. Ale jedna z nich zginęła pięć lat wcześniej, druga w świetle prawa była nietykalna. Bowiem druga - królowa - uosabia prawo. Jako głowa państwa jest jedyną osobą, która nie może zostać wezwana do składania zeznań.

Świadkami obrony, na których mogłem polegać, byli ludzie z kręgu najbliższych przyjaciół księżnej. Wykazywali szczerą gotowość zajęcia miejsca dla świadków i złożenia zeznań w mojej obronie. Byli to: Lucia Flecha de Lima, Rosa Monckton, Susie Kassem, lady Annabel Goldsmith, Lana Marks, Richard Kay, lord David Attenborough, dr Mary Loveday, Simone Simmons, Debbie Franks, Jacques Azagury, ojciec Anthony Parsons, Richard Green, prawnik ze Stanów Zjednoczonych, sir Jimmy Savile oraz wiele innych osób, których nazwisk nie wymienię, kierując się względami dyskrecji. Osoby te wiedzą, o kogo chodzi i zdają sobie sprawę z dożgonnej wdzięczności z mojej strony za dołączenie do listy świadków. Jestem również przekonany, że gdyby ława przysięgłych wysłuchała, co mają oni do powiedzenia, akt oskarżenia rozsypałby się, zanim przysięgli weszliby do sali narad.

Jednak w Pałacu Św. Jakuba największy niepokój budziła perspektywa powołania przez obronę na świadków księcia Karola oraz księcia Williama. I rzeczywiście, prokuratura do tego stopnia obawiała się tego, że jej przedstawiciele badali możliwości odebrania ich zeznań na posiedzeniu niejawnym, przy drzwiach zamkniętych. W akcie oskarżenia pada stwierdzenie: Mamy wszelkie przesłanki, by zakładać, że prawnicy zechcą dogłębnie zbadać prywatne życie Diany, księżnej Walii, JKW księcia Walii oraz JKW księcia Williama. Konieczne może okazać się ograniczenie dostępu do sali sądowej oraz [sprawdzenie] czy zajdzie potrzeba odbycia przez sąd posiedzenia przy drzwiach zamkniętych.

Gdzieś w lutym 2002 roku szef londyńskiego Scotland Yardu, John Yates, zapewnił zaniepokojonych doradców prawnych z Pałacu Św. Jakuba, że oskarżenie nie dopuści do wezwania

ich na świadków, nawet za cenę wycofania zarzutów [przed wszczęciem procesu], gdyby miało do tego dojść.

Wydaje się, że książę Karol i William byli nieustannie zapewniani, że nie zostaną powołani na świadków, ponieważ zdecydowana większość zarekwirowanych przedmiotów stanowiła własność księżnej. Ale Scotland Yard i prokuratura się mylili. Książę Karol wiedział, ile czasu Diana spędzała w moim domku w Highgrove. Wiedział, jak często znajdowałem się w krzyżowym ogniu, kiedy ich małżeństwo znalazło się w kryzysie. Wiedział też o tym, że zabierała mnie ze sobą wszędzie, bowiem to wprawiało go zwykle w zdumienie. Nie był jednak wtajemniczony w to, że księżna wykorzystywała mnie w charakterze obiektywnego świadka zdarzeń, które działy się na moich oczach - separacji, listów od księcia

Edynburga, rozwodu. Wszystko to musiałyby zostać poddane na procesie wiwisekcji, żeby dać wyobrażenie o rzeczywistej bliskości stosunków, jakie łączyły mnie z księżną.

Co się tyczy Williama, to wiedział on lepiej niż ktokolwiek inny, jak blisko byłem związany z jego matką. Widywał mnie przesiadującego nieustannie na sofie w jej salonie i był świadkiem wzajemnego zrozumienia, które wykraczało daleko poza relację przełożony-podwładny.

Z tych względów, a także ze względu na skrajną desperację z mojej strony, Pałac Św. Jakuba nie mógł mieć wątpliwości, czy 14 października lord Carlile na rozprawie w Old Bailey w sali numer jeden nie powstanie i nie powie: „Wzywamy na świadka Jego Królewską Wysokość księcia Walii”. Od 1891 roku żaden członek rodziny królewskiej nie był wzywany do składania zeznań na sali sądowej. Jednak po upływie 111 lat historia mogła się powtórzyć.

Sprawa z oskarżenia publicznego przeciw Burrellowi.

Jedno z najczęstszych pytań dotyczących mnie brzmi: „Czym się kieruje ten Paul Burrell?”.

Niektórzy prawdopodobnie traktują mój sposób pojmowania obowiązków jako niezdrową, służalczą obsesję. Inni dostrzegają, że kierowało mną poświęcenie wobec oddanego przyjaciela, jednej z najbardziej inspirujących kobiet naszych czasów.

Paradoks mojego życia, z czego zdaję sobie sprawę, polega na tym, że byłem bezinteresowny, wypełniając rolę kamerdynera, jednak w innych rolach - jako ojciec i mąż - stawałem się samolubny. W mojej obronie mogę powiedzieć tylko to, że czasami spotykamy w życiu kilka osób, które pozostawiają w nim niezatarty ślad. Księżna była niezaprzeczalnie jedną z nich. Najpierw udzieliła mi przywileju wkroczenia w jej świat, a potem ofiarowała swoją przyjaźń. To dar, którego nie można było się rzec: należało pielęgnować go i iść z nim przez życie. Dla niektórych problemem jest to, że ciągle z nim idę.

Nigdy nie wykazywałem skłonności do głębokiej introspekcji. Zależnie od waszego punktu widzenia, moja powinność wobec księżnej, zarówno za życia i jak i po śmierci, zostanie uznana za zdrową albo odbiegającą od normy. Bezgraniczna lojalność wobec innych może jednak być mylnie zinterpretowana, jak również błędnie rozumiana przez każdego, kto żyje poza pałacem i murami zamku. Świadomość, że jest się potrzebnym i że panuje się nad sytuacją często rodzi uzależnienie. Im bliższa powstaje więź, tym większe uzależnienie. Członkowie rodziny królewskiej i sługa potrzebują się nawzajem w takim samym stopniu.

Nikt nie jest niezastąpiony i księżna z pewnością robiła wiele rzeczy, obywając się bez służby. Ale jak powiedziała to przyjaciółom, którzy

później powtórzyli jej słowa przed sądem, nie mogłaby funkcjonować beze mnie. A ja, szczerze mówiąc, nie wyobrażałem sobie życia bez służby dla niej, bez względu na to, ile mnie to kosztowało. Mogła na mnie polegać, tak jak królowa Wiktoria polegała na Johnie Brownie; jak królowa Elżbieta II polegała na Margaret „Bobo” MacDonald; jak książę Karol polegał na Michaelu Fawcettcie.

Aby zrozumieć mój sposób myślenia, zespół moich prawników skierował mnie na badanie psychiatryczne w Beckenham, w hrabstwie Kentu. Jako że do dziś dnia padają pytania dotyczące mojej psychiki, przytaczam wydaną po pięciogodzinnym badaniu opinię eksperta, psychiatry dr. Andrew Johnsa, reprezentującego South London and Maudsley NHS Trust:

Paul mówił czule o swej żonie, kilka razy wspominał o silnym wsparciu, jakiego mu udzielała.

Pytany o relacje z księżną, powiedział, że darzył ją „bardzo dużym szacunkiem”, stwierdził też: „ufała mi bardziej niż komukolwiek innemu”. Dodał, że swój związek z żoną Marią rozpatrywał na „zupełnie innej płaszczyźnie”.

Zawodowe relacje pana Burrella z księżną stały się wyjątkowo bliskie. Można odnieść wrażenie, że księżna polegała na nim w bardzo dużym stopniu... Wygląda na to, że był w dużej mierze odpowiedzialny za usługiwanie jej na co dzień, a także za dotrzymywanie towarzystwa...

Zasadnicze cechy łączącej ich więzi są następujące: księżna zwierzała mu się z bardzo wielu rzeczy; on pocieszał ją, gdy zaistniała taka potrzeba; kiedy wyjeżdżała na wakacje, dzwoniła do niego codziennie; omawiała z nim osobiste problemy, pokazywała mu prywatną korespondencję i powierzała organizowanie sporadycznych spotkań z bliskimi jej mężczyznami... Pan Burrell opierał w dużej mierze poczucie własnej wartości na tej zażyłości i przyjaźni. Był bardzo oddany księżnej, nawet kosztem czasu, który mógł poświęcić żonie i synom.

Moim zdaniem śmierć księżnej Diany w sierpniu 1997 roku wywarła druzgocący wpływ na pana Burrella... widział jej zmasakrowane ciało wiele razy... Uraz psychiczny pogłębił się jeszcze po odebraniu przesyłki zawierającej ubrania i rzeczy osobiste, które księżna miała na sobie w chwili śmierci. Pan Burrell zareagował w typowy dla podobnych sytuacji sposób. Początkowo bezradnością, działał wtedy niemal automatycznie. Cierpiał z powodu nawracających koszmarów sennych... Nie panował nad napadami płaczu, jego nastrój uległ znacznemu obniżeniu. Stwierdzone objawy spełniają kryteria przedłużonej reakcji depresyjnej. Nie będzie rzeczą niewłaściwą wysunięcie sugestii, że stan emocjonalny pana Burrella odzwierciedlał konieczność „pogrzebania” ważnych wspomnień po księżnej.

W mojej opinii pan Burrell nie wykazuje objawów choroby psychicznej ani zaburzeń osobowości. Prezentuje przeciętny poziom intelektu.

Mój stan zdrowia pozwalał więc stawić się na proces w Old Bailey w poniedziałek, 14 października 2002 roku.

Zapomnijcie dziś o teatrze na West Endzie i wybierzcie się do Old Bailey na najlepsze przedstawienie w mieście, napisała jedna z gazet.

Niecodzienny królewski spektakl - sprawa z oskarżenia publicznego przeciw Burrellowi - właśnie się zaczynał na głównej kryminalnej arenie Londynu. Nawet media miały reglamentowany wstęp na salę rozpraw, w sumie prawie pięćdziesiąt złotych przepustek rozdano przedstawicielom prasy, stacji telewizyjnych i innych mediów. Na zewnątrz kolejka ciągnęła się przez całą długość budynku sądu, gdyż ludzie chcieli się dostać do galerii dla publiczności, z której widać było salę rozpraw. Świat przyłożył oko do dziurki od klucza Pałacu Kensington, mając przed sobą mętny obraz dostarczony przez Scotland Yard i Królewską Prokuraturę. Od tej chwili strzeżona wcześniej prywatność została wystawiona na widok publiczny. Moje życie oraz księżnej miało stać się przedmiotem wnikliwej analizy, spekulacji, wątpliwości oraz drwin. Pisząc tę książkę, pozostawiłem zasłonę tajemnicy nad najciemniejszymi i najbardziej intymnymi sekretami. Ale wyjawienie prawdy o życiu w Pałacu Kensington i mojej więzi z szefową, miało odrzucić wszelkie kłamstwa rozgłaszane przez oskarżycieli, policję i, już pod koniec sprawy, przez gazety.

W przeddzień procesu zatrzymałem się w tanim hotelu blisko dworca Euston. Członkowie rodziny i przyjaciele zjechali do Londynu, by wesprzeć na duchu mnie i Marię. Kiedy stanęliśmy przed Travel Inn, na ścianie hotelu zauważyłem wielką reklamę BBC. Uśmiechnięta twarz księżnej spoglądała na nas i zadawała pytanie: „Kto jest największym z Brytyjczyków?”. Czasami, nawet kiedy jej nie szukam, nie ma ucieczki od szefowej.

Zaprzyjaźniony dziennikarz dołączył do nas w barze tamtego wieczoru, a ja potrzebowałem kilku kufli guinnessa, żeby powstrzymać nerwowe dreszcze, które pojawiały się na samą myśl o wystąpieniu w sądzie. Kiedy siedzieliśmy w pokoju, Maria paliła jednego papierosa za drugim, a wszyscy przygotowywali się na jutrzejsze medialne widowisko.

Andrew Shaw dopilnował, żeby do sądu zawiózł nas elegancki mercedes z szoferem, za którym podążał minibus z wierzącymi w sukces sympatykami. Siedziałem na tylnym siedzeniu limuzyny i nikt nie odezwał się jednym słowem. Maria i ja ściskaliśmy sobie nawzajem dłonie. Andrew i jego młodszy kolega, Ray Herman, siedzieli z przodu, pograżeni w myślach. W tej ciszy, kiedy

zbliżaliśmy się do celu, czułem się coraz gorzej. Serce waliło mi jak młot.

Kiedy podjeżdżaliśmy na wzgórze Ludgate Hill, widziałem w oddali katedrę św. Pawła. Była to ta sama trasa, którą przebyłem w orszaku królowej, biorąc udział w mszy dziękczynnej z okazji osiemdziesiątych urodzin królowej matki. Tym razem jednak nie dotarliśmy do katedry. Skręciliśmy w lewo, obok biur Królewskiej Prokuratury na rogu. Potem zobaczyłem kłębiący się tłum. To byli reporterzy gazet, stacji radiowych i telewizyjnych. Członkowie ekip telewizyjnych biegli ulicą z kamerami na ramionach. Dwie grupy paparazzich tłoczyły się, przyklękając, siadając lub stając na szczeblach małych, metalowych drabinek. Byli tam też zwykli gapie, napierający na barierki, obok których stali funkcjonariusze policji pilnujący porządku. Maria ścisnęła mocniej moją dłoń. Kiedy mercedes wjechał na krawężnik, naprzeciwko głównego wejścia do sądu, zauważyłem prowizoryczną platformę na rusztowaniu: stanowisko dla kamer BBC.

- Chodź, miejmy to już z głowy - powiedziałem do Marii.

- Powodzenia - krzyknął Andrew i ruszył otworzyć nam tylne drzwi samochodu.

Wzięłem głęboki oddech i odczekałem kilka sekund.

- Przyloty i odloty, Paul. Przyloty i odloty... - usłyszałem głos księżnej. Dwóch policjantów stało przy drzwiach, kiedy Andrew Shaw i Ray

Herman wprowadzali nas do środka. Świadomość, że Maria musi znosić tę gehennę, była okropna, jednak uparła się, by pozostać przy moim boku.

- Paul! - rozległ się gromki głos. - Jak się miewasz?

Był to James Whitaker, korespondent „Daily Mirror”, zajmujący się sprawami królewskiego dworu.

- Zdarzało się, że lepiej, panie Whitaker, ale dziękuję.

Zawsze zwracałem się do niego per „panie Whitaker”, chociaż księżna podczas podróży nazywała go pieszczotliwie „czerwonym pomidorem”. Dostrzegłem też na korytarzu dziennikarza BBC, Nicholasa Witchella, jednego z sądowych reporterów, prawdziwego gentlemana, którego Diana ochrzciła przydomkiem „natka marchewki”. Jednak twarzy, której najbardziej wypatrywałem, nie było nigdzie. Jennie Bond z BBC, lubiana przez księżną, obsługiwała w tym czasie podróż królowej do Kanady.

Księżna wiedziała wszystko o reporterach; jednych nie cierpiała, innych darzyła sympatią. I nagle ich oczy skoncentrowały się na jej kamerdynerze.

Kiedy wskazówki zegara na wieży zbliżały się do godziny dziesiątej, wjechaliśmy windą na drugie piętro. Mój obrońca, lord Carlile, oraz jego młodszy kolega, Ray Herman, pokazywali drogę, trzymając w ręku peruki. Wychodząc z nowej części gmachu Old Bailey, przeszliśmy przez kilka podwójnych drzwi do sektora wiktoriańskiego, wyłożonego marmurem, obok sal rozpraw, gdzie w małych grupkach stali lub siedzieli na dębowych ławkach oskarżeni i ich adwokaci. Wielkie malowidła na ścianach przypominały mi płótna Tycjana wiszące w Pałacu Kensington. Światło dnia wpadało przez ogromną szklaną kopułę nad naszymi głowami. Wyciągnąłem szyję i przeczytałem słowa wyryte na kamiennym sklepieniu: „Prawo mądrych jest źródłem życia”. Reporterzy, którzy przybyli także z daleka - z Ameryki i Australii - zgromadzili się przy przeszklonych drzwiach sali rozpraw numer jeden.

- Nie martw się - lord Carlile dodawał mi otuchy, kiedy podchodziliśmy do drzwi. - Dzisiaj odbędą się tylko formalności i zostaną zaprzysiężeni sędziowie przysięgli. Zanim sprawa rozpocznie się na dobre, upłynie trochę czasu.

Wszedłem do sali rozpraw, która ze swoimi siedzeniami obitymi zieloną skórą do złudzenia przypominała Izbę Gmin. Szklany boks ławy oskarżonych miał być przez następne dwa tygodnie moim stałym miejscem. Maria wraz z moim ojcem ruszyła w kierunku sektora dla krewnych po prawej stronie.

Funkcjonariuszka służby ochrony powstrzymała mnie przed zajęciem miejsca.

- Panie Burrell, musi pan zejść ze mną na dół - poinformowała. Najprawdopodobniej chodziło o sprawy protokolarne - oskarżony

nie powinien być widziany na ławie oskarżonych, dopóki sędzia nie przybędzie na salę rozpraw. Niedługo po rozpoczęciu procesu pani sędzia Rafferty odstąpiła od tej formalności.

Z tyłu za mną wąskie schody prowadziły do wyłożonej białą glazurą celi. Kiedy zniknąłem z

publicznego widoku, strażniczka w niebieskiej kamizelce zatrzymała mnie.

- Tu będzie w porządku. Zostanie pan ze mną - oznajmiła i przysiedliśmy na najniższych stopniach. Dostrzegła moje drżące ręce.

- Poprosiłam o możliwość obsługiwania tego procesu ze względu na pana... poza za tym mam dziwne uczucie, jeśli chodzi o tę sprawę.

Miała na imię Michelle, nigdy nie zapomnę wrażliwości i życzliwości, jaką mi okazała.

Gwar rozmów toczonych w wypełnionej po brzegi sali rozpraw ucichł nagle, kiedy rozległy się trzy głośne stuknięcia. Sędzia Annę Rafferty wkroczyła na salę. Michelle dała mi znak głową. Ruszyłem schodami na górę i zająłem swoje miejsce. Ze wszystkich stron patrzyły na mnie ciekawskie oczy. Powyżej, po mojej prawej stronie siedziała publiczność. Z tyłu za mną, z trzech rzędów ustawionych kaskadowo ławek obserwowali proces przedstawiciele mediów. W lewym narożniku inna grupka reporterów siedziała ściśnięta na ławkach dla prasy. Przede mną znajdowała się pani sędzia Rafferty i spoglądała prosto przed siebie. Po lewej stronie stały dębowe ławki z miejscami dla dwunastu przysięgłych.

Poproszono, żebym wstał, kiedy odczytywano akt oskarżenia, zarzucający mi złamanie przepisów ustawy z 1968 roku o kradzieży. Nogi miałem jak z galarety, czułem, że lada chwila się przewrócę. Byłem strzępkiem nerwów.

Zarzut pierwszy: kradzież mienia JKW księcia Walii. Zarzut drugi: kradzież z rezydencji Diany, księżnej Walii. Zarzut trzeci: kradzież mienia JKW księcia Walii, Williama. W sali sądu Old Bailey zarzuty te brzmiały znacznie gorzej niż kiedykolwiek wcześniej w czasie przesłuchań wstępnych. Po odczytaniu każdego zarzutu odpowiadałem „Nie przyznaję się do winy”, potem spoglądałem w prawo i widziałem, jak Maria usiłuje powstrzymać łzy, opierając się na ramieniu mojego ojca.

Jedna rzecz uległa zmianie. Liczba przedmiotów, o których kradzież zostałem oskarżony, została zmniejszona z 342 do 310, nie był to jednak powód do zbyt dużego optymizmu. Wystarczyło bowiem, żeby przysięgli doszli do wniosku, że choć jeden przedmiot znalazł się w moim posiadaniu w sposób niezgodny z prawem, by moja wina została przesądzona. Oskarżyciel William Boyce wyjaśnił, że tak duża kolekcja rzeczy należących do Korony „nie powinna znaleźć się ani na przechowaniu, ani też w posiadaniu osoby postronnej”.

Byłem zdeterminowany bronić mojej godności w tym procesie. Andrew Shaw napominał mnie, żebym nie zachowywał się jak oskarżony postawiony w świetle jupiterów - jego słowa skojarzyły mi się z Cyrilem Dickmanem z czasów mojej królewskiej służby na Zamku Windsor.

- Kiedy jesteś w środku, nie gap się na ławę przysięgłych, nie wierć się, nie przekazuj nam zbyt wielu notatek i nie pozwalaj, żeby cię dopadli.

Nikt nie był w stanie wypatrzeć, że pod blatem ławy oskarżonych trzymałem w ręku dwa niewielkie kryształki. Pożyczyłem je z kolekcji Nicka; zawierały energię, na której polegała księżna. Przez wszystkie dni tego wyczerpującego psychicznie procesu wierzyłem, że były przy moim boku obie, księżna i moja matka.

Pod koszulą na szyi miałem zawieszony na łańcuszku pierścionek zaręczynowy matki. W prawej kieszeni spodni zaciskałem dłoń na cudownym medaliku Matki Teresy, który księżna podarowała mi po wspólnej z matką Marii wizycie w londyńskiej siedzibie misji.

Nie mogłem słuchać, jak oskarżyciel przedstawiał ze szczegółami plan mojego domu oraz cytował listę zarekwirowanych rzeczy. Jego tyrada ciągnęła się bez końca.

- Zimna i wyrachowana decyzja... Cóż te przedmioty robiły w tym domu? ... Wyjaśnienia pana Burrella, których treść ulega zmianom, nie są spójne ... Zatrzymajmy się na chwilę nad określeniem potencjalnej wartości jednej płyty CD z autografem...

Chciałem krzyknąć. Miałem w swoim posiadaniu rzeczy o dużo większej wartości niż album Mickaela Jacksona czy Tiny Turner, na których księżna złożyła swój autograf - zawsze podpisywała je jako swoje; czyniła tak od czasów dzieciństwa. Za każdym razem, kiedy ktoś odwiedzał Pałac Kensington i wyrażał zachwyt, słuchając jakiejś płyty odtwarzanej na sprzęcie stereo, księżna dawała ją w podarunku. Poza tym prokurator Boyce pominał rzecz najważniejszą. Nigdy, przenigdy nie sprzedałem niczego, co należało do księżnej Diany, zatem potencjalna wartość,

o której mówił oskarżyciel, była kategorią czysto teoretyczną. Wartość tych przedmiotów dla mnie wiązała się z faktem, że należały do niej.

Sędzia Annę Rafferty zachowywała się jak zahipnotyzowana. Robiła mnóstwo notatek i co jakiś czas napełniała atramentem z kałamarza wieczne pióro.

Ciekawe, czy jest to niebiesko-czarny Quink?, zastanawiałem się.

Potem sięgała po bibułę i osuszała stalówkę.

Czy ona w ogóle słucha? A może jest za bardzo znudzona?

Budziła we mnie fascynację, gdy tak siedziała w purpurowej todze

i białej peruce. Wzór elegancji. Za bardzo olśniewająca, jak na sędziego, myślałem.

Każdego ranka i każdego popołudnia wraz z całym orszakiem wkraczała na salę rozpraw królewskim krokiem. Jej uśmiech był wprawdzie miły, jednak lodowate spojrzenie nakazywało ciszę, kiedy dziennikarze przepychali się lub wdawali w rozmowy.

Potem moja uwaga skoncentrowała się na drewnianej płaskorzeźbie z królewskim herbem, znajdującej się nad głową sędzi Rafferty. Po raz kolejny przeczytałem słowa, które znałem tak dobrze: „Honi soit qui mai y pense”* „Hańba temu, kto widzi w tym coś złego”, dewiza z angielskiego Orderu Podwiązki.

. Odczuwałem głęboką ironię, spoglądając z ławy oskarżonych na lwa i jednoroźca, chroniące królewską tarczę obramowaną Królewską Podwiązką.

Maria była świadkiem obrony, więc nie zezwolono jej na pozostanie w sądzie. Zdecydowaliśmy, że powinna wrócić do domu w Cheshire i zająć się pracą w kwaciarni.

Moim azylem stał się dom naszych przyjaciół, Kevina i Sharon Hartów - pierwszych ludzi, których poznaliśmy po powrocie z Highgrove do Londynu. Każdego wieczoru z obłędu sprawy sądowej uciekałem do ich wiktoriańskiego domu, położonego w Hampton, niedaleko Rich-mond. Kevin oraz Tom McMahon, mąż mojej kuzynki Louise, okazali się dobrymi duchami w kolejnych dniach procesu.

Wieczorem pierwszego dnia rozprawy unikaliśmy oglądania serwisów informacyjnych BBC i ITN. Telewizor został wyłączony, kiedy głos zabrał prokurator i przypuścił na mnie bezpardonowy atak, mówiąc o cechach mojej osobowości.

Miał na sobie drugi już w tym tygodniu elegancki krawat - wart 65 funtów z kolekcji Hermesa - James Whitaker pisał na swej kolumnie w drugim dniu«procesie -... Siedziałem naprzeciw niego w restauracji i obserwowałem, jak spożywał dietetyczną mussakę ... Stylem ubioru naśladuje księcia Karola ...i uścisk jego dłoni jest silny.

Steve Dennis, reporter „Daily Mirror”, przekazał mi opinie z ławy dla prasy.

- Za dużo się uśmiechasz i sprawiasz wrażenie osoby nazbyt odprężonej.

Odprężony! Nigdy w życiu nie byłem takim kłębkim nerwów, ale okazało się, że nie wolno okazywać męstwa na twarzy.

W domu Hartów, razem z ich siedemnastoletnim wtedy synem Joe oraz dziewiętnastoletnią córką Amy, mogłem nieco się zrelaksować przy butelce Merlota i zyskiwałem kilka chwil, kiedy nie byłem przedmiotem obserwacji. Gdy tylko Kevin zauważał, że popadam w ponury nastrój, natychmiast zrywał się na równe nogi.

- Chodź, wybierzemy się na piwo - ponaglał i wychodziliśmy do miejscowego pubu o nazwie Nag's Head.

- To wszystko jest takie niesprawiedliwe, Kevin -jęczałem.

- Paul, życie nigdy nie było sprawiedliwe. Skoro cię tam zaprowadzili, musisz okazać siłę - dodawał mi otuchy.

W pierwszym tygodniu procesu otrzymałem niezwykle podnoszący na duchu list od sióstr żeńskiego zakonu Wniebowzięcia z Galway, w Irlandii. Siostra Teresa, która spotkała się z matką Marii, zapewniała o modlitwach odprawianych codziennie przez wszystkie mniszki w mojej intencji.

Nie wolno nie doceniać potęgi modlitwy, a my modlimy się za Ciebie, mówiły słowa listu. Wiele więc osób trzymało za mnie kciuki. Otrzymywałem dosłownie całe worki listów. Przyjaciele

wiedzą, że moja wdzięczność za przejawy sympatii będzie dozgonna, muszę jednak przy tej okazji wspomnieć o Richardzie Madeleyu i Judy Finnigan. Richard bowiem doświadczył również gorzkiego smaku niesprawiedliwości: w skandalizującym procesie oskarżono go o kradzież w sklepie Tesco, kiedy jako prezenter stacji telewizyjnej ITV prowadził program This Morning. W ciągu miesięcy i tygodni, poprzedzających mój proces napisał do mnie wiele listów ze słowami otuchy. Nawet kiedy był zavalony pracą, znajdował czas na skreślenie kilku słów wsparcia. Pisał: Wydaje się, że znalazł się Pan w oku cyklonu, a wokół Pana obraca się cały świat. Też kiedyś tam byłem. Niech Pan czeka na rozpoczęcie procedury procesowej i zrobi to samo, co myśmy uczynili - zachowa bliską więź z rodziną oraz okaże siłę i męstwo - Richard.

Świadomość, że inni byli po mojej stronie podnosiła na duchu, bowiem William Boyce tak kierował linią oskarżenia, że wszystko zdawało się mnie obciążać. Widziano, jak zakradałem się do Pałacu Kensington o trzeciej trzydziści na ranem. Spencerowie zeznali na policji, że w moim domu nie powinno być rzeczy będących własnością rodziny królewskiej. Nie poinformowałem nikogo, że zabieram je po to, by bezpiecznie przechować.

A przecież tak właśnie zrobiłem. Właśnie tak. Pisałem o tym w liście do księcia Williama w kwietniu 2001 roku.

Dawałem upust złości i frustracji w niewielkiej sądowej salce konferencyjnej na pierwszym piętrze. Był to „bezpieczny pokój”, w którym można było przechowywać dowody rzeczowe i dokumenty oraz prowadzić rozmowy z dala od oczu i uszu policji oraz oskarżycieli.

- Zejdźmy na dół i przedyskutujmy wydarzenia dnia - lord Carlile oznajmiał pod koniec każdego dnia procesu.

Obserwowałem z rosnącą fascynacją mojego obrońcę na sali rozpraw -jego elokwencję, bystry prawniczy umysł, precyzję w określaniu szczegółów. Potem siedział przy stole w „bezpiecznym pokoju” i dzielił się swoimi przemyśleniami, zawsze doskonale przygotowany do procesu. Z tyłu za nim stała Shona, która na sali rozpraw sporządzała notatki.

Straciłem rachubę, ile razy lord Carlile wykrzykiwał „To absolutnie niedorzeczne!”, kiedy wszyscy rozważaliśmy argumentację oskarżenia oraz prezentowane przez prokuratora dowody, które w naszych oczach nimi nie były.

Humor lorda Carlile'a wpływał na zmianę nastroju. Parodie różnych postaci z sali rozpraw w jego wykonaniu wyzwalaly w nas salwy śmiechu; jestem mu wdzięczny, że od czasu do czasu mogliśmy sobie pozwolić na chwile niefrasobliwości.

W drugim dniu procesu ktoś dostrzegł policjanta ubranego po cywilnemu, który wszedł na salę rozpraw, okazał legitymację służbową i usiadł w sektorze przeznaczonym dla publiczności. Człowiek ten przyciągnął uwagę jednej z kobiet zasiadających w ławie przysięgłych, z którą wymienił porozumiewawcze spojrzenie. Na wniosek lorda Carlile'a sędzia Rafferty zleciła zbadanie sprawy i popołudniowa rozprawa została odroczone, mieliśmy więc wolne popołudnie.

William Boyce został zmuszony do wyjaśnienia, że funkcjonariusz w cywilnym ubraniu, inspektor Scotland Yardu, dał znak własnej małżonce, zasiadającej w ławie przysięgłych. Akurat przypadała rocznica ich ślubu i wszedł na salę rozpraw, by zabrać ją na obiad. Przy okazji wyszło na jaw, że funkcjonariusz ten w latach 1986-1989 pracował w Królewskiej Służbie Ochrony - w Królewskiej Sekcji Dyplomatycznej, zajmującej się ochroną ambasad innych państw. Okazało się, że pełnił służbę w siedzibach ambasad usytuowanych w pobliżu Pałacu Kensington. I pracował jako funkcjonariusz policji w londyńskiej dzielnicy Peckham, razem z Maxine de Brunner, która prowadziła dochodzenie w mojej sprawie. Pracowali również razem w Policji Metropolitalnej. Po prostu oniemiałem.

- Jednak śledcza de Brunner zeznaje, że w ciągu ostatnich pięciu lat nie zamieniła z nim słowa. Nie byłaby w stanie nawet go rozpoznać - wy-jaśnił mój oskarżyciel.

Lord Carlile nie chciał nawet tego słuchać.

- Jeśli żona funkcjonariusza policji została zaprzysiężona jako przysięgła, istnieje niebezpieczeństwo, że również w przypadku innych członków ławy przysięgłych występują podobne powiązania.

Sędzia Rafferty zgodziła się z tym stanowiskiem. Ława przysięgłych została rozwiązana. Proces w

sprawie z oskarżenia publicznego przeciwko Burrellowi musiał rozpocząć się ponownie. Została powołana nowa ława przysięgłych, w skład której weszło pięć kobiet oraz siedmiu mężczyzn. Nawet wtedy, gdy świat księżnej był burzony w Old Bailey, wciąż chciałem zrobić wszystko, co mojej mocy, by go chronić. Tajemnice, których nie chciałem ujawniać na sądowej sali. Sekrety, które nie znalazły się na stronach tej książki. Kiedy przekazywałem policji liczące trzydzieści dziewięć stron oświadczenie, w mojej intencji miał to być dokument, przeznaczony wyłącznie dla oczu oskarżyciela, sędziego prowadzącego proces, obrony oraz sędziów przysięgłych. Były w nim fragmenty o niezwykle osobistym charakterze, w tym dotyczące spraw medycznych oraz życia intymnego księżnej.

W początkowej fazie postępowania William Boyce zezwolił, by ława przysięgłych zapoznała się z treścią tego oświadczenia.

- Życzeniem obrony jest, żeby niektóre paragrafy nie były odczytane na głos, oskarżyciel publiczny z zadowoleniem przyjmuje taki sposób postępowania - oświadczył.

Jednak media były innego zdania. Na szczęście sędzia Rafferty wydała zarządzenie, z mocy którego pewne fragmenty dokumentu w niebieskiej teczce leżącej przed ławą przysięgłych pozostały utajnione w celu ochrony książąt Williama i Harry'ego. OCENZUROWANE, krzyczał następnego dnia „Daily Mirror”, ZNIEWAGA SPRAWIEDLIWOŚCI.

Przedstawiciele mediów i oskarżeni korzystali z tego samego wyjścia z sądu. Kiedy tamtego dnia opuszczaliśmy gmach sądu, jedna z reporterek odwróciła się w moją stronę.

- Nie słyszałam nigdy o sprawie, która toczyłaby się w takiej tajemnicy. Trudno przewidzieć, co zdarzy się później - wyraziła swoją opinię.

Roger Milburn z wydziału dochodzeniowego siedział w miejscu dla świadków, zaś lord Carlile naciskał na niego, chcąc dowiedzieć się, dlaczego przeprowadzono rewizję w moim domu.

Detektyw odpowiedział, że poszukiwano dokumentów dotyczących sprzedaży złotej dawy.

Potem mój obrońca zapytał o zawartość szkatułki, którą tak interesowała się policja, szkatułki z mahoniem z literą D na wieku. Księżna trzymała w niej najbardziej poufne dokumenty, a ja miałem ponoć wykraść ją z Pałacu Kensington.

- Co więc wiedział pan na temat zawartości szkatułki? Detektyw Milburn zawahał się z odpowiedzią.

- Zawartość jej w dużej części ma charakter poufny - odpowiedział, po czym zwrócił się do sędzi:

- Czy mogę zapisać to na kartce papieru? Sędzia Rafferty kiwnęła potakująco głową. Reporterzy i dziennikarze byli zawiedzeni.

Rozprawa została odroczone w związku z weekendem. Następnego dnia w prasie pojawiły się tytuły: SEKRETY DIANY; CO SIĘ KRYJE W SZKATUŁCE?

W następny poniedziałek tajemnica została rozwiązana. Za zezwoleniem sądu ujawniono, że Scotland Yard poszukiwał: sygnetu, który był prezentem od majora Jamesa Hewitta; listu zgłaszającego rezygnację, napisanego przez osobistego sekretarza księżnej Patricka Jepsona; listów wystosowanych do Diany przez księcia Filipa oraz taśmy, która po zakończeniu procesu stała się znana jako „taśma gwałtu”. Było to dokonane przez księżną w 1996 roku nagranie nieformalnej rozmowy z Geocgem Smithem, byłym ordynansem w Pałacu Kensington oraz eks-członkiem Gwardii Walijskiej. Człowiek ten utrzymywał, że w 1989 roku, pewnej nocy po alkoholowej libacji został zgwałcony przez mężczyznę z personelu księcia Karola. Sprawa wyszła na jaw, bowiem George Smith, który pracował w Highgrove, w Pałacu Św. Jakuba oraz w Pałacu Kensington, był dręczony przez nocne koszmary, coraz więcej pił, a jego małżeństwo zaczęło się rozpadać. Były ordynans całą winę za to, co się działo, zwał na tamten incydent.

Księżna darzyła George'a sympatią, kiedy więc zwierzył się jej, była zbulwersowana. Odwiedziła go w szpitalu, gdzie przechodził kurację antydepresyjną i nagrała jego relację. Przyrzekła, że coś w tej sprawie zrobi. Sprawca wciąż znajdował się na wolności i pozostawał w służbie jej męża.

Zadzwoiła do księcia Karola, informując go o zdarzeniu i nalegała, by zwolnił tego człowieka. Dzwoniła z salonu w Pałacu Kensington. Byłem obok niej i słyszałem każde słowo.

- Karolu, czy ty mnie słuchasz? Ten człowiek jest potworem.

Do moich uszu docierała tylko część rozmowy, było jednak jasne, że księżę nie miał zbyt wiele

czasu na wysłuchiwanie tego, co jego zdaniem było niepotrzebną histerią byłej żony. Oznajmił, że nie ma zamiaru wysłuchiwać „plotek rozgłaszanych przez personel”.

- Musisz się go pozbyć. Koniecznie musisz coś zrobić - nalegała księżna.

Jej słowa trafiały w próżnię.

Podjęto jednak pewne działania. W październiku 1996 roku królewski prawnik, Fiona Shackleton, złożyła wizytę George'owi Smithowi. Ale człowiek podejrzewany o gwałt nie został zwolniony z pracy, natomiast depresję eks-ordynansa przypisano syndromowi wojny w Zatoce Perskiej. Nigdy już nie wrócił do służby, otrzymał odprawę w wysokości około 40 000 funtów.

- Szukałem zawartości tej szkatułki - zeznał w sądzie detektyw Milburn. Nagle stały się dla mnie jasne ukryte motywy porannego najazdu policji na mój dom.

Detektyw Maxine de Brunner zasiadła na miejscu dla świadków, a wszyscy zgromadzeni w sali rozpraw przenieśli się myślami do Highgrove w dniu 3 sierpnia 2001 roku, kiedy ona w towarzystwie komendanta Johna Yatesa składała raport księciu Karolowi i Williamowi z przebiegu dochodzenia w mojej sprawie -jeszcze zanim zostałem oskarżony.

Zgodnie z notatkami pani detektyw, co zostało również potwierdzone w dochodzeniu prowadzonym już po procesie przez sir Michaela Peata, zostali oni poinformowani, że sprawa opiera się na solidnych dowodach, bowiem policja była w stanie wykazać, że poziom standardu życia i dochodów zmieniły się w sposób zasadniczy po śmierci Diany, księżnej Walii oraz że policja posiada dowody świadczące o tym, że spora część przedmiotów została sprzedana za granicą kilku agentom. W treści raportu stwierdzono również: Ponadto niezależne źródła udostępniły policji fotografie kilku członków personelu na pewnym przyjęciu... ubranych w garderobę należącą do księżnej Walii.

Żadna z tych informacji nie była zgodna z prawdą.

Raport mający przedstawić „całościowy obraz” składał się w rzeczywistości z zafałszowań, bowiem przyjęto mylne założenie, że mój status materialny uległ poprawie w rezultacie sprzedaży rzeczy zagarniętych z Pałacu Kensington. W rzeczywistości jednak moja sytuacja finansowa uległa polepszeniu dzięki wydaniu książki Entertaining With Style oraz

prowadzonym wykładom w ramach akcji promocyjnej. Maxine de Brunner przyznała przed sądem, że wtedy nie miała pojęcia o napisanej przeze mnie książce ani o promujących ją prelekcjach.

Zeznała, że raport opierał się na „poufnych informacjach, jakie udało się jej zdobyć”.

W tym momencie sędzia Rafferty, która wyglądała na nie mniej zdumioną niż my wszyscy, zapytała świadka:

- Czy mam przez to rozumieć, że pozwoliła pani, by książę Karol i książę William trwali w błędnej ocenie sytuacji przez tak długi czas?

Detektyw de Brunner, która nigdy nie sprostowała przekazanych przez siebie nieprawdziwych informacji, przytaknęła.

- Tak, Wysoki Sądzie.

Lord Carlile, kontynuując przesłuchanie świadka, zapytał:

- Czy nie uważa pani, że zrezygnowanie ze sprostowania tych fałszywych informacji było w ogromnym stopniu niesprawiedliwe wobec pana Burrella?

- Jedyne, co mogę stwierdzić, to fakt, że nie informowałam o zaistniałych zmianach.

- Nie stanowiłoby chyba dla pani zbyt trudności zatelefonowanie do pani Shackleton, prawnika księcia Walii, i przekazanie jej wiadomości, że raport zawierał nieprawdziwe informacje? Mogła pani tak postąpić? - lord Carlile nie ustępował.

- Tak, mogłam.

- A jednak pani tego nie zrobiła?

- Nie - odparła detektyw de Brunner.

W trakcie dochodzenia prowadzonego po procesie pod kierunkiem sir Michaela Peatę stwierdzono niezbicie, że: Książę Walii bardzo dobrze przypomina sobie rewelacje o dowodach sprzedaży królewskiego mienia przez pana Burrella... które silnie wpłynęły na jego stosunek do tej sprawy.

Zespół moich prawników, znając dokumenty sprawy już na dwa miesiące przed rozpoczęciem procesu, usiłował uderzyć w dzwony na alarm, stukać do pałacowych drzwi, krzyknąć przez

megafony i zapalać światła ostrzegawcze. Niewiele byliśmy w stanie zrobić, by przyciągnąć uwagę królewskiego dworu, poza wywieszeniem przed Pałacem Sw. Jakuba ogromnego transparentu z napisem WYŚLUCHAJCIE NAS: WPROWADZONO WAS W BŁĄD.

Dwudziestego sierpnia 2002 roku lord Carlile spotkał się z Fioną Shackleton oraz specjalistą od prawa karnego, doradcą królowej, Robertem Seabrookiem, uprzedzając ich, że Decyzja o podtrzymaniu oskarżenia przez księcia Walii została podjęta na podstawie fałszywych informacji, nie mających potwierdzenia w rzeczywistości... Miesiąc później, 30 września, mój obrońca ponownie zobaczył się z Robertem Seabrookiem. Jak ustalono w dochodzeniu wdrożonym po procesie, lord Carlile oświadczył wtedy: ... Główną linią obrony pana Burrella będzie wyjątkowy i bardzo bliski charakter więzi łączącej go z księżną... ich bliskość była tykającą bombą zegarową... Sugerowałem, że sprawa może mieć katastrofalne reperkusje dla rodziny królewskiej, której członkowie zostali wprowadzeni w błąd przez policję w trakcie spotkania w Highgrove.

Na drzwiach sali rozpraw numer jeden wisiała wokanda z informacją o rozpoczętym procesie: „Sprawa z oskarżenia publicznego przeciwko Burrellowi”. Ale to nie królowa ani też członkowie rodziny królewskiej chcieli mnie widzieć na ławie oskarżonych. W rzeczywistości był to „proces Spencerów przeciwko Burrellowi”. Już wcześniej stosunki między kamerdynerem a rodziną księżnej zostały zerwane.

Od kogoś, kto znał członków tej rodziny, usłyszałem, że Spencerowie „dostawali szewskiej pasji, słuchając, jaką to opoką dla Diany jest ten cholerny kamerdyner”. Teraz w Old Bailey mieli satysfakcję.

Matka księżnej, Frances Shand Kydd, wkroczyła powoli na salę sądową, podpierając się laską. Wymizerowana leciwa dama o białych włosach, której łamiący się, zgrzytliwy głos brzmiał tak, jakby nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Widziałem, że na ławie przysięgłych zrobiła ujmujące wrażenie. Kiedy starsza pani zajmowała miejsce dla świadków, sędzia Rafferty wychyliła się, żeby upewnić się, czy wszystko jest w porządku.

- Pani Shand Kydd, czy będzie pani wygodniej zeznawać na stojąco czy na siedząco?

- Chętnie postoję przez chwilę.

- Kiedy będzie pani chciała zmienić pozycję, proszę usiąść.

- Bardzo dziękuję - odparła z wdzięcznością Frances Shand Kydd. William Boyce wstał, by rozpocząć przesłuchanie świadka.

- Mam nadzieję, iż nie posądza nas pani o brak wrażliwości, grzeczności czy szacunku, jeśli podczas rozprawy mówimy o pani zmarłej córce jako Dianie, księżnej Walii...

Niech pan się o to nie martwi, panie Boyce, pomyślałem. Ona nazywała swoją córkę dużo, dużo gorzej.

Kiedy prokurator prowadził ją przez zawiloci zgrupowanych przez siebie dowodów, nie spuszczałem z niej oczu. Ona zaś nie spojrzała w moją stronę choćby jeden raz. Dlaczego mi to robisz? - myślałem wtedy.

Czy zapomniałaś już wspólnie spędzony czas po śmierci Diany? Krzyżyk na łańcuszku, który ofiarowałaś mi dla ochrony? Wspaniałomyślną ofertę kupna dla nas domu w Londynie?

Znałem odpowiedź. Stałem się osobą zbyt bliską jej córce, bliższą niż rodzina, niż ona, a to sprawiało Spencerom ból. W trakcie zeznań, mówiąc

o mnie, używała określeń „oskarżony” albo „pan Burrell”, nigdy zaś Paul

Kolejne pytanie oskarżyciela wyrwało mnie z tych rozmyślań.

- W jaki sposób opisałaby pani swoje stosunki z córką?

- Przepelnione miłością i zaufaniem - odparła, a ja wcisnąłem się w oparcie siedzenia.

- Czy zawsze tak było?

Pani Shand Kydd przelknęła ślinę.

- Zdarzały się wzloty i upadki. Chciałaby zwrócić uwagę Wysokiego Sądu, że były to zachowania normalne w każdej rodzinie, w której przecież zdarzają się kłótnie... lecz spory te nie mają wpływu na przyszłość.

Odżyło w mojej pamięci wydarzenie z Pałacu Kensington, które miało miejsce na sześć miesięcy

przed śmiercią księżnej, wiosną 1997 roku. Byłem akurat w pokoju kredensowym, kiedy do moich uszu dobiegł szloch z góry.

- Paul! Chodź tutaj... szybko - wykrzyknęła księżna, wychylając się przez balustradę.

Wbiegłem pędem po schodach. Księżna ubrana w biały szlafrok podniosła słuchawkę telefonu, która leżała na dywanie przed szarym marmurowym kominkiem. Po drugiej stronie słyhać było jakiś podniesiony głos. Często widziałem, jak księżna płacze, kiedy użała się sama nad sobą.

Teraz jednak przeżywała prawdziwe załamanie. Siedziała na dywanie ze skrzyżowanymi nogami, przyciskając słuchawkę do ucha, pochylona do przodu. Poprosiła, żebym podszedł bliżej.

Uklęknąłem obok niej i przysunąłem głowę jak najbliżej słuchawki.

Usłyszałem głos pani Shand Kydd miotającej obelgi bez opamiętania. Księżna pociągała nosem i kiwała z niedowierzaniem głową. Matka dawała jasno do zrozumienia, co myśli o córce chodzącej na randki

i zadającej się z muzułmaninami.

- Nie jesteś niczym więcej niż zwykłą...

Księżna rzuciła słuchawkę i znowu wybuchnęła płaczem. Siedziałem przy niej i objąłem ją ramieniem.

- Nie mam zamiaru nigdy więcej rozmawiać z moją matką, Paul. Nigdy - przysięgała.

I rzeczywiście, nie zamieniły już ze sobą ani słowa, a za każdym razem, gdy do Pałacu Kensington przychodził list od pani Shand Kydd - księżna rozpoznawała charakter jej pisma - odsyłała, nie otwierając, z dopiskiem „Zwrot do nadawcy”.

W gmachu Old Bailey teraz lord Carlile rozpoczął przesłuchanie świadka, biorąc go w krzyżowy ogień pytań. Musiał postępować bardzo ostrożnie.

- Jeśli chodzi o pani stosunki z córką Dianą, nie mam zamiaru wchodzić w jakiegokolwiek szczegóły, poza zwróceniem uwagi na jeden fakt. Pani oraz pani córka rozmawiałyście ze sobą po raz ostatni wiosną 1997 roku.

- To prawda, ale takie rzeczy zdarzają się w naszej rodzinie, a ona wszystko to zrobiła z... -w tym momencie starsza pani zaczęła koncentrować się na umniejszaniu mojej roli w życiu księżnej.

Obawiała się podążenia szlakiem, który wytyczył mój obrońca. -... Jestem zdania, że była to lekka nadinterpretacja ze strony pana Burrella... że moja córka określała go mianem swojej „opoki”. Było to sformułowanie używane przez moją córkę często w stosunku do wielu osób. Mnie też nazywała swoją „opoką” i „gwiazdą”.

- Jednak pani córka traktowała Paula Burrella jako, użyjmy tego sformułowania, „opokę”? - naciskał mój obrońca.

- Tak - odparła - ale w nie większym stopniu niż inne osoby, do grona których można zaliczyć jej kierowców... funkcjonariuszy ochrony... oraz członków jej rodziny.

Ława przysięgłych wysłuchała o tym, jak wszyscy, nawet ci, którzy sami odeszli ze służby, byli dla Diany „opoką”. Oraz, że Frances Shand Kydd była również jej „opoką”.

Wątpiąca starsza dama, której cięty dowcip wywołał uśmiech na twarzach wielu osób zgromadzonych w sądzie, była matką księżnej i przypuszczenie ataku na nią w tej fazie procesu mogło okazać się ryzykowne. Część sędziów przysięgłych mogłaby się obrócić przeciwko mnie, pouczali mnie moi obrońcy. Wyjawienie prawdy w tej materii musiało odczekać do czasu po procesie. Pani Shand Kydd deptała moją reputację, starając się udowodnić rzekomy dystans pomiędzy mną a szefową.

- Wiedziała pani, że Paul Burrell był osobą zawsze obecną na miejscu, od rana aż do nocy? - zapytał mój obrońca.

- Być może. Córka nie rozmawiała ze mną o godzinach pracy służby - odparła starsza pani.

- Czy pani zdaniem jest to prawdopodobne?

- Nie bardzo. Ponieważ przez bardzo wiele dni ona przebywała poza domem.

Nie mogłem uwierzyć w to wszystko, co słyszałem. Demonstrowała swoją godną pożałowania wiedzę na temat życia w Pałacu Kensington, a także zwyczaju przekazywania niechcianych królewskich prezentów przez księżną:

- Moja córka bardzo dbała o wszystkie rzeczy królewskie. Przywiązywała dużą wagę do prezentów

ofiarowywanych przez ludzi... Mogę przysiąc, że nie dawała niczego poza prezentami, które zwykle kupowała z okazji Bożego Narodzenia lub urodzin.

Potem przynajmniej jednak wyraziła się jasno w kwestii dokumentów, które sama w sposób tak niewybredny zniszczyła. Opowiedziałem o tym w październiku 1997 roku podczas audiencji u królowej. W moim oświadczeniu napisałem: Tuż po śmierci księżnej obawiałem się, że powstał spisak mający na celu usunięcie z pamięci niektórych epizodów z jej życia. Jej matka, Frances Shand Kydd, spędziła dwa tygodnie na niszczeniu osobistej korespondencji i poufnych dokumentów.

- Czy to prawda, że przez wiele dni niszczyła pani dokumenty? - lord Carlile wznowił atak.

- Tak, przez wiele dni - padła odpowiedź.

- Ile pani zdaniem dokumentów zostało zniszczonych?

- Pomiędzy pięćdziesiąt a sto.

- Nigdy też nie była pani łaskawa poinformować pana Burrella, co uległo zniszczeniu?

- Nie, nie sądzę, bym to zrobiła.

- Wie pani o tym, że Paul Burrell wykazywał szczerą troskę o utrzymanie jak najlepszej reputacji pani córki Diany?

-Tak.

- Wiedziała pani również, że niepokoił się tym, żeby historia nie została napisana na nowo w sposób wykazujący krytyczny stosunek wobec księżnej?

- Takie poglądy nie zostały mi zaprezentowane.

Wykazywała upór do samego końca. Gdy skończyła składanie zeznań, kiedy po raz ostatni mijala mnie, wciąż nie mogła zdobyć się na to, żeby spojrzeć mi w oczy.

Ostatni raz widziałem się z lady Sarah McCorquodale około sześć miesięcy po moim wymuszonym odejściu z Fundacji Pamięci. Szła przez londyński most Westminster i wymieniliśmy wtedy kilka szorstkich słów.

W Old Bailey odbyło się, tak naprawdę, nasze pierwsze spotkanie od czasu wspólnego obiadu z Anthonym Julusem w barze winnym niedaleko Southampton Row.

Weszła na salę, zajmując miejsce dla świadków z dużą pewnością siebie przedstawiciela rodu Spencerów. Nie spuszczałem z niej oczu nawet na chwilę, mając nadzieję, że skieruje wzrok na mnie.

Lady Sarah ze wszystkich członków rodziny była najbliższej związana z księżną. Szefowa często mawiała, że lubiła jej poczucie humoru i często zabierała ją w podróże zagraniczne w charakterze damy dworu. Po śmierci księżnej lady Sarah i ja staliśmy się wielkimi sojusznikami. Pamiętam spinki, które włożyła w moją dłoń oraz sukienkę Versacego sprezentowaną Marii, skorygowany zapis w testamencie, przyznający mi 50 000 funtów w uznaniu wielu lat mojej służby. Być może stałem się osobą zbyt bliską jej siostrze, zbyt często też wygłaszałem peany na jej cześć. Kiedy zabrała głos w sądzie, nie byłem w stanie uwierzyć, że stosunki między nami aż tak się zmieniły.

- Co pani zdaniem mogło się znaleźć w posiadaniu pana Burrella w sposób zgodny z prawem? - pytał William Boyce.

- Spinki do mankietów, fotografie oprawione w ramki, pudełka zdobione emalią, szpilki do krawatów, krawaty- to byłoby, moim zdaniem, chyba wszystko.

Kiedy człowiek siedzi na ławie oskarżonych, często widzi byłych przyjaciół czy kolegów, którzy nagle się zjawiają, żeby złożyć obciążające zeznania.

Byłem przekonany, że Michael Gibbins, który rozpoczął pracę w Pałacu Kensington mniej więcej na rok przed śmiercią księżnej, jest moim przyjacielem. Stał jednak na sali rozpraw jako świadek oskarżenia, utrzymując, że zna prawdę o bliskiej więzi kamerdynera i księżnej. A przecież pracował w biurze, które było całkowicie oddzielone od apartamentów 8 i 9. Nie miał pojęcia o życiu, jakie prowadziła Diana w salonie, garderobie i jadalni.

Michael Gibbins stanął w miejscu dla świadków w piątek, 25 października. Tego samego dnia o dwa kroki stąd, w katedrze św. Pawła, pojawili się królowa, książę Edynburga oraz książę Karol, by wziąć udział w mszy w intencji pamięci ofiar zamachu bombowego na wyspie Bali. Rolls-royce Jej Królewskiej Mości wjeżdżał na Ludgate Hill, mijając drugi koniec ulicy prowadzącej do gmachu

Old Bailey. Rozmowa, która się wtedy odbyła, miała kilka dni później wywrzeć ogromny wpływ na sprawę.

W następny poniedziałek za barierką dla świadków stanęła Olga Powell, zatrudniona na część etatu jako piastunka, ulubienica księżnej, Willia-ma oraz Harry'ego. Była ostatnią osobą, której obecności w tym miejscu się spodziewałem. Pracowaliśmy razem w Pałacu Kensington. Rozmawialiśmy przed rozpoczęciem procesu i mówiła wtedy, że nie zamierza włączać się po czyjejkolwiek stronie.

- Nie chcę żadnego zamieszania i kłopotów w moim wieku - powiedziała mi wtedy.

Kiedy opowiadała ławie przysięgłych o słabości księcia Williama do słodyczy, zastanawiałem się nad przyczynami jej nagłego zwrotu przeciwko mnie. Wiedziałem, że pragnie chronić Williama i Harry'ego. Jednakże decydując się na ten krok, stawała się jednocześnie młotem w rękach oskarżenia.

Spośród wszystkich garderobianych, z którymi miałem okazję razem pracować, Helen Walsh była chyba najbardziej wierną katoliczką, podobnie jak Maria. Być może dlatego zdecydowała się wystąpić w roli świadka i powiedzieć prawdę. Opowiadała o tym, jak księżna często rzucała niechcianą odzież na podłogę albo przekazywała służbie niechciane królewskie prezenty lub ozdoby i świecidełka. Ona sama otrzymała wiele takich rzeczy.

Zdumiony prokurator Boyce zapytał, co otrzymała w prezencie.

- Prawdę powiedziawszy, nie powinno to pana obchodzić - odparła rezolutnie, usiłując powstrzymać się od śmiechu.

- Nie wiedzieliśmy, że w swojej drużynie macie naszego zawodnika - powiedzieli moi obrońcy jednemu z oskarżycieli.

Gdy wyszedłem z sali rozpraw, dostrzegłem Helen w marmurowym holu. Oskarżony oraz świadek oskarżenia uścisnęli się.

- Dziękuję Helen za to, że byłaś szczerą - powiedziałem do niej.

- Powiedziałam tylko prawdę, Paul. To wszystko, co zrobiłam.

Przez cały ten dzień Fiona Shackleton, adwokat księcia Karola, prowadziła rozmowy z Johnem Yatesem ze Scotland Yardu. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero nazajutrz.

Dwudziesty dziewiąty października nie różnił się niczym od innych dni. Poprzedniego wieczoru zespół moich prawników doszedł do przekonania, że odzyskaliśmy grunt pod nogami i zaczynamy brać górę. Szansa na przedstawienie mojej wersji wydarzeń zdawała się być już bardzo bliska. Lord Carlile przygotowywał mnie do zajęcia miejsca dla świadków następnego dnia.

Nikt z nas nie miał najmniejszego pojęcia o zakulisowych działaniach, dopóki nie weszliśmy na salę rozpraw. Przedstawiciele prasy, lord Carlile oraz reszta zespołu moich obrońców zostali poproszeni o opuszczenie sądu. Oskarżyciele zamknęli się w oddzielnej sali razem z sędzią Rafferty. Rozprawa została odroczonej o jedną godzinę.

- O co właściwie chodzi? Czy to oznacza coś złego dla mnie? - wypytywałem mojego głównego obrońcę. Nie miał najmniejszego pojęcia.

Kiedy sędzia Rafferty zjawiała się ponownie na sali rozpraw, wiadomość zaskoczyła wszystkich. Pani sędzia obróciła się w stronę ławy przysięgłych.

- Panie i panowie, pragnę przeprosić za to niewielkie opóźnienie. Jestem zmuszona odroczyć dzisiejsze posiedzenie sądu.

Tak po prostu. Odesłała sędziów przysięgłych do domu do czasu podjęcia dalszych decyzji. Lord Carlile zerwał się na równe nogi, pragnął zasięgnąć informacji w sprawie odroczenia sprawy. Sędzia Rafferty odmówiła wyjaśnień. Było tuż po jedenastej rano.

- Co się, na Boga, dzieje? Czy to normalne? - usiłowałem dowiedzieć się od Andrew Shawa.

- Hmm, nie. To raczej dziwne - odpowiedział.

Reporterzy zgromadzeni na zewnątrz sali rozpraw byli zdumieni w nieminiejszym stopniu. W powietrzu wisiła tajemnica. Coś musiało się wydarzyć, jednak żadna z osób w sądowym holu nie wiedziała o niczym.

Siedząc w naszym „bezpiecznym pokoju”, rozważaliśmy rozmaite warianty.

- Czy mogły pojawić się nowe dowody? - pytałem.

- Nie, Paul. Wiedzielibyśmy o tym. Musi to być coś bardziej poważnego - stwierdził lord Carlile. Przez dłuższą chwilę myślał.

- Paul - odezwał się w końcu - czy jest coś, o czym nam nie powiedziałeś, a co mogłoby mieć związek ze sprawą? Cokolwiek?

Siedzieliśmy tam - lord Carlile, Ray Herman, Andrew Shaw, Shona i ja - i po raz kolejny przeprowadzaliśmy drobiazgową analizę faktów. Przypominało to scenę filmową, w której ekipa z wydziału zabójstw za-brnęła w ślepy zaułek. Mój główny obrońca wiedział o ofercie udzielenia dachu nad głową ze strony ważnego członka rodziny królewskiej -wszyscy też wiedzieli o spotkaniach z Markiem Bollandem. Czy miało to jakiś związek z księciem Karolem? A może z księciem Williamem? Albo z moim spotkaniem z królową?

Ujawniłem przecież fakt tamtej audiencji u Jej Królewskiej Mości. Policja wiedziała o tym z lektury mojego przedprocesowego oświadczenia

napisanego dla policji. Wspomniałem również o tym fakcie w liczącym sześćdziesiąt cztery strony oświadczeniu przeznaczonym wyłącznie dla moich prawników. Napisałem: Wydawało mi się, że każdy, kogo księżna znała, pragnął przekazać na moje ręce wyrazy głębokiego żalu i bólu. Nawet królowa... przyjechała mnie w prywatnych komnatach Pałacu Buckingham na audiencji, która trwała [sic] niemal trzy godziny. To było wszystko, co ujawniłem, sądziłem, że na tamtym etapie wystarczy. Nie przedstawiłem szczegółowego przebiegu rozmowy z królową.

Dyskutując w małej salce, zaczęliśmy snuć przypuszczenia, że może księżę Karol został powołany na świadka.

A jeśli to William miał stanąć w miejscu dla świadków? Nie mogłem znieść myśli, że naprzeciwno mnie, siedzącego na ławie oskarżonych, stanie najstarszy syn księżnej.

Później tego samego dnia poinformowano nas, że sąd nie zbierze się przez dwa najbliższe dni, aż do piątku.

Tej nocy nie zmrużyłem oka. Nieświadomość tego, co się dzieje, doprowadzała mnie do szaleństwa. Była to psychiczna tortura, nie mogłem pogodzić się z faktem, że wymiar sprawiedliwości bawi się ze mną w tak bezwzględny sposób.

Cały ranek chodziłem tam i z powrotem po domu Hartów, potem pod pozorem potrzeby kupienia kartonu mleka wyrwałem się na długi spacer.

Chodziłem bez końca, aż dotarłem do parku Bushey. Nieustająca ulewa sprawiła, że ludzie brodzili w kałużach po kostki, z opuszczonymi głowami. Byłem jedyną osobą, która nie przejmowała się ulewnym deszczem. Spojrzałem na zegarek. Wybrałem się po karton mleka trzy godziny wcześniej. Myślałem o tym, że powinienem być w gmachu Old Bailey i oczyścić swoje nazwisko, zamiast chodzić po parku. I wtedy, by dać upust gnębiącej mnie frustracji, zadzwoniłem do zaprzyjaźnionego dziennikarza, który relacjonował proces. Przez piętnaście minut w chaotyczny sposób zwierzałem się Steve'owi Dennisowi.

- Paul - odparł Steve - nie wiesz, o co chodzi. Może to być kolejny świadek albo koniec sprawy. Może to być cokolwiek... także pomyślna wiadomość.

Starał się podnieść mnie na duchu, jednak wcale mu nie dziękowałem.

- Nawet w najsmielszych snach tak nie jest, więc mi tego nie mów. Niepewność była nie do wytrzymania.

Kevin Hart jeździł po Hampton i szukał mnie. Znalazł mnie w parku Bushey, objął ramieniem.

- Chodź, pójdziemy na piwo.

W czwartek wieczorem odbyliśmy naradę w londyńskim biurze lorda Carlile'a. Przeanalizowaliśmy list, jaki wysłałem do księcia Williama, potem moją audiencję u królowej.

- Jakie tematy poruszałeś w rozmowie z królową? - dopytywał się mój obrońca.

- Mówiliśmy o wielu sprawach - odparłem. O Marii i chłopcach, o jej rodzinie, księżnej, Williamie i Harrym. Opowiedziałem jej o wszystkim, co działo się w Pałacu Kensington. Rozmawialiśmy naprawdę o wielu rzeczach.

- Czy wyraziłeś swoje zaniepokojenie faktem niszczenia dokumentów przez panią Frances Shand Kydd?

-Tak.

W tym momencie wszystkie trzy pary oczu w pomieszczeniu skierowały się w moją stronę.

- No cóż - stwierdził lord Carlile, najwyraźniej nie wiedząc, co ma powiedzieć. - Dlaczego nie poinformowałeś nas o tym wcześniej?

- To była prywatna rozmowa z królową.

Nie jestem pewien, czy już wtedy znaczenie tej rozmowy dotarło do naszej świadomości. Dobrze jednak było wiedzieć, że dla obrony był to ważny argument. W tamtej chwili tak właśnie sądziliśmy. Nikt z nas nie pomyślał, że dysponujemy orężem, które może zmienić przebieg procesu. Wydaje się, że wokół mojej wizyty u królowej oraz słów, jakie tam padły, powstało wiele nieporozumień, a także intryg. Prawdą jest, iż poinformowałem królową, że zabrałem pewne dokumenty w celu ich bezpiecznego przechowania. Nie podałem jednak więcej szczegółów niż te, które ujawniłem w liście do księcia Williama z 19 kwietnia 2001 roku; przedstawiciele Królewskiej Prokuratury widzieli ten list.

Napisałem jeszcze 5 lutego 2001 roku list do księcia Karola, zawierający takie samo oświadczenie. Poinformowano mnie, że list ten nigdy nie dotarł do adresata. Jednak widział go zastępca osobistego sekretarza.

Po dziś dzień nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego było to takim zaskoczeniem dla prokuratury, ponieważ jej wysocy przedstawiciele wiedzieli, że informowałem księcia Williama o zabezpieczeniu dokumentów. To, co William Boyce zamierzał powiedzieć przed sądem w końcowym

przemówieniu, w moich oczach stanowiłoby podsumowanie niedorzeczności oskarżenia.

W piątek 1 listopada, w dzień Wszystkich Świętych, wydawało się, że przedstawiciele prasy jest więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Wszyscy w napięciu czekali na decyzję sądu. Nie chciałem nawet myśleć, co przyniesie ten dzień. Wciąż byłem strzępką nerwów.

- Dzieje się coś naprawdę ważnego - stwierdził lord Carlile poprzedniego wieczoru.

Jak gdyby dla dodania dramaturgii rano w gmachu Old Bailey rozległy się syreny przeciwpożarowe. Wszyscy zostali ewakuowani na ulicę. Zapanował całkowity chaos. Stałem na chodniku między lordem Carli-le'm i Andrew Shawem wśród telewizyjnych kamer i reporterów. Starłem się wyglądać na odprężonego, byłem jednak spięty i rozkojarzony.

Potem dano znak, że możemy wrócić do gmachu sądu.

Po kilku minutach obrońca wypowiedział pierwszą optymistyczną uwagę.

- Policja pakuje swoje manatki. To dobry znak.

Czekałem pod salą rozpraw numer jeden. Z kieszeni dobiegł dzwonek telefonu komórkowego.

Dzwonił dziennikarz Steve Dennis. Głos mu drżał. Stał po drugiej stronie podwójnych drzwi.

- Paul, sprawa zostaje umorzona. Nikt nie ma pojęcia dlaczego, lecz wszystko zmierza do końca. Są tu rzecznicy prasowi Królewskiej Prokuratury oraz Policji Metropolitalnej.

Wciąż nie pojmowałem, o co chodzi.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że zostałeś oczyszczony z brudu. Paul. Wszyscy wiedzieliśmy, że to tak właśnie się skończy. Wiedzieliśmy!

Nie byłem w stanie uwierzyć.

- Nie - nawet w najśmielszych marzeniach nie wierzyłem! Słuchaj, muszę już iść - powiedziałem, wyłączając telefon.

- Paul, już pora wejść na salę - oznajmił lord Carlile.

Nagle poczułem ogromny dystans do wszystkiego. Kiedy zajmowałem miejsce na ławie oskarżonych, Michelle, funkcjonariuszka ochrony, uśmiechnęła się do mnie. Rozległy się trzy stuknięcia. Weszła sędzia Rafferty, a w sali rozpraw zapadła porażająca cisza.

William Boyce powstał ze swego miejsca.

- Wysoki Sądzie, ważnym elementem oskarżenia był brak dowodów świadczących o tym, że pan Burrell informował kogokolwiek, iż znalazł się

w posiadaniu mienia należącego do wykonawców testamentu Diany, księżnej Walii...

Następne słowa przykuły moją uwagę w takim stopniu, że nie byłem w stanie zastanawiać się nad

nieprecyzyjnością tego stwierdzenia.

-... Po drugie, świadkowie oskarżenia byli przesłuchiwani przez stronę oskarżającą oraz przez obronę w oparciu o to założenie...

I znowu się myli, pomyślałem. Przez cały czas mieliście mój list do księcia Williama.

Prokurator kontynuował swoje oświadczenie.

- W poniedziałek w tym tygodniu oskarżyciel publiczny został powiadomiony przez policję, że w trakcie prywatnego spotkania z królową w kilka tygodni po śmierci Diany, księżnej Walii, pan Burrell wspomniał... że....

Prokurator Boyce wyjaśniał dalej „błędne przesłanki”, na których opierało się oskarżenie. Okazało się bowiem, że książę Edynburga wspomniał księciu Karolowi, kiedy jechali razem na mszę żałobną w intencji ofiar zamach bombowego na Bali, że poinformowałem królową o zabraniu pewnych dokumentów w celu ich bezpiecznego przechowania. Następnego dnia książę Karol powiadomił o tym swego osobistego sekretarza, sir Michaela Peata. Na koniec Pałac Św. Jakuba przekazał informację o tej rozmowie przedstawicielom Scotland Yardu.

Potem usłyszałem następujące słowa Williama Boyce'a:

- ... W tej sytuacji właściwe będzie zaprzestanie wzywania dalszych świadków w sprawie przeciwko panu Burrellowi i przedłożenie ławie przysięgłych wniosku o uznanie oskarżonego za niewinnego.

Siedziałem z sercem walącym jak młot i usiłowałem złapać sens pospiesznego oświadczenia wygłaszanego przez oskarżyciela. Rzuciłem spojrzenie w stronę lorda Carlile'a. Uśmiechał się. Popatrzyłem na Andrew Shawa, który był przy moim boku od czasu rewizji w domu, a teraz siedział z tyłu. Wyczuwałem ich ulgę. Wtedy sędzia wypowiedziała te słowa. Nigdy ich nie zapomnę.

- Panie Burrell, jest pan wolny - sędzia Rafferty uśmiechnęła się ciepło. Przez sekundę lub dwie nie ruszałem się z miejsca. Spojrzałem na lorda Carlile'a. Przytaknął.

- Chodź - powiedział bezgłośnie.

Nie wiem nawet, kiedy podniosłem się z miejsca i stanąłem pośród ogólnej ciszy. Wzruszenie ścisnęło mi gardło. Michelle, funkcjonariuszka ochrony, podała mi ramię, podtrzymując mnie. Dziennikarze przyglądali się w milczeniu. Opuściłem ławę oskarżonych, skręciłem w prawo, zszedłem trzy stopnie w dół do głównej części sali rozpraw i usiadłem, kiedy już bez obecności sędziów przysięgłych odczytano trzy werdykty uniewinniające.

Sędzia Rafferty wyszła z sali. Dziennikarze pognali, by przedstawić światu historyczną interwencję królowej. Jedyne świadek, o którym od samego początku wiedziałem, że nie może zostać powołany, postanowił przyjść mi z pomocą. Królowa, której dawno temu służyłem przez wiele lat, przemówiła na moją korzyść w obronie pamięci innej wyjątkowej postaci reprezentującej rodzinę królewską - Diany, księżnej Walii. Kiedy reporterzy i ekipy telewizyjne wybiegały w pośpiechu na ulicę, podszedłem do lorda Carlile'a.

- Czy to koniec?

- Tak, to koniec, Paul. Już po wszystkim... To naprawdę koniec. Nie mogłem powstrzymać się od szlochu, ściskając swego obrońcę.

Radca Jej Królewskiej Mości, który miał na tyle odwagi, by stawić czoła Królewskiej Prokuraturze w sprawie dotyczącej Korony, wykonał wspaniałą robotę, doprowadzając do uwolnienia mnie. Gdy moje łzy wsiąkały w jego togę, poklepał mnie po plecach.

- Sądzę, że wszyscy powinniśmy udać się na lunch. Znam miłą i niewielką knajpkę w Covent Garden - oznajmił.

Wtedy Andrew Shaw podał mi swój telefon komórkowy.

- To Maria. Wziąłem telefon do ręki.

- Skarbie? - tylko to zdołałem wykrztusić, zanim oboje zaczęliśmy płakać.

- To dzięki królowej, skarbie. Wszystko dzięki królowej - powiedziałem, a wokół mnie skupił się zespół broniących mnie prawników. Karkołomna przejażdżka kolejką górską, w której wszyscy siedzieliśmy, dobiegła wreszcie końca.

Maria ledwo co mogła pozbierać myśli z radości, jednak kazała mi słuchać. Odstawiła telefon od

ucha i usłyszałem zbiorowe owacje. Dzwoniła z naszej kwiaciarni w Holt, a rodzina i klienci dawali głośny wyraz swemu poparciu.

Wraz z Andrew Shawem wyszliśmy na ulicę. Gdy wokół mnie zebrał się tłum reporterów, fotografów, kamerzystów, otoczonych przez policyjny kordon, przestałem chyba dotykać stopami ziemi. Musiałem opierać się na barkach funkcjonariuszy stojących przede mną.

- Paul! Paul! - krzyczeli fotoreporterzy. - Paul! Tutaj! Potknąłem się o nogę dziennikarza, który się przewrócił. Spojrzałem

w górę i dostrzegłem twarze przyciśnięte do szyb w budynkach wokół.

Część pracowników biur wychylała się z okien i machała w moją stronę. Usiłowałem im też pomachać, jednak nie miałem prawie żadnej swobody ruchów.

Andrew Shaw rozmawiał z mediami w moim imieniu. Odgrodzony teren przy końcu ulicy stał się miejscem zaimprovizowanej konferencji prasowej. Prawnik dziękował wszystkim, mówił o ogromnej uldze odczuwanej przeze mnie. Byłem wyczerpany i oszołomiony, gdybym jednak miał wystarczająco dużo sił, wykrzyczałbym przed całym światem: „Boże, jak dobrze czuć się wolnym!”.

Wszyscy udaliśmy się do restauracji w Covent Garden, by uczcić ten dzień. Było tam spokojnie, przy jedynym stoliku siedziały cztery osoby. Kiedy wszedłem, zgotowali mi spontaniczną owację i każdy z tych nieznajomych uściśnął moją dłoń.

Dwie szczególnie osoby dołączyły do naszej uroczystości, nadając jej jeszcze bardziej wzruszający charakter - Richard Kay oraz Susie Kas-sem, przyjaciele księżnej. Chyba nigdy wcześniej nie wyściskałem się z Susie z taką serdecznością.

- Ktoś w górze sprawował nad tobą pieczę - powiedziała.

Gdy zasiedliśmy do stołu, pojawiła się kolejna osoba, Fiona Bruce z BBC. Przyniosła ze sobą butelkę szampana.

- Paul, chciałam jedynie złożyć ci gratulacje.

Pocałowała mnie w policzek i wzniosła toast wraz z pozostałymi za moje niewinienie.

Tego wieczoru wróciłem do Cheshire, do azylu, jakim był dom rodzinny. W końcu, chociaż nie było mi dane dokonać tego w sądzie, mogłem przedstawić argumenty na swoją obronę na łamach „Daily Mirror”. Potem skierowała na mnie swoją uwagę reszta dzienników - w Wielkiej Brytanii i Ameryce. Musiałem teraz przetrwać bite dwa tygodnie prześladowania ze strony mediów.

Twierdzili, że sprzedałem swoją duszę. Zdradziłem jakoby księżną.

Nawet kiedy pisałem tę książkę, wiedziałem, że nie zdradzam księżnej. Pozostałem lojalny. Księżna również by to zrozumiała. W pewien sposób można to powiązać z udzieleniem odpowiedzi na następujące pytanie: „Dokąd pójdziesz dalej?”.

Opuściłem Old Bailey, by rozpocząć nowe życie, mimo to odmawiam pozbycia się balastu przeszłości. To jest słabość albo siła. Kiedy jednak udało mi się oczyścić własne nazwisko przed sądem, moim obowiązkiem pozostaje ochrona imienia księżnej, która powinna pozostać w pamięci wszystkich jako niezwykła kobieta, którą była w rzeczywistości.

Pamięć o innych winna być traktowana jak skarb. Ludzie uważają, że popadłem w obsesję, ja natomiast jestem jedynie nawiedzany przez niezwykle przyjaznego ducha.

Stałem się teraz silniejszy niż byłem i mimo działań policji, wciąż zachowałem w sobie wiarę w szlachetność ludzkiej natury oraz w miliony ludzi, którzy wierzą, tak jak ja, że pamięć o księżnej zawsze będzie żywa i barwna, jak magiczne znaki, jakie księżna zostawiła w życiu innych.

Czy podążę w tym kierunku? Na pewno.

Czy z tego zrezygnuję? Nigdy.

Księżna podarowała mi coś szczególnego, ja zaś dzieląc się z wami niektórymi wspomnieniami i opowieściami, mam nadzieję, że znowu pojawi się w pełnym blasku. Teraz i zawsze, bez względu na to, co mnie w życiu spotka, będę chronił pamięć księżnej. Tego właśnie oczekiwałyby ode mnie. Wiem, co posiadaliśmy. Znam głębię łączącej nas więzi. Znam przyszłość, ku której podążamy.

Jedyną rzeczą, której ludzie nie mogą mi odebrać, jest jej ostatni list do mnie, który zostawiła na biurku w pokoju kredensowym w miesiącu, w którym zginęła.

Czytywałem go często, czerpiąc zeń ogromną siłę i duchową pociechę. List ten okazał się

pisemnym pożegnaniem i wydaje się odpowiedni na zakończenie tej książki.

Drogi Paul,

Oczywiście z Twojego punktu widzenia nadchodzący weekend będzie ważny!

Wiem o tym również, dlatego też chciałam napisać, jak bardzo jestem wzruszona, że dzielisz ze mną tę fascynację. Cóż to za sekret! W cudowny sposób spełniasz moje życzenia dzień po dniu, chociaż nieco drażni mnie fakt, że zawsze masz rację!

Ale, mówiąc poważnie, Twoje wsparcie jest, jak zawsze, nieocenione i pozwoliło mi przetrwać w psychicznym zdrowiu okresy koszmaru... Teraz sprawy przybierają inny obrót i możemy cieszyć się spokojem ducha i oczekiwać, że przyszłość przeniesie szczęśliwsze czasy oraz inne domy!

Dziękuję Ci, Paul, że jesteś dla mnie tak wielką podporą.

Uściski, Diana.

O jaki sekret chodzi?

Przepraszam. To sprawa pomiędzy kamerdynerem i księżną.